

Wszyscy nosimy dwie twarze.
Ta druga często bywa nieludzka.

MARTA ZABOROWSKA

CZARNE ZIARNO



CZARNA OWCA

KRYMINAL

**MARTA
ZABOROWSKA**
**CZARNE
ZIARNO**

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Beata Wójcik

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz ART.DESIGN

Zdjęcie na okładce: © photosaint/iStock

Korekta: Słowne Babki, Adam Osiński

Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Copyright © by Marta Zaborowska, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-628-1

WYDAWNICTWO

CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytat](#)

[***](#)

[Spis treści](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

*Uczucia są jak dzikie zwierzęta – nie doceniamy ich gwałtownej natury, dopóki nie
otworzymy klatek.*

RICHARD PAUL EVANS

1 STYCZNIA 2017 ROKU

GODZINA 00:02

Nie zdążył odwrócić głowy, by sprawdzić, kto zszedł z tarasu i zbliża się w jego kierunku. Zresztą, nie interesowało go, co dzieje się za jego plecami. Trzymał w ręku ostatni fajerwerk, jaki miał wystrzelić w niebo, by uczcić nadejście nowego roku. Wcisnął petardę w szyjkę butelki i mocno osadził ją w wilgotnej ziemi. Wystarczyło tylko podpalić lont zapalniczką.

Przykucnął i otwartą dłonią osłonił płomień. Ręce zaczynały mu powoli marznąć, więc przez chwilę przytrzymał zapalniczkę bliżej skóry. Ogień ogrzał go odrobinę, ale cienki języczek płomienia to przecież za mało, żeby poczuć prawdziwe ciepło. Dlatego chciał wystrzelić petardę i wrócić do domu, nim całkiem go przewieje. Mógł chociaż zabrać kurtkę lub szalik, zanim wyszedł do ogrodu, ale północ przysłała dziwnie szybko i nie było czasu na ubieranie się. Wyskoczył więc tak, jak stał, w białej świątecznej koszuli, z zapalniczką i trzema fajerwerkami.

Przysunął zapalniczkę do lontu. Musiał być zawilgocony, bo nie chciał zająć się ogniem. Spróbował ponownie, ale z tym samym skutkiem.

Zaklął. Przeklinał wraz z każdą kolejną próbą podpalenia lontu, coraz bardziej zawzięcie, jakby to miało zmusić płomień do pokonania opornego sznurka. Skupiony na tym, co dzieje się w jego rękach, nie zwracał uwagi na dźwięk otwierających się drzwi wychodzących na ogród ani na to, że pod czyimiś butami zazgrzytały rozsypane na tarasie grudki piasku.

Potem poczuł ukłucie, coś ostrego przecięło skórę na jego szyi i wwierciło się głęboko, rozrywając tchawicę. Starał się złapać oddech, ale powietrze tylko zaświszczało mu w gardle, nie docierając do płuc. Ukłucie powtórzyło się. Ostrze trafiło kilka centymetrów obok pierwszego dźgnięcia, trafiając tym razem w okolice czwartego kręgu. Nie czuł bólu, mimo że metal wszedł w ciało i zatrzymał się na kości.

Upadł na kolana. Zapalniczka wysunęła mu się z dłoni i odbiła z cichym brzękiem od wbitej w ziemię butelki. Wszystko wokół poczerwieniało. Krew wypływała z szyi pulsacyjnie, tworząc wokół niego coraz to nowe wzory i rozbryzgi.

Teraz było mu dobrze, wręcz błogo. Powoli miękły mięśnie, nie czuł nic poza ogarniającym go ciepłem.

Od pływał.

Zanim oczy całkiem zaszły mu mgłą, ostatkiem świadomości dostrzegł, jak ktoś z domu obok wypuszcza w niebo swoją petardę. Powędrowała prosto w górę i rozbiła czerń nocnego sklepienia setką skrzących się barw. Były piękne, złotoróżowe i niebieskie. I jasnoczerwone, zupełnie jak spieniona krew ciekąca po jego szyi.

Znów wystrzał i zaraz potem szarpnięcie. Najpierw niezbyt silne, potem mocniejsze. Nie był już w stanie zrozumieć, co się z nim dzieje. Czuł tylko, że nagle znów robi mu się zimno i jeszcze bardziej miękko niż chwilę temu. Ktoś ciągnął go po ziemi. Jego ciało kołysało się w takt przesunięć, w lewo i w prawo. Chciał odepchnąć się nogami od podłoża i wstać, ale nie zdołał wykonać żadnego ruchu. Mógł tylko zamknąć oczy i zasnąć.

PROLOG

ROK PÓŹNIEJ, 5 LUTEGO 2018 ROKU

Gdy po raz pierwszy przestąpiła próg mieszkania na dziewiątym piętrze wieżowca, wydało jej się mniej obskurne niż teraz i, przede wszystkim, dużo większe. Meble poprzednich właścicieli oszukały oczy i fałszywie pokazały, ile w takiej klitce może się ich pomieścić. Cztery miesiące temu pokoje były zagracone po suficie. Poprzedni lokatorzy nie zdążyli wynieść swojego dobytku przed wstawieniem ogłoszenia do internetu, a może nie wierzyli, że ich M3 tak szybko znajdzie nabywcę. Pod jedną ze ścian salonu, będącego piętnastometrowym pokojem z niskim sufitem, stały wtedy dwa fotele z tanim obiciem, rozdzielone prostą ławą. Pod przeciwległą ścianą błyszczał regał z centralnie umieszczonym telewizorem na plastikowej nodze. O parapet opierały się nierozłożone jeszcze kartony, czekające na ubrania i dziecięce zabawki. Wersalka pokryta była świeżo zdjętą ze sznurka bielizną pościelową, co wyglądało, jakby opadł na nią spadochron lądującego komandosa. Tuż przy wersalce stała rozstawiona i lekko nadpalona deska do prasowania z odstawionym na bok żelazkiem, na parapecie wiło się skręcone drzewko bonsai, które swoje ostatnie tchnienie wydało ładnych kilka tygodni temu i teraz było już całkiem nie do odratowania.

Za to w drugim pokoju było czysto. Dziecięce łóżko, plastikowy stolik z krzesłem jak dla krasnoludka oraz szafa oklejona naklejkami zmęczonymi od dotyku małych lepkich palców. I to wszystko. Koszmarem były natomiast ściany pomalowane na paskudny zielony kolor.

Agentka nieruchomości opisała Julii mieszkanie jako jasne, przestronne i z dobrym widokiem. Przesadziła, i to bardzo. Niewielkie okna obu pokoi wychodziły na hałaśliwą ulicę, a niecałe czterdzieści metrów podzielone ściankami mógł nazwać przestronnymi jedynie ktoś, kto spędził swoje dotychczasowe życie w ciemnej komórce pod schodami. Mimo to Julia uznała, że za cenę, jakiej żądała agentka, jest nawet w stanie udać, że stoi pośrodku Wersalu z widokiem na ośmiusethektarowy

ogród pałacowy. Potrzebowała własnego dachu nad głową, nawet jeśli miałyby nim być dwie klitki ze ślepym aneksem kuchennym. Wchodziło się do niego wąskim przesmykiem prowadzącym z salonu, zahaczając biodrem o sięgający pasa murek z nasadzonym blatem. Przy blacie stały dwa stołki barowe pobazgrane mazakami. Był jeszcze balkon. Mały, mogący pomieścić naraz dwie osoby. Ją i Sylwię.

Tak miał wyglądać ich nowy start. Dziewiąte piętro przy Czerniakowskiej wiszące nad sześcioma pasami jezdni, z widokiem na przerzuconą przez ulicę kładkę. Powiedziała agentce, że się zastanowi. Byle szybko, zastrzegła kobieta i przypomniała, że za taką cenę każdy weźmie lokal z pocałowaniem ręki. Prawda była taka, że młodzi właściciele mieszkania rozwodzili się i dzielili majątek. Czyli stare auto i to mieszkanie. Po ich miłości zostały dwa pokoje z kuchnią, roczne dziecko i uschnięte drzewko bonsai. Po wielkich sporach puścili w końcu mieszkanie z ceną „do dużej negocjacji”, żeby zamknąć wreszcie za sobą drzwi i pomachać na pożegnanie ręką. Gdyby nie ich małżeńska plajta, Julii nie stać by było nawet na tę rudere.

Teraz mieszkanie było puste, wyniesiono kartony, meble i przypaloną deskę do prasowania. Jedyne zeschnięte bonsai wciąż tkwiło na swoim stałym miejscu na parapecie.

Podeszła do okna, od ścian odbił się stukot jej butów stawianych na zdartym parkiecie. Przetarła ręką zakurzony parapet i położyła na nim umowę kupna lokalu oraz dwa komplety kluczy. Przez niemyte od miesięcy szyby widać było, jak na iglicy Pałacu Kultury miarowo pulsuje czerwone światło.

Wyszła na balkon i oparła ręce o barierkę, wystawiając twarz do wiatru. Nie pachniał jeszcze nadciągającą wiosną, wciąż czuć w nim było rześkość zimy. Lekki podmuch rozwiął jej kasztanowe włosy, które zdążyły już odrosnąć, po tym jak ścięła je na zapalkę trzy lata temu. Stała wtedy przed lustrem i złapała za nożyczki, żegnając się z włosami i z życiem, jakie zostawiła za sobą, podejmując decyzję o powrocie do Warszawy. Teraz włosy znów sięgały ramion i opadały na rozpięty płaszcz z zielonej wełny.

Nigdzie się już nie śpieszyła, patrzyła w dół na sunące ulicą auta. To, co się wydarzyło, odeszło. Pozamykała rozdziały, które miały być jak szczęśliwa bajka, a okazały się smętną farsą dla naiwnych idealistów. Znów zaczynała wszystko od zera, po trzech latach mieszkania kątem u matki i zerwaniu z komisariatem na

Nowolipkach. W mieszkaniu ze zrytym parkietem i wiszącą pod sufitem na kablu gołą żarówką, z rozłożonym na dwadzieścia lat kredytem, którego pierwszą ratę miała zapłacić za dwa tygodnie. I z czystą kartą, którą będzie musiała zacząć zapisywać po raz kolejny, od samego początku.

ROZDZIAŁ I

Telefon zadzwonił równo o ósmej wieczorem. Julia odłożyła gazetę z artykułem o lawinie błotnej, która zalała Kalifornię i pochłonęła trzynaście ofiar, po czym wyciągnęła rękę, próbując odnaleźć leżącą gdzieś w okolicy bujanego fotela komórkę.

– Halo?

W słuchawce najpierw dało się słyszeć ciche westchnienie, delikatne i ledwie słyszalne, potem chrząknięcie, które miało rozpocząć rozmowę. Z tych kilku oddechów trudno było rozpoznać, w jakim wieku jest dzwoniący, ale na pewno była to kobieta.

– Mam na imię Maria – odezwał się po chwili głos. Jego właścicielka musiała być młoda, tembr głosu był łagodny i słyhać w nim było świeżość. – Znalazłam pani nazwisko w sieci. Szukam pomocy, chodzi o ważną sprawę... Właściwie bardzo ważną. Mam nadzieję, że dobrze się dodzwoniłam? Mogłam źle wybrać numer, ręce mi się trzęsą... to wszystko z nerwów. Przepraszam, że mówię nieskładnie. Nawet nie powiedziałam dobry wieczór. Ale to pani, prawda? – spytała i podała numer telefonu wyszukany w internecie. – Niczego nie pomyliłam?

– Julia Krawiec. – Julia wykorzystała moment, w którym osoba po drugiej stronie nabierała powietrza. – Jeśli chodzi pani o mnie, to owszem, niczego pani nie pomyliła.

– Tak. – Znów westchnięcie, nieco łżejsze, ale z wciąż wyczuwalnym niepokojem. Jednak była bardzo młoda. Do tego po sposobie, w jaki składała porozrywane zdania, można było wywnioskować, że wykonanie tego telefonu musiało być dla niej trudne.

– Potrzebuję pomocy – powtórzyła. – Dzwoniłam do innych detektywów, ale nikt nie chciał... mówili, że nic nie da się zrobić.

– Najpierw proszę się uspokoić.

– Tak, już... już wszystko w porządku. Pani pracowała w policji, prawda?

Dziwne pytanie, ale Julia przywykła już do dziwnych pytań i dziwnych ludzi.

– Tak. Odeszłam ze służby kilka miesięcy temu. – Jej wzrok padł na wciąż nierozpakowany karton z drobiazgami pozbieranymi z biurka komisariatu. Był wielkości kuwety dla kota i jego zawartość składała się głównie z powietrza, a poza

nim z prywatnego notesu z nieprzydatnymi do niczego danymi, zdjęcia Sylwii oprawionego w srebrną ramkę, skierowania na badania okresowe, których nie miała kiedy wykonać, i miękkiej podkładki pod siedzenie. Jej krzesło na komisariacie było niczym madejowe łoże, bez poduszki dawało się na nim wysiedzieć ciurkiem nie dłużej niż godzinę. Pudło stało w nienaruszonym stanie najpierw w mieszkaniu jej matki na Saskiej Kępie, a od tygodnia wyglądało zza zasłony wciśnięte pod parapet z zeschniętym bonsai. – Czy to ważne, że pracowałam w policji?

– Gdyby było inaczej, nie pytałabym. Po tym, co gliny zrobiły naszej rodzinie, wolę omijać ich z daleka. Dlatego musiałam najpierw upewnić się, że działa pani całkowicie na własną rękę.

– Brak zaufania do władzy?

– Niestety. Może gdybyśmy trafili na jakiegoś porządnego człowieka, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale poszło nie tak, jak powinno, dlatego nie chcę mieć z nimi do czynienia.

Witaj w klubie, dopowiedziała w myślach Julia. Zbyt długo wahała się z oddaniem swojej odznaki po tym, jak zarzucono jej wzięcie wypchanej koperty za zniszczenie dowodów przeciwko nożownikowi ze Śródmieścia. Z zamkniętymi oczami mogłaby wskazać typa, który narobił wokół niej smrodu i rozniósł go po przełożonych. Poszło szybko, najpierw trzy miesiące w zawieszeniu obowiązków i automatyczne odsunięcie od wszystkich prowadzonych spraw. I tej najważniejszej, niemal gotowej, by podać ją sądowi na tacy. Sprawa trafiła prosto w ręce gościa siedzącego dwa biurka dalej, i nigdy już do Julii nie wróciła, nawet gdy okazało się, że jest czysta, a dowody przeciwko nożownikowi cudem odnalazły się w innej części policyjnego archiwum. Wtedy jeszcze wytrzymała, zacisnęła zęby i udała, że to wszystko po niej spłynęło. Ostatecznie rzuciła papierami, gdy w eter poszła plotka, że dostała stołek po znajomości, a nie za to, co potrafi. Dochodzenia, które przetały jej szlak do warszawskiej komendy, nagle przestały mieć znaczenie.

– Jest tam pani? Nie rozłączyło nas?

– Jestem. Mów, o co chodzi. Mogę ci mówić na ty? Wydajesz się bardzo młoda.

– Mam osiemnaście lat, więc chyba tak. – Dziewczyna potwierdziła już spokojniejszym głosem. – Właściwie to może nawet będzie lepiej, że po imieniu.

– No więc, Mario?

– Zanim cokolwiek powiem, to chciałabym, żeby pani o czymś wiedziała. To bardzo ważne, żeby pani w to uwierzyła. Chodzi o to, że... że ona jest niewinna –

wyrzuciła z siebie Maria. – Nikogo nie obchodzi prawda, a ona z kolei nie chce z nikim rozmawiać.

– O kim mówisz?

– O mojej matce. Za trzy tygodnie rusza proces. Jeśli nic nie zrobię, wsadzą ją. Prokurator myli się co do niej, i to cholernie. Ona naprawdę niczego złego nie zrobiła.

– I chcesz, żebym w trzy tygodnie dokonała cudu? To miłe, ale, wybaczone, naiwne. Przez taki czas nie da się oczyścić człowieka, cokolwiek nad nim wisi.

Zaniemówiła, ale tylko na chwilę.

– To jej jedyna szansa. Niech mnie pani chociaż wysłucha. Godzina wystarczy. Zapłacę tyle, ile będzie trzeba. Bez targowania.

Nie miała zamiaru odpuścić. Od spłoszonej nastolatki, jaką była, wybierając numer Julii, do zdecydowanej bizneswoman przeszła w zaledwie kilka minut. Szybko się uczyła.

– To matka kazała ci do mnie zadzwonić?

– Matka nie ma pojęcia, że z panią rozmawiam. Ani siostra. Zresztą, siostra jest za mała, żeby cokolwiek z tego wszystkiego rozumieć. To jeszcze dzieciak, ma dopiero jedenaście lat.

Julia spojrzała odruchowo w stronę pokoju Sylwii. Jej też za kilka miesięcy przyjdzie zdmuchnąć jedenaście świeczek na torcie. Weszła w etap, który Julia nazwała „prospołeczną izolacją”. Była pół dzieckiem, pół nastolatką nadwrażliwym okrutnikiem i alienującym się ekstrawertykiem, dziwolągiem niewiedzącym jeszcze, kim jest i czego chce. W przyływie czułości potrafiła nie schodzić matce z kolan, by zaraz potem zniknąć na długie godziny w swojej pieczarze z jej telefonem w ręku i wisieć na linii ze swoją przyjaciółką o słodkim imieniu Jagoda. Teraz też siedziała za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni, zajęta opisywaniem zdjęć z polaroidu i wklejaniem ich do albumu. Dzięki temu nie miała czasu na przyłożenie ucha do ściany ani na ostentacyjny przemarsz do kuchni spowodowany głodem, który spadał na nią nagle jak pikujący w dżungłę samolot akurat wtedy, gdy dzwonił telefon jej matki.

– Jest was dwie? Dwie siostry? – upewniła się Julia.

– Był jeszcze brat.

– Był?

– Nie żyje od roku.

– Przykro mi.

– Powinno być przykro temu, kto go zamordował. – Głos płynący ze słuchawki sposepniał.

Julia chciała dopytać, ale Maria ją uprzedziła.

– Tak, mój brat został zabity. To jest właśnie sprawa, z którą do pani dzwonię.

– Wspominałaś o matce. Jak się domyślam, jest oskarżona. W grę wchodzi zabójstwo.

– Ciężko jest mi o tym mówić. To była głośna sprawa, rok temu pisały o niej wszystkie szmatławce, papierowe i internetowe. Te internetowe były najgorsze, nawet pani nie wie, co ludzie potrafią wypisywać w komentarzach pod artykułami. Zrobili z naszej rodziny bandę Mansona. Na idiotów nie mam wpływu, ale krwi napsuli nam wszystkim.

– Jak się nazywasz, Mario? – Julia nie przypominała sobie, by dziewczyna podała jej swoje nazwisko. Jeśli to była głośna sprawa, na pewno o niej słyszała. Potrzebowała jednak klarownego punktu zaczepienia, żeby skojarzyć fakty.

– Tak naprawdę to od tego powinnam zacząć. Chociaż wtedy od razu by się pani rozłączyła. Dlatego podałam tylko imię. Nazywam się Maria Rawska, moja matka to Arleta Rawska. Pierwszego stycznia zeszłego roku została zatrzymana i oskarżona o zamordowanie mojego brata Leona.

Na dźwięk nazwiska Marii Julia poruszyła się niespokojnie w fotelu. O sprawie Rawskich trąbił cały komisariat. Trafiała do nich, ale nie na jej biurko. Na trzy dni przed jej powrotem z przymusowego urlopu przyznano ją Jareckiemu, temu samemu, który podłożył jej świnię w sprawie nożownika ze Śródmieścia. Próbowała się podłączyć, a przynajmniej przyjrzeć się dowodom, jakie udało mu się zebrać. Jarecki poklepał ją serdecznie po ramieniu i zasugerował, by przyglądała się losom Rawskiej z daleka, a najlepiej z gazet, i nie wbieprzała tam, gdzie jej o to nie proszą. Był na tyle miły, że pierwsze artykuły, jakie pojawiły się w prasie drugiego dnia po Nowym Roku, osobiście dostarczył na jej biurko razem z wystudzoną kawą w tekturowym kubku. Kawę wylała przy najbliższej okazji do jego kosza na śmieci, artykuł natomiast przeczytała od razu.

– Rozumiem. – Maria przerwała zbyt długą ciszę. – Jest tak, jak przypuszczałam. Nasze nazwisko jest jak publiczny wychodek, śmierdzi na kilometr.

– Nie dla mnie.

– Czyli chce pani spróbować? – W głosie dziewczyny pojawiła się nadzieja.

– Jeszcze nie wiem. Niczego nie mogę obiecać. Z tego, co mi wiadomo, dowody

świadczące przeciw twojej matce były nie do podważenia.

– Niech mnie pani wysłucha, potem podejmie pani decyzję.

Julia podjęła decyzję, gdy tylko usłyszała nazwisko Arlety Rawskiej. Wtedy ta sprawa ją ominęła, chociaż była na wyciągnięcie ręki. Teraz nie mogła dopuścić, by znów przeszła jej koło nosa.

– Jutro w Prasowym na Marszałkowskiej o dziesiątej. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem. Będę na pewno.

Wydawało jej się, że Maria się uśmiechnęła. Nie mogła tego zobaczyć, ale dało się poznać po głosie, że napięcie w niej zelzało.

Rozłączyła rozmowę i podniosła się z bujanego fotela. Pled, którym przykrywała nogi, spłynął na podłogę, tuż obok gazety z artykułem o lawinie w Kalifornii.

Przedłużająca się cisza w pokoju Sylwii wydawała się niepokojąca, uchyliła więc drzwi do dziecięcego pokoju i zajrzała do środka. Mimo panującej za oknem ciemnicy w pokoju nie paliła się żadna lampa. Sylwia siedziała z łokciami opartymi o parapet na przysuniętym do okna krześle i patrzyła na przykryte czernią miasto. Album ze zdjęciami leżał zamknięty na biurku.

Podeszła do córki i stanęła za jej plecami. Po omacku odszukała łańcuszek przy lampce, by zapalić światło, ale Sylwia wyciągnęła rękę i na powrót zgasiła żarówkę.

– Nie chcę, żeby było jasno. Dziwnie tu i brzydko – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Wolę siedzieć po ciemku.

Trudno było się nie zgodzić. Pomalowane na zielono ściany drażniły oczy i zamiast wyglądać jak górską połonina, przypominały kolorem smólkę wydalaną przez noworodka. Dochodziły do tego pojedyncze ślady po powyciąganych gwoździach, o których Sylwia powiedziała już pierwszego dnia, że wyglądają jak dziury po ospie. Remont pokoju musiał jednak poczekać. Pieniądzy starczyło na wstawienie nowego sedesu do łazienki oraz na zakup biurka i łóżka dla Sylwii. A właściwie dla nich obu, bo wspólnego. Strefę spania podzieliły od razu, Sylwia zaklepała swoją połowę od okna, z zastrzeżeniem, że jeszcze może jej się odmienić, jeśli będzie zbyt wiało od framug. Nierozpakowane kartony z ubraniami, butami i innymi szpargałami wciąż stały w kącie jedne na drugich. Na wszystko przyjdzie czas, na nową szafę też. Jak dotąd obie miały wrażenie, że życie zatoczyło koło i znalazły się znów w punkcie wyjścia.

– To mieszkanie jest ohydne – powtórzyła Sylwia.

– Nie jest tak źle. – Julia pocałowała córkę w czubek głowy. – Przynajmniej

jesteśmy u siebie. Nikt nas stąd nie wygoni.

– Nie było lepszego?

Julia poczuła, jak fala gorąca łapie ją za gardło i spływa do płuc. Cyrograf na dwie dekady nierozzerwalnego mariażu z bankiem, gdzie tylko jedno z małżonków ma prawo pić słodkie wino ze wspólnej piwniczki, a drugie może co najwyżej polerować butelki z kurzu, dopiero co schowała na dno szuflady w kuchni. Tylko w ten sposób nie kłuł w oczy i nie przerywał spokojnego snu, jakiego próbowała teraz zaznać.

– To jest w sam raz – odpowiedziała bez przekonania. – Będzie nam tu dobrze, zobaczysz.

Sylwia zgramoliła się z krzesła i stanęła boso na podłodze. Parkiet był goły, z braku dywanu podsunęła sobie pod stopy swoje szkolne dzinsy. Ubrana w za małą piżamę z motywem pingwina, zza którego wyrastała góra lodowa, wyglądała zabawnie i smutno zarazem.

– Chcę mieć prawdziwy dom.

Nie odsunęła się od matki, kiedy ta objęła ją ramionami i przytuliła do bluzki pachnącej porannym prysnięciem perfum. Odgarnęła jedynie kasztanowe włosy Julii, które załaskotały ją w policzek.

– Z czasem urządzimy ci pokój tak, jak sobie wymarzysz.

– Na czarno?

Julia skrzywiła się na myśl o wymalowaniu ścian smołą.

– Niedawno chciałaś na różowo.

– Nie jestem już dzieckiem. Mogę negocjować, ale na pewno nie będę mieszkać w puszcze zielonego groszku. – Sylwia zacisnęła usta. – Chcę na ciemno albo wrócę do babci. Poza tym przypomnę ci, że masz tylko jedną córkę, która niedługo się od ciebie wyprowadzi – dodała z przejęciem.

– Niedługo?

– Jak tylko dostanę dowód osobisty.

– No tak, to już za siedem lat.

– Do tego czasu powinnaś zadbać o moje szczęście. Jak dziecko szczęśliwe, to matka też.

– Tak, coś o tym słyszałam. Tylko w oryginale było na odwrót.

– Czarny albo babcia, pamiętaj. Czuj się szantażowana – uściśliła Sylwia, na wypadek gdyby matka nie zrozumiała do końca jej przesłania.

– Tak się właśnie czuję – potwierdziła Julia.

– Tak jest w świecie twardzieli, mamó. Słabe jednostki muszą ulec silniejszemu.

– Jasna sprawa. Wskakuj do łóżka, domowa terrorystko. Brałaś już leki?

Sylwia odsunęła szufladę biurka i wyjęła z niej inhalator. Potrząsnęła nim od niechcienia, po czym przyłożyła plastikową końcówkę do ust i wcisnęła tłok, aplikując prosto do płuc mieszaninę leków na astmę.

Julia pomogła córce wejść pod kołdrę, po czym naciągnęła ją Sylwii pod samą szyję.

– Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, kochanie. Widzimy się jutro.

– Tak. Czuj się, że masz wolny wieczór.

Wychodząc z pokoju, Julia, poza darowaną wolnością, poczuła coś jeszcze. To coś dolatywało z plecaka Sylwii. Sprawdziła po omacku, czy nie zalegają tam niezjedzone kanapki sprzed miesiąca. Tym razem znalazła tylko dwie. Obróciła się w stronę łóżka, jednak widok zaciśniętych powiek Sylwii zasznurował jej usta. Bez słowa odłożyła plecak na jego miejsce, tuż przy wieży z kartonowych pudeł.

Zamknęła drzwi do zielonej sypialni i nalała sobie w kuchni bezalkoholowego piwa. Zrzuciła z karku bluzkę i ściągnęła dzinsy. Napuściła do wanny wody z kilkoma kroplami waniliowo-bananowego olejku i zanurzyła się w ciepłe. Pociągnęła łyk słodkiego piwa, po czym odstawiła szklankę na brzeg wanny.

Nazwisko Arlety Rawskiej wciąż brzmiało w jej uszach.

Rawscy. Samotna matka zabójczyni i jej dwie córki. Rodzinny dramat z martwym chłopakiem w tle. Zwłoki z dziurą w gardle znaleziono w schowku na narzędzia stojącym w przydomowym ogrodzie. Zdjęcie aresztowanej kobiety i ciała wynoszonego w worku kopiowane było na pierwszych stronach kolorowych dzienników z częstotliwością fotek, jakie robi się celebrytom na czerwonym dywanie. Z tym że zdjęcie Arlety Rawskiej zawsze było niewyraźne, robione na szybko i byle jak przez chciwe aparaty tabloidowych pismaków.

Z tego, co podawały gazety, Rawska w sylwestrową noc wyszła przed dom z nożem w rękę i dwukrotnie ugodziła nim syna. Leon odpalał wtedy fajerwerki. Zanim podpalił lont ostatniego, ostrze noża przebiło mu gardło. Potem matka zaciągnęła chłopaka do komórki i położyła na ogrodowej ławce stojącej w środku. W momencie całego zajścia byli w ogrodzie tylko we dwoje, Leon i Rawska. Dzień później była już Arletą R., trzydziestosześcioletnią dzieciobójczynią z Michałowic pod Warszawą, kilerem w spódnicy, bestią bez serca. Miała zabić bez wyraźnego powodu, zapewne

od pomieszania zmysłów.

Spekulowano, że chciała pozbyć się całej trójki, bo bez dzieci żyje się łatwiej. Zaczęła od najstarszego i najsilniejszego Leona, potem miało pójść jej znacznie łatwiej z siedemnastoletnią wówczas Marią, a na końcu z dziesięcioletką, Niną. Te rewelacje powtarzano za każdym razem. Córki cudem uniknęły śmierci z ręki matki, wystraszył ją zaglądnący przez płot sąsiad z bliźniaka, chcący złożyć rodzinie życzenia z okazji Nowego Roku. Miał zobaczyć krew na rękach Rawskiej i zawiadomić policję. Wkrótce rzucona pośrodku pustkowiec ulica rozświetliła się od policyjnych kogutów.

Według zeznań starszej z córek, Marii, tamtej nocy byli w domu wszyscy, cała rodzina łącznie z mieszkającą na co dzień pod Krakowem siostrą matki, Judytą Rawską-Kawką. Każda z kobiet potwierdziła, że nikt, poza Arletą i Leonem, nie opuszczał wtedy domu. Kiedy matka z synem długo nie wracali, do ogrodu jako pierwsza zeszła Judyta. Zaniepokoił ją widok porzuconej butelki z petardą, a potem ślady krwi prowadzące do drewnianej przybudówki. Drzwi były otwarte na oścież. Był kwadrans po północy, może trochę mniej. Widziała niewiele, mimo światła rzucanego z okien domu, przenikającego przez deski schowka. Jednak ciemna barwa krwi odcinała się bardzo wyraźnie na białej koszuli chłopaka. Leżał na ławce. Arleta siedziała obok niego, podtrzymując na swoich kolanach opadającą głowę syna. Na widok oszołomionej siostry podniosła ręce. Nic nie powiedziała, pokazała tylko dłonie ociekające krwią.

Przepymano wszystkich poza Niną, która nie była w stanie składać zeznań. Jako jedyna mogła widzieć z okna swojego pokoju całe zajście, a jednak milczała. Ze strachu lub wstrząsu, jaki wywołał w niej obraz umierającego brata.

Julia nie mogła usnąć tej nocy. Leżała obok Sylwii we wspólnym rozkładanym łóżku, z mokrymi włosami zawiniętymi w ręcznik i patrzyła na podziurawioną od gwoździ zieloną ścianę. Podjęcie się rozpoznania sprawy Rawskiej bez dowodów i zeznań świadków, do których nie miała dostępu, było jak przejście z zawiązanymi oczami po linie rozpiętej między skałami. Dotarcie do prawdy, która według Marii była zupełnie inna aniżeli ta, jaką miał przedstawić prokurator w sądzie, graniczyło z cudem. Do tego w zaledwie trzy tygodnie, zanim za plecami Rawskiej zatrzaśnie się na dobre więzienna brama. Policja i prokuratura zrobili swoje. Postawiono Rawskiej zarzut zabójstwa z premedytacją. Wybrała przełom roku. Wykorzystała huk strzelających

fajerwerków, by zagłuszyły odgłosy szarpaniny i krzyku Leona.

Koniec każdego roku to czas podsumowań. Rozliczenie tego, co minęło, i kalkulacja nowych możliwości. Jedni cmokają z zachwytu nad swoim życiem, do drugich dociera świadomość, że wciąż tkwią po uszy w bagnie, z którego wygrzebanie się jest czystą utopią. Dla samotnej matki spędzającej kolejnego sylwestra w kuchni, w znoszonej kiece zamiast sukni i naszyjnika z pereł, do tego z trójką nieślubnych dzieci, jest jak siarczysty policzek od losu. Wystarczyło, że w złym momencie dobiegł ją zza ściany zbyt głośny śmiech żony sąsiada i odgłos muzyki do tańca, by uzmysłowiła sobie, że jej życie to drwina. Po prostu nie wytrzymała. Ile mogła mieć lat, kiedy zaszła w pierwszą ciążę? Siedemnaście? To by się nawet zgadzało, Leon w dniu śmierci miał dziewiętnaście. Potem były kolejne dwie, również przeżywane w samotności. Z własnej głupoty lub psiego przeznaczenia.

Julia przekreśliła się na bok i poprawiła zsuwający się z włosów turban. Sylwia spała odwrócona do niej plecami. Oddychała miarowo, ale co chwila poruszała gwałtownie nogami, jakby uciekała przed sennym widziadłem. Trzecia przewodniczka w ciągu sześciu lat zrobiła z niej mentalną cygankę, pakującą i rozpakowującą tobołki w coraz to nowych miejscach. Dochodziło do tego rozczarowanie najnowszym postojem, klitką bez wygod, własnego łóżka i telewizora. Blok z lat siedemdziesiątych z dziesięcioma mieszkaniami na piętrze, zsympem i pęknięciami na suficie, był jak betonowy mrówczy kopiec.

Wiedziała już, że za pierwsze zarobione pieniądze przemaluje pokój Sylwii. Potem wycyklinuje parkiet i kupi sobie łóżko, żeby nie musiały gnieść się na wąskim materacu w dziecięcym pokoju. Wyrzuci zasłony, które matka wcisnęła jej na nową drogę życia. Na razie muszą wisieć i cieszyć oczy ukręconymi bladożółtymi główkami tulipanów, spomiędzy których wyrastają liście w kształcie kurzych stopek. Emilia naciskała, by dołożyć do nich podsufitową falbanę, która dopełniałaby szczęścia, ale widząc poirytowane spojrzenie Julii, pozostała jedynie przy zasłonach.

Kolejnym prezentem od matki był brązowy chodnik do przedpokoju, również w kwiaty, ale tym razem w złote lilie, który zrolowała z własnego mieszkania i dorzuciła Julii na odchodne, żeby „biedne dziecko nie musiało biegać boso po gołej podłodze”. Julia miała wrażenie, że matka gotowa jest oddać jej znacznie więcej cudowności z własnego mieszkania, byle tylko wyprowadzić ją i Sylwię z Saskiej Kępy. Powody były tak naprawdę dwa. Pierwszy to ciasnota i bałaganiarstwo Sylwii. Mała potrafiła w ciągu godziny zamienić nawet najbardziej sterylne mieszkanie w stajnię Augiasza,

co doprowadzało jej babcię do nowo odkrytej choroby, zwanej kołowacizną. Drugim powodem były utrudnione relacje Emilii z Edmundem, ojcem Julii. Mając na głowie córkę i wnuczkę, odłożyła relację z byłym mężem na półkę, jak odkłada się przeczytaną do połowy książkę, do której nie wiadomo kiedy znów się zajrzy. Musiała wybrać i wybrała ją i Sylwię. Wówczas wybór zdawał się jej oczywisty. Z czasem jednak Julia zaczęła obserwować u matki postępującą melancholię. Tęsknota nachodziła ją zwłaszcza wieczorami, Emilia zaszywała się wtedy w swoim pokoju i w ciszy robiła na drutach kamizelki z kieszeniami. Tęskniła za swoim dawnym życiem, za schadzками z Edmundem, które po przyjeździe Julii do Warszawy stały się rzadkie i odbywały się w tajemnicy tak wielkiej, jakby dotyczyła największych sekretów Watykanu. Męczyło ją ciągle udawanie, że wychodzi na samotny spacer, do kina czy do kawiarni. Kłamała nieudolnie, po pewnym czasie przestała wymykać się z domu w ogóle. Opuściła, uznając, że jest za stara na chowanie się z ukochanym po parkach jak jakaś podfruwajka. Czasem tylko zabierała Sylwię na ciastko czy lody, ale robiła to jedynie po to, by podtrzymać kontakt wnuczki z dziadkiem. Do domu, odkąd wprowadziła się do niej Julia, nie zaprosiła Edmunda nigdy. Spróbowała to zrobić raz, jednak wspólne spotkanie zakończyło się wyrzutami i pretensjami. To, co dzieliło córkę i ojca, nie zniknęło. Żal, że dwadzieścia dwa lata temu odszedł z ich życia, nie wygasł.

– Mamo? – usłyszała, kiedy już jej się zdawało, że zapada w sen i pod powiekami widzi piętzące się na kolanach Emilii motki z włóczką i połyskujące w świetle lampki szalejące druty.

Sylwia pochylała się nad jej głową.

– Duszno mi.

– Znowu?

Przytrzymała ręką zsuwający się z włosów ręcznik i wygramoliła się z ciepłego łóżka. Podeszła do stojącego pod oknem biurka i sięgnęła do szuflady. Namacała palcami inhalator.

– Czy to kiedyś minie? – spytała rozespianym głosem Sylwia.

– Marne szanse. Musisz pamiętać, żeby mieć go cały czas przy sobie. Nie zdążę ci go dowieźć do szkoły, jeśli zapomnisz.

– Nie zapomnę. – Sylwia wzięła głęboki wdech z inhalatora.

Trzeba było przykręcić kaloryfer i uchylić na chwilę okno. Julia otworzyła jedno

skrzydło, wpuszczając do pokoju rześkie nocne powietrze. Ulica była pusta, latarnie oświetlały asfalt i rozpuszczające się na brzegach chodników zwały starego śniegu. W oknach domów było ciemno, miasto spało, szykując się do kolejnego dnia.

Jeszcze trzy lata temu marzyła o tym, by znów tu być i ponownie włączyć się w krwiobieg Warszawy, w jej szum i jazgot. Uciec z podmiejskiej dziury, gdzie los rzucił ją na dłużej, niżby tego chciała. Próbowwała ułożyć sobie tam życie i przy okazji zostać gliną stulecia. Część planu się powiodła. Podkomisarz Julia Krawiec błyszczała w małomiasteczkowym komisariacie, a ręka niemal drętwiała jej od uścisków i gratulacji. Matka Julia Krawiec robiła wszystko, by jej córka przywykła do nowego miejsca i zapomniała o krzykach i awanturach, jakie robił jej ojciec, kiedy jeszcze mieszkali razem. To też przyszło dość łatwo. Kobieta Julia Krawiec nauczyła się natomiast kochać na nowo, ale ta historia nie zakończyła się happy endem.

– Już. – Sylwia rzuciła w ręce matki inhalator i ponownie wsunęła się pod koldrę. – Zamknij okno, nie można stać na wietrze z mokrą głową. Spać z mokrymi włosami też jest niezdrowo.

Julia przekręciła kłamkę w oknie. Dopiero teraz poczuła chłód na ramionach. Narzuciła na nie sweter i po cichu wymknęła się z pokoju. Sen odpłynął.

Zamknęła za sobą drzwi do drugiego pokoju i z kartonu opisanego „łazienka” wyjęła suszarkę. Przysunęła bujany fotel bliżej kontaktu i włożyła wtyczkę do gniazdzka. Ciepłe powietrze owiało jej twarz. Niewyciszony na noc sygnał w komórce dał znać, że przyszedł esemes. Spojrzała na wyświetlacz telefonu. „Co u Ciebie? Kawa w piątek po robocie? Adam”. Uśmiechnęła się na myśl o człowieku, który chyba jako jedyny na komisariacie miał o niej dobre zdanie, i to wcale nie dlatego, że świeciły mu się oczy za każdym razem, gdy tylko znajdowała się w pobliżu. Lubili ze sobą rozmawiać, a tematów im nigdy nie brakowało. Jeśli nawet nie byli z tej samej gliny, to z podobnej. Na tyle, że z czasem zaczęło się między nimi tlić coś, czego Julia wolała jeszcze nie nazywać po imieniu. Psychiczna blokada przed kolejnym związkiem była jak mury obronne średniowiecznego miasta. Tylko co pewien czas wysuwała zza nich wąską kładkę, po której Adam mógł bezpiecznie przejść na drugą stronę fosy i znaleźć się w jej świetle.

Kiedy po raz ostatni zamknęła za sobą drzwi komendy, była pewna, że tym samym skończy się jej znajomość z Adamem Górnym. Wiedziała, że biurowe romanse trwają tak długo, jak długo kochankowie spotykają się w windzie czy na służbowym korytarzu. Ona o dalszy kontakt nie zabiegała i była pewna, że Górny też sobie

odpuści. A jednak odezwał się. Na razie postanowiła nie odpisywać. Wysuszyła do końca włosy i wróciła do wygrzanego przez Sylwię łóżka.

ROZDZIAŁ II

Bar Prasowy w godzinach porannych był niemal pusty. Przy stolikach z widokiem na Marszałkowską siedziało zaledwie kilka osób sączących wczesną kawę i wpatrujących się w sunące po szynach tramwaje.

Julia domknęła drzwi baru i weszła do środka. Poluzowała kołnierz zielonego płaszcza stylizowanego na wojskowy i rozejrzała się po twarzach ludzi, szukając Marii. Od razu wyeliminowała parę spod okna – sądząc po garniturze mężczyzny i skromnej garsonce kobiety, oboje wyskoczyli na śniadanie z któregoś z okolicznych biurowców. Bliżej ściany kiwał się nad zupą mleczną starszy człowiek z ogorzałą od wiatru twarzą; stolik dalej usadowiły się dwie nastolatki zajęte przeglądaniem zdjęć w komórce.

Rozpięła guziki płaszcza i jednym ruchem ściągnęła apaszkę z szyi, po czym upchnęła ją w kieszeni.

Dziewczyny nie było. Spojrzała na zegarek. Do pełnej godziny brakowało pięciu minut. Zapłaciła w kasie za kawę i z pełnym kubkiem usiadła pod ścianą, dwa stoliki od ogorzałego mężczyzny z zupą. Z rogu sali widać było cały lokal jak na dłoni, w tym drzwi, które co jakiś czas otwierały się, by wpuścić do środka kolejnego gościa zacierającego z zimna ręce.

Trzy po dziesiątej drzwi znów skrzypnęły. Tym razem to musiała być ona. Stała w progu i rozejrzała się niepewnie po ludziach siedzących przy stolikach. Była ubrana w wiosenny beżowy trencz i czarne martensy sznurowane do kolan. Włosy miała związane na czubku głowy w kucyk, z którego zwisały rozjaśnione na blond dredy, zabarwione zbyt mocno fioletową płukanką mającą zniwelować nadmiar żółci. Szczupła, z dużymi czarnymi oczami i prostymi brwiami bez klasycznego łukowatego załamania.

Julia przełknęła łyk kawy i podniosła się z krzesła. Dziewczyna podchwyciła jej spojrzenie i ruszyła prosto pod ścianę.

- To pani? – spytała, gdy podeszła do stolika. – Inaczej sobie panią wyobrażałam.
- Powinnam mieć przy sobie lupę, jak Sherlock Holmes, czy siwe włosy i

zmarszczki, jak panna Marple?

Roześmiała się i przerzuciła przez poręcz krzesła zdjęty trenz.

– Ani jedno, ani drugie, ale jednak inaczej.

Zamówiła czarną herbatę i słodką bułkę, od której nie mogła oderwać się dotąd, aż na talerzu pozostały same okruchy. Zasłoniła ręką usta, powstrzymując odbicie, po czym otarła je wierzchem dłoni.

– Przepraszam, ale nie jadłam chyba dobe.

– Brak czasu czy pieniędzy?

Maria westchnęła ciężko.

– Różnie, ale ostatnio to bardziej z nerwów. Mówiłam pani o swojej sytuacji.

Mieszała łyżeczką herbatę w lewo i w prawo, rozpuszczając w niej solidną dawkę zalegającego na dnie cukru.

– Pewnie myśli pani, że zwariowałam – powiedziała wreszcie i odłożyła łyżeczkę na spodek. – Że niepotrzebnie zawracam sobie i pani głowę sprawą, która z góry jest przegrana.

Oparła obie ręce o blat stolika i naciągnęła na dłonie rękawy czarnego swetra.

– Zbyt mało wiem, żeby cokolwiek sądzić o procesie twojej matki – odparła Julia.

– Jednak jeśli to, co podaje prasa, jest prawdą...

– Mówiłam już, prasa nie wie wszystkiego – przerwała jej Maria. – Policja przekazała tylko te informacje, które chciała.

– Spodziewałaś się, że ujawnią więcej?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie. Ale miałam nadzieję, że przynajmniej zamkną usta pismakom, którzy wymyślili tę beznadziejnie głupią historię o potrójnym morderstwie. Że niby nasza matka miała zabić nas wszystkich. Wystarczyłoby oficjalnie temu zaprzeczyć, ale prawda przecież nikogo nie obchodzi.

– Kto miałby to zrobić?

– Zaprzeczyć? Chociażby ja.

– Nie masz pojęcia, co planowała wasza matka.

– Na pewno nie zamierzała poderżnąć nam gardeł.

Wyglądała jeszcze na dziecko. Wyrośnięte i wystylizowane na studentkę co najmniej czwartego roku uniwersytetu, ale jednak dziecko. O swojej matce mówiła jak o świętym mikołaju, który wpadając przez komin, niechcący zbił akwarium i rozgniółł butem złote rybki.

– Prawda jest taka, że twoja matka została oskarżona o zabójstwo Leona – powiedziała Julia, próbując ściągnąć Marię z planety naiwności na ziemię. – To wystarczy, żeby ludzie zaczęli dorabiać jej głębę.

– Tylko dlatego, że komuś tak się spodobało? Nie było żadnych podstaw, żeby nas linczować. Ten pomysł z wycięciem całej rodziny w pień... nic głupszego nie mogli wymyślić.

– Wiesz przecież, jak działają media.

– Wiem. – Maria ponownie sięgnęła po łyżeczkę, którą dla odmiany zaczęła stukać nerwowo o brzeg stołu. – Nie urodziłam się wczoraj. Mało w tym wszystkim sprawiedliwości.

– Na pewno nie znajdziesz jej w gazetach.

– Sąd będzie niby lepszy? Przecież im zależy na tym, żeby kogoś wsadzić za tę zbrodnię. Byle kogo, nieważne, czy jest winny, czy nie.

Dziewczyna wyprostowała się na krześle i odsunęła od policzka opadającego na twarz drelda.

– Rozmawiałam z adwokatem matki. Jest pewien, że przegra proces – rzuciła wprost.

– W takim razie nigdy nie powinien zostawać obrońcą. Co konkretnie powiedział?

– To wszystko wygląda jak jakiś tani dramat... Nic mądrego nie wymyślił. To znaczy owszem, mówił dużo i niekonkretnie. Jedyne konkret, jaki usłyszałam, to to, że jest nie za wesoło. Rozumie pani? Nie za wesoło. Prokurator ma go w garści, policja też nie musiała dostawać zadyszki, żeby znaleźć dowody przeciwko matce. Pokręcili się po domu i ogrodzie, popytali sąsiadów i poskładali klocki tak, jak im pasowało.

– Jeśli wiesz o czymś, co mogłoby pomóc w sprawie, musisz to powiedzieć.

– Powiedziałam im już wszystko i tłumaczyłam, żeby szukali dalej. Nikt z rodziny nie mógł tego zrobić.

– Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, to samymi pobożnymi życzeniami nie przekonasz sądu. O ile wiem, wszystkie dowody wskazują na nią.

– W takim razie pójdzie siedzieć za niewinność.

Próbowała sprawiać wrażenie spokojnej, ale w jej głosie znów było słycać to samo napięcie, jakie dało się wyczuć podczas ich pierwszej rozmowy. Trudno było rozpoznać, czy umiejętność żonglowania nastrojami była w przypadku Marii darem od natury czy wyuczoną sztuką.

– Proces będzie się opierał na oskarżeniu prokuratury – powiedziała Julia. – A oskarżenie wskazuje tylko na jedną osobę. Jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to przedstawić okoliczności łagodzące. Adwokat twojej matki naprawdę nie ma niczego na jej obronę? Podejrzenie o niepoczytalność, agresja wywołana nagłym wzburzeniem, może lęk? W takich sytuacjach sięga się po każdą możliwość.

Maria pociągnęła łyk stygnącej herbaty.

– Myśli pani, że o tym nie wiem? Albo że adwokat matki zapomniał o czymś takim jak domniemanie niewinności czy zbrodnia w afekcie? Robił, co mógł, żeby wyciągnąć z niej choćby najmniejszą informację. Ale moja matka, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, nie zamierza się bronić.

– Prasa pisała, że przyznała się do winy.

– Tak – przytaknęła Maria. – To akurat prawda. Powiedziała to zaraz po tym, jak ją zabrali spod domu, ale wtedy była w szoku.

– Podpisała zeznania?

– Podpisała, to było tego samego dnia. Załatwili ją. Nie czekali, aż się uspokoi, tylko od razu podsunęli jej papier. Pewnie nawet nie wiedziała, co było na nim napisane. Od tamtej pory odmawia jakichkolwiek zeznań. Jakby zupełnie nie zależało jej na tym, co się z nią stanie. Jej adwokat wchodzi do aresztu i wychodzi z niczym. Z tego, co mi mówił, nie powiedziała do niego nic, ani jednego słowa.

– Może nie ma nic na swoją obronę – stwierdziła Julia. – A jeśli tak, najprawdopodobniej nie zaszła tu żadna pomyłka. Ludzie milczą i nie bronią się, kiedy chcą odpokutować za to, czego się dopuścili. Bardziej niż odbycie kary przeraża ich fakt, że nigdy jej nie poniosą i będą musieli żyć ze swoim grzechem dalej. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Że niby dobrowolnie chcą wejść pod pręgierz?

– Coś w tym rodzaju.

– Moja matka nigdy nie była cierpiętnicą – zapewniła Maria. – Samobiczowanie nie jest w jej stylu.

– Musi jednak mieć powód, dla którego zdecydowała się milczeć. Nie domyślasz się, co to może być?

Maria gwałtownie pokręciła głową.

– Dla mnie to też jest bardzo dziwne. Straciła jedno dziecko, ale przecież zostałyśmy jeszcze my, ja i Ninka. Czy to zbyt mało, żeby chcieć się bronić?

– Co się z nią teraz dzieje?

– Z Ninką? – Maria oderwała wzrok od pustej w połowie szklanki herbaty. – Jest bezpieczna, odizolowana od tej całej chorej sytuacji. Po tym, co przeszła, powoli dochodzi do siebie.

– Nie jest z tobą?

– Nie. Nasz dom stoi pusty. Wyprowadziłam się z niego do przyjaciółki wkrótce po tym, co się stało. Poza tym kurator nie miał zamiaru powierzyć mi opieki nad dzieckiem. Nina po tej całej sytuacji z Leonem ma zamęt w głowie. Mogła się nią zająć opieka społeczna albo jakaś na szybko złapana rodzina zastępcza. Na szczęście wyszło jeszcze inaczej. Trafiła do dobrych ludzi, choć matki na pewno jej nie zastąpią.

– Wciąż liczy na to, że matka wróci i wszystko będzie jak dawniej?

– A jak pani myśli? Ninka potrzebuje matki. Przecież nie zostanie u obcych na zawsze, któregoś dnia będzie musiała ich opuścić. Ja tylko nie chcę, żeby dorastała ze świadomością, że najważniejsza osoba w jej życiu poderżnęła gardło jej bratu. Chcę wiedzieć, że zrobiłam wszystko, by oczyścić matkę z zarzutów.

Julia uśmiechnęła się gorzko.

– Co zrobisz, jeśli nie znajdę niczego, co na to pozwoli?

Dziewczyna wypuściła z płuc powietrze i pokręciła głową.

– Nie wiem. Ale nigdy nie uwierzę, że nasza matka mogła zrobić komuś krzywdę. A już na pewno nie zabiłaby własnego dziecka.

– Rodziny nigdy nie wierzą w winę swoich najbliższych.

– Mam powiedzieć Nince, że matka zgnije w więzieniu?

– Chcę tylko powiedzieć, że nadzieja w przypadkach beznadziejnych jest czymś naiwnym.

Maria siedziała dłuższą chwilę w bezruchu, całkiem skamieniała. Julii zdawało się, że na ułamek sekundy jej oczy zaszklily się, jednak dziewczyna szybko zamrugła powiekami i schyliła głowę. Sięgnęła do przewieszanej przez oparcie krzesła torby i z kieszonki zasuwanej na zamek wyjęła jakieś zdjęcie.

– To one, moja matka i Ninka. – Podsunęła fotografię pod nos Julii. – A właściwie my wszyscy, jeszcze zanim to się stało. Tak wyglądała nasza szczęśliwa rodzina. Może pani zatrzymać zdjęcie.

Julia przeniosła wzrok z rozgoryczonej twarzy Marii na fotografię. Stali w ogrodzie, w tle widniała brudna bryła ich domu, bliźniaka z wąskim betonowym tarasem, częściowo przykrytym tanią zieloną wykładziną imitującą trawę. Zza

uchylonych drzwi prowadzących do domu wystawała śnieżnobiała firanka, która ledwie kontrastowała z żółtą koszulową bluzką kobiety. Arleta Rawska stała wyprostowana, jedną ręką obejmowała ramię wyższego od niej o pół głowy Leona. Mimo lata chłopak ubrany był w skajową kurtkę z ćwiekami. Spod kurtki wystawał czerwony podkoszulek, na nogach miał czarne dżinsy, których nogawki ginęły w skórzanych martensach, podobnych do tych, które nosiła Maria, tylko krótszych, za kostkę. Stał niedbale, ale na jego twarzy nie było widać zniechęcenia wywołanego koniecznością pozowania wraz z matką i siostrami. Nawet się uśmiechał, też niedbale, jednak uśmiech miał zdecydowanie piękny, jak u Gregory'ego Pecka. Wszystkie dzieci były ładne i podobne do siebie. Miały jednakowy kształt i kolor oczu, według tego samego pierwowzoru, jakim była Arleta Rawska. W przypadku Leona idealnie harmonizowały z jego jasnymi włosami, przystrzyżonymi po bokach głowy i nieco dłuższymi nad czołem. Przez grzywkę chłopaka prześwitywały promienie letniego słońca, co, gdyby nie ciężkie buty i ćwieki na kurtce, nadawałoby mu anielski wygląd.

– Ktoś go zabił – odezwała się Maria, widząc, że wzrok Julii zatrzymał się na dłużej na twarzy jej brata. – Do dziś nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

Julia nie odrywała oczu od sielskiego obrazka. Z uśmiechniętej buzi Leona przesunęła spojrzenie na twarz Arlety Rawskiej. Wiedziała o niej niewiele. Właściwie tylko tyle, że miała trzydzieści sześć lat, kiedy wydarzyła się tragedia, i że od dwóch dekad żyła głównie dzięki pomocy opieki społecznej, bez której wyłądownaby w przytułku dla samotnych matek. Państwo opłacało jej czynsz, a Caritas obdarowywał mąką i makaronem oraz używanymi ciuchami i butami, jakich pozbywali się ludzie podczas wiosennego przeglądu szaf. Dorabiała na pilnowaniu dzieci obcych ludzi i sprzątaniu. Edukację zakończyła na zawodowce, ale dla swoich córek i syna na pewno chciała więcej. Dla siebie pewnie też, jednak sprawy potoczyły się inaczej. Była młodą kobietą ze złamanym życiem i comiesięcznym zasiłkiem na przetrwanie.

– Dlaczego nic pani nie mówi? – spytała Maria, przerywając zbyt długą ciszę.

Julia podniosła wzrok znad zdjęcia, ale tylko na chwilę. Twarz Arlety Rawskiej frapowała ją. Próbowwała odnaleźć w jej miękkich rysach choćby cień zła lub szaleństwa, które doprowadziły ją do zatrzymania i oskarżenia o zbrodnię.

To prawda, że za sprawą zmęczonych oczu, krótkich i niedbale zaczesanych włosów koloru szarego piasku, które podkreślały ziemistą barwę jej skóry, wyglądała najzwyczajniej źle. Była do tego bardzo szczupła, niemal wychudzona. Przedstawiała typowy obraz kobiety z nizin społecznych, mówiąc wprost, z biedy. Myśląc o

dzieciach, odpuściła sobie fryzjera i wszelkie dobroci, o jakich nigdy nie zapominają paniusie z miasta. Mimo to uśmiechała się, stała z lekko przechyloną na bok głową, obejmując z radością najstarsze ze swoich dzieci. Ten prawdziwie szczerzy uśmiech i dłonie trzymane z tkliwością na kurtce Leona nie zdradzały niczego, co mogłoby zwiastować nadciągającą tragedię.

Obok Leona, wysunięta o pół kroku, stała Ninka. Ubrana w dżinsowe ogrodniczki sięgające kolan, z jedną ręką w kieszeni, drugą schowaną za plecami, jakby szukała dotykem dłoni matki. Włosy miała ciemniejsze, skręcone w mocne loki, nad którymi musiała pracować, zawijając pasma na wałki. W przeciwieństwie do matki, jej zależało na tym, by na rodzinnej fotografii wypaść jak najlepiej w efektownej fryzurze. Twarz Niny nie wyrażała niczego, była pozbawiona zarówno uśmiechu, jak i jakiegokolwiek innego grymasu. Patrzyła w aparat śmiało i czujnie, jej oczy wpatrywały się w migawkę ze swobodą dorosłego człowieka. Za Ninką stała Maria, już wtedy nosiła dredy, z tym że dłuższe, niemal sięgające pasa. Trzymała nad głowami obojga rodzeństwa palce ułożone w literę V i udające rogi.

Różnili się od siebie kształtem ust i kolorem włosów, jednak byli podobni do matki w jednym szczególe. Ich oczy, niezależnie od tego, czy spojrzenia były wesołe czy poważne, były jednakowo okrągłe i czarne, ozdobione ciemną tasiemką prostych i gęstych brwi.

– Ile macie lat na tym zdjęciu? – Julia odłożyła wreszcie fotografię.

– Zrobiłam je latem, pół roku przed śmiercią Leona. Leon miał wtedy dziewiętnaście, ja siedemnaście. Ninka dziesięć.

– Wygląda na więcej.

– Może dlatego, że taka poważna. Dzień wcześniej doszło między nią a Leonem do spięcia.

– O co?

– O jakąś głupotę. Nie wiem, nie pamiętam... Zaczęli ze sobą rozmawiać dopiero po tygodniu, gdy już zapomnieli, o co im poszło – wyjaśniła sytuację Maria. – Ninka lubi zamykać się w sobie, to u niej normalne. Właśnie wtedy ma taki dziwny wyraz twarzy. Teraz nie uśmiecha się już pewnie wcale.

Dziewczyna sięgnęła do torby. Wyjęła z niej kopertę i położyła na stole tuż obok szklanki z niedopitą herbatą.

– Dwa trzysta – powiedziała, przesuwając kopertę w stronę Julii. – Sprzedałam naszą pralkę i kilka innych gratów. Poszło też kilka starych pierścionków matki.

Szmelc, ale i tak ich nie nosiła. Wiem, że to mało, ale na razie więcej nie mam.

– No a ojciec Ninki? – spytała Julia, podnosząc wzrok znad koperty.

– Nie wiem, kim jest, a nawet gdybym wiedziała, nie wzięłabym od niego złamanego grosza.

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego nie zabrał jej do siebie? Przecież na pewno wie, co się stało.

Maria przeżuła w ustach coś, co nie istniało.

– Miałby się przejąć Niną akurat teraz, po tylu latach, i wziąć sobie kłopot na głowę? Poza tym Nina go nie zna. Matka powiedziała, że zrzekł się praw do dziecka praktycznie zaraz po jego narodzinach. Nie pokazał się u nas ani razu. Co jakiś czas przysyłał pieniądze, ale tylko dlatego, że musiał. Tego akurat zrzec się nie mógł. Starczało na szkolną stołówkę i parafialny teatrzyk, w którym Ninka lubiła występować. Nawet takie rzeczy nie są za darmo. I to właściwie wszystko. Tyle, co kot napłakał...

– Kolej na ojca Leona. Co z nim?

Dziewczyna poruszyła łopatkami, jakby chciała je rozprostować.

– Kalka. To samo. Gnojek i tyle. Matka nie potrafiła dobrać nam ojców. Odszedł od rodziny zaraz po tym, jak urodził się Leon.

– Nie utrzymywał kontaktów z synem?

– Owszem. Ale odezwał się dopiero po kilku latach. Nawet wspaniałomyślnie zabrał go do siebie, żeby, jak to się ładnie mówi, zacieśnić rodzinne więzy. Leon mieszkał u niego przez jakiś czas, ale i tak przyjeżdżał do nas, zwłaszcza latem. Dom stoi w ogrodzie, więc miejsca jest dużo, a on lubił spać w letnie noce w tej drewnianej komórce, w której potem, w której rok temu...

– W której go znaleziono?

Maria skinęła głową.

– Kiedy kończyło się lato, wracał na stałe do ojca, jego nowej żony i ich dziecka. Ta sytuacja trwała latami. Ale wiosną dwa tysiące siedemnastego roku żona ojca znowu zaszła w ciążę. Kolejne dziecko w drodze, inna rzeczywistość. Trzeba było zrobić eksmisję i usunąć kogoś z mieszkania, żeby wstawić wózek z następnym bachorem. Wiadomo, na kogo padło. Jak się o tym dowiedziałam, myślałam, że mi pęknie serce. Wie pani, kiedy się go pozbył? Drugiego czerwca. Odczekał, żeby nie zrobić Leonowi przykrości w Dzień Dziecka, ale zaraz potem wystawił go za drzwi. Taki z niego słodki tatuś.

Jakby Julia słyszała samą siebie sprzed lat. Odejście ojca do kogoś, z kim miał tworzyć inną rodzinę, było jak uderzenie w twarz. Miała dwanaście lat, kiedy rozegrała się scena pomiędzy matką a oddalającymi się plecami mężczyzny, który miał być przy nich obu na zawsze. Nawet się nie obejrzał. Więc owszem, rozumiała gorycz Marii. Nawet bardziej, niż się jej wydawało.

– No właśnie. – Maria westchnęła głęboko na wspomnienie tamtych chwil. – Leon spakował walizkę i sprowadził się ze wszystkim do nas. Matka oddała mu swoją sypialnię, sama przeniosła się na dół, do salonu. Tak naprawdę żaden to salon, tylko zwykły pokój z wersalką i telewizorem. Leon powiedział, że nie będzie spał na parterze, że pokój jest przechodni, a on nie chce mieszkać jak na dworcu, więc tak to wyszło... U ojca nie miał wygód, ale pokój bez zamykanych drzwi to już było dla niego zbyt wiele. Następnego dnia zanieśliśmy resztę rzeczy matki na dół.

– Zrobiła to z chęcią czy pod przymusem?

– Nie rozumiem.

– Czy często mu ustępowała?

– Właściwie zawsze. Ale Leon dostał pracę i zaczął dokładać się matce do życia, więc...

– Kupił jej uległość.

– Może to pani nazwać, jak chce. Matka nie narzekała.

– Mów dalej. – Julia kiwnęła głową, widząc, że postawione przez nią pytanie nie spodobało się Marii.

– Zaraz... chyba nie sugeruje pani, że...

– Ja niczego nie sugeruję, po prostu pytam. Jeśli nie chcesz być ze mną szczerą, w każdej chwili możemy przerwać tę rozmowę. Przypominam, że to ty do mnie zadzwoniłaś z prośbą o pomoc, Mario.

Widziała, że dziewczyna się waha. Musiała jednak zaryzykować, by wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Nie obchodziło jej, czy są dla dziewczyny wygodne, czy nie.

– Wróćmy do relacji Leona z ojcem. – Julia kontynuowała wątek. – Czy po tym, jak pozbył się syna z domu, utrzymywał z nim kontakt?

– Szumnie powiedziane – parsknęła Maria. – Ale tak, przychodził do nas na Dereniową. Choć nie wiem właściwie po co, bo Leona najczęściej akurat nie było wtedy w domu. Jego ojciec potrafił wpaść niezapowiedziany w środku dnia, kiedy wracaliśmy z Niną ze szkoły. Matka zwykle była o tej porze u ludzi, przy pilnowaniu

dzieci, a Leon w swojej pracy. Tankował samochody i mył szyby kierowcom na stacji Orlenu. Tam zawsze jest praca, więc załapał się bez większego problemu.

– Dlaczego ojciec nie odwiedzał syna na stacji, tylko u was?

– To dziwny człowiek, może lubił sobie popatrzeć, jak jemy suchą kaszę na obiad.

– Powiedziałaś, że trafiał w domu na ciebie i Ninę.

– Tak, ale Ninka nie chciała z nim rozmawiać. Gdy tylko przychodził, uciekała do siebie. Co jakiś czas wyglądała przez poręcz z górnego piętra, ale nigdy nie schodziła na dół, nie wtedy, kiedy on tam był.

– Bała się go?

– Drażnił ją sposób, w jaki się nam przyglądał, a zwłaszcza mnie. I uśmiechał się też tak jakoś... Nie lubiła go, to wiem na pewno. Ale czy się bała? Nigdy jej o to nie pytałam. Poza tym dzieci bywają dziwne i lubią wymyślać sobie niestworzone historie. Może ona też sobie coś wymyśliła.

– Był na pogrzebie Leona?

Maria odwróciła głowę w stronę okna. Przez długą chwilę wpatrywała się w ludzi, którzy mijali w pośpiechu bar, biegnąc do biur. Jedni ukryci w kołnierzach swoich płaszczy, inni rozmawiając przez przyciśnięte do ucha telefony komórkowe.

– Od samego początku stanowił dla niego problem – mruknęła. – Tak, był. Pokazał się na cmentarzu.

– Co to za cmentarz? – spytała Julia. – Gdzie pochowaliście Leona?

– Przy alei Krakowskiej. Matka kupiła tam niedawno stary grób. Nikt wtedy nie przypuszczał, że wkrótce się przyda.

– Dlaczego nie u siebie, w Michałowicach?

– To długa historia i zupełnie nieciekawa.

– Dobrze więc, wracając do pogrzebu...

– Ojciec Leona pojawił się na nim. Kupił nawet wiązanekę ze wstążką „Kochanemu synowi, ojciec”. Gdyby to nie było takie tragiczne, byłoby nawet śmieszne.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie, nie byłam w stanie. Co właściwie miałabym mu powiedzieć? Że gdyby nie wystawił walizki Leona za drzwi, mój brat nadal by żył? Bo przecież od tego wszystko się zaczęło, od chwili, kiedy Leon wprowadził się do nas. Poza tym ojciec Leona szybko ulotnił się z cmentarza, nie poczekał do końca pogrzebu. Oparł przyniesiony wieniec o sąsiedni pomnik i zwiął. Więc chyba jasne, że nie chciał ze mną gadać.

Widząc, że Julia znów otwiera usta, Maria pochyliła się nad stołem i spojrzała chłodno w jej oczy.

– Jeśli kolejne pytanie ma dotyczyć mojego starego, niech je sobie pani daruje. Nigdy go nie widziałam. To pan nikt, wielki nieobecny. – Maria zaszurała po podłodze nogami w wysokich butach. – Pewnie teraz myśli pani, że to, co pisały gazety, porównując nas do społecznej patologii, to żadna przesada?

Julia sięgnęła po płaszcz i nie wstając z krzesła, zarzuciła go sobie na ramiona.

– Myślę, że wasza matka narobiła sobie w życiu cholernie dużo problemów.

Koperta z plikiem banknotów wciąż leżała na stole.

– Mam do sprzedania jeszcze laptopa... – Na widok zbierającej się do wyjścia Julii oczy dziewczyny powiększyły się. – Jest stary, ale jeszcze na chodzie.

Julia podniosła się i wsunęła rękę w rękawy płaszcza.

– Nie trzeba.

– A więc nic pani nie zrobi?

Zacisnęła usta i wyćwiczonym ruchem ponownie naciągnęła na dłonie długie rękawy swetra. Oparła łokcie o blat stołu i spuściła głowę. Nie zwracała uwagi na otwierające się i trzaskające drzwi Prasowego ani na pojedyncze pokrzykiwania ludzi ustawiających się do kasy po poranną kawę. Julii wydało się, że ciało tej i tak drobnej dziewczyny skurczyło się i skarłowaciało.

– Studiujesz?

Ręce uwięzione w rękawach swetra powoli się wysunęły.

– Na SGGW. To dopiero pierwszy semestr.

– Nie wiem, jak ty, ale ja bez laptopa nie przeżyłabym na studiach jednego dnia. Poza tym twoja matka musiała na niego oszczędzać pewnie z rok i nie chciałyby, żebyś się go pozbyła, płacąc komuś za trzy tygodnie roboty.

Maria popatrzyła na stojącą przed nią kobietę osłupiałym wzrokiem.

– Czyli że co? – wykrztusiła, nieudolnie powstrzymując uśmiech, który odruchowo cisnął się jej na usta. – Weźmie pani tę sprawę?

Julia włożyła zdjęcie rodziny Rawskich do kieszeni płaszcza.

– Pogrzebię, gdzie trzeba, ale jak już powiedziałam, nie mogę ci niczego obiecać.

Maria poderwała się i stanęła wyprostowana jak struna naprzeciwko Julii. Zgarnęła ze stołu szarą kopertę z pieniędzmi i wyciągnęła przed siebie dłoń.

– Nie teraz. – Julia pokręciła głową. – Zapłacisz mi całość, jeśli się uda. Jeżeli nie, wezmę połowę.

– Za stracony czas?

– Posłuchaj mnie, Mario. To, co dzieje się teraz z twoją matką, być może nie jest dziełem żadnego przypadku ani błędu w śledztwie. Jeśli naprawdę zabiła...

– Pójdzie siedzieć, a ja pogodzę się z prawdą – dokończyła Maria z kamienną twarzą.

– Musisz być na to przygotowana. To może boleć.

– Wiem, czym jest ból – odpowiedziała z goryczą w głosie. – Chcę wiedzieć, kto i dlaczego zamordował mojego brata.

Chwyliła puste szklanki i talerzyk z okruchami słodkiej bułki i pobiegła do stojaka na brudne naczynia. Julia patrzyła na jej plecy kołyszące się w rytm stawianych kroków i na dziesiątki unoszących się w takt ruchów dziewczyny dredów.

– To od czego zaczynamy? – Maria wróciła do stolika z błyszczącymi oczami.

Ruszyły w kierunku drzwi, Julia postawiła kołnierz płaszcza i mocniej zawiązała apaszkę pod szyją.

– Od umowy. Podesłę ci ją do podpisania, taka procedura. Potem zgłoszę się do prokuratury z zawiadomieniem o wszczęciu prywatnego dochodzenia. No a potem... potem będę chciała informacji. Podasz mi nazwiska, adresy i wszystkie kontakty, o które cię poproszę. Listę pytań dostaniesz ode mnie mailem jeszcze dziś. Potem spotkamy się ponownie. Opowiesz mi ze szczegółami, jak wyglądała noc, w której zginął Leon.

– Powiem wszystko, co wiem.

Kiedy ucichł ciężki odgłos kroków dziewczyny w martensach, Julia rozpięła zamek torby i wyjęła komórkę. Odszukała nocnego esemesa od Adama Górnego. Nie mogła czekać z ich spotkaniem do piątku, musiała zobaczyć go jak najszybciej. Odpisała krótko: „Dziś w południe w Green Caffè Nero przy Grzybowskiej”.

ROZDZIAŁ III

Pociąg relacji Kraków–Warszawa zatrzymał się na Dworcu Centralnym dwie po dziesiątej. Wsiadła z niego trzydziestopięcioletnia kobieta ubrana w krzykliwie czerwony płaszcz ściśnięty w talii paskiem i wykończony pod szyją farbowanym na bordowo kołnierzem z lisa. Poprawiła zsuwający się na czoło kapelusz z małym rondem, spod którego wypływały blond włosy sięgające ramion, i odgarnęła je od twarzy ostrożnym ruchem. Lekkie fale co rusz wplątywały się w wiszące przy uszach diamentowe kolczyki z białego złota – pamiątkę nabytą u Cartiera podczas jej ostatniej wizyty w Barcelonie. Gdy uznała, że kwestię włosów ma załatwioną, pociągnęła za sobą małą weekendową walizkę na kółkach z przyczepioną lotniczą etykietą i ruszyła w kierunku ruchomych schodów prowadzących do wyjścia z peronu.

Zanim stanęła na pierwszym stopniu, zatrzymała się jeszcze na chwilę przy betonowym koszu na śmieci. Wyjęła z kieszeni płaszcza chusteczkę z odcisniętym kilka minut temu śladem szminki i rzuciła ją na dno kubła. Z drugiej kieszeni wyjęła puderniczkę. Spojrzała dyskretnie w lusterko, sprawdzając, czy usta pociągnięte pomadką nie rozmazały się. Nie zmieniły kształtu, oblizała je więc tylko koniuszkiem języka, aby nabrały lekkiej wilgoci.

Kobieta wjechała na górny poziom dworca i przystanęła przy kiosku z gazetami. Wysupłała z portfela monetę i położyła ją przed młodym sprzedawcą w zamian za miętowe drażetki Orbit. Kiedy odświeżyła oddech, spojrzała na zegarek. O tej godzinie wszystkie sklepy w sąsiadującym z dworcem centrum handlowym powinny być już otwarte. Upewniła się, które przejście podziemne doprowadzi ją do Żółtych Tarasów, po czym ruszyła tunelem w ich kierunku. Lekka, niemal pusta walizka, załadowana jedynie kilkoma kosmetykami i jedną zmianą bielizny, potoczyła się w ślad za nią.

Adam Górny wstał od stolika i pomógł Julii zdjąć płaszcz, po czym odsunął krzesło i eleganckim ruchem wskazał jej miejsce pod ścianą.

– Nie mogłaś wytrzymać do piątku?

– Cztery dni to wieczność. Stęskniłam się.

Wykonał zachęcający ruch ręką.

– Okej, mów dalej. Podoba mi się.

– Każdy dzień bez ciebie to męka – dopowiedziała bez zastanowienia. – I bezpowrotnie stracone chwile. Jeszcze?

– Wystarczy, ale lubię, jak kłamiesz w słusznej sprawie. – Górny wyjaśniał.

Lubiła na niego patrzeć. Dostał dobry zestaw genów, które czyniły go nie tylko przystojniakiem, lecz także człowiekiem z natury szczęśliwym. W drobnych zmarszczkach, jakie malowały się przy jego oczach, widać było, że są wynikiem, jak to nazywała Julia, wariackiego szczęścia. Zawsze zastanawiało ją, skąd biorą się tacy ludzie. Kiedy się z nią witał, nie sposób było nie zauważyć, że twarz mu pojaśniała, jakby właśnie dowiedział się, że wygrał milion.

– Wciąż chodzisz w cywilkach? – Julia przytuliła się do jego miękkiej bordowej bluzy z napisem „Abercrombie” i pociągnęła za zamek, odsłaniając śnieżnobiały podkoszulek. Zawsze uważała, że wygląda lepiej, kiedy ma pod szyją coś jasnego.

– Nie będę siedział za biurkiem w mundurze jak jakiś idiota. – Górny okraszył twarz uśmiechem. – Poza tym, jak to mówią u nas w zakładzie, w bordo mi do twarzy. Szkoda psuć efekt uniformem.

Julia obrzuciła Górnego uważniejszym spojrzeniem i wykrzywiła usta w udawanym rozczarowaniu.

– Nie wierz ludziom bez gustu, zwłaszcza tym z zakładu. Bordo podbija czerwień z popękanych naczynek przy twoim nosie.

– Jędza. – Górny odwzajemnił uścisk.

– Mężczyźni kochają jędze.

– No, ja na pewno – wyrwało mu się, co zaraz przykrył głośnym chrząknięciem.

Poklepała go dobrotliwie po łopatkach i poluzowała uścisk.

Ich stolik znajdował się w rogu sali, z dala od okna wychodzącego na ruchliwą ulicę ze szklanymi ścianami biurowców. Nie chciała kolejnej kawy, wybrała wodę z cytryną. Ktoś kupował kanapki, ktoś inny dopiero co dostarczone ciasto z karmelem. Ekspres do parzenia kawy wypuszczał co chwila kolejne dawki aromatu kawy zmieszanego z zapachem spienionego ciepłego mleka.

– Mów, o co chodzi, bo nie chce mi się zgadywać. – Adam przygładził włosy pociągnięte grubą warstwą żelu. Nie wyglądało to pretensjonalnie, chociaż Julia dopatrywała się w jego stylu trochę zapożyczanego brytyjskiego looku. – Nie wyciągnęłaś mnie przecież z biurka z tęsknoty. Byłoby miło, ale zbyt dobrze cię znam, żeby w to uwierzyć.

– Czyli że ściema nie zadziałała?

– Ani trochę. Jeśli chodzi o nasz związek, to uczucia działają tylko w jedną stronę – dodał z wyrzutem.

Nazwał to związkiem? Dwie wspólne noce, tyle mieli za sobą. Pierwsza zdarzyła się przypadkiem i pod wpływem chwili. Było luźno i instynktownie. Najpierw dwa bilety na występ irlandzkiego zespołu stepującego, a potem przypadkowe wejście do klubu z karaoke. Górny próbował swoich sił z *She's Like the Wind*, znacząco i z przesłaniem. Zrozumiała, ale nie skomentowała, kiedy wrócił do stolika z nadzieją w oczach. Wypił kilka shotów jeden po drugim, ona zadowolona się karmelowym carmi. Z klubu wyszli po drugiej w nocy. Suszyło ich, a do mieszkania Adama przy Kredytowej było blisko. Miała być zwykła herbata w kuchni, koniec końców wylądowali w sypialni. Było gorąco i namiętne. Po tym jak zerwała z Maciejewskim, nastał okres posuchy w seksie, więc postanowiła wreszcie zaszaleć. Zasnęła wyczerpana i bez poczucia winy. Obudziła się otulona jego ramionami, a właściwie jednym ramieniem, z wytatuowaną różą wiatrów.

– Po co ci to? – spytała, kiedy otworzyła oczy.

– Żeby wiedzieć, dokąd iść – odparł i pocałował ją w zmierzwione na czubku głowy włosy.

– Mało kto to wie – westchnęła i wyślizgnęła się spod jego ręki. – I co, przydaje się?

– Skoro przywiało mnie w twoje ramiona, to chyba tak.

– Aha – skwitowała.

Obiecała sobie, że to był pierwszy i ostatni raz. Kolejny przyszedł trzy miesiące później. Nie było żadnego koncertu ani klubu. Po prostu zapukała do jego drzwi i rozpięła bluzkę. Jeśli miała robić to z kimś, komu ufała i kto by jej nie skrzywdził, adres mógł być tylko jeden. Znów było dobrze, nawet lepiej niż wtedy, po irlandzkim stepowaniu. Chciał, żeby została na kolejny dzień. Zadzwoiła do matki i poprosiła, żeby zajęła się Sylwią. Skłamała, że nagle wypadła ważna robota pod miastem i musi zostać na miejscu do niedzieli. Chodziła po jego mieszkaniu w jego koszuli i

skarpetach. Potem znów wylądowali w łóżku. Nie myślała o nim jak o kimś na stałe. Potrzebowała jednak, by był przy niej i co jakiś czas mówił w zrozumiałym dla niej języku, czasem rozśmieszył. Jeśli chcesz zdobyć kobietę, to ją rozśmiesz, słyszała to tyle razy i w tym wypadku to się sprawdzało. Zdziwić też potrafił. Kiedy zobaczyła jego kolekcję modeli okrętów wojennych, zdębiała. W sypialni, naprzeciwko szerokiego łóżka, na półkach stały ich dziesiątki. Nawodne i podwodne, pomalowane na biało, szaro i w cętki moro. Z flagami USA, Polski i Japonii.

– Jesteś wariat – powiedziała, zadzierając głowę. – Serio, świrus.

Stanął za jej plecami i objaśniał, że to Bismarck, a to USS Gerald R. Ford, najdroższy okręt świata. Oczy mu płonęły, kiedy wskazywał palcem, gdzie mieści się moduł ogniów paliwowych, a gdzie wyrzutnia torped. Był w swoim świecie ręcznie sklejanymi modelami pachnącymi farbami i klejem. Największe dziwo stało w salonie za kanapą. Półtorametrowe akwarium z zatopionym w wodzie 941 Akał/Tajfunem.

– Rosyjskie monstrum w miniaturze. Jakby postawiło się oryginał na dziobie, byłby taki jak Pałac Kultury – westchnął z rozkoszą. – Więszego nie ma. Cudo.

Gdy to powiedział, zmienił kolor oświetlających statek reflektorów z ciepłego żółtego na chłodny biały.

Był miły, wręcz słodki, i do tego sfiksowany. Tak go określała. Nic poza tym, przynajmniej na razie. Jeśli poczuje coś więcej, sama mu o tym powie.

– Zatem nie z tęsknoty? – upewnił się, wypatrując z nadzieją jakiegokolwiek sygnału mówiącego, że jest inaczej. Była myślami gdzie indziej, nie mógł mieć pojęcia, że nawet dość blisko, w jego mieszkaniu z szerokim łóżkiem, zaciągniętymi zasłonami, które odgradzały ich od świata, i kolekcją sklejanymi modelami okrętów.

– Co mówisz?

– Nic, nieważne – odparł, widząc jej rozkojarzone spojrzenie. – Mam mało czasu, więc mów, co cię przygnało. Muszę zaraz wracać do roboty, mam raport do skończenia na wczoraj.

Julia obróciła się przez ramię dla pewności, że mogą rozmawiać swobodnie.

– Chodzi o sprawę Rawskiej.

Górny uniósł brwi.

– Rawskiej?

– Kobiety z Michałowic. Oskarżono ją o zabicie syna w Nowy Rok. Głośna sprawa z zeszłej zimy.

Górny wypuścił powietrze z płuc.

– Wiem, kim jest Rawska.

– Sprawę prowadził Jarecki pod skrzydłami prokurator Sierackiej.

– Zgadza się. Ty odprawiałaś wtedy pokutę.

– Za grzechy, których nie popełniłam.

– Nigdy w to nie wątpiłem. Ale koniec końców to on wygrał i poprowadził sprawę roku. Wypłynął na śmierci tego dzieciaka, do tej pory trzyma na ścianie nad biurkiem artykuł o tym zabójstwie.

– Psychol. Powinien wytapetować cały komisariat swoim własnym zdjęciem w różnych pozach. To go najbardziej podnieca.

Julia odgarnęła włosy z czoła. Zbyt gwałtownie, by Górny miał uznać, że był to zwykły odruch.

– Opuść wreszcie. Upadek z tronu na bruk na pewno cię zabolął, ale po co w tym tkwić.

Zaśmiała się nerwowo.

– Już dawno się podniosłam. Poza tym nie jestem dzieckiem, żeby płakać z powodu guza.

– Po co więc pytasz o sprawę Rawskiej?

Julia wyciągnęła przed siebie ręce i położyła je na stole. Gdy zmeła papierową serwetkę, odrzuciła ją na bok i zabrała się do kręcenia młynka palcami.

– Potrzebuję informacji – powiedziała przyszpilona niecierpliwym wzrokiem Górnego. – Chcę, żebyś pomógł mi je zdobyć – dodała.

W pierwszym odruchu chciał się roześmiać, ale zamiast tego zatrzymał rozkręczone palce Julii, nakrywając je swoimi dłońmi, i przycisnął je do blatu stolika.

– O czym ty mówisz? – odezwał się, zanim zdążyła uwolnić dłonie.

– Muszę zajrzeć do tego, co jest w policyjnym archiwum.

Teraz zaśmiała się naprawdę, jakby usłyszał dowcip roku.

– Oszalałaś.

Też się zaśmiała.

– Pełna zgoda. Powiem nawet więcej, zamierzam udowodnić, że Jarecki spieprzył sprawę i posadził Rawską bezpodstawnie.

– A jednak coś cię opętało...

– Znowu masz rację. Posłuchaj mnie, Adam. Wtedy sprawa tej kobiety mnie ominęła, ale teraz wróciła i tym razem nie zamierzam odpuścić.

– Jest coś, o czym nie wiem?

– Córka Rawskiej chce oczyścić matkę.

– I przyszła z tym do ciebie?

– Możesz nazwać to przeznaczeniem.

– Chyba raczej ślepym przypadkiem.

– W życiu nie ma przypadków. Nieważne, chcę zagrać przeciwko Jareckiemu.

– Gra już się zakończyła, Julia. Rawska od roku nocuje w areszcie, niedługo mają ją postawić przed sądem.

– Dokładnie za trzy tygodnie. Jeśli udowodnią jej winę, pójdzie siedzieć na dwadzieścia pięć lat.

– Nie będzie żadnego „jeśli”. Jarecki ma na nią kwity, i to mocne. Nie rozumiem, po co chcesz się babrać w nie swoich brudach.

– Może lubię brudy, zwłaszcza takie, które trudno się spierają. Być może ta kobieta jest niewinna.

Górny pochylił się w jej kierunku tak nisko, że niemal dotknął tułowiem blatu stołu.

– Powtórzę to jeszcze raz, bo chyba nie zrozumiałaś – powiedział, rozwlekając słowa. – Prokuratura ma dowody i zeznanie Rawskiej, dlatego Jarecki załatwi cię przy pierwszym starciu.

– Piłka nadal jest w grze.

– Ale nie po twojej części boiska.

– A co, jeśli Jarecki nagiał prawdę? – spytała Julia.

– To kawał skurwysyna, ale tak daleko by się nie posunął. Nie spreparowałby dowodów.

– Okej, w takim razie chcę tylko ustalić, czy nie doszło do pomyłki.

– Rawska zabiła syna z zimną krwią. To była jej największa pomyłka. Jeśli chcesz w swojej szlachetności zbawiać świat, proponuję zasadzić kilka drzew i wypuścić lisy z klatek. Ale Rawską sobie odpuść.

Ta rozmowa nie miała już sensu. Podniosła się z krzesła i szurnęła nim tak, że odbiło się od stolika.

– Co robisz?

– Wygląda na to, że skończyliśmy – odpowiedziała chłodno. – Wracaj za swoje biurko przekładać papierki.

Górny przytrzymał ją za dłoń zaciśniętą w pięść.

– Poczekaj. Siadaj.

Długo nie puszczał jej ręki. Odczekał, aż uspokoi się na tyle, by ponownie usiąść naprzeciw niego.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał, gdy umościła się po drugiej stronie stolika.

– Powiedziałaś, potrzebuję kwitów.

– Są w prokuraturze, wiesz przecież.

– Nie o nich mówię, oficjalne akta mnie nie interesują. Chodzi mi o to, co jest na Nowolipkach. W policyjnej bazie znajdziesz kopie zdjęć z miejsca zbrodni. Wystarczą mi skany.

– Chryste, Krawiec!

– Poza tym Jarecki trzyma w plikach wszystkie materiały ze swoich dochodzeń, nigdy ich nie usuwa.

– Mam się włamać do jego plików? Może od razu nakopię sobie sam w dupę, zanim on to zrobi. Jest draniem, ale nie idiotą. Na pewno nie aż takim, żeby nie kapnął się, że ktoś grzebał w jego dysku.

– Powiesz mu, że szukałeś czegoś dla Sierackiej.

– Czyli mam wytrzeć sobie gębę prokuraturą. Świetny pomysł.

– Musi ci wystarczyć, innego nie mam. Jeszcze dziś wyślę do niej zawiadomienie, że włączam się do sprawy.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Prawo jest po mojej stronie, nie działałam na czarno.

– W takim razie wystarczy, żebyś dołączyła też wniosek o udostępnienie akt. Sieracka nie może nie dopuścić cię do kartoteki Rawskiej.

Julia pokręciła głową.

– Przejechałam się już raz na manipulacji dowodami przez Jareckiego i więcej nie zamierzam. Nie, nie zakładam, że Sieracka działa w złej wierze, ale to, co trafiło do niej na biurko, może mieć się nijak do tego, co trzyma w swoim komputerze nasz stary przyjaciel. To mogą być dwie wersje jednej prawdy.

Nie mógł się nie zgodzić. Manipulacje Jareckiego były do tej pory drobnymi, mało groźnymi szwindlami, z których wykpiwał się w mistrzowskim stylu.

Górny miękł powoli, ale konsekwentnie.

– Pchasz palce między drzwi. Ale okej, powiedzmy, że to zrobię. Nadstawię łba dla twojego pomysłu, którego nie rozumiem. Tylko co ja z tego będę miał?

– Dozgonną wdzięczność. Pasuje?

– Mało.

– W takim razie podaj swój cennik. Wolę wiedzieć od razu, nie chcę potem niespodzianek.

– Wspólny weekend? – spytał od razu. – Poprzedni nam się udał. Chcę powtórki.

Przeczesał palcami włosy i dorzucił błysk w oku. Szarym, jak napis na jego bluzie.

– Dasz Jareckiemu jeździć po sobie za dwa dni spędzone ze mną w łóżku? Jesteś aż taki tani?

– Powiedzmy, że specjalnie dla ciebie włączę swoją taryfę ulgową.

– Mhm... – Julia pokiwała głową. – Czuję się zaszczycona.

– Na twoim miejscu bym po prostu podziękował.

– I jeśli się zgodzę, dostanę kwity na Rawską?

– Dostaniesz tyle, ile będę mógł zorganizować.

– Chcę mieć wszystko.

Górny wbił w nią jednoznaczne spojrzenie.

– To zupełnie tak jak ja. Chcę wiedzieć, co dalej będzie z nami. Liczę na naprawdę dużo, wiesz przecież.

Słodko, a właściwie słodko-gorzko. Gdyby teraz na krześle Adama siedział zamiast niego ktoś inny, z kim rozstała się pewnej grudniowej nocy w restauracji, zgodziłaby się bez wahania. Kiedy odszedł, pozostawiając za sobą ślady na śniegu, pękła w środku.

– Więc jak? – naciskał Górny. – Mamy deal?

Odwlekała odpowiedź, ale nawet gdyby mieli siedzieć tu do jutra, w niczym nie zmieniłoby to jej sytuacji. Mogła albo nurzać się we wspomnieniach, albo iść dalej i zapomnieć o tym, co było między nią a Maciejewskim. Coraz bardziej nienawidziła tych wspomnień, zaczynały ją boleć jak źle złożona kość po otwartym złamaniu.

– Jesteś tu? – Adam wyciągnął rękę w jej stronę, by położyć na jego dłoni swoją. Po chwili poruszył niecierpliwie palcami.

– Cały czas. Myślę tylko nad tym wszystkim. Nad sprawą Rawskiej – dodała kłamliwie.

Miała przed sobą porządnego mężczyznę. Silnego i wrażliwego zarazem. Faceta, na którym do tej pory nie zawiodła się ani razu. Odkąd przyciągnęła ze sobą do Warszawy swoje walizki, życie i Sylwię, stał przy niej jak cień. Czasami odnosiła wrażenie, że pod tym względem Górny to kalka Artura. Może nie we wszystkim, ale niemal zbliżał się do oryginału. Był jej kolejną szansą od losu, być może ostatnią. Nie

miała zamiaru rzucać się od razu na głęboką wodę, ale zawsze mogła na początek popływać przy brzegu, gdzie bezpiecznie i skąd zawsze można uciec na stabilny ląd. Na dłuższy rejs na środek oceanu wciąż nie miała ochoty, ale wspólny krótki wyjazd? W końcu to tylko dwa dni i dwie noce. Czas, który szybko zleci, bez żadnych zobowiązań i zakłęb.

– Wyjedziemy, ale po procesie – odpowiedziała w końcu.

– Może być. W takim razie zobaczę, co da się zrobić z tymi kopiami. – Górny błysnął zębami. Aż dwa dni i dwie noce. Dużo czasu. Tylko we dwoje w rozgrzanej pościeli, zamknięci gdzieś w wynajętym pokoju na końcu świata.

– Zrobiłbyś to, nawet gdybym odmówiła?

Uśmiechnął się tajemniczo i podniósł z krzesła, dając sygnał, że na niego już pora.

Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zrobiłbyś. Dobry z ciebie człowiek.

Znów przygarnęła ją do siebie. Poczwała ten sam zapach wody po goleniu co zawsze. Intensywny Fahrenheit owiał jej policzki. Od rozstania z Maciejewskim, który kiedyś wydawał się mężczyzną jej życia, minęły trzy lata. Długie i koszmarne samotne. Ilekroć wtulała się w ramiona Adama, pamięć tamtych objęć wracała i przyprawiała ją o szybsze bicie serca, absurdalnie i wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Do Fahrenheita powinna już przywyknąć. A jednak za każdym razem robiła to samo: ocierała twarz, na której gromadziły się pachnące mikrodrobinki, w ramię Górnego, jakby chciała zetrzeć ten ciężki zapach ze swojej skóry. Zwykle robiła to na tyle dyskretnie, że tego nie zauważał, jednak teraz było inaczej. Potarła policzkiem zbyt mocno, jak gdyby ścierała z niego brud. Wypadło niezręcznie, szybko więc uniosła kąciki ust, by Górny mógł uwierzyć, że to tylko niezdamny odruch i że jest jej dobrze.

– Wszystko gra? – spytał dla pewności.

– Jasne.

Nie była pewna, czy jej uwierzył. Pchnął drzwi kawiarni i puścił Julię przodem.

– Odezwe się, jak coś znajdę – powiedział i domknął za nimi drzwi. – To znaczy, jak uda mi się wejść do plików Jareckiego.

– Dla ciebie to betka. – Poklepała go po łopatkach, by uniknąć kolejnych przytulaneek na do widzenia. Górny potarł dłonie, jakby na ulicy panował mróz. – Przecież wiesz, gdzie szukać – dodała. – I nie bój się, nikogo nie będzie interesowało, że zaglądasz do archiwalnych danych. Sprawa Rawskiej znów jest odgrzewana,

wkrótce rusza proces, więc to normalne, że zainteresowany gлина chce sobie poczytać co nieco na ten temat. Z czystej ciekawości i dla...

– ...pogłębienia wiedzy? – dokończył Górny z kpiącą miną.

– Właśnie. A już na pewno nikomu nie przyjdzie na myśl, że robisz to dla mnie.

– Myślisz, że Sieracka nie przekaże Jareckiemu informacji o tym, że wbijasz się w jego dochodzenie? Że nie skojarzą faktów?

– Jarecki nie ma pojęcia o tym, że z tobą sypiam. Dlatego przez głowę mu nie przejdzie, że ktoś z Nowolipia może wnosić dla mnie dane. Przecież wiesz, że jestem dla niego parszywą czarną owcą skazaną na banicję. Zresztą, nie tylko on tak myśli – dodała, mając w pamięci żalosne pożegnanie, jakie jej zorganizowano, i wymuszony żal, że zamyka za sobą drzwi komisariatu. Zrzucili się na oprawione w ramki zdjęcie połowy zespołu, który wystąpił z minami, jakby byli wzięci z przymusowej łapanki. Ale podpisy „Powodzenia na nowej drodze” mazakiem złożyli. Kwiaty też dostała, bukiet z gerber przepasany papierową wstążką pogniecioną w artystycznym nieładzie. Padania sobie w ramiona nie było, zastąpiły je szybkie uściski dłoni. Wyrwała się zaraz po pożegnalnym ciastku, nie chciała zostawać tam ani minuty dłużej. – Musimy to rozegrać po swojemu – powiedziała, by umocnić w Górnym sens jego tajnej kolaboracji. – Nikt nie musi o niczym wiedzieć. Gdyby jednak ktoś zaczął węszyć, przerwiemy akcję.

– Znając ciebie, na krótko.

– Oczywiście. Do czasu, gdy wszystko się uspokoi.

– Nie ma dla ciebie świętości.

– Są – odpowiedziała bez zastanowienia. – Prawda jest święta. I sprawiedliwość.

Spojrzała na zegarek. Kilka minut temu skończyła się ważność biletu z parkometru. Pożegnała się z Górnym i pobiegła w stronę stojącej w małej zatoczce skody.

* * *

– Powiedz swojej matce, że tego nie popieram. – Emilia zakręciła się przy kuchence, na której stała patelnia ze świeżo wylanym ciastem naleśnikowym. – Może choć ty, jako córka, będziesz umiała przemówić jej do rozsądku, może choć ciebie posłucha.

Wyjęła z lodówki słodki serek i postawiła go na kuchennym stole tuż przed nosem Sylwii. Odchyliła wieczko i włożyła do środka łyżkę.

– Innego w domu nie ma, musisz zjeść ten. – Wskazała nosem waniliową maż,

niezbyt lubianą przez wnuczkę. – Twoja matka zawsze miała zwariowane pomysły, a rzucenie pracy to już w ogóle... – Zamachała w powietrzu rękami. – Porządni ludzie pracują na etacie, zamiast bawić się w podchody, jak jacyś harcerze. Rozumiesz?

Sylwia kiwnęła odruchowo głową znad otwartego opakowania z serkiem.

– Harcerstwo jest dla dzieci, ja tam wolę subkulturę. Punky albo emo, a najlepsi są goci. Kupisz mi czarne rajstopy z dziurami?

Smażący się naleśnik powoli nabierał złocistej barwy, Emilia poruszyła żywiołowo patelnię, by podpieczone ciasto oderwało się od teflonu.

– Ale ona woli eksperymenty – ciągnęła matka Julii, nie podejmując kwestii rajstopy. – Jestem bardzo ciekawa, jak to się wszystko skończy. Gdyby posłuchała mnie choć raz w życiu... ale nie, ona musi po swojemu. Sprzeda mieszkanie i wróci do mnie. Znów będziemy musiały cisnąć się tutaj we trzy.

– Mama sprzedaje mieszkanie? – Brwi Sylwii uniosły się wysoko.

– Do tego dojdzie. – Babcia wycelowała w głowę małej widelcem. – Bank zajmie mieszkanie, a komornik wyrzuci was na bruk. A potem... no cóż, wiadomo.

Pierwszy placek wylądował na talerzu. Sylwia rozsmarowała po nim grubą warstwę serka i rozejrzała się po kuchni za słoikiem z dżemem.

– Znowu to samo. – Emilia uchwyciła spojrzenie wnuczki i sięgnęła do lodówki. – Dżem do wszystkiego. Nie kładź za dużo, popsujesz zęby.

Wlała kolejną porcję ciasta na patelnię.

– Nic z tego, babciu. Mama nie sprzedaje mieszkania – powiedziała Sylwia, nie odrywając oczu od słoika z dżemem. – Dziś miała spotkać się z jakąś panią. Mówiła, że to klientka i że dostanie nową sprawę.

Emilia skrzyżowała ręce na obfitych piersiach.

– I dlatego znów po szkole trafiłaś do mnie? Biedne dziecko – westchnęła. – Już się zaczęło. Tyle razy mówiłam, że powinna pracować jak inne matki od ósmej do czwartej, ale ona wie lepiej. Chcesz jeszcze jednego?

Ochocze kiwnięcie głowy Sylwii umknęło jej uwadze. Wrzuciła przypalonego naleśnika na swój talerz i złożyła w trójkąt. Po chwili zniknął w całości w jej ustach.

– Żebyś chociaż ty wyszła na ludzi. – Emilia przełknęła głośno. – Musisz znaleźć solidny zawód i, przede wszystkim, męża. Wiesz o tym?

Szeroko otwarte oczy wnuczki wpatrywały się w rozemocjonowaną twarz Emilii.

– Mam jedenaście lat, babciu...

– Czas szybko płynie. Ani się obejrzysz, jak zostaniesz starą panną.

Sylwia zlizwała resztkę dżemu ze swojego talerza.

– Będę gotką i będę żyć w komunie, razem z Jagodą.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ta cała Jagoda znów namieszała ci w głowie. Wyjście za mąż to podstawa. Twoja matka wypuściła z rąk takiego mężczyznę! Gdybym to ja była na jej miejscu...

– Mama nikogo nie potrzebuje.

– Bzdura! Każdy kogoś potrzebuje, nawet ona. Wciąż uważa, że jest samowystarczalna, ale szybko przekona się, że samemu na świecie źle. Zwłaszcza w chorobie. Nikt nie wie tego lepiej niż ja. Ledwie wywinęłam się śmierci.

– Mama mówiła, że wtedy nic ci nie było. – Sylwia podniosła się ze stołka i sama stanęła przy palnikach. Pod czujnym okiem babci nabrała naleśnikowego ciasta na chochlę i rozlała je po patelni.

– O mało nie umarłam – powtórzyła Emilia i odsunęła od siebie pusty talerz. – Twoja matka swoim zwyczajem wszystko bagatelizuje. Wspomnisz moje słowa, gdy tylko oczy zamknę. A to może być w każdej chwili, młoda już nie jestem.

W przedpokoju rozległ się dzwonek telefonu. Emilia spojrzała ukradkiem na zegarek zaciśnięty na grubym nadgarstku i kołysząc biodrami, które w ciągu ostatnich miesięcy zaokrągliły się do półtora metra w obwodzie, pospiesznie ruszyła w kierunku aparatu.

– Halo? – odezwała się krótko, ale zdecydowanie innym tonem. Jej głos był słodki jak plaster miodu powleczony dodatkową warstwą karmelu. – To ty, kochany?... Halo... a, to ty... Nie, nie spodziewałam się kogoś innego... – Tembr głosu znów stał się chropowaty. – No tak... znowu to samo, zresztą Sylwia już mnie uprzedziła. Jak uważasz... wiesz, że dla dziecka zrobię wszystko. Tak... damy sobie radę.

Odłożyła słuchawkę i już mniej skocznym krokiem wróciła do kuchni.

– Dzwoniła twoja matka, zostaniesz u mnie na noc. – Emilia ściągnęła z patelni świeżo usmażonego naleśnika i posmarowała go truskawkowym dżemem, włożyła połowę placka do ust. – Znowu wszystko jest ważniejsze od rodziny. No, nie patrz tak na mnie, maleńka, obawiam się, że to już nigdy się nie zmieni. Obie musimy przywyknąć do tego, że twoja matka jest niereformowalna. Kończ to smażenie, ostatni naleśnik jest dla ciebie. Mnie z tego wszystkiego całkiem odechciało się jeść.

* * *

Walizka przywieziona PKP była już wypełniona po brzegi. Kobieta w czerwonym

płaszczu nie zamierzała poprzestać na tych skromnych zakupach, jednak większe sprawunki postanowiła odłożyć na dogodniejszą chwilę. Na razie wcisnęła nabytą przed chwilą sukienkę w ostatnie wolne w walizce miejsce, upychając ją między nobliwe bluzki bez dekoltyw a połyskującą srebrem kosmetyczkę, po czym zasunęła zamek i zapięła gumowy pas bagażu. Wyminęła płynący piętrem centrum handlowego tłum i przemknęła w stronę ruchomych schodów. Chciała zrobić krok na pierwszy przesuwany się pod nogami stopień, jednak zatrzymała się w ostatniej chwili. Kółka walizki skręciły i zawróciły ku przeszklonym witrynom sklepów. Szła, wyglądając wystawy z czerwonym szyldem i roznegliżowanymi manekinami, która mignęła jej kilka chwil temu.

Wzrok kobiety przyciągnęły skąpe majtki i czarny koronkowy stanik. Przystanęła przed szybą i szybko oceniła zalety kompletu. Seksowny i niepozostawiający wiele wyobraźni. W sam raz, żeby poczuć, że chociaż pod spodem prezentuje się tak, jak powinna. Jak to robi na co dzień. Kiedy będzie miała na sobie te pensjonarskie bure bluzki i spódnice przypominające strój zakonnicy, myśl o tym, co znajduje się pod nimi, pozwoli jej przetrwać. Do tego ten wyszywany złotą nitką szlafroczek w stylu lat trzydziestych. Będzie go przecież nosić tylko wtedy, gdy nikt nie widzi, w swoich czterech ścianach.

Weszła do środka. Zachęcona mnogością wzorów i kolorów *dessous* chciwie podbiegła do porozstawianych pod ścianami wieszaków. Przesuwała jeden za drugim, nie mogąc zdecydować się na konkretny model. Ten z wystawy wydał się jej najlepszy, kusił na tyle, że poprosiła miłą sprzedawczynię o zdjęcie go z manekina. Szlafrok też dołożyła. I jeszcze parę cielistych pończoch podtrzymywanych na udach silikonowymi gumkami. Kiedy torba z zapakowaną bielizną spoczęła przy kasie, wyjęła z portfela gotówkę. Położyła na ladzie trzy dwustuzłotówki i chwyciła za reklamówkę.

– Nasza bielizna jest warta swojej ceny. – Młoda sprzedawczyni z wysoko związanym kucykiem i ubrana w czarną firmową bluzkę przeniosła zadowolony wzrok z kasy na klientkę o tlenionych włosach. – Będzie się świetnie nosić, gwarantuję – dodała. – Nosiła już pani Triumphu?

Klientka nie odpowiedziała, nie takie marki miała w swojej szafie. Wsunęła do portfela wydaną resztę i nie czekając na paragon, skierowała się w stronę wyjścia. Gdy minęła próg sklepu, wmieszała się w tłum sunący do schodów. Już nie rozglądała się na boki, stała oparta o ruchomą poręcz i w skupieniu przyglądała się szklanej

kopule Złoty Tarasów. Co chwila ktoś pośpiesznie przeciskał się między jadącymi w dół, trącając trzymane na schodach torby i podręczne plecaki. Nie zwracała na to uwagi, chciała jak najszybciej znaleźć się w hotelu i zaryglować za sobą drzwi wynajętego pokoju.

By trafić do cichego lobby Marriotta, wystarczyło przejść podziemnym pasażem pod dworcem. Dobrze znała to miejsce, choć w Warszawie bywała rzadko, ostatni raz rok temu i na krótko. Nie było wtedy czasu ani atmosfery na delektowanie się miastem. Pogrzeb siostrzeńca przyćmił radosną atmosferę sylwestra i odarł ją z radości płynącej z karnawałowego szaleństwa. Dlatego tym razem zamiast smętnego domu rodzinnego w Michałowicach wybrała właśnie Marriott stojący w samym sercu stolicy. Teraz miała czas na to, by obskoczyć ulice z drogimi butikami i przespacerować się po Łazienkach. Ale przede wszystkim na to, żeby zrealizować swój najważniejszy plan, który zrodził się w jej głowie tak dawno temu, że zdołał dojrzeć w każdym szczególe i teraz pozostawało już tylko wprowadzić go w życie. Na razie nic nie zapowiadało, żeby miał się nie udać. Przeciwnie, wszystko układało się jak należy. Śmierć Leona była jak dar od losu. Nieco bolesny, ale kto powiedział, że życie jest bajką. Do tego nic nie dzieje się bez przyczyny.

Trzy tygodnie, jakie pozostawały do procesu Arlety, dawały jej pełen komfort. Dysponowała czasem, a do tego wypchanym portfelem, który w razie potrzeby zamierzała otworzyć bardzo szeroko. Na razie jednak miał pozwolić na dość przyziemną rozkosz, jaką był wypoczynek w klimatyzowanym pokoju za trzysta złotych za noc.

ROZDZIAŁ IV

Byla czwarta po południu, kiedy Julia dostała od Marii maila z załączoną kopią podpisanej umowy o usługę detektywistyczną. Bez żadnego zbędnego powitania ani komentarza, który jest zwyczajowo dodawany, żeby odpowiedź wyglądała na spersonalizowaną. Poza umową na ekranie laptopa pojawiła się lista pytań, które Julia wysłała do dziewczyny, obok nich dopisane były odpowiedzi.

Pierwsze szły nazwiska, a właściwie określenie „NN” widniejące przy imionach Marii i Ninki. Maria nie była w stanie podać informacji o tym, kto był ich ojcem. Natomiast ojciec Leona nazywał się Ludwik Zalewski i miał czterdzieści jeden lat. Przy wieku Zalewskiego Maria postawiła znak zapytania, mogła nie znać dokładnej daty jego urodzin, a może po prostu zgadywała. To jego widziała na cmentarzu, kiedy ciało brata zniknęło za grobową płytą. Nie podeszła do niego, choć pewnie korciło ją, by skoczyć mu do oczu. Mogła to zrobić bez przeszkód, matka nie dostała pozwolenia na opuszczenie aresztu, by pochować syna, a poza nią nikt inny by jej nie powstrzymał.

Jednak nie ruszyła się z miejsca. Cmentarz i otwarta mogiła to kiepskie miejsce na robienie scen i odgrywanie rodzinnych dramatów. Może wierzyła, że Zalewski poczeka, aż ostatni szpadel ziemi przysypie trumnę, i że zostanie do samego końca pożegnania. Może podejdzie do nich skruszony i z żalem powie, że źle zrobił i że żałuje. Przecież przyniósł wieniec. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Maria ujęła to wprost: Zalewski zwiął.

Kolejne miały być adresy. Ojciec Leona mieszkał w Warszawie, ale nie wiadomo, przy jakiej ulicy. Przy adresie ojca Ninki i własnego Maria postawiła znaki zapytania. Arleta Rawska była konsekwentna, milczała przed dziećmi w tej konkretnej kwestii i, generalnie, w sprawie wszystkiego, co mogło zachęcić córki do szukania ludzi, którzy sprowadzili je na świat. Jeśli robiła to w obawie przed rozczarowaniem i bólem, jakiego mogłyby doświadczyć podczas tych poszukiwań, postępowała właściwie. Otoczyła je murem ciszy i wzięła za to na siebie pełną odpowiedzialność. Na cud, że któregoś dnia ojciec jej córek zapuka do ich drzwi, też przestała liczyć. Julia odłożyła

laptopa i sięgnęła po komórkę. Puściła do Górnego esemesa z nazwiskiem i wiekiem Zalewskiego oraz krótką prośbą: „Namierz go”.

Zanim wróciła do czytania dalszej części maila, wstała, by rozprostować nogi i przy okazji włączyć kaloryfer. Był ledwie ciepły. Przypomniała sobie, co mówiła agentka nieruchomości: że powinna wziąć pod uwagę kupno grzejnika na prąd. Puściła tę informację mimo uszu, zaaferowana wizją własnego kąta. Zrezygnowana wyjęła ze stojącego pod oknem kartonu wełniany zielony sweter i otuliła nim ramiona.

Za oknem była szarówka. Do zachodu słońca wciąż pozostawała godzina, ale w mieszkaniu panował już półmrok. Włączyła górne światło w postaci wiszącej u sufitu nagiej żarówki. Wyminęła przy tym porozkładane na podłodze artykuły – relacje z procesu, które przez całe popołudnie drukowała zaciekle z internetu i układała chronologicznie od pierwszego doniesienia, jakie pojawiło się na temat Rawskiej wkrótce po odkryciu zwłok w przydomowym ogrodzie. Było wyróżnione ostrym dwuczłonowym tytułem „Matka kat”. Potem biegły dwie linijki wytłuszczonego podtytułu o znalezionych zwłokach dziewiętnastoletniego chłopaka z rozciętym gardłem. Niżej znajdowało się zdjęcie Rawskiej prowadzonej przez dwóch mundurowych. Nie było widać twarzy, zamazana przez redakcyjne piksele stała się beżowo-czarną plamą.

Kolejne artykuły ujawniały coraz więcej szczegółów. Wiadomo już było, że Rawska jest bezrobotna, ale żyje na bogato w domu należącym od pokoleń do jej rodziny, obecnie opłacanym przez urząd gminy. „Na bogato” oznaczało połowę starego bliźniaka z sypiącym się tynkiem i rakotwórczym eternitem na dachu. Do tego stojącego na peryferiach Michałowic i bez ciepłej wody w kranie. Dzieci miała troje, postanowiła zabić wszystkie. Ta informacja powtarzała się jak echo w każdym artykule. Afera z dzieciobójczynią była dziennikarskim spełnieniem marzeń. Na dalszy plan schodziły afery polityczne, podatkowe, nawet próba kradzieży kościelnego złota na Podkarpaciu. Matka, która zabija własne dziecko, jest najmocniejszym tematem, zwłaszcza gdy dokonuje zbrodni na oczach swoich pozostałych dzieci. Nie obchodziło jej, co przeżywały, kiedy patrzyły na to szkaradne morderstwo. Nie kochała ich, musiała w ogóle nie kochać żadnego ze swoich dzieci, skoro zabiła. Bestia.

Julia przemknęła między wydrukami i wróciła na fotel. Zanim dostanie od Górnego cokolwiek z policyjnego archiwum, musi zająć się tym, co już ma.

Kilkanaście artykułów mówiących właściwie o tym samym, jedno rodzinne zdjęcie i mail od Marii.

Policyjna psycholog, która asystowała prokurator Sierackiej podczas przesłuchania Niny, na pytanie dziennikarza o to, co udało się im wyciągnąć od dziewczynki, wydała dość długie oświadczenie. Zastrzegła jednak, że odtworzenie przebiegu zdarzenia nastąpiło na podstawie niezwykle skąpych danych, jakimi małaletnia się z nimi podzieliła. Nina właściwie milczała albo kręciła głową, z rzadka przytakiwała. Według psycholog tamtej nocy Nina widziała wszystko. Z okna swojego pokoju na piętrze patrzyła, jak matka zabija jej brata. Za oknem panowała noc, ale światło padające z salonu na ogród rozjaśniało ciemność. Widziała tę scenę bardzo dokładnie. Krzyknęła i wybiegła przed dom. Co zrobiła potem, czy pomogła matce wlec brata po ziemi, czy próbowała wzywać pomoc i co usłyszała od Arlety Rawskiej – tego nie wyznała. Niezaspokojona w tym temacie prasa skoncentrowała się więc na ofierze. Ciało Leona policja znalazła w przydomowym baraku, który służył za schowek na narzędzia i inne szpargały, jakie znosi się z ogrodu przed zimą, by nie zbutwiały lub nie porzewiały od wilgoci. Leon leżał na ogrodowej ławce w głębi przybudówki, podtrzymywany na kolanach matki. Wciąż było słychać dochodzące z oddali wystrzały fajerwerków. Te zza ogrodzenia już ucichły, sąsiedzi schowali się w swojej części bliźniaka i po zaryglowaniu drzwi, w obawie przed możliwym powtórny atakiem Rawskiej, zadzwonili po policję.

Ostatni artykuł, jaki ukazał się w prasie, pochodził sprzed miesiąca. Przypominano o mającej się rozpocząć rozprawie, a notkę okraszono zdjęciem domu w Michałowicach. Stał opuszczony, Maria wyprowadziła się z niego wkrótce po pogrzebie brata i, jak pisano, ukryła się przed ludźmi gdzieś w tłumie stolicy. Uciekła z tamtego miejsca, żeby nie wytykano jej palcami. Losem jej młodszej siostry zajęły się „kompetentne osoby czuwające nad dobrem małaletniej ofiary przemocy domowej”.

Julia odłożyła wycinki z prasy i wróciła do laptopa. Zaczęła przesuwając w dół stronę, żeby dotrzeć do informacji, która interesowała ją najbardziej. Wiedziała już, że Ninka jest w bezpiecznym miejscu, potrzebowała jednak jej adresu i nazwiska osoby, której powierzono opiekę nad dzieckiem. Rawska musiała mieć przecież rodzinę. Wciąż była młoda, jednak szansa na to, że jej rodzice żyją, była mała. Skoro mieszkała w rodzinnym domu tylko z dziećmi, oznaczało to, że dziadkowie dzieci pomarli. A jeśli nawet tak nie było, wyprowadzili się w inne miejsce. Ten drugi

wariant wydawał się jednak mało prawdopodobny. Starsi ludzie nie lubią przeprowadzek, o ile nie są one konieczne, a tu mieli przecież swój własny dom. Oddać ich do zakładu opieki Rawska też nie mogła, bo niby skąd wzięłaby pieniądze na jego opłacenie. Nina powinna więc wylądować u jakiejś kuzynki, nie oddaje się przecież dzieci, które przeżyły traumę, w całkiem obce ręce. Trafiają do dalszej rodziny, nawet takiej, którą widuje się jedynie przy okazji urodzin czy komunii, ale jednak do rodziny.

Z tym że Ninka nie trafiła do rodziny. Adres podany przez Marię wskazywał inne miejsce. Była nim klinika psychiatryczna położona kilkadziesiąt kilometrów za miastem. Julia знаła ją doskonale, mimo że ostatni raz była tam trzy lata temu.

Wełniany sweter rozgrzewał ciało lepiej niż niejeden kaloryfer, a jednak Julia odniosła wrażenie, że coś zimnego przebiegło jej po karku. Przeszłość nie pozwalała o sobie zapomnieć i mimo najszczerzych chęci nie dawała zatrzaskać się w szufladce z napisem „nieodwoalnie zamknięte”. Będzie musiała powrócić w miejsce, z którego uciekła, czy tego chce, czy nie. Pojedzie tam znowu i spotka się z Ninką. Dowie się, jak było naprawdę.

Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Potrzebowała powietrza – ostrego, takiego, które przewieje ją na wskroś, przeniknie przez skórę i mięśnie, dotrze do kości.

Zapaliła papierosa. Dym wciągnięty w płuca zamiast uspokoić, podniósł ciśnienie, ale musiała zająć czymś ręce i otumanić głowę. Tak bardzo starała się zapomnieć o tym, co było, wymazać z pamięci jego twarz i nazwisko. Przy odrobinie szczęścia nie spotka go, nie natknie się na Artura na szpitalnym korytarzu. Może, podobnie jak ona, wyjechał. O ile tylko skorzystał z propozycji objęcia posady w instytucie w Norwegii, spakował walizkę i kupił bilet w jedną stronę. Nic go tu przecież już nie trzymało. Stracił wszystko przez nią i dla niej. A tam dostałby nowe życie, zaczął wszystko od początku, z dala od wspomnień. Ich rozstanie zabolowało go, była tego świadoma. Do tego dochodziła strata nienarodzonego dziecka i zaręczynowy pierścionek, którego nie zdążył wsunąć jej na palec. Ostatnie spotkanie w restauracji zakończyło się jak w kiepskim filmie. Wstał od stołu i wyszedł, trzaskając drzwiami. Ale to było dawno, dużo się przez ten czas zmieniło. Każde z nich nauczyło się żyć na nowo i tak miało pozostać.

Powoli zaczynała oddychać spokojniej. To nie wróci, powtarzała w myślach. Jego tam już nie ma, wyjechał. Artur to tylko przeszłość.

* * *

Pierwsze pliki nadesłane przez Górnego wpadły na jej skrzynkę pięć minut przed północą. Były to zaledwie dwie zeskanowane strony wstępnego raportu policji z miejsca znalezienia ciała Leona Rawskiego.

Julia przebiegła wzrokiem po klasycznym nagłówku, na którym widniały nazwisko i stopień funkcjonariusza oraz dane patrolu, po czym zatrzymała się na najważniejszej części.

Data: 1 stycznia 2017 r., godzina 01:57

Typ przestępstwa: zabójstwo

Miejsce przestępstwa: ul. Dereniowa 3a, Michałowice p. Warszawą, budynek mieszkalny typu bliźniak

Przybliżony czas popełnienia przestępstwa: godzina 00:02 (data jak wyżej)

Liczba sprawców: 1

Liczba ofiar: 1

Sprawozdanie z miejsca przestępstwa: w drewnianej przybudówce domu przy Dereniowej 3a, Michałowice, znalezione zostało ciało Leona Rawskiego (lat 19), syna Arlety Rawskiej i Ludwika Zalewskiego. Na szyi denata zidentyfikowano dwie rany kłute, w tym jedną powodującą krwawienie tętnicze. Bezpośrednio przy ciele znajdowała się matka ofiary, Arleta Rawska. W mieszkalnej części domu, na parterze, pozostawały dwie siostry denata, Maria i Nina Rawskie, oraz siostra Arlety Rawskiej, Judyta Rawska-Kawka. W trakcie wstępnych oględzin zwłok, poza śmiertelnymi ranami kłutymi, nie stwierdzono innych uszkodzeń wskazujących na to, by ofiara odparowała atak bądź walczyła ze sprawcą (brak śladów walki na rękach). U pozostałych członków rodziny nie ujawniono uszkodzeń ciała.

Więcej osób, ani bezpośrednich świadków zdarzenia w obrębie domostwa rodziny Rawskich, nie było. Pozostałe osoby trzecie, zamieszkujące sąsiednie gospodarstwo domowe, znajdowały się za murem stanowiącym granicę między obiema częściami posesji. Najbliższe zabudowanie użytkowe znajduje się w promieniu stu siedemdziesięciu czterech metrów i stanowi opuszczony magazyn. Za magazynem

widoczne jest nowo budowane osiedle. Innych budynków w bezpośredniej okolicy brak.

Charakterystyka sprawcy: jak niżej

Imię i nazwisko sprawcy: Arleta Rawska

Wiek: 36 lat, **wzrost:** 168 cm, **włosy:** ciemne, **oczy:** brązowe

Związek ze sprawą: podaje się za sprawcę czynu

Materiał dowodowy: krew (najprawdopodobniej ofiary) na ciele zatrzymanej Arlety Rawskiej. Pozostałych dowodów, w tym narzędzia zbrodni, brak.

Inne: według zeznań Marii Rawskiej najprawdopodobniej całe zdarzenie widziała jej małoletnia siostra, Nina Rawska, która zostanie poddana przesłuchaniu przez prokuratora w towarzystwie policyjnego psychologa. Data przesłuchania nie jest jeszcze ustalona. Wstępne przesłuchanie Judyty Rawskiej-Kawki zaplanowane jest na dzień 1 stycznia 2017 r., na godzinę 12:30.

Julia zamknęła laptopa. Brak narzędzia zbrodni, brak innych dowodów. Ofiara nie broniła się, co może znaczyć, że uderzenie przyszło zniemacka. Jeśli pozostały ślady butów na ziemi w ogrodzie, z pewnością je zdeptano. Poza tym mógł je tam zostawić

każdy. Jedynym dowodem była krew na rękach Rawskiej. Raport napisano dwie godziny po śmierci chłopaka. Czy to możliwe, żeby Nina jako jedyna widziała śmierć brata? O której Maria i jej ciotka wyszły z domu i zobaczyły, co zaszło? Czy któraś z nich słyszała krzyk Leona, kiedy wzywał pomocy? Czy w ogóle krzyczał? Raport spisany ręką policjanta był dramatycznie skąpy, być może powstał kolejny, bardziej szczegółowy, do którego Górny nie dotarł.

Julia sięgnęła po komórkę. Puściła do Górnego esemesa z nazwiskiem Rawskiej-Kawki i taką samą prośbą jak w przypadku Ludwika Zalewskiego: „Znajdź ją”.

Miała za sobą długi dzień i czuła pod skórą zmęczenie. Powinna się położyć i pozwolić oczom odpocząć przed poranną wyprawą pod Warszawę. Zamiast tego sięgnęła po notes ze spisаныmi pytaniami, które miała zamiar zadać Ninie, gdy usiądą już naprzeciw siebie. Musiała je przejrzeć i sprawdzić, czy zawarła w nich wszystko. Lista pytań była koszmarnie długa, niemniej szansa na to, że dziewczynka w ogóle zechce rozmawiać, wydawała się nikła. Jej stan nie mógł być dobry, skoro od roku przebywała na leczeniu w zamkniętej klinice. Jeśli będzie odpowiadać zdawkowo lub milczeć, nic z niej nie wyciągnie.

Zaznaczyła na czerwono te z pytań, które będą musiały paść jako pierwsze i najważniejsze. Już samo patrzenie na nie wydawało się bolesne. Czy wcześniej dochodziło w waszym domu do rękoczynów? Czy znasz powód, dla którego ktoś chciałby zabić Leona? Czy widziałaś, jak matka podchodzi do twojego brata z nożem w rękę? Czy to prawda, że jako jedyna widziałaś, co się stało? Takich pytań nie zadaje się normalnie żadnemu dziecku. Być może istnieją cudowne metody zadania ich w inny sposób, ale jak widać, nie poradziły sobie z tym nawet prokurator i policyjna psycholog. Nina milczała porażona tym, co stało się w jej rodzinie. Ale to było rok temu. Może do tej pory zrozumiała, że jej milczenie w niczym nie pomoże i że nic nie cofnie czasu. Jeśli zależy jej na sprawiedliwym procesie jej matki, powinna współpracować.

Dlatego musi do niej dotrzeć i spróbować poskładać wydarzenia tamtej nocy w sensowną całość, kawałek po kawałku, godzina po godzinie, od momentu, w którym zaczęło dziać się źle. Ale przede wszystkim powinna poznać tamto miejsce i dom, i to jak najszybciej.

Musiała odłożyć sen na później. Postawiła ostatni czerwony krzyżyk przy pytaniu do Niny i wrzuciła notes do torby. Było w pół do pierwszej w nocy, gdy wciągnęła

płaszcz i przekreśliła klucz w zamku.

Z alei Krakowskiej skręciła w Łopuszańską, a potem wąskimi osiedlowymi uliczkami wymanewrowała w Skorosze, i dalej na południe. Oddalała się od świateł Warszawy i świstu sunących nocnych tramwajów. GPS pokazywał pobliski przejazd przez tory i stację kolejową WKD. Za nią ulice przeredzały się, po kilku przecznicach miejski krajobraz ustępował już pojedynczym domom, za którymi rozciągały się tylko pola.

Mapa kierowała ją w głąb jednej z wąskich uliczek, Julia mrugnęła kierunkowskazem, choć nie jechało za nią żadne auto. Zredukowała bieg i wtoczyła się w Dereniową. Koła skody podskoczyły lekko na betonowych płytach, którymi wyłożona była droga. Wyglądała bardziej na wiejski trakt niż na klasyczną ulicę. Do tego wciąż zalegał na niej roztopiony śnieg, który rozbryzgiwał się przy każdym mocniejszym uderzeniu opon o kant nierówno rozmieszczonych płyt.

Włączyła długie światła, ciemny tunel drogi kończył się gdzieś w oddali konturami dopiero co powstającego osiedla, znad którego wystawały budowlane żurawie. Znajdowały się dwieście metrów dalej, zgodnie z tym, co napisano w policyjnym raporcie. Dom, którego szukała, stał dużo bliżej. Był ukryty między poczerniałymi od zimy krzakami, rozrośniętymi ponad miarę i wyciągającymi pojedyncze gałęzie ponad kamienny murek, który ciągnął się wzdłuż drogi. Przejechała przez rozjeżdżone błoto i wymięła szargane wiatrem puste worki po cemencie przywiane tu z odległej budowy.

Zatrzymała skodę pod ledwie tłącą się latarnią, która służyła jednocześnie za słup elektryczny, po czym wyłączyła silnik. Wsiadła z auta i rozejrzała się dokoła. Przy nikłym świetle latarni widać było jedynie ciemne zarysy drzew i kamiennych palików powbijanych w wąski chodnik. Nie było rozpiętej między nimi siatki, sterczały każdy z osobna, pokruszone z pordzewiałymi obręczami, których dekady temu użyto do mocowania ogrodzenia.

Wyjęła z kieszeni płaszcz latarkę i puściła przed siebie snop światła. Przeszła kilkanaście kroków i stanęła przed kwadratowym bliźniaczym domem z płaskim dachem pokrytym eternitem, ze ścianami z cegieł nigdy nietkniętymi tynkiem. Przez środek budynku biegło ciemne głębokie pęknięcie dzielące dom na dwa mieszkania. Jednak bardziej namacalną granicę stanowił postawiony między nimi mur wysoki na dwa metry, opleciony szkaradnie wysuszonymi pnączami dzikiego bluszczu.

Spojrzała w okna obu mieszkań. Ani na parterze, ani na piętrze nie paliło się żadne

światło. Sąsiedni dom wyglądał na opuszczony, nie miała jednak żadnej pewności, że nikt w nim nie mieszka.

To tu. Wejście od frontu z niewielkim zadaszeniem i przekręconą rynną, z drewnianą przybudówką bez widocznych drzwi. Musiały zostać zamontowane od strony ogrodu. Wszystko się zgadzało.

Przeskoczyła przez grudę ziemi zmieszaną z wkręconymi w nią chwastami, po czym podeszła bliżej domu. Szła ostrożnie, upewniając się przy każdym stawianym kroku, by spod jej butów nie wydostawał się żaden dźwięk mogący zbudzić mieszkańców sąsiedniego mieszkania, o ile tacy w ogóle byli. Odgłosy grubych podeszew tonęły jednak cicho w napęczniałym wilgocią piachu.

Obeszła dom. Zanurzony w mroku ogród nie przypominał tego ze zdjęcia Marii. Połamane krzaki i wykrzywione drzewa z pniami oblepionymi zgniłymi liśćmi takiego samego bluszczu, jaki piął się po murze dzielącym dom na dwie części, sprawiały wrażenie umarłych. Z trudem rozpoznała niewielki klomb zrobiony z cegieł, огоłocony z jakichkolwiek pędów, przysypany jedynie resztkami świeżo nadpalonych bierwion, rzuconych zapewne przez pałętających się po okolicy bezdomnych. Odkąd Maria się stąd wyniosła, domu nikt nie doglądał. Klomb zamienił się w palenisko, sąsiedzi, jeśli zostali na starych śmieciach, wybrali święty spokój zamiast wtrącania się w sprawę porzuconej posesji.

Podeszła do przybudówki. Na drzwiach wciąż było widać resztki zerwanej policyjnej taśmy. Pomieszczenie zamknięto na lichą kłódkę z równie lichym skoblem. Nie wiadomo, kto ją założył ani kiedy. Wyglądała na nową, nie nosiła jeszcze śladu rdzy. Była niewiele większa od kłódek, jakimi zamyka się podróżne walizki. Wystarczyło mocniej pociągnąć, by znaleźć się w środku.

Szarpnęła kłódką kilka razy i wysunęła ją ze skobla. Przeszła przez niewielki próg zbity z kawałka pilśniowej płyty i skierowała światło latarki do wnętrza, omiatając nim ściany. Stało pod nimi to, co zwykle ludzie umieszczają w takich miejscach: przetrawiony płamami i zawilgocony materac, grabie, przewrócona taczka, kilka parcianych worków ze starymi butami i połamanymi dziecięcymi zabawkami. Nie spodziewała się znaleźć tu czegoś, co choćby w najmniejszym stopniu miałoby związek ze sprawą Rawskiej. Każdy centymetr posesji został przebadany przez jej byłych kolegów w służbowych mundurach, a każdy dowód mogący posłużyć podczas procesu – zebrany do papierowej torby. Chciała jedynie poczuć klimat tego miejsca, zakotwiczyć jego obraz w pamięci, by nie stanąć przed Niną z mdłym pojęciem o

domu i ogrodzie, w którym feralnej sylwestrowej nocy rozegrała się rodzinna tragedia.

Skierowała snop światła na wprost siebie. Pod przeciwległą ścianą stała żeliwna parkowa ławka z rzuconym na nią niedbale burym pledem. To na niej, zgodnie z tym, co podała prasa, siedziała Rawska, podtrzymując umierającego syna. Pod ławką, na podłodze przykrytej szczelnie starym linoleum, leżało kilka porwanych gazet z ostatnich tygodni. Teoria o koczujących tu bezdomnych, którzy dogrzewali się ogniskiem rozpalanym w starym klombie, potwierdzała się na jej oczach.

Światło latarki zatrzymało się na pustych hakach przeznaczonych do mocowania rowerów i przesunęło niżej, na metalową rozkładaną suszarkę do rozwieszania prania. Do jej cienkich prętów poprzyczepiane były za sznurki reklamówki służące za lodówkę. Julia podeszła do toreb i uchyliła jedną z nich. Ze środka wydobył się smród starego tłuszczu. Cofnęła się z obrzydzeniem, odór przypominał zapach zjełczałego oleju stojącego przez miesiąc w pełnym słońcu. Zasłoniła nos ręką i ponownie zajrzała do środka, celując światłem w środek torby. Na dnie reklamówki leżały poogryzane resztki kości. Były małe i drobne, najprawdopodobniej pozostały po zjedzeniu jakiegoś upieczonego w ognisku ptaka.

Wróciła do ławki. Odsunęła brudny pled i usiadła na jej brzegu. Przeciągnęła dłońmi po zimnym metalu. Tu leżał Leon, kiedy dom otoczyły policyjne wozy. Była noc i ciemność, tak samo jak teraz. I błoto naniesione przez ciągnięte ciało chłopaka, wymieszane z jego krwią. Tylko takiej ciszy nie było. Huczało od fajerwerków puszcanych w oddalonych od Dereniowej ogrodach i pokrzykiwań sąsiadów witających nowy rok.

Leżał na boku czy na wznak? Rawska trzymała jego głowę na kolanach czy pozwalała jej zwisać jak głowie gęsi, której podrzyna się szyję? Pod nogami nie było już plam z krwi, rozmyły się pod nanoszonymi butami deszczem i śniegiem. To, co zostało na kocu, wyglądało na rdzawe ślady, ale równie dobrze mogło być zwykłym brudem. Zabrano stąd wszystko, co miało związek ze zbrodnią. Każdy zgniły liść i każdy przedmiot, jeśli spadła na niego choć kropla krwi Leona.

Zgasiała latarkę. Oparła plecy o twardą ramę ławki i zapatrzyła się przed siebie, gdzie przez uchylone drzwi przybudówki widać było ciemny ogród i otaczającą dom pustkę. Kto zajrzał tu pierwszy? Czy aby na pewno była to Judyta? A co z Marią i Niną? O której znalazły się na zewnątrz i co wygoniło je z domu – krzyk czy też nadmiernie przeciągająca się nieobecność matki i brata? Kiedy Leon znalazł się na tej

ławce, nie był już w stanie wzywać pomocy. Krew szybko wycieka, zwłaszcza z tętnicy. Kilka minut i do człowieka przestają docierać jakiekolwiek dźwięki, nawet te najgłośniejsze, jakie wydają wystrzeliwane w niebo fajerwerki. Jedyne, co mógł zrobić, to patrzeć na pochylającą się nad nim matkę.

Powinna już stąd iść. Po to, by nie natknąć się na tych, co zostawili w torbie ogryzione kości ptaka. I tak miała dużo szczęścia, że nie stanęła z nimi oko w oko. Wróć tu przecież, choćby na kilka godzin, jakie pozostały do świtu. Położą się na cuchnącym brudem materacu i przykryją pledem z plamami rdzy.

Zanim zatrzasnęła kłódkę, roztarła podszwami ślady pozostawione przez jej buty. Naniesione błoto rozmazało się po kilku sprawnych ruchach nóg i zrównało z wżartym w linoleum brudem. Lepiej, żeby ci, co tu teraz mieszkają, nie wiedzieli, że ktoś obcy wszedł na ich teren.

Wróciła przed główne wejście domu.

Dawno tego nie robiła, lata minęły, odkąd użyła wytrychu po raz ostatni. Rozejrzała się po pustej ulicy i wsunęła wysłużony, składany jak scyzoryk szpikulec w zamek pod klamką. Zatrzask zgrzytnął cicho.

Tak jak się spodziewała, żadnego alarmu nie było. Ani światła. Elektrownia odcięła prąd, kiedy Maria na poważnie zaczęła zalegać z opłatami.

W korytarzu panowała cisza, jakby w promieniu kilometra nie istniało nic poza tym miejscem. Ciemność była tak samo intensywna, jedynie w przejściu między schodami a ścianą prowadzącą do kuchni mrok rozjaśniała biała struga światła księżycy wpadająca przez niedomknięte okno nad sienią.

Sięgnęła po telefon komórkowy i włączyła nagrywanie. Przekląła się w myślach za to, że nie zrobiła tego, będąc w ogrodowej przybudówce. Być może straciła jedyną szansę na zarejestrowanie zapisu tamtego miejsca.

Skierowała kamerę na korytarz. Pod nogami miała to samo linoleum co w drewnianej dobudówce. Mniej wytarte, ale za to w wielu miejscach popękane jak ziemia po wieloletniej suszy. Minęła niefunkcjonującą kotłownię, wbudowane pod schodami szafki i pusty wieszak na płaszcze stojący w kącie przedpokoju.

Ruszyła wąskim przejściem w kierunku saloniku. Był niemal pusty, część mebli musiała sprzedać Maria, żeby mieć za co opłacić kilka pierwszych rat czynszu i co włożyć do garnka. Telewizora też nie było. W kącie pokoju stał jedynie mały kawowy stół, pośrodku wygnieciona kanapa, której stan nie dawał szans na sprzedaż. Był

jeszcze stojak po choince rzucony byle jak za firankę. Wokół niego nadal leżały niezmięcone do końca suche igły po świątecznym drzewku.

Podeszła do okna balkonowego. Było wąskie i wychodziło na niewielki taras wyłożony po części wytartą sztuczną trawą, szeroki na dwa kroki i długi, jak pobieżnie oceniła, na nie więcej niż pięć. O ile stając przy oknie, można było zobaczyć cały ogród, o tyle z kanapy nie było szans go dojrzeć. Zarówno boczna strona ogrodu, z wejściem do drewnianej przybudówki, jak i centralna, z widokiem na klomb służący obecnie za ruszt, znikwały za ścianą salonu.

Światło latarki przesunęło się po ścianie łączącej pokój z kuchnią. Julia przeszła przez podwójne drzwi z pękniętą w poprzek szybą i obrzuciła spojrzeniem pusty zlew, wiszące nad nim szafki i ociekacz na naczynia.

Zatrzymała wzrok na lodówce. Okrągłe magnesy przytrzymały pozwijane na rogach zdjęcia Leona i Marii stojących razem, pod osobnym magnesem przyczepione było zdjęcie Niny. Na wszystkich fotografiach czas się zatrzymał. W momencie pozowania wciąż byli dziećmi, ich buzie uśmiechały się beztrudnie. Zwykła rodzina, matka i trójka wesołych łobuziaków. Ninka uśmiechała się najmniej, trochę z przymusem, nawet z przekąsem. Ale oczy jej błyszczały nie mniej niż pozostałej dwójce. Julia wysunęła fotografie spod magnesów i schowała je do kieszeni płaszcza.

W łazience nie znalazła niczego, co wymagałoby nagrywania. Plastikowa wanna, umywalka z leżącym na brzegu wyschniętym mydłem i poźółkłą gąbką. Wiszące lustro w starym stylu, ze szklaną półką i uchwytem na kubek. U sufitu kratka wentylacyjna oblepiona czarnym kurzem i kominowym pyłem. W rogu, przy świecowym kaloryferze pociągniętym niedbale farbą, olejowy grzejnik. Nad otwartym sedesem, w którym stała rdzawa woda, wisiał zbiornik z przymocowanym łańcuszkiem spłuczki. Dawno takiego nie widziała, wyszły z użycia dobrych dwadzieścia lat temu. Łazienka była ślepa, na ogród i skrawek przybudówki wychodziły tylko okna w saloniku i kuchni.

Wycofała się z łazienki i stanęła ponownie w korytarzu. Na piętro prowadziło kilkanaście wąskich schodów. Szła w górę ostrożnie, grube podeszwy butów mogły w każdej chwili ześlizgnąć się z wyrobionych brzegów stopni. Dom był stary i z całą pewnością nietknięty ręką ekipy remontowej od dekad. Jedyne ściany odmalowywano co jakiś czas, można to było stwierdzić po wielu warstwach różnokolorowych farb, które, niedokładnie rozprowadzone przy podłogowych deskach, dawały efekt pstrokatej, kilkucentymetrowej tęczy. Być może Rawska

sięgnęła też kilkakrotnie po pędzel, by odświeżyć ramy okien, ale to było wszystko, co zrobiono dla tego mieszkania.

Kiedy stanęła na piętrze, które z racji swego rozmiaru przypominało raczej większą antresolę aniżeli tradycyjny poziom domu, zobaczyła troje drzwi. Zaczęła od tych umieszczonych w głębi korytarza. Była to klasyczna służbówka, mieszcząca jedynie polowe łóżko i nocną szafkę. Na łóżku leżała złożona w kostkę pościel, niezmienniana od wielu miesięcy, pod nogami prostokątny chodnik. Julia zajrzała do szafki, ale zarówno jej wnętrze, jak i zamontowana nad nią szuflada były puste. Prawdopodobnie tu miała spędzić noc siostra Arlety, Judyta. Pokój nie nadawał się do mieszkania na dłużej, sufit był niski, co czyniło pomieszczenie klaustrofobicznym. Dla kogoś lubiącego wygodę mógł służyć jedynie jako miejsce noclegu na jedną, dwie noce.

Kolejne dwie pary drzwi prowadziły do sypialni dzieci Arlety Rawskiej. Na jednych wisiała czerwona tabliczka z napisem „Wchodzisz na własne ryzyko”, na drugich różowa z informacją „Ladies”. Julia nacisnęła klamkę i weszła na własne ryzyko.

Pokój Leona był w pełni umeblowany. Można było odnieść wrażenie, że wszystko zostawiono tak, jakby chłopak miał tu powrócić. Na niezasłanym łóżku wciąż leżała podkoszulka z wywalonym językiem Rolling Stones, nad nim wisiał przybity gwoździami plakat z komputerowej gry Assassin's Creed. Ani komputera, ani laptopa jednak nie było. Julia przypomniała sobie słowa Marii – miała go ze sobą, gotowa sprzedać, by opłacić powtórne dochodzenie. Oko kamery jej telefonu komórkowego ześlizgnęło się na podłogę. Pod zimnym kaloryferem suszyły się pozostawione tam ponad rok temu adidas, obok nich leżały hantle. Sterta kolorowych pisemek „Logo” i „Men's Health” piętrzyła się pod parapetem z szarobiałego konglomeratu. Na dosuniętym do ściany biurku stały lampka i dwa czarne minigłośniki.

Zajrzała do szafy. Na wieszakach wisiało kilka koszul w kratę, niemal identycznych, różniących się jedynie kolorami. Dwie pary dżinsów leżały na półce, pod nią stało plastikowe pudło ze zwiniętymi w kulki skarpetami.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pozostało jeszcze jedno pomieszczenie, pokój sióstr. Tak jak się spodziewała, Maria zabrała ze sobą większość swoich rzeczy. Pozostawiła dwa łóżka i cztery niewielkie kartony zaklejone taśmą i opisane zielonym flamastrem. Zgodnie z napisem przedmioty w kartonach należały do Niny. Ubrania, szkolne książki i buty. Na jednym z nich siedział szary pluszowy kotek, zapewne znaleziony już po zalepieniu kartonów. Być

może Maria miała zamiar zabrać ze sobą z domu Ninę, i nawet spakowała jej rzeczy, ale plany pokrzyżowało załamanie psychiczne siostry i decyzja kuratora. Zostawiła więc wszystko w pudłach, ją samą zaś wysłała do „osób czuwających nad dobrem małoletniej ofiary przemocy domowej”. Ogołociła dom z gratów, które nadawały się na handel, ale nie tknęła rzeczy Leona. Bała się naruszyć jego przestrzeń, jakby wciąż w niej przebywał. Typowa reakcja bliskich: lęk przed pogwałceniem świętości ścian, podłogi i powietrza tego, który tu był i nagle odszedł. Nie starczyło jej sił, by ruszyć przedmioty brata.

Szafa dziewcząt była identyczna jak ta w pokoju Leona. Prosta, z kilkoma półkami i poprzecznym prętem na koszule lub sukienki. Z tym że ubrań w niej nie było. Maria zabrała swoje, rzeczy Niny leżały od roku w kartonach. Już miała zamknąć skrzydło szafy, kiedy spojrzała na małą szufladę na samym dole. Wysunęła ją. W szufladzie znajdowała się stara bielizna, najprawdopodobniej Niny, bo była prosta, bawełniana, bez ozdób i koronkowych wykończeń, jakie kochają starsze dziewczęta.

W świetle latarki coś błysnęło na czarno. Julia wyjęła z torby długopis i zaczęła wydobywać sztuka po sztuce bawełniane starocie, podnosząc je na końcówce pisaka. W końcu zobaczyła je w całości: zdjęcie USG, jedną klatkę wyciętą z wielu, jakie dostaje się od lekarza po zrobionym badaniu. Skąd się tu wzięło? Zapodziało się przez przypadek czy ktoś ukrył je tu celowo? Przyjrzała się rozmazanej szarej plamie z czarnym punktem pośrodku. Patrzyła na nią długo, w końcu wsunęła zdjęcie do kieszeni, obok tych zwykłych, zdjętych z drzwi lodówki.

Włożyła bieliznę z powrotem do szuflady i spojrzała ponownie na zabezpieczony karton ze szpargałami Niny. Wystarczyło znów sięgnąć po ostrze wytrychu i rozciąć taśmę, by dostać się do środka.

Powstrzymały ją przed tym głosy dobiegające z ulicy. Zgasiła latarkę i podeszła do okna. Dwie ubrane na ciemno postacie zbliżyły się pod mur bliźniaka. Mężczyzna i kobieta, para bezdomnych okupujących ogrodową przybudówkę, wracali z nocnej zmiany przeszukiwania śmietników. Pchali przed sobą dziecięcą spacerówkę, z której wystawały wyładowane po brzegi niebieskie torby z Ikei. Rejs po przysklepowych kontenerach, gdzie lądowały resztki jedzenia, oraz po PCK-owskich pojemnikach ze starymi ciuchami zrobił z nich michałowickich Rockefellerów.

Wolała nie ryzykować. Odczekała, aż przejdą przez wąski przesmyk trawy biegnący wzdłuż bocznej ściany domu, a ich głosy znikną stłumione w drewnianej przybudówce.

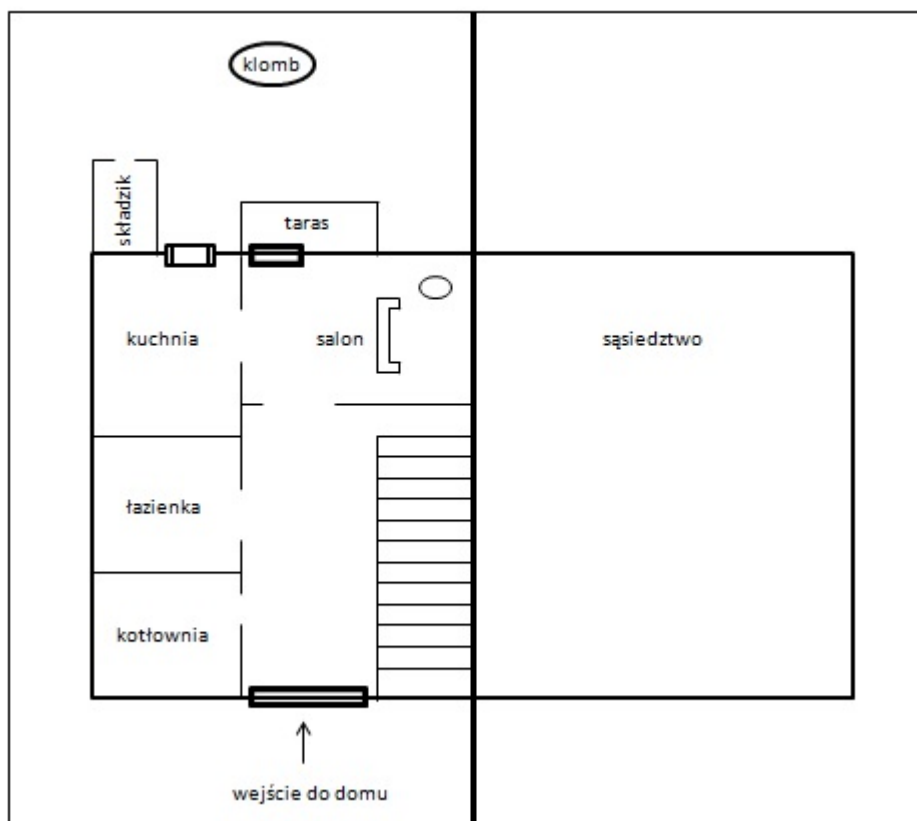
Po omacku zeszła po stopniach na parter i jeszcze przez chwilę nasłuchiwała, czy kroki aby nie powrócą. Kiedy zapadła całkowita cisza, wymknęła się przed dom i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wiedziała, że musi tu wrócić. Najlepiej za dnia, żeby nie zdradziło jej światło latarki błędzące po ciemnym wnętrzu. Kartony z pokoju Niny były zagadką. Być może nie zawierały niczego, co rzuciłoby światło na sprawę śmierci jej brata. Niewykluczone jednak, że w czeluściach pudeł zaklejonych szczelnie taśmą najmłodsza siostra ukryła coś, czego nie udało się odnaleźć policji.

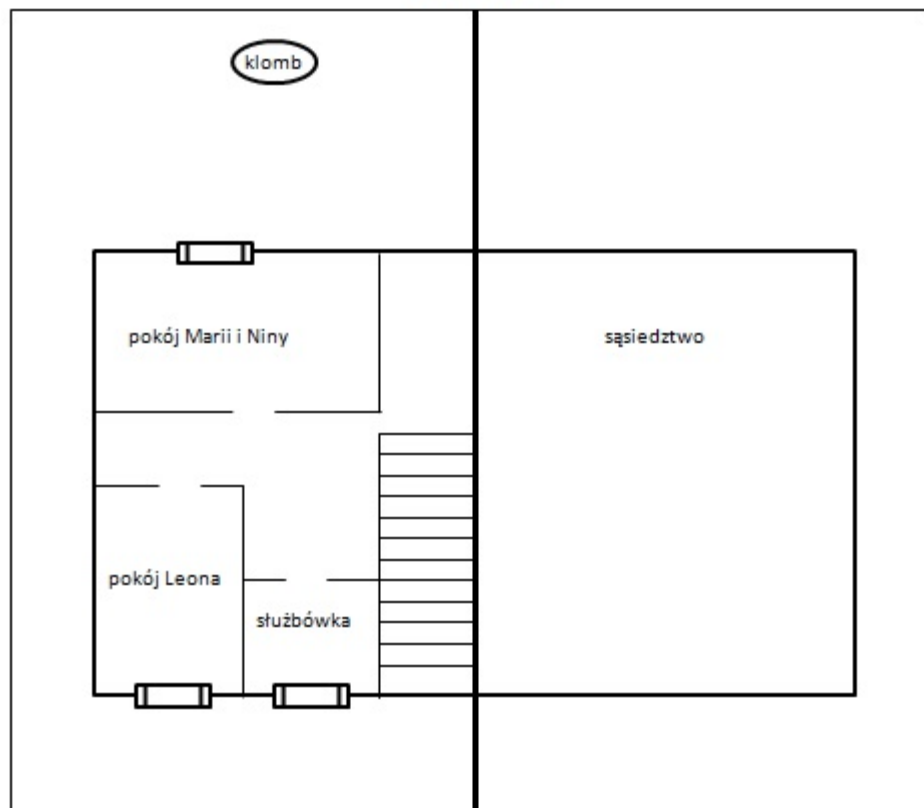
Na razie ścisłała w rękę szarego pluszowego kotka, porzuconego na kartonach z rzeczami Niny, którego złapała w ostatniej chwili.

Gdy znalazła się w swoim mieszkaniu przy Czerniakowskiej, odtworzyła nagranie z domu Rawskich i rozrysowała bryłę bliźniaka. Szkic domu wyglądał następująco:

PARTER



PIĘTRO



ROZDZIAŁ V

Otwarta wczoraj wieczorem butelka z czerwonym winem była do połowy pusta. Judyta Rawska-Kawka przełknęła ostatni kęs krewetki smażonej na maśle i zagryzła go chrupiącą bagietką. Dla urozmaicenia smaku spróbowała również różyczki z kalafiora powleczonej beszamelem. Po nocnym winie wciąż szumiało jej w głowie, ale nie na tyle, by odpuścić poranną kąpiel w szerokiej hotelowej wannie. Przyciszyła telewizor, który nadawał program śniadaniowy, i nieco chwiejnym krokiem ruszyła w stronę łazienki. Z przerzuconymi przez ramię świeżo zakupionym szlafrokiem i majtkami od atłasowego kompletu.

Usiadła na brzegu wanny i zanurzyła rękę w wodzie. Była gorąca, tak jak lubiła. Zbyt wiele zim i chłodnych wiosen cierpiała, marznąc w niedogrzejanej balii, którą matka stawiała pośrodku kuchni i do której kazała po kolei wskakiwać ich trójce. Wody nie wymieniała, zbyt długo grzała się w wielkim kotle, żeby marnować po pierwsze czas, a po drugie pieniądze. Butle z gazem kosztowały, a pieniądze mieli wyliczone od pierwszego do pierwszego. Wchodzili więc do balii kolejno, od najstarszego do najmłodszego: Hubert, Arleta i ona. Woda była mętna i osadzała na brzegach kadzi ohydłą warstwę mydlin wymieszanych z brudem zmytym z ciał. Judyta zawsze kąpała się ostatnia. Matka dogotowywała trochę wody, by młodsza z jej córek nie zmarzła, ale była oszczędna, dolewała do balii zaledwie jeden czajnik wrzątku. I choć nie przeszkadzało to Judycie, kiedy miała pięć lat, z biegiem czasu zanurzanie się w poszarzałej cieczy pełnej zarazków zaczęło wywoływać w niej obrzydzenie. Do tego, co pozostawili przed nią jej starszy o sześć lat brat i niewiele starsza od niej siostra. Za każdym razem czuła, jak zmyty z ich ciał brud oblepia ją tak, jak ropa wylana z tankowca prosto do czystego oceanu oblepia skrzydła wodnych ptaków.

Jednak pewnego lata nastąpiła zmiana. Miała wtedy jedenaście lat, a lipiec był wyjątkowo upalny. Weszła do wanny druga, zaraz po bracie. Podobna sytuacja powtarzała się regularnie, ale tylko raz w miesiącu. Krwawienie miesięczne trzynastoletniej wówczas Arlety wymusiło zmianę w kolejce, nikt nie mógł myć się w

krwistej wodzie, to przecież zrozumiałe. Woda po kąpielii brata była mniej mętna, ale wciąż nie na tyle ciepła, by mogła dawać przyjemność. Hubert wołał chłód, podobnie jak większość mężczyzn. O tym i o innych męskich upodobaniach Judyta dowiedziała się więcej, gdy sama wyszła za mąż.

Karol Kawka był jak spełnienie marzeń. Elegancki, bogaty i stary. Kiedy zamieściła w biurze matrymonialnym anons z długą listą wymagań, jakie miał spełnić kandydat na szczęśliwego małżonka, obawiała się, że odzewu nie będzie. Jednak odpowiedź przysłała po zaledwie kilku dniach. Dziewiętnastoletnia dziewczyna, co podkreślała z dumą, szczupła, zaradna i po maturze, choć bez widoku na wyższe wykształcenie, stanowiła dobrą partię. Na zdjęciu do folderu wyszła wyjątkowo korzystnie, z ułożonymi prosto od fryzjera blond włosami i oczami podkreślonymi cieniem, który dodawał im głębi i uwydatniał ciemne tęczęwki.

Jej pierwsze spotkanie ze starym Kawką odbyło się właśnie w Warszawie. Pożyczyła od matki pieniądze na kolejkę relacji Michałowice–Warszawa Główna i wysiadła w Alejach Jerozolimskich na Centralnym. Restauracja, którą wybrał Kawka, mieściła się dalej, przy Żurawiej. Nazwę i dokładny adres miała zapisane na kartce, którą od razu podała kierowcy taksówki. Dołożyła do interesu z nadzieją na szybki zwrot. Przez czternaście lat małżeństwa Karol Kawka nie tylko wyrównał stratę poniesioną w związku z kupnem biletu na pociąg i opłatą za taksówkę, ale, o czym miała przekonać się po jego śmierci w chwili otwierania testamentu, uprawomocnił ją do swojego osobistego rachunku w zachodnim banku, na którym odłożył okrągłą sumę dwóch i pół miliona euro. Od pierwszej chwili zapowiadał się dobrze, miał drogi zegarek i ciężki oddech spowodowany źle wyleczonym bronchitem. Nigdy wcześniej się nie ożenił, nie miał też dzieci, które roztrwoniłyby jego majątek zarobiony w młodości za wielką wodą i zawłaszczyły biznes rozkręcony na produkcji papierowych serwetek, jakie kładzie się w sklepach cukierniczych pod sprzedawane ciasta. I choć żyło mu się jak w niebie, na starość postanowił zażyć małżeńskich rozkoszy z kobietą młodą, zdrową i nieskalaną. Ponad czterdziestoletnia różnica wieku mu nie przeszkadzała, a Judycie nie przeszkadzało z kolei, że z rzadka osiągnana w ich małżeńskim łóżku rozkosz przerywana była za każdym razem atakami duszącego kaszlu.

Gdy usiedli naprzeciw siebie w restauracji o włoskiej nazwie, której i tak nie zapamiętała przejęta drogim zegarkiem Karola Kawki i zachwycona jego chorobą, powiedział tylko: „Niech pani zamówi, co tylko się pani podoba”. Spytała przekornie,

czy może zamówić wszystko, bo z menu podobało jej się właśnie wszystko. Musiało go to rozbawić, bo pokazał dwa rzędy dobrze zrobionych zębów i rozłożył ręce w geście zaproszenia. Wtedy wiedziała już, że trafiła na żyłę złota. Kiedy odwiózł ją swoim volvo na dworzec, miała pewność, że to spotkanie nie będzie ostatnim, a ona już nigdy więcej nie będzie kąpać się w balii z brudną wodą. Decyzja o ślubie zapadła szybko. Judyta równie szybko znalazła w internecie piękny dom pod Krakowem, gdzie mieli uwić miłosne gniazdko. Kawka marudził, że zbyt daleko od Warszawy, gdzie prowadził biznes, ale przekonała go, by zatrudnił i sownie opłacił menedżera, który na co dzień przypilnuje interesu, a on sam tylko raz na jakiś czas będzie zaglądał do stolicy. W końcu produkcja serwetek to nie budowa rakiety kosmicznej.

Do domu z ogrodem wprowadzili się jeszcze przed ślubem. Spali w osobnych pokojach, by dziewictwo Judyty zachować do nocy poślubnej. Suknia panny młodej przyleciała z Mediolanu, Judyta wyglądała w niej bajecznie i tak się czuła. Szybko przyzwyczaiła się do nowego nazwiska i obrączki, która dołączyła do pierścionka z trzykaratowym brylantem oprawionym w białe złoto.

Szum wody zamilkł wraz z przykręceniem kurka. Judyta zanurzyła się w pianie, po czym włączyła pilotem relaksacyjną muzykę. Tak długo na to czekała. Na luksus. Na wolność i pieniądze. A właściwie na to, co jej dawały, czyli możliwości i wpływy. Jeśli dzięki nim uda jej się zrobić choć jedną dobrą w życiu rzecz, będzie mogła myśleć o sobie jak o kimś wartościowym. Wtedy, gdy jako dziecko mieszkała w Michałowicach, była nikim. Jedyne, co mogła robić, to stać z boku i czekać na to, aż życie jej i rodziny się odmieni. Teraz miała okazałą sumę pozostawioną na koncie przez zmarłego półtora roku temu męża. Z chęcią uszczknie z tej góry pieniędzy tyle, ile będzie trzeba. Odmieni za to czyjeś przeznaczenie. Swoje również, przecież wszystko się ze sobą wiąże.

Namydliła ręce, przyglądając się świeżo zrobionemu manikiurowi. Zsunęła z serdecznego palca obrączkę, pozostawiając jedynie pierścionek z brylantem wielkości ziarna grochu. Obrączka, zgodnie z przyjętym zwyczajem, powędrowała na wdowi palec lewej dłoni.

* * *

Stara skoda przemknęła przez centrum miasta i wyjechała na rogatki Warszawy. Przed siódmą rano ruch był na tyle mały, że Julia niemal nie zdejmowała nogi z gazu. Jadąc

na spotkanie z Niną, czuła podniecenie, ale też obawę, jakby jechała na czołowe starcie z załadowanym po brzegi tirem.

Od kliniki wciąż dzieliło ją nieco ponad dziesięć kilometrów. Zbyt dużo, by już koncentrować myśli na tym, co ją spotka, gdy przekroczy bramę ośrodka, i zbyt mało, by przegnać z głowy wrzenie rozniecone tysiącem pytań, jakie się pojawiły, odkąd dowiedziała się, gdzie przebywa dziewczynka.

Gdy zabrzączał dzwonek jej komórki, szybko sprowadziła myśli z kliniki psychiatrycznej dużo bliżej, na warszawską Saską Kępe. Na wyświetlaczu pojawił się numer telefonu komórkowego jej matki. Emilia dzwoniła z komórki rzadko, wciąż uważając, że prawdziwym telefonem jest aparat stacjonarny. Komórkę babci eksploatowała więc Sylwia. Jeśli jej świergocący głos i słodkie „najcudowniejsza mammo na świecie, tak za tobą tęsknię” miały podnieść ją na duchu, wybrała najlepszy możliwy moment. Do tego ten głos powinien być miękki i o tej porze jeszcze bardzo zaspany.

– Mamo. – Głos Sylwii był zaspany, ale na tyle przytomny, by w jednym wypowiedzianym słowie zawrzeć pytanie, pretensję i złość.

– Tak, kochanie? Może najpierw małe „dzień dobry”?

– Mamo. – Tembr głosu nie zmieknął ani trochę. – Dziś jest wtorek. A we wtorki i piątki co mam?

– Szkołę masz. – Julia mignęła światłami, dziękując puszczającej ją przodem toyocie. – O ile dobrze pamiętam, w poniedziałki, środy i czwartki również.

– O, serio? – W głosie Sylwii słychać było nastoletnią drwinę. – Widzę, że znowu nie ogarniasz rzeczywistości.

Ogarnianie rzeczywistości było ostatnim hitem Sylwii zasłyszonym od koleżanki z klasy, Jagody. Pasowało do wszystkiego. Braku wyprasowanych ubrań, pustej lodówki i nieopłaconych składek na ubezpieczenie i komitet rodzicielski.

Julia skręciła i zjechała na pobocze pod lasem. Zatrzymała auto i zaciągnęła hamulec ręczny.

– Czego tym razem nie ogarnęłam? – Uśmiechnęła się do telefonu.

– Babcia pyta, gdzie jest moja biała koszulka na gimnastykę.

Jasna cholera!

– Halo! – Emilia już była przy słuchawce. – To ja. Powiedz mi, czy twoja córka ma ćwiczyć na golasa? Jak ma teraz iść na lekcje, w samych majtkach?

– Mamo...

– Ty się już chyba nigdy nie zmienisz. Biedne dziecko znów będzie musiało włożyć moją bluzkę, jak sierota jakaś. Ostatnio zeszczuplałam, wiesz przecież, że się odchudzam. Ale mimo to... no jak sierota! Nie ogarniasz już... dobrze mówię, Sylwia? No właśnie... nie ogarniasz niczego.

– Daj jej, co masz. Kupię kilka zapasowych T-shirtów, gdy tylko wrócę do Warszawy.

– Jak to „wrócę”? – Temat stroju na gimnastykę zszedł na chwilę na dalszy plan. – Gdzie cię znowu pognało?

– Musiałam wyjechać. To ważna sprawa.

– U ciebie same ważne sprawy. Żebyś tak o podkoszulkach pamiętała jak o tych swoich ważnych sprawach. Nie mówiłaś, że wyjeżdżasz z miasta.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam. Zajrzę do ciebie po południu.

– Z podkoszulkami.

– Tak, mam, z tuzinem podkoszulek. – Julia oparła ramiona o kierownicę i zapatrzyła się w brudnosiną szosę. – Dobrze, że chociaż ty wszystko ogarniasz.

– Co ty byś beze mnie zrobiła.

– Przepadłabym. Jesteś prawdziwym aniołem.

– Ktoś musi czuwać nad tą rodziną – odrzekła z wyrzutem Emilia. – I jedź powoli. Najwyżej pięćdziesiąt na godzinę. W radiu mówili, że rozbił się samochód pod Ostrołęką. Słyszysz mnie? Jeździsz jak szalona, a ja ci kwiatów na grób nie zamierzam nosić! Najwyżej pięćdziesiąt, pamiętaj.

– Muszę kończyć, mam.

Rozłączyła się. Nie wiedziała, co było gorsze: czekająca ją rozmowa z Niną czy kolejna rodzicielska porażka, czyli, w języku Sylwii, przypał.

Wróciła na drogę. Sprawdziła jeszcze, czy przez noc nie przyszedł żaden mail od Adama, ale nic nowego się nie pojawiło.

Wcisnęła mocniej pedał gazu. Jeśli ma dotrzeć do ośrodka zaraz po tym, jak skończy się pora śniadania, a pacjenci połkną swoje pierwsze leki, musi się pośpieszyć. Zanim zaczną się zajęcia i tym samym na kilka godzin zamkną się za chorymi drzwiami terapeutycznych sal.

Serce zaczęło dudnić jej między żebrami, gdy podjeżdżała pod bramę ośrodka. Z każdym metrem, który przybliżał ją do wejścia, uderzenia stawały się coraz silniejsze. To tu wszystko się zaczęło. I choćby nie wiadomo, jak się zmuszała, by odsunąć od

siebie wspomnienia, te wracały.

Zatrzymała się przed bramą, zgasiła światła i wyłączyła silnik.

Patrzyła na budynek i wyżej, w szyby okien rozświetlonych jarzeniówkami. Widziała pojedyncze sylwetki przesuwane się górnym korytarzem. Być może należały do osób, które kiedyś mijała, biegnąc do gabinetu na piętrze. A może byli to już całkiem inni ludzie, nowi, z nieznanymi jej nazwiskami i twarzami. Przez trzy lata mogło przecież zmienić się tu wszystko.

Sięgnęła na tylne siedzenie po torbę z notesem i dyktafonem. Jeżeli Nina pozwoli, włączy czerwony przycisk i nagra rozmowę. Jeśli jej stan będzie w ogóle na tyle dobry, żeby mogła otworzyć usta i przemówić. I, przede wszystkim, o ile jej zaufa. Nie zaufała ludziom w mundurach, którzy wsadzili jej matkę do aresztu i postawili przed sądem. Kilka lakonicznych informacji, które przekazała prokuraturze i policyjnej psycholog, były raczej bełkotem oszołomionego dziecka niż zeznaniem. Na dobrą sprawę nikt nie miał pewności, czy dziewczynka skąpiła szczegółów dlatego, że wystraszyło ją to, co widziała z okna domu, czy też nie widziała nic konkretnego i jej opowieść była jedynie historią wymyśloną na potrzeby sytuacji.

Julia zamknęła skodę i ruszyła w stronę głównego wejścia kliniki. Chodnik wykładany kostką, kilka ławek i klombów minęła szybciej, niżby chciała. Kiedyś przestrzeń wokół budynku wydawała jej się większa, teraz miała wrażenie, jakby skurczyła się, nadając miejscu charakter zminiaturyzowanego podjazdu i minispacerniaka.

Zanim nacisnęła klamkę, rozejrzała się na boki. Karetka, tak jak kiedyś, stała przy podnoszonej bramie do garażu. Tuż przy niej wózek na brudną bieliznę osobistą i pościel z łóżek pacjentów. W powietrzu czuć było zapach dezynfekowanych płócien. Niesiony wiatrem rozchodził się po całym terenie ośrodka. Ten sam co wtedy, sterylny i gryzący.

Pchnęła drzwi. Korytarz i schody prowadzące na górne kondygnacje wyglądały tak samo jak przedtem. Winda została chyba wymieniona, bo rozsuwane drzwi błyszcząły, jakby dopiero co przywieziono je z fabryki. Na ścianach niezmiennie wisiały tablice informacyjne z numerami gabinetów lekarzy. Pod nimi stało kilka krzeseł i dystrybutor z wodą oraz doczepionymi do niego plastikowymi kubeczkami.

Skierowała kroki do recepcji. Za szybą zobaczyła młodą dziewczynę w białym fartuchu sięgającym bioder, ze związanymi nad karkiem włosami i policzkami pociągniętymi apetycznym różem.

– Pani do kogo? – Dziewczyna wychyliła się, podnosząc z obrotowego stołka pośladki w obcisłych dżinsach.

– Do Niny Rawskiej.

– Rodzina?

Zawahała się. Mogła skłamać i podać się za daleką kuzynkę, której do tej pory nie było po drodze zajrzeć w to ukryte przed światem miejsce, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– Nazywam się Krawiec. Jestem tu na prośbę Marii, siostry Niny.

– Tej z dredami? – Dziewczyna przyjrzała się Julii nieufnie. – Dawno tu nie zaglądała. Z rok chyba. Najwidoczniej woli posłać kogoś obcego, zamiast pojawić się osobiście.

Teraz z kolei Julia nie kryła zaskoczenia.

– Wydawało mi się, że są sobie bliskie.

– Bo siostry? – Na ustach dziewczyny zabłąkał się przelotny uśmiech. – Gdyby tak było, pozbylibyśmy się połowy pacjentów.

– Nie rozumiem.

Recepcjonistka wzruszyła ramionami.

– A co tu jest do nierozumienia. Myśli pani, że tu są sami ciężko chorzy? Owszem, są i tacy, ale dla pozostałych bycie w domu, z rodziną, byłoby najlepszą terapią. Wystarczyłoby okazać trochę ciepła i zrozumienia. Porozmawiać, przytulić i, przede wszystkim, wysłuchać – dodała.

– A pani? – Julia nachyliła się do szyby dzielącej pokój recepcyjny od korytarza. – Rozmawia z nimi?

– Z rodzinami?

– Mam na myśli pacjentów.

– Bywa, że ktoś z nich mnie zaczepi, ale to rzadkość. Odzwyczajili się od tego, że można z kimś rozmawiać normalnie, a nie jak z lekarzem. Szkoda, bo to zupełnie co innego, inny rodzaj kontaktu. Lekarz zawsze będzie się kojarzył z białym fartuchem i pigułkami, a to zabija w człowieku spontaniczność i szczerłość.

Młoda kobieta zamyśliła się. Julia odniosła wrażenie, że zbyt daleko odpłynęła myślami.

– Chcę porozmawiać z Niną – powtórzyła, zerknąwszy dyskretnie na zegarek. Zanim dziewczyna z recepcji otworzyła na powrót usta, Julia położyła przed nią swoją świeżutką licencję prywatnego detektywa. – Wystarczy mi godzina.

– To nie ode mnie zależy, czy pani wejdzie i czy spędzi tu pani godzinę czy dziesięć minut. Zgodę na widzenie musi wydać lekarz. Rozumie pani, to szczególne miejsce.

– Jasne. – Julia pokiwała głową.

– No właśnie... A Nina to dziwny przypadek, nigdy nie wiadomo, czy akurat będzie miała dobry dzień.

Julia wyłapała w głosie kobiety coś, co kazało jej pozostać nieco dłużej przy szklanym oknie recepcji i pociągnąć temat. Kobieta wykręcała już jednak numer do gabinetu lekarza.

– Wciąż miewa załamania nerwowe? – Głos Julii przedarł się przez szybę.

– Chwileczkę. – Kobieta odwróciła się do niej plecami. Gestykulowała do słuchawki, unosząc ramiona w geście dezorientacji. Po chwili Julia usłyszała swoje nazwisko, powtórzone dwukrotnie. Lekarz nie dosłyszał lub wolał się upewnić, że usłyszał aż za dobrze.

Rozłączyła się i wstawiła słuchawkę pionowo do ładowarki.

– Piętnaście minut – powiedziała. – Może pani wejść za piętnaście minut, teraz jeszcze nie wolno.

– Jest zgoda? – Julia wolała się upewnić.

– Nie ma co się cieszyć na zapas. Nina nie wie jeszcze o pani przybyciu. Jeśli na wiadomość o gościu zareaguje zbyt nerwowo, nie zobaczy jej pani.

– Zbyt nerwowo? Czyli że leczenie nie skutkuje?

Recepcjonistka parsknęła.

– Pójdzie pani najpierw do jej lekarza – odparła. – Musi panią zweryfikować. Potem zadecyduje, czy może się pani spotkać z Niną. Taka procedura, dla dobra pacjentów.

Dziewczyna schyliła się i wyjęła papierosy z leżącej pod biurkiem torby.

– Wyjdzie pani ze mną na szybkiego dymka? – spytała i zatrzasnęła za sobą drzwi recepcji.

Wyciągnęła paczkę w stronę Julii.

– Może później. – Krawiec pokręciła głową. – Staram się rzucić. Poza tym wołę nie śmierdzić dymem przy dziecku.

– Święta racja. Ale i tak musi pani poczekać. Lepiej na świeżym powietrzu niż tutaj.

Wyszły przed budynek. Dziewczyna zacisnęła pod szyją kołnierzyk fartucha i

odgięła do tyłu głowę, wypuszczając przy tym z ust siwą chmurę dymu.

– Dlaczego powiedziała pani, że przypadek Niny jest dziwny? – spytała Julia.

Dopiero teraz przyjrzała się plakietce przypiętej do piersi recepcjonistki. Na złotym identyfikatorze wygrawerowane było nazwisko: Ewa Czajka.

– Bo jest. – Czajka zaciągnęła się papierosem. – Odnoszę wrażenie, że nasze leczenie niewiele jej pomaga. Uraz, z którym tu trafiła, musiał być bardzo silny.

– Dzieci źle znoszą widok zmarłego. – Julia wróciła pamięcią do ciemnego domu, przybudówki i podłogi, która sylwestrowej nocy pokryła się krwią Leona.

– Nina jest u nas od roku. Codzienna terapia, sesje i leki powinny dać efekt. Zwykle tak jest, ale z nią sytuacja wygląda inaczej. Zapadła się w sobie i zamknęła. Czasem powie kilka zdań, nawet z sensem, ale zwykle milczy. Zupełnie jakby nie chciała wracać do życia.

– Może chowa pigułki?

– Że niby pod materac lub do kieszeni? To niemożliwe. Wszyscy pokazują nam otwarte usta, zanim wypuścimy ich ze stołówki. Oglądała pani *Lot nad kukułczym gniazdem*?

– Klasyk.

– I klasyczna zasada, wszędzie ta sama. Przechylić kubek z lekami, przełknąć i otworzyć buzię, pokazać, co się ma pod językiem i w policzkach. Niekiedy myślę, że... nieważne, to tylko moja prywatna teoria.

– Takie są najlepsze. Czasem lepiej jest zawierzyć intuicji niż podręcznikom.

– Pewnie tak. Ale na razie moje zdanie się tu nie liczy. Jestem na praktyce, nie mam jeszcze lekarskiego dyplomu, a intuicja to ostatnia rzecz, jaką szanowni panowie doktorzy braliby pod uwagę.

– Liczy się tylko „mędrca szkiełko i oko”?

– Wiele rzeczy stoi tu na głowie. Kiedyś marzyłam o tym, żeby zahaczyć się tu na stałe. Wie pani, jak już skończę studia. Teraz nie jestem tego już taka pewna. To nie ta sama klinika co kiedyś. Inne rządy i inne podejście do pacjentów. Jestem na czwartym roku studiów, a zamiast pomagać pacjentom, wypisuję druki i odbieram telefony. Szkoda gadać. Tej dziewczyny też mi szkoda. Dzieciak z niej jeszcze, nie umie się w tym wszystkim odnaleźć. – Ewa zgasila papierosa o mur i rzuciła peta w krzaki pokryte resztką topniejącego śniegu. – Dlatego prawie nie wychodzi ze swojego pokoju, woli zostać tam, gdzie jest.

– W swoim świecie czuje się bezpieczna.

– Zna go na tyle, by nic w nim jej nie zawiodło. Kontroluje swój ból, izolując się od wspomnień. Powrót do rzeczywistości i ludzi, którzy przypominiliby jej o rodzinie, zabiły ją. Mam na myśli obcych, nie daliby jej przecież spokoju. Gazety piszą, że niedługo ruszy proces jej matki. To prawda?

– Tak. W marcu stanie przed sądem.

– No właśnie. Oby ta nagonka nie dotknęła małej. Kolejny stres pewnie by ją zniszczył.

– Dużo pani o niej wie.

– Bynajmniej. Nina mi się nie zwierzała, ale uczą nas o takich przypadkach. A co do Niny i jej zachowania, to tylko moje obserwacje. Mówiłam już, że nie dopuszczają mnie do pacjentów. Ale jeśli jest tak, jak myślę, nie dotrze pani do niej.

– Do każdego można dotrzeć, trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Dziewczyna roześmiała się dobrotliwie.

– Chce pani pobyć z nią godzinę... Co to jest godzina? Zresztą, sama się pani zaraz przekona, czy mam rację, czy nie. – Pchnęła drzwi, otrzepując jednocześnie buty z cienkiej warstwy błota. – Już czas, niech pani idzie. Doktor na panią czeka. Drugie piętro, gabinet numer sześć. Można albo schodami, albo windą. – Czajka wskazała głową kierunek.

Julia powinna spytać o nazwisko lekarza, żeby dowiedzieć się, kto leczy Ninę i kto w związku z tym powita ją w progu gabinetu. Przepadło, Ewa Czajka, zamiast wrócić do recepcji, schowała się za drzwiami toalety dla gości kliniki.

Julia wybrała schody. Na półpiętrze minęła się z kimś w białym kitlu, kto powiedział jej „dzień dobry”. Zareagowała zbyt późno, skupiona na myślach o tym, co usłyszy za kilka minut za drzwiami gabinetu. Kiwnęła tylko głową, ale człowiek w białym fartuchu był już na dole. Pewnie był to ktoś, kogo spotykała kiedyś w klinice i kto, mimo upływu czasu, pamiętał jej twarz.

Zapukała do gabinetu bez tabliczki na drzwiach, jedynie z numerem przybitym na dwa gwoździe. Czekala, aż usłyszy zaproszenie, ale wewnątrz było cicho. Ponownie zbliżyła palce do drzwi.

– Proszę! – usłyszała wreszcie.

Nacisnęła klamkę. To było jak *déjà vu*. Duże drewniane biurko ze stojącym za nim głębokim fotelem z wysokim oparciem, metalowe szafy z dokumentacją, nad nimi oprawione w ramki dyplomy. W rogu wieszak na płaszcze, obok umywalka i dozownik na mydło w płynie. Naprawdę minęło tak dużo czasu? Wydawało jej się,

jakby wyszła stąd wczoraj, całując na pożegnanie mężczyznę, który miał zostać jej mężem.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem w słuchawce pani nazwisko – dobiegł ją głos zza biurka.

Doktor Synowiec zbliżył się do niej z rękami rozłożonymi w powitalnym geście.

– Dobrze znów pana widzieć, doktorze. – Julia objęła dużo grubszy niż poprzednio tułów mężczyzny. O ile przybyło go w pasie, o tyle ilość włosów na głowie zmalała, ogoławając foremną czaszkę niemal do zera. – Pan wciąż na posterunku?

– A gdzie niby miałbym się podziać? – Doktor pokazał rząd równych zębów. – Na umieranie też jeszcze trochę za wcześnie. Poza tym, jak to mówią, złego licha tak szybko nie bierze.

– Sprytne, ale nieprawdziwe. – Julia powtórnie rozejrzała się po gabinecie, wędrując wzrokiem ponad ściskające ją ramię, i zatrzymała spojrzenie na ścianie z półkami. Regał kiedyś był niższy, teraz półki podciągnięto pod sufit. Mimo to książki i podręczniki z fachową wiedzą psychiatryczną stały i leżały powciskane jedne między drugie.

– Ile to już lat? – Doktor Synowiec wyswobodził ją wreszcie z uścisku i obejrzał od stóp do głów.

– Trzy.

Jego flegmatyczne kiwanie głową odebrała jako naciągany żal za utraconym kontaktem. Zupełnie jakby wtedy byli przyjaciółmi, którzy w zimowe wieczory popijali piwo przy kominku i wzajemnie raczyli się rubasznymi żartami.

– Sporo czasu – powiedział i skrzyżował ręce na piersi. – Tyle się zmieniło, odkąd pani zniknęła.

– Nie zniknęłam. Wróciłam do siebie – wyjaśniła Julia i rozluźniła szalik na zgrzanej szyi.

– No tak... – westchnął znacząco. – Każdy powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Wszyscy myśleliśmy, że dla pani jest ono właśnie tu.

– Mnie też się tak zdawało, jednak... nieważne.

– Tak. Co się stało, to się nie odstanie. A teraz proszę dać mi swój płaszcz i usiąść.

– Doktor Synowiec wskazał krzesło stojące przed biurkiem. – Napije się pani czegoś?

– Nie trzeba. Wolabym przejść do sedna.

– Do sprawy Niny Rawskiej? – Doktor Synowiec usiadł za stołem, na wprost Julii.

– Interesuje mnie ta dziewczyna. Dostałam zlecenie ponownego wszczęcia

śledztwa.

– Dawno nie było tu policji.

– Nie pracuję już dla policji. Działam na własną rękę.

– Ktoś panią zatrudnił? – Synowiec nachylił się nad zasłanym papierzykami blatem.

– Jej siostra, Maria. Według niej to nie ich matka zabiła Leona.

– Bzdura. Może nie wiem wszystkiego o tej sprawie, ale to, co wiem, wygląda dość klarownie. Gdyby było inaczej, Rawska nie siedziałaby od roku w więzieniu.

– W areszcie śledczym – poprawiła go Julia. – Dochodzenie nie zostało zakończone. Poza tym to tylko hipoteza. Prawdopodobna, ale jednak hipoteza. Istnieje ryzyko, że Rawska zostanie skazana za zbrodnię, której nie popełniła. Przyznała się do zabicia syna, ale nikt nie wie, co ją pchnęło do samooskarżenia ani gdzie znajduje się narzędzie zbrodni. Bez tego śledztwo nie może się zakończyć.

Doktor Synowiec wyjął z szuflady biurka paczkę papierosów i podszedł do okna. Uchylił je na tyle, by cienka smuga dymu wydostawała się na szpitalne podwórze.

– Nie znam się na policyjnych procedurach, ale nikt dobrowolnie nie przyznaje się do zbrodni, której nie popełnił. Musiałby być szantażowany albo zmuszony do tego w inny sposób.

– Ktoś miałby torturować Rawską, żeby przyznała się do czegoś, czego nie zrobiła? To nie średniowiecze, doktorze.

Kolejny wężyk dymu uniósł się nad łysą głową mężczyzny.

– Miałem kiedyś takiego jednego w klinice. To było lata temu, o badaniach DNA nikt jeszcze nie słyszał. Oskarżono dwudziestolatka o gwałt na dziewczynie. Ona miała wtedy czternaście lat. Jakiś przypadkowy człowiek znalazł ją na wpół żywą niedaleko stąd, zaraz za linią domów, gdzie zaczyna się las. Była zima, ona leżała skatowana między drzewami. Nie dało się jej uratować, zmarła w szpitalu. Złapano chłopaka, bo tamtej nocy kręcił się w okolicy i ludzie szybko wskazali go palcem. Był tak długo męczony w komisariacie, że wolał dać się zamknąć na dożywocie, aniżeli umrzeć z bólu. Niech pani tak nie patrzy, oboje wiemy, że takie rzeczy zdarzają się nawet teraz. Nie trzeba średniowiecza, w tej kwestii niewiele się zmieniło. Po piętnastu latach spędzonych za kratami jego adwokat zaczął się starać o ponowne rozpatrzenie sprawy. Tamten chłopak był już niemal wrakiem człowieka.

– Wyszedł?

– Tak. Prosto w moje ręce.

– Uniewinniony?

Doktor pokręcił przecząco głową.

– Sąd uznał, że podczas śledztwa doszło do nadużycia siły ze strony policji i dodatkowo wskazał kilka niedociągnięć prokuratury. To było podstawą do wypuszczenia go na wolność. Ale do tej pory nie zdjęto z niego piętna gwałciciela i mordercy.

– Skąd pan wie, że on tego nie zrobił?

– Znam się na ludziach, niech mi pani wierzy. Ten człowiek nie miał w sobie genu zabójcy.

– Może nie ma go też matka Niny. – Julia zdjęła z przegubu ręki gumkę do włosów i zakręciła nad karkiem szybki kok. Szyja parowała od ciepła dobywającego się z kaloryferów i wełnianego golfu.

– Nie rozmawiałem z nią, więc tego nie wiem. Wiem tylko, że technika policyjna poszła naprzód i badania przeprowadzone na miejscu zbrodni wykluczają przypadek.

– Zapomina pan, że za badaniami zawsze stoją ludzie.

– I mieliby jej celowo zaszkodzić? Pracowała pani wśród tych ludzi i wie...

– Wiem, że mają różne intencje. Nie wszystkie dowody trafiają na salę sądową i nie każda informacja przedstawiana jest podczas procesu. Słyszał pan kiedyś o manipulacji dowodami? No właśnie... Dlatego muszę zobaczyć się z Niną. Ona dużo widziała, może pomóc.

Okno zamknęło się i odcięło nagrany kaloryferem pokój od rześkiego powietrza. Doktor Synowiec podszedł do umywalki i dokładnie umył ręce, pozbywając się z nich zapachu papierosa.

– O co chce ją pani zapytać? Czy widziała, jak matka podcina gardło jej bratu? Muszę panią rozczarować. Nie pozwolę na to.

– Pan nie rozumie, doktorze...

– Rozumiem bardzo dobrze. Chce pani, aby Nina odtworzyła w pamięci noc, w której doszło do zbrodni.

– Zrobię to delikatnie.

– Nie ma takiego sposobu, by delikatnie spytać o morderstwo. To nie kradzież roweru ani nawet nie pobicie. Jak to niby miałyby wyglądać? Jakich słów chce pani użyć zamiast „zabić”?

– Jeśli ona mi nie pomoże, nie zobaczy swojej matki na wolności przez długie lata, a być może nawet nigdy. Gdy stąd wyjdzie, trafi... dokąd, do kogo? Jak będzie żyła

dalej? Niech pan się nad tym zastanowi. Ma dopiero jedenaście lat.

– Chce mnie pani wziąć na litość nad matką czy dzieckiem?

– Na zdrowy rozsądek. Siostra jej nie utrzyma, ledwie wiąże koniec z końcem. Poza tym nie ma pojęcia, jak wychowuje się dzieci. Nina trafi do domu dziecka i przesiedzi tam kolejnych siedem lat.

– Znajdą się ludzie, którzy...

– Tak, dobrzy ludzie z wielkim sercem! Naczytał się pan fantastyki, doktorze. Nikt nie zaadoptuje dziecka w tym wieku, które na dodatek ma matkę z kryminalną przeszłością. Takich jak ona nie chce się sadzać przy rodzinnym stole. Nina wylądowała w bidulu i pan świetnie o tym wie.

Doktor Synowiec stał przez chwilę oparty pięściami o blat biurka, po czym podszedł do metalowych szafek i wysunął szufladę z literami L–R. Wyjął z niej tekturową teczkę z nazwiskiem Niny Rawskiej. Klinika wciąż trzymała papierowe akta swoich pacjentów na wypadek awarii systemu komputerowego.

– Tu mam o niej wszystko, nie musi się pani z nią spotykać. Niech pani pyta, o co chce, mnie, nie ją. Zobaczę, co da się zrobić. Ale spotkania z Niną nie będzie.

Julia podniosła na niego wzrok, który do tej pory śledził wędrowną akt z szafki na biurko.

– Pan żartuje?

– Ani trochę.

– Chcę jej pomóc, nie skrzywdzić.

– Nigdy bym do tego nie dopuścił, droga Julio. Dlatego nie zobaczy się pani z Niną. Nie mogę tego zrobić, nawet ze względu na starą znajomość.

– Chowa się pan za procedurami czy boi się, że Nina powie coś, co będzie na tyle istotne, że trafi na kolejne przesłuchanie?

– To, co miała do powiedzenia, na pewno jest w raporcie u prokuratora. To wystarczy, żeby nie narażać jej na kolejną traumę. Wyniki jej leczenia mówią same za siebie. – Doktor Synowiec poklepał teczkę otwartą dłonią.

– Rozmawiała z panem o tamtej nocy?

Synowiec zawahał się przez chwilę.

– Nie, ze mną akurat nie rozmawiała. Wyspowiadała się innemu lekarzowi, co na to samo wychodzi. Powiedziała mu całkiem sporo, a to naprawdę duży postęp w stawianiu jej na nogi.

– Mogę zobaczyć raport z tej rozmowy? Macie go przecież, to część dokumentacji

lekarskiej.

– Raporty z wywiadów z pacjentami objęte są tajemnicą. Niech pani nie udaje, że o tym nie wie. Bez nakazu prokuratora nie zobaczy pani dokumentów. Powiedziałem już, że mogę udzielić pani wielu informacji, ale będą to informacje ogólne, które w żaden sposób nie naruszają dobra naszej pacjentki. Dla niej przecież sprawa wciąż jest bardzo świeża.

– Minął ponad rok.

– Dla osoby, która była świadkiem zbrodni, to tak, jakby to było wczoraj. Zanim mózg zacznie normalnie pracować, wciąż będą się mieszać dni z nocami, a tygodnie z miesiącami. Mówi pani, że to już rok. Wie pani, co po roku dzieje się z Niną? Wciąż mało śpi i zawsze zaszuwa na noc zasłony. Boi się patrzeć w ciemność za oknem, potrafi godzinami siedzieć odwrócona plecami do podwórza. Nie nawiązała znajomości z żadnym z pacjentów, zamknęła się w czterech ścianach. Wychodzi tylko na jedzenie i do łazienki. Odkąd tu jest, ani razu nie opuściła budynku. Boi się rozmów i unika ludzi.

– Nie powinno się jej zmusić do przebywania w grupie? Robicie z Niny odludka.

– Powiedziałem już, że Nina nie chce się z nikim widywać.

– Izolacja nikomu nie robi dobrze, niech mi pan tego nie wmawia, doktorze. Nawet papugi muszą mieć towarzystwo, a co dopiero jedenastoletnie dziecko. Niech jej pan wytłumaczy, że przysłała mnie Maria. Siostrze chyba ufa.

Doktor Synowiec otworzył teczkę i wyjął z niej jedną kartkę ze sporego pliku.

– Według naszych notatek siostra odwiedziła Ninę tylko raz. Przywiozła jej rzeczy osobiste i odjechała. Owszem, rozmawiały ze sobą przez telefon, ale tylko dwukrotnie. Po każdej rozmowie u Niny zaobserwowano podwyższoną nerwowość. Pielęgniarka, która robiła jej badania, napisała wyraźnie: „Po rozmowie z bliską osobą (z Marią Rawską) pacjentka doznała silnego uczucia lęku. Podano domięśniowo midanium, pacjentka pozostała pod obserwacją przez kolejną godzinę”. Identyczny wpis pochodzi z dnia kolejnej rozmowy.

– To niemożliwe, żeby na myśl o własnej siostrze ktoś wpadał w panikę.

– Wszystko jest możliwe, zwłaszcza jeśli w rodzinie panowały patologiczne zachowania. A sama pani przyzna, że rodzina Rawskich musiała być dysfunkcyjna, skoro doszło w niej do morderstwa. W takich sytuacjach musimy być wtedy z pacjentem do momentu, aż się uspokoi i będziemy mieć pewność, że lęk nie powróci.

– Nina nie powinna tak reagować. Są ze sobą silnie związane.

– Od kogo pani to wie?

– Od Marii.

Doktor uderzył ręką w zapisaną kartkę papieru z niewyraźnym bazgrołem, który miał być podpisem pielęgniarki.

– Notatka nie kłamie. Może ktoś próbuje z pani zakpić i podsuwa nieprawdziwe informacje?

– Po co miałyby to robić? To przecież siostra. Obie są z jednej matki.

– Ale, o ile mi wiadomo, z innego ojca.

– To coś zmienia?

– Nie musi, ale może. Wystarczy, żeby Nina miała świadomość, że matka bardziej kochała ojca Marii niż jej. To od razu stawia ją w gorszym położeniu i przez to zaczyna czuć niechęć do przyrodniego rodzeństwa. Oczywiście to tylko hipoteza, prawda może być zupełnie inna. W każdym razie rywalizacja o uczucia matki potrafi przyjmować różne formy.

– Jak odruch wstrętu lub lęku w stosunku do siostry?

– Bardziej wstrętu. Lęk, a właściwie emocjonalne rozedrganie, może być jego pochodną. Nina nie wykazuje tendencji stricte lękowych, widać w niej niepewność i gniew.

– Nawet po lekach? Wciąż je bierze?

– Regularnie, odkąd trafiła do kliniki. Mimo to co jakiś czas znajdujemy w jej pokoju rzeczy, które konsekwentnie niszczy. Jakby działała w amoku. Przez pewien czas wyładowywała się na meblach i ubraniach. Dawaliśmy jej nowe bluzki i swetry, nie mogliśmy trzymać jej nago ani pozwolić, by siedziała w porwanych rzeczach. Ale mebli za każdym razem wymieniać przecież nie możemy.

Julię zastanowiły słowa doktora Synowca. W jej głowie zaczął powstawać obraz zgoła inny niż ten, który przedstawiła jej Maria.

– Chciałabym zobaczyć jej pokój – powiedziała po chwili zastanowienia. – Jeśli nie mogę spotkać się z Niną, niech mi pan chociaż pozwoli wejść do miejsca, w którym mieszka.

– Interesują panią podrapane meble?

– Interesuje mnie wszystko, co jest związane z Niną. Bo to... – Julia wskazała brodą teczkę i wystające z niej dokumenty – ...to tylko suche dane, zwykła papierologia.

Synowiec trzasnął gumką teczki i dźwignął się, by odnieść akta do szafki. Gdy

znalazły się pod literą R, docisnął szufladę tak energicznym ruchem, że odskoczyła od metalowych pleców.

– Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają – powiedział do siebie pod nosem i dodał już głośniejszym głosem: – Niech pani tu zaczeka.

Poprawił odwinętą połą fartucha, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Proszę nie iść za mną – powtórzył.

Została sama. Przez chwilę siedziała nieruchomo, nasłuchując, czy kroki doktora oddaliły się na tyle, by mogła bezpiecznie poruszać się po pokoju. Zaczęła od szafki z teczką Niny. Blef wypalił. Interesowało ją wszystko, każde słowo zapisane w raportach lekarzy i pielęgniarek. Synowiec powiedział jej tyle, ile chciał. Była pewna, że nie miał zamiaru podzielić się z nią tak zwanym mięsem, czyli wszystkim, co było ważne z lekarskiego punktu widzenia, a stanowiło tajemnicę zawodową.

Znalazła teczkę bez trudu, nie wcisnął jej do końca pomiędzy inne. Wystawała ostrym brzegiem ponad pozostałe. Przerzuciła pierwszą kartę, gdzie poza informacjami o jej nazwisku, adresie, wieku i płci nie było nic szczególnie ciekawego. Na kolejnej było rozpoznanie choroby. Początki nerwicy lękowej. A więc jednak lęki, nie tylko wstręt. Obserwacje były prowadzone dzień po dniu, zapisywane kolejno, jedno pod drugim, zawierały krótkie notki na temat tego, co dziewczynka jadła, jakie brała leki i jak na nie reagowała. Zmieniały się nazwy pigułek i zastrzyków domięśniowych, jakby klinika prowadziła badania na szczurze laboratoryjnym. Zbyt często i w coraz większych dawkach. To po nich czuła się wyczerpana i apatyczna, chociaż skutek miał być odwrotny.

Nie miała czasu na przeglądanie wszystkich stron. Wyjęła komórkę i zaczęła robić zdjęcia. Musiała wykonać ich dużo, jak najwięcej. Przekładała kolejne strony i ustawiała aparat raz za razem. Niektóre zdjęcia wychodziły ostro, inne mniej. Ręce zaczęły jej się pocić, gdy z korytarza dobiegł ją odgłos kroków wracającego Synowca. Jeszcze trzy, dwa, jedno... Zamknęła teczkę i schowała ją między akta innych pacjentów.

Za plecami usłyszała, jak przekręca się klamka w drzwiach. Nie zdążyła dopaść swojego krzesła. Bliżej było do fotela, na którym wcześniej siedział lekarz.

– Wygodny jak madejowe łoże – powiedziała z niesmakiem i zakołysała się w siedzisku. – Poprzedni był dużo lepszy.

Doktor Synowiec przytomnie spojrzął na niedomkniętą przez Julię szufladę.

– Fotel doktora Maciejewskiego stoi w innym gabinecie. Czyżby stęskniła się pani

za nim?

– Nie mam zwyczaju tęsknić za meblami – bąknęła. – Gdyby tak było, popadałabym w obłąd przy każdej kolejnej przeprowadzce.

Synowiec spojrział na nią znacząco.

– Nie mówię o fotelu, Julio.

Cisza, która zawisła między nimi, zdawała się nie mieć końca. Patrzyli sobie w oczy, jakby chcieli przewiercić się wzrokiem. Doktor musiał wiedzieć o tym, co zaszło między nią a Arturem. Być może spotkali się właśnie tu, w tym gabinecie. Maciejewski był zbyt wściekły po tym, co od niej usłyszał, i wylał na Julię wiadro pomyj. Nie, to nie mogło odbyć się w ten sposób. Nie byłby do tego zdolny, zbyt mocno ją kochał, żeby miał jej ubliżać. Pewnie milczał i tłamsił w sobie rozczarowanie. To nie trwało dzień lub dwa, lecz tygodnie. Był daleko myślami, jego mentalna nieobecność doprowadziła do tego, że w końcu zaczęło się sypać w pracy. Może pacjenci zaczęli się na niego uskarżać, może nawet w roztargnieniu podał komuś złe leki. Więc on, nieomylny ordynator i władca ludzkiej psychiki, musiał sam poprosić o pomoc innego fachowca, by przypomniał mu na chłodno i z naukowym podejściem, że miłość to tylko zwykła chemia w mózgu, reakcja łańcuchowa dopaminy i serotoniny. Takie postawienie sprawy miało pomóc. Prawda wypowiedziana przez drugą osobę brzmi bardziej wiarygodnie niż powtarzana samemu sobie przed lustrem. Zdradził więc szczegóły Synowcowi. Może nie wyjawiał wszystkiego, pominął szczegóły tej jakże żalosalnej sceny, jaka wydarzyła się w przeddzień Wigilii. Synowiec widział tylko jedno logiczne wyjście z sytuacji: przypominał mu o norweskim instytucie, który wciąż na niego czekał.

Musiał wiedzieć sporo, dlatego teraz tak świdrował ją wzrokiem. Nawet jeśli to miał być ten moment, w którym mogłaby z udawaną swobodą rzucić niezobowiązujące: „A jak miewa się Artur? Czy jest zdrow i czy dobrze mu idzie w Norwegii, Szwecji czy Bóg wie gdzie?” i dać tym samym sygnał, że pyta tylko ze zwykłej życzliwości, zdobyła się jedynie na krótkie:

– Powinniśmy już iść.

Podniosła się z fotela i łapiąc swoją torbę oraz płaszcz, wyminęła doktora Synowca w drodze do wyjścia.

Przykleił do twarzy uśmiech, ten sam, z jakim powitał ją, kiedy przekroczyła próg jego gabinetu. Gestem ręki wskazał drzwi. Była mu wdzięczna, że nie wrócił do tematu Artura. Nie ma go tu i nie ma potrzeby, by rozmawiać o czymś, co minęło.

– Musimy zjechać na parter – powiedział doktor, przekręcając klucz w zamku i chowając go w kieszeni fartucha. – Pokój Niny jest w lewym skrzydle.

* * *

– Uwierzyła ci? – Klaudia Komasa odrzuciła z twarzy jasne włosy i wyciągnęła się na swoim łóżku, próbując sięgnąć po pilota leżącego na nocnej szafce. Ręka z niemal niewidocznym tatuażem znajdującym się pod łokciem namacała przedmiot, po czym włączyła telewizor.

Ostatni łyk złocistej corony przepłynął Marii przez gardło. Odstawiła butelkę na podłogę i zasłoniła usta, by powstrzymać wędrujący nagazowany bąbel powietrza.

– Spokojna głowa, umiem rozmawiać z ludźmi – odpowiedziała i otarła usta wierzchem dłoni.

– Przecież to glina, a gliny z zasady nie ufają ludziom. Z gliniarstwa się nie wychodzi, nawet wtedy, gdy zrzuca się mundur.

– Glina nie różni się niczym od normalnego człowieka. – Maria wyjęła z kartonowego sześciopak kolejną butelkę piwa i rozejrzała się za otwieraczem. Nie znalazła go w zasięgu wzroku, podniosła się więc z dywanu i przyłożyła kapsel do otworu we framudze drzwi. Kapsel odskoczył, szczerbiąc przy okazji szyjkę butelki. Gdy wróciła na poprzednie miejsce na dywanie, sięgnęła po paczkę z paluszkami. – Poza tym powiedziałam jej tylko tyle, ile powinna usłyszeć.

– I co? Wzruszyła się? – Przez pokój przebiegł chichot. – Rodzinne selfie też pokazałaś?

– No przecież. Musiałam być wiarygodna.

Z rozerwanej przez Marię paczki z paluszkami wysypało się na dywan kilka słonych pałeczek. Klaudia znów wyciągnęła rękę, tym razem po przegryzkę. Włożyła garść paluszków do ust i rozgryzła je na drobne kawałki.

– To taka łzawa historia! Nadaje się na serial Netflixa.

Spod powiek Marii powędrowało w jej stronę gromiące spojrzenie.

– Nie przeginaj i okaż trochę szacunku mojej rodzinie.

– Przecież mam rację. Posłuchaj tylko, jak to wspaniale brzmi: za górami, za lasami żyła sobie szczęśliwa rodzina...

– Przestań. Nigdy nie byliśmy szczęśliwi. – Maria przeniosła się z dywanu na łóżko przyjaciółki i oparła plecy o jej wygięty bok. – Dlatego żadnej łzawej historii z tego nie wyciśniesz. Już od dawna wszystko się waliło, tylko kto mógłby

przypuszczać, że dojdzie do... no wiesz do czego.

– Znasz moje zdanie. Gdyby nie wasza matka... Kto jak kto, ale to akurat ona powinna chronić was przed krzywdą.

– Chronić nas? Bardzo śmieszne. Matka miała wszystko w dupie.

Klaudia zastopowała włączony film. Nie była to cikliwa *Casablanca* ani inny łzawy romans. Na telewizorze pojawiła się czołówka *Śmiertelnej wyliczanki*.

– Od zawsze była dziwna – zgodziła się z Marią po chwili zastanowienia. – Nasze pierwsze spotkanie też było dziwne. Pamiętam je dokładnie, miałam wtedy dziewięć lat. Przyszłam do ciebie zaraz po lekcjach, ale nie było cię w domu. Zwykle matki pytają przyjaciół swoich dzieci o takie pierdoły jak rodzeństwo, zawód rodziców i inne bzdety. Żeby zagadać i wybadać przy okazji. Twoja matka spytała mnie, czy boję się widoku krwi. Bo jeśli nie, to mi coś pokaże. Zaprowadziła mnie do kuchni i pokazała martwego królika. Wisiał na sznurku na klamce w kuchni i dyndał głową do dołu. Postawiła mnie obok niego, a sama nacięła skórę w poprzek łap i zaczęła obdzierać go z tej skóry. Powiedziała, że ty już to kiedyś robiłaś i że to lubisz. Ale jak ja nie chcę na to patrzeć, to mogę wyjść do ogrodu i tam na ciebie poczekać.

Maria odebrała jej z ręki pilota i bez słowa włączyła film. Pierwszych kilka minut minęło im na oglądaniu scen retrospekcji, w których jedno z rodzeństwa rozbija drugiemu na głowie ciężką zabawkę, pozbawiając przytomności. Następnie oko kamery powędrowało po tytułach gazet: „Bracia zamordowali rodzinę” i „Jedno z bliźniąt wciąż w śpiączce”.

– Robiłaś to? – spytała Klaudia, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

Maria upiła kilka łyków piwa, po czym oblizła wargi.

– Może.

– Może? Takich rzeczy się nie zapomina.

– To były tylko głupie króliki. Skoro matka powiedziała, że je skórowałam, to pewnie tak było.

– Podobało ci się?

Maria ściszyła telewizor niemal do zera.

– O co ci chodzi?

– O nic. – Klaudia zgramoliła się z łóżka i podeszła do stojącej pod oknem toaletki. Klapnęła na wysuniętym spod niej wąskim pufie i spojrzała w lustro. W odbiciu wychwyciła odwrócone do niej bokiem ciało Marii. Też na nią patrzyła, wzrokiem lekko zamglonym po opróżnieniu do połowy kolejnej butelki corony. – Po prostu

jestem ciekawa, jak to jest.

– Mogłaś zostać wtedy w kuchni i popatrzeć. Albo spróbować.

Klaudia wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Nie dałabym rady. – Odkręciła buteleczkę z fluidem i naląła kilka kropel na gąbkę, po czym roztarła podkład na twarzy. Był zbyt żółty, skóra z porcelanowego nabrała odcienia, jaki towarzyszy zapaleniu wątroby. – Gdy tylko zobaczyłam to ponacinane futro, zachciało mi się rzygać.

Maria roześmiała się.

– I co? Zrzygałaś się?

– Tak. Niestrawioną kanapką ze szkoły. Prosto do miednicy, którą twoja matka podstawiła pod tego wiszącego królika. Nie mówiła ci o tym?

– Pewnie zapomniała. Ale to akurat mnie nie dziwi. Moje życie i sprawy moich przyjaciół mało ją interesowały. – Maria wyłączyła film, nie miała dziś nastroju na oglądanie. – Przez całe życie tak było. Chciała tylko wiedzieć, czy zdaję z klasy do klasy i czy nie mam dziur w zębach. Brakowało jej tematów do rozmów z nami. Nie lubiła nas, po prostu. A jeśli się kogoś nie lubi, to się nie chce z nim gadać.

Ręka Klaudii z czarną kredką do oczu zatrzymała się w połowie powieki.

– Chyba nie powiedziałaś tego tej byłej policjantce?

– Że od matki zalatywało wiecznym chłodem? Po co niby miałabym to robić? Własnego gniazda się nie kała, przynajmniej nie przed obcymi. Czasem pewne sprawy lepiej przemilczeć. Zresztą, jeśli ta Krawiec jest dobra w tym, co robi, to sama się tego domyśli.

– Chyba nic z tego nie rozumiem.

– Niby czego?

– Mówisz, że matka to chodząca góra lodowa i że od zawsze miała cię w dupie. To po jaką cholerę chcesz wyciągnąć ją z pierdła? Niech siedzi tam do usranej śmierci.

Tułów Klaudii odkręcił się w stronę pokoju.

– Nic z tego. Chcę odzyskać to, co straciłam.

– Masz na myśli wasz dom? Uzbierasz kasę na komorne i wrócisz. Matka nie jest ci do tego potrzebna. Na razie posiedzisz tu. Źle ci u mnie? – Klaudia dorysowała kreskę na oku i zamrugła powiekami, oceniając, czy obie czarne linie są symetryczne. – Moi starzy wrócą z placówki dopiero jesienią. Portugalia daleko, a im nie chce się zaglądać tu zbyt często. Wystarczy, że kilka razy w miesiącu widzą na Skypie moją w pełni szczęśliwą gębę.

Maria podeszła do przyjaciółki. Oparła brodę o czubek jej głowy i uśmiechnęła się do ich wspólnego odbicia w lustrze.

– Wiem, co robię.

– Na pewno? – Klaudia zapatrzyła się w oczy przyjaciółki. – Chcesz jej pomóc czy ukarać ją za to, co działo się w waszym domu? W tej na pozór szczęśliwej rodzinie ze zdjęcia, które pokazałaś tej glinie. Tylko że nie przemyślałaś jednego.

– Oświeć mnie. – Maria wydeła usta w udawanym zdumieniu. Odsunęła się od lustra i obserwowała, jak Klaudia nabiera na palec łososiowy cień, a następnie wklepuje go w przymrużone powieki.

– Jeśli ta kobieta, którą wynajęłaś, dogrzebie się do prawdy, wypłyną na wierzch wszystkie wasze brudy.

– Nie ma takiej możliwości. O ile wszyscy zainteresowani będą trzymać buzię na kłódkę, nikt się o niczym nie dowie. A ta była glina? Znajdzie jedynie to, co ma znaleźć, i nic więcej.

– Igrasz z ogniem. Obyś nie poparzyła sobie palców.

– Nic mi nie będzie. Kończ już to pacykowanie się, nie musisz wyglądać dobrze na cmentarzu. Po drodze kupimy wiązanekę, żeby Leon się ucieszył.

Klaudia przeciągnęła tuszem po rzęsach.

– Jak ma się cieszyć? Przecież on nie żyje. Po drugiej stronie nic nie ma. No, nie patrz tak, jakbym to ja była wszystkiemu winna! Nie ja wymyśliłam umieranie. O rany... No już... Oczywiście, że kupimy kwiaty... Przecież nic nie mówię. Pamięć mu się należy, w końcu był twoim bratem.

Klaudii zdawało się, że przez twarz Marii przebiegł cień.

– Mój brat... Boże, jak sobie to wszystko przypominam... Zrobiłam coś potwornego... – Maria spojrzała na przyjaciółkę.

Klaudia zakręciła tusz do rzęs i odłożyła go do kosmetyczki.

– Stało się. Nie mogłaś postąpić inaczej, to było przecież od ciebie silniejsze. Tak działa instynkt – powiedziała pocieszająco. – Chociaż właściwie człowiek zawsze ma wybór.

Maria pokręciła gwałtownie głową.

– Nie chcę trafić tam, gdzie jest teraz moja matka.

– Uspokój się. I odstaw już to piwo, bo zaczyna mącić ci rozum. Jest tak, jak powiedziałaś, tamta kobieta o niczym się nie dowie. Na pewno nie ode mnie. Nikt niczego ci nie udowodni. Było, co było, Leon oberwał i też nie piśnie słowa.

– To miał być żart?

– Mhm, dla rozluźnienia. A teraz zbieraj się, świeże cmentarne powietrze dobrze ci zrobi. Nie możesz pójść potem na uczelnię podchmielona. Jeszcze tego by brakowało, żeby cię wywalili ze szkoły. Przecież obiecałaś mu, że zrobisz te studia, co nie?

Klaudia wyciągnęła rękę do przybicia piątki. Zwiotczała dłoń Marii uderzyła cicho o dłoń przyjaciółki.

– Będzie dobrze. – Klaudia podniosła się od toaletki i ruszyła do przedpokoju po płaszcz. Wróciła ubrana już w swój granatowy, sięgający łydek. Pod szyją miała wytwornie zawiązaną apaszkę w czerwone chińskie smoki. Przytrzymała beżowy trencz Marii, by ta mogła wsunąć w niego ręce. Patrzyła, jak przyjaciółka zaciska w talii pasek, dużo ciaśniej niż zwykle, i jak swoim zwyczajem poprawia dredy, układając je na plecach.

Zanim wyszły, zajrzała jeszcze do portfela i odliczyła pięćdziesiąt złotych na plastikową wiązanekę. Wiedziała, że gdy tylko Maria stanie przed jej wyborem, będzie musiała po raz kolejny wykazać swoje finansowe wsparcie. Wolą od razu sprawdzić, czy ma gotówkę, zamiast stawiać przyjaciółkę w kłopotliwej sytuacji w przycmentarnej kwiaciarni. Żywych kwiatów kupować nie będzie, nie zrobi tego nawet dla Marii. Sztuczne przetrwają kilka kolejnych miesięcy, zanim nie wyblakną na dobre w promieniach letniego słońca, a Leonowi przecież i tak jest wszystko jedno.

* * *

Drzwi były uchylone. Doktor Synowiec pchnął je i puścił Julię przodem.

– To tu – powiedział, gdy znaleźli się w środku. – Skromnie, ale niczego jej nie brakuje.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na podłodze położony był parkiet dużo ładniejszy niż ten w jej mieszkaniu i nie tak zdarty. Pleciony chodnik leżał pod łóżkiem. Pojedynczym, ale na tyle szerokim, by można było spać bez obawy, że spadnie się z niego podczas zbyt nerwowych snów. Nad łóżkiem wisiała lampka do czytania, obok niego stała szafka, prosta, ale nie tandetna. Okno bez wstawionych krat, które były standardem w budynku, wychodziło na wjazdową bramę ośrodka i na las. Nie było parapetu, o który można by rozbić sobie niechcący lub celowo głowę, za to okno przysłaniała gęsto tkana zasłona, która po zasunięciu nie przepuszczała do środka zbyt wiele światła, nie mówiąc już o widoku z podwórza. Pod oknem stały dwa krzesła i stół z twardego plastiku. W kącie, w kwietniku wyrzeźbionym z

lakierowanego drewna stała rozłożysta paproć. Nie wyglądała na zdrową, część liści oklapła, z reszty osypywały się pojedyncze zbrązowiałe płatki.

– Szpitalny klimat nie służy kwiatom – wyjaśnił Synowiec widząc, że Julia zatrzymała wzrok na nieuprzątniętej podłodze. – Może ten pokój im nie odpowiada, albo strona świata nie ta, co powinna. Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż chorują i gniją. Moglibyśmy się ich całkiem pozbyć, ale ze względu na Ninę wymieniamy je co kilka tygodni na nowe. Mała nie chce przebywać z ludźmi, to niech choć na zieleń sobie popatrzy.

Synowiec niewątpliwie miał rację. Paproć, choć nadwątłona nieznaną chorobą, sprawiała, że w pokoju robiło się przytulnie.

Pod kwietnikiem w rozpakowanej zgrzewce z wodą mineralną stały dwie butelki. Była jeszcze niewielka jednodrzwiowa szafa na skromną garderobę Niny. Vis-à-vis łóżka stała niebieska rozkładana kanapa z małą czerwoną poduszką w kształcie serca.

– Prawie jak w Ritzu. – Julia przysiadła na kanapie i podskoczyła kilkakrotnie na jej miękkich sprężynach.

– Któryś z pracowników niedawno przywiózł tę leżankę. Zawadzała mu w domu, a że jeszcze się nie sypie, nie miał sumienia wyrzucać jej na śmietnik. Nie mieliśmy co z nią zrobić, więc chwilowo trafiła do pokoju Niny – wyjaśnił Synowiec. – Pewnie zastanawia się pani, czy nocują tu rodziny naszych pacjentów. Nie, nic z tych rzeczy. Tego nie możemy robić, a poza tym, jak już pani wie, do Niny nikt nie przyjeżdża. Leżanka zniknie stąd najdalej za kilka dni. Przygotowujemy nową salę do wypoczynku, z telewizorem i kącikiem czytelnictwem, więc tam będzie jak znalazł. Każdy dodatkowy mebel, za który nie musimy płacić, jest na wagę złota. A ten jest nawet całkiem elegancki, nie sądzi pani?

Julia nic nie sądziła na temat rozkładanej kanapy. Bardziej od jej przyszłych losów interesowało ją metalowe łóżko Niny, a właściwie coś, co znajdowało się nad nim. Była to nisza w ścianie, zlokalizowana na wysokości oczu. Niewielka, prostokątna i wypełniona lustrem.

– Szkło tutaj? – Podeszła do niszy i postukała zgiętym palcem w gładką powierzchnię.

Doktor Synowiec stanął za jej plecami.

– Nietłukące. Akrylowe – wyjaśnił. – Nie znajdzie tu pani nic, co by zagrażało Ninie, jeśli tego się pani obawia.

– Ja się niczego nie obawiam, doktorze. Może tylko tego, że nielegalnie

podglądacie ludzi. Po drugiej stronie lustra widać, co dzieje się w pokoju, mam rację?

Doktor skrzyżował ręce na piersi.

– To przecież dla ich dobra.

– Pan żartuje? To nie jest przecież typowa sala dla chorych. Brakuje krat w oknie, to tylko zwykły pokój.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Teraz tak. Ale ten budynek został zbudowany blisko sto lat temu. Kraty z okna wyjęliśmy dopiero w ubiegłym roku. Kiedyś było tu więzienie, a to skrzydło przeznaczone było dla szczególnie groźnych przestępców. Nisza w ścianie była wtedy znacznie większa i też miała kraty. Można było z sąsiedniego pomieszczenia nadzorować przez nie więźniów.

– Zamieniliście kraty na lustro, ale, jak pan to ładnie ujął, nadzór pozostał.

– Powiedzmy, że z sentymentu dla dawnych czasów.

– Podglądacie ludzi z sentymentu?

– Dobrze więc. – Synowiec zaczynał tracić cierpliwość. – Widzę, że jest pani wyjątkowo dociekliwa, jakby ten mały kawałek lustra miał rzeczywiście jakieś znaczenie. Jeszcze zanim wymyślono kamery, w kilku salach mieliśmy takie nisze z kratami. Mniejsze niż poprzednio, żeby pacjenci nie stresowali się, że są obserwowani.

– Myśli pan, że chorym ludziom robi różnicę, w jaki sposób są podglądani?

– Bywa różnie, proszę mi wierzyć. Zresztą, w takich miejscach trzymaliśmy pacjentów z bardzo ostrymi nerwicami, więc stałe monitorowanie ich zachowań było po prostu konieczne. Potem nisze w ścianach zostały zamurowane. Została tylko ta jedna, właściwie rzadko używana. Nasz system obserwacji zastąpiliśmy czymś zupełnie innym.

Synowiec zerknął na miniaturowy okrągły guzik zamocowany tuż przy sufitowej lampie. Migał niemal niewidocznym żółtym światłem. Julia stanęła tuż pod nim i zadarła głowę.

– Nie wygląda mi to na czujnik antysmogowy.

Doktor Synowiec przytaknął.

– To przecież dla naszych pacjentów, dla ich bezpieczeństwa.

– Aha, dla bezpieczeństwa. – Julia przyjrzała się migającemu światłu kamery. – Nina o tym wie? Ona nie jest obłąkana, nie powinna przebywać w pomieszczeniu z monitoringiem. Macie tu przecież inne pokoje. O ile pamiętam, lewe skrzydło nie jest

przeznaczone dla chorych. Wystarczyłoby zaadaptować jedną z tych małych salek na końcu korytarza.

Odpowiedziało jej kręcenie głową.

– Zgodziła się na to, byśmy na nią patrzyli.

Julia podeszła do łóżka Niny i usiadła na jego brzegu. Ponownie spojrzała na migoczący punkt. Nie miała wątpliwości, że oko kamery obejmuje cały pokój, nie dając nawet minimum intymności.

– Żadna nastolatka nie chce, żeby ktoś podglądał ją przez całą dobę. Powinniście to wyłączyć.

– Pani nie rozumie, droga Julio. Kiedy przyjmowaliśmy Ninę do zakładu, pokazałem jej mały gabinet. Mamy taki jeden, sąsiaduje z moim i jeszcze nie wiemy, do czego go wykorzystamy, więc na razie stoi pusty. Miałaby tam ciszę, znajdowałaby się z dala od ciężkich przypadków i krzyczących pacjentów. Żeby nie musiała słyszeć tego, co dzieje się podczas ataków szału. Naprawdę wydaje się pani, że po tylu latach pracy nie potrafisz odróżnić typowego wariata od człowieka, który potrzebuje jedynie spokoju i izolacji, żeby dojść do siebie? Ma pani rację, Nina nie jest psychicznie chora i nigdy jej tak nie traktowaliśmy. Przeżyła traumę i dlatego chcieliśmy potraktować ją wyjątkowo. Dać nawet telewizor. Ale odmówiła. Uparła się na ten pokój.

– Spytał pan dlaczego?

– Powiedziała, że nie chce widoku z piętra.

– Tylko tyle?

– Dodała, że od nocy, w której zginął jej brat, okno na piętrze wywołuje w niej lęk. To typowe dla takich przypadków. Pacjent za wszelką cenę chce odsunąć od siebie wszystko, co kojarzy się z przykrym wspomnieniem. Nawet jeśli to tak błaha rzecz jak widok z okna.

– Z jej pokoju widać było cały ogród. Mogła być świadkiem tego, jak matka ciągnie ciało brata do komórki. – Julia wróciła myślami do małego pokoju na poddaszu. – Jeśli stała przy szybie i oglądała, jak Leon i sąsiedzi puszczają fajerwerki, to z całą pewnością widziała też całe zajście. Jedna z wystrzelonych petard mogła dodatkowo oświetlić ogród. Wtedy zobaczyła matkę i Leona.

– To wszystko? – spytał nagle doktor Synowiec. – Obejrzała już pani cały pokój. Pora wyjść.

– Chwila. – Julia podniosła się z materaca i odgięła jego brzeg. – Mówił pan o

zniszczeniach. Nie widzę tu nic takiego poza odrapanym lakierem na ramach łóżka i kilkoma centymetrami wyrwanej gąbki.

Doktor podszedł do niebieskiej kanapy i ściągnął z niej minipoduszkę w kształcie serca.

– Co pan robi?

– Niech się pani przesunie.

Julia zrobiła, co jej kazał. Mężczyzna zmełł w ręku poduszkę i wcisnął w niszę z akrylowym lustrem. Następnie szarpnął ramą łóżka Niny i odciągnął je od ściany.

– Tu. – Wskazał ręką.

Oczom Julii ukazały się rysunki, a właściwie niezdarne rzeźbienia w ścianie wyryte czymś nie do końca ostrym, prawdopodobnie długopisem. Było ich dziesięć. Większość z nich przedstawiała ludzkie embriony, od tych najmniejszych, mających zaledwie kilka centymetrów, po kolejne, dużo większe. Kolejne fazy rozwoju płodu odwzorowane były mało udolnie, ale nie sposób było je pomylić z czymś innym. Na ostatnim, dziesiątym rysunku widniało dziecko już urodzone, miało dużą głowę i małe ręce.

– Bardzo ciekawe. – Julia wyjęła telefon i zrobiła nim kilka zdjęć. – Nie spotkałam się jeszcze z czymś takim. Co pan o tym sądzi?

– Nina próbuje się czymś zająć. Może wygląda to na coś nienaturalnego, ale nie przesadzałbym z oceną. Dostała od nas encyklopedię zdrowia, zresztą sama o nią poprosiła. Czyta też inne książki, ale głównie studiuje anatomię człowieka.

– To chyba dość nietypowe dla kogoś w jej wieku.

– Przeciwnie. Przeżyta trauma różnie wpływa na ludzi. Zaczynają czuć potrzebę poznania ludzkiego organizmu i chorób, na jakie zmarli ich bliscy, a w konsekwencji sposobu leczenia. Dzieci myślą, że gdy dorosną, będą studiować medycynę i pomagać innym, by nie dotknął ich rak czy alzheimer. Takie zjawisko obserwujemy właśnie u tych, którzy kogoś stracili. Mszczą się na chorobie, która odebrała im matkę czy siostrę. Nina straciła bliską osobę, i w żaden sposób nie mogła jej pomóc.

– Leon nie umarł na żadną chorobę. Został zamordowany.

– Tak, ma pani rację. Ale bez względu na to, w jaki sposób ginie człowiek, śmierć fascynuje żyjących jako zjawisko samo w sobie. To przerażająca zagadka, która często popycha do poznania tego, jak funkcjonuje nasze ciało. Stąd te rysunki.

– Jej pierwsze kroki w odkrywaniu tego, jak powstaje człowiek od momentu poczęcia?

– Na razie dość ogólnie. Zaczęła od encyklopedii, na medycynę akademicką przecież jeszcze za wcześnie.

– Nie łatwiej byłoby jej robić te rysunki w zeszycie?

– Łatwiej, ale ona tak nie chciała. Ma w sobie dużo złości, a złość rodzi nadprogramową energię, która musi znaleźć swoje ujście. Rysowanie w zeszycie zajmuje zaledwie parę minut. Kilka kresek i rysunek gotowy. A ona musi zabić czas, skupić się na czymś przez dłuższą chwilę. Rycie w ścianie długopisem to wysiłek. Nieraz obserwowałem ją pochłoniętą, jak siedzi w tym kącie i bazgrze po murze. Najpierw szkicuje, potem dłubie. Potrzebuje się wyżyć, jak to się mówi.

Doktor Synowiec spojrział wymownie na zegarek, dając tym samym sygnał, że czas wizyty Julii zbliża się do końca. Zaraz potem złapał za ramę łóżka i ustawił je na dawnym miejscu. Poduszka w kształcie serca wróciła na niebieską kanapę.

– Nie ruszymy tego – powiedział, dociskając materac do ściany. – Zabroniłem gipsować mur i wspominać przy Ninie, że przez jej nowe hobby czeka nas remont. Niech to będzie jej sekret.

– Dlatego zasłonił pan wcześniej lustro? Żeby nie widziała, jak odkrywa pan przede mną jej rysunki?

Nie odpowiedział.

– Pan wybaczy, doktorze, ale nie widzę w tym wszystkim logiki. Przecież Nina ma świadomość, że pan widział, co znajduje się za łóżkiem. Jest obserwowana przez kamerę przez całą dobę, więc po co ten cały cyrk i mydlenie sobie wzajemnie oczu?

– Nie nazywałbym tego cyrkiem.

– A jak? Obopólnym przyzwoleniem na iluzję intymności? Brzmi może ładniej, ale to wciąż cyrk. Raz wy ją, raz ona was... Bo teraz to ona bawi się w podglądacza, prawda? Jest tam, za ścianą, obserwuje nas od samego początku.

Julia podeszła do lustra i pomachała do ukrytej za murem Niny.

– Niech pani przestanie.

– Patrzy i zastanawia się, po co tu przyszłam. Czy jestem jej przyjacielem czy wrogiem.

– Potrzebuje czasu.

– Nie, doktorze. Ona potrzebuje kogoś, kto stanie razem z nią przy tym cholernym oknie na piętrze i zobaczy to, co widziała ona. Możecie ładować w tego dzieciaka tony leków, ale to będzie jak leczenie dżumy aspiryną.

– Za dużo pani mówi.

– Pan natomiast zbyt mało. Jako ktoś, kto chce pomóc jej rodzinie, powinien pan...

– Wiem, co powinienem. Nina nie potrzebuje pani pomocy. Nie takiej.

– Tak, tak... Lepiej odizolować ją od ludzi. Zamknąć w klatce, żeby jeszcze bardziej zdziczała. A może pan nie chce, żeby stąd wyszła? Nie wiem, na jak długo zostało opłacone jej leczenie, ale te pieniądze skończą się prędzej niż później.

– Sugeruje pani, że trzymam ją tu dla zysku?

– Ja niczego nie sugeruję.

– I niech tak zostanie. – Ręka doktora zacisnęła się na ramieniu Julii. – A teraz lepiej będzie, jeśli pani stąd pójdzie. Naprawdę, szkoda mojego i pani czasu na te dziecinne uszczypliwości.

– Myślałam, że miło sobie rozmawiamy. Żałuję, że jest pan odmiennego zdania.

Wyszli z pokoju. Julia widziała, jak Synowiec daje kątem oka znać stojącej za progiem pielęgniarsce, że już po wszystkim i niewygodna wizyta dobiegła końca. Kiedy tylko zielony płaszcz Julii zniknie w korytarzu prowadzącym do recepcji, wyprowadzą Ninę ze schowka i wpuszczą do pokoju z całodobowym monitoringiem. Może wcale nie chciała, by ją podglądali i nie było z jej strony na to żadnego przyzwolenia, a historyjka o przedziwnej prośbie Niny była kłamstwem, które wyszłoby na jaw, jeśli Julia stanęłaby z nią oko w oko. Dlatego ją schowali.

– Doktorze! – zawołała Julia za odchodzącym w przeciwnym kierunku Synowcem.

Mężczyzna obrócił się wolno w jej stronę.

– Coś jeszcze? – spytał, siląc się na neutralną uprzejmość. Wysiłek musiał być duży, sądząc po jego zaciśniętej szczęce. – Zapomniała pani o czymś?

– Tak. – Julia wróciła od wyjściowych drzwi i stanęła naprzeciw niego. Wyjęła z torby szarego kotka zabranego z domu przy Dereniowej. – Niech pan jej to da ode mnie.

– Pluszak?

– Należy do Niny. Najwidoczniej zapomniała zabrać go ze sobą albo zawieruszył się podczas jej przenosin do kliniki. Niech ma przy sobie coś poza ubraniami i długopisem. Miał być podziękowaniem za naszą rozmowę, do której nie doszło z pańskiego powodu. Tak czy inaczej, chcę, żeby go dostała.

Doktor wsunął maskotkę do kieszeni fartucha.

– Tyle mogę zrobić. Zresztą, o ile pamiętam, Nina bardzo chciała po niego wrócić do swojego domu. Musi go bardzo lubić.

– Niech pan nie zapomni. Na pewno się ucieszy.

Patrzyła, jak się oddala i skręca w kierunku pokoju dziewczynki. Słyszała, jak z głębi korytarza dobiega najpierw skrzypnięcie otwieranych drzwi, a zaraz potem ktoś stawia kilka delikatnych kroków. Potem znów szczęknięcie klamki i cisza tak wielka, że niemal rozsadzająca uszy.

Spokój trwał krótko. Julia nie zdążyła dojść do wyjścia, kiedy z głębi budynku dobiegł ją rozdzierający krzyk jakiejś młodej kobiety.

– Lepiej tego nie słuchać. – Ewa Czajka wychyliła się zza recepcyjnej szyby. – Zaraz dostanie valium i się uspokoi. Będzie spała do trzeciej po południu.

Julia spojrzała na zegarek. Wskazówki pokazywały dziesiątą pięć. Nie chciała wiedzieć, kim była ta kobieta ani dlaczego krzyczała. Miała tylko nadzieję, że ten rozpaczliwy wrzask nie należał do Niny.

– Gdyby coś się działo, rozumie pani, cokolwiek... – Julia wyjęła z portfela swoją wizytówkę i podeszła do Czajki. – Proszę dać mi znać.

Dziewczyna wyciągnęła rękę przez okienko. Po chwili wizytówka powędrowała do jej prywatnej torby.

– Jasne – odparła bez namysłu. – Tu wszystko może się zdarzyć. To w końcu dom wariatów.

ROZDZIAŁ VI

Arleta Rawska upiła ostatni łyk gorzkiej herbaty i odstawiła kubek na tacę, tuż obok pustego talerza. Jadała zawsze w ten sam sposób, siedząc z tacą na kolanach na swojej pryczy pod sufitem. Do stołu się nie pchała. Żaba i Gryga rozstawiały swoje miski tak, żeby dla niej brakowało miejsca. Zwłaszcza Żabie trudno było przełykać, gdy miała ją przed oczami. Wdrapywała się więc ze swoim przydziałem jedzenia na pryczę i opierając plecy o ścianę, jadała w samotności.

Codziennie przeżywała *déjà vu*. O równych godzinach podjeżdżał wózek na gumowych kółkach, szczękały drzwi otwieranych cel, a potem następowało ładowanie jedzenia do misek. Młoda i pyskata pomocnica kucharki, nazywana Łychą, najpierw lała zupę, po czym z wykrzywioną twarzą wrzucała na talerze rozbełtane ziemniaki przypominające białe błoto i polewała je wieprzowym gulaszem lub innym świństwem, w którym więcej było tłuszczu aniżeli mięsa. Kiedy manewrowała chochlą, sos spływał jej po rękę aż do łokcia, ale nie przyszło jej do głowy, by założyć rękawiczki, które wozila ze sobą przewieszane przez uchwyt wózka.

Jedzenie było klasycznie podłe. Arleta zostawiła połowę białobrazowego bełtu na talerzu i zsunęła się z pryczy. Przepisnęła się obok stolika, starając się nie trącić nogą ani łokciem Żaby i Grygi, i stanęła nad koszem na śmieci, chcąc wyrzucić niedojedzone kawałki tłuszczu.

– Gdzie?! – Żaba wytrzeszczyła oczy. – Do kibla z tym, żeby smrodu na salonie nie było!

Poszła posłusznie w kąt celi, do dziupli z sedesem bez deski i umywalką z pordzewiałymi kurkami, odgradzonej od łóżek zasłoną prysznicową zawieszoną na poprzecznym pręcie. Zsunęła łyżką zawartość talerza do muszli i usiadła na jej brzegu. Krawędź sedesu wbijała się w pośladki, ale musiała pobyć sama, choć przez chwilę. Nigdy wcześniej nie przypuszczałyby, że luksus odosobnienia będzie mogło dawać jej coś takiego jak ukrycie się za zwichrowaną zasłonką i patrzenie na ciekący kran. Kiedy tu trafiła, jej życie zamieniło się w koszmar.

„Przed” i „po” zadziało się szybko, tak samo szybko jak jazda ciemnymi ulicami

miasta w zamkniętym na ciężki zatrask radiowozie. Nie miała na sobie wiele, do wozu weszła, tak jak stała, w domowych pantoflach i narzuconym na ramiona palcie, spod którego wystawała nocna koszula zbroczona krwią Leona.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi radiowozu i usiadła w kącie na zimnej ławce, miała ciszę w uszach. Nie słyszała niczego i nikogo, nie dochodziły do niej płacz córek ani polecenia policji. Miała wrażenie, że wokół niej nie ma nic poza wielką czarną czeluścią, w głąb której leci na łeb na szyję. W mroku widziała tylko swoje dłonie, które z całej siły zaciskała między nagimi kolanami. Były blade od zimna, jedynie gdzieniegdzie między palcami przebijały ciemne smugi. Bała się podnieść je bliżej oczu, wołała nie widzieć, jak po wewnętrznej stronie rąk cienkie strużki krwi przybierają inny kształt aniżeli te na wierzchu dłoni. A właściwie jak nie mają już żadnego kształtu, są tylko zaschniętymi plamami pokrywającymi opuszki, i wypełniają linie głowy, słońca i życia. Ścisła je więc kolanami z uporem, by nie patrzeć. Co jakiś czas tarła nimi nerwowo o koszulę, która od pasa w dół przesiąknięta była krwią jej syna.

Potem poprowadzili ją korytarzem. Tak wąskim, że jeden z dwóch pilnujących ją policjantów musiał iść za nimi, żeby nie ocierać się o jej palto. Obaj byli blisko i niemal nie spuszczała jej z oczu, jednak wpatrzona w szarą posadzkę, jaka migąła pod jej stopami, nie zwracała uwagi na ich twarze skryte pod zimowymi czapkami z daszkiem. Coś mówili, ale mało i tylko do siebie, ani razu do niej.

Oprzytomniała na tyle, by rozejrzeć się wokół siebie, kiedy poczuła na ramieniu ciężki nacisk. Jeden z policjantów chwycił ją za bark i nakierował na otwarte drzwi. Pokój był mały jak schowek na szczotki, jedynie ze stołem i dwoma krzesłami. Ci dwaj na chwilę wyszli, zamiast nich pojawiła się kobieta w mundurze, na dłonie miała naciągnięte lateksowe rękawiczki. Kazała stanąć w rozkroku i obmacała po całym ciele. Gdy wyszła, wrócili tamci. Usiadła i podała dane, swoje nazwisko, datę urodzenia oraz kolor oczu i włosów. Jako wykonywany zawód podała pomoc domową. Zawahała się, gdy spytali o dotychczasową niekaralność. O ile pamięta, chyba nic im nie odpowiedziała. Potwierdziła natomiast, że jest matką dwójki żywych dzieci i jednego, które powitało nowy rok z rozplatanym gardłem. Oni mówili o nim „denat”. Brzydkie słowo, ale wymawiali je z łatwością. Musieli to przecież robić nie pierwszy raz, a denat to denat i nic tego nie zmienia.

Ustawili ją do zdjęcia. Przód, bok jeden i drugi. Sprawdzili, czy nie ma na ciele ran, i pobrali odciski palców. Odebrali palto i przeszukali kieszenie. Znaleźli

skasowany bilet na autobus i parę wełnianych skarpet, które wcisnęła jej Maria, zanim zabrali ją spod domu. Zajrzeli do jej butów, czy nie ma w nich niczego ostrego. Zapytali, kogo z bliskich wpisać do dokumentów, jeśli będzie chciała się z kimś skontaktować. Nie podała żadnego nazwiska, adwokata też nie chciała. Potwierdziła, że zabiła, i podpisała się pod zeznaniem. I znowu czekała.

Potem wepchnęli ją do miejsca, gdzie została sama. Wrzucili koc przesiąknięty potem i poduszkę, po czym zatrzasnęli kratę. Usiadła na twardej ławce i patrzyła tępym wzrokiem w ścianę. Tak spędziła cztery pierwsze dni. Piątego znów zapakowali ją do radiowozu i zawieźli do aresztu na Grochów. Tam zarejestrowali ją i po godzinie poprowadzili do gabinetu lekarskiego, w którym pod ścianą stał fotel ginekologiczny. Pozwolili się podmyć, zanim położyła nogi na podpórkach. Lekarka powtarzała „rozluźnij” chyba z dziesięć razy, zanim wsunęła palec do jej pochwy, sprawdzając, czy nie jest w ciąży. Zrobili nawet RTG klatki piersiowej i zbadali ciśnienie. Była zdrowa, tylko trochę odwodniona. Pod wieczór dostała miskę, aluminiowe sztućce, ręcznik i powłóczki na koc i poduszkę, po czym trafiła do celi.

– Zasnęłaś na tym tronie, królowno? – Żaba uderzyła otwartą dłonią w ścianę tuż nad jej głową. – No już, wypad! Sama stąd wyleziesz czy mam ci pomóc?

Rawska nie zdążyła podnieść się z sedesu, kiedy trzymana przez nią miska wylądowała na podłodze. Wytrącony widelec upadł na podłogę, wprost pod jej nogi. Schyliła się, ale zanim zdążyła go chwycić, poczuła na pośladkach czubek ciężkiego buta.

– Ładna dupcia... Mniam!

Arleta wyprostowała plecy i przesunęła się o krok. Była dalej od niej, trzydziestodwuletniej Żaby z głową ogoloną z jednej strony na zero. Z drugiej włosy rosły normalnie i sięgały połowy szyi. Łysa część wyglądała jak wyjedzona do połowy z pestek głowa dojrzałego słonecznika. Żaby nie sposób było nie zauważyć w tłumie, dochodziły do tego rozrośnięte ponad miarę bary i małe piersi. Była jak czołg upchany w opiętą białą podkoszulkę na cienkich ramiączkach.

– Zostaw ją. – Od stołu podniosła się blada jak perkal kobieta z papierosem w zębach, ubrana w polarową bluzę z kapturem. – Uczepiłaś się jej jak pies suki.

– Masz coś do mnie? – Żaba odskoczyła od Rawskiej i napięła się jak struna. – Nie wpierdalaj się, okej?

Pet Grygi wyleciał przez uchylone okno. Kobieta zakaszlała i poprawiła troki

kaptura, ściągnając je pod szyję.

– Chcę mieć tu ciszę. Głowa mnie boli, więc z łaski swojej zluzuj odrobinę.

– Zluzuję, jak zabiorą mi z celi tę kurwę. Patrzyć na nią nie mogę. Mieli ją stąd wynieść do innej klatki tydzień temu! I co? I ciągle siedzi na dupie!

– Nic z tym nie zrobisz. Zabiorą ją, kiedy zabiorą.

– Oby jak najszybciej. – Żaba wysunęła palec wskazujący w stronę Rawskiej. – Mówię ci, obyś zniknęła z moich pięknych oczu jak najszybciej. W przeciwnym razie wiosny nie dożyjesz. Na siostrzeńce swoje przysięgam.

Podeszła do swojego łóżka i wyciągnęła zza ramy zdjęcie przedstawiające dwóch chłopców. Pocałowała pyzate buzie i odłożyła fotografię na miejsce.

– Za tę kosę, co ją sprzedałaś, kurwo, własnemu dzieciakowi – dodała i otarła dłonią usta. – Dojadę cię, jeśli się stąd nie wyprowadzisz. Nie będę kiblować pod jednym dachem z dzieciobójką.

– Cisza tam! – Uderzenia w drzwi przechodzącej korytarzem strażniczki zamknęły Żabie usta. – Uspokój się, Bereziak! Co to za darcie się!

Żaba podskoczyła do drzwi.

– Już cisza, wsio w pariadkie. Ciśnienie mi skoczyło tyci.

– To se łeb pod kran wsadź, Bereziak. Może ochłoniesz. Albo do Bozi się pomódl i poproś o spokój.

– Bramini na wojnie tylko spokojnie, pani generał – krzyknęła Żaba, szczerząc zęby do zamkniętych drzwi. – Już opanowana jestem.

Kroki strażniczki ucichły. Rawska wyminęła Żabę i jak cień wskoczyła na swoją pryczę na piętrze. Podłożyła sobie poduszkę pod głowę i oparła plecy o ścianę. Była zimna jak wtedy, w styczniową noc, kiedy ją przywieźli do komisariatu. Zapowietrzony grzejnik pod oknem udawał, że daje ciepło. Równie dobrze zamiast niego mogliby przymocować pod parapetem bryłę lodu. Okręciła się śmierzącym, zapoconym kocem i przesiedziała w kuckach do rana. Zeskrobywała z rąk zeschnięte plamy krwi Leona, mocząc je śliną i trąc dłońmi o ostre włókna koca. Dłonie parzyły ją, zupełnie tak samo jak w chwili, gdy wyciągała nóż z szyi syna. Wtedy były jednak bardziej opanowane, nie drżały tak bardzo, a może tylko jej się zdawało, że czuje spokój. Wszystko działo się tak szybko. W niebo strzelały fajerwerki wypuszczane przez sąsiadów, krzyk córki ledwie przebijał się przez huk tryskających kolorowych rac. Wiatr zacinał po nieosłoniętym karku, ale nie czuła zimna. Uchwyt noża był rozgrzany, jakby wchłonął całe ciepło uchodzące z ciała Leona.

– O czym tak myślisz? – Z zamyślenia wyrwało ją szarpnięcie za nogę. Sąsiadka z dolnej pryczy naprzeciwko zsunęła z głowy kaptur i wlepiła w Rawską mdłe oczy. Gryga miała czterdzieści lat i imienia chyba nie posiadała, bo przez rok, odkąd przebywały w jednej celi, Rawska słyszała tylko jej nazwisko. Co niektórzy nazywali ją Grypą z racji nieustającego tytoniowego kaszlu. – Żaba cię nie zabije, nie bój się. Kłapie dziobem, ale nie podniesie na ciebie ręki. Za bardzo jej zależy na terminowym wyjściu. Liczy na warunkowe za dobre sprawowanie. Do dzieciaków siostry chce. Jej starego zatłukła, ale ciebie nie tknie.

Gryga obejrzała się w stronę zasuniętej zasłony, zza której dochodził odgłos oddawanego moczu.

– Nie wchodź jej w drogę, to i szczerkać w końcu na ciebie przestanie. Pieni się za byle gównem. Narwana jest, ale zabić nie zabije.

Szum spuszczonej wody zakończył rozmowę. Żaba stanęła w rozkroku, próbując zapiąć guzik w dzinsach. Na widok Grygi stojącej przy Rawskiej odrzuciła do tyłu głowę z połową włosów.

– Romansik? Tyle razy mówiłam ci, żebyś z nią nie gadała!

– Odwal się, Żaba!

Ramiona Żaby napięły się bardziej niż zwykle.

– Po pierwsze, należy do mnie, więc się łaskawie nie wpierdalaj. Po drugie, za takie szepto ozór można stracić. Nie zapominaj, kim ona jest.

– Powiedziałam, daj żyć.

Przez chwilę słyhać było, jak Żaba puszcza wodę z kranu, zaraz potem rozszedł się zapach szarego mydła. Pachnące przeznaczone było tylko do kąpieli pod prysznicem.

– Powiedz to jej. – Żaba zakręciła kran i podeszła z ociekającymi wodą dłońmi do Rawskiej. Chlapnięcie z palców prosto w twarz trwało ułamek sekundy. – Ona żyć dzieciakowi nie dała. Za takie coś to... – Przejechała palcem po szyi.

– Jest jeszcze przed sprawą, więc odpuść. Głupio ci będzie, jak ją uniewinnią.

– Gównem tam uniewinnią! Zaciukała, to i będzie siedzieć. A ciebie za ojca uniewinnili?

– Ja to co innego.

– Pewnie, że co innego. Ale jak sadzają za zaciukanie starego, to za dzieciaka chyba tym bardziej.

– Nie o tym mówię. Na mnie mieli naocznego świadka.

– Ta, mamuszkę twoją mieli. Tak ci podziękowała za obronę przed łomotem od ojca, że aż wylądowałaś w klatce.

– Po prostu powiedziała prawdę.

– Gówno tam! Prawdę... mogła się zamknąć i nic nie mówić. Takie jej prawo.

– Nie mam pretensji.

– Pewnie! – Żaba wydeła usta jak do pocałunku. – Kocham swoją mamusię i nieważne, co się ze mną stanie, ważne, że ona jest szczęśliwa i może spać sobie bezpiecznie w swoim wygodnym łóżeczku... Ja na twoim miejscu tak bym ją opierdoliła, że szybko odszczekałaby swoje zeznania.

Gryga sięgnęła po kolejnego papierosa. Zapaliła i wypuściła z ust cienki strumień dymu w kierunku swoich stóp.

– Boże, jak ty schamiałaś...

Usta Żaby rozprostowały się i rozciągnęły do właściwych rozmiarów.

– Każdy tu chamieje, inaczej nie idzie wytrzymać. Ty z czasem też taka będziesz, to tylko kwestia czasu. A tą... – Wskazała na Arletę brodą. – Tą powinno się na plac i potem na szubienicę. Niechby ludzie zobaczyli, jaka z niej mamuska. Jeszcze lepsza niż twoja, popatrz no, że można jeszcze bardziej się zeszmacić... Syna miała dość, bo co? Niegrzeczny był z niego chłopiec? Wódkę może pił?

Rawska przywarła plecami do swojego skrawka ściany i podkuliła nogi. Zacisnęła palce na uszach, byle odciąć się od tego szczekania, i zamknęła oczy. Musiała to zrobić natychmiast, zanim coś nakazałoby jej chwycić za ręcznik, zwinąć go i zacisnąć na klockowatej szyi Żaby. I przytrzymać. Mocno i na tyle długo, żeby wreszcie wszystko ucichło.

Tak samo jak wtedy, gdy Leon przestał oddychać.

ROZDZIAŁ VII

Podpisz. – Sylwia wyciągnęła dzienniczek i położyła przed Julią razem z długopisem. – Następnym razem wezwą cię do szkoły.

– Za brak podkoszulka?

Sylwia przechyliła głowę i z miną zmęczonego basseta przewróciła oczami.

– Znowu nie ogarniasz, to zawiadomienie o wywiadówce. Nie poszłaś już dwa razy. Kolejne zebranie jest pojutrze. Czuj się zaproszona. Zresztą to twoja ostatnia szansa, żeby nie wzięli mnie za jakieś bezpańskie dziecko. Podpisz, że widziałas.

„Ostatnia szansa” zabrzmiało w ustach Sylwii, jakby za rogiem czaił się hycel wyłapujący dzieci niesubordynowanych matek. Julia posłusznie przeczytała zawiadomienie wklejone do dzienniczka i podpisała w miejscu wskazanym przez córkę.

– Nic mi nie mówiłaś o poprzednich zebraniach. Przecież bym poszła – dodała, próbując nieudolnie wybielić się w oczach Sylwii. Podłapała jednak gromiące spojrzenie matki. Emilia twardo trzymała z wnuczką, nawet gdy była zajęta rozbijaniem schabowych.

– Nie zrzucaj winy na dziecko. – Tłuczek wbił się w mięso. – Wstyd przed całą klasą i wychowawcą! Ja za ciebie chodzić na wywiadówki nie będę. Byłam kilka razy i nigdy nie widziałam, żeby zamiast matek przychodziły babcie. Ojcowie, owszem. Ale Sylwia i tego nie ma.

– Mam! – Mała podskoczyła na krześle. – Tylko mama nie chce go widzieć.

– Siedź cicho! I rozbełtaj jajko do kotletów. Za takiego ojca też wstyd. Mogłaś mieć nowego, porządnego. Ale...

– Mamo, na miłość boską! – warknęła Julia, ledwie hamując się przed złapaniem czegoś ciężkiego.

Emilia rozłożyła bezradnie ręce.

– No już, już. Co było, to było. Może jeszcze kiedyś uda ci się kogoś przekonać do tych swoich dziwactw. Chociaż uprzedzam, żaden normalny mężczyzna nie zwiąże się z kimś, kto biega z bronią za paskiem. I do tego w spodniach zamiast sukienki.

Jeden się taki znalazł, to go pognałaś. No przecież już nic nie mówię! – dodała, widząc coraz mocniej zaciśnięte usta Julii. – We własnym domu nie mogę się wypowiedzieć. Skaranie boskie!

Sylwia przerzucała wzrok z matki na babcię, niezmiennie mieszając rozbite jajko.

– Dziadek też przyjdzie na obiad? – odezwała się dopiero, gdy kawałki posolonego mięsa wylądowały na talerzu. – Obiecałaś, że go zaprosisz.

Emilia już otwierała buzię, ale Julia była szybsza.

– Innym razem, dziś zjemy we trzy. Mam nadzieję, że nie proponowałaś ojcu, żeby przyszedł, kiedy ja tu jestem?

Emilia odwróciła się plecami i wrzuciła smalec na patelnię. Ziemniaki dochodziły, brakowało tylko surówki.

– Zanieś, dziecko, talerze do pokoju – zwróciła się łagodnym głosem do Sylwii. – I włącz sobie telewizor.

Odczekała, aż kroki wnuczki ucichną w salonie, i przymknęła drzwi do kuchni. Stała nad Julią ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Mam tego dość.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz. Mam dosyć twojej wojny z ojcem.

– Nie ja ją zaczęłam. Dziwię się, że już zapomniałaś, jak cię załatwił, kiedy byłam dzieckiem. Masz bardzo krótką pamięć.

Emilia zmrużyła oczy, zamieniając je w szparki. Patrzyła nimi chłodno, świdrując Julię na wskroś.

– Wiesz, jaki jest z tobą problem? – spytała, nie bacząc na skwierczący na patelni smalec.

– Na pewno zaraz mi powiesz. Nigdy nie wahałaś się mówić mi prawdy prosto w oczy, zwłaszcza jeśli chodzi o to, co o mnie myślisz.

Emilia nachyliła się nad dzielącym je stołem.

– Nie umiesz wybaczać. Nikomu i niczego. Nawet staremu ojcu.

Julia zrobiła to samo, przysunęła się do matki tak blisko, że widziała, jak kolejne fragmenty na skórze jej szyi pokrywają się czerwienią.

– Nie był stary wtedy, kiedy nas zostawił.

– To było dwadzieścia lat temu – wyszczała Emilia, ścisząc głos.

– Dokładnie dwadzieścia dwa. A ja nadal mam w pamięci tamten dzień. Zabawne, jak wszystko zostaje tu. – Julia dotknęła palcem czoła.

Emilia cofnęła się i bez słowa komentarza wróciła do kuchenki i palącego się na patelni tłuszczu. Wrzuciła na niego obtoczony w jajku i tartej bułce kotlet. Kiedy sięgała do lodówki po sałatę lodową, odezwał się dzwonek u drzwi. Oderwana od telewizora Sylwia wyskoczyła radośnie do przedpokoju.

– Otwieram! – zawołała spod wizjera.

Emilia spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Wskazywał równo trzecią po południu.

– Wpuść dziadka, kochanie.

Parsknięcie Julii zginęło w odgłosie pryskającego smalcu.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś.

Matka wyjęła z szuflady cztery pary sztućców i cztery serwetki.

– Powiedziałam ci już, mam dość wojny w rodzinie.

– I w związku z tym postanowiłaś po raz setny spróbować posadzić mnie z ojcem przy jednym stole.

Dawno nie widziała u matki takiego poważnego wyrazu twarzy. Emilia dołożyła smalcu na patelnię i rozsmarowała go widelcem.

– Możesz zostać z nami albo wyjść.

Z przedpokoju dobiegło ciche zamknięcie drzwi, a zaraz po nim pisk Sylwii. Dołączył do niego niski męski głos i cichy szelest folii.

– To dla mnie? – Sylwia przewróciła aktorsko oczami i przycisnęła do brzucha owinięte celofanem kwiaty.

– Tym razem dla babci. – Edmund zdjął kapelusz i nasadził go na głowę wnuczki.

– Dla ciebie mam coś innego. Ale to potem, po obiedzie.

– Teraz!

– Nie wytrzymasz jednej godziny?

Pokręciła zapalczywie głową. Edmund, wciąż stojąc w płaszczu, wydobył z za pleców pudełko.

– Monopol! – Oczy Sylwii zaświeciły się na widok gry. – Muszę pokazać mamie.

Odwiesił na wieszak jesionkę i wszedł za Sylwią do kuchni, zacierając zziębnięte ręce. Na widok Julii wyciągnął na powitanie dłonie.

– Gdybym wiedział... – powiedział, zerkając na ścisną przez Sylwię planszówkę i bukiet. – No cóż, następnym razem przyniosę dwa.

Julia niemal ugryzła się w język, żeby zapewnić, że nie oczekuje od niego ani kwiatów, ani niczego innego. Jednak potrząsnęła jego dłonią, widząc wlepione w nią

w oczekiwaniu oczy córki.

– Mama dostała nową sprawę – poinformowała Sylwia z dumą. – Ale nie chce o niej mówić. Znów ktoś kogoś zabił. Prawda, mammo?

– Prawda – wycedziła Julia. – Pozbieraj lepiej książki z pokoju, zaraz po obiedzie wracamy do domu.

Emilia zdjęła z patelni ostatniego schabowego.

– Niech tu zostanie. Nie musisz ciągać jej tam i z powrotem. Ma tu wszystko, czego potrzebuje. Posiedzimy sobie we troje z dziadkiem i pogramy w to coś.

– W pieniądze – wyjaśniła Sylwia. – Ja będę kupować kasyna i stacje benzynowe, wy będziecie mi płacić.

– Wolałabym...

– Zostaw nam ją, dziecko. – Edmund posłał Julii prośące spojrzenie.

Dziecko? Nazwał ją dzieckiem? Z trudem stłumiła parsknięcie.

– Co ci jest, mammo? – Sylwia odłożyła na stół monopol i złapała matkę za rękę.

– Nic, kochanie, naprawdę nic. – Julia poklepała córkę po dłoni. – Wszystko w porządku.

Emilia polala sałatkę oliwą i z impetem włożyła do miski dwie łyżki.

– Powinnaś bardziej nad sobą panować.

– Oczywiście, mammo. – Julia uśmiechnęła się z przekąsem. – Nie zamierzałam popsuć tak cudownego popołudnia. W końcu nie ma jak kochająca się rodzina.

– Dobrze, że to w końcu zrozumiałaś. A teraz siadajmy do stołu.

Korowód czterech osób niosących talerze z ziemniakami, kotletami, surówką i monopolem ruszył w kierunku salonu.

– Wreszcie jesteście w komplecie. – Edmund pojaśniał.

– Tak powinno być – zawtórowała mu Emilia, sadowiąc się na fotelu za stołem. – Wspólny posiłek jest najważniejszy i za ten dar wszyscy powinniśmy podziękować Najświętszej Pani i całej Bożej Rodzinie. W imię Ojca i Syna... – Podniosła rękę do czoła.

Zaczyna się, pomyślała Julia, po czym wzięła bardzo długi i bardzo głęboki oddech.

* * *

– Podoba ci się? – Doktor Synowiec przysunął krzesło do łóżka Ninki.

Odłożyła na bok książkę Johna Greena i niespokojnie spojrzała na rzecz, którą

trzymał, po czym dyskretnie zerknęła na kamerę pod sufitem.

– Co to?

– Prezent dla ciebie. Nie poznajesz? To przecież twoja stara maskotka. – Synowiec pokręcił jej przed twarzą pluszowym kotkiem, jakby miał przed sobą niemowlaka. – To po nią chciałaś wrócić do waszego domu?

Podciągnęła się na materacu, ale nie sięgnęła po przytulankę.

– Wtedy tak, ale teraz wolę książki – odpowiedziała i ponownie chwyciła *Gwiazd naszych winę*.

Synowiec przyjrzał się tytułowi.

– To smutna historia, nie powinnaś jej czytać.

Wzruszyła ramionami ukrytymi pod rozciągniętą bawełnianą bluzką z rysunkiem pandy.

– Bo dziewczyna umrze na raka? Każdy kiedyś na coś umrze. Poza tym to tylko książka.

Doktor postawił maskotkę na poduszce. Nie chciała jej dotknąć, ale mimo czekających ją kolejnych rozdziałów powieści nie spuszczała spojrzenia z kota.

– Kto panu to dał? – spytała od niechcienia i poprawiła nogawkę dresu. – Ta kobieta, co tu była?

– Tak, przyniosła go specjalnie dla ciebie.

– Po co? Czego chciała?

– Porozmawiać. Wiesz o czym.

– Ja nie chcę z nikim rozmawiać. Nie potrzebuję.

Łysiejąca głowa doktora poruszyła się w przód i w tył.

– Dlatego kazałem wyprowadzić cię do pokoju obok. Powinnaś mieć spokój, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

– Czemu pan to powiedział? – Nina poruszyła się niespokojnie na łóżku, gniotąc przy okazji kolanem kartki książki. – Co to znaczy „przez jakiś czas”?

– Przecież nie zostaniesz u nas na zawsze.

– Zostanę. Nie chcę być nigdzie indziej, tylko tu.

Miała przerażenie w oczach. Wciąż dziecinnych, ale już poważnych i bardzo świadomych.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Będziemy musieli zrobić wypis już niedługo.

Kolana Niny znów wykonały nerwowy ruch na łóżku.

– Nie rozumiem. Ja... ja muszę tu być.

– Nie jesteś chora, Nino. Przeszłaś traumę, ale...

– Przecież ciocia opłaciła klinikę... – weszła mu w słowo. – Dała dużo pieniędzy, żebyście się mną zajęli.

– Tak, przez rok, który kończy się w tym miesiącu.

– Mam stąd iść? – Podbródek Niny zadrżał.

– Jeszcze nie teraz, ale już niedługo. Wrócisz do domu, do siostry.

– Jak to do siostry...? Panie doktorze...

Pobladła, jakby cała krew nagle odpłynęła jej z twarzy. Synowiec chwycił ją za rękę, była wilgotna od zimnego potu.

– Nie wrócę tam, nie mogę mieszkać z Marią – wymamrotała, przełykając z trudem ślinę.

Zsunął palec na jej nadgarstek i spojrzał na wskazówkę sekundnika. Puls Niny przyspieszał coraz bardziej.

– Uspokój się. No już. Już wszystko dobrze.

– Dobrze? – Buzia Niny powoli jaśniała. Policzki wciąż były niemal przezroczyste, ale przynajmniej zaczynała się nieśmiało uśmiechać. – To znaczy, że nie odeśle mnie pan do domu?

– Porozmawiamy o tym później.

Nina wyrwała rękę z dłoni doktora. Porozmawiamy później oznaczało, że jednak nie ma zamiaru trzymać jej dłużej w klinice. Gdyby było inaczej, powiedziała by to od razu, bez udawania i robienia z siebie dobrego wujka.

Nie przewidział tej reakcji. Nina zeskoczyła z łóżka i stanęła pośrodku pokoju. Dyszała. Nie była już blada, jej policzki zalewała czerwień.

– Myślałam, że chcecie dla mnie dobrze... Jeśli to zrobicie... to ja... – Wczepiła paznokcie w związany na głowie kucyk. Drapała tak mocno, że zachodziła obawa, że powyrywa sobie włosy. – Pan naprawdę niczego nie rozumie?!

Synowiec obrócił się do kamery, puszczając dyskretny sygnał obserwującej ich pielęgniarce. Sam podszedł do Niny i złapał ją za ręce, próbując oderwać je od głowy. Jeszcze chwila, a stałoby się coś, nad czym samymi słowami nie zdołaby zapanować.

– Co pan robi? Ja nie chcę! Ja już nie chcę!

– Musisz się uspokoić. Słyszysz mnie?

Unieruchomił jej nadgarstki na plecach i docisnął do kręgosłupa. Szarpała się jeszcze przez chwilę, smagając jego twarz włosami. Kiedy usłyszała dźwięk

naciskanej klamki, zastygła, drgając.

– Niech pan tego nie robi... proszę...

Doprowadził ją do krzesła i posadził na nim siłą. Ruchem głowy dał znać pielęgniarce, żeby zrobiła swoje. Cienka igła przebiła się przez bawełnianą bluzę z pandą.

– Zaraz wszystko będzie dobrze – wyszeptała kobieta wprost do ucha Niny i nacisnęła tłok strzykawki.

Dziewczynka odwróciła głowę. Po jej policzku ciekła łza. Spłynęła do kącika ust, po czym, oblizana, zniknęła ze spierzchniętych warg.

– Dziś zjesz obiad u siebie. – Doktor Synowiec przyklepił do twarzy uśmiech, jakim częstuje się opóźnione w rozwoju dzieci. – Lepiej, żebyś spędziła popołudnie w samotności. To znaczy z książką – dodał i wskazał oczami pogniecione strony powieści. – Zajrzę do ciebie po wieczornym obchodzie, do tego czasu zdążysz się uspokoić.

Już z uwolnionymi rękami Nina dowlokła się do łóżka. Potarła ramię w miejscu ukłucia.

– Dajcie mi wszyscy spokój – wybełkotała. – Idźcie już. Słyszycie? Wynoście się stąd!

Doktor dał pielęgniarce znak do odwrotu. Gdy opuszczali pokój, odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć, jak Nina ze spokojem układa się na pościeli. Nie wzięła jednak do ręki Johna Greena. W dłoniach ścisnęła szarego kotka przyniesionego przez Julię.

* * *

– Masz coś dla mnie? Cokolwiek! – Julia trzasnęła ze złością drzwiami skody i opadła na fotel. Obiad ze świętą matką i najśłodszym ojcem świata niemal ją wykończył. Po serii zupełnie niewinnych pytań o to, jak daje radę wyżyć z resztek pieniędzy odłożonych na czarną godzinę, nastąpił kolejny, jeszcze bardziej wyrafinowany sondaż Emilii, składający się ze stu pytań dotyczących jej miłosnego życia. Nie eksplodowała tylko ze względu na Sylwię, udawała obojętność i odpowiadała półgębkiem, że jakoś „ogarnia”. Miała na końcu języka, że preferuje seks bez zobowiązań i że nic nie daje jej tyle radości jak moment, w którym wychodzi z mieszkania Adama wygimnastykowana jak rosyjska akrobatka po serii szpagatów w bok, w przód i gwiazd na jednej ręce. Wypaliłaby jej to w twarz, gdyby nie maślany wzrok córki wpatrzonyj we wreszcie rozmawiających ze sobą dorosłych.

Adam zacharczał w telefonie, jakby chciał odchrząknąć zebraną w gardle flegmę.

– Może: „dzień dobry, jak minął ci poranek”?

– Jak minął ci cholerny poranek? – Julia powtórzyła jak echo. – Nie musisz odpowiadać i uznajmy, że na tym kończymy kurtuazję. Potrzebuję danych i nie chce mi się bawić w Wersal. Nie dziś.

Zaśmiał się i westchnął przeciągle.

– Pogrzebałem w plikach i mam kilka nowych danych. Muszę jeszcze sprawdzić, czy mają jakiś związek ze sprawą. Nikt ich chyba nie wykorzystywał, po prostu ktoś je wklepał do systemu i zostawił jako martwe wiadomości.

– Co to za wiadomości? – Julia przekręciła kluczyk w stacyjce.

– O ojcu Leona.

– A ściślej?

– Facet wychowywał chłopaka przez kilka lat. Wiedziałaś o tym?

Julia podkreśliła głośnik telefonu. Warkot silnika starej skody przebiłby nawet pracę młota pneumatycznego.

– Tak, od Marii. Mów dalej.

– Oddał go Rawskiej, dopiero gdy dzieciak miał prawie dziewiętnaście lat. Nie wiem dlaczego i z protokołu przesłuchania Zalewskiego też nic nie wynika.

– Zabrakło dla niego miejsca w gospodzie, jak dla Jezuska.

– Co? – Górny się roześmiał. – Wzięło cię na biblijne analogie?

– Ojciec chłopaka pozbył się go, bo zawadzał. Na przeszkodzie rodzinnej sielance stanął przyrost naturalny.

– Kolejne dziecko ojca?

– Właśnie. Nie wiem, ile w tym prawdy. Sieracka nie pociągnęła go bardziej za język?

– Najwyraźniej prokuratura skupiła się na samym zabójstwie.

– Bzdura. Sieracka nie robi po łebkach, muszą być gdzieś taśmy z przesłuchania. Całe, nie pokrojone.

– Za-po-mnij. Nie dostanę się do nagrań i nawet mnie o to nie proś. Jeśli pominięto coś w pisemnych protokołach, najwidoczniej nie miało to znaczenia.

– Bredzisz. – Julia wyjechała z Francuskiej i wrzuciła szybko czwarty bieg, wciskając się na most Poniatowskiego. – Wszystko ma znaczenie, każdy drobiazg. Ale mnie interesuje coś jeszcze. Jeśli to prawda, że ojciec oddał Leona, bo ten przeszkadzał mu w jego nowym życiu, to chciałabym wiedzieć, dlaczego wcześniej

Rawska pozbyła się syna, oddając go na wychowanie ojcu. Dzieciak był przecież jeszcze mały. I nie upominała się o niego przez tyle lat? Dziwne to trochę, nie sądzisz?

– Jeśli sąd nie odebrał Zalewskiemu praw, mogli podzielić się wychowywaniem dzieci.

– Nie znasz kobiet, Górny. Matki nie pozbywają się tak łatwo dzieci z domu i nie oddają ich lekką ręką ojcom. Dziewięć na dziesięć z nich pójdzie na noże z każdym, kto będzie chciał odebrać im dzieciaka. Będą lizały rany po walce i goiły blizny, byle tylko zatrzymać go przy swojej spódnicy.

– Twoja teoria jest piękna, ale niestety w tym wypadku się nie sprawdziła. Rawska, jak już wiesz, nie była matką idealną. Jakkolwiek na to spojrzeć, przyznała się do zamordowania syna.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Proste rozwiązania najczęściej są prawdziwe. Nie chciała go przecież, kiedy był dzieckiem.

– Taaa... Cholera, jakie to smutne. Mówię poważnie, ten chłopak miał przesrane od małego.

– Lepiej nie da się tego ująć – zgodził się Górny. – Kiedy wrócił do matki po latach jako prawie dorosły człowiek, zabiła. Masz rację, to cholernie smutne, ale nie we wszystkich domach całuje się dzieci na dobranoc i śpiewa im kołysanki.

– Tego akurat nie musisz mi tłumaczyć, nie urodziłam się wczoraj.

– Ale tak się zachowujesz. Próbujesz doszukać się w Rawskiej Świętej Małgorzaty od domowego ogniska. Może gdyby nią była, potrafiłaby zająć się swoim synem, jak na matkę przystało.

– Nie mieszaj w to świętych, po wizycie u mojej matki wciąż mam przed oczami świecąca aureolę Niepokalanej. Na dziś wystarczy mi ekstazy i patosu.

– Sama zaczęłaś. A wracając do sprawy: to może być właśnie ten twój jeden przypadek na dziesięć. Jedna z matek wyłamała się z kolektywu „bez skazy i zmayı” i złapała za nóż.

– Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Brakuje mi jednak motywu.

– Na razie wiemy tylko, że matką stulecia to ona nie była. Z raportu z pliku Jareckiego widać jasno, że Rawska pozbyła się Leona z domu dość szybko.

– A konkretnie?

– Konkretnie to nie wiem. Nie ma daty. Ale musiało to być wkrótce po urodzeniu

trzeciego dziecka, czyli Niny. Protokolantka napisała, że w dwa tysiące siódmym roku Rawska ubiegała się o pomoc z opieki społecznej, by utrzymać siebie i córki. Złożyła też wniosek o dofinansowanie do czynszu. W tym roku urodziła się Nina, więc zbieżność może nie być przypadkowa. We wnioskach nie ma natomiast wzmianki o Leonie. Wskazała tylko dwoje swoich dzieci.

– To znaczy, że Leona musiało już nie być przy matce. – Julia minęła rondo de Gaulle’a i zatrąbiła na chwiejącego się na dwóch kółkach pijanego rowerzystę, który omal nie wjechał jej pod maskę. – Gdyby z nią mieszkał, napisałaby we wniosku, że jest samotną matką trojga dzieci. Miałaby wtedy większy pieniądz w kieszeni, może nawet miasto zapewniłoby jej lepsze mieszkanie. Takich kobiet nie odsyła się z kwitkiem.

– A jednak o Leonie nie wspomniała.

– Bo go już przy niej nie było. Za dużo by ryzykowała, kłamiąc. Gdyby okazało się, że kręci, dołożyliby jej karę za podawanie fałszywych danych we wniosku i naciąganie państwa. – Usłyszała, jak na biurku Adama dzwoni telefon.

– Muszę kończyć – rzucił Górny. – Zdzwonimy się później.

– Poczekaj. Co z namiarem na siostrę Arlety?

– Odezwę się, potrzebuję jeszcze kilku godzin.

Rozłączył się. Julia skręciła w wąski przesmyk między osiedlowymi blokami i stanęła przy punktowcu z dwoma wejściami u szczytu. Pierwsze prowadziło do apteki, nad drzwiami wisiał podświetlony zielony krzyżyk, nad wejściem do drugiego lokalu widniał wyblakły szyld „Ksero druk”.

Pchnęła drzwi. Punkt ksero był niemal pusty, nie licząc stojącego przy kopiarce młodego człowieka w czarnej puchowej kurtce do bioder. Chłopak próbował odbić w maszynie wielki arkusz z nakreślonymi ołówkiem szkicami nowoczesnego osiedla mieszkaniowego.

– Ja pierd... – warknął do siebie i podciągnął do łokci rękawy kurtki. – Znowu to samo!

– Co jest, mistrzu? – Zza niewielkiego przepierzenia oddzielającego powierzchnię salonu od zaplecza wypłynął najpierw obłok dymu o zapachu truskawki, a następnie wychyliła się głowa dziewczyny. Miała może dwadzieścia cztery lata, w jednej ręce trzymała elektronicznego papierosa zaczepionego na cienkim łańcuszku do okularów, w drugiej komórkę. – Mówiłam ci, że się nie zmieści. Takie płachty nigdy się nie mieszczą. Pomniejszyć trzeba najpierw, ale to nie u nas. Tłumaczyłam ci setki razy, że

nie mamy takich kopiarek, to żeś się uparł.

– W dupę, no! Kurwa... – Chłopak oparł się bezradnie o brzeg kopiarki.

– No to żeś się wysłowił.

– Zaliczenie mam rano! Poprawkę strzelam po raz drugi, czaisz?

Dziewczyna wciągnęła do płuc truskawkowy dym, po czym wcisnęła guzik w papierosie. Ten odbił się kilka razy od krągłych piersi wyglądających zza głębokiego dekoltu.

– Co roku ta sama szopka z tobą. Człowieku, to już twój siódmy semestr, a ty dalej swoje. Nie-ma-my-ta-kiej-ma-szy-ny.

Chłopak szarpnął pokreślonym rysunkami arkuszem. Zwinął go w niedbały rulon i wcisnął do czarnej tuby.

– Szmelc, nie ksero. Na złom to. Słyszysz? Złomiarzom to gównu odpalcie, niech se do skupu zawiozą na wózku.

– Cenna rada, tak właśnie zrobię. A teraz zabieraj się stąd, gminny urbanisto, pani przyszła.

– Poczekam. – Julia odwinęła szalik z szyi. Stojący pod oknem grzejnik był jak parujące żelazko. – Ciekawa scena, warto popatrzeć.

Student bez słowa przerzucił przez ramię pasek od tuby i wyminął opartą o ścianę Julię.

– Idiota – jęknęła dziewczyna, gdy trzasnęły za nim drzwi. – Po prostu idiota. Co dla pani?

– Chcę wydrukować coś z telefonu.

– Zdjęcia z wakacji? Nie mamy kolorowej drukarki. Ani kolorowych tonerów – dodała.

– Czarny tusz wystarczy, to zdjęcia dokumentów.

– Zgrać dodatkowo kopię na CD?

– Nie trzeba, wystarczą wydruki.

Dziewczyna włączyła drukarkę i sprawdziła, czy w szufladzie jest wystarczająca ilość papieru.

– Pójdzie przez wi-fi – zadyrygowała. – O ile pani komórka nie jest sprzed wojny.

Szczęśliwie nie była, samsung Julii zdawał się nadążać za technologią.

Drukarka zaszumiała. Zapisane strony wysuwały się jedna po drugiej z maszyny i układały w rosnący stos. Kiedy ostatnia kartka ułożyła się na stercie, Julia przeliczyła liczbę zdjęć zrobionych w gabinecie Synowca i porównała z wydrukami.

- Zgadza się? – Dziewczyna wypuściła z ust słodkawą parę z e-papierosa.
- Co do sztuki. – Julia kiwnęła głową i wyjęła portfel.

Wskoczyła do skody i włączyła kierunkowskaz, wbijając się w Czerniakowską. Wydruki leżały na siedzeniu obok, przyciśnięte torbą, w której tkwił notes z pytaniami pozostającymi bez odpowiedzi. Jeśli szpitalne notatki z obserwacji Niny robione były jak Pan Bóg przykazał, może zdoła wyczytać z nich choć kilka wartościowych informacji. Tak naprawdę nie wiedziała, kto i o co ją pytał, na podstawie jakich wytycznych wydawał opinie ani czy Nina udzielała odpowiedzi, będąc w pełni świadoma czy też znajdując się pod wpływem leków. Wiedziała tylko, że ktoś spisał te rozmowy, dokonał oceny jej odruchów i zachowania, po czym opieczętował wszystko stemplem z naukowym tytułem doktora, uzupełniając notatki o datę i godzinę. Ma dużo czasu, żeby to przejrzeć. Właściwie całą noc, wystarczy kawa i cisza.

Wjechała na parking przed blokiem. Trzymając w garści wydruki i torbę, wbiegła po schodkach do małego okrągłaka z warzywami. Gulasz jarzynowy w słoiku i dwie pszenne bułki powinny wystarczyć do rana. Dołożyła jeszcze mrożone frytki. Po niedokończonym obiedzie u matki wciąż czuła głód.

Kiedy zapinała torbę, zadzwonił telefon.

- Krawiec, słucham – powiedziała, przytrzymując komórkę ramieniem.

Przez chwilę słychać było szum, potem ciche trzaśnięcie drzwiami, po którym zrobiło się spokojniej. Tylko gdzieś z oddali dochodziły pojedyncze urywki słów. Zbliżały się, ale mimo to były niewyraźne.

– Przepraszam, że niepokoję – odezwał się wreszcie kobiecy głos. – Zwłaszcza że była pani u nas kilka godzin temu.

– Kto mówi?

– Ewa Czajka. Dała mi pani swoją wizytówkę... – Młoda recepcjonistka z ośrodka odchrząknęła przeciągle, jakby chciała przeczekać, aż zbliżające się w jej kierunku głosy odpłyną w dal szpitalnego korytarza. – Dzwonię w sprawie... wie pani jakiej. Może pani teraz rozmawiać?

Julia powstrzymała się od wciśnięcia kodu do klatki schodowej.

– Coś się stało z Niną?

Czajka zawahała się.

– Sama nie wiem. Zaraz po pani wyjściu był u niej lekarz, doktor Synowiec.

– Wyciągnął ją wreszcie z jaskini za ścianą?

– Tak... – prychnęła Czajka. – Ukrył ją tam, jakby miała nabawić się od pani jakiejś zarazy. Ale ja nie o tym. Po tym jak zaprowadził Ninę z powrotem do pokoju, zamknął się tam z nią i nie wychodził bardzo długo.

– Musiał jej jakoś wytłumaczyć, dlaczego została wyprowadzona za ścianę. Na pewno pytała, kim jestem i po co przyszłam. Dzieci nie znoszą nieudomówień.

– Myśli pani, że o tym nie wiem? Nie chodziło jednak o zwykłą rozmowę między lekarzem a pacjentem.

– W takim razie o co?

– Po tym jak pani odjechała, pobiegłam za doktorem. Miałam do niego kilka spraw i chciałam załatwić je od ręki. Pani nie ma pojęcia, jak trudno jest doktorowi znaleźć chwilę na sprawy administracyjne. Poszłam więc za nim w nadziei, że zdołam go złapać, zanim znów zamknie się w swoim gabinecie. Ale, jak powiedziałam, skrzył do pokoju Niny. Zwykle zostawia drzwi uchylone, ale tym razem tego nie zrobił. Sama nie wiem, dlaczego nie wróciłam do recepcji...

– Bo ta cała sytuacja z Niną nie jest normalna? Jeśli ma pani wyrzuty sumienia, że podsłuchiwała ich rozmowę, to pomogę pani się ich pozbyć. Ze względu na dobro Niny chciała pani wiedzieć, co dzieje się za drzwiami.

– Tak było. – Ewa przytaknęła skwapliwie. – Podeszłam na tyle blisko, żeby słyszeć, o czym mówią. Naprawdę zrobiłam to w dobrych zamiarach.

– Jasne. Usłyszała pani coś dziwnego?

– Na początku nic nadzwyczajnego, to była zwykła rozmowa. Ale w pewnym momencie Nina wpadła w panikę.

– Krzyczała?

– Najpierw płakała, potem zaczęła się szamotać. Krzyk przyszedł na końcu. To nie jest nic niezwykłego, wszyscy pacjenci u nas krzyczą, wcześniej czy później. Mało komu udaje się przetrwać leczenie bez choćby jednego napadu szału. Ludzie nie są tu normalni, muszą się wyrzesczyć. Tylko że w tym wypadku to nie był zwykły krzyk i płacz.

– Co pani słyszała?

– Strach. Ninka krzyczała ze strachu. – Czajka zamilkła na dłuższy moment. – Ja wiem, jak on brzmi. Ludzie krzyczą ze strachu, ale ten krzyk był... jakiś potworny.

– To dziecko od miesiący żyje w zamknięciu, nic dziwnego, że zaczyna odchodzić od zmysłów. Dziwię się, że dopiero teraz. Nina ma po prostu dość.

– Dość? – Ewa wydawała się zdumiona. – Nic podobnego! Jest jej z tym dobrze.

– To tylko pozory. Ma dach nad głową i święty spokój, ale nie znam dziecka, które z radością przebywałoby w klinice dla psychicznie chorych dorosłych.

– Myli się pani. Nina nie zaczęła krzyczeć dlatego, że jest trzymana w zakładzie. Wydawała się zdruzgotana informacją, że niedługo z niego wyjdzie.

– Tak powiedział jej doktor Synowiec?

– Dokładnie tak. Że wkrótce ją stąd wypiszą.

– A jednak jest tak, jak się spodziewałam... Co było dalej?

– Nie słyszałam całej rozmowy, dostałam wezwanie z recepcji, przywieźli nowego pacjenta, którego musiałam zarejestrować. Ale wróciłam pod jej pokój, kiedy doktor już wyszedł. To było pół godziny później, może nawet mniej. Chciałam się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Zapukałam do drzwi. Podeszła i usiadła po drugiej stronie. Zaczęliśmy rozmawiać.

– Nie wpuściła pani do środka?

– Nie. Drzwi były cały czas zamknięte.

– Mogła to przecież zrobić. Nie trzymacie jej pod kluczem.

– Zgadza się, jednak nie otworzyła. Ja nie śmiałam nacisnąć klamki. Nigdy tego nie robię, jeśli nie dostaję wyraźnej zgody.

– Co mówiła Nina?

– Mało się odzywała, tak naprawdę to ja mówiłam do niej. Chciałam ją uspokoić, ale okazało się, że atak minął. Dostała zastrzyk i znów była sobą. Spytała, czy mogę coś dla niej zrobić. Odpowiedziałam, że oczywiście, że cokolwiek zechce.

– O co chodziło?

– Miałam zadzwonić do jej siostry i sprowadzić ją jak najszybciej do kliniki.

– Zrobiła to pani?

– Tak, zadzwoniłam do Marii. Ale odmówiła. Nie wiedziałam, jak mam o tym powiedzieć Nince. To przecież jeszcze dziecko, może nie zrozumieć, że nie zawsze da się rzucić wszystko i jechać tyle kilometrów.

– Jak zareagowała?

– Nina? To było dziwne... Spodziewałam się, że znów zacznie krzyczeć, ale była spokojna. Milczała przez dłuższą chwilę, po czym ponownie poprosiła mnie o wykonanie telefonu.

– Miała pani przekonać Marię, że mimo wszystko powinna wsiąść w pociąg i przyjechać?

– Nie, zupełnie nie. Nie chodziło już o Marię. Miałam zadzwonić do kogoś innego. Ta kobieta była tu już kiedyś, na samym początku. Pamiętam ją, bo dorabiałam sobie wtedy w weekendy jako pomoc pielęgniarska. Przyjechała, by wciągnąć Ninę na listę pacjentów.

– Opłacić jej pobyt?

– Zgadza się. Więcej jej nie widziałam, ale dzwoniła, bardzo regularnie, głównie w soboty. Do Niny i do lekarzy. Interesowało ją, co dzieje się z Niną i czy jej się poprawia.

– Nazwisko?

– Judyta Rawska-Kawka.

– Ciotka – stwierdziła Julia. – Zgodziła się przyjechać?

– Bez najmniejszego wahania. Będzie tu jutro po południu. Wiem, że nie powinnam rozmawiać o tym, co dzieje się u naszych pacjentów, ale pomyślałam, że będzie pani chciała o tym wiedzieć.

– Chcę wiedzieć o wszystkim, co dotyczy Niny. Nie obchodzi mnie etyka zawodowa, to tylko zwykłe duperele, które wiążą ludziom ręce.

W słuchawce wybrzmiała długa chwila ciszy. Szpitalnym korytarzem przejeżdżał wózek z bielizną albo kolejną porcją leków, bo słychać było miarowe zgrzytanie nienaoliwionych kółek.

– Muszę kończyć – powiedziała szeptem Ewa.

– Jeszcze jedno. Może mi pani podać numer do tej kobiety?

– Do Kawki? Sama nie wiem... nie chcę mieć kłopotów z powodu tego, że przekazuję takie dane. Jeśli to doszłoby do dyrekcji kliniki... Naprawdę, przykro mi...

– Rozumiem. – Julia nie chciała naciskać. Ewa i tak była aż nadto pomocna. – Dziękuję za ten telefon. Gdyby coś się działo, to...

– Bez wahania, o każdej porze.

W głośniku zapadła cisza. Czajka rozłączyła się.

Zaczyna się robić ciekawie. Julia uśmiechnęła się do samej siebie. Myśl o odmowie Marii była prawdziwą ciekawostką. Kochająca siostra zrobiła unik. Nie mogła pojechać do kliniki czy nie chciała? Gdyby coś stanęło jej na przeszkodzie, studia czy Bóg wie co, przyjechałaby innym razem, choćby za dwa czy trzy dni. Nie zaproponowała jednak innej daty, nie spytała nawet o powód, dla którego Nina wzywa ją do siebie. Albo mało ją obchodził, albo znała go doskonale i wolała uniknąć

konfrontacji. Tak czy inaczej, okazało się, że Nina jest dla niej mało ważna. Wniosek? Słodki obrazek, który Maria pokazała na rodzinnym zdjęciu, był zwykłą iluzją. Wystarczyło wystawić Marię na małą próbę, by sprawa stała się jasna. Dziś wykonała zdecydowanie zły ruch.

Wjechała windą na dziewiąte piętro. Na klatce schodowej śmierdziało ze zsypu płynem dezynfekującym. Podeszła do kłapy i docisnęła ją z całej siły. Nie zauważyła, jak za jej plecami wyrosła sąsiadka z plastikową butelką po domestosie.

– To na robactwo. – Kobieta z wałkami na głowie przykrytymi ręcznikiem zamachnęła się z dumą pustym pojemnikiem. – Pani tu nowa, jeszcze pewnie nie odsuwała lodówki od ściany u siebie w mieszkaniu. Odsunie sobie w nocy, to zobaczy. Trzeba je tym polać, to zdechną. Muszą zdechnąć, bo inaczej to nas zeżrą z kopytami. Spółdzielni nic nie obchodzi, moja pani. Nic! Tylko pieniądze biorą, złodzieje.

Julia wyminęła kobietę, odsuwając się od chlapiących kropel broni chemicznej. Przekręciła w oknie klamkę i wpuściła na korytarz świeże powietrze.

– Lepiej z tym uważać. – Wskazała głową na fruującą ciągle plastikową bańkę. – Zsyp może się zapalić od papierosa. Tu jest jedenaście pięter, pety lecą do szybu każdego dnia.

– Co mnie pani straszy? – Wałki na głowie kobiety podskoczyły. – Że spłoniemy?

– Mówię tylko, żeby uważać z tym polewaniem. Ktoś może nie zdążyć uciec.

– To lepiej żyć z karaluchami?!

Julia wygrzebała z dna torby klucz do zamka.

– Zwęglone loki nie wyglądają najpiękniej – rzuciła na odchodne.

Stojąc na wycieracze, usłyszała warkliwe pomruki sąsiadki i głuchy łoskot ciśniętej do zsypu butelki po domestosie.

* * *

– No i czego ryczysz? – Klaudia wyjęła z kieszeni dzinsów wygniecioną chustkę i podała ją Marii.

Oddalały się od grobu Leona. Z każdym kolejnym krokiem Maria starała się brać dłuższy oddech, jednak oczy wciąż pozostawały wilgotne.

– Jak ja nienawidzę tu przychodzić. – Maria wytarła głośno nos. – Kiedy widzę te krzyże, to wszystko mi się w środku przewraca.

Naciągnęła mocniej na głowę wystający zza wiosennego płaszcza kaptur bluzy,

chowając twarz przed wzrokiem Klaudii. Za bardzo jej się ostatnio przyglądała. Nie tylko dziś, ale w ogóle. Co z tego, że znały się od dziecka, nikt nie lubi być cenzurowany w takim miejscu, i do tego akurat wtedy, gdy puszczają emocje. Wolała odgrodzić się grubym materiałem kaptura choćby na kilka minut, dopóki nie przestanie się mazgać jak czteroletnie dziecko. Ponownie wysmarkała nos i czystym brzegiem chustki otarła oczy.

– Nic na to nie poradzę – rzuciła wyjaśniająco w stronę Klaudii i po raz ostatni obejrzała się w stronę ledwie już widocznego grobu brata.

– Mogłaś sobie odpuścić. – Głos Klaudii przybrał łagodny ton. – Martwi nie rozliczają żywych z odwiedzin. To chore, że w to wierzysz. Serio.

Zbliżyły się do bramy. Szły wzdłuż długiego rzędu grobów przykrytych folią malarską. Białe plamy wronich odchodów spadających z drzew co rusz pstrzyły folię i stojące na niej powypalane znicze.

– Za matkę tu przychodzę. – Maria z obrzydzeniem spojrzała na oblepiony białą lawiną ptasiego kału nieosłonięty krzyż. – Ktoś przecież musi do niego zaglądać. Niech ma chociaż tyle od...

– Śmierci? Bo chyba nie od życia.

– Od rodziny, wariatko.

– Myślisz, że jego ojciec czasem go tu odwiedza?

Maria zatrzymała się między bramą ze świeżymi klepsydrami a stojącym obok metalowym kubłem na cmentarne śmieci.

– Nie wiem. Ktoś stawia znicze, ale nie mam pojęcia, czy to on. Nigdy go tu nie spotkałam.

– Gnojek. Sumienie go gryzie, że wygnał z domu własnego syna.

Maria zsunęła z głowy kaptur.

– Jak zobaczyłam, że Leon do nas wrócił, myślałam, że to jakiś sen.

– Wiem.

– Wszystko poszło nie tak. Wymyśliłam sobie, że będę żyła jak w jakiejś bajce. I co?

– Bajki są dla dzieci. I przestań się obwiniać, życia mu nie wrócisz. Dostał kosę w szyję i leży sobie teraz spokojnie pod piachem.

Maria wyjęła z kieszeni gumę i włożyła drażetkę do ust.

– Ostrzegalam go, żeby się do nas nie zbliżał. Gdyby mnie posłuchał i wyniósł się z domu na czas, byłby żywy.

– Myślę, że nie wyniosłby się od was po raz drugi nawet za milion dolarów. Za dobrze mu było, żeby miał odpuścić.

– Idiota... – Maria zacisnęła zęby i zapatrzyła się na cmentarną bramę. – Teraz przychodzę na to cholerne cmentarzysko, a matka siedzi za morderstwo.

– Jest jeszcze Ninka. Daleko, ale nie możesz o niej zapominać.

– A myślisz, że dla kogo ja to wszystko robię? Ta cała detektyw... po to ją przecież wynajęłam.

– Możesz nie kitować? – Klaudia mlasnęła ze zniecierpliwieniem. – Mnie nie musisz mydlić oczu. Tylko cztery osoby wiedzą, co stało się naprawdę. Jedną z nich jestem ja, więc odpuść sobie.

Odeszły od głównej bramy i skierowały się w dół ulicy. Mur cmentarza ciągnął się wzdłuż wąskiego chodnika, co kilkadziesiąt kroków miały kolejne, mniejsze wejścia na cmentarz. Przy jednym z nich Maria się zatrzymała. Podeszła do wmurowanej w mur kamiennej płyty, na której wyryty był napis głęboki na ćwierć palca.

– *Non omnis moriar* – przeczytała na głos. – Kurde, jakie to niesamowite. Ktoś powiedział kiedyś trzy słowa i cały świat zaczął je powtarzać.

– Horacy.

– Wiem przecież, że Horacy. Sama widzisz, nawet on musiał wierzyć w życie pozagrobowe.

Klaudia parsknęła mało dyskretnie.

– Nie miał na myśli życia po śmierci. Chodziło o nieśmiertelność jego jako artysty. Że niby to, co pisze, zapewni mu wieczną pamięć. Jak *Light My Fire* The Doors.

– Ja tam wolę *The End*. Na pewno nie chodziło o duszę?

– Na pewno.

– W takim razie po co te słowa na murze? Robią tylko ludziom wodę z mózgu. To kłamstwo przecież.

Maria wyjęła z ust gumę. Rozciągnęła ją w palcach i przycisnęła do muru, zaklejając *Non*.

– Teraz jest dobrze. Nieźle, co? Prawda jest teraz.

Klaudia wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie.

– No, nieźle. Wrzucę na Instagram z hashtagiem: #HoracyDołączyłDoJimaMorrisona.

– Pocięło cię?

Klaudia zrobiła jeszcze kilka ujęć; pierwsze zdjęcie wyszło nieostro i wolała

powtórzyć.

– Połączyła ich guma do żucia. Byłam kiedyś ze starymi w Paryżu, na Père-Lachaise. Tam go pochowali.

– Morrisona?

– Mhm. Ma mały grób, jak dla dziecka. Trudno go znaleźć, bez mapy nie ma szans. Przy grobie rośnie drzewo, jest całe oblepione gumami do żucia. Od fanów.

– Przyjeżdżają i przylepiają gumy do drzewa?

– No. Głupio akurat nie mieć jej wtedy przy sobie.

– Zajebicie. Też bym chciała mieć taki grób. – Maria sprawdziła, czy jej guma na *Non* dobrze trzyma, po czym wróciła na chodnik.

– Dziś do mnie dzwoniła, chciała się ze mną widzieć.

– Kto, Ninka? – Klaudia rozszerzyła i tak duże oczy.

– Ninka, Ninka. To znaczy jakaś młoda babka z kliniki. Nina ją o to poprosiła, sama wolała ze mną nie gadać.

– Dziwisz się?

Maria kopnęła skórzanym martensem zgniecioną puszkę po piwie. Puszka podskoczyła na chodniku, a następnie z brzękiem stoczyła się na jezdnię.

– Ona dobrze wie, że nie umiem z nią rozmawiać. Nigdy nie rozumiałam tego, co ma w głowie.

– Musi mieć powód, skoro chce cię zobaczyć.

Maria pokręciła głową.

– Powiedziałam, że nie przyjadę.

– Zwariowałaś? To twoja siostra.

– Nie chciała się ze mną widzieć przed Wigilią. Kupiłam bilet na pociąg i zawiadomiłam, że przyjadę. Dała znać przez swojego lekarza, że nie chce się spotkać. Zwróciłam bilet, od tamtego czasu nie wiem, co się z nią dzieje.

– Może chce pogadać o tym, co się stało?

– I co niby mam jej powiedzieć? Że jakoś damy radę? Razem, jak siostra z siostrą? Bo rodzina i inne takie duperele?

– Właśnie tak. – Klaudia szarpnęła Marię za rękaw płaszcza. – Postaw się w jej sytuacji. Ma jedenaście lat. Myśli jak dziecko i przeżywa jak dziecko.

– Mnie nikt nie spytał, jak to przeżywam.

– Wydorósłej wreszcie!

– Poza tym nie dam rady spojrzeć jej w oczy.

– Kiedyś będziesz musiała.

– Wiem. Ale jeszcze nie teraz. I puść wreszcie ten rękaw!

– Za dwa tygodnie skończą się pieniądze na leczenie i Nina wróci do domu. Ja nie dam ci grosza na to, żeby zatrzymali ją w klinice choćby o miesiąc dłużej, bo nie mam. To, co zarabiamy, idzie jak woda. Zresztą, co to za biznes, kiedy każdy może sobie pooglądać świństwa w internecie. Powinnyśmy z tym wreszcie skończyć, żeby nikt nam się nie dobrał do tyłków.

– A twoi starzy?

– Nic z tego, od nich nie wezmę. Że niby na co mi potrzebne? Kto normalny uwierzy, że książki kosztują kilka tysięcy? Ty w ogóle wiesz, ile trzeba wybulić za leczenie w takiej klinice?

Maria wyrwała się i ruszyła przed siebie, w dół ulicy prowadzącej do alei Krakowskiej.

– Jasne, że nie wiesz! – Podniesiony głos Klaudii wwiercał się Marii w uszy. – W życiu nie miałaś takich pieniędzy. I dlatego Nina wróci do ciebie, czy ci się to podoba, czy nie.

Podskakujące na plecach Marii dredy zastygły w bezruchu. Odwróciła się przez ramię i patrzyła, jak jej przyjaciółka staje pośrodku chodnika z rozłożonymi bezradnie rękami.

– Chcesz wyprzedać resztę, ostatnie swoje ciuchy i zostać z gołym tyłkiem? Zapomniałaś już, jak gotowałaś w garnku wodę i zaparzałaś piętnaście szklanek herbaty z jednej torebki? Nie masz już nic, ty... ty wariatko! Powiedz coś, odezwij się, do cholery!

Przekrzywiona głowa Klaudii przypominała Marii głowę teatralnej pacynki. Jeszcze trochę, a oderwałaby się od karku i potoczyła wprost pod jej nogi w skórzanych butach. Tych, które teraz zaczęły rozgniatać twardą grudę lodu nieroztopionego jeszcze po zimie.

– Nina nie może wyjść z kliniki, przecież wiesz. – Maria podniosła wzrok znad zmiądnionego lodu.

Klaudia podeszła bliżej przyjaciółki. Maria przedstawiała żaloszny widok. Jej naturalna pewność siebie kurczyła się z każdą myślą o nieuchronnym powrocie siostry do domu.

– Obawiam się, że nic na to nie poradzisz.

– Może po prostu powiem całą prawdę? – bąknęła.

– Chcesz pójść na policję?

Przekląła siarczyście na samą myśl o kolejnych zeznaniach.

– Nie... jednak nie dam rady, nie mogę. To zbyt ryzykowne. Muszę trzymać się swojego planu i załatwić wszystko w białych rękawiczkach.

– Więc nie panikuj.

– Już nie będę – odpowiedziała stanowczo Maria. – Mam zamiar zachowywać się jak gdyby nigdy nic, bo w przeciwnym razie wszystko się spieprzy. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś ze mną na dobre i na złe?

Wyciągnęła rękę do przybicia piątki.

– Teraz i zawsze – odpowiedziała Klaudia bez wahania i uderzyła otwartą dłonią w dłoń Marii.

– Amen.

ROZDZIAŁ VIII

Judyta Rawska-Kawka stała w oknie swojego hotelowego pokoju na dwudziestym ósmym piętrze i z błogim uśmiechem patrzyła zza firany na wiszącą nad miastem mgłę. Południowy relaks na basenie i kojący masaż rozluźniły ją. Jej skóra pachniała olejkiem z drzewa sandałowego, a miękki materiał szlafroka frotté otulał ciało niczym kokon jedwabnika. Chciała dobrze zacząć dzień i tak się stało. Nie tylko za sprawą basenu i masażu. Kiedy odebrała wczoraj telefon z kliniki psychiatrycznej pod miastem, poczuła najpierw lekkie napięcie, ale wystarczyło kilka minut rozmowy, by dotarło do niej, że cel, z jakim przyjechała do Warszawy, może okazać się łatwiejszy do osiągnięcia, aniżeli wcześniej przypuszczała. Nastawiała się na wojnę, jednak teraz sytuacja wydawała się wręcz jej sprzyjać. Mała Ninka traciła grunt pod nogami. Niby przykre, ale wiadomość o tym, że szłocha w kącie swojego pokoju, puściła mimo uszu. Uznała, że płacz potrafi być dopingujący, podobnie jak strach. A mała bała się, i to panicznie. Ważne było, że zdobyła już jej zaufanie, bezgraniczne i ślepe. Z Marią sprawy też były na dobrej drodze. Tak jak przypuszczała, dziewczyna umyła ręce od problemów siostry. Bardzo dobrze, niech dalej jej unika i, przede wszystkim, trzyma język za zębami. Jeśli ma choć trochę instynktu samozachowawczego, nie powie nic na temat tego, co stało się w Michałowicach. Jeżeli natomiast okaże się tak naiwna, że zechce puścić parę, pójdzie na dno. Po co jej to, młodej dziewczynie, która ma okazję zacząć życie na nowo, bez cienia zbrodni, jakiej się dopuściła. No i Arleta. Jej rodzona siostra, która zdewastowała własną rodzinę przez swoją głupotę. Może i powinna jej współczuć, ale poza pogardą nie czuła do niej nic. Człowiek, który nie wyciąga wniosków z własnego życia i do tego niszczy innych, powinien cierpieć. Niech więc zostanie tam, gdzie jej miejsce.

W zamyśleniu obracała w palcach telefon w srebrnym etui do momentu, w którym do pokoju zapukała obsługa z wczesnym lunchem.

– Tatar z jajkiem dla pani. – Boy hotelowy, który był, jak szybko oceniła, mniej więcej w jej wieku, pchnął drzwi i zrobił kilka kroków w kierunku stołu. – Wół został ubity z samego rana, więc można powiedzieć, że mięso jest jeszcze niemal ciepłe. –

Mrugnął porozumiewawczo okiem. – Rzeźnik gwarantował, że zwierzak był młody i że polędwica prima sort.

Judyta ciałniej zawiązała szlafrok, by nie rozchyłał się przy każdym kroku, odsłaniając pachnące olejkiem uda.

– Niech pan postawi talerz na stole. – Wskazała brodą okrągły stolik i przysiadła na pasiastej sofie, krzyżując nogi w kostkach.

Widziała, jak mężczyzna przesunął wzrokiem po jej kolanach. Nie miała się czego wstydzić, jej nogi były jak z katalogu „Vogue’a”, jednak nie nawykła sprawiać przyjemności mężczyznom, z których nie dałoby się wyciągnąć nic poza biletom do kina. Życie szybko nauczyło ją jednej prawidłowości: za przyjemności należy zapłacić, a trzydziestoparoletni boy z pewnością nie zapłaciłby za nią ceny takiej, jaką zaoferował niegdyś stary Kawka. Brzegi szlafroka musiały zatem zostać zasunięte, by odebrać oczom boya dostęp do kolan i gładkich ud.

Mężczyzna zrobił kilka kroków we wskazanym kierunku i położywszy uprzednio na szklanym blacie śnieżnobiałą ściereczkę, postawił na nim talerz. Obok niego znalazła się szklanka ze świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy.

– Dopiszę lunch do rachunku – powiedział z wypracowaną służalczością i skinął głową. – Czy to wszystko?

– Wszystko. A właściwie... – Judyta spojrzała na zegarek. – Niech na drugą podjedzie taksówka. Pod samo wejście – dodała.

– Zamówić kurs?

Wyprostowała szyję i poruszyła łopatkami, napinając przy okazji całe ciało.

– Tak. To chyba nie problem? – spytała z pretensją w głosie.

– Żaden.

Wciąż nie odchodził, jakby liczył na kolejną odsłonę jej nóg.

– Pani, zdaje się, nie zna miasta, może mógłbym coś...

– Nie interesuje mnie miasto – przerwała mu i energicznym ruchem podniosła się z sofy. Podeszła do stolika i chwyciła za widelec. Zanurzyła go w mięsie, po czym wsunęła kęs tataru do ust. – Kurs będzie za Warszawę – powiedziała, rozkoszując się świeżą polędwicą. – Pojedziemy, a potem kierowca poczeka na mnie na miejscu, aż załatwię sprawę. Po wszystkich przywiezie mnie z powrotem do hotelu.

– Szykuje się dłuższa podróż? Jeśli tak, to powinienem uprzedzić kierowcę, ile ma zarezerwować godzin dla łaskawej pani.

– Widzę, że lubi pan bawić się w drobiazgi. Ale ja nie bardzo. Dwie, może trzy, to

się okaże.

– Pani wybaczy, ale muszę wiedzieć dokładnie. Hotel ma ograniczoną liczbę taksówek, musimy przewidzieć, czy starczy ich dla innych gości.

Gdyby mogła, wbiłaby widelec nie w mięso, ale w jego wciąż zginający się w ułkonach kark. Kiedy schylał głowę, jego oczy wciąż ślizgały się po jej nagich kostkach.

– To zamówicie z miasta. Chyba w Warszawie nie brakuje taksówek?

Boy znów zgiął się wpół.

– Zatem godzina druga i nie wiadomo na jak długo.

– O ile wasz hotel to jakoś wytrzyma? – Judyta rozłożyła ręce w geście podszytym nieukrywaną drwiną.

– Tak. Powinniśmy dać sobie radę. Zdecydowanie.

– I zamówicie pudełko czekoladek.

Mężczyzna już otwierał usta.

– Najdroższych – ubiegła go Judyta. – Cena nie gra roli. Odbiorę z recepcji. Później, jak zjadę na dół.

Odprowadziła kłaniającego się kelnera do drzwi i wywiesiła na klamce zawieszkę „Nie przeszkadzać”. Na wszelki wypadek, gdyby zachciało mu się cofnąć i dopytać o smaki pralinek albo o to, czy mają być od Wedla czy od Lindta.

Miała jeszcze trochę czasu, by ułożyć włosy, zrobić makijaż i wybrać odpowiedni strój. Nie krzykliwy, ale subtelny i skromny, pasujący do jej nowej roli, którą miała wkrótce odegrać. Musi się powoli przyzwyczajać, bycie wiarygodną to przecież podstawa.

* * *

Wydruki przyniesione z punktu ksero zasłały całe łóżko. Julia zrzuciła poduszki i kołdrę na podłogę i zrobiła więcej miejsca na prześcieradle. Ułożyła kartki równo w rzędach, chronologicznie, zgodnie z datami kolejnych badań. Według nich Nina Rawska została przyjęta do kliniki w lutym ubiegłego roku. Dokładnie rzecz ujmując, zaraz po zakończeniu ferii zimowych. Nie była w stanie pojawić się w szkole wraz z rozpoczęciem nowego półrocza z dwóch oczywistych powodów, którymi były żaloba po bracie i paraliżujący wstyd z powodu tego, co wydarzyło się pod dachem jej rodzinnego domu.

Tak naprawdę przestała chodzić do szkoły zaraz po Nowym Roku. Nawet nie

próbowała pokazać się w klasie. Wstępny opis przypadku Niny sporządzony w klinice na podstawie telefonicznych rozmów z Marią, wychowawcą klasy i psychologiem szkolnym informował, że dziewczynka postanowiła w ogóle nie ruszać się z domu. Zamknęła się w sobie i w swoim pokoju na piętrze. Szkoła rozumiała sytuację i zorganizowała lekcje, przysyłając na ostatnie dwa tygodnie pierwszego semestru nauczycieli do domu Rawskich. Nauka szła opornie, ale do przodu. Powoli, małymi krokami, i ważne, że bez presji. Dalej notatka mówiła o relacjach Nina–nauczyciele (relacje uznane zostały za w miarę satysfakcjonujące) oraz o kontaktach Nina–rówieśnicy. Tych nie było wcale. Urwały się po tym, jak wieść o matce dzieciobójczyni trafiła do publicznej wiadomości. Nina popadła w izolację, jakby przechodziła kwarantannę po ataku dżumy.

Julia przerzucała kolejne strony kserówek. Poza informacjami o zmianach diety i leków zawartość raportów niewiele różniła się od poprzednich. Wywiady lekarskie, opis reakcji dziecka na wspomnienia, rodzinne fotografie i tym podobne bodźce. Z góry wiadomo było, jak Nina zachowa się na widok zdjęć z przeszłości. Przywoływanie ostatnich godzin z życia rodziny, zanim zobaczyła Leona z nożem wbitym w szyję, tym bardziej przyprawiało ją o psychiczny rozstrój. I dalej, powtarzające się pytania o to, co zapamiętała z tamtej nocy. Widok z okna na piętrze domu, krew na koszuli nocnej matki i ślady ciała wleczzonego po ziemi. Tu notatki sporządzone przez klinikę były krótkie i niemal identyczne. Zgodnie z nimi Nina częściej kiwała lub kręciła głową, aniżeli mówiła. Tak, nie, nie pamiętam – powtarzało się jak mantra. Sesje terapeutyczne odbywały się najpierw w grupie, gdzie siadała razem z najmłodszymi pacjentami. Nie było dzieci w jej wieku, opis był dość ogólny: „grupa wiekowa uczestników między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia”. Z perspektywy dziesięcioletniej wówczas Niny byli to dorośli ludzie.

Zajęcia w grupie nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Napisano, że wycofała się jeszcze bardziej. Nie siadywała na krześle, ale na podłodze, ze skrzyżowanymi kolanami i zaciśniętymi ustami. Kolejną decyzją było oddzielenie jej od innych pacjentów, zalecono terapię indywidualną. Opis pierwszego spotkania między terapeutką a Niną był nużący, podano całą litanię możliwych podejść do młodego człowieka, od humanistyczno-egzystencjalnego, poprzez behawioralne, aż do ericksonowskiego odwoływania się do zasobów własnej świadomości dziewczynki.

Kolejne raporty wskazywały, jak bardzo teorie pani psycholog odbijały się od Niny. Po trzech miesiącach zawieszono terapię słowem. Zalecenie lekarza brzmiało:

„Pacjentka pozostanie w dobrowolnym odosobnieniu, bez przymusu odbywania sesji terapeutycznych aż do momentu, w którym osiągnie na tyle wyraźną stabilizację emocjonalną, by celowość przeprowadzania tychże sesji mogła odnieść skutek. Zaobserwowane problemy ze snem zaleca się leczyć poprzez podawanie preparatów ziołowych, w razie ataku paniki podać domięśniowo Hydroxyzinum Teva w pojedynczej dawce 25 mg. Każde odstępstwo od powyższej zasady winno być bez wyjątku konsultowane z lekarzem prowadzącym”. Data z sierpnia ubiegłego roku i podpis. Niewyraźny, tuż pod blado odcisniętą pieczętą.

Julia odłożyła kartkę na stos przejranych i sięgnęła po kolejną. Widniała na niej krótka rozmowa z Niną przepisana z dyktafonu.

dr A.M.: *Wiesz, dlaczego tu jesteś?*

pacjent Nina Rawska: *Wiem. Macie mnie naprawić.*

dr A.M.: *Naprawić? Jak radio? (śmiej) Nie jesteś popsuta.*

pacjent Nina Rawska: (bez odpowiedzi)

dr A.M.: *Trafiłaś tu, bo chcemy ci pomóc. Ale żeby to zrobić, musimy ze sobą dużo rozmawiać.*

pacjent Nina Rawska: (bez odpowiedzi)

dr A.M.: *Jak będziemy rozmawiać, życie znów się uśmiechnie.*

pacjent Nina Rawska: *To nieprawda. Nie ma śmiejącego się życia.*

dr A.M.: *A jakie jest życie?*

pacjent Nina Rawska: *Takie jak ludzie.*

dr A.M.: *Czyli jakie, Ninko?*

pacjent Nina Rawska: *Złe. Bo mało kto jest dobry.*

dr A.M.: *Widziałaś zło, dlatego tak mówisz. Ale postaram się, byś o nim zapomniała. Musisz mi tylko opowiedzieć, co zobaczyłaś w noc sylwestrową.*

(dłuższa cisza)

pacjent Nina Rawska: *On leżał. Nie ruszał się. Trzymał tylko rękę na szyi. Umierał.*

dr A.M.: *To musiał być dla ciebie smutny widok.*

pacjent Nina Rawska: *Leon był moim starszym bratem.*

dr A.M.: *Na pewno bardzo cię kochał i nie chciałby, żebyś była smutna. Pamiętasz, co wtedy czułaś?*

pacjent Nina Rawska: *Nie wiem. Nie pamiętam, co czułam.*

dr A.M.: *Człowiek w takiej sytuacji przeżywa szok.*

pacjent Nina Rawska: (bez odpowiedzi)

dr A.M.: *Nie musisz wstydzić się tego, co czujesz i myślisz.*

pacjent Nina Rawska: (bez odpowiedzi)

dr A.M.: *Opowiesz mi, co czujesz, gdy wspominasz tamtą noc?*

pacjent Nina Rawska: *Nie chcę do niej wracać. Ani do tamtego domu. Nigdy.*

dr A.M.: *Dlatego że nie ma w nim twojej mamy?*

pacjent Nina Rawska: *Mama jest w więzieniu.*

dr A.M.: *Wiesz dlaczego?*

pacjent Nina Rawska: *Za to, że zabiła Leona.*

dr A.M.: *Pewnie jest ci z tym ciężko.*

pacjent Nina Rawska: *Nie wiem, chyba tak.*

dr A.M.: *Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, prawda? I że to, co mi powiesz, pozostanie naszą tajemnicą?*

pacjent Nina Rawska: (bez odpowiedzi, tylko kiwnięcie głową)

dr A.M.: Powiedz, Ninko, czy widziałaś, jak... jak mama krzywdzi twojego brata?

pacjent Nina Rawska: (dłuższy czas bez odpowiedzi) Mama upiekła na wieczór ciasta. Jedno cytrynowe, drugie czekoladowe.

dr A.M.: Dobrze było?

pacjent Nina Rawska: Słodkie, takie jak lubię. Podała Leonowi, żeby najpierw spróbował czekoladowego. Chciał wyrzucić swój kawałek do kosza, mówił, że jest wstrętne i śmierdzi.

dr A.M.: Mamie musiało zrobić się przykro. Pokłócili się?

pacjent Nina Rawska: Mama się z nim nie kłóciła, zawsze była spokojna. Nawet wtedy, gdy Leon chciał od niej pieniędzy. Powiedział, że musi je komuś oddać.

dr A.M.: To działo się tego samego dnia?

pacjent Nina Rawska: Tak, ale wcześniej.

dr A.M.: Chciał, żeby mama dała mu swoje pieniądze?

pacjent Nina Rawska: Tak.

dr A.M.: Nie wiesz, dlaczego nie mógł z tym poczekać do rana?

pacjent Nina Rawska: Nie wiem. Ale krzyczał, że ma oddać tysiąc złotych do końca roku, a to był właśnie ostatni dzień roku. Swoich pieniędzy nie miał. Mama powiedziała, że nie da.

dr A.M.: Co jeszcze słyszałaś?

pacjent Nina Rawska: Wszystko. Leon zaczął szukać po szafkach, czy mama nie pochowała tam pieniędzy. Ale niczego nie znalazł. Potem poszedł na górę do swojego pokoju po dużą torbę.

dr A.M.: Chciał się wyprowadzić?

pacjent Nina Rawska: Nie. Ale wkładał do niej rzeczy, które potem sprzedawał. To były rzeczy mamy.

dr A.M.: Często sprzedawał jej rzeczy?

pacjent Nina Rawska: Dwa razy. Mama nazwała go wtedy diabelskim pomiotem. Potem go za to przeproszała, ale cały czas była bardzo zdenerwowana i smutna.

dr A.M.: Jesteś pewna, że tak właśnie do niego mówiła?

pacjent Nina Rawska: Dokładnie tak. Odpowiadał jej, że takiego go urodziła, że to krew z jej krwi. Tamtego dnia też chciał coś wynieść. Powtarzał, że mama musi dać mu tysiąc albo coś innego, drogiego, żeby nie było smrodu w rodzinie. Tak powiedział. Mówił do niej bardzo brzydko. I jeszcze, że jeżeli tego nie zrobi, wszyscy będą mieli duże kłopoty. Dobrze słyszałam, siedziałam na schodach, na górze. Tam się niesie z dołu.

dr A.M.: Ktoś miał przyjść po te pieniądze?

pacjent Nina Rawska: Nie wiem. Leon się denerwował. Mówił złe rzeczy. Wstyd mi było, że tak mówi do mamy.

dr A.M.: Rozumiem, nie powinien się tak zachowywać. No a Maria? Była wtedy w domu.

pacjent Nina Rawska: Tak, Marysia była przez cały czas.

dr A.M.: Co robiła?

pacjent Nina Rawska: Powiedziała Leonowi, żeby się zamknął, że nie może już go słuchać.

dr A.M.: Chciała bronić waszej mamy?

pacjent Nina Rawska: Krzyczała, że go nienawidzi i że marzy, żeby wreszcie zniknął. Przeszkadzał jej.

dr A.M.: W czym?

pacjent Nina Rawska: We wszystkim. Działał jej na nerwy, kłócili się bez przerwy.

dr A.M.: Powiedziałaś, że twoja siostra chciała, żeby zniknął. Wolałaby, żeby się wyprowadził?

pacjent Nina Rawska: To nic by nie dało. Przychodziłby nadal, a tego nie chciała.

Unikała go.

dr A.M.: *Wiesz dlaczego?*

(brak odpowiedzi pacjentki mimo powtórnych pytań, rozmowa przerwana)

Julia przerzuciła kolejne kartki w poszukiwaniu dalszego ciągu rozmowy, jednak wyglądało na to, że albo nigdy do niej nie doszło, albo pominęła wydruk, robiąc na szybko zdjęcia z tego, co wpadło jej w ręce w gabinecie Synowca. Jednego była pewna: Maria miała poważny konflikt z Leonem, natomiast Arleta Rawska zupełnie nie radziła sobie z synem. Najpierw eksmisja z własnej sypialni, co jeszcze można wytłumaczyć chęcią zagłuszenia wyrzutów sumienia, jakie miała po oddaniu Leona ojcu, a potem domaganie się przez niego pieniędzy. Matki wiele wybaczą swoim synom, ale nie to, że ciągną z nich oszczędności, których same nie mają zbyt wiele. Do tego dochodziło wynoszenie rzeczy z domu, istna patologia. Leon przecież pracował na stacji paliw, więc albo zadłużył się tak, że miał nóż na gardle, albo... Nóż na gardle, co za zbieg okoliczności, może nawet użył tych słów, szantażując matkę. Na spełnienie własnej przepowiedni nie musiał długo czekać, kilka godzin później już nie żył, dwukrotnie dźgnięty w szyję.

Komu był winny pieniądze i co groziło im wszystkim za to, że nie odda ich na czas? Nina powiedziała wyraźnie, że wtedy cała rodzina będzie miała problem. Co takiego działo się w tym domu, że w pierwszym dniu nowego roku Leona spotkała śmierć?

A Maria? Mówiła, że rodzina jest najważniejsza. Za cel obrała sobie wyciągnięcie matki z aresztu i stworzenie domu na nowo – głównie dla Ninki, której nie zamierzała odwiedzić w zakładzie pod Warszawą mimo tego, że nie widziała jej od miesiący, i mimo błagań ukochanej siostry. Brata też bardzo kochała, przynajmniej na pół roku przed tym, jak zginął. Na wspólnej fotografii wszyscy wyglądali niczym szczęśliwa rodzina żywcem wyjęta z telewizyjnej reklamy płatków śniadaniowych.

Julia sięgnęła po telefon i odszukała numer, z którego dzwoniła do niej Maria.

601-230-7... sygnał urwał się na krótką chwilę, ale zaraz powrócił.

– To ja, twoje senne marzenie – odezwał się w końcu kobiecy głos w słuchawce. – Tak długo kazałeś na siebie czekać... – Do głosu dołączył przeciągły pomruk pełen słodkiego zawodu.

Julia dla pewności spojrzała na wyświetlacz komórki. Numer się zgadzał. Co jest, do diabła...? Już miała przerwać połączenie, jednak coś ją powstrzymało, nim nacisnęła przycisk z czerwoną słuchawką. Postanowiła posłuchać jeszcze przez chwilę miękkiego głosu płynącego wprost do jej ucha.

– Na co masz dziś ochotę? – ciągnął aksamitny głos. – Wolisz pikantną historyjkę czy opowiedzieć ci, co mam na sobie? Mogę szeptać ci do ucha wiele niegrzecznych rzeczy, ale ty najpierw wyszeptaj mi swoje imię...

– Julia Krawiec.

– O ja pierd...! – Głos zabrzmiał już znacznie mniej zachęcająco niż przed momentem.

– Lepšie to niż miauczenie do słuchawki. A teraz ty mi powiedz, jak się nazywasz i dlaczego odbierasz telefon Marii.

– Ach... to nieporozumienie – odpowiedziała szybko dziewczyna. – Marii nie ma, zostawiła komórkę i odruchowo odebrałam. Myślałam, że to... Zresztą, nieważne. Jak powiedziałam, Maria wyszła. Będzie dopiero wieczorem. Można dzwonić po ósmej.

Nie udawała już słodkiego kociaka przeciągającego się w pościeli. Brzmiała stanowczo i sądząc po szybkości wyrzucanych słów, miała zamiar równie szybko zakończyć rozmowę.

– Jak się nazywasz? – powtórzyła Julia, zapobiegając rozłączeniu się.

– Ja? Bo co? Przecież nie do mnie pani dzwoni, więc o co chodzi?

– Tak zarabiacie na życie? Sekstelefonem? Nieładnie.

Albo przerwie połączenie, albo będzie się tłumaczyć w obawie przed problemami. Jedno z dwóch.

Dziewczyna roześmiała się, efekciarsko i bezpruderyjnie.

– To dla zabawy przecież, dla żartu – wyjaśniła, rozwlekając słowa. – Na żartach się pani nie zna?

A więc wybrała najprostszy sposób, zaprzeczenie przez obśmianie. Naiwnie i szczeniacko.

– Znam. Nawet przypominam sobie jeden. O dwóch przyjaciółkach, które chciały razem skakać przez ogień, ale zaplątały się we własne nogi i obie runęły w płomienie. Jedna z nich poparzyła sobie pięty, drugiej wpadły iskry do oczu i całkiem oślepla.

– Nie słyszałam o takim dowcipie. Poza tym nie widzę w nim nic śmiesznego.

– Fakt, bawi tylko na początku, a historia kończy się dość marnie, zwłaszcza dla tej, która traci wzrok.

– Co to ma wspólnego z nami? To jakaś głupia aluzja?

– Skąd! Nawet nie znam takiego słowa. Chciałaś dowcipu, więc próbowałam cię rozbawić. Bo to taka zabawa, jak mówisz.

– Aha – odparł kpiąco głos. – Szkoda, że nie wyszło.

– Ważne, że wam wychodzi. Maria musi być z ciebie dumna, że ją tak godnie zastępujesz.

– Przyjaciołom trzeba czasem pomóc – odpowiedziała dziewczyna z dumą w głosie.

– Jasna sprawa, nie ma to jak wierna przyjaciółka. Z tym że Maria, opisując mi swoich najbliższych, o tobie nie wspomniała ani słowem. Na pewno zapomniała przez roztargnienie.

Dziewczyna westchnęła znacząco.

– Klaudia Komasa – przedstawiła się z niechęcią.

– Mhm, teraz dużo lepiej. A skoro oficjalną część mamy już za sobą, czas na pogawędkę. Spodziewałaś się usłyszeć w telefonie kogoś całkiem innego. To był twój pomysł, żeby zarabiać w ten sposób?

Klaudia bąknęła coś niezrozumiałego.

– Czego tak właściwie pani ode mnie chce? – spytała po chwili już całkiem wyraźnie.

– Skoro już wiem o twoim istnieniu, to pogadać. O życiu, o niej – dodała. – O Marii i jej rodzinie.

– I jeszcze co?! Nie mam zamiaru na nią nadawać. Lojalność, mówi to pani coś?

– Nie bardzo. Nie w sytuacji, gdy serdecznej przyjaciółce zaczyna drzeć ziemia pod nogami.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– O tym, co się stało z jej bratem. Nie przepadała za nim, nie ma sensu zaprzeczać. Ucichła na chwilę.

– Bzdura. Nic pani o nich nie wie.

– Chciała się go pozbyć.

Klaudia zaśmiała się gardłowo.

– Ona jego? Ma pani złe informacje. Ktoś nagadał pani głupot, pewnie ta mała manipularka, jej siostra. Robi z siebie wielką ofiarę. Powinna raczej trzymać język za zębami, zamiast kłapać dziobem do glin.

– Nie jestem gliną. A poza tym...

– Dzieciom nie wolno wierzyć. – Klaudia weszła Julii w słowo. – A już na pewno nie tej smarkuli. Radzę zmienić źródło informacji.

Krótki pojedynczy dźwięk w słuchawce zakończył rozmowę. Julia spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po czwartej. Zgodnie z tym, co powiedziała Klaudia,

Maria miała wrócić za trzy i pół godziny.

Wybrała numer Górnego, odebrał niemal natychmiast.

– Zaczekaj, gdzieś go miałem – powiedział, zanim otworzyła usta. – Myślałem, że pójdzie szybciej, ale operator nawalił. Pisz, chciałaś numer do tej Kawki.

Podał numer do Judyty. Zapisała go w notesie i odłożyła długopis.

– Mam nadzieję, że teraz dasz mi spokojnie popracować na czynsz? – spytał.

– Jeszcze nie tym razem, popracujesz trochę później. Potrzebuję jeszcze jednej informacji, i to na cito.

– Chryste, Julia, nie mam szklanej kuli!

– Masz za to bazy danych. Znajdź adres niejakej Klaudii Komasy, lat przypuszczalnie osiemnaście lub coś w tych okolicach.

– Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Tak wyszło, że sama się wytrzasnęła.

– Kto to?

– Podejrzewam, że to u niej pomieszkuje młoda Rawska. Zbyt mało jeszcze o niej wiem, ale wygląda na to, że poza użyczeniem Marii swojego dachu występuje w roli jej zasłony dymnej.

– Kryje swoją młodą chlebodawczynię?

– Stara się, ale robi to mało udolnie. Znajdź ją i oddzwoń jak najszybciej, to ważne.

Cholernie ważne, dodała w myślach. Przyjaciółka od serca, która zasłania Marię własną pierśią. Dziewczyna z tupetem i obrończyni uciśnionej. Jest na tyle blisko Marii, żeby dużo o niej wiedzieć. Dlatego nie chce mówić, a już na pewno nie chce jej zaszkodzić. Woli milczeć, milczenie jest znacznie bezpieczniejsze od słów.

Adam oddzwonił po kwadransie. Julia spytała tylko, czy jest pewien i czy nie pomieszał czegoś, szukając adresu w danych systemowych. Potwierdził, że dość dobrze umie czytać litery, a na obsłudze bazy danych zna się lepiej od niej. Cmoknął przy tym rozkosznie do słuchawki i zapewnił, że godzina bez dźwięku jej głosu w telefonie jest godziną straconą. Zapewniła, że zrobi wszystko, by do takich strat nie dochodziło. Chciał to skomentować, ale nie dała mu szansy na ripostę. Podziękowała tylko szybko za adres.

Nie musiała go zapisywać. Kamienica, w której mieszkała Klaudia, znajdowała się na sąsiedniej ulicy. Postawiono ją po wojnie. Była stara, ale zadbana i wyremontowana, z wejściem od ulicy i wewnętrznym podwórzem. Miała tylko jedną klatkę schodową i dwa wysokie piętra z poddaszem, które oddano mieszkańcom po

przeróbce starych pralni. Być może Maria wiedziała o tym, że mieszkają po sąsiedzku. Być może widywała ją wcześniej, zanim zadzwoniła po raz pierwszy. Mógł to też być czysty przypadek, że wybrała właśnie Julię do tej przedziwnej sprawy. Lepiej było trzymać się tej drugiej wersji, wpadanie w spiralę domysłów i podejrzeń nie miało sensu.

Zebrała porzucane na łóżku kartki z wywiadem z Niną i odłożyła je na brzeg materaca. Jeszcze raz spojrzała na skleconą z krótszych i dłuższych wypowiedzi historię Rawskich, którą przedstawiła dziewczynka. Na wiele ważnych pytań brakowało odpowiedzi. Ten, kto przeprowadzał wywiad, nie naciskał. Celowo, by nie zrazić do siebie dziecka, które i tak zmuszało się do konfrontacji z obcym człowiekiem. Jednak współpracowała, jak określiłaby to policja. W języku psychologii należałoby pewnie powiedzieć, że oczyszcza jaźń. Zatem doktor oczyszczał jaźń Niny. Doktor A.M.

Niespodziewany skurcz złapał Julię za szyję, jakby właśnie w tej chwili zacisnęło się na niej niewidzialne imadło.

Rozrzuciła ponownie kartki. Brała każdą z nich po kolei do ręki, jakby nadal nie wierzyła, że to, co widzi, widzi naprawdę. Nie zwracała wcześniej uwagi na to, co jest napisane na przystawionej lekarskiej pieczęcie, którą i tak zamazywał nieczytelny podpis jej właściciela.

– To niemożliwe – wybełkotała do siebie. – To nie dzieje się naprawdę. On nie wyjechał, on wciąż tu jest i do tego leczy to dziecko... Jasna cholera...

* * *

– Znowu śpi. – Pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi gabinetu doktora Synowca. – Nie powinniśmy dawać jej aż tak dużej dawki leku, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Doktor Maciejewski wyraźnie zabronił.

Synowiec oderwał oczy od komputera, ale jego ręce wciąż spoczywały na klawiaturze, gotowe do napisania kolejnego akapitu artykułu o leczeniu nerwic.

– Nic jej nie będzie. Dzięki temu uspokoi się i dojdzie do siebie.

– Nie byłabym tego taka pewna.

– Lek jest niezawodny. A Maciejewskiego biorę na siebie – dodał i odkręcił wieczko pojemnika z tabletkami na zgagę.

Pielęgniarka włożyła ręce do kieszeni fartucha. W prawej trzymała klucze do szafek na leki, zabrzęczały poruszone palcami.

– Właśnie od niej wracam. Chciałam sprawdzić, czy niczego jej nie brakuje.

– Śpiącym potrzebne są przede wszystkim spokój i cisza. Nic więcej.

Pokręciła głową.

– Myli się pan. Widziałam na jej szyi świeże zadrapanie. Musiała to zrobić po naszym wyjściu.

Synowiec zdjął ręce z klawiatury komputera i przesunął się w fotelu tak, by lepiej widzieć twarz kobiety.

– Może drasnęła się niechcący przez sen.

Klucze poruszane palcami zabrzęczały ponownie w kieszeni.

– Wiem, jak wygląda ślad po zadrapaniu. Pracuję tu na tyle długo, żeby rozpoznać, kto skrobie się po skórze, bo swędzi, a kto robi to celowo.

Tabletka na zgagę prześlizgnęła się gładko przez przełyk Synowca. Mimo to sięgnął po butelkę z gazowaną wodą i upił kilka łyków.

– Pochopne wnioski – powiedział, oblizując niespiesznie usta. – Należy z nimi uważać.

– Nie bagatelizowałabym tych zadrapań. Do tej pory wycinała te swoje gryzmoły na ścianie za łóżkiem. Obawiam się, że to przestało jej wystarczać i zabrała się do własnego ciała.

– Radzę się uspokoić. Nina to rozsądne dziecko, nie zrobiłaby sobie krzywdy.

– Z całym szacunkiem, panie doktorze, ale zajmowanie się pacjentami tylko wtedy, gdy doktor Maciejewski wyjeżdża do pracy w Norwegii, nie daje panu pełnego oglądu sytuacji. Jestem z Niną od samego początku i nie stałabym tu teraz przed panem, gdyby chodziło o jakąś bzdurę. Zadrapanie? To dziecko nie daje sobie rady. Niepotrzebnie mówił jej pan o wypisaniu z kliniki. To był błąd. Trzeba było poczekać z tą informacją. Albo najlepiej, żeby przekazał ją małej doktor Maciejewski. On umie postępować z dziećmi. Sam pewnie niedługo zostanie ojcem.

– Krytykuje pani moje podejście do pacjentów, nie mając żadnego stopnia naukowego? – Synowiec oparł się w fotelu i skrzyżował ręce na piersi. – Nawet jak na kogoś z pani stażem to dość niestosowne i ryzykowne. Powiedzmy jednak, że przymknę na to oko i uznam, że robi to pani w trosce o Ninę.

– Chodzi mi tylko o jej dobro.

– Nic jej nie będzie. W końcu oswoi się z myślą o wypisie. Mamy jeszcze trochę czasu, żeby postawić ją na nogi, zanim stąd odejdzie.

– Do końca miesiąca zostały niecałe dwa tygodnie. Liczy pan na cud? Ta szyja...

skóra jest całkiem zdarta. Nie założymy jej przecież na dłonie rękawiczek jak jakiemuś noworodkowi. Ani nie przywiążemy do łóżka.

– Zrobimy to, co będzie konieczne.

– Co pan ma na myśli?

– Jeśli zadrapania będą się powtarzać, umieścimy ją razem z innymi chorymi.

– We wspólnej sali? Pan chyba żartuje...

Doktor Synowiec pokręcił głową.

– Przypadek Niny nie jest taki szczególny, jak się pani wydaje. Dołączy do dwójki naszych najmłodszych pacjentów. Może jej to pani powiedzieć osobiście, jeśli uważa pani, że informacje przekazywane przeze mnie wywołują w Ninie niepokój.

– Może lepiej poczekajmy na doktora Maciejewskiego...

– Nie ma takiej potrzeby. Gwarantuję pani, że na samo wspomnienie o wspólnej sali Nina przestanie się okaleczać.

– Ze strachu przed innymi ludźmi. To dość... kontrowersyjna metoda.

– Ale skuteczna. Zrobi wszystko, żeby zostać sama w swoim pokoju.

– Biedna mała. – Kobieta była wyraźnie poruszona. – Czeka ją ciężkie życie. Zajrzę do niej za jakiś czas, ale nie wiem, czy będę w stanie powiedzieć jej o wspólnej sali. To ponad moje siły.

Spodziewała się, że Synowiec zaoferuje swoją pomoc albo zmieni zdanie i przyspieszy spotkanie dziecka z Maciejewskim. Jednak nie zrobił tego. Nina stawiała się mu obojętna. Skoro i tak miała zniknąć z jego kliniki za kilkanaście dni, dalsze zajmowanie się jej losem było stratą czasu.

* * *

Taksówka wysłana z hotelu Marriott zatrzymała się pod samą bramą kliniki. Szyba tylnego okna opuściła się niemal bezszelestnie i wyjrzała zza niej głowa kobiety otulona w kraciatą chustę Burberry.

– Jesteśmy na miejscu. – Taksówkarz ściszył radio, z którego dobywało się *You Make Me Feel* Arethy Franklin. – Będę tu czekał na panią, jak się umówiliśmy.

Wzrok Judyty padł na rozmoczony śnieg. Gdyby zrobiła choć jeden krok, jej pantofle z cielecej skóry ugrzęzłyby w brunatnej brei.

– Niech pan wjedzie na parking, tu nie da się postawić nogi – zadyrygowała.

Zrobił, jak mu kazała. Wyszedł z auta i wcisnął guzik przy bramie. Powiedział kilka słów do zamontowanego głośnika, po czym wrócił za kierownicę. Podjechał

najbliżej, jak się tylko dało, za co podziękowała mu krótkim „nie można tak było od razu?”.

Wysiadła i poprawiła zsuwającą się z ramion chustę, po czym ruszyła do głównych drzwi. Była tu tylko raz, ale wiedziała, że jeszcze kiedyś powróci. Ninka była przecież jej oczkiem w głowie. Gdyby nie załatwianie spraw spadkowych po starym Kawce, które zajęły jej długie miesiące, zaglądałaby tu częściej. Musiała jednak przypilnować wykonania warunków testamentu, a odebranie milionowej schedy nigdy nie odbywa się błyskawicznie.

Nacisnęła klamkę i napała ramieniem na drzwi. Weszła do holu. Ostentacyjnie ominęła recepcyjne okienko i siedzącą w nim młodą dziewczynę, po czym ruszyła prosto w stronę lewego skrzydła. Nie zatrzymały jej nawoływania kobiety w fartuchu, do którego przypięty był znaczek z nazwiskiem Ewa Czajka. Szła energicznie, wbijając obcasy swych drogich pantofli w wypastowane linoleum.

Stała przed drzwiami z judaszem i zapukała trzy razy. Nikt nie odpowiadał, zapukała więc ponownie, tym razem mocniej.

Ciepło dochodzące z rozkręconych kaloryferów zmusiło ją do odwinienia z szyi chusty. Przewiesiła ją sobie przez ramię i potarła skórę na karku.

– Jesteś tam? Ninka! – Przyłożyła ucho do drzwi.

Kolejne uderzenia. Szarpnięcia za klamkę też nie pomagały.

– Proszę najpierw do recepcji! – Nadbiegająca Ewa wskazała kierunek. – Tak nie można!

Kobieta machnęła ręką, w której trzymała chustę. Zapach drogich perfum uniósł się w powietrzu wraz z tkaniną w kratkę Burberry.

– Nie mam czasu na bzdury! Ona na mnie czeka.

– Trzeba się zarejestrować, a lekarz musi wydać zgodę na widzenie. Inaczej pani nie wejdzie.

– Czy pani nic nie rozumie? – Twarz Judyty stężała. – Nie słyszy pani tej ciszy za drzwiami?! Dlaczego one są zamknięte?!

Załomotała po raz kolejny. Już nie trzykrotnie i nie palcem, teraz uderzała pięścią nieprzerwanie. Echo łomotu odbijało się od ścian korytarza i biegło wyżej, na kolejne kondygnacje.

– Proszę przestać! – Ewa zdołała wsunąć się między dłoń kobiety a drzwi pokoju.

– Śpi od dobrych trzech godzin. Nie należy jej budzić.

Ucichła na dźwięk stawianych w pokoju kroków, które poprzedziło przeciągłe

szurnięcie stołowych nóg. Po chwili drzwi uchyliły się na szerokość pięści.

– Wejdz, ciociu – powiedziała Nina. Miała na wpół przymknięte oczy, wodziła po twarzach obu kobiet niemal nieprzytomnym wzrokiem. – Dobrze, że jesteś, czekałam na ciebie.

– Dali ci jakieś leki? – Judyta dotknęła twarzy dziewczynki, po czym odgięła kciukiem dolną powiekę jej lewego oka.

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co się ze mną dzieło.

Wysunęła przez szparę w drzwiach dłoń i zacisnęła ją na rękawie czerwonego płaszcza. Przyciągnęła go do siebie, rozchylając bardziej drzwi pokoju. Czajka ponownie otworzyła usta, chcąc przypomnieć o konieczności rejestracji, jednak zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Nina wykrzywiła usta w podkowę.

– Chcę z nią tylko porozmawiać. Nie mów nikomu, że przyszła. Proszę.

Nie czekając na jej reakcję, wciągnęła ciotkę do środka i cicho zamknęła drzwi. Przyniesiony spod okna stół ponownie zatarasował wejście.

* * *

– A ta, ładna? – Emilia przystanęła w wąskiej alejce między rzędami wieszaków sklepu odzieżowego MiniMaxi mieszczącego się przy Chmielnej.

Sylwia wyjęła ze swojej torebki mambę i odwinęła z papierka. Włożyła sobie gumę do ust i poruszyła szczęką.

– Zielona? – Skrzywiła się na widok sukienki. – Brzydka. Wygląda jak mój pokój. Nie lubię go, zielony jest brzydki.

– Ale z koronką. – Emilia zamachała przed nosem wnuczki sukienką. – Mnie od zawsze podobały się koronki, są takie romantyczne.

Na widok kręcącej głową Sylwii z westchnieniem odwiesiła suknię na wieszak. Kolejna była brązowa.

– Jak dla starej baby – skomentowała Sylwia. – Mdła i za długa. Ty jesteś przecież młoda, babciu.

– Mówisz? – Emilia złapała swoje odbicie w lustrze przytwierdzonym do ściany sklepu. – No tak, masz rację. Nadaje się tylko na procesję.

– Weź przed kolana, to będzie ładnie. Albo spodnie, dżinsowe, z dużymi kieszeniami. Babcia Jagody takie nosi. Była nawet w gazecie w kąciku modowym, więc się zna. Jak chcesz, to ją zapytam, co będzie dla ciebie dobre. Pokażę jej twoje

zdjęcie i powie.

– Babcia Jagody nie będzie mnie uczyć, jak mam się ubierać.

– Ona wygląda jak milion dolarów, babciu.

– Daj mi, kochanie, spokój z tą kobietą. Podrasowana sześćdziesiątka ze sztywnym czołem. Udaje, że ma trzydzieści lat mniej. Wstydu nie ma.

Sylwia przełknęła mambę i wyjęła kolejną.

– Ma nowego chłopaka. Jagoda mówi, że to już drugi w tym roku.

– Obraza boska i nic więcej! No a ta?

Błękitna płachta zawirowała przed twarzą Sylwii. Dziewczynka odsunęła się na bezpieczną odległość, by nie dostać sprzączką paska po nosie.

– Dla grubasów. Ty jesteś szczupła, babciu.

– No tak... co racja, to racja. – Emilia wciągnęła brzuch. – Ostatnio spadło mi trochę tu i ówdzie. Nie wiem, czy nie za dużo, jak myślisz? To ze stresu, ja ciągle żyję w nerwach.

– Babcia Jagody chodzi na masaże odchudzające. Wysysają tłuszcz.

– Mnie nikt nie musi wysysać tłuszczu. Wystarczy, że kilka razy w tygodniu posłucham twojej matki i już mi leci kilogram. Ta ma ładny dekolt, nie za głęboki, w sam raz.

Emilia przełożyła sobie wieszak przez głowę i docisnęła materiał sukienki do obfitych piersi.

– Długość też dobra, za kolano. Będzie odsłaniać łydkę, tylko ten rozporek idzie zbyt wysoko. Trzeba byłoby zszyć.

Sylwia pokręciła głową po raz kolejny.

– Do bani. Jeśli nie chcesz dzinsów, kup kombinezon. Teraz nosi się kombinezony, wiesz?

Emilia oczami wyobraźni zobaczyła siebie w obcisłym kombinezonie, opinającym jej blisko dziewięćdziesięciokilogramowe ciało.

– Jak to: kombinezon? – Przebiegła wzrokiem po pulchnej talii i biodrach. – Na taką okazję?! Oszalałaś chyba, kruszyno. Musi być sukienka, do tego elegancka.

Nie oglądając się na Sylwię, ruszyła do przymierzalni, podtrzymując nad podłogą zwiewny materiał beżowej sukni, kolejnej z eleganckiego asortymentu sklepu. Wnuczka ruszyła za nią.

– Poczekaj tu na mnie – powiedziała Emilia i zasunęła za sobą drzwi. – Nigdzie nie odchodź.

Sylwia przykucnęła przy podświetlanej reklamie pokazującej dwie kobiety o różnych tuszach. MiniMaxi prezentowało swoją wiosenną kolekcję odzieży dla, jak to określiła Sylwia w myślach, mało wymagających. Dla zabicia czasu zaczęła wykrzywiać buzię do swojego odbicia w szybie reklamy. Czwarty sklep z damską odzieżą, jaki dziś odwiedzały, wywołał w niej bezmiar nudy.

– No chodź, zobacz, czy dobrze leży. – Po kilku długich minutach Emilia rozsunęła drzwi przymierzalni. – Trochę ciśnie pod biustem, ale chyba zdążę jeszcze zrzucić kilka kilogramów, zanim... No, powiedz, jest dobrze?

Dziewczynka, nie wstając z kucek, obróciła się w stronę Emilii.

– Zanim co, babciu?

Emilia zatoczyła koło ręką uwięzioną w przyciasnym rękawie.

– Powiedzmy, że do wiosny. Do wiosny muszę dać radę.

– Weź większy rozmiar. Co ma się wydarzyć na wiosnę?

– Ten jest dobry. Nie potrzebuję większego, przecież nie będę nosić namiotu!

– Mhm... Ta może pęknąć. Nie wytrzyma, choć jesteś przecież szczupła – powtórzyła Sylwia. – Zresztą, po co ci taka sukienka, jest całkiem niemodna. Nikt nie chodzi w takich po ulicach. Jak na imieniny do starej ciotki.

– Nie znasz się! Ciebie interesują tylko portki z podartymi kolanami! Jakby cię wściekle psy pogryzły. Dystyngowani ludzie noszą się inaczej.

– Aha, okej. – Sylwia przylepiła do twarzy uśmiech mówiący, że chyba się nie rozumieją w kwestiach odzieżowych trendów.

– Biorę! – Emilia zakręciła się przed lustrami wiszącym między kabinami przymierzalni. – Piękna, naprawdę piękna! Jeszcze buty, koniecznie na słupku. Też beżowe. Za rogiem jest obuwniczy, na pewno coś tam znajdziemy.

Sylwia wywróciła oczami. Na tym, co za rogiem, z pewnością się nie skończy. Kolejne kilometry w nogach w towarzystwie babci miała zapewnione.

– Idź z dziadkiem – rzuciła w stronę przymierzalni. – Ja mam dość. Na jutro mam się nauczyć wiersza.

Za drzwiami przymierzalni wychyliła się głowa Emilii uwięziona w beżowej płachcie, która nijak nie chciała przecisnąć się przez ramiona.

– Wiersz może poczekać. Mówię ci przecież, że to tuż obok. Co za diabeł!

Emilia podskoczyła kilka razy, ale z marnym skutkiem. Zaklinowana po pas w sukience zaczęła powoli pojękiwać.

– Chodź tu, dziecko. Przytrzymaj... teraz pociągnij. Mocno, ale nie za bardzo.

Idzie? Nie idzie... Jeszcze raz. Na trzy cztery!

– Jednak nie jesteś taka szczupła, babciu. Co to za druty na brzuchu? Cztery! – Sylwia wydała z siebie pisk, któremu towarzyszyło ciche trzaśnięcie.

– No i masz! Poszło! – Zziajana Emilia wyswobodziła się z sukienki i zakryła nią opinający talię gorset. – Pod pachą pękło. Nie szkodzi, wymienimy na drugą.

Oczy Sylwii zrobiły się okrągłe jak piłeczki do ping-ponga.

– Porwałaś sukienkę i chcesz podmienić? Czad!

Ukryta na powrót za drzwiami przebieralni Emilia zapinała już płaszcz i poprawiała beret na głowie.

– Nie moja wina, że była słabo zszyta – dobiegł głos zza drzwi. – Masz się nie odzywać przy kasie, rozumiesz? Nie mędrkować i nie robić głupich min. Wymienimy, zapłacimy i wyjdziemy.

Po chwili Emilia z przewieszoną przez ramię nową sukienką sunęła między wieszakami w stronę kasy. Kasjerka dyskretnie spojrzała na rozmiar na metce i na figurę klientki. Przyszpilona gromiącym wzrokiem starszej damy bez słowa zainkasowała dwieście dwadzieścia złotych i zapakowała beżową kreację do reklamówki.

Zimowy chłód nadal trzymał. Ulicami szybkim krokiem przemieszczali się wracający z pracy przechodnie. Sylwia naciągnęła na uszy czarne puchate nauszники z wyszytymi czaszkami.

– Na dziś koniec – powiedziała zdecydowanie. – Łażenie znudziło mnie na maksa. Poza tym mam lekcje.

Emilia poprawiała jej szalik pod szyją.

– Nie mówi się „łażenie”, tylko „spacerowanie”. Wyrażaj się, dziecko.

– Spacerowanie mnie znudziło. Sukienka jest, więc szuramy do domu.

Emilia wzniosła oczy ku niebu.

– Ta Jagoda zaprowadzi cię kiedyś do kryminału, jeszcze się przekonasz. Powinnaś przestać się z nią przyjaźnić. Są przecież inne dzieci. Taka Irenka...

– Irenka jest taka jak jej imię. Przedwojenna.

– Za to Jagoda nie ma sobie równych w tej swojej nowoczesności – warknęła Emilia. – Dobrze już, wracajmy. Mamy to, po co przyszliśmy. Buty kupimy jutro.

Z Chmielnej ruszyły w stronę Marszałkowskiej. Ulica dudniła od sunących po szynach tramwajów. Echo odbijało się od dawnych Domów Centrum i niknęło w dalek położonych pasażach handlowych. Rozświetlone witryny sklepów skrzyły się od

blasku żarówek i rozjaśniały miejską szarówkę.

Dochodziły do przejścia między kinem Atlantic a restauracją Bordo, kiedy Emilia zwolniła kroku. Wystawa z kapeluszymi była ledwie widoczna. Mały butik z wąskim wejściem i kolorowym pawiem przykutym nad drzwiami zaintrygował ją jednak na tyle, by podejść do sklepowej witryny. Natychmiast okrasila twarz uśmiechem.

– Muszę – powiedziała bardziej do siebie niż do przesytej wiatrem wnuczki.

Pchnęła drzwi sklepu. Sylwia jak wierny, aczkolwiek znudzony psiak ruszyła za nią. Dzwonek wiszący nad górną futryną zadźwięczał cicho. Dziewczynka rozejrzała się po poustawianych na półkach sztucznych głowach ustrojonych w małe i większe kapelusze. Były niezwykle, barwne i zupełnie niedzisiejsze. Z kokardami i piórami, wstążkami zwisającymi jak girlandy i wielobarwnymi kamieniami poprzyszywanymi wokół rond.

Sylwia spojrzała na babcię pytająco. Ta ponownie się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

– Przecież nie pójde do ślubu z gołą głową – westchnęła dobrotliwie. – Jeszcze się nie domyśliłaś, kochanie?

Dopiero teraz Sylwia zobaczyła mały złoty pierścionek na serdecznym palcu Emilii. W mocnym świetle żarówek obrączka z brylantowym oczkiem połyskiwała niczym kamienie na rondach kapeluszy.

– Nie mówiłam jeszcze o tym twojej mamie, bo z góry wiem, jak zareaguje. Ale jak by to powiedziała ta twoja Jagoda...

– Chromolisz to?

– Tak. Chromolę. Twój dziadek i ja bierzemy ślub. Raz kozie śmierć.

Sylwia miała wrażenie, że Emilia ma łzy w oczach. Z przerażenia lub radości, może z tych dwóch powodów naraz. Kiedy wzięła do ręki biały toczek z równie białą siateczką, do którego przytwierdzony był kwiat lilii, już bez skrępowania otarła mokrą powiekę. Ekspedientka pomogła umocować fascynator na głowie i zsunęła siateczkę na czoło.

– Będzie wściekła, co, dziecko? – Emilia podchwyciła spojrzenie Sylwii odbite w lustrze. – Twoja mama – wyjaśniła.

Ręce Sylwii objęły kibić babci i zacisnęły się na niej mocno.

– Ta sukienka i buty... to wszystko po to?

– Nie chcę dłużej czekać. – Głos Emilii był miękki i dało się w nim słyszeć wzruszenie. – To ostatni moment, żebym zaznała odrobiny szczęścia. Tylko czy ona

to zrozumie?

Dziewczynka wtuliła się w kołnierz płaszcza babci. Pachniał lawendą na mole, którą Emilia skwapliwie zawieszała w szafie każdego roku zaraz po nastaniu wiosny.

– Ja to załatwię. – Sylwia pogładziła gryzący kołnierz. – Biorę mamę na klatę. To znaczy na siebie.

– Nie trzeba, kochanie. Do rozmowy z twoją matką trzeba przygotować się jak do bitwy z huraganem. Załatwimy to z dziadkiem inaczej, po mojemu.

– Jak chcesz. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Emilia uśmiechnęła się i zaraz potem chlipnęła. Następnie poprawiła fascynator, przekręcając go bardziej na lewą stronę głowy.

– Tak będzie lepiej. Jest piękny, prawda?

– Piękny – przytaknęła Sylwia. – Będziesz najładniejszą panną młodą we wszechświecie. A o mamę się nie martw, ma serce miękkie jak gołąb. Jak ją znam, popłacze się na twoim ślubie.

Oczy starszej pani ponownie zwilgotniały.

– O ile w ogóle na niego przyjdzie – powiedziała, patrząc na swoją sylwetkę w lustrze. Jeszcze chwilę temu wydawała się sobie zgrabniejsza i jakby bardziej wyprostowana. Teraz widziała tęgą kobietę z szarą twarzą i dopiętym do włosów śmiesznym toczkiem z lilią.

ROZDZIAŁ IX

Gdzie ja jestem? – Arleta Rawska potarła palcami powieki. Jedna zabolęła tak bardzo, że kobieta krzyknęła z udręką.

Leżała na wznak, pod plecami czuła twarde posłanie. Drżała z zimna, nie miała pod sobą koca, który grzałby jej plecy, ani niczego, co mogłaby naciągnąć na brzuch. Tył głowy bolał od płaskiej poduszki, kręgi szyjne wykrzywiły się i przyprawiły o cierpienie. Podobnie jak kręgosłup, biodra i wszystkie kości. Pod sklepieniem czaszki coś pulsowało. Równo i regularnie jak wahadło Newtona. Ucisk wchodził jedną stroną skroni, przepływał przez środek głowy, by uderzyć z taką samą siłą na jej drugim krańcu.

Spróbowała podnieść drugą rękę. Syknęła z bólu i zacisnęła usta.

– Co to za miejsce? – spytała ponownie, nie wiedząc nawet, czy może liczyć na jakąkolwiek odpowiedź. Nie słyszała, by ktoś kręcił się obok niej. Liczyła jednak na to, że nie jest sama.

Pomieszczenie nie miało okien, nie potrafiła ocenić, czy jest dzień czy noc. W dwóch kątach stały jedynie lampy z przyściemnionym światłem skierowanym na sufit, co oceniła niebolącym okiem.

– Jedn... jesz – usłyszała jak przez ścianę.

Skierowała wzrok w miejsce, skąd dobiegły niewyraźne słowa. Mężczyzna. Zatem był tu ktoś. Ktoś obcy, kogo głosu nie znała.

– Co? Nie rozumiem.

– Jednak żyjesz – powtórzył.

Pochylił się nad nią, trochę rozmazany, w ciemnym swetrze lub marynarce. Odruchowo dotknęła piersi, sprawdzając, czy są zakryte. Niewiele czuła poza bulgoczącym w głowie bólem, nie wiedziała nawet, czy leży naga czy w swoim codziennym ubraniu z aresztu. Szczęśliwie wyczuła pod palcami bawełniany podkoszulek.

Obca dłoń zbliżyła się do jej twarzy. Położył ją na jej czole, sprawdzając, czy ma gorączkę. Drgnęła impulsywnie, ale uspokoił ją krótkim „już dobrze, dobrze”.

– Nie słyszę – zaskowytała.

Ręka mężczyzny przesunęła się z czoła do lewego ucha i delikatnie odsunęła kilka warstw bandażu.

– Pobito cię – wyjaśnił. – Masz okład dookoła głowy. Nie ruszaj się, zaraz powinna przyjechać karetka. Do tego czasu leż bez ruchu i módl się, żeby to nie był wstrząs mózgu.

– Zimno mi.

Zawstydził się. To jasne, że jest jej zimno. Połowa lutego, pokój bez grzejnika, a ona chuda jak wykałaczką. Mógł się domyślić i coś przynieść. Mają przecież w magazynie całe półki prześcieradeł i koców, wystarczyłoby zejść pół piętra niżej.

– Nie pomyślałem, przepraszam – pokajał się spłoszonym głosem. – To dopiero moja druga doba w tym miejscu. – Ściągnął przez głowę sweter i przykrył nim ramiona Rawskiej. Rękawy zawinął pod jej łopatki, by żadna drobina ciepła nie została zmarnowana. – Idiota ze mnie – bąknął. – Ale teraz powinno być już lepiej. Tylko nie ruszaj się, posadzili mnie tu, żebym cię pilnował. Nie możesz kręcić się ani podnosić. Mówiłem już, że zaraz zjawi się ktoś z pogotowia?

– Mówiłeś. Podrap mnie pod okiem, nie chcę wysuwać rąk spod tego ciepła. Możesz?

Chyba kiwnął głową, ale nie była pewna. Powieki były ciężkie, czuła się lepiej, gdy nie otwierała oczu.

– Ta opuchlizna długo nie zejdzie – usłyszała.

– Co?

– Prawe oko wygląda jak zgnieciona śliwka. Pewnie boli? Lepiej nie dotykać. Skóra nabrzmiała i zasłoniła gałkę. Pobito cię jak cholera. W celi. Tak przynajmniej słyszałem. Ściągnęli pomoc, gdy uderzyłaś głową o drzwi. Musiało porządnie załomotać, skoro klawisze nie mogli udać, że tego nie słyszą. Chłopaki od nas z magazynu powiedzieli, że to normalne, że zwykle udają głuchych. W przeciwnym razie musieliby biegać od celi do celi przez całą dobę.

– Co jeszcze mówili?

– Że z tą, co z nią siedzisz pod jedną celą, to lepiej nie zadzierać. Lubi robić łomot, zwłaszcza takim, co to... no wiesz. – Odchrząknął zmieszany.

Odszedł od łóżka i zaczął kręcić się w tę i w tę po pomieszczeniu. Co parę sekund, na zmianę, spoglądał na zegarek i uchylał drzwi, nasłuchując, czy nie zbliżają się ludzie z pogotowia.

– Ile masz lat? – spytała Rawska, wodząc zdrowym okiem za przesuwaną się plamą.

Zatrzymał się w połowie spaceru między drzwiami a przeciwległą ścianą.

– To ważne?

– Powiedz.

– We wrześniu skończę dwadzieścia.

– Całe życie przed tobą.

– A twój syn? Ile miał?

Kiedy leżała nieprzytomna, obiecał sobie, że gdy się ocknie, będzie dla niej miły i nie wspomni ani słowem na temat tego, za co ją zamknęli. Tak go przecież matka wychowała, żeby nie nękać słabszych. A ona była słaba, ledwie dychała sponiewierana przez krzepką koleżankę z celi. Jednak ciekawość wzięła górę i za późno było na odwołanie pytania.

Rawska poruszyła się niespokojnie na leżance. Ciepło skumulowane pod swetrem chłopaka zaczynało zamieniać się w gorąco.

– A więc o tym też ci powiedzieli. Dobrzy kumple.

– Nie co dzień katuje się człowieka w pudle – odpowiedział jednym tchem. – Przynajmniej nie do tego stopnia. Dlatego jak ktoś porządnie oberwie, to każdy wie za co. Na pewno nie za użycie cudzego mydła czy zwędenie papierosa.

Wysunęła rękę spod swetra i obmacała ponownie głowę i szyję. Pod palcami poczuła kołnierz ortopedyczny.

– Wiadomo, za co bije się współwięźniów najmocniej – ciągnął chłopak. – Nie tylko tu, ale wszędzie. Więc ile?

– Daj mi spokój. Chcę odpocząć.

Spróbowała się przekręcić, by ułożyć wygodniej głowę. Lepiej było zwinąć cienką poduszkę lub złożyć ją na pół i podłożyć, by kark przestał boleć, ale chłopak zareagował szybciej, aniżeli zdołała wykonać jakikolwiek ruch.

– Nie kręć się. Mam cię oddać w takim stanie, w jakim tu trafiłaś. Pielęgniarka poskładała cię na tyle, na ile mogła. – Głos nie był już tak łagodny jak kilka minut wcześniej. – Nie chcę mieć problemów, jak zlecisz z łóżka i pogruchoczesz kości jeszcze bardziej, jasne?

Chciała się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa. Wykrzywiły skórę na policzkach i przy nosie. Odniósł wrażenie, że śmieje się nie do niego, ale z niego. Do tego w obrzydliwie lekceważący sposób. Twarz mu stężała, i choć nie

widziała tego wyraźnie, czuła, że nagle przestaje mieć w nim sprzymierzeńca. Spróbowała uśmiechnąć się ponownie, ale wyszło jeszcze gorzej. Stanął nad nią i zerwał sweter, który przykrywał jej brzuch. Strzepnął go ostentacyjnie, jakby zrzucił z niego próbujące zagnieździć się we włóknach robactwo.

– Może i ci się należało – warknął. – Z początku nie wierzyłem. Nie wyglądasz na taką, co to by własnego dzieciaka... Ale kumple mieli rację. Niewinnych nie klepie się tak mocno po kościach.

Nie była pewna, czy zrobił to celowo, czy niechcący zahaczył ciężkim butem o nogę leżanki. Łóżko szarpnęło, a głowa znów zakłuła. Dużo mocniej niż poprzednio.

– On też taki był – powiedziała przez zęby Rawska. – Słodko-gorzki.

Z korytarza dobiegły głosy. Trzy pary nóg szły szybko w ich stronę. Stukot kółek noszy łączył się z tupotem szpitalnych chodaków i ludzką mową.

– To tu? – spytał ktoś ze zdziwieniem.

– Tu. Bieda z wolnymi miejscami, wszystko przeładowane, więc... – odpowiedział ktoś inny, tłumacząc się bez większej skruchy.

Drzwi się otworzyły. Dwóch ludzi w pomarańczowych bluzach, w tym jeden z napisem „lekarz”, podjechało z noszami do Rawskiej. Błysk latarki przebiegł po żrenicach, palce w lekarskich rękawiczkach zacisnęły się na nadgarstku.

– Ładujemy. Proszę nie wstawać, nie wolno pani się ruszać! Ręce prosto wzdłuż ciała.

Posłusznie położyła dłonie przy biodrach i zamknęła oczy. Przesunięcie jej z twardej leżanki na nosze trwało ułamek sekundy. Postawiono boczne oparcia, zaszeleściły jakieś papiery. Towarzysząca strażniczka, której głosu nie znała, podpiśała coś szybko i zwróciła kwit lekarzowi.

– Coś jeszcze? – Medyk zwrócił się do chłopaka w ciemnym swetrze. medyk – Chciałeś o coś zapytać czy mi się wydawało? Jeśli nie, to zabieramy pacjentkę.

– Dajcie mi chwilę.

Chłopak podszedł do Rawskiej. Czuła jego obecność i silny zapach dezodorantu, który uwiązał w swetrze. Ten sam, który zdążył przejść na jej ubranie.

– Otwórz oczy – powiedział cicho.

Nie zareagowała. Nie miała najmniejszej ochoty robić tego, co chciał ten gówniarz. Taki sam słodki...

– Zrobiłaś to? Odpowiedz.

Więzienna funkcjonariuszka odciągnęła go na bok, ale wyrwał się.

– Zabiłaś swojego syna?

– Dosyć! Wracaj do swoich zajęć! – krzyknęła strażniczka.

Kółka noszy potoczyły się w kierunku wyjścia. Gdy Rawska była już pewna, że przytrzymany nakazem funkcjonariuszki chłopak nie ruszy się spod ściany, otworzyła powoli powieki i uśmiechnęła się do niego tym samym uśmiechem, który niecały kwadrans temu doprowadził go do utraty wiary w jej niewinność.

* * *

Nie odbierała. Julia po raz kolejny wybrała numer telefonu Judyty Rawskiej-Kawki i tak jak poprzednio usłyszała ten sam ciągły sygnał. Już nawet zdążyła nauczyć się na pamięć zachęty do pozostawienia wiadomości wypowiedzianej przez niezwykle uprzejmy głos właścicielki telefonu. „Zostaw informację lub numer telefonu, oddzwonię najszybciej, jak to będzie możliwe” – zabrzmiało sześć razy z rzędu. Nie chciała się przedstawiać ani tym bardziej zostawiać wiadomości. Mogłaby wypłoszyć siostrę Rawskiej, wolała próbować dalej. Może za godzinę będzie miała więcej szczęścia.

Na razie schowała telefon do kieszeni płaszcza i stanęła przed starą kamienicą na Chełmskiej.

Klatka schodowa była otwarta. Ktoś zablokował drzwi pękniętą cegłą, by wypuszczony z mieszkania pies mógł wrócić sam. Albo jakiś dzieciak zgubił klucz do klatki i teraz bał się, że nie będzie mógł dostać się do mieszkania po tym, jak wyskoczy na chwilę po cukierki do sklepu. Powód pozostawienia otwartych drzwi był nieistotny. Ważne, że mogła wejść bez podawania się za kuriera, pracownika gazowni czy świadka Jehowy.

Wbiegła na pierwsze piętro i nacisnęła dzwonek przy drzwiach z numerem osiem. Nie czekała długo, łańcuszek zabezpieczający wysunął się z zamka i drzwi się uchyliły. Stanęła w nich dziewczyna z jasnymi włosami sięgającymi łopatek, świeżo umyтыми i wysuszonymi. Wciąż pachniały kokosowym szamponem. Odgarnęła grzywkę i założyła ją sobie za ucho. Ubrana była w czerwoną bluzę z kapturem i Myszka Miki na przodzie. Na umięśnionych nogach miała czarne legginsy. Futrzane kapcie z naszytymi głowami jednorożca dopełniały całości.

– Wiedziałam, że pani nie odpuści, gliny nigdy nie odpuszczają. – Dziewczyna przewróciła oczami. – Nie sądziłam jednak, że z pani taki szybki Bill.

– Wpuścisz mnie do środka czy wolisz pogadać na korytarzu? – Julia cofnęła się o

krok, ale Klaudia nie zamierzała opuszczać ciepłego mieszkania ani stać w przeciagu. Ruchem głowy dała znać, że można wejść.

– Niech pani wejdzie, chociaż nie wiem po co.

Minęły przedpokój z białą terakotą na wysoki połysk i ścianami pomalowanymi na gołębi kolor. Pośrodku jednej z nich wisiała grafika z naszkicowaną kobietą, uczesaną jak brytyjska modelka Twiggy i ubraną w sukienkę w geometryczne wzory.

– Ciekawa rzecz. – Julia stanęła przed grafiką. – Naprawdę, bardzo piękna.

– To moja matka z czasów młodości. Ojciec ma takie hobby: rysowanie. Pełno tu jego bazgrołów. Psy, konie, ludzie. Mnie też chciał naszkicować, ale poległ już przy pierwszym podejściu. Nie mam cierpliwości do siedzenia nieruchomo na tyłku przez trzy godziny. A on rysuje tylko z natury, jakby ze zdjęcia nie było łatwiej.

Wskazała pokój. Miękki dywan przykrywał parkiet ułożony w jodełkę. Stara moda wróciła, pomyślała Julia. W mieszkaniu jej matki też taki był, i też w jodełkę. Z tą różnicą, że tam lakier zdarty był już do granic możliwości, nie to co tu. Błysk i połysk. Zielona narożna kanapa, pięćdziesięciocalowy telewizor Panasonic, stolik kawowy i klimatyczne zasłony w kolorze kontrastującej z kanapą miodowej żółci. Jedna ze ścian przeznaczona była na bibliotekę. Do regału dostawiono jeżdżącą drabinkę. Elegancko i na bogato.

Julia podeszła do półek z książkami i pobieżnie przejrzała tytuły. *Dyplomacja*, *Protokół dyplomatyczny*, *Dress code*.

– Ojciec jest attaché w Portugalii – wyjaśniła Klaudia. – Matka wyjechała razem z nim – dodała.

– Ty nie chciałaś?

– Nie lubię tłuc się bez sensu po świecie. No, chyba że poleżeć pod palmą, to owszem.

– W Portugalii chyba nie brakuje palm?

– Musiałabym tam albo pracować, albo uczyć się w dziwnym języku. Z dwojga złego wolę uczyć się tutaj.

– Studiujesz razem z Marią?

Klaudia oparła się o bibliotekę.

– Maria – SGGW, ja – płatne prawo na uniwerku, cholerrnie drogie – odpowiedziała, zawijając sobie na palec pasmo blond włosów i patrząc wymownie na płaszcz Julii pochodzący z taniej sieciówki.

Julia usiadła bez zaproszenia na zielonej kanapie.

– Prawo, mówisz? Życie zgodne z prawem jest dla naszego społeczeństwa ogromnie ważne.

– Też tak myślę.

– I tu się uczycie. To bardzo ładny pokój. W sam raz na naukę i wasze centrum operacyjne.

Dziewczyna usiadła obok, ale niezbyt blisko. Narożnik mógł pomieścić kilka osób, wybrała więc jego najodleglejszą część.

– Chyba nie przyszła pani po to, żeby pytać mnie o te głupie telefony? To przecież tylko zabawa. Dużo dziewczyn tak robi, jest z tego jakaś kasa. Bez wodotrysków, ale parę groszy zawsze wleci.

– Za coś trzeba żyć.

– Właśnie. Z nieba nic nie spada.

Zsunęła z nóg kapcie z jednoróżkami i usadowiła się w kwiecie lotosu. Oparła plecy o miękkie oparcie i powoli przeczesowała palcami włosy.

– Nie będę kablować na Marię, jeśli po to pani przyszła. Już mówiłam, jest dla mnie jak siostra. Mieszka tu od roku i jest nam razem dobrze. Stałyśmy się nierozłączne.

– Mhm... Uczycie się razem, przepytujecie i... razem mruczycie w słuchawkę.

– Wszystko na legalu. Poza tym jesteśmy dorosłe.

– Jasne. – Julia pokiwała głową. – Fajnie jest być dorosłym. Dorośli ludzie nie muszą bać się, że to, co robią, nie spodoba się ich rodzicom.

Twarz Klaudii stężała. Przestała przeczesywać włosy i skrzyżowała ręce pod piersiami.

– Wie pani, jak to jest żyć za trzy tysiące miesięcznie? A tyle dostaję od starych. Jedzenie, studia, kosmetyczka, a jeszcze raz w tygodniu przychodzi kobieta do sprzątanego. Za sześć godzin bierze trzysta złotych, w miesiącu to tysiąc dwieście. No to chyba już pani rozumie, o co chodzi.

Czekała na przytaknięcie, kołysząc się przy tym na biodrach jak zniecierpliwione dziecko. Powoli docierało do niej, że twardy finansowy grunt, który wydeptała sobie u rodziców, może szybko zamienić się w bagno.

– Mimo tych trudności wołałabym, żeby rodzice żyli w przeświadczeniu, że mi to wystarcza – powiedziała, stawiając sprawę jasno.

Julia pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Bo inaczej mogliby nagle wrócić? A przecież nie chcemy, by ucierpiała na tym

nasza dyplomacja w gorącej Portugalii, prawda?

– Zdecydowanie nie chcemy – zgodziła się Klaudia.

– Zatem mamy to ustalone. W takim razie powiedz mi teraz, co wiesz o rodzinie Rawskich i tamtej nocy.

– Nic nie wiem, nie było mnie tam wtedy.

– Przypomnij sobie, czy aby na pewno nie byłeś w tak ważnym dniu, jakim jest sylwester, razem ze swoją najlepszą przyjaciółką. Jesteście przecież nierozłączne, jak sama potwierdziłaś. W razie problemów z pamięcią zawsze możemy wrócić do rozmowy o twoich rodzicach. Jak wolisz.

Klaudia pokręciła gwałtownie głową.

– Okej, byłam tam, ale nie do końca – przyznała. – To znaczy nie do momentu, w którym „to” się stało.

– Czyli do której?

– Kiedy wyszłam, była jedenasta wieczorem.

– Trochę to dziwne, że zostawiłaś Marię tuż przed północą.

Dziewczyna podciągnęła nogi i usiadła po turecku. Chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do brzucha, czyniąc z niej miękką tarczę na wypadek ataku.

– Cały tamten wieczór był jednym wielkim koszmarem – powiedziała. – Mielśmy wszyscy razem pójść w piątkę w miasto, sylwester był przecież. Ale już koło dziewiątej wieczorem wszystko zaczęło się sypać.

– W piątkę?

– No tak. Ja, Maria ze swoim facetem i Leon z dziewczyną. Byłam, bo od jakiegoś czasu nie byli już ze sobą. Ale przyjaźnili się.

– Nazwiska?

– Facet Marii ma na imię Murat. Nazwiska nie pamiętam. Obce, więc trudne i nie wchodzi do głowy. A dziewczyna od Leona to Maja Jakaśtam. Nazywał ją Bejbi, mieszka na Woli. Nawet fajna dziewczyna, ale naiwna. Miała nadzieję, że Leon do niej wróci, że sylwestrowa noc znów ich połączy. Ani mu to było w głowie! Zadzwonił do niej na kilka godzin przed północą i odwołał wspólne wyjście. Marii powiedział, że lepiej będzie, jeśli oboje zostaną w domu, że to nie fair, żeby matka siedziała sama z Ninką i ich ciotką. Mała od razu zaproponowała, że wyciągnie planszówki i spędzimy wieczór na grach. Teraz wszystkie dzieciaki wariują na punkcie planszówek.

– Ciebie nie wyprosił z domu?

– Nie. Od zawsze traktował mnie jak część rodziny. Chodziło mu tylko o to, żeby odwołać Maję i Murata. Nie wiem, co go napadło, ale uparł się.

– Maria zgodziła się na ten pomysł?

– Nie chciała słyszeć o zbijaniu pionków z matką i Niną. Wolała spotkać się ze swoim chłopakiem. Porządny gość, starszy od niej o pięć lat i z perspektywami. Pracuje w firmie audytorskiej i ma służbowy samochód. Leon najpierw próbował przekonać ją po dobroci, żeby zmieniła plany, potem zaczęło być już o wiele mniej przyjemnie. Nie lubił Murata i nie miał skrupułów, żeby wyrazić to wprost.

– Bo cudzoziemiec?

– I do tego śniadawy. Ojciec jest Turkiem, matka Polką. Geny wziął bardziej po ojcu. Wyraziste rysy, ciemne oczy.

– Leon był rasistą?

– No raczej. Wie pani, jak to jest. Tolerancja rasowa jest okej, ale tylko wtedy, kiedy kolorowy nie zagląda do naszego domu i nie sypia z naszą siostrą.

– Dochodziło między nimi do spięć z powodu tamtego chłopaka?

– Cały czas. Leon bał się o nią. Ciągłe powtarzał, że nie pozwoli jej skrzywdzić i że nie ma takiej ceny, jakiej by nie zapłacił, żeby odciągnąć ją od Murata. Maria najpierw próbowała mu spokojnie tłumaczyć, żeby odpuścił, ale w końcu zaczęła tracić cierpliwość.

– Co na to wszystko Murat? Wiedział, co się dzieje między rodzeństwem?

– A niby po co Marysia miałaby mu o tym mówić? Trzymała go z dala od rodzinnych awantur. Chciała z nim być i nie przeszkadzało jej, że jest mieszany. Więc Murat robił swoje, kupił nawet pierścionek zaręczynowy. Trochę szybko, ale powiedział, że poczeka, aż Maria skończy osiemnastkę. No i wtedy zaczęło się na dobre.

– Mów dalej.

– Kłócili się o tego faceta za każdym razem. Na dźwięk jego imienia Leon wpadał w szał i wtedy, w sylwestra, też pokazał, co potrafi. Maria była w swoim pokoju, przymierzała sukienkę, w której miała pójść na imprezę. Ładna była, z cekinami. Zapłaciła za nią kupę forsy. Raz chciała wyglądać na bogato, nie tylko te wyciągnięte swetry i dresy... Nawet buty na obcasach jej pożyczyłam, żeby w tę noc wyglądała seksownie. Leon spytał, czy to dla Murata tak się stroi. Odpowiedziała, że czeka ich gorąca noc.

– Drażniła się z nim?

– Ale tylko dla zabawy, nie na serio. Podszedł do niej i chwycił za sukienkę, zaraz pod szyją. Pociągnął w dół, cekiny poleciały jeden po drugim. Była w totalnym szoku, nie wierzyła, że jest do tego zdolny. Podeszła do niego i...

– Uderzyła?

Klaudia zacisnęła usta.

– Czy Maria podniosła rękę na brata? – dociskała Julia.

– Tak, ale tylko raz. – Klaudia natychmiast usprawiedliwiła przyjaciółkę. – I było to raczej klepięcie po plecach, a nie żadne bicie. To się działo na piętrze, biegali między swoimi pokojami i wrzeszczeli do siebie. A właściwie na siebie. I tylko drzwi co chwila trzaskały. Ninka patrzyła na to przez cały czas. Siedziała na łóżku i zaciskała ręce na tej swojej planszówce. Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, żebym coś zrobiła. Szkoda mi jej było, nie powinna oglądać takich scen. Zostawiłam ją i poszłam do pokoju Leona. Szalał, wyglądał, jakby coś go opętało. Nakręcił się jak wariat i musiałam odczekać, aż się uspokoi. Dałam mu fajkę, zapalił i chwilę potem mu przeszło. On taki był, szybko uderzała mu krew do głowy, ale jak już odpłynęła, cichł równie prędko. Kiedy ochłonął, zawołał Marię. Nie chciała z nim rozmawiać, weszła do jego pokoju tylko dlatego, że ja tam byłam. Była naprawdę wkurzona za tę porwaną kieckę i za to, że nazwał jej chłopaka kurwim synem. No, popisał się naprawdę elegancko. – Klaudia rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Zmienił zdanie co do wspólnego wyjścia?

Pokręciła przecząco głową.

– Skąd! Przecież nie po to rzucał się jak wariat.

Rozprostowała nogi i zsunęła się z kanapy. Wyjęła z barku dwie szklanki, jedną postawiła przed Julią, do drugiej od razu wlała wodę ze stojącej na stole karafki. Po chwili zreflektowała się i uzupełniła też szklankę Julii.

– W gardle mi zaschło – wyjaśniła i wypila duszkiem wodę. – Do tego kaloryfer się zaciął i nie mogę zmniejszyć grzania.

– Dlaczego Maria nie zdecydowała się pójść na imprezę bez Leona? – spytała Julia, sięgając po wodę. – Mogła go zostawić i wyjść.

Klaudia pokręciła przecząco głową.

– No jak? Podarta sukienka wyglądała żałośnie, jak wyciągnięta z lumpeksu. Miała rozerwany cały przód, nawet nie byłoby jak tego zszyć. Poza tą kiecką nic wysokowego w szafie już nie miała. Myślałam, żeby pożyczyć jej coś mojego, ale odmówiła. Nie ten rozmiar w staniku, rozumie pani. Ja mam D, a ona małe B, więc

wisiałoby wszystko jak u nędzy. A poza tym...

– Poza tym co?

– Marii bardzo zależało na tym, żeby Leon był razem ze wszystkimi. Tak, wiem, jak to brzmi, zwłaszcza po tym, co jej zrobił. Do tego widok Murata działał na Leona jak płachta na byka, więc wspólne spotkanie mogłoby zakończyć się naprawdę źle. Ale chciała, żeby Leon przyzwyczajał się do myśli, że ona będzie żyła po swojemu, razem ze swoim półtureckim narzeczonym. Żeby to w końcu zaakceptował.

– Jednym słowem z pełną premedytacją pchała palce między drzwi.

– Jak to się mówi: wóz albo przewóz.

– Przewozem miała być wspólna zabawa sylwestrowa? Jak widać, Maria lubi tańczyć na linie nad przepaścią.

– W ten sposób chciała zjednoczyć rodzinę. To chyba nie grzech?

– Może wcale nie chodziło jej o zjednoczenie, tylko chciała wynagrodzić bratu fakt, że jako jedyny z ich trójki wychowywał się poza domem, bez matki?

Klaudia się zawahała.

– Przez pewien czas rzeczywiście tak było – przyznała. – Nieraz mówiła, że ta rozłąka na lata im nie służy. Jednak kiedy Leon sprowadził się na stałe do ich domu, cały czas wybuchały awantury. Nie potrafili się powstrzymać nawet w sylwestra.

– Czy matka Marii była wtedy cały czas w domu?

– Pyta pani, bo nie wie, czy sprawdza, czy mówię prawdę?

– Po prostu odpowiedz.

Klaudia przybrała znudzony wyraz twarzy.

– O rany... czyli jednak klasyczna przepytywanka. Czy stara Rawska była? No pewnie, gdzie miałyby się podziąć o tej godzinie? Poza tym miała gościa, przyjechała do niej siostra. Była więc na dole, jak zwykle.

– Słyszała, co się dzieje między Leonem a Marią?

– Nie da się nie słyszeć takich krzyków. Ale nie reagowała. Ciotka podobnie, jakby się zmówiły. Zresztą, ciotka wtrącała się tylko wtedy, kiedy chodziło o Ninę. Swojej ulubienicy nie dałaby skrzywdzić. Może dlatego, że sama nie może mieć dzieci, upatrzyła sobie właśnie ją, bo najmłodsza. Tylko jej kupowała drogie ciuchy i zabawki.

– Z całej trójki lubiła tylko Ninę? – dopytała Julia.

– Taa... – odpowiedziała przeciągle Klaudia. – I za to właśnie Maria jej nie znosiła. Reszta rodziny jej nie interesowała, tylko ta mała.

– Nie każdego da się darzyć sympatią, nawet z grona najbliższych. A co do Arlety Rawskiej, dlaczego nie próbowała rozdzielić szarpiących się ze sobą Marii i Leona?

– Bo ja wiem? Wyrzała na schody, ale tylko raz. I nie po to, żeby przerwać sprzeczkę. Zawołała Ninkę, żeby spróbowała, czy krem na tort czekoladowy wyszedł jej dobrze. Zrobiła dwa, jeden cytrynowy, drugi specjalnie dla Ninki. Ona uwielbia czekoladę, reszta nie może jej jeść. Rodzinna alergia czy coś w tym stylu.

– Dużo wiesz. – Julia uniosła czoło w podziwie. – Musisz być bardzo zżyta z Rawskimi.

Klaudia wzruszyła ramionami.

– Można to tak ująć.

– Wiesz coś o tym, że Leon miał długi? Do północy miał oddać komuś pieniądze.

– Długi? – zastanowiła się. – Nie, nie wiem nic o długach.

– Wynosił z domu rzeczy matki i sprzedawał. Maria nie mówiła ci o znikających przedmiotach?

– Ani razu. Może było jej wstyd mówić o takich rzeczach.

– Może – zgodziła się Julia. – Wróćmy zatem do tamtego wieczoru.

– To właściwie wszystko, co wiem. Jak już powiedziałam, wyszłam od Rawskich około jedenastej, nie było mnie tam, kiedy zginął Leon. Wróciłam do siebie i przełączałam kanały w telewizorze, wszędzie nadawali sylwestra z dużych miast, więc skakałam po programach, szukając co lepszej muzyki. Zgasiałam telewizor po paru minutach, bo te piosenki to, wie pani, straszna sieczka. Paczka znajomych robiła imprezę na Bemowie, więc zamówiłam taksówkę i pojechałam do nich. Nie chciałam stać w oknie i patrzeć, jak reszta Warszawy się bawi.

– O której tam dotarłaś, na Bemowo?

– Przed północą, ale nie wiem dokładnie, nie patrzyłam na zegarek.

– Co było potem?

– No, jak to na imprezie. Dużo piłam.

– Ile?

– To takie ważne ile? Kilka kieliszków na pewno. Szybko poszły w głowę. Około wpół do pierwszej zadzwoniłam do Marii. Chciałam życzyć jej wszystkiego dobrego i spytać przy okazji, czy chociaż mieli zimne ognie, żeby uczcić Nowy Rok. Ale nie odbierała. Po kilku minutach spróbowałam ponownie. Maria zwykle odbiera telefon od razu, więc gdy po raz kolejny usłyszałam tylko długi sygnał, zaczęłam podejrzewać, że stało się coś złego. Zamówiłam taksówkę, żeby tam wrócić, ale

wszystkie taryfy były pozamawiane przez klientów wracających z imprez. Trzeba było czekać. W końcu przyjechała. Już od ulicy widziałam policyjne światła, mundurowi kręcili się i rozmawiali przez nadajniki. Maria siedziała przed domem, na schodkach. Na plecy miała narzucony szlafrok, pod spodem wciąż miała tę podartą sukienkę z cekinami. Wyglądała jak manekin albo jak zamrożony człowiek. Nie poruszała się, w palcach trzymała tłącego się papierosa. Dym leciał jej do oczu, ale nie mrugała ani nie odpędzała go ręką. Ta ręka z papierosem... O Boże, to było straszne...

Klaudia zasłoniła dłonią usta. Poruszyła głową, jakby chciała wyprzeć z pamięci powracający obraz z Michałowic.

– Jak zareagowała, kiedy do niej podeszłaś?

– Nie podeszłam, dom był otoczony przez służby i odgrodzony od ulicy policyjną taśmą. Ktoś pociągnął Marię za ramię, żeby wpakować ją do radiowozu, z domu wyprowadzono wystraszoną Ninę. Ciało Leona nie widziałam, musiano zabrać go wcześniej. Czekałam, aż radiowóz z Marią i Niną będzie przejeżdżał obok mnie, żeby dać im znać, że stoję tam, że jestem z nimi choćby w ten sposób. Jednak auto mignęło szybko, pewnie nawet nie miały świadomości, że tam jestem.

– Gdzie znajdowały się wtedy matka i ciotka Marii?

– Nie wiem, może były w środku, a może już zabrali je na komendę. Nie widziałam ich, tylko Marię i Ninę.

Upiła kolejny łyk wody ze szklanki. Ze wstydem zorientowała się, że poza nią nie ma na stole nic do przegryzienia.

– Siedzi pani już tyle czasu, a ja nawet ciastek nie dałam.

– Nie trzeba. – Julia wykonała uspokajający gest ręką. – Nie po to tu przyszłam. Próbuje zrozumieć, dlaczego zginął Leon i z czyjej ręki. Ich matka nie była skora do udzielania wyjaśnień policji.

– Przyznała się, to chyba najważniejsze.

– Najważniejszy jest motyw. A jaki motyw ma matka, by zabić własne dziecko?

Klaudia odstawiła szklankę na stół i przechyliła się przez oparcie narożnika, by włączyć lampę. Nie zwróciły uwagi, jak zapadł zmrok.

– Nie jestem matką, więc na to pytanie pani nie odpowiem. Może po tym wszystkim, co działo się z Leonem, straciła cierpliwość. Ludzie różnie się zachowują pod wpływem nerwów. Zbrodnia w afekcie, tak to się nazywa?

Julia nie odpowiedziała. Znała przypadki, w których rodzice zabijają swoje dzieci.

Matki duszą je podczas depresji poporodowej, ojcowie podchmieleni świąteczną wódką przypominają sobie, że ich latorośle to niewdzięczne bachory, które tylko wyciągają ręce po karty kredytowe, zamiast wygrywać olimpiady i przynosić do domu dyplomy i puchary. Rawska rzeczywiście mogła nie wytrzymać fermentu, jaki wprowadził Leon do jej domu. Znikające przedmioty i wymuszenia pieniędzy, upokorzenia, o jakich wspominała w swoich wyznaniach Ninka, ciągłe zwarcia z Marią i brak perspektyw na spokój. A ona była przecież spokojna. Całe swoje życie unikała konfliktów. I w końcu pękła. W sylwestrową noc, kiedy skończyła piec ciasta i kiedy zobaczyła poszarpaną sukienkę, za którą Maria zapłaciła majątek. Policzyła kuksańce i siniaki, zrobiła bilans wszystkich razów i wyzwisk rzucanych w nią lub w Marię. Ninki się tylko nie czepiał, ta była dla niego niczym powietrze. Dzięki temu unikała ataków, kiedy wpadał w szal.

– Zawsze taki był? – spytała Julia. – Agresywny?

Klaudia wsunęła stopy w kapcie i poprawiła zaginającą się głowę jednorożca na jednym z nich.

– Tylko ostatnio – powiedziała, prostując złoty róg. – To znaczy odkąd wprowadził się do ich domu. I to głównie przy Marii. Zaczynali rozmawiać ze sobą spokojnie, a potem szło na noże. Marysia była tym zmęczona, miała dość, i to na serio. Ale nie... no nie, niech pani tak nie patrzy! Ona przecież tego nie zrobiła. Nie byłaby do tego zdolna.

Julia przyjrzała się uważnie dziewczynie. Nieświadoma niczego przyjaciółka czy lojalny sprzymierzeniec w ukrywanej zbrodni, który dzieli się oficjalną wersją wydarzeń?

– Mało znamy tych, z którymi mieszkamy pod jednym dachem.

– Pani nie rozumie...

– Nie, Klaudio. To ty nie rozumiesz tego, co się stało. Pewne sprawy wydają się proste tylko z pozoru. Policja wzięła za pewnik, że matka zabiła syna, bo chciała się od niego uwolnić. Jednak Nina i ty powiedziałyście zgodnie, że to Maria pragnęła, żeby zniknął. I zapewniam cię, że nie chodziło jej ani o porwaną sukienkę, ani o kolor skóry jej chłopaka. Wyprowadziłaby się z domu i miałaby dąsy Leona z głowy. Bajka o złym bracie i uciśnionej siostrze skończyłaby się happy endem.

– Nic więcej nie powiem. – Klaudia zasznurowała usta. – Widzę, do czego pani zmierza. Chce pani zwalić całą winę na Marię.

– Ty zaś próbujesz ją wybielić.

– Gdyby to ona zabiła, powiedziałyby mi.

– Jesteś tego pewna?

Julia podniosła się z kanapy. Czas, jaki pozostawał do powrotu Marii, kończył się. Nie chciała konfrontacji z młodą Rawską, na to było jeszcze za wcześnie.

– Czy Maria w jakikolwiek sposób dała ci do zrozumienia, że wie, kto to zrobił? – spytała wprost.

Klaudia obeszła stolik i stanęła pod regałem z książkami z założonymi na piersiach rękami.

– Gdyby sama to wiedziała, powiedziałyby przecież policji – odparła wymijająco.

– A pani nie byłaby jej wtedy potrzebna, prawda?

– Czysta logika – odparła Julia.

Odprowadzana przez Klaudię do przedpokoju, jeszcze raz spojrzała na grafikę z portretem matki dziewczyny.

– Twój ojciec musi ją bardzo kochać – powiedziała z nutą goryczy w głosie. – Mało który mężczyzna wiesz w mieszkaniu portret swojej żony. Szczęśliwi ludzie. Oby tak pozostało.

Klaudia rozplotła ręce i zatarasowała ciałem drzwi wejściowe.

– Przecież powiedziałam wszystko, co wiem o tej sprawie... Umówiliśmy się, że nie wyda mnie pani... – powiedziała tonem dziecka, któremu ktoś odebrał lizaka i wyrzucił do kosza. – Te głupie telefony... i tak miałam z tym skończyć. Jak tylko pomyślę, że po drugiej stronie siedzi spocony łysol z piwnym brzuchem i brandzłuje się do słuchawki, to rzygać mi się chce. Mówię serio, wierzy mi pani?

Julia zastanowiła się.

– Brandzłujący się łysol? Wierzę.

Wyminęła dziewczynę i nacisnęła klamkę.

– Jeśli Maria spyta cię, czy ze mną rozmawiałeś, potwierdź.

– Skąd pani wie, że spyta?

– Zostawiła swój telefon. Jak wróci, sprawdzi połączenia.

– No tak, roztrzępana wariatka... To już kolejny dzień, jak zapomina zabrać ze sobą komórkę.

– Kolejny?

– No tak, zupełnie nie wiem, co się z nią dzieje. Jest rozkojarzona od spotkania z panią, wtedy, na mieście. Czemu pani tak na mnie patrzy, powiedziałam coś dziwnego? A ten telefon to jej chyba przy szyi uwiążę, żeby nie zapomniała.

- Nie będzie takiej potrzeby. Jutro na pewno go nie zapomni.
- Nie rozumiem. – Klaudia zrobiła minę szczeniaka, któremu właściciel tłumaczy, dlaczego można sikać na trawnik, a na dywan już nie.
- Maria nie zostawiała swojego telefonu przez roztrzepanie – wyjaśniła Julia.
- Jak to? To jakaś sztuczka z jej strony?
- Raczej mechanizm. Każdy człowiek porusza się według własnych ustawień fabrycznych. Wystarczy je poznać, a wtedy wie się o nim wszystko.
- Psychologiczna gadka...
- Jako przyszła prawniczka powinnaś poczytać coś na ten temat.
- Jeszcze zdążę – burknęła.
- Jasne, nie ma co mącić sobie za bardzo w głowie na zapas. – Julia wyjęła komórkę i dodała do listy kontaktów imię Klaudii, po czym podała telefon dziewczynie. – Wpisz swój numer, gdybym pewnego dnia chciała ponownie usłyszeć coś kociego na rozpoczęcie dnia.

Klaudia przewróciła oczami i wbiła numer. Julia wcisnęła „zapisz” i od razu zieloną słuchawkę. Z drugiego pokoju dobiegł głos dzwonka.

- Serio? – Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. – Aż tak mi pani nie wierzy?
- Zapisz sobie mój numer w kontaktach, po to puściłam ci sygnał. Zadzwon, jeśli tylko przypomnisz sobie, co mówiła ci Maria o zabójstwie swojego brata. Albo jak poprosi cię, żebyś sprostowała coś, co dziś niechcący przekreśliłaś. Pamiętasz, co ci mówiłam? Człowiek to mechanizm.

Kiedy wyszła na ulicę, było już całkiem ciemno. Poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę skrzyżowania Chełmskiej z Czerniakowską. Od przęsła, które pozwalało przejść z jednej ulicy na drugą, dzieliło ją czterysta metrów. Skoda została na parkingu pod domem. Uznała, że jest na tyle blisko, by odcinek pomiędzy jej blokiem a kamienicą Klaudii przebyć na piechotę. Zbyt wiele czasu spędzała ostatnio za kółkiem.

Podjechał autobus, ale mimo drobnego deszczu konsekwentnie wybrała spacer, musiała ochłonać po długim dniu. Zacisnęła pod szyją płaszcz i spojrzała na gmach mijanej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Przystanęła i zapatrzyła się w rozświetlone okna. Była tu przed laty z wycieczką ze swojego liceum. Trafili na plan zdjęciowy, a właściwie na próby nagrywanej na kamerę sztuki. Akcja działa się w lesie. Podłoga studia wysypana była korą, las też był prawdziwy. Zastanawiała się,

w jaki sposób powtykano w posadzkę kilkadziesiąt prawdziwych drzew. Pachniało igłami i mchem, na planie kręciło się mrowie ludzi. Trzydzieścioro lub więcej, nie licząc aktorów. Puszczono dym udający nocną mgłę i jakieś zwierzę, prawdziwe, bodajże borsuka. Musiał być oswojony, bo nie panikował wśród ludzkiego tłumu i sztucznych świateł. Przynajmniej sprawiał wrażenie, że w zamkniętym pomieszczeniu czuje się jak u siebie w lesie. Tak samo jak ona udawała, że wszystko jest dobrze, gdy zobaczyła na wydrukowanych kartkach z rozmowy z Niną pieczętkę z nazwiskiem Maciejewskiego. Wysilek, jaki włożyła w to, by przez godzinę, podczas której znajdowała się w mieszkaniu Klaudii, nie myśleć o nim i skupić się na sprawie Rawskiej, był jak wtaczanie głazu pod wielką górę. Trzymała się, obiecała sobie, że nic nie zakłóci tej wizyty. Właściwie wszystko poszło gładko i mogłaby być z siebie dumna, gdyby nie świadomość pewnego szczegółu, o którym zapomniała. Nie spytała Klaudii o rzecz niezwykle istotną, a mianowicie dlaczego Maria odmówiła przyjazdu do kliniki, kiedy Ninka błagała ją o odwiedzinę. I o to, jakie relacje panowały między siostrami. Te prawdziwe, nie udawane, które Maria przedstawiła Julii podczas ich pierwszego spotkania w barze.

Kiedy dotarła do siebie i zamknęła drzwi mieszkania, poszła prosto do łazienki. W butach, płaszczu i szaliku usiadła na brzegu wanny i odkręciła kurek. Nie zdarzało jej się do tej pory wchodzić do wanny o tak wczesnej godzinie, ale teraz o niczym innym nie marzyła. Patrząc, jak woda wypełnia wannę, bez pośpiechu zsunęła z nóg botki i rzuciła z siebie ciężkie ubranie. Wsunęła się do wody i podstawiła kolana pod ciekący ciepły strumień. Po chwili zanurzyła głowę, odcinając się od stukania młotka za ścianą. Starsze małżeństwo w mieszkaniu obok od paru dni zbijało starą boazerię z przedpokoju.

Otworzyła oczy. Spod powierzchni obserwowała, jak bąble powietrza wpuszczane do wanny wraz z lejącą się wodą podchodzą wyżej i nikną, a zastępują je kolejne.

Adam wciąż nie podsylał jej żadnych istotnych informacji. Nie ma dojścia do plików lub Jarecki złapał go za rękę, kiedy tamten grzebał w danych. Jeśli za dzień, dwa nic nie wyciągnie z bazy, będzie źle. Jej pierwsza sprawa prowadzona pod nowym szyldem okaże się całkowitą klęską. Jasna cholera...

Wynurzyła się tylko na moment i zaczerpnęła powietrza, by móc jeszcze przez chwilę poobserwować w ciszy podwodne buzowanie mieszaniny tlenu i cieczy, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Oczekała, licząc na to, że ktoś pomylił numer

mieszkania, ale dźwięk się powtórzył.

Wyszła z wanny i rozejrzała się za szlafrokiem. Nie było go pod ręką i nie miała pojęcia, gdzie położyła go wczoraj wieczorem. Musiał zostać w sypialni albo... nieważne. Narzuciła na plecy płaszcz, który wybrała jako jedyną słuszną opcję, o ile nie chciała świecić nagimi udami po opasaniu tułowia wąskim ręcznikiem. Z ociekającymi włosami i w płaszczu poszła bosą do przedpokoju i odryglowała zamek. Na wycieraczkę stał Adam. W ręku ścisnął bukiet czerwonych róż zawinięty w szary papier.

– Wypadłeś za burtę podczas spływu Dunajcem czy ćwiczysz do roli w *Titanicu*? – Górny z trudem utrzymywał kamienną twarz. – Wykapana Kate Winslet. Brakuje tylko siekiery, żeby rozłupać kajdanki na rękach DiCaprio. A poza tym napraw domofon. Musiałem kłamać sąsiadom, że to kominiarz z noworocznym kalendarzem.

– Jest luty.

– Właśnie. Konkretnie czternasty dzień lutego.

– I? – Julia odgarnęła zwisający strąk z czoła.

– Po pierwsze, walentynki, a po drugie, jutro są twoje imieniny.

Papier spłynął z kwiatów, a bukiet zasłonił twarz Adama.

– W związku z tym: sto lat. – Pokiwał głową na boki.

Nie miała ochoty na nic poza ciszą i samotnością. Jednak błyszczące oczy Górnego i trzymany sztywno bukiet spowodowały, że otworzyła szerzej drzwi.

– Nie licz na to, że mam w piekarniku świeżo upieczone ciasto w kształcie serca.

Przecisnął się w wąskim przejściu między płataniną drzwi wejściowych, łazienkowych i kuchennych a Julią. Powiesił kurtkę na haczyku w przedpokoju i zanim wśliznął się do salonu, sprawdził, czy sypialnia Sylwii jest pusta. Nie było ani dziecka, ani tornistra. Potarł z zadowoleniem rękę.

– Nie możesz po prostu powiedzieć, że wpadłeś na szybki numer? – Julia oparła się o framugę. – A imieniny mam w kwietniu, wiesz o tym doskonale. Na moich oczach zapisywałeś to sobie w telefonie.

– Sugerujesz, że nachodzę cię w niecnym celu? – Adam zbliżył się do niej i przygarnął mokrą głowę do swojej piersi. – Masz mnie za zbrojeńca?

– Wszystko za tym przemawia.

– To nie ja paraduję na golasa w płaszczu. Planowałam wyskoczyć w tym stroju do parku postraszyć trochę dzieciaki?

– Mhm, robię tak codziennie. Typowy przykład zgnilizny moralnej, ale co robić,

lubię to.

– Wariatka. – Uniósł palcem jej brodę i pocałował w usta. – Zdejmij palto, zanim ugotujesz się w tej wełnie, ja przez ten czas wstawię wodę na herbatę. Czajnik chyba masz?

– Garnek. Zielony, w szafce nad zlewem. Robi za czajnik.

Zostawił ją samą i stanął w progu dużego pokoju. Zapalone światło nagiej żarówki obnażyło kąty, które, nie licząc stojącego w rogu fotela, lampy na cienkiej nodze i kilku nierozpakowanych kartonów, świeciły pustkami.

– Ładnie tu, całkiem przytulnie – krzyknął w stronę uchylonych drzwi. – Wyszukany dizajn. – Pstryknął palcami w zwisającą u sufitu żarówkę. Zbyt długi kabel zachybotał się wahadłowo.

– Mnie też się wydaje, że jest niezłe. – Julia wkładała już przez głowę ciasny golf wygrzebany spomiędzy ubrań Sylwii. Wystarczyło jeszcze wcisnąć na siebie dzinsy.

– Moja babka mieszkała lepiej po wyzwoleniu. – Adam nie mógł dłużej powstrzymać śmiechu. – Ale w jednym bijesz ją na głowę. Udało ci się w tym jakże surowym klimacie wyhodować to coś na parapecie. – Wskazał drzewko bonsai. – Szkoda tylko, że ledwie dycha.

Wstawił wodę w garnku i wyjął dwa kubki. Przyniesiony przez niego bukiet wylądował w słoiku.

– Może nie masz tu luksusów, ale jak dla mnie to najlepsze miejsce na Ziemi – powiedział, gdy Julia stanęła za jego plecami. Obrócił się i ponownie objął ją ramionami. Pachniał jak zwykle Fahrenheitem, uścisk jego rąk był miękki i ciepły. – Nie wyrzucaj mnie stąd zbyt szybko, okej?

Ledwie wyczuwalnie kiwnęła głową. Odruchowo, jak zawsze, gdy prosił ją o spotkanie, kilka godzin rozmowy czy wspólną noc. Była świadoma tego, po co przyszedł, miał dość jej ciągłego wyślizgiwania się z rąk i wymówek, że jutro, że za tydzień. Nieraz zastanawiała się, dokąd to wszystko prowadzi. Związek, który nie jest związkiem, i uczucie, którego wciąż nie potrafiła nazwać. Jedno było pewne – był dla niej, cały i bezwarunkowo. Wiele razy robiła w głowie bilans wszystkich „za” i „przeciw” i dochodziła do wniosku, że jeśli nie z nim, to już chyba z nikim. O ile nie chce ryzykować kolejnych lat życia w samotności, jedynie z dzieckiem i wspomnieniami o tym, co łączyło ją z Arturem. Wspomnienia bywają piękne, ale nie dają ciepła, jakie czuła teraz, gdy zacisnęły się na jej plecach ramiona Górnego.

– Możesz zostać, jak długo zechcesz – odpowiedziała. – Sylwia wróci dopiero jutro

wieczorem.

Dawno nie widziała tak szczęśliwych oczu.

– Nie będziesz wymyślać mi kolejnych zadań w sprawie Rawskiej?

Pokręciła głową.

– Nie dziś.

Golf, który włożyła kilka minut temu, sfrunął pod nogi. Adam powoli rozpiął guzik w jej džinsach.

– Zaczniemy nowy rozdział, od teraz, na poważnie – wyszeptał, pocierając czołem o jej czoło. – Nie chcę tracić czasu na dziecinne podchody.

– Ani ja.

Zapach Fahrenheita zaplątany w jego odprasowaną koszulę zmieszał się po chwili z golfem i spodniami Julii. Patrząc mu prosto w oczy, pociągnęła w dół zamek w jego spodniach.

– Mhm – mruknęła. – Na poważnie.

ROZDZIAŁ X

Julia liczyła na to, że wraz z nastaniem poranka koczujący na dziko mieszkańcy przybudówki przy ulicy Dereniowej 3a ruszą na obchód okolicy i znikną z posesji na kilka długich godzin. O tej porze bezdomni zwykle rozpoczynają już swoją wędrówkę w poszukiwaniu butelek wyniesionych na śmietnik. Potem te kaucyjne trafiają do sklepów za trzydzieści groszy sztuka, inne lądują w skupie. Tak czy owak, poranny zarobek wystarcza na flaszkę apacza, złotego jelenia czy byka. Przy odrobinie szczęścia można też dodatkowo uzbierać na kilka kajzerek prosto z piekarni.

Zależało jej na tym, by wrócić do Michałowic. Jej plan zakładał ponowne przeszukanie domu, tym razem za dnia i bez obawy, że natknie się na kogokolwiek. Plan nie przewidywał wprowadzenia towarzystwa Adama, chciała zrobić to szybko i w ciszy, bez niczyjej obecności. Wyszło inaczej. Górny nie zamierzał puścić jej samej, wyjechali więc razem przed siódmą, zaraz po wypiciu gorzkiej kawy i połknięciu grzanek z żółtym serem.

– Polecisz za to. Albo w najlepszym razie zawieszę cię w robocie na kilka ładnych tygodni. Jest jeszcze czas, żeby zawrócić. – Julia zwolniła, nim skoda wjechała na Pole Mokotowskie. – Jeśli na Nowolipkach dowiedzą się, że węszyłeś ze mną w domu Rawskiej, będzie dym.

Górny odsunął do tyłu fotel pasażera. Sylwia mogła swobodnie machać nogami w aucie matki, ale on po kilku minutach spędzonych z podkurczonymi kolanami miał dość.

– Już jest dym. Jarecki pablokował dostępy. Na razie tylko pozmieniał hasła do swoich plików, ale obawiam się, że to pójdzie dalej. Wiedziałem, że to gnojek. Bystry, ale gnojek. Musiał się zorientować, że ostatnio zbyt często zaglądam do danych ze sprawą. Może się wkrótce uspokoi, ale na razie nie mam wyjścia, odpuszczam grzebanie w jego dyskach.

Julia zatrzymała auto na światłach.

– Nie mam czasu na „na razie”, Adam.

– Wciąż możesz poprosić Sieracką o dostęp do akt.

– Myślałam, że tę kwestię już sobie wyjaśniliśmy. Nie mogę tego zrobić i dobrze wiesz dlaczego.

Włączył radio dla rozluźnienia napięcia, jakie między nimi zawisło. Nadawano wiadomości o siódmej rano informujące głównie o wypadkach z minionej nocy i utrudnieniach na drodze. Po serwisie puszczono *Tyle słońca w całym mieście*, jednak już po pierwszych taktach piosenki Julia wyłączyła radio.

– Okej, spieprzyłem sprawę – odezwał się Górny. – Nie będę się usprawiedliwiał, mogłem to załatwić inaczej.

– Stało się.

– Dałem dupy koncertowo. Sinfonia Varsovia mogłaby mi buty czyścić.

Nie odpowiedziała. Niecierpliwie uderzała palcami o kierownicę, nie spuszczać wzroku z ulicznego semafora. Myślami była już gdzie indziej, w opuszczonym bliźniaku w Michałowicach. Szarpnęła skodą, gdy tylko zapaliło się żółte.

– Zaczniemy od domu. – Adam przytrzymał się mocniej uchwytu nad drzwiami. – Ja wezmę górę, ty przeszukasz dół. Potem zamiana, żeby spojrzeć na wszystko jeszcze raz świeżym okiem i niczego nie przegapić. Do przybudówki nie wchodzisz beze mnie. Tamci ludzie... co za prymitywy... nie wiadomo, na co ich stać. Żeby zjadać dzikie ptaki... Więc sama nie wchodzisz.

Minęli całodobową aptekę i zakład blacharski. Tylko na chwilę zatrzymała się przy przejeździe kolejki WKD, po czym dodała gazu, zjeżdżając w Dereniową.

– To tu, dom po lewej. Stanę dalej, lepiej nie rzucać się w oczy.

Przejechała obok budynku i zatrzymała samochód pięćdziesiąt metrów od niego. Sięgnęła na tylne siedzenie po swoją czarną torbę i cicho zamknęła za sobą drzwi. Górny również wysiadł z auta i rozejrzał się po ulicy.

– San Francisco to to nie jest. – Chuchnął dla rozgrzania w dłonie. – Dawno nie byłem na takim zadupiu.

Julia pokiwała głową z politowaniem.

– Aha, bo ty nic, tylko w San Francisco bywasz.

Puścił do niej oko, a ona odpowiedziała mu tym samym. Złość za to, że nawalił z plikami Jareckiego, minęła.

– Potem będziesz podziwiał widoki. – Kiwnęła na niego głową. – Teraz zbieraj się, jest robota.

Jak przypuszczała, przy domu nikt się nie kręcił. Ulica była pusta, jak poprzednio.

Dla pewności zajrzała do ogrodu, drzwi przybudówki były zamknięte na skobel i małą kłódkę. Przez okna sąsiadującej części bliźniaka też nikt nie wyglądał. Teren wydawał się czysty.

Wróciła przed główne drzwi. W dolny zamek wsunęła ostry szpikulec wyjęty z przybornika.

– Tylko bez zbędnych kazań – uprzedziła Górnego.

– Przecież nic nie mówię – odpowiedział, śledząc ze spokojem, jak wytrych przekręca zapadkę. – Otwieraj, zanim ktoś nas stąd zgarnie.

Weszli do środka. Dzień dopiero wstawał, w domu panował nieprzyjemny półmrok.

– Takie to włości. – Górny obrzucił wzrokiem skromny przedpokój z odrapanymi ścianami i leżącym na podłodze połatany linoleum. Zajrzał do łazienki, ale zaraz wrócił na korytarz. – Boże, jaka bieda.

– Czego się spodziewałeś po rodzinie żyjącej głównie z zasiłku? Złoty kurków przy wannie?

– Myślałem, że tylko u ciebie w mieszkaniu jest nędza, ale Rawska cię przebiła.

– Bardzo śmieszne. Lepiej idź już na górę. – Julia wskazała schody. – Uważaj, poręcz ledwo się trzyma. Na górze są dwa pokoje. Jeden Leona, drugi Marii i Niny. Drzwi w głębi to mała służbówka z polowym łóżkiem.

– A matka? Gdzie mieszkała?

– Na dole, w salonie. Spała na rozkładanej kanapie. Idź już.

Odprowadziła go wzrokiem. Odczekała, aż zniknie za drzwiami sypialni Leona, po czym ruszyła w głąb domu.

W dziennym świetle mieszkania wyglądają zazwyczaj lepiej, jednak nie tym razem. Za dnia było tu gorzej aniżeli nocą. Wtedy, w mdłym świetle latarki, nie zdołała zobaczyć rozmazanych czerwonych śladów na ścianie dzielącej salon od kuchni. Teraz widziała je doskonale. Były już pociemniałe, zastygły tak, jak je pozostawiono, bez próby zmycia ich z muru. Nieregularne, słabo odbite, ale z pewnością pozostawiła je czyjaś dłoń. Ktoś, kto zobaczył Leona leżącego z rozoraną szyją, podszedł do niego i pobrudził się jego krwią. Potem wbiegł do domu, rozglądając się za czymś, co pomogłoby zatamować krwawienie. Musiał być w szoku, może nawet na chwilę zachwiał się i przytrzymał ręką ściany. Potem dotarł do kuchni. Złapał ścierkę lub ręcznik i wrócił do ogrodu. Mógł to być każdy. Każda z osób, które znajdowały się w tamtą noc w domu, mogła mieć na rękach krew chłopaka.

Julia podeszła do drzwi prowadzących na taras. Na białych framugach, dokładnie tak jak przypuszczała, również było widać zaschnięte i rozmazane czerwone plamy.

Przekręciła klamkę i otworzyła drzwi. Zimne powietrze pachnące śniegiem i błotem wdarło się do pokoju. Musiała zajrzeć tam ponownie, do drewnianej przybudówki. Zeszła z niewielkiego tarasu i ruszyła w stronę baraku. Kłódka, jak poprzednio, puściła po mocniejszym szarpnięciu. Weszła do środka i stanęła na wytartym linoleum. Wisząca na gwoździu reklamówka skrywająca uprzednio kości ptaka poruszyła się pusta na wietrze. Pod przeciwległą ścianą, tuż obok ławki, z której ostatnim razem zwisał umorusany pled, nadal leżał pojedynczy materac, na nim dwa śpiwory z narzuconymi kocami w kratę i dwie brudne poduszki przesiąknięte wilgocią. Obok materaca, na zwichrowanym chodniku, stały dwa blaszane kubki z niedopitą oranżadą wymieszaną z piwem. Poprawiła nogą chodnik i przydeptała. Był lekki, przesuwiał się przy byle stąpnieniu. Stojące na nim kubki mogłyby się niechcący przewrócić i wyłąć wysokową mieszaninę bąbelków, a tego wolała uniknąć, by nie zdradzić przez to swojej obecności.

Chodnik zahaczył o coś nierównego. Przesunęła go ponownie, ale brzeg wciąż uparcie podwijał się tuż na styku z materacem. Przykucnęła i spojrzała na linoleum. Było pęknięte, linia przetarcia nie była długa, mogła mieć pół metra, może trochę mniej. Biegła prosto, mimo jej postrzępionych brzegów. To od desek, pomyślała. Setki uderzeń butów w to miejsce zrobiły swoje. Linoleum powinno trafić na śmietnik lata temu.

Omiotła wzrokiem pozostałą część pomieszczenia. Trzy białe plastikowe krzesła ogrodowe, składany parasol, butla gazowa, taczka na liście, stara pralka z gumowym węzłem. Też często przesuwana, ciemne rysy pozostawione przez nóżki pralki tworzyły na jasnym linoleum istną plataninę. Wokół pralki nie było jednak żadnych pęknięć, jakby deski znajdujące się pod nią położone były idealnie równo.

Wróciła do materaca. Odstawiła bezpiecznie kubki na półkę, tuż obok pudełek z gwoździami, po czym odsunęła lekki chodnik. Zrolowała cuchnące śpiwory i razem z poduszkami położyła na pralkę. Szarpnęła materacem. Był ciężki i wyslizgiwał się z rąk, ale odciągnęła go aż pod drzwi przybudówki. Została jeszcze żelazna ławka. Wydawała się masywna, jednak metal, z którego ją wykonano, okazał się lekki. Tania robota. Nóżki ławki zazgrzytały nieprzyjemnie, ale gładko ruszyły się z miejsca. Teraz widziała całą podłogę jak na dłoni. Miała rację. Niektóre deski w podłodze były nierówne. Po prawej stronie pomieszczenia ułożono je starannie, linoleum

przywierało do nich idealnie, nie wybrzusząc się ani nie tworząc nieestetycznych zapadlin. Lewa strona prezentowała się dużo gorzej, półmetrowe pęknięcie łączyło się z kolejnym i jeszcze następnym, tworząc geometryczny, kwadratowy wzór.

W torbie poza wytrychem nie miała nic, co pozwoliłoby jej oderwać niemal przyspawane do desek linoleum. Nie zamierzała go jednak niszczyć ani nawet wykrzywić. Rozejrzała się po półkach, szukając czegoś innego, ale równie szpiczastego i ostrego. Stępione nożyce do podcinania róż, mały sekator ze śladami ptasiego mięsa na ostrzach, pordzewiałe brzeszczoty i jedna piła. Na półce poniżej znajdował się majątek bezdomnych: obcinacz do paznokci, lusterko i zawinięta w papier ręczna golarka na wkładaną żyłkę. Golarka wyglądała na drogą, nierdzewna stal błysnęła jak wypolerowane srebro, kiedy Julia obróciła ją w dłoniach. Właściciel z pewnością nie kupił jej za grosze pochodzące ze sprzedaży butelek ani nie dostał od swojej ukochanej na Gwiazdkę.

Odłożyła golarkę na miejsce i wróciła do przeszukiwania półki. Przegląd zakończył się szybko, znalazła jeszcze tylko kilka szprych od roweru oraz dwa widelce i nóż z okrągłym zakończeniem, stojące w kubku z nalepką ze świnką Peppą. Wybór był jeden. Ponownie odwinęła papier z golarką. Chwyciła za metalowy uchwyt z połyskującymi żłobieniami i zaczęła rozkręcać maszynkę. Nasadka odskoczyła i pokazała żyłkę pokrytą resztkami pianki wymieszanej ze ściętym męskim zarostem. Wzdrygnęła się z odrazą, jednak wyjęła z kieszeni płaszcz chustkę i owinęła nią płaskie ostrze, pozostawiając na zewnątrz jedynie brzeg nożyka.

Wcisnęła kant żyłki w linoleum. Ostrze szło gładko, metr w jedną, metr w drugą stronę. Czowała, gdy zatrzymało się na czymś twardym, a potem zapadło w jakiejś szczelinie.

Odłożyła żyłkę na półkę i podważyła linoleum nożem wziętym z kubka ze świnką Peppą. Nie stawiało oporu, odeszło gładko i pokazało stare deski. Biegły w miarę równo, oddzielone od siebie wąskimi rowkami. Nie musiała wysilać znanego wzroku, by zauważyć, że tam, gdzie okładzina się zapadała, szpary były o wiele szersze od pozostałych. Miała przed sobą klapę z małym kółkiem, za które wystarczyło pociągnąć, by uniosła się jak wielka przykrywka.

Zahaczyła więc palcem o kółko i szarpnęła; kłapa wydała z siebie ciche plaśnięcie. Przykucnęła, by zajrzeć do środka, jednak poza czarną podłogą znajdującą się poniżej poziomu przybudówki nie zobaczyła tam niczego. Potrzebowała światła. Nie odwracając wzroku od czeluści, namacała w torbie latarkę i wcisnęła przycisk.

Światło żarówki spłynęło po drewnianych schodach biegnących w dół. Miała pod sobą komórkę na węgiel, głęboką na tyle, by mógł się w niej zmieścić pochylony dorosły człowiek. Wiele takich pozostało w starych domach, przestały być potrzebne, odkąd zaczęto instalować kaloryfery i węglowe piece poszły w odstawkę.

Zdjęła płaszcz, by nie krępował ruchów, i rzuciła go na metalową ławkę. Stała na górnym stopniu schodów, wciągając w płuca przesiąknięte stęchlizną powietrze. Światło latarki omiotło ceglane ściany, pod podszwami zazgrzytał piach naniesiony z ogrodu i zmieszany ze starym węglowym pyłem.

Kolejny krok i jeszcze jeden. Stała pośrodku komórki i schyliła głowę, by lepiej widzieć to, co znajdowało się na podłodze. Pod jedną ze ścian stało wiadro do noszenia węgla, w jego środku tkwiła łopatką z długim trzonkiem. Obok wiadra stał rząd pustych słoików bez zakrętek. Pod drugą ścianą leżało kilka rzuconych w nieładzie zawilgoconych szczap drewna. Nic więcej.

Zgasła latarkę i zaczęła wycofywać się z komórki. Dwa kroki dzieliły ją od stopni biegnących ku górze. Wciąż schylona, by nie uderzyć głową o niski pułap, zbliżyła się do plamy światła dochodzącej z zewnątrz. Z góry dobiegły ją cicho stawiane kroki.

– Adam? – zawołała. – Cholernie tu zimno. Wychodzę z tego sarkofagu, podaj mi płaszcz, bo zaraz zamarznę. To był głupi pomysł... Jesteś tam?

Nikt nie odpowiadał.

– Adam? – powtórzyła.

Postawiła nogę na pierwszym stopniu. Nie zdążyła wejść na kolejny, gdy kłapa komórki na węgiel opadła. Uderzenie ciężką płytą w głowę zabolowało, potem przestała już czuć cokolwiek. Przytomność odpłynęła, zanim zdążyła się zorientować, że kroki w przybudówce nie należały do Adama Górnego.

* * *

– Co jej powiedziałaś? – Owinięta ręcznikiem Maria wyszła z łazienki ze szczotką do zębów w ustach. Cienka strużka piany zmieszanej ze śliną wypłynęła spomiędzy zębów i pociekła po brodzie, nim zdążyła wytrzeć ją palcami. – Wczoraj nie byłaś rozmowna, więc spowiadaj się teraz. Pytała o mnie i Leona?

Klaudia nie otwierała oczu. Na zegarku była dopiero ósma, a dziś nie musiała się nigdzie śpieszyć. Zajęcia na uczelni zaczynały się dopiero o jedenastej.

– Przecież tylko to ją interesuje – odpowiedziała i przycisnęła policzek do poduszki. – Zresztą, pytała o wszystko. O waszą matkę też. I o Murata, i o Bejbi.

– A co Bejbi ma do tego? – wybełkotała Maria przez miętową pianę, po czym wróciła do łazienki, by wypluć zawartość ust do umywalki.

– Bada sprawę z każdej strony. Ta Krawiec. Nie rozumiem, czemu się dziwisz. Węszy. Za twoje pieniądze zresztą.

– I prawidłowo.

– No to o co ci chodzi? – Klaudia otworzyła jedno oko. – Robi swoją robotę i tyle.

– Skupia się na tym, na czym nie powinna. Rozprasza się, i to przez ciebie. Po co wyciągnęłaś temat Murata i Bejbi? To przecież tylko pionki.

– Wolałabyś, żeby dobrała się tobie do tyłka? Poczekaj, zrobi to prędzej czy później. Bardzo ciekawiło ją, dlaczego byłaś taka cięta na Leona.

Maria sięgnęła do szafki po swoją szkatułkę z kolczykami. Wyjęła parę przypominającą ćwieki i włożyła je do dziurek w uszach.

– Skąd to wie? Ty jej powiedziałaś?

– Nie musiałam. Nina się wysypała.

– Nina? – Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem. – Moja mała siostrzyczka zaczęła się wreszcie odzywać? Bardzo dobrze, niech mówi. Byleby tylko nie kłamała. Potwierdziłaś?

– Jasne, tak przecież było.

– Mam nadzieję, że nie wygadałaś się z najważniejszego? – Maria spojrzała przenikliwie na przyjaciółkę.

– Weź na wstrzymanie. Usłyszała tyle, ile trzeba. Że skakał ci do oczu i do najmilszych nie należał. Mamy chyba ustalone, z czym mogę się wysypać, a kiedy mam trzymać gębę na kłódkę.

Maria zdjęła z krzesła przewieszony przez oparcie stanik i zakręciła nim na palcu.

– Powiedziałaś jej, że w domu byliśmy wtedy tylko w piątkę?

– Tak. Ja zwinęłam się przed północą.

– Uwierzyła?

– Co miała nie uwierzyć? Łyknęła wszystko.

Klaudia wyciągnęła spod kołdry rękę i wystawiła ją do przybicia piątki.

– Pamiętaj, w jej oczach masz być czysta – odpowiedziała Maria i uderzyła w otwartą dłoń przyjaciółki. – Nie chcę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, i to powinno jej wystarczyć. Dlatego jeśli znowu tu przyjdzie, nie otwieraj.

– Mam udawać, że mnie nie ma? – Klaudia uniosła brwi. Po wczorajszej wizycie

Julii wciąż odtwarzała w głowie rozmowę z popołudnia. To, co jej przekazała, mieszało się ze wspomnieniami z sylwestra. Starła się wypaść wiarygodnie, ale wcale nie miała pewności, że tamta kobieta uwierzyła w to, co od niej usłyszała.

– Wystarczy, że będziesz siedziała cicho, wtedy odejdzie spod drzwi.

– A domofon?

– Odłączyłam. Nikt tu nie wejdzie.

Klaudia podniosła się gwałtownie z pościeli. Senność szybko odpłynęła.

– Nie przesadzasz? Mam siedzieć tu jak jakaś osierocona królowa zamknięta w wieży?

– Królowy nie bywają takie nerwowe – parsknęła Maria. – Nikt by ich wtedy nie lubił i zgniłyby, czekając całe życie na swojego królewicza. O nic się nie bój, nie dam ci zgnić w zamknięciu. Ani tu, ani nigdzie.

Klaudia pokręciła głową.

– Nie chcę problemów – wybełkotała. – Już i tak nie mogę spać po nocach, cały czas coś mnie dusi w środku. Niedługo zacznę popadać w paranoję.

Maria zapięła na plecach sprzączki stanika, po czym przysiadła się do skulonej Klaudii. Była całkiem rozklejona, siedziała ze spuszczoną głową i skubała skórki przy paznokciach.

– Mnie też nie jest lekko. – Przygarnęła głowę przyjaciółki do swojego ramienia i pogładziła rozrzucone włosy. – Ale musimy wziąć się w garść. Potem będzie już źle.

– Rok temu też tak mówiłaś. I wcale nie jest. Cały czas jest kurewsko źle.

– Obie dużo przeszliśmy. Dlatego czas to zakończyć i zapomnieć.

– Mhm. – Klaudia przyciągnęła do siebie poduszkę i przycisnęła ją do kolan. Położyła na nich głowę. – Niczego bardziej nie potrzebuję niż spokoju. I snu – dodała.

– Co zrobisz z Niną? – spytała po kilku oddechach. – Zabierzesz ją stamtąd w końcu? Wystarczy doprowadzić dom do porządku. Pomogę ci.

– Nie wiem jeszcze, co z Niną. A dom...? To nie jest miejsce dla niej. Za dużo tam widziała.

– Może jednak zmienisz zdanie i pojedziesz do kliniki? Ona tam na ciebie czeka.

Maria z pietyzmem zgarnęła rozrzucone na plecach dredy i związała je gumką.

– Pojadę, ale jeszcze nie teraz.

– To twoja siostra, kiedyś będziesz musiała z nią porozmawiać. Myślisz, że to, co się stało, tylko dla ciebie było traumą?

Maria podniosła się z łóżka i rozejrzała po szafkach za czystym podkoszulkiem.

Wyciągnęła z półki swój ulubiony, szary z długimi rękawami i napisem „Warszawska lala”.

– Nie mam czasu zastanawiać się nad tym, co czuje Nina. Śmierć Leona podzieliła całą naszą rodzinę i nic tego nie zmieni.

– Śmierć? – Klaudia poderwała głowę z poduszki. – To nie była zwykła śmierć, a mówisz o niej, jakby zmarł na tyfus. Leon został za-mor-do-wa-ny.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Maria obróciła się w jej stronę i zaczęła uderzać zaciśniętą dłonią w swój splot słoneczny.

– Co robisz?! – Krzyk Klaudii odbił się od ścian.

Pięść uderzała coraz mocniej, Klaudia obserwowała na zmianę wahadłowy ruch ręki i oczy przyjaciółki, które nagle zaczęły zachodzić mgłą. Przy kolejnym zamachnięciu chwyciła wędrującą w powietrzu dłoń Marii i zatrzymała ją, zanim pięść po raz kolejny uderzyła między żebra.

– To nic nie da – wyszeptła, patrząc przyjaciółce prosto w twarz. – W ten sposób się nie oczyścisz.

Powieki Marii zdrzwały pod naporem napływających do oczu łez.

– Myślisz, że nie chciałam z nią porozmawiać? – spytała z żalem w głosie. – Tylko że cholernie trudno jest patrzeć w oczy komuś, kto tobą gardzi. Jak mam wytłumaczyć jedenastoletniemu dziecku to, co działo się w naszym domu? Nawet matka tego nie potrafiła. Zresztą, czego można było się spodziewać po naszej matce... Wiedziała przecież, co się dzieje, i nie robiła nic, żeby to skończyć. Bała się ludzkiego gadania, żyłyśmy każda w swoim świecie. Pozwoliła, by Leon traktował mnie jak swoją własność, i udawała, że tego nie widzi. Ten nasz idealny dom... – Prychnęła z bólem. – Gdyby ktoś podniósł dach i zobaczył, jaki to był ideał...

– Tym bardziej powinnaś tam pojechać.

– I co? Zamachać przed nosem Niny czarodziejską różdżką i powiedzieć zaklęcie, a wszystko stanie się proste?

– Nie doceniasz jej. Dzieci widzą dużo więcej, niż ci się wydaje. I więcej rozumieją.

– Tak. – Maria skwapliwie pokiwała głową. – Teraz to wiem. Tylko co z tego? Co to komu pomoże? Teraz na wszystko już za późno... Cały czas go widzę. I tę jego zakrwawioną koszulę... I naszą matkę. Jest taka spokojna. Nigdy nie miała w sobie tyle spokoju co wtedy. Cały czas patrzy na mnie i na Ninę. Wiesz, co widzę na jej twarzy? Ulgę. Jakby cieszyła się, że to wszystko się już skończyło.

Klaudia przysunęła się bliżej Marii i przytuliła ją z całej siły.

– Leon nigdy nie powinien do was wracać. Chodź, pokołyszę cię, tak jak lubisz. W tył i w przód, powoli, o tak...

Maria położyła głowę na ramieniu Klaudii.

– Tak bardzo chcę, żeby matka wyszła. Może uda mi się jej wybaczyć i znowu żyć normalnie.

– A co z waszą ciotką?

– Z Judytą?

– Będzie zeznawać pod przysięgą. Nie boisz się, że coś chlapnie?

– Nie wiem, to dziwna kobieta. Nigdy nie potrafiłam jej rozgryźć. Może nie powiedzieć nic albo wyśpiewać całą prawdę. Na szczęście zniszczyłam wszystko, co mogłoby mnie zatopić. Nie dam się w nic wrobić, nie ma takiej możliwości.

Maria wytarła dłońmi twarz i przyglądała rozrzucone w nieładzie dredy.

– Rękami Krawiec wyciągnę matkę z pudła, ale sama nie mam zamiaru zamienić się z nią miejscami. Wyjdę za Murata i zapomnę o całej sprawie.

– Oby. Mam tylko nadzieję, że wiedziałas, co robisz, zatrudniając tę byłą policjantkę. To pierwsza liga, nie odpuści, jeśli nie dowie się wszystkiego. Mnie wymagowała porządnie, więc wiem, co mówię.

– „Wszystko” już nie istnieje, mówię przecież. – Maria podeszła do krzesła, na którym leżał jej wiosenny płaszcz. Narzuciła go na ramiona. – A teraz przestań już o tym myśleć, idź spać. Oczy wciąż ci się kleją.

Pocałowała ją w usta i rozejrzała się po pokoju za telefonem. Zanim włożyła go do kieszeni płaszcza, przetarła spodem dłoni ekran, by zetrzeć z niego niechlujne odciski po palcach.

– O mały włos, a znowu zapomnielibyś go zabrać – bąknęła Klaudia.

Maria spojrzała na nią z takim wyrazem twarzy, jakby nie rozumiała, o co chodzi.

– Ja o niczym nie zapominam. Wszystko mam pod kontrolą, śpiąca królowo. Wracaj do łóżka.

* * *

– Pokaż, chcę je zobaczyć. – Emilia wyciągnęła rękę w kierunku Edmunda.

Zarumienił się, jakby skrywane w kieszeni marynarki pudełko zawierało coś wstydlivego.

– To miała być niespodzianka.

– I będzie. Sam przecież wybierałeś. Nie każ mi dłużej czekać.

Wysunięta dłoń domagała się, by aksamitne puzderko znalazło się natychmiast na niej.

Sięgnął do kieszeni. Było małe i czerwone, klasyczne. Ale dla niej wyjątkowe.

– Nie spodziewaj się nowoczesności. Są zwykłe, takie jak poprzednio.

Zanim wieczko się podniosło, westchnęła.

– To wszystko dzieje się tak szybko.

– Wolałabyś z tym poczekać? – Zawahał się.

– Nie. Czekałam już wystarczająco długo. Nie robimy się młodszy, nie ma co tego odwlekać.

Dwie złote obrączki błysnęły, wciśnięte jedna obok drugiej w kartonik powleczony zamszem. Jednak nie były zwykłe. Męska, owszem, niczym szczególnym się nie wyróżniała. Natomiast w tej przeznaczony dla Emilii lśnił pośrodku mały diament.

– A więc to jednak dzieje się naprawdę. – Emilia pogładziła palcem wypolerowaną powierzchnię swojej obrączki. – Już za miesiąc będzie po wszystkim.

– Nie – zaproponował. – Dopiero wtedy wszystko się zacznie. Od nowa – dodał.

Patrzyła na niego z zachwytem, jakby miała dwadzieścia lat i całe życie przed sobą.

– Chcesz przymierzyć? – spytał, widząc wzruszenie na twarzy Emilii. – Nie bój się, to nie przynosi pecha.

Przytaknęła. Oddała mu pudełko i wyciągnęła prawą rękę.

– Już zapomniałam, jak to jest. Odzwyczaiłam się.

Wsunął obrączkę na jej serdeczny palec. Emilia od razu przysunęła dłoń bliżej oczu.

– Piękna. Obym już nigdy po ślubie nie musiała jej zdejmować.

Ujął jej dłoń i pocałował.

– Nie pozwolę na to.

Z oporem oddała obrączkę, kładąc ją na miejsce w pudełku. Tęsknym wzrokiem odprowadziła czerwone puzderko z powrotem do kieszeni Edmunda.

– Sukienkę już mam, brakuje mi tylko butów – powiedziała. – Ale tym razem nie zobaczysz mnie w ślubnym stroju aż do dnia ceremonii.

Poprzednim razem nalegał. Ubrała się więc w białą suknię i pokazała na tydzień przed ślubem. Kpił, że jej obawy przed tym, że zobaczy ją w bieli, to wiejskie zabobony. Może gdyby wtedy go nie posłuchała, nie spakowałby walizki po dwunastu

latach i nie zniknął za zakrętem.

– Pozostał jeszcze jeden szczegół. – Edmund splótł palce i zaczął nerwowo kręcić nimi młynka. – Kiedy jej powiemy? Przecież w końcu musimy to zrobić.

Emilia wzdrygnęła się, jakby po jej plecach zsunął się sopel lodu.

– Ja się tego nie podejmuję, boję się. Zostawiam to w twoich rękach.

– To przecież twoja córka!

– I twoja. Nie zaszłam w ciążę z Julią sama. Takie cuda to tylko Najświętsza Panienka potrafi. – W mgnieniu oka wykonała znak krzyża na obfitych piersiach. – U nas do cudu nie doszło. To także twoja krew. I uprzedzam, że ta twoja krew wzburzy się i zapieni. Będzie duży problem, Edmundzie, zobaczysz.

Edmund uśmiechnął się na tyle dyskretnie, że Emilia nie zdążyła zauważyć uniesionych kącików jego ust. Poza tym była już zajęta krojeniem swojej popisowej szarlotki i nakładaniem jej na talerzyki.

– Myślałem, że jesteśmy dorośli i nie potrzebujemy zgody na ślub. – Edmund podszedł do niej i objął ją w miejscu, gdzie powinna znajdować się talia. Mimo ustawicznej walki z nadwagą i wciskania się w gorset, figura Emilii wciąż była daleka od figury Sophii Loren. Powieszenie jej zdjęcia na lodówce, jako wzorcowego kształtu, do którego usilnie dążyła, niewiele pomagało.

– Potrzebujemy! – Machnęła ręką z widelczykiem do ciasta. – Julia musi się zgodzić. Moja świętej pamięci matka nie da nam przecież błogosławieństwa. Musi to zrobić Julia. Inaczej do ślubu nie pójde.

– Błogosławieństwo?

– No a jak inaczej? Ktoś powinien nam pobłogosławić, żeby się układało. Trzeba i tyle. Ty jej to powiesz. – Kęś szarlotki zniknął w ustach Emilii. – A Sylwia będzie niosła obrączki do ołtarza. To znaczy do stołu w urzędzie – poprawiła się. – Przed Bogiem nadal jesteśmy mężem i żoną, teraz tylko dopełnimy formalności. Bo taki ślub przed orłem to nie sakrament, rozumiesz. To rejestracja. Przed krzyżem to całkiem co innego. Ale teraz nie trzeba, sakrament wciąż działa. Na kocią łapę bym przecież z tobą nie żyła, to grzech wielki.

– Oczywiście, grzech.

– Ale do spowiedzi musisz iść.

– Kochanie...

Emilia przełknęła kolejny kawałek ciasta.

– Pójdziesz. Powiesz wszystko i duszę oczyścisz. Lżej ci będzie, sam się

przekonasz. Ja też pójdę. Żeby Panienska wiedziała, że to nie na żarty, i żeby czuwała nad nami. Chyba nie masz nic przeciwko temu, by czuwała?

Edmund natychmiast pokręcił głową.

– Nic a nic.

– Załatwisz sprawy z Panienką i z Julią. Ja natomiast zajmę się przyjęciem.

– Mało sprawiedliwie.

Przeżuwana szarlotka znieruchomiała. Za to widelec przytrzymywany przez dwa palce Emilii pokiwał się nad wyraz znacząco na boki.

– Nie wymigasz się. Przyszedł czas, żebyś z nimi dwiema załatwił sprawę jak należy. W końcu odtąd będziemy żyli wszyscy razem. Ty, ja, Julia z Sylwią i ona. – Emila złożyła ręce do sufitu. – Co do Sylwii, to już wie, więc z nią sprawę mamy załatwioną.

– Zostawiłaś mi do zrobienia rzecz niewykonalną. Błogosławieństwo od naszej córki... Może jeszcze mam ją poprosić, żeby poprowadziła cię po dywanie przed tego orła i przekazała w moje ręce? Nie jest w stanie zaakceptować wspólnego obiadu, a co dopiero ślub.

– Poprowadzić przed orła...? – Emilia błysnęła oczami.

Musiał zakończyć tę rozmowę, gdyż zaczynała nieuchronnie zmierzać ku katastrofie.

– Zastanowię się, jak do tego podejść. Tylko nie naciskaj, dla mnie ta cała sytuacja też nie jest prosta.

Zdjął z wieszaka płaszcz i kraciasty kaszkiet. Potrzebował powietrza i spokoju, żeby to wszystko przetrwać. Na pustych ulicach łatwiej zebrać myśli i poćwiczyć na głos kwestię, od której miał wkrótce rozpocząć tę najtrudniejszą z rozmów. I wcale nie chodziło mu o przedślubną spowiedź.

* * *

Julia ocknęła się, czując na twarzy nieświeży oddech i lekkie poklepywanie po policzku. Plecy piekły od ułożenia w niewygodnej pozycji, jakby ktoś uderzył w nie kilka razy deską.

– Dochodzi do siebie – usłyszała obcy głos, jeszcze zanim zdążyła otworzyć oczy.

– Trzeba ją stąd wyciągnąć.

Pod powieki wpadało coraz więcej światła. Dziennego i sztucznego, generowanego przez latarkę. Ktoś bawił się w lekarza, świecąc jej po przymkniętych oczach.

– No już, ocknij się, paniusiu – dotarł do niej ten sam głos. – Pobudka!

Musiała mieć zabawnie wykrzywioną z bólu twarz, gdyż zaraz potem usłyszała śmiech.

– Boli? No jasne, jak się dostaje klapą po łbie, to musi boleć.

– Odsuńcie się. – Ten głos znała bardzo dobrze, należał do Adama. Docierał do jej uszu jak przez mgłę, ale nie miała wątpliwości, że jest tuż obok. Z tym większą ulgą otworzyła oczy.

– Powiedziałem, żebyście się cofnęli! Dajcie jej dojść do siebie – zarządził Górny, odsuwając od wjazdu dwie pochylające się nad Julią osoby, od których zapachu robiło się jej niedobrze.

Kobieta była ubrana w dzinsy, obcisłe i za małe jak na swoją sylwetkę. Znad sfatygowanych adidasów wystawały gołe kostki. Zimowa kurtka połyskiwała na rękawach i przy kieszeniach od brudu. Z szyi kobiety zwisał męski szalik. Włosy, cienkie i dawno niemyte, spływały wzdłuż zniszczonej twarzy. Mogła mieć czterdzieści kilka lat, ale wyglądała o dwadzieścia lat starzej, głębokie bruzdy ciągnące się od nosa do ust sprawiały, że miała twarz człowieka zmęczonego życiem i do tego notorycznie podlewanego alkoholem. Mężczyzna był od niej młodszy, bardziej czysty. Również ubrany w dzinsy, cały, od góry do dołu. Na nogach miał związane buty à la biurowe, dłonie z ciemnymi obwódkami za paznokciami. Za uchem trzymał niedopałek papierosa znalezionej na ulicy.

Julia wzdrygnęła się od chłodu, który przeszywał ją na wskroś. Ramiona miała okryte kraciatym kocem z posłania bezdomnych, ale zimno ciągnące od piwnicy pokonywało sfilcowane sploty starej wełny.

– Daj mi mój płaszcz – powiedziała z obrzydzeniem, po czym zrzuciła z karku pled. Nie chciała go dotykać i czuć na sobie ani sekundy dłużej. – Jest gdzieś pod wejściem, chyba na ławce – dodała, rozcierając głowę.

Górny rozejrzał się po komórce. Płaszcz leżał na starej pralce, przy obu kieszeniach widniały brudne plamy, których nie było, kiedy wyjeżdżali o świcie z Warszawy. Bez słowa komentarza narzucił go Julii na plecy.

– Dasz radę się podnieść? – spytał, ukucnąwszy na brzegu piwniczki, i wyciągnął do niej rękę. W przeciwieństwie do pozostałych czystą, z obciętymi paznokciami i nieoblepioną kilkudniowym brudem. – Nieźle oberwałaś. Gdyby nie ci mili państwo, zamarzyłabyś w tej dziurze na amen.

Mili państwo uśmiechali się z dumą. Wybawcy. Dziwnym trafem klapa spadła jej

na głowę, gdy tylko pojawili się w przybudówce. Zagryzła zęby i przemilczała dziękczynny pean Górnego. Odruchowo skontrolowała zawartość obu kieszeni płaszczu. Szpikulce wytrychu wyczuła bez problemu.

– Telefon – powiedziała krótko. – I klucze do auta. I jeszcze bezbarwna szminka.

– Jaki telefon? – Kobieta wytrzeszczyła oczy. Lekko przymglone, ale podkreślone czarną kredką. – Ja żadnego telefonu... W życiu! Mieciu, ty wiesz coś o jakimś telefonie?

Mieciu poklepał się teatralnym gestem po dżinsowej kurtce.

– Kierowniczo, ja ani kluczyków, ani nic! Co też kierowniczo? My przecież życie uratowali, to mieliby telefon kraść? Takiej pięknej kierowniczo? A do tego kierownik – tu spojrzął na Górnego, po czym wyjął z tylnej kieszeni spodni pięćdziesięciozłotowy banknot – ładnie nam podziękował. Jak nie wierzy, sama może sprawdzić.

Mieciu ze spokojem rozpiął zamek kurtki i wyrócił wewnętrzne kieszenie. To samo zrobił z kieszeniami spodni. Poza zapalniczką i składanym scyzorykiem nie było tam nic. Julia podeszła do dziecięcego wózka, który pozostawili przed wejściem. Odrzuciła karton, który przykrywał pozbierane z osiedla butelki i stare ciuchy.

– Nie brałem, mówię przecież. Nic nie znajdzie. Może gdzie indziej zgubiła.

Towarzyszka Miecia miała inny wyraz twarzy. Uśmiechała się. Denerwująco i z pobłażliwością właściwą komuś, kto panuje nad całą sytuacją.

Julia złapała za latarkę Adama i wróciła do piwniczki.

– Co pani robi? – Kobieta nagle przestała się uśmiechać. – Po co tam wraca?! Nie trzeba wracać!

Światło żarówki obiegało ciemny zakamarek. Julia podniosła z podłogi latarkę, którą upuściła podczas starcia z klapą, po czym zajrzała do starego wiadra po węglu. Po chwili trzymała w garści swoją komórkę i kluczyki do skody. Darowała sobie szukanie szminki. Nawet gdyby ją znalazła, nie dałaby rady pomalować sobie nią ust po tym, jak użyła jej kobieta o tłustych włosach.

Schyliwszy się pod niskim pułapem, ruszyła do wyjścia. Rozproszone światło latarki ślizgało się po podłodze w stronę drewnianych schodów. Miała już nacisnąć wyłącznik, kiedy za stopniami coś błysnęło. Krótkie mignięcie wywołane odbitym światłem od czegoś równie połyskującego.

Obeszła schody i nachyliła się nad podłogą. Miejsca było mało, ledwie mieściła się między ścianą a wystającymi szczeblami. Zbliżyła snop światła do błyszczącego

przedmiotu i delikatnie zdmuchnęła cienką warstwę pyłu, który go pokrywał.

Nóż był zwykły, kuchenny, z drewnianą rączką. Taki, jakim kroi się mięso. Brudny i skorodowany przy uchwycie. Ostrze na całej swojej długości pokryte było ciemną barwą, niemal czarną.

Patrzyła na niego długo, jakby miała przed sobą najszlachetniejszy diament, a nie kawałek żelaza z drewnianym uchwytem.

– Adam! – krzyknęła. – Rękawiczka i torba na dowody! Są u mnie w torebce.

Musiał zobaczyć to na własne oczy. Zszedł kilka stopni i przykucnął przy Julii na podłodze pokrytej pokruszonym węglem.

– Niemożliwe nie istnieje, piękna kierowniczo – powiedział, patrząc, jak Julia wkłada nóż do papierowej koperty i dokładnie zaciska zamknięcie.

– Na pewno nie dla mnie – odpowiedziała z powagą.

Podrzuciła Górnego pod sam komisariat. Uzgodnili jednomyślnie, że dwugodzinne spóźnienie wytłumaczy męczącymi go w nocy dreszczami. Nawet wyglądał dość niezdrowo. Usnęli po drugiej, a zerwali się o szóstej. Noc była gorąca i namiętna, przerywana co jakiś czas szybkim wyjściem na balkon na papierosa w ściągniętej z łóżka kołdrze. Potem wracał i przekazywał ją Julii, bo w takich sytuacjach nikotyna sprawdza się jak woda na pustyni u wszystkich, bez względu na płeć.

Obudzili się, gdy zapiała jej komórka. Denerwujący dźwięk koguta był jak wylanie na zaspane głowy wiadra wody. Wiedział jednak, że wyprawa na Dereniową jest dla niej ważna i że nie ma co przekreślać się na drugi bok. Włożył wczorajsze ubranie, umył zęby palcem i stanął gotowy do wyjścia. Zmęczony, ale szczęśliwy. Gdyby mógł, nie meldowałby się dziś w pracy, tylko wrócił z nią do tego małego mieszkania na Dolnym Mokotowie. Zwłaszcza teraz, kiedy na tylnym siedzeniu skody leżała papierowa torba z zakrwawionym nożem i kilka innych drobiazgów, które pozbiarał z górnych pokoi w domu Rawskich i które mogliby spokojnie obejrzeć w domowym zaciszu.

– Nie wiem, na ile ważne są te szpargały – powiedział, gdy zaciągnęła hamulec pod komisariatem na Nowolipkach. – Może się okazać, że to nic niewarty szajs. Z pokoju dziewczyn zgarnąłem właściwie same papiery. Notatki porzucone w koszu na śmieci i trochę zdjęć. To, co wpadło mi w ręce.

– Przejrzałeś kartony?

Górny zmarszczył czoło.

– Nie było tam nic poza koszem na śmieci. Żadnych kartonów.

– Musiały być, stały pod ścianą. Zabawki i ubrania Niny.

Wyjął swój telefon i włączył ikonkę z galerią zdjęć. Odszukał te, które zrobił w pokojach dziewcząt oraz Leona, i podsunął Julii pod oczy.

– Nie wierzę. – Julia patrzyła na puste pomieszczenie, w którym jeszcze dwa dni temu stały pudła z rzeczami Niny. – Były tam, przecież nie miałam halucynacji.

– Najwyraźniej ktoś się nimi zaopiekował.

– Szlag by to! Dobra, pokaż, co zabrałeś z pokoju Leona.

– Właściwie nic. Jeden pendrive, który wisiał na korkowej tablicy na pinezce. Wygląda jak resorak, pewnie dlatego nasi go nie wypatrzyli.

– Ani ja. Pudła znikają, pojawia się za to pendrive. Pokaż.

Górny sięgnął na tylne siedzenie, żeby złapać brzeg torby z dowodami.

– Czerwone porsche. – Cmoknął z zachwytu na widok samochodzika. – Piękna sztuka. Może być zahasłowany. Jeśli nie dostaniesz się do tej zabaweczki, daj znać.

– A co z rzeczami Rawskiej? Przejrzałeś wszystko?

– Mało interesujące. To minimalistka. Mało rzeczy osobistych, mało pierdół, jakimi lubią otaczać się kobiety. Lubiała za to oglądać filmy, miała kilkadziesiąt płyt DVD. Ale nic drastycznego, żadne mordobicia ani nawet kryminały. Same romanse i do tego wszystkie z gazet. Pewnie kupowała je w kioskach ze starą prasą, tam takie filmy sprzedają za grosze. Od *Przeminęło z wiatrem* po *Rozważną i romantyczną*. Starocie bez żadnej wartości.

– Nie znalazłeś przypadkiem *Wichrowych wzgórz*?

Górny rozszerzył ze zdziwienia oczy.

– Co?

– Lubię historie miłosne dziejące się na mrocznych wrzosowiskach – wyjaśniła Julia.

– Żartujesz.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Ty kochasz podwodne okręty, a ja tragiczne romanse. Było wziąć *Wichrowe* dla mnie. Na pewno je miała. Rawskiej mogą się już nie przydać.

– Zawsze możesz tam wrócić.

– Pewnie tak zrobię. Co jeszcze nazbierała?

– Dużo sprzętu AGD. Młynki, tarki, miksery... pani domu pełną gębą. Mówiłem, nic ciekawego. Nie było co oglądać, zwłaszcza że nasi zgarnęli wszystko, co bardziej

interesujące. Masz więc tylko kilka nudnych papierków, zdjęć i tego pendrive'a.

– Najważniejsze jest tutaj. – Julia sięgnęła po torbę z nożem. – Jarecki okazał się cwańszy, niż ustawa przewiduje, ale nie ma najważniejszego. Trzeba dać to do analizy.

– Wiesz, że na nożu mogą być ślady każdego z domowników?

– Wiem, ale układ palców zaciśniętych na trzonku będzie inny. Nie ściskasz noża całą dłońią, gdy smarujesz chleb masłem, bo tego nie potrzebujesz. Ale kiedy chcesz wbić go mocno w coś lub kogoś, zaciskasz na nim całą pięść.

– Dobra, od tego zaczniemy. Od zdjęcia śladów.

– Masz kogoś, kto obejrzałby nóż bez zadawania zbędnych pytań?

– Przyjęli ostatnio do Instytutu Kryminalistyki taką jedną. Powiedzmy, że znajoma znajomego. Nowa, świeżo po studiach, chętna do roboty. Pogadam z nią. Lecimy standardowo: krew, daktyloskopia?

– Wszystko, milimetr po milimetrze.

– Jeśli chodzi o odciski, to muszę się zastanowić, komu podsunąć nóż do badania. I pobrać z bazy głównej próbki linii papilarnych wszystkich osób, które były wtedy w domu Rawskich.

– Obawiam się, że odcisków jednej z nich nie znajdziesz w bazie.

Górny spojrzał na Julię pytająco.

– W noc zabójstwa była tam jeszcze jedna kobieta – wyjaśniła. – Właściwie dziewczyna. Przyjaciółka Marii, ta z kamienicy przy Chełmskiej.

– Nie ma tego w raporcie.

– A o czym to świadczy? – Julia popukała palcami w kierownicę. – No właśnie. Dlatego nie chcę słyszeć od ciebie po raz kolejny: „poproś Sieracką o akta sprawy”.

– Nie usłyszysz. A co z jej odciskami, załatwisz to jakoś?

– Chyba nie mam wyjścia. Co prawda mówiła, że wyszła z domu Rawskich przed północą, ale... ludzie lubią kłamać. Ona też.

Przeciągły gwizd Górnego wypełnił skodę.

– Wygląda na to, że im głębiej w las, tym dalej do brzegu. A co do tych ekspertyz, wiesz, że to potrwa? Nikt nie robi ich z dnia na dzień.

– Tym bardziej nóż musi trafić do badania natychmiast. Mamy mało czasu. Jeśli nie będziemy mieć wyników do procesu, Rawska zostanie za kratkami do końca życia.

– Zostanie tam również, jeśli na nożu znajdziemy jej odciski palców. Tylko jej –

dodał Adam.

Górny zabrał torbę z nożem i ukrył ją w gazecie wciśniętej w boczną kieszeń skody, po czym zwinął wszystko w papierowy rulon.

- Nie masz pojęcia, jak chciałbym zobaczyć teraz minę Jareckiego.
- Jeszcze się doczekasz. Cierpliwość to szlachetna cnota.
- Posłuszeństwo również. Jeszcze pogadamy o twoim zejściu do piwnicy.
- Będzie lanie czy kazanie? – Julia zrobiła przestraszoną minę.

Pocałował ją w usta i wysiadł z auta. Wyjęła telefon, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości od Sylwii. W skrzynce odbiorczej nic się nie pojawiło, sama więc wysłała esemesa na komórkę Emilii, by ta przekazała wnuczce, że wieczorem zamówią do domu pizzę. Babcia nie uznawała kupowania jedzenia na mieście, hołubiła domowe kotlety i pierogi. Zatem, dla odmiany, u Julii będzie hawajska na cienkim cieście. Na telefonie była za to jedna wiadomość głosowa. Wbiła gwiazdkę i trzycyfrowy numer, żeby odsłuchać nagranie.

Julia, to ja, Artur. Wiem, że nie spodziewałaś się tego telefonu. Przepraszam, jeśli cię zaskoczyłem. Nie byłem pewien, czy ten numer jest aktualny, ale sprawdziłem u Ewy Czajki, poznałaś ją i zostawiłaś swoją wizytówkę. Wiem, że byłaś tu i pytałaś o Ninę Rawską. To moja pacjentka, trudny przypadek, ale wyjdzie z tego. To dzielna dziewczynka. I taki zbieg okoliczności... Popatrz, jak to przypadki rządzą ludzkim życiem. Nie wiem, czy dobrze robię, że dzwonię... dziwnie się czuję, mówiąc do ciebie po tych kilku latach, a ty pewnie zastanawiasz się, o co mi chodzi. Pomyślałem, że... Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że będę w poniedziałek w Warszawie. Mam spotkanie. Służbowe, na temat nowych leków. Jeśli będziesz chciała... jeśli będziesz mogła... Będę czekał na ciebie o drugiej w Hiltonie, w lobby. Jeżeli nie przyjdiesz, zrozumieć. A! Mam nadzieję, że u ciebie wszystko okej. I że jednak się zobaczymy.

Jeśli człowiekowi może na minutę stanąć serce, w tej chwili tak się stało. Oddychała z trudem, nie mogła wykonać żadnego gestu ani poruszyć choćby powieką. Patrzyła w swój telefon, jakby zamienił się w roztopioną lawę, która zaczynała parzyć ją w rękę. Zdrętwiałym palcem wcisnęła ponowne odtwarzanie nagrania.

Julia, to ja, Artur... to ja, Artur... to ja...

Jego głos i wyraźnie wyczuwalna miękka nuta, z jaką wypowiadał słowa. Mówił spokojnie, jak zawsze. Kochała to opanowanie, tak różne od jej wiecznego rozdygotania. To pewne, że musiał być zdenerwowany, kiedy do niej mówił, zaraz, o której...? Siódma czterdzieści jeden, kiedy leżała już pod zamkniętą kłapą piwnicy. Zatem o siódmej czterdzieści jeden musiał być podenerwowany, może zakłopotany, ale nie dał tego po sobie poznać. Wiele musiało go kosztować wykonanie tego połączenia. Ona by tego nie zrobiła, nie dałaby rady. A więc będzie tu niebawem.

Teraz jest czwartek, czyli za cztery dni.

Tylko spokojnie, kilka głębszych oddechów...

Nie spotka się z nim. Po co rozdrapywać ranę, która ledwie co się zagoiła. Nie pozostało już nic, co mogliby sobie powiedzieć.

Jeszcze jeden oddech...

Wrzuciła pierwszy bieg i zakręciła autem, by zjechać z parkingu. Włączyła się do ruchu, niemal uderzając w nadjeżdżający autobus. Dopiero przeciągłe trąbienie sprowadziło ją na ziemię.

Chciała być już w domu i zająć myśli dochodzeniem. Tylko tym. Nie pójdzie na to spotkanie, nie ma mowy. Nawet nie ma sukienki, którą mogłaby włożyć, żeby wyglądać jak człowiek. Dwie, w których mogłaby się pokazać, leżą na dnie któregoś z kartonów. Nieświeże i błagające o pralnię. Nie zdąży zanieść. Zresztą, po co o tym myśleć, skoro i tak nie zamierza się z nim spotkać. Jeśli upierze je ręcznie, mogą się odkształcić, rozciągnąć na dole i zamienić w worek. Do cholery z sukienkami! Chyba że powie kobiecie z pralni, że to pilne. Ma się wystroić, jakby jej zależało? Wystarczy zwykle dzinsy. Artur tak lubił ją w sukienkach... Zajdzie do pralni i zapyta. Na wszelki wypadek. Pójdzie na spotkanie albo i nie pójdzie, porządna sukienka zawsze przyda się pod ręką.

* * *

– Nie możesz tego zrobić. – Ewa Czajka stanęła z założonymi rękami nad Niną. Dziewczynka siedziała na podłodze nad rozłożoną walizką. – Nikt cię stąd nie wypuści tak po prostu, żebyś błąkała się po lesie.

Nina starannie składała swoje ubrania. Osobna kupka przeznaczona była na bluzki i bluzy, osobna na spodnie, jeszcze następna na swetry.

– Po prostu nie chcę, żebyś się rozczarowała, kiedy dojdiesz do drzwi – dodała Czajka.

Nie słuchała recepcjonistki. Wpuściła ją do pokoju tylko dlatego, że przyniosła gorące kakao i herbatniki. Ewa nie miała jednak zamiaru postawić kubka z parującym kakao i talerza z ciastkami i po prostu wyjść. Wyciągnięta przez Ninę walizka i otwarta szafa oznaczały albo chęć ucieczki, albo powrót dziewczynki do domu. Druga ewentualność odpadała. Maria nie pojawiła się w klinice i nie rozmawiała z Niną. Nie mogła mieć pojęcia, że jej siostra szykuje się do opuszczenia ośrodka.

Jeszcze buty. Poza kapciami, które Nina miała na stopach, pod kaloryferem stała

jedna para śniegowców i skajowe adidas. Dziewczynka wyjęła z szafy reklamówkę i zawinęła w nią adidas. Przesunęła spakowane swetry i spodnie i wcisnęła torbę z samego brzegu walizki. Pozostało jedynie włożyć podkoszulki i małą kosmetyczkę. Niewiele w niej było, szczoteczka i pasta do zębów, grzebień i krem Nivea.

– Wiesz, że wszystko monitorują kamery – tłumaczyła lekko już podenerwowana Ewa Czajka. – Nie zdążysz zrobić kroku poza teren ośrodka, a przyprowadzą cię tu z powrotem. A nawet jeśli uda ci się uciec, prędzej czy później znajdą cię i zamkną w domu dziecka. Będą pilnować bardziej niż tu.

Nina wcisnęła kosmetyczkę do walizki i zamknęła wieko. Nie zapinała jeszcze zamka, by w każdej chwili móc sięgnąć po jakąś potrzebną rzecz. Na przykład pluszowego kotka, którego przyniosła z ich starego domu ta ruda kobieta nasłana przez Marię. Był miły w dotyku i miał wesoły pyszczek. Wszystko w ich domu było ohydne oprócz niego.

– Ja nie uciekam. – Nina zacisnęła dłonie na pluszaku.

Ewa Czajka nachyliła się nad dziewczynką.

– Co mówisz?

– Nie uciekam. Wyjeżdżam.

– Miałaś zostać tu do końca miesiąca. Lekarz kazał ci się stąd wynieść?

Wzruszyła po dziecięcemu ramionami.

– Nikt mi niczego nie kazał. Wyjeżdżam do cioci. Po to się z nią widziałam, żeby mnie stąd zabrała.

– A co z Marią? Przecież macie swój dom.

– Nie. – Pokręciła gwałtownie głową. – Z nią nie chcę mieszkać. Ciocia też ma dom, duży i pusty. Wujek nie żyje, a dzieci tam nie ma. Mieszka sama, więc ja zostanę jej dzieckiem. Tam będzie nam dobrze.

– Myślisz, że to takie proste, spakować walizkę i wyjechać? – Ewa odsunęła kołdrę na łóżku i usiadła na jego brzegu. – Musi być zgoda kuratora, a poza tym nie wiadomo, jak zakończy się proces twojej mamy.

Nina się wzdrygnęła.

– Mama nie wyjdzie.

– Tego nikt nie wie. Ta kobieta, która tu była, pracuje nad tym, żeby ją wyciągnąć. Wiesz, co to oznacza?

Nina nie odpowiedziała.

– Dlaczego nie chciałaś się z nią widzieć? – spytała Ewa. – Ty jedna wiesz, co

zdarzyło się w waszym domu.

– Powiedziałam wszystko.

– Na pewno?

Dziewczynka spojrzała ukradkiem na kamerę zamieszczoną pod sufitem.

– Nikt nas nie usłyszy, Nino – zapewniła Ewa Czajka. – Jesteśmy tu tylko we dwie.

Nina usiadła na podłodze tyłem do okna i podciągnęła kolana pod brodę. Wciąż wahała się, czy może zaufać miłej pani z recepcji. Właściwie tylko ona i doktor Artur, jak go nazywała, byli dla niej naprawdę dobrzy.

– Nienawidzę jej – powiedziała w końcu cicho. – To wszystko stało się przez nią.

Ewa zsunęła się na podłogę i objęła ramieniem dziewczynkę.

– Przez kogo, kochanie? Przez Marię?

– Chodził koło niej jak... jak...

– Wiem, że ci ciężko. Już dobrze... już po wszystkim – powiedziała, gładząc ramiona dziecka. – No, nie płacz. Słyszysz, Ninka, nie trzeba. Chcesz coś na uspokojenie? Cała się trzęsiesz. Nie dotykaj szyi... nie drap. Zabierz ręce. Muszę kogoś zawołać... Pokaż mi... źle to wygląda. Zaraz ktoś przyjdzie. Poczekam tu z tobą, powiem, że tęsknisz za matką. Tęsknisz, co?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Powiedziałam ci przecież, że to wszystko przez nią. Ty wciąż nic nie rozumiesz!

Czajka dała znak do kamery, pomachawszy kilkakrotnie ręką. Obserwująca stale pokój pielęgniarka zjawiała się po dwóch minutach. Igła wbiła się w rękę Niny, plaster zakrył niemal niewidoczną ranę po nakłuciu.

– Znow będę spać? – Nina obojętnym wzrokiem spojrzała na kobietę w białym kitlu.

– To tylko mały atak lęku – wyjaśniła. – Szybko minie. Magiczny lek rozprawi się ze złym nastrojem raz-dwa. Nie, nie będziesz spać, połóż się tylko i odpocznij, to wystarczy. Wieczorem przyjdę do ciebie na scrabble. Powiem ci w sekrecie, że jesteś w tym najlepsza.

– Naprawdę? – Nina pojaśniała.

– To gra dla błyskotliwych. Takich jak ty. Powinnaś spróbować zagrać z innymi pacjentami.

– Nie potrzebuję. Raz spróbowałam i więcej nie chcę. Dziwni są, myślą litery i układają głupie wyrazy.

Pielęgniarka położyła dłoń na czole Niny. Głowa była ciepła, ale nie gorąca.

– Bo są chorzy. Jedni bardziej, drudzy mniej. Znajdę ci kogoś niedziwnego.

– Tu nie ma takich. Nie będę już z nikim rozmawiać. Z nikim – powiedziała dobitnie. – Zresztą, muszę skończyć pakować walizkę.

Spojrzenia Ewy i pielęgniarki skrzyżowały się.

– Niech skończy – powiedziała Ewa.

Druga kobieta kiwnęła zgodnie głową.

– A teraz nie myśl już o niczym złym, lek zaraz powinien zadziałać.

Wyszły z pokoju w milczeniu. Ewa sprawdziła przez wizjer w drzwiach, czy zastrzyk pomógł i czy dziewczynka nie rozdrapuje już ran na szyi. Nina wyglądała na spokojną. Jeszcze przez chwilę siedziała na podłodze, dociskając zamek walizki kolanem, po czym wdrapała się na wybrzuszoną klapę bagażu i ściskając w ręce pluszowego kotka, zaczęła kiwać się na boki, szepcząc mu coś z zadowoleniem do ucha.

* * *

– Proszę się nie ruszać i nie mrugać. – Ostre światło okulistycznej latarki zatrzymało się na źrenicy prawego oka, po czym przesunęło się na lewe. – Wszystko wygląda w miarę dobrze. Opuchlizna będzie się jeszcze długo utrzymywać, ale wzroku nie straci pani na pewno.

Lekarz, którego nazwiska Arleta Rawska nie dała rady przeczytać na plakietce, wrócił za biurko i zaczął wpisywać coś do komputera. Czekająca na korytarzu strażniczka zajrzała do gabinetu.

– Jeszcze nie skończyłem. – Lekarz powstrzymał ją ruchem ręki.

Strażniczka posłusznie wycofała się na zewnątrz.

– Prześwietlenie nie wykazało uszkodzenia twarzoczaszki – zwrócił się ponownie do Rawskiej. – Oczodoły też są nienaruszone. Miałaby pani dużego pecha, gdyby ukruszył się choćby kawałek kości. Szczęśliwie są całe. Wystarczy, że oko pozostanie przez jakiś czas w lekkim opatrunku, żeby nie męczyło się od światła i pozostawało czyste. Do tego krople, koniecznie regularnie. Zaraz przepiszę, trzeba będzie wykupić. Czy ma pani jakieś pytania?

Arleta poruszyła się na skierowane do niej słowa. Rozmazana przez atropinę rzeczywistość wywołała rozkojarzenie.

– Nie, nie mam – odpowiedziała.

– Przez kilka następnych godzin nie powinna pani poruszać się samodzielnie, łatwo

stracić równowagę. Zaburzenia widzenia i światłowstręt najlepiej przeczekać w jakimś spokojnym miejscu.

Podszedł do niej i przyłożył do podbitego oka wacik zawinięty w gazę. Umocował go dwoma paskami plastra.

– Nie ma potrzeby, by zdejmować opatrunek na noc, dopiero jutro zmiana na czysty. Raz na dobę wystarczy.

Pokiwała głową. Obawiała się, że będzie dużo gorzej. Kołnierz ortopedyczny też okazał się zbędny. Szyja nadal bolała od uderzeń butów, ale kręgi były całe. Podniosła się z kozetki i wyciągnęła rękę po receptę na krople. Nie miała pojęcia, jak ma je kupić ani tym bardziej jak za nie zapłacić.

Ruszyła do drzwi, stawiając niepewnie stopy na śliskich płytkach. Gdy znalazła się na korytarzu, zachwiała się. Oczy nienaturalnie reagowały na to, co działo się wokół niej. Gdyby nie stojąca na korytarzu strażniczka, leżałaby już na podłodze.

– Dokąd teraz? – spytała ją Rawska.

– A jak myślisz? – Palce kobiety zacisnęły się mocniej na cienkim materiale szpitalnej koszuli.

– Na kolejne badania? Miały być jeszcze dwa. Kości mnie bolą i cała głowa... Idziemy do mojej izolatki? Dobrze, w głowie mi szumi i nic nie widzę. Muszę się położyć.

Za nimi szedł ktoś jeszcze, stukał płaskimi obcasami. Dodatkowa eskorta na wszelki wypadek. We trzy wjechały windą na drugie piętro szpitala. Jedna ze strażniczek została przed izolatką, druga, bezpośrednio pilnująca Rawskiej, podprowadziła ją do szafy i otworzyła drzwi.

– Przebieraj się.

Arleta obróciła się przez ramię. Widziała niewyraźną twarz i rozmazaną bordową plamę jej cywilnego ubrania. Nie lubili rzucać się w oczy ci, co pilnowali więźniów. Zwłaszcza w miejscach publicznych, jak tu w szpitalu. Wystarczyło, że mieli w kaburze broń i kajdanki.

Rawska potarła dłońmi o szpitalną koszulę.

– Po co? Jeszcze czysta.

Strażniczka szarpnęła ubranie wiszącym na wieszaku. Pod nogi zleciała cienka bawełniana bluzka i spodnie od dresu, w których zabrano Rawską karetką.

– Nie mam czasu na zabawę, ściągaj to i wskakuj w swoje ciuchy.

Nadal nie rozumiała.

– Wracasz do swoich. No, ruchy, ruchy! Dylizans już czeka na dole.

Podniosła rękę do zakrytego opatrunkiem oka. Wciąż nie mogła otworzyć opuchniętej powieki. Oko łzawiło i bolało przy każdym poruszeniu gałką.

– Przecież ona mnie zabije – wymamrotała z lękiem. – Za czwartym razem jej się w końcu uda.

– Próbowala dopiero trzy razy? Szczęściara z ciebie. Jeszcze nie raz dostaniesz łomot, lepiej się do tego przyzwyczaj. Na razie nadal żyjesz. Gdyby naprawdę chciała cię zatłuc, zrobiłaby to. No, zbieraj się, przed końcem zmiany muszę dostarczyć cię za bramki.

Rawska po omacku sięgnęła po ubranie i położyła je na łóżku. Odwróciła się do kobiety plecami, ze wstydem zakrywając lewą ręką piersi. Ten wypracowany odruch wszedł jej w krew. Ilekroć myła się w celi, w misce stawianej na sedesie w mikrej łazience, robiła to samo. Mycie musiało być dyskretne i szybkie. Nie z powodu wyzwisk i wyśmiewania się z jej piersi zwiotczałych po trzech ciężach. I nie dlatego, że za każdym razem, gdy zdejmowała stanik i nachylała się nad miską, czuła na swoich plecach podniecony wzrok Żaby, która siadała wtedy na brzegu swojej pryczy i patrzyła na Rawską, dotykając się w kroku. To był zaledwie wstęp do tego, co miało dzieć się w nocy. Koszmar zaczynał się, gdy w celi gasło górne światło. Leżała wówczas na swojej pryczy i czekała, czy to będzie dziś czy może dopiero jutro. Żaba pojawiała się przy jej łóżku znienacka i gramoliła po drabince na górę. Wsuwała się pod koc i wkładała rękę do jej majtek.

– Dobrze ci? – pytała, sapiąc do ucha. – Bo mi kurewsko dobrze. Umówmy się, że najpierw ja tobie, a potem ty mnie.

Nie chciała się umawiać, na samą myśl o tym, że miałyby grzebać Żabie między nogami, ogarniało ją obrzydzenie. Za nieposłuszeństwo dostała łomot trzy razy, zaraz po przybyciu do aresztu, pół roku temu i wczoraj..

Zasłoniła się więc i teraz, choć ze strony strażniczki nie groziło jej nic poza pohukiwaniem. Odruch ciała jednak pozostał.

Wcisnęła przez głowę biały bawełniany podkoszulek z długim rękawem, uważając, by nieostrożny ruch ręki nie zerwał z oka opatrunku. Na nogi wciągnęła luźne spodnie od dresu.

– Nie da się załatwić osobnej celi? Choćby na kilka dni? – spytała z nadzieją w głosie.

– A może apartament z widokiem na góry? I do tego osobna strefa SPA? Obawiam

się, że wszystkie pokoje są już zajęte.

Strażniczka była zniecierpliwiona uciekającym czasem i tym, że nie zdąży odstawić więźniarki na Grochów przed końcem swojej zmiany.

– No już, wychodzimy, Rawska. Pogwiazdorzysz gdzie indziej. Wszystkie wygwiazdy jesteście. We łbach się przewracało.

Znów jechały windą we trzy. Wypis trwał zaledwie kilka minut. Z papierami w garści wyszły przed budynek. Jedna z nich otworzyła tylne drzwi więziennego wozu i wepchnęła do środka Rawską. Sama usiadła z przodu razem z drugą strażniczką.

– No to teraz prosto do naszego pięciogwiazdkowego Ritza – zadyrygowała kobieta w bordowej bluzie.

Ruszyły sprzed szpitala. Arleta przez zaciemnione tylne okno obserwowała mijanych ludzi. Było wczesne popołudnie, młodzież przemykała ulicami z teczkami i plecakami wyładowanymi książkami. Miała świadomość, że nawet gdyby jej wzrok znów był ostry, w żadnej z mijanych osób nie rozpozna ani Marii, ani Niny. Była z dala od domu, a tym bardziej od kliniki, gdzie przebywała Ninka. Jednak chciwie przyglądała się młodym ludziom, doszukując się w ich twarzach i sylwetkach choćby cienia podobieństwa do swoich córek. Życie wymknęło jej się z rąk niespodziewanie, do tego przez własną głupotę.

Przez te wszystkie noce, które spędziła w areszcie, wiele myślała. Miała dużo czasu na analizę każdego z dni, odkąd w ich domu pojawił się Leon. To, że nigdy nie powinien wracać do Michałowic, wiedziała doskonale. Jednak stanął na progu i poczuł się jak u siebie. Czy go kochała? Każda matka kocha swoje dziecko. Czy chciała, żeby był przy niej znowu, po dziewięciu latach? Wydawało jej się, że tak. Wierzyła, że jego głupie wybryki się skończą, że zmądrzał i wydorósł. On też ją o tym zapewniał. Znalazł sobie dziewczynę. Ładną, nawet bardzo. Przy niej miał szansę na normalne życie, była w nim przecież zakochana po uszy. Wzięła więc jego słowa za dobrą monetę. Miał się ustatkować i trzymać wreszcie ręce przy sobie. Piekiło zaczęło się już po kilku dniach, ale nadal ufała, że mu minie. Nie minęło, spirala zła w ich domu zaczęła się dopiero nakręcać. W sylwestra przeszedł sam siebie. Wtedy była już pewna, że tak dłużej być nie może. Ucierała w miskach ciasta i tylko zaciskała zęby, żeby nie dać się ponieść.

Próby uciszenia Leona skończyły się wymachiwaniem rękami przed jej nosem. Robił to w wyjątkowo podły sposób. Był wulgarny i nieobliczalny, przede wszystkim wobec Marii. Kiedy porwał jej sukienkę, Rawska nakładała krem na dopiero co

wyrośnięte biszkoptowe ciasta. Wyrównywała nożem ubitą śmietaną i modliła się po cichu, by raz na zawsze wszystko ucichło. Judyta siedziała tuż obok. Za każdym razem, kiedy słyszała podniesiony głos Leona, zaciskała ręce w pięści.

– Jak możesz mu na to pozwalać?! – spytała chyba czwarty raz. – Życie niczego cię nie nauczyło?

Patrzyła przy tym na Arletę z takim wyrzutem, z jakim patrzy się na kogoś, kto grzebie żywcem w ziemi nowo narodzone szczeniaki. Przełało jej się, kiedy usłyszała, że Leon żąda pieniędzy. Wtedy wtrąciła się po raz pierwszy. Wypadła z kuchni do salonu i spytała, co go opętało. Odpysknął, że nie jej sprawa i żeby wracała do matki, do garów.

Tamtej nocy padło dużo złych słów. Powietrze było gęste od gniewu i agresji. Podpalanie beczki z prochem jest groźne, a Leon podpalił lont i tylko kwestią czasu było, kiedy iskra dotrze do pierwszego ziarna prochu.

Nie sądziła, że z człowieka może wypłynąć tyle krwi. Kiedy dowlokła ciało syna do przybudówki, wypływało jej już coraz mniej. Jednak wciąż sączyła się z otwartej rany i brudziła na czerwono jego odświętną koszulę i jej dłonie. Chciała krzyknąć. Może robiła to, ale kompletnie tego nie pamiętała. Pamiętała tylko wystrzały fajerwerków z oddalonych domów.

Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła ich wzrok. Stały zaledwie kilka kroków dalej. Widziała ich twarze, ale tylko jedna z nich była naprawdę przerażona.

Dziewczynki dopiero po chwili podbiegły do matki. Odgoniła je, kazała Marii natychmiast zabrać siostrę do domu. Maria też miała nie pokazywać się w ogrodzie. Przede wszystkim ona...

Położyła go na żelaznej ławce w przybudówce i okręciła starym kocem. Noc była zimna, nie chciała, żeby zmarł. I tak wyglądał blado, kolor jego twarzy coraz bardziej przypominał barwę śniegu. Potem usiadła obok i położyła jego głowę na swoich kolanach. Czy mówiła coś do niego? Chyba tak. Na pewno. Przepraszała.

Nie wie, jak długo siedziała z synem, szepcząc mu do ucha. Nie wie też, kto zadzwonił po karetkę. Zaraz za erką przyjechały dwa radiowozy. Ludzie z karetki powiedzieli, że nic nie da się zrobić i że już po wszystkim. Auto z domu pogrzebowego przyjechało po półgodzinie. Zabrali Leona, kiedy ona wciąż stała przed domem. Maria narzuciła jej na ramiona palto i pomogła wsunąć pantofle na gołe nogi. Wcisnęła coś do kieszeni.

Potem trafiła na Grochów.

– Wsiadka! – Drzwi wozu więziennego otworzyły się.

Wysiadła ostrożnie i postawiła nogi na rozpapranym błocie. Za trzynaście dni rozprawa, pomyślała, patrząc w zakratowane okna aresztu. Tak jak uzgodniła z samą sobą, nie będzie się bronić. Dostanie to, na co zasłużyła. Matka dzieciobójczyni nie jest godna, by żyć na wolności. By żyć w ogóle.

ROZDZIAŁ XI

Miała więc tylko kilka zmiętych kartek, trzy zdjęcia i pendrive'a w kształcie czerwonego porsche. Policja przeczesała dom centymetr po centymetrze, tak jak przypuszczała. Zdjęć też pewnie wzięli kilka, na każdym z nich widać było bowiem Leona i Maję, czyli Bejbi. Przytulonych, objętych ramionami i całujących się. Miał je poprzypinane pinezkami do tablicy nad biurkiem, podobnie jak to porsche.

Maja Jakaśtam, jak ją określiła Klaudia. Odrzucona dziewczyna, która służyła Leonowi za zabawkę. Piękna blondynka z włosami za ramiona i dużymi niebieskimi oczami. Typ amerykańskiej nastolatki, królowej balu maturalnego. Mimo urody dziewczyny zadzwonił do niej i odwołał wspólną sylwestrową noc. Na pewno nie była z tego powodu szczęśliwa, ale koniec końców to właśnie dało jej alibi i uratowało od ciągnięcia po sądach.

Julia odłożyła na bok zdjęcia i rozwinęła kartki wyjęte przez Górnego z kosza na śmieci. Szybko rozpoznała, że skróty i znaczki napisane ołówkiem są niczym innym jak podpowiedziami do gry komputerowej. Nie miały żadnej wartości, zmeła je ponownie i rzuciła na podłogę. Sięgnęła po pendrive'a. Po włożeniu do laptopa zobaczyła kilka katalogów oznaczonych nazwami „buda”, „cloud”, „aukcje”, „biała rasa”. Był jeszcze krótki film zajmujący zaledwie dwieście megabajtów oraz plik Excela.

Zacząła od tego drugiego. Było w nim wyliczenie, a konkretnie odejmowanie. Od trzech tysięcy Leon odejmował w podziale na miesiące kolejne liczby. Nie miała wątpliwości, że są to kwoty pieniędzy. Gdyby było inaczej, nie wstawiałby obok nazw miesięcy. Co innego mógłby liczyć od października do grudnia. Komórki arkusza pokazywały sumy od stu do pięciuset złotych. Pięćset było największą liczbą. Zwrócił dwa tysiące, do oddania wciąż pozostawał tysiąc. Dokładnie tak, jak powiedziała Nina podczas sesji z Arturem. Wszystko się zgadzało.

Poza suchymi liczbami arkusz nic nie mówił. Ani słowa o tym, za co i komu Leon miał zwrócić zaciągnięty dług.

Katalog „buda” zawierał pliki ze streszczeniami szkolnych lektur i porobione

ściągawki. Julia sprawdziła datę utworzenia katalogu. Stare dane, jeszcze z liceum. Nie mogła spodziewać się w tym miejscu niczego odkrywczego. „Cloud” było już bardziej ambitne. Zhakowane książki, było ich całkiem dużo jak na zbuntowanego chłopaka. Przeważała stara literatura rosyjska, klasyki Puszkina, Dostojewskiego i Tołstoja. Do tego dwie pozycje Bułhakowa, *Psie serce* oraz *Mistrz i Małgorzata*.

Wrażliwość czytelnicza Leona nie pasowała do tego, co o nim wiedziała. Może te książki nie były dla niego? Miał dostęp do chmury, ale czytać Puszkina wcale nie zamierzał?

Katalog „aukcje” był równie ciekawy. Wraz z kolejnymi otwieranymi plikami Julia zaczynała mieć coraz większe wątpliwości, czy aby obraz Leona nakreślony słowami Niny i Klaudii nie odbiega od prawdy. „Aukcje” oznaczały ni mniej, ni więcej tylko kolejne, rokroczne zgłoszenia do wolontariatu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zapisywał styczniowe daty z kolejnych lat i kwoty, jakie udało mu się zbierać. Na samym dole powklejał linki do stron internetowych Orkiestry i artykułów podających kolejne rekordy wpłat na konto organizatora.

Julia skopiowała pierwszy z brzegu i wkleiła do przeglądarki. Krótki filmik ze studia WOŚP, stojące na stołach skarbonki i płachty naklejek z czerwonymi serduszkami. Przygotowania do wielkiej akcji, kręcący się po planie młodzi ludzie, wśród nich Leon Rawski machający do kamery kolorowym identyfikatorem i z dumą pokazujący palcem swoje nazwisko na plakietce.

Została jeszcze „biała rasa”.

Już sama nazwa pliku mówiła wszystko. Niechęć do narzeczonego Marii to jedno, ale wyglądało na to, że na samej niechęci się nie kończyło, i że zamieniła się ona wręcz w obsesję. Kto trzyma pliki z taką nazwą? Czy Leon rzeczywiście był rasistą o twarzy anioła, jedynie pozującym na dobrego samarytanina?

Otworzyła katalog. Zdjęcia labradorów, maltańczyków, szpiców i dogów argentyńskich wysypały się jedno po drugim. Pod każdym krótki opis charakterologiczny i główne cechy każdej z ras. Tendencje psów albinosów do chorób i najczęstsze przyczyny zgonów. Dalej kalkulacja budowy lecznicy dla zwierząt oraz wstępny szkic budynku, który, jak jasno wskazywał opis, miał stanąć w podwarszawskim Pruszkowie. Nic, co miałoby związek z kolorem ludzkiej skóry i marszami narodowców.

– Co jest, do diabła? – Julia przewijała zdjęcia psów z dołu do góry, nie wierząc własnym oczom. – Powrót doktora Dolittle?

Znów miała wrażenie, że bierze udział w jakiejś mało śmiesznej komedii pomyłek. Leon nie był rasistą, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Ktoś, kto kocha zwierzęta, zwykle szanuje też ludzi. Dlaczego zatem zginął? Dlaczego tak źle o nim mówiono i która z najbliższych mu osób podniosła na niego rękę?

Zanim włączyła odtwarzanie filmiku, jeszcze raz spojrzała na uśmiechnięte buzie Leona i Mai. Być może kiedyś mieli wspólne plany założenia kliniki dla zwierząt? Trzy tysiące z pewnością nie wystarczyłoby na zbudowanie choćby jednej ściany, a poza tym Leon nie miał dyplomu, więc nie mógł pracować w zawodzie. Może próbował na początek wejść w spółkę z jakimś lokalnym weterynarzem? Plany się posypały, miłość do dziewczyny szybko wygasła, a on spłukał się z pieniędzy i popadł w długi? Na żadne z tych pytań nie знаła odpowiedzi.

Plik MP4 z filmem załadował się w kilka sekund. Mogła się domyślać, że to kolejna odsłona z aukcji WOŚP, tym razem licytacja złotych serduszek, lotu szybowcem nad Warszawą lub kolacji z telewizyjnym celebrytą, ale było inaczej. Nagranie zaczynało się od śmiechu. Jakość nagrania była słaba, przez ekran przebiegały na zmianę to jasne, to ciemne plamy. Śmiali się oboje, mężczyzna i kobieta. A właściwie chichotali.

- *No chodź* – powiedział męski głos.
- *Daj spokój, jeszcze ktoś wejdzie* – odrzekła dziewczyna.
- *Kto niby? Jesteś u siebie.*
- *Ta! Bo to niby moja chata.*
- *Prawie jak twoja.*
- *Przestań, głupoty gadasz.*
- *Ciemno tu jak w dupie. Zapalę światło.*
- *Nie pal. Wolę po ciemku.*
- *Chcę na ciebie patrzeć.*
- *Bo i jest na co. Weź, nie pal. Głupio mi przy świetle.*
- *Zamknęłaś drzwi?*
- *Uhm. Na oba zamki.*
- *Dobrze. No a teraz zdejmij już ten stanik.*
- *Muszę?*
- *No a jak? Nie dość, że bez światła, to jeszcze w łachmanach? Zlituj się.*
- *Zaraz, za chwilę.*

Biała płachta, koc albo prześcieradło, przeleciała obok kamery. Miała słabą

rozdzielczość, obraz był niewyraźny, a brak zapalonego światła nie ułatwiał sprawy. Julia nie знаła głosu Leona, zresztą nawet gdyby tak było, oba głosy, jego i jej, były zniekształcone. Dochodziły spod przykrycia i mieszały się z mruzeniem i kusicielskim śmiechem. Za oknem musiała być noc albo wieczór. Miejsce, w którym się znajdowali, było zalane ciemnością. Płachta unosiła się i opadała. Poruszała się regularnym rytmem i co jakiś czas kołysała na boki.

– *Co z nami będzie?* – spytała dziewczyna w przerwie na zmianę pozycji.

– *Jak to co? Przecież teraz jest dobrze. Niech tak zostanie.*

– *Mieliśmy z tym skończyć. To ciągnie się zbyt długo, nie chcę mieć problemów.*

– *Księżniczka czarnowidzka z ciebie. Jak z bajki normalnie.*

– *A ty wariat. Jest bajka o wariatach?*

– *Nie ma. Jest za to o złym królu, co lał wiejskie dziewczuchy o tak...*

Kilka plaśnień, chyba o pośladki, bo prześcieradło znów uniosło się kilkakrotnie. Chichot, tym razem jego.

– *Co z tym stanikiem? Zaraz ściągnę ci go zębami, zobaczysz.*

– *O Jezu, no już.*

Podniosła się, widać było rozmazane ruchy rąk sięgające do zapięcia na plecach. Coś błysnęło po prawej stronie obrazu. Ekran dzwoniącej komórki rozjaśnił ciemność, ale tylko na tyle, by Julia mogła zobaczyć, że to, na czym leży dzwoniący telefon, ma zielony kolor. Dziewczyna wygramoliła się z pościeli. Widać było tylko jej nogi, jak idą w stronę wyjścia z pokoju.

– *Zaraz wrócę, a ty siedź tu cicho. Nie odzywaj się* – powiedziała szeptem.

Szła, trzymając dzwoniącą komórkę na wysokości bioder. Nikły blask ekranu oświetlił regał z książkami, zaraz potem brzeg jakiejś ramy.

Julia zatrzymała obraz i powiększyła go. Widziała już tę ramę i regał na książki. Zieloną kanapę również. Wznowiła odtwarzanie i czekała na ciąg dalszy.

Dziewczyna wróciła po niecałej minucie. W tym samym czasie chłopak włączył telewizor. Duży, pięćdziesięciocalowy.

– *Wyłącz to* – nakazała stanowczym głosem. – *Chyba że nie chcesz jeszcze skończyć? Ja przy telewizorze nie mogę. Muszę się skoncentrować, a ten grat mnie rozprasza.*

– *Kto dzwonił?*

– *Matka. Mam być grzeczna.*

– *Przecież jesteś.*

Wyciągnął do niej rękę, żeby się zbliżyła. Julia zauważyła tatuaż przy zgięciu jego prawego łokcia. Przedstawiał literę K i narysowane pod literą serce. Król kier, jak w kartach. Gdy dziewczyna podawała mu swoją dłoń, podobny tatuaż mignął w świetle telewizora. Też z sercem, z tym że z literą Q. Karciana królewska para.

Obraz filmu urwał się po kilkunastu ruchach prześcieradła. Telefon chłopaka, na który nagrywany był miłosny film, musiał spaść na podłogę podczas gwałtowniejszych ruchów wykonywanych na zielonej kanapie. Nic już nie było widać. Królewska para wymieniła jeszcze wiele jęków, zanim zasnęła zmożona zmęczeniem, jednak żadnej rozmowy Julia już nie słyszała.

* * *

Emilia zadzwoniła równo o czwartej.

– Dlaczego masz wyciszony telefon? Dzwonię od godziny. Pamiętasz o dzisiaj? – spytała zagadkowo.

Przez głowę Julii przebiegło tysiąc myśli naraz. Nie przypomniała sobie, żeby miała coś kupić, załatwić Sylwii wizytę u lekarza ani nic z podobnych rzeczy.

– Za godzinę. – Matka dociskała. – Wywiadówka.

Szzzzlag! Nie dalej jak dwa dni temu podpisywała zawiadomienie w zeszycie dziecka.

– Właśnie miałam wychodzić – rzuciła kłamliwie.

Poderwała się znad otwartego laptopa i wyjęła z niego pendrive'a z plikami Leona. Bezpieczniej było schować nagranie z miłosnym filmem gdzieś, gdzie nie mogłaby go znaleźć Sylwia. To, że córka lubiła grzebać w jej rzeczach, było normą. Przeglądała zdjęcia z miejsc przestępstw i zaglądała do notatek. Prawdopodobieństwo, iż zostanie kiedyś księgową czy prezenterką pogody, było bliskie zeru. Ciągnęło ją do niewyjaśnionego, coraz więcej czasu spędzała na śledzeniu kronik kryminalnych i oglądaniu filmów dokumentalnych o prowadzonych śledztwach. Umowa między Sylwią a Julią była jednak jasna: robi to tylko za zgodą matki i pod jej okiem. Poza rodzicielską kontrolą mogła jedynie dopingować Poirotowi i pannie Marple.

Rozejrzała się po pokoju. Wybór padł na doniczkę z bonsai. Sylwię interesowały zwierzęta, nie kwiaty. Te były nudne i pozbawione machającego na powitanie ogona. Owinęła więc USB w folię spożywczą i wcisnęła w ziemię w doniczce.

Wpadła do łazienki i przeczesała włosy. Związała je w kucyk, potem sprawdziła, czy jednak nie lepiej spać je kłamrą. Ani jedno, ani drugie nie wyglądało dobrze.

Rozrzuciła je z powrotem na ramionach. Jasnobrązowy fluid z drobkami złota miał sprawić, że zmęczona po nocy twarz nabierze tekstury aksamitu. Pod oczy powędrował rozświetlacz, a na rzęsy czarny tusz Max Factor. Jeszcze muśnięcie policzków różem i dwa psiknięcia perfum, po jednym na każdą stronę szyi.

Z kartonów wygrzebała beżową koszulę we wzór odkręconych małych szminek. Wariacki deseń, mało odpowiedni na wywiadówkę. Wyjęła kolejną, z drobnymi sylwetkami ludzików w kostiumach kąpielowych. Lubiała ją, ale figurki odziane w skąpe bikini lub męskie kąpielówki nie do końca pasowały na wywiadówkę. Pozostałe koszule w liczbie trzech były zbyt nieświeże, by miała się w nich pokazać w szkole. Wróciła do tej ze szminkami. Strzepnęła ją kilka razy, żeby wyprostować zagniecenia, na grzanie żelazka nie było już czasu. Albo bluzka wygładzi się podczas jazdy autem, albo najwyżej nie będzie w szkole zdejmować płaszcza. Przecież nadal jest zima, a klasy pewnie niedogrzone.

Złapała w biegu kluczyki do skody i pobiegła do windy.

* * *

Judyta wyglądała dobrze, ani zbyt bogato, ani zbyt biednie – w sam raz. Kolejne zakupy w Złoty Tarasach zaowocowały kilkoma nowymi sukienkami i parami butów. Wybierała je starannie, by kiedy przyjdzie czas, nie prowokować i nie wywoływać zbędnych komentarzy. W końcu miała załatwić z siostrą ważną sprawę, a miejsce, w którym znajdowała się Arleta, do kolorowych nie należało. Musiała więc zachować jakąś formę powagi. Wolałaby włożyć coś ekstra i dobrać bajecznie błyszczącą kolie składającą się z dwóch rzędów drobnych kryształków, jednak zamiast niej sięgnęła po złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie czterolistnej koniczyny. Dzianinowa ciemnoszara sukienka opięła jej talię i biodra, na nogi wsunęła zamszowe kozaki na wysokim słupku w odcieniu zbliżonym do sukienki. Wszystko się zgadzało.

Kiedy wczoraj wyszła z hotelu i ruszyła pod Warszawę, dokładnie wiedziała, po co tam jedzie. Potrafiła dodać dwa do dwóch, a pieniądze umiała liczyć nad wyraz dobrze. Zwłaszcza że rok pobytu Niny w klinice dobiegał końca. Być może mała miała nadzieję, że serce ciotki zmięknie i kobieta znów sygnie groszem przedłużając jej leczenie nawet do grudnia, ale Rawska-Kawka miała zupełnie inne plany.

Widok rozbitej siostrzenicy wywołał w niej wzruszenie, ale powściągnęła emocje. Nina siedziała na łóżku i patrzyła martwym wzrokiem w wypolerowany parkiet.

Potem przeniosła wzrok na las, który było widać za podjazdem.

– Niedawno znaleziono tam jedną panią – powiedziała. – Wisiała kilka dni, zanim mąż ściągnął ją z drzewa. Widziałam, jak drogą jechały policja i karetka. Na sygnale, jakby się paliło. – Ścisnęła pluszowego kotka i co rusz pociągała go za plastikowe wąsy. – Musiała być bardzo nieszczęśliwa i samotna – dodała. – Myślisz, że to boli?

Kawka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jeśli przyznałaby, że tak, Ninka przeżywałaby odejście Leona jeszcze bardziej. Skoro śmierć bolała panią, która zawisała na gałęzi, musiała boleć również jego. Gdyby natomiast zaprzeczyła, oznaczałoby to, że takie wyjście ze złej sytuacji może być prawdziwym wybawieniem.

– Dlaczego o to pytasz? – wybrnęła w najlepszy możliwy sposób.

– Bo nie wiem, co ze mną będzie. Nikt mnie nie chce, ani tu, ani nigdzie.

Judyta przysiadła się do dziewczynki na łóżko i pogładziła ją po głowie.

– Co ty mówisz, głuptasku?

– Opłacisz mnie?

Kawka udął, że nie rozumie pytania.

– Inaczej mnie stąd wyrzucą – wyjaśniła natychmiast Nina. – A do naszego domu nie wrócę. Trafie do domu dziecka, prawda?

– Nigdy na to nie pozwolę – odpowiedziała Judyta ze ściśniętym gardłem.

Nina przysunęła się do niej i położyła głowę na jej kolanach.

– Tam będą obcy ludzie. Obce wychowawczynie i dzieci. Ile będą mnie tam trzymać, ciociu? Siedem lat?

– Nie mów tak, kochanie. – Ręka Judyty raz po raz przesuwiała się po włosach dziewczynki.

– A jak mam mówić? Nikt nie chce adoptować takich starych dzieci jak ja. Przecież wiem.

To był już ten moment. Judyta odczekała chwilę i wzięła głęboki oddech.

– Możesz pojechać do mnie, pod Kraków.

Nina przekręciła się na jej kolanach i przeniosła zaskoczone oczy na ciotkę.

– Jak to? Do dużego domu?

– Jest zbyt wielki jak dla mnie samej. Znajdziemy ci szkołę i jakąś miłą przyjaciółkę.

– A mama? Mama się nie zgodzi. – Oczy Niny otworzyły się szeroko.

– Porozmawiam z nią.

– Chcę. – Kiwnęła zapamiętałe głową, po czym podniosła się z wigorem z kolan ciotki. – Zabierz mnie stąd, ciociu! Jak najszybciej! Tam mnie nikt nie znajdzie, nikt nie będzie mnie znał.

Oczy jej błyszczały. Judyta dawno nie widziała w Nince tyle światła, jakby jedna decyzja miała wywrócić całe jej życie do góry nogami. A właściwie ułożyć je na nowo.

Po wyjściu z kliniki pojechała prosto do prokuratury. Wniosek o widzenie z Arletą wylądował na spodzie sterty innych podań.

– Musi pani poczekać, wszyscy czekają – usłyszała od kobiety za biurkiem.

– Ile?

– Zwykle kilka dni. Prokurator musi mieć czas na wydanie zgody. Nie pani jedna czeka.

– Jest dziś u siebie?

– Nie, kochaniutka. Prokurator Sieracka właśnie wyjechała. Będzie w przyszłym tygodniu.

– Pani nie rozumie...

– Wszystko rozumiem – zapewniła kobieta. – Spokojnie, jest zastępca. Ale wniosków też jest dużo, jak pani widzi.

Następnego dnia stawiała się o siódmej rano i czekała na otwarcie biura. Prokurator zastępujący Sieracką przyszedł o dziewiątej.

– Tego nie załatwia się na gwizdek – burknął, kiedy złapała go przed wejściem do gabinetu. – Są procedury.

Wy tłumaczyła, że to szczególna sytuacja rodzinna i że musi porozmawiać z siostrą o jej małej córce, która ma poważne problemy ze zdrowiem. Do tej pory nie przyjmowała wizyt i nikt szanownemu panu prokuratorowi nie zawracał głowy, więc może jednak... Pan przecież też na pewno ma dzieci, prawda? Więc zrozumie.

To był cud, że podbił zgodę.

– Pierwszy i ostatni raz. W drodze wyjątku – zaznaczył.

Długo zastanawiała się nad tym, w jaki sposób zakomunikuje Arlecie, że zabiera Ninę do siebie. Miała prosić o zgodę czy po prostu podsunąć jej do podpisu oświadczenie o powierzeniu opieki nad małą córką, a potem zapakować małą do pociągu i zniknąć? Czysta logika podpowiadała, że nigdzie nie będzie jej tak dobrze jak w podkrakowskim domu. Dach nad głową, zdrowe jedzenie i przyzwoita edukacja. Przebywanie między rówieśnikami, a nie wśród ścian, od których echem

odbijają się krzyki chorych ludzi. Z dala od leków i tego koszmarnego smutku. Przynosi ją, innego wyjścia nie ma. Arleta zgodzi się, areszt nie odebrał jej przecież zdrowego rozsądku.

Wyszła z hotelu i wsiadła do taksówki.

– Na Grochów, ulica Chłopskiego siedemdziesiąt jeden A – powiedziała, zapinając pasy.

Widziała w lusterku wstecznym, jak kierowca taksuje ją wzrokiem. Nie spodobało jej się to spojrzenie.

– Coś nie tak? – spytała.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy wpuszczą. Powinna pani stawić się tam z samego rana. Wtedy przydzielają widzenia. A teraz – spojrzął na zegarek – teraz może być już za późno.

– Skąd pan to wie?

Uniósł kącik ust.

– A bo to panią pierwszą tam wiozę? To co, jechać czy przekładamy kurs?

– Jechać.

Taksówkarz wybrał na GPS najlepszą trasę, by uniknąć korków i robót drogowych.

– Zdamy? – spytała Judyta, widząc na ekranie nawigatora grube czerwone linie wskazujące na zatoki uliczne.

– Dwadzieścia minut – zakomunikował. – Szybciej się nie da, jest środek dnia.

Droga spod hotelu wiodła prosto przez Aleje Jerozolimskie i most Poniatowskiego. Minęli Stadion Narodowy, owinięty biało-czerwoną plecionką przypominającą ogromny wielkanocny koszyk, i wjechali na Pragę.

Była niespokojna, zbliżała się do aresztu z duszą na ramieniu. Po roku od tragicznego wydarzenia postanowiła stanąć oko w oko z siostrą po raz pierwszy. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Miała jednak świadomość, że to spotkanie nie będzie należało do łatwych.

Zapłaciła za kurs i wysiadła przed płaskim, rozległym budynkiem o brudnożółtych ścianach zwieńczonych drutem kolczastym. A więc tak to jest, gdy łamie się boskie nakazy, pomyślała. Mury, kraty, pełna izolacja. Nie mogła się jednak wycofać. Nina czekała na nowy los i liczyła na nią. Tylko ona jej została.

W biurze wydawania przepustek przywitała ją kobieta z twarzą przypominającą pysk charta. Miała duże oczy osadzone w wąskiej czaszce, nadnaturalnie wysuniętej

do przodu.

– Za późno – powiedziała zgodnie z przewidywaniem taksówkarza. – Rano trzeba przyjść i czekać.

– Mam zgodę. – Judyta podsunęła jej pod długi nos prokuratorski kwit. – To naprawdę ważne. Chodzi o dziecko.

– Chore, umierające? – zakpiła strażniczka. – Bo jeśli nie, to nie mamy o czym rozmawiać.

– Tak, chore, poważnie.

– Do Rawskiej? Nikt wcześniej nie zgłaszał potrzeby.

– Ja zgłaszam. Niech pani wpuści, chociaż na kwadrans.

– Bez zgody wychowawcy nie mogę.

Kobieta o twarzy charta wciągnęła zapach jej perfum. Judyta odniosła wrażenie, że to wciąganie trwa bardzo długo. Delektowała się szlachetnym aromatem Diora, jakby do rzeźni pełnej smrodu krwi i zwierzęcych odpadów wpuszczono nagle zapach świeżo skoszonej trawy. Rawska-Kawka sięgnęła do torebki i wyjęła z niej flakonik perfum. Zawsze nosiła go przy sobie, jako odwet za te wszystkie lata, kiedy mogła pachnieć jedynie szarym mydłem. Ludzie w różny sposób odbijają sobie biedę, dla niej tym sposobem było noszenie brylantów w uszach i trzymanie pod ręką butelki perfum, po które mogła sięgnąć w każdej chwili.

– Znudzily mi się. – Postawiła buteleczkę na stole funkcjonariuszki.

Tani chwyt jak z kiepskich filmów o skorumpowanych urzędnikach. Jednak nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Nie, kochana, to tak nie działa. – Kobieta opadła na oparcie swojego krzesła. – Za próbę przekupstwa urzędnika więziennego może pani w ekspresowym tempie dołączyć do siostry, wie pani o tym?

Judyta przesunęła palcem flakonik na samą krawędź stołu. Kolejne dotknięcie zepchnęło buteleczkę prosto do stojącego przy stole kosza na śmieci.

– Po prostu już ich nie chcę.

– Wyrzuca je pani?

Rawska-Kawka uniosła brwi w geście informującym jasno, że jej przywiązanie do Diora przestało istnieć. Zaraz potem na korytarzu rozległy się czyjeś ciężkie kroki zmierzające do biura przepustek. Strażniczka szybkim ruchem przysunęła do siebie kosz i wyjęła z niego flakonik perfum, po czym schowała je w zamykanej szafce przy swoim biurku. Do biura weszła kolejna kobieta, z włosami związanymi nad karkiem,

w okularach i luźnej białej bluzce. Bez śladu makijażu, który mógłby ukryć nierówny koloryt skóry.

– Ma pani szczęście – powiedziała strażniczka, prostując się na krześle. – O wilku mowa. Akurat przyszła wychowawczyni.

– O co chodzi? – spytała na widok Judyty kobieta w białej bluzce. – Pani do kogo? Judyta odpowiedziała i po raz kolejny dodała, że chodzi o dobro dziecka.

– Osadzona Rawska jest w złym stanie, powinna mieć spokój.

– Podpisz. – Kobieta o twarzy charta podsunęła tej drugiej jakiś dokument. – Niech wejdzie na kilka minut, stoi tu i jęczy. Rawska nie widziała się z rodziną od roku, niech ma.

Wychowawczyni spojrzała na zegarek.

– Jeśli następnym razem przyjdzie pani tak późno, to odeślę panią z powrotem do domu – powiedziała bez emocji.

Poprowadziła Judytę szerokim korytarzem przez kilkoro zakratowanych drzwi. Rozmównica była pokojem z jednym stołem i dwoma taboretami. Rawska-Kawka usiadła na stołku i czekała. Po dziesięciu minutach drzwi się otworzyły i weszła Arleta. Jeszcze bardziej wychudzona i zniszczona aniżeli wtedy, gdy Judyta widziała ją po raz ostatni. Wtedy też nie miała pomalowanych ust ani tym bardziej nie pachniała Diorem, ale wyglądała znacznie lepiej. Teraz biały podkoszulek, spod którego wyglądała bluzka na ramiączkach, niemal zlewał się z kolorem jej twarzy.

Staną na progu salki i podniosła do twarzy dłoń, dociskając opatrunek na oku. Był świeży i biały, podobnie jak tenisówki, które miała na nogach. Nie należały do niej, były o dwa numery za duże, więc łatwo było się domyślić, że musiała dostać je po jakiejś poprzedniej osadzonej.

Podeszła do stolika i usiadła na krześle. Bez emocji i egzaltacji, z jaką witają się rodziny. Położyła ręce na blacie i splótła ze sobą palce.

– Jak ci tu? – zaczęła Judyta. – Dają żyć?

– Jak widać – odpowiedziała Rawska. – Bywało lepiej. Po co przyszłaś? Coś z dziećmi?

– Tak. Chodzi o Ninę.

Jeśli gołym okiem można zobaczyć, jak wiotczeją w człowieku mięśnie, Judyta obserwowała to właśnie teraz, patrząc na siostrę. Opadnięcie ramion, skurczenie się szyi i zapadnięcie klatki piersiowej. Nagłe, z sekundy na sekundę. Judyta mówiła wprost, o izolacji Niny, o zastrzykach uspokajających i o tym, że opłacony pobyt

dziewczynki w zakładzie dobiega końca. Z każdym wypowiedianym przez nią zdaniem twarz Rawskiej szarżała. Sumienie podpowiadało Judycie, żeby przerwać relację, jednak rozum popychał ją dalej. Nie mogła pominąć informacji o tym, jak mają się sprawy między dziećmi Arlety. Żadna z jej córek nie wyobrażała już sobie wspólnego życia pod jednym dachem.

– Dlatego muszę ją stamtąd zabrać – powiedziała dobitnie. – Nie ma innego wyjścia. Chyba to rozumiesz?

Rawska spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nigdy nie miałaś własnych dzieci. Nie masz pojęcia, jak je wychowywać.

– Ty za to masz pojęcie. I w nagrodę za swoje wychowawcze sukcesy dostaniesz dwadzieścia pięć lat, jak nie dożywocie.

Sylwetka Rawskiej nagle się wyprostowała.

– Nina potrzebuje prawdziwej opieki. To nie zabawka, którą wystarczy dobrze ubrać i uczesać.

– Chyba nie pamiętasz, że niańczyłam już twoje dzieci. Wtedy nie narzekałaś. Miały czyste ubrania i ciepłe łóżka. Jak widzę, szybko o tym zapomniałaś.

– Mam być ci za to wdzięczna do końca życia?

– Myślę, że powinnaś. Dzięki temu nie trafiły do ochronki.

– I teraz znów chcesz mi je odebrać.

– Tylko Ninę. Maria sobie poradzi, jest dorosła.

Siedziały naprzeciw siebie na wyciągnięcie ręki, jednak każda trzymała się swojej części stołu, nie wykonując żadnego gestu, który mógłby ujawnić, że są sobie bliskie. Sztywne plecy i twarze pozbawione uczuć stwarzały wrażenie, jakby były dla siebie całkiem obce.

– Nie oddam ci dziecka – powiedziała Arleta, przerywając pełną wyczekiwania ciszę. – Wracaj do swoich brylantowych broszek i pachnideł, ale bez niej. Niny nie dostaniesz.

Judyta poruszyła się niespokojnie na stołku.

– Zgnijesz tu na zawsze.

– To się jeszcze okaże.

– Co ma się okazać? Chcesz namieszać w zeznaniach? Uważaj, bo to śliski grunt. Nie ryzykowałabym na twoim miejscu.

Odpowiedzią Arlety były tylko zaciśnięte usta.

– No właśnie. Sama widzisz, że pewnych rzeczy nie da się odkręcić. Za dwa

tygodnie pójdziesz siedzieć na dobre. – Judyta wbiła wzrok w oczy siostry. – Powinnaś przyzwyczajać się do tej myśli.

Arleta wciąż milczała. Judyta nachyliła się nad stołem i zbliżyła do siostry tak, że czuła smrodek celi, który uwiązał we włóknach jej ubrania.

– Za popełnione grzechy trzeba odpokutować, siostrzyczko. Leon nie musiał zginąć, ale ty zrobiłaś wszystko, by tak się stało. Zapłacił za twoją głupotę najwyższą cenę. Zresztą nie tylko on. Popatrz tylko, co stało się z twoją rodziną. Życie niczego cię nie nauczyło? Przypomnij sobie swoją historię, bo najwyraźniej o niej zapomniałaś.

Arleta zamknęła oczy.

– To nie była moja wina. Wtedy, u nas w domu – odpowiedziała niemal niesłyszalnie. – Nagle wyglądała żałośnie, jakby zgasła w niej chęć do życia. – Nie chcę do tego wracać – dodała.

– Bo tak wygodniej – odparła szydząco Judyta. – Najlepiej schować głowę w piasek.

– Po to tu przyszłaś? By mnie dręczyć?

– Nie. Jestem tu, żeby przypomnieć ci, w jakim bagnie pływasz. I żeby uratować choć jedno z twoich dzieci. Bo syna już udało ci się stracić.

Rawska znów się skurczyła jak po uderzeniu batem przez plecy.

– To był wypadek. Ale o wyjeździe Niny nie ma mowy. To moje ostatnie słowo.

Arleta podniosła się powoli z krzesła i ruszyła do wyjścia.

– Wypadek, mówisz? – dobiegł ją podniesiony głos Judyty. – Do kolejnego może dojść już niebawem. Stracisz Ninę szybciej, niż ci się wydaje.

Przystanąła w połowie drogi.

– O czym ty, do cholery, mówisz?! – warknęła, nie odwracając się w stronę stolika i siedzącej przy nim Judyty.

– Cały czas o tym samym. Tylko ty, jak zwykle, nie słyszysz. Nina jest wyczerpana. Byłam u niej wczoraj i wiesz co? Marzą jej się gałęzie drzew. I lina do powieszenia. Pytała, czy śmierć boli. Jak ci się wydaje, dlaczego?

Teraz dopiero obróciła się gwałtownie w stronę siostry. Judyta wiedziała, że albo teraz, albo nigdy. Brakowało już tak niewiele, by dostać to, po co przyszła.

– Po Leonie Nina będzie kolejna – powiedziała dobitnie. – Naprawdę dasz radę z tym żyć?

Wyszła z aresztu, trzymając w dłoni zgodę na opiekę nad dzieckiem. Czowała, jakby rozmowa z Arletą zabrała jej kilka lat życia, ale było warto. Wciąż ścisnęła ją w gardle ze wzruszenia i szczęścia, że odetnie Ninę od ludzi roszczących sobie prawo do zadawania pytań, na które nie chciała odpowiadać. Wywiezie ją z tego piekła i da nowy dom. Zdobędzie jej miłość i zaufanie. Będzie ją przytulać i z nią rozmawiać. Na myśl o dziewczynce zrobiło jej się ckliwie. Do tej pory nikt nie pytał małej, co myśli albo co czuje. A przecież tylko ona, Judyta, jest w stanie to zrozumieć.

* * *

Na szkolnym korytarzu było pusto. Wszyscy rodzice siedzieli już jak należy w klasach, tylko nie ona. Biegła do pracowni języka polskiego, odwijając w pośpiechu szalik na zgrzanej szyi. Zapukała do drzwi i weszła. Skinęła głową na dzień dobry i wyszukała wzrokiem wolne miejsce w ławce. Głowy, głównie matek, zwróciły się jej stroną. Wychowawczynie, pani Rogalska, wskazała krzesło w pierwszym rzędzie pośrodku. Tym, od którego uciekają wszyscy, i uczniowie, i rodzice.

– Miło panią wreszcie zobaczyć, pani Krawiec – powiedziała do Julii, poprawiając czarne jak smoła włosy, które niesfornie wchodziły jej za wysoką stójkę brązowej bluzki. Powitanie wypadło blade i bez cienia uśmiechu, jak zwykle zresztą, po czym poinformowała, że lista obecności krąży gdzieś po ławkach. – Trzeba się wpisać przy nazwisku dziecka – dodała. – Sprawdzamy frekwencję.

Spraw ogólnych było niewiele, zaledwie trzy tygodnie temu skończyły się ferie zimowe. Po omówieniu przeciągających się zachorowań na gripę i kilku ucieczek z lekcji przyszedł czas na temat, na który wszyscy rodzice czekali od dawna z niecierpliwością.

– Zawarliśmy umowę z pływalnią – poinformowała wychowawczynie z dumą. – Zajęcia, jak się państwo domyślają, mają pomóc w kondycji psychoruchowej naszych dzieci, które, jak wiadomo, wchodzą w szybką fazę rozwoju. Kręgosłupy i mięśnie potrzebują zdrowego ruchu, dlatego już od poniedziałku będziemy wozić uczniów na basen.

Po klasie przeszedł pomruk zachwytu, gdzieś padło magiczne słowo „wreszcie”.

– W związku z tym obowiązywać będą dyżury rodziców. Klasa będzie jeździć razem, chłopcy i dziewczęta. Jednak do każdej z szatni potrzeba po jednym z rodziców. Dla chłopców ojciec, dla dziewczynek mama.

Julia miała wrażenie, że już kiedyś podobną szkolną łapankę przechodziła.

– Ja nie mogę – odezwał się ktoś z tyłu sali. – Powinni zgłaszać się ci, co nie pracują na etacie.

– Chyba wszyscy pracujemy!

– Szkoła powinna zapewnić opiekę. Przecież zajęcia na basenie będą się odbywać w czasie lekcji.

Julia siedziała cicho, obserwując, jak cienka żyłka na czole wychowawczyni zaczyna silniej pulsować.

– Drodzy państwo, kadra szkolna nie jest w stanie otoczyć opieką tych wyjazdów we własnym zakresie, to chyba rozumiałe! – Rogalska przebiła się przez podniesione głosy. – Jeżeli nikt nie zgłosi się na dyżury, zajęcia na pływalni po prostu się nie odbędą.

Umilkli. Kilka rąk podniosło się po przeciągającej się chwili ciszy. Dwie mamy i dwóch ojców. W ruch poszła lista do wpisów na zajęcia. Z początku przesuwano pustą po biurkach, jednak co jakiś czas ktoś dopisywał swoje nazwisko. Głównie przy odleglejszych terminach, za miesiąc lub trzy.

– Może pani? – Wychowawczyni zawisła nad głową Julii. – Tak dla odmiany, żeby pobyc z dziećmi bardziej intensywnie?

– Jeszcze bardziej intensywnie? – wyrwało się Julii.

– Czuje pani nadmiar kontaktu z córką?

Wolała nie wchodzić głębiej w dyskusję. W ciągu trzech poprzednich lat była w szkole sześć razy. Resztę wywiadówek załatwiała Emilia.

– Radości z przebywania z dziećmi nigdy za wiele – odpowiedziała Julia z przyklepionym do twarzy uśmiechem.

Wpisała się na najbliższy termin, razem z ojcem rudego Marcinka. Z tego, co mówiła Sylwia, Marcinek był mistrzem świata w młóceniu rękami swoich rówieśników, a jego ojciec mistrzem świata w bronieniu synka przed dyrektorką szkoły.

Więcej spraw organizacyjnych nie było. Wychowawczyni zamknęła oficjalną część spotkania i przeszła do rozmów indywidualnych. Rodzice podchodzili pojedynczo do biurka pani Rogalskiej i rozmawiali w cztery oczy o postępach lub problemach swoich dzieci. Julia schowała do kieszeni kartkę z ocenami córki, zaledwie kilkoma, jakie Sylwia zdołała zebrać podczas ostatnich trzech tygodni, i ruszyła do wyjścia.

– Proszę zaczekać! – dobiegł ją głos wychowawczynie. Wychylała się zza pleców stojących wokół niej rodziców. – Muszę z panią porozmawiać. Państwo niech tu jeszcze zostaną – rzuciła do nich i podtrzymując Julię za rękaw płaszcza, wyszła na korytarz. Zamknęła za nimi drzwi klasy.

– Coś złego dzieje się z Sylwią? – Julia ściszyła głos, który i tak poniósł się echem po pustym korytarzu.

Kobieta sprawdziła, czy drzwi do pracowni polonistycznej są domknięte.

– Zmieniła się. Nie rozmawia z innymi dziećmi, jedynie z jedną koleżanką, Jagodą.

– Dzieci w jej wieku szukają przyjaźni na wyłączność.

– Jest wpatrzona w nią jak w obraz, to może się źle skończyć. Jagoda jest, jak by to ująć, skomplikowanym dzieckiem. Bardzo nietuzinkowym.

– To znaczy?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły. Powiem tylko, że ma przemożny wpływ na pani córkę. Sylwia robi wszystko, czego Jagoda zażąda, próbuje się w ten sposób przypodobać.

– Jeśli nie robi nic złego...

– Taka zależność od drugiego dziecka źle wpływa na własną samoocenę. Jagoda to silny charakter, nie chciałabym, żeby zaczęła manipulować pani córką. Widziałam, jak Sylwia daje jej pieniądze. To były drobne, być może zwracała jej za słodką bułkę lub za colę, ale potem zaobserwowałam podobną sytuację. Podejrzewam, że takich przypadków mogło być więcej. I żeby była jasność, Jagoda tego nie wymusza, Sylwia sama daje jej to, na co tamta ma w danej chwili ochotę.

– Rozmawiała pani z matką tej dziewczynki?

– Naturalnie. Jednak nie wiem, czy weźmie sobie moje sugestie do serca. Według niej Jagoda to przykład przebojowości i otwartego umysłu, nie manipulacji. Dlatego musi mieć pani świadomość tego, co dzieje się z Sylwią. Trzeba poświęcać dziecku więcej czasu, rozumie mnie pani? Trzeba rozmawiać. Dzieci często czują się samotne i wtedy łatwo padają ofiarami innych, bardziej wpływowych. Dlatego dobrze, że pojedzie pani z nami na pływalinię, Sylwia powinna czuć, że jest dla pani ważna.

– Oczywiście, że jest ważna.

– Tylko czy ona o tym wie. – Wychowawczynie uniosła brwi. – Muszę już wracać, inni rodzice czekają.

Nauczycielka zniknęła za drzwiami. Korytarz znów był cichy, jakby w szkolnych murach Julia została zupełnie sama. Szła długim holem, przyglądając się wiszącym na

ścianach gablotom. Zza szyb uśmiechały się twarze uczniów, obecnych i byłych. Okolicznościowe zdjęcia robione podczas uroczystości dziesięcio-, dwudziestopięcio- i pięćdziesięciolecia szkoły. Niektóre buzie były tak radosne, że na sam ich widok powinna się uśmiechnąć. Nie było jej jednak wesoło.

Po wywiadówce zajechała na Saską Kępę do matki. Nie weszła jednak do środka, wolała poczekać na Sylwię w aucie. Oparła ramiona o kierownicę i położyła na nich głowę. Podniosła się dopiero, gdy Sylwia szarpnęła klamką i rzuciła swoją torbę z książkami na tylne siedzenie skody.

– Jedziemy? – spytała, sadowiąc się obok matki.

– Tak, wracamy do domu. Zamówimy pizzę, jak obiecałam. Co powiesz na wspólne oglądanie filmu?

Czekała na entuzjazm, choćby małe przykłaśnięcie.

– Nie trzeba, pizza wystarczy. Mam dużo lekcji.

Wymykała jej się z rąk. Jagoda dawała Sylwii poczucie przynależności i akceptacji, babcia gwarantowała codzienną stabilizację. Ona zaś, matka, grała drugie skrzypce w życiu własnej córki. Wciąż zadawała sobie pytanie, czy tak ma wyglądać jej rodzina. Była niepełna i nie do końca prawdziwa. Tak samo jak Sylwia nie mogła ich mieszkania na dziewiątym piętrze bloku nazwać prawdziwym domem.

* * *

– Muszę odpuścić. – Julia ściszyła głos. Siedziała w bujanym fotelu za zamkniętymi drzwiami dużego pokoju i kończyła niedojedzoną pizzę. Sylwia spała od dwóch godzin, nie chciała jej obudzić. – Dostałam ochrzan od wychowawczynie za to, że jestem złą matką. Nie chcę, żeby do sprawy włączył się szkolny psycholog.

– Bzdura! Nie jesteś złą matką, sam chciałbym taką mieć. – Adam próbował złagodzić smutek, który słyszał w jej głosie.

– Ale nieobecna, ma mnie za małą. Sylwia zaczyna szukać sprzymierzeńców poza domem. Boję się, żeby ktoś tego nie wykorzystał.

– Jest kuta na cztery kopyta. Poza tym to normalne, że dzieciaki chcą się przypodobać swoim rówieśnikom.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Nie masz dzieci, Górny.

– Ale o ile dobrze pamiętam, sam chyba byłem kiedyś dzieckiem – roześmiał się do słuchawki Adam. – Tobie też się to przytrafiło. I nie powiesz mi, że nie wiesz, co

dla takiego dzieciaka oznacza przynależność do grupy.

– Kiedyś były inne czasy. – Julia przełknęła ostatni kęs zimnej hawajskiej. – Tak czy inaczej, muszę się zaangażować. I to na serio.

– A co ze sprawą? Tylko nie mów, że chcesz się wycofać, bo obca kobieta powiedziała ci kilka gorzkich słów?

– Nie o tym mówię. Muszę po prostu odpuścić pewne kwestie dla dobra rodziny.

– Na przykład wojnę z matką?

– Na przykład – mruknęła, mając w pamięci ostatni wspólny obiad. – Nieważne, zwolnię trochę, jak tylko zamknę sprawę Rawskiej. Ta historia jest jak labirynt bez wyjścia. A właściwie bez wejścia.

– Co, jeśli nie znajdziesz go do procesu?

– Wtedy przegram. Dlatego liczę na ekspertyzy co do tego znalezionej noża. Na zeznania ludzi z kręgu Rawskich nie mam co liczyć. Myślałam, że już coś wiem, ale okazuje się, że połowa tego, co usłyszałam, to czysta ściema.

– A czego się spodziewałaś? Sama powtarzasz, że ludzie kłamią.

– Bo tak jest. Stara zasada, żeby nie wierzyć osobom zbyt blisko związanym z ofiarą, właśnie się sprawdza. Tylko po jaką cholere wycierają sobie gębę kimś, kto już nie żyje?

– Jeżeli dokładają nieboszczykowi, to znaczy, że mają powód – zauważył Górny.

– Chyba tylko po to, żeby usprawiedliwić samych siebie za to, co mu zrobili.

– Właśnie. Obrona przez atak.

– Może to głupio zabrzmie, ale polubiłam tego chłopaka – przyznała Julia. – Miał swoje za skórą, ale coś mi mówi, że to nie był zły dzieciak.

– Komuś jednak przeszkadzał. Tobie też radziłbym wstrzymać się z nadmierną sympatią do naszego nieżyjącego przyjaciela.

– Masz coś na niego?

– Jeszcze nie wiem, ale może się okazać, że taki święty to on nie był. Dwa dni temu zleciłem pobranie billingów telefonicznych Leona. Nie byłem pewien, czy operator będzie na tyle obrotny, żeby wyciągnąć dane sprzed roku, ale chyba go nie doceniłem. Przed godziną dostałem wykaz numerów, z którymi łączył się telefon chłopaka w ciągu ostatniego roku przed jego śmiercią. Skupiłem się na ostatnim miesiącu, decydującym. Jeden numer powtarza się zadziwiająco często.

– Domyślam się, że dzwonił do dziewczyny. – Julia wciąż miała przed oczami mieszkanie Klaudii Komasy i miłosne podrygi „królewskiej pary”.

– Te rozmowy były bardzo krótkie – ciągnął Górny. – Zaledwie kilkunastosekundowe, najdłuższa miała około minuty. Niektóre połączenia odrzucano i, od razu to powiem, tych akurat było najwięcej.

– Ile?

– W ostatnim miesiącu przed śmiercią Leon dzwonił pod ten numer ponad osiemdziesiąt razy.

– Sporo. A esemesy?

– Tych dużo mniej, zaledwie kilkanaście. „Gdzie jesteś? Musimy pogadać”, tego typu. Nic konkretnego.

– Odpowiedzi?

– Za każdym razem w podobnym tonie: „po prostu zniknij, daj mi spokój, nie mam zamiaru dłużej tego ciągnąć”. Nic miłego. Ostatnie połączenie wykonał na kilka godzin przed śmiercią.

– Wyślij mi ten wykaz. Przejrzę go, może znajdę tam coś więcej. I tak nie mogę spać.

– Nie wolisz wykorzystać tej bezsenności na myślenie na przykład o mnie? Byłoby mi miło.

Ziewnęła przeciągle.

– Dobra, zrozumiałem – roześmiał się Adam. – Może jeszcze przyjdzie dzień, kiedy stanę się bardziej interesujący od wykazu połączeń.

– Wysyłaj, czekam.

Wytarła palce w nogawkę dżinsów i włączyła laptopa. Z doniczki z uschniętym bonsai wyjęła schowanego pendrive’a i odwinęła go z zabezpieczającej folii. Wróciła na fotel, kładąc sobie laptopa na kolanach.

Plik z wykazem rozmów przyszedł niemal natychmiast. Daty z ostatniego miesiąca, na których skoncentrował się Adam, nie interesowały jej. Skupiła się na tych dużo wcześniejszych. Niespodzianki nie było, ten sam numer telefonu powtarzał się raz za razem, jakby na świecie istniała tylko jedna ważna dla Leona osoba. Znała ten numer doskonale i nie należał on do Klaudii. Leon zadrećzał połączeniami Marię. Prawdziwe nękanie zaczęło się już w czerwcu, wkrótce po wprowadzeniu się chłopaka do rodzinnego domu.

Wsunęła pendrive’a do portu w laptopie i ponownie włączyła film. Żeby zobaczyć, co działo się w ciemnym pokoju mieszkania Klaudii, rozjaśniła monitor najbardziej, jak to było możliwe. Jednak zamiast lepszej widoczności obraz zaczął się

rozmażywać, jakby zalewała go mgła. Kiedy w połowie odtwarzanego filmu Leon włączył telewizor, monitor pojaśniał jeszcze bardziej. Ekran wielkiego telewizora bił po oczach ostrym światłem. Tego, co działo się w łóżku, zupełnie nie było już widać. Leon przełączał programy przez kilka sekund, szukając kanału sportowego. Powtarzano mecz siatkówki mężczyzn nadawany z Katowic. Chłopak nie włączył głosu, żeby nie przysł czar romantycznego wieczoru spędzanego z przyjaciółką jego siostry, która na chwilę opuściła ich miłosne gniazdko. Drugi set, dziewiętnaście do szesnastu. To akurat widać było dokładnie w lewym górnym rogu telewizora. Ustawiona na łóżku kamera znajdowała się na tyle blisko, że rozszyfrowanie cyfr nie stanowiło większego problemu. Widziała również nazwy drużyn, a właściwie litery stanowiące skrót ich nazw. Daty rozgrywanego meczu nigdzie nie było.

– No i co mi to da? – wymruczała pod nosem. Miała wyszukać w internecie archiwalne rozpiski programów telewizyjnych?

Policyjne doświadczenie nakazywało jej po raz kolejny obejrzyć to, co na ekranie telewizora widział Leon. Odtwarzanie setek razy jednego nagrania było jak patrzenie przez mikroskop. Scena po scenie, kadr po kadrze, milimetr po milimetrze. Miała świadomość, że ludzkie oko najpierw wyłapuje ogół, potem co bardziej znaczący szczegół, na samym końcu zaś detal – najważniejsze ogniwo, które zwykle zostaje przeoczone podczas pobieżnych oględzin.

Dochodziła północ, kiedy ponownie cofnęła nagranie do chwili, w której Leon wyciąga rękę z pilotem i celuje nim w telewizor. TVP Sport, Polsat Sport, Eurosport, Canal+ Sport. Pokój rozjaśniał się i ciemniał, co sekunda, wraz z kolejną zmianą kanału. Dopiero teraz zauważyła, że wraz z każdym mrugnięciem telewizor automatycznie wyrzuca w prawym górnym rogu datę i godzinę. Powiększyła obraz na laptopie i przesunęła go w prawo. Nacisnęła pauzę, film się zatrzymał. 9 cze 2016, 22:08. Nie wiedziała jeszcze, czy ta data ma jakiegokolwiek znaczenie. Wiedziała natomiast, że do spotkania w mieszkaniu Klaudii doszło tydzień po tym, jak Leon postawił swoją walizkę na progu domu Arlety Rawskiej.

Leżała obok Sylwii, wsłuchując się w jej oddech. Musiała być trzecia lub czwarta nad ranem, za oknem panowała ciemność. Ciało dopominało się odpoczynku, głowa jednak pracowała na najwyższych obrotach. Musiała zrobić to, co zawsze się sprawdzało. Rozpisać posiadane informacje i spróbować połączyć ze sobą zebrane dane. Jakimś cudem wtedy wszystko nabierało sensu, a przynajmniej nie błędziła już

w swych domysłach jak dziecko we mgle.

Nie miała ani tablicy, ani flipcharta. Robienie wykresów na kartce było jak pisanie streszczenia *Trylogii* na świstku z kieszonkowego notesu. Musiała zobaczyć wszystko z odpowiedniej perspektywy.

Poderwała się z łóżka i wygrzebała z biurka Sylwii czarny flamaster i taśmę klejącą, po czym zamknęła się w dużym pokoju.

Pierwsze na ścianie pojawiło się imię Leona. Umieściła je centralnie, nad nim narysowała czarny krzyżyk. Potem poszły imiona kolejnych osób z rodziny Rawskich: Arlety, Marii, Ninki i Judyty. Od imienia Leona pociągnęła strzałkę i na jej końcu dopisała nazwisko jego ojca: Ludwik Zalewski. Strzałki przy imionach Marii i Niny zakończyła postawieniem znaków zapytania. Na dole ściany znalazły się imiona Klaudii, Mai i Murata. Umieściła je osobno. Żadna z tych osób nie była na miejscu zbrodni o północy, jednak mogło je coś pośrednio wiązać z tragedią. Najdłuższa z linii połączyła Leona i Maję, pośrodku niej przyklepiła taśmą jedno z ich roześmianych zdjęć, które Górny zabrał z pokoju chłopaka. Wypłowiła fotografie, które osobiście odczepiła spod magnesów lodówki w kuchni Rawskich, umieściła na samej górze, niemal pod sufitem. Patrzyli na nią Leon z Marią i osobno Ninka.

Wróciła do pisania, po lewej stronie ściany nakreśliła kolejno:

film Leon–Klaudia – 9.06.2016

Leon sen – ś+p 1.01.2017

scena – ogród

sprzęt – piwnica

kulminacja – konflikt

Powinno być: seks Leon–Klaudia, zgon, miejsce zbrodni, nóż, dręczenie/rodzinna awantura. Jednak trzymanie Sylwii jak najdalej od kryminalnej nomenklatury i słów, których nie powinna czytać każdego ranka podczas śniadania, było jej rodzicielskim obowiązkiem. Zwłaszcza teraz, gdy stabilność jej charakteru była tak silna jak siła pływaka wyrzuconego za burtę na środku oceanu.

Potem poszła już normalnym trybem:

Leon powrót – 2.06.2016

motyw = relacje z Arletą R. (?) lub Marią R. (?)

lista połączeń – głównie do Marii

dług – 1000 zł (cały: 3000 zł)

alibi – wszyscy poza Arletą Rawską

Na pierwszy rzut oka wypisane słowa i symbole wyglądały chaotycznie. Je też musiała połączyć ze sobą liniami, co utworzyło czarną pajęczynę zajmującą jedną czwartą ściany. Malowanie całego mieszkania, w tym zielonego pokoju córki, miała przeprowadzić na wiosnę. Do tego czasu zasłoni rysunek jakimś plakatem z kotkiem

czy pieskiem – czymkolwiek, co wybierze Sylwia.

Na zapisanej ścianie brakowało jeszcze jednej niezwykle ważnej informacji. Wsunęła flamaster za ucho i poszła do kuchni. Trzymała tam wszystko, co ważne. Jedna duża szafka zajęta była przez garnki i patelnie, druga pełna była pustych słoików, w które jej matka pakowała jedzenie dla niej i Sylwii. Górne szuflady zajmowały sztuczce i papierowe torebki na kanapki do szkoły dla dziecka oraz trzy ścierki. Do dyspozycji była jeszcze jedna, najniższa szuflada. Obok przypraw i aktu notarialnego jej mieszkania leżało w niej ukryte w przezroczystej koszulce czarno-białe zdjęcie z badania USG, które znalazła podczas pierwszej wizyty na Dereniowej. Dopisała na ścianie:

USG – 20.09.2016

Zdjęcie USG znalezione w szafie sióstr Rawskich przywołało wspomnienia. Nie miała wątpliwości, co się na nim znajduje. Podobne wręczono jej trzy lata temu w gabinecie ginekologicznym. Tam też usłyszała, że jej ciąża dobiegła końca, że płód obumarł.

Były wtedy rozpacz, krzyk i niedowierzanie, że to dzieje się naprawdę. Niemal natychmiastowy zabieg i pustka tak wielka, jakby stała sama pośrodku bezkresnej pustyni. Wtedy zmieniło się wszystko, a właściwie wszystko przestało mieć znaczenie. Sylwia była jedyną liną, jakiej mogła się przytrzymać przed stoczeniem się w przepaść. Wkrótce potem przyszła wiadomość, że może wrócić do Warszawy, bo jest dla niej miejsce na Nowolipkach. To było jak panaceum, odtrutka na chorobę duszę. Mogła uciec z prowincji, od wspomnień, od ojca jej nienarodzonego dziecka i od siebie samej. Mogła też zostać i powoli umierać. Wybrała ucieczkę.

Obróciła w palcach wydruk z USG. Nazwisko pacjentki zostało wycięte nożyczkami, ktoś zrobił to z premedytacją, pozostawiając tylko datę badania. Komu zależało na tym, by identyfikacja matki nie była możliwa? Czy miała nią zostać królowa kier, którą Julia widziała na nagraniu? Przerywaną linią połączyła na ścianie komputerowy wydruk z badania z imionami Leona i Klaudii. Kim tak naprawdę była ta dziewczyna i czy jej lojalność wobec Marii wynikała ze szlachetnych intencji, czy raczej ze strachu przed obnażeniem przez nią niewygodnej prawdy. W końcu kobieca przyjaźń niejedno ma imię.

ROZDZIAŁ XII

Otworzyła oczy o szóstej, za oknem wciąż było ciemno. Poszła po omacku do łazienki. Zapaliła małą lampkę nad lustrem i odkręciła wodę w wannie, wlewając do niej kilka kropel waniliowego płynu. Po krótkiej nocy zarwanej ślęczeniem nad dokumentami powieki piekły jak posypane solą. Weszła do wanny i puściła na głowę strumień wody, chłodnej na tyle, żeby mózg zaczął pracować. Po szybkiej kąpieli zawinęła włosy w ręcznik i zamknęła się w pokoju z drzewkiem bonsai.

Za pół godziny miała obudzić Sylwię, jednak wcześniej musiała wykonać krótki telefon do Marii.

Odebrała po ośmiu długich sygnałach. Najpierw wydała z siebie zaspany bełkot, potem nastąpiło kilka odchrząknięć.

– Musimy się spotkać – powiedziała Julia, nie czekając na to, aż dziewczyna zacznie mówić pierwsza. – Chcę, żebyś wyjaśniła mi kilka kwestii. Bez tego nie pójdziemy dalej.

– Jasne – bąknęła Maria. – Gdzie?

– Tam gdzie poprzednio, bar na Marszałkowskiej, o dziewiątej.

– Będę. Zabiorę ze sobą Klaudię. Mamy braki w lodówce, więc śniadanie na mieście nam pasuje.

– Przyjdź sama. Jedzenie dla Klaudii weźmiesz na wynos.

– Nie mam przed nią tajemnic, pełna swoboda. Więc jeśli chodzi o mnie, to...

– Masz przyjść sama – przerwała jej Julia. – Pamiętaj.

W drzwiach stanęła Sylwia. Julia rozłączyła się i wyciągnęła ręce do córki. Ta wyminęła ją i stanęła na wprost popisanej flamastrem ściany. Wzrok małej zaczął biec od napisu do napisu.

– Ale czad! – skomentowała. – Mamy zbrodnię na ścianie!

– Chwilowo. Niedługo zamalujemy te bazgroły, nic nie będzie widać.

– Nie, mamo! Tak jest super!

Wybiegła do siebie i wróciła z komórką w rękę.

– Skąd to masz? – Na widok nowego telefonu Julia poderwała się z kuchennego stołka.

– Od dziadka. Na walentynki.

Aparat w etui z Minionkami błysnął tuż przed twarzą Julii.

– Zrobię zdjęcie i pokażę Jagodzie.

Julia wyciągnęła do córki rękę, żądając wydania telefonu.

– Nie możesz pokazywać tego, co jest na ścianie, ani Jagodzie, ani nikomu innemu.

Sylwia natychmiast schowała komórkę za plecami.

– Nie chodzi ci o Jagodę, tylko o to, że telefon jest od dziadka!

– Nie spytał mnie, czy możesz dostać taki prezent, a powinien.

– Nie ogarniasz życia, mamó. Każdy teraz ma komórkę, tylko nie ja!

– Każdy?

– Wszyscy! Cała klasa. Dziadek powiedział, że musi mieć ze mną kontakt. Powinnaś się cieszyć.

– Aha, powinnam... Dziadek wie lepiej. Odłóż ten telefon, mówiłam, że nie wolno...

– Ale mamó! My sobie z Jagodą wszystko pokazujemy i mówimy. A to... – Spojrzała z zachwytem na ścianę. – To jest lepsze od świńskiej pępownicy!

Julia tylko otworzyła usta.

– Na wsi, u cici Jagody, urodziły się przed feriami prosiaki – zaczęła tłumaczyć Sylwia. – Jedenaście różowych świnek. I Jagoda pomagała. Chciała zabrać od cici dwa prosiaczki, jednego dla siebie, a drugiego dla mnie, ale jej mama się nie zgodziła. Jagoda wzięła więc tylko pępownicy, i ususzyła.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Jedną dała mnie.

– I trzymamy w domu zasuszoną świńską pępownicę?

Sylwia z dumą kiwnęła głową.

– W lodówce.

Musiała to zobaczyć. Stała przed lodówką i szarpnęła drzwiami.

– Na dole, za pojemnikiem na marchewki – pokierowała ją Sylwia.

Julia odsunęła warzywa i wyjęła słoik, w którym znajdowało się coś flakowatego o nieokreślonym kolorze. Podniosła słoik do oczu.

– To to?

– Moja źle się ususzyła, więc musiałam ją dosuszyć w piekarniku, jeszcze jak

mieszkałyśmy u babci. Jagoda mi powiedziała, jak to się robi. Ona wie wszystko. Kiedyś znalazła granat w lesie. Mówiła, że to na pewno Niemcy zostawili, bo to był naprawdę stary granat. Chłopaki na drugi dzień polecili do Kampinosu szukać więcej.

– Jagoda przyniosła do szkoły granat?

– Tak, ale nieduży. O rany, nie patrz tak, granatu do piekarnika nie wkładała! Przecież nie jest głupia!

– Tylko świńskie flaki?

– Tylko – przytaknęła Sylwia. – Zresztą, babcia Jagody zabrała jej już ten granat i zaniósła na policję.

Do Julii zaczęło docierać, że o życiu swojej córki wie mniej więcej tyle co o obyczajach plemion żyjących w dorzeczu Amazonki. Nie odkręcając słoika, wstawiła go z powrotem do lodówki.

– Też chcę pokazać Jagodzie coś ciekawego. – Sylwia nieśmiało wyjęła telefon zza pleców.

Julia podeszła do córki i objęła ją ramionami.

– Myślisz, że coś przebije świńską pępowninę?

Mała odgięła się do tyłu i spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

– Prawdziwe morderstwo? – odpowiedziała śmiertelnie poważnie. – Tego u nas w klasie jeszcze nie było. Jagoda padłaby trupem, jakby to zobaczyła.

Zrobiło się miło i dziwnie zarazem. To, że Sylwia przeglądała się w oczach Jagody jak w zwierciadle, było już pewne. Zrażanie córki do jej nowej przyjaciółki na tym etapie ich znajomości było bezcelowe.

– To na pewno miła dziewczynka – powiedziała Julia, wybierając bezpieczne wyjście z dyskusji i stosując wypróbowaną technikę. – Opowiesz mi o niej w drodze do szkoły? Czas, żebym poznała ją bliżej, skoro jest dla ciebie taka ważna. Będzie w poniedziałek na basenie?

Sylwia kiwnęła głową. Julia miała nadzieję, że entuzjazm córki okaże się większy. W końcu dostanie to, na czym od tak dawna zależało jej najbardziej. Matkę do własnej dyspozycji, i do tego na oczach całej klasy. Pokaże, że nie jest ostatnią oferumą, którą zajmuje się jedynie babcia Emilia. Jednak nie eksplodowała z radości ani dumy. To, co Julia straciła przez ostatnie lata, przedkładając ponad wszystko swoją pracę, za którą i tak podziękowano jej w wyjątkowo podły sposób, zebrało zniwo. Chyba nigdy dotąd nie odczuła tak boleśnie, że spalenie się dla bezdusznej

instytucji nie miało sensu.

– Kocham cię, maleńka, wiesz? – szepnęła jej do ucha.

– Ja ciebie też – odpowiedziała. – To mogę zrobić to zdjęcie dla Jagody?

I tak by je zrobiła. Kiedy Julia byłaby w łazience czy wyszła wyrzucić śmieci do zsypu.

– Tylko jedno. Pokażesz je Jagodzie, ale zaraz potem je usuniesz, okej?

Sylwia zakręciła ramionami ze szczęścia.

– Jesteś cudowna! Nikt nie ma takiej mamy jak ja!

– Potem sprawdzę twój telefon.

– Zbrodnia! Co to jest „film Leon–Klaudia”? – Sylwia natychmiast ustawiła się do zrobienia zdjęcia. – Ktoś nagrał film o tym, jak się zabija?

Była naprawdę przejęta, na swój jeszcze dziecienny sposób.

– Zaraz ja nagram film, jak biegniesz w podskokach do łazienki – odparła Julia, biorąc się za robienie kanapek do szkoły. – Za pół godziny wychodzimy z domu!

Wioząc Sylwię, patrzyła ukradkiem, jak ta ogląda zrobione przez siebie zdjęcie ściany. Miała policzki różowe z podniecenia. Nie wytrzyma nawet do pierwszej przerwy, wciągnie słynną Jagodę do kabiny w łazience i będzie z podnieceniem opowiadać o nowej sprawie matki. Powie, jaka jest ważna i że trzyma w mieszkaniu broń. To akurat nie będzie prawdą, ale czego się nie robi dla poklasku. Podekscytowana Jagoda spyta, kto kogo zamordował i za co. Sylwia, nie mając pojęcia o sprawie, dośpiewa sobie całą historię. Ważne, żeby było tajemniczo i strasznie. Ona, Julia, też tak by właśnie zrobiła, gdyby miała jedenaście lat i przyjaźń codziennie wystawianą na próbę. Jaka matka, taka córka, jedna krew. Nie mogła spodziewać się niczego innego.

Wysadziła Sylwię pod szkołę. Dziewczynka szła do furtki szczęśliwa i podekscytowana. Dawno nie widziała jej tak radosnej. Czyjaś śmierć przyczyniła się w przedziwny sposób do jej euforii. Życie bywa zaskakujące, pomyślała Julia i skręciła z powrotem w kierunku centrum Warszawy.

* * *

– Naprawdę nie wytrzymasz u nas do końca miesiąca? – Doktor Artur Maciejewski zamknął za sobą drzwi i stanął nad leżącą pośrodku podłogi walizką.

Nina wyjmowała wszystko i układała na nowo, jakby złożonym wczoraj spodniom

czy bluzkom było niewygodnie. Nie mogła doczekać się wyprowadzki pod Kraków, zwłaszcza że po ostatniej rozmowie z ciotką miała już pewność, że jej pobyt w pokoju z widokiem na las kończy się nieodwołalnie. Od ich spotkania siedziała jak na szpilkach, co godzina wyglądała na korytarz w oczekiwaniu, aż Ewa Czajka nadejdzie i zawoła ją do telefonu. Kiedy wreszcie się to stało i usłyszała, że matka dała zgodę, rozplakała się. Poczowała ulgę, jakby ktoś zdjął z jej pleców wielki ciężar. Tego samego popołudnia wykonała gest, na jaki do tej pory nie było jej stać. Objęła rękami doktora Maciejewskiego i po raz pierwszy uśmiechnęła się beztrąsko. W prowadzonych dokumentach z obserwacji małej pacjentki zapisał, że osiągnęła poziom spokoju, bez konieczności podawania leków.

– Pan jest dobry, panie doktorze, ale nie chcę już tu być. Chcę iść do normalnej szkoły i mieć dom, jak wszyscy.

Maciejewski przykucnął przy walizce i szybko ocenił jej zawartość. Nie była wcale taka skromna. Trochę poniszczonych przez Ninę ubrań musieli wyrzucić, jednak wśród bluz i bluzek było kilka z drogimi metkami. Bogata ciotka nie tylko opłaciła jej pobyt, ale co jakiś czas podsyłała dziewczynce drobiazg w postaci dżinsowej kurtki Levi'sa czy T-shirtu z logo Adidasa. Mogła dać tej małej na pewno dużo więcej i wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stanie.

– Tak będzie – potwierdził skwapliwie. – Dostaniesz nowe życie.

– Tamto było trudne.

– Wiem. Ludzie nie zawsze mają szczęście dorastać w szczęśliwych rodzinach.

– Moja nigdy nie była szczęśliwa. Nie wiem, jak to jest. Ciocia powiedziała mi, że jej też często bywało smutno, kiedy była dzieckiem. I że nad naszą całą rodziną wisi klątwa.

– Klątwa?

– Mhm. Powiedziała też, że teraz zostanie przerwana.

– Dlatego że zginął Leon?

– Tak. Nazwała go czarnym ziarnem.

– Wiesz, dlaczego tak powiedziała?

Ninka odłożyła kolejną parę złożonych bluzek i usiadła na łóżku.

– Powiesz mi czy to tajemnica? – zagał ponownie.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Jeśli powiem, klątwa może wrócić.

– Czy ma to coś wspólnego z rysunkami za twoim łóżkiem, Nino?

Przesunęła się na materacu tak, jakby próbowała zasłonić plecami wydrapane w

murze ludzkie embriony. Znajdowały się tuż nad podłogą, nie widać ich było zza łóżka, ale były na tyle ważne, że nie chciała, by ktoś nawet patrzył w ich kierunku.

– Dlaczego je narysowałaś? – spytał inaczej Maciejewski. – Kim jest to dziecko?

Nina sięgnęła po swojego pluszowego kotka i przycisnęła go do piersi.

– Nikim.

– Nie istnieje?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, nie widziałam go. Rysowałam z książki. – Wskazała na encyklopedię zdrowia. – Pan wie, jak wyglądają dzieci w brzuchu?

– Wiem. Najpierw są małe jak krewetki, z czasem nabierają ludzkich kształtów.

– A co, jeśli ktoś nie chce, żeby się urodziły?

Wpatrywała się w Maciejewskiego natarczywie. Wciąż była dzieckiem, jednak zaczynała powoli wchodzić w okres dorastania. Pytanie o ostateczne rozwiązanie ciąży lub jej utratę było naturalne. Nie mógł udać, że temat nie istnieje.

– To na szczęście nie zdarza się zbyt często. Ale, owszem, niektóre kobiety nie chcą mieć dzieci, nawet wtedy, gdy już zajądą w ciążę.

– Robią skrobankę? – Wybrała ostre określenie.

– To się nazywa aborcja. Ale tak, niektóre usuwają ciążę.

– Jak to się robi?

– Lekarz musi dostać się do brzucha i wyjąć z niego płód.

Odłożyła kotka i sięgnęła po leżącą na stole encyklopedię zdrowia. Odszukała hasło na A. Przez dłuższą chwilę biegła wzrokiem po rzędach liter, aż do obrazka ze zdjęciem abortowanego płodu.

– Wiem, że to wygląda strasznie. – Maciejewski podniósł się z podłogi i usiadł przy niej. Porozrywane ciało nienarodzonego dziecka przypominało krwawą miazgę.

– Nie powinnaś na to patrzeć.

Zamknęła książkę z trzaskiem.

– Idzie się za to do więzienia, prawda, panie doktorze? Jak za zabicie człowieka.

– Jeśli zrobiło się to bez pozwolenia...

– Można dostać pozwolenie na zabicie dziecka? – zdziwiła się Ninka.

– To skomplikowane. Ale tak, można.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad kolejnym pytaniem, w końcu ponownie otworzyła usta.

– A na jak długo się idzie do tego więzienia?

Maciejewski przyjrzał się dziewczynce uważnie.

– Na dwa i pół roku – powiedział. – Dlaczego pytasz?

– To mało, ale zawsze coś. A za zabójstwo dorosłego?

– Chcesz wiedzieć, co grozi twojej mamie?

– Tak. No więc na ile?

– Na dużo dłużej, czasem na całe życie.

Nie spodobała się jej ta odpowiedź, ale nie zamierzała zaprzętać sobie nią głowy. Perspektywa wyjazdu do willi pod Krakowem wyraźnie łagodziła lęk przed tym, że będzie dorastała bez matki.

– To mój ostatni dzień – westchnęła radośnie, szybko zapominając o paskudnym obrazku z rozerwanym ciałem płodu i karach więzienia. – Jutro będę już daleko stąd.

Doktor Maciejewski potarł ręce.

– Myślę, że trzeba to jakoś uczcić. Na co masz ochotę?

Zmarszczyła nos, pokazując, że wybór pożegnalnej niespodzianki nie należy do łatwych.

– Może tort? – podpowiedział Artur. – Podobno przepadasz za czekoladą. Jeszcze wcześniej, na pewno uda mi się załatwić coś czekoladowego specjalnie dla ciebie.

Oczy Niny zaświeciły się, ale odmówiła.

– Kiedyś lubiłam, nawet bardzo. Teraz już nie.

– Więc co?

– Czy ja wiem... Na pewno pan się na to nie zgodzi.

Objął ją ramieniem jak dobrą starą znajomą i potrząsnął z rozbawieniem.

– Na lot na Księżyc mnie nie stać, ale wszystko inne... próbuj!

– Chcę pojechać na grób Leona.

Ręka Maciejewskiego potrząsająca Ninę zatrzymała się. Nie żartowała, w oczach dziecka nie było już widać rozbawionych chochlików.

– Posłuchaj mnie, Ninko...

– Niczego innego nie chcę, ani tortu, ani niczego. – Pokręciła głową. – To przecież tylko godzina drogi.

– Nie chodzi o drogę, ale o miejsce. Na tyle przygnębiające, że nie powinnaś tam jechać. Za jakiś czas, owszem. Ale jeszcze nie teraz.

– Nie byłam u niego od pogrzebu. Chcę zobaczyć grób. Pożegnać się i postawić świeczkę.

– Zrobię to za ciebie. Tak się umówmy. Ja tam zajrzę, kupię kwiaty i znicze, ile

tylko chcesz.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Być może nigdy więcej tu nie wrócę. Jeśli wyjadę pod Kraków, zostanę tam na zawsze.

– Dziecko...

– Pojedzie pan tam ze mną? Na grób, do mojego brata... To nie jest lot na Księżyc...

Nie był w stanie odmówić. Dziwne było to życzenie, ale widział, jak bardzo zależy jej na tym, by się spełniło. Bardziej spodziewałby się tego, że Nina zechce zobaczyć się z matką, ale o to nie zamierzała prosić.

– Przyjdę do ciebie po obiedzie – odparł. – Jeśli się rozmyślisz i jednak będziesz wolała tort...

– Chcę jechać teraz. – Ninka otworzyła szafę i wyjęła z niej kurtkę.

– Nie mogę zostawić kliniki, a doktor Synowiec zacznie dyżur dopiero za trzy godziny. Musisz poczekać.

Złapała Maciejewskiego za rękę i odsunęła mankiet fartucha, żeby zobaczyć godzinę. Była dziewiąta pięćdziesiąt.

– O trzynastej czekam tu na pana, doktorze.

Musiał odłożyć plany na dzisiejsze popołudnie. W poniedziałek czekało go kolegium naukowe w Warszawie, do którego miał się przygotować. Swój wykład miał rozpocząć o szesnastej, wkrótce po spotkaniu z Julią. O ile przyjdzie. Nie odpowiedziała na jego nagranie, ale tego się właśnie spodziewał. Pozostawali bez kontaktu od rozstania. Gdy powiedziała mu, że wraca do Warszawy, rozpadł się na tysiące kawałków. Myślał, że udusi się w udekorowanej świątecznymi ozdobami restauracji. Bombki i kolorowe światełka też nagle poszarzały. Musiał stamtąd wyjść i zostawić ją samą. Lepiej, że wyszedł, w przeciwnym razie mógłby roztrzaskać stojące na stoliku kieliszki, raniąc ją i siebie. Bezpieczniej było trzasnąć drzwiami. W kieszeni wciąż trzymał pudełko z pierścionkiem, którego nie zdążył włożyć jej na palec.

Czy dobrze zrobił, dzwoniąc do niej po latach, jakie upłynęły od tamtego wieczoru? Nie miał pojęcia. To był impuls, chciał sprawdzić, czy da radę zerwać z przeszłością. Nosił się z tym zamiarem od dłuższego czasu, ale zdrowy rozsądek podpowiadał co innego. Przez ten czas nauczył się żyć bez niej i logika podpowiadała mu, że tak będzie lepiej. Nagrał się na jej telefon pod wpływem impulsu, który przyszedł podczas wertowania w komputerze zgromadzonych artykułów o

zaburzeniach dysocjacyjnych według teorii Hilgarda, Watkina i Steel. Pod katalogiem „psycho” wciąż trzymał inny, nazwany tylko dwiema literami, „JK”. Ostatni raz zaglądał do niego, kiedy szukał domu dla ich trójki. Chciał wykasować katalog, jednak zamiast tego złapał za telefon i zaczął niezdarnie mówić do automatycznej sekretarki pod pretekstem sprawy Niny i wizyty Julii w klinice.

Miał nadzieję, że znów ją zobaczy i że żyje tak, jak tego chciała. Wszystko okaże się już za trzy dni. Na dziś miał zaplanowaną inną atrakcję, jaką była wyprawa z Niną na grób jej brata.

* * *

Maria spóźniała się dobry kwadrans. Bar Prasowy powoli zaczynał zapełniać się klientami, w powietrzu czuć było zapachy kawy i rozgrzanego tłuszczu smażonych serdelków. Od strony kuchni dochodziły odgłosy stawianych zbyt mocno na gazie patelni i trzask drzwiczek piekarnika, w którym podgrzewano bułki.

Pojawiła się zziębnięta, jakby po telefonie od Julii przysnęła na kolejne dwie godziny i zerwała się z łóżka pięć minut przed wyjściem.

– Dowiedziała się pani czegoś? – spytała od razu, zanim jeszcze zdążyła usiąść.

Powiesiła na oparciu krzesła mały plecak i usiadła na wprost Julii. Przetarła oczy i poprawiła niesforne dredy, które przemieszczały się po jej głowie jak stado węży.

– Weź sobie coś do jedzenia. – Julia wskazała głową bar.

Przytaknęła skwapliwie. W żołądku panowała pustka, a głowa domagała się kofeiny. Obie zamówiły po mocnej kawie. Maria dokupiła jajecznicę i pokrojonego pomidora. Kiedy już wszystko stało na stole, wbiła widelec w usmażone jajko.

– Uwielbiam – powiedziała, przeżuując pierwszy kęs. – Każdy dzień mogłabym zacząć od jajek na maśle.

Siorbnęła gorącą kawę, mrużąc z rozkoszy oczy.

– No dobrze, to jak sprawa? – wróciła do tematu. – Po co chciała się pani ze mną spotkać?

– Wpakowałaś mnie w niezłe bagno – odpowiedziała Julia.

– Powinna się pani z tym liczyć. Mówiłam, że łatwo nie będzie. Jeśli mam być szczerą, to myślę, że nie znajdzie pani winnego. To zakłęty krąg – dodała.

– Bo morderca pozostaje w rodzinie?

Maria zaczęła uderzać widelcem o brzeg talerza.

– Właśnie tak. Nikt nie chce sypać, każdy woli trzymać język za zębami, żeby

potem nie było kwasu.

Odłożyła widelec i skrzyżowała ręce na piersiach.

– No a tak konkretnie, to o co pani chodzi? – spytała po chwili.

– O swoją siostrę.

– O Ninę? – Maria poruszyła się niespokojnie. – Co z nią, zaczęła mówić?

– W waszej rodzinie mało kto chce mówić. To chyba jakaś choroba. Milcząca matka i milcząca córka.

– Tylko jedna córka – zastrzegła Maria. – Ja nie mam nic do ukrycia.

– Ona też powoli przestaje.

– Lekarzom udało się wcisnąć jej do gardła jakąś tajemniczą tabletkę, po której odzyskała mowę?

Julia wychyliła w głosie Marii drwinę wymieszaną z obawą.

– Czasem wystarczy odpowiednio zagadać – odparła. – A Nina nie wydaje się aż tak nieskora do zwierzeń, jak przypuszczałam.

– Z kim rozmawiała?

– Nie ze mną. Mnie do niej nie wpuszczono.

– Co za beznadzieja... – westchnęła Maria z autentycznym żalem. – No to z kim, bo chyba nie z policją? Im Nina nic nie powie, jestem tego pewna.

– Jak wiesz, Nina przechodzi terapię.

– Zaraz... Wypowiadała się lekarzowi?

Julia kiwnęła głową.

– No to sobie wymyśliła! – Maria wydawała się wyraźnie rozdrażniona. – Nie miała już komu się wyplakać, tylko ludziom, którzy muszą trzymać język za zębami?

– Uspokój się. Widziałam raporty z tych sesji.

– No i? – Maria rozszerzyła oczy. – Powiedziała coś ważnego?

– Opisała tamten dzień. Dzieci mają wiele ciekawych obserwacji. Zwłaszcza takich, do których nikt inny nie przywiązywałby wagi.

– Pani nazywa to obserwacjami, a ja zwykłym podglądactwem. Tak czy siak, Ninka od zawsze była „cichociemna”. – Maria zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu palcami. – Skradała się za plecami i wyskakiwała w najmniej oczekiwanym momencie. Miała tak od dziecka. Albo chowała się pod stołem i myślała, że nikt nie zauważy, jak wystają jej nogi spod serwety. Potrafiła siedzieć pod tym stołem godzinami. Takie miała hobby, podsłuchiwanie. Udawałyśmy wtedy z matką, że jej nie widzimy, i opowiadałyśmy sobie niestworzone historie. Na przykład o tym, że

ktoś chodzi nocą po strychu. I że próbuje zejść na dół, ale boi się zwierząt. Miałśmy wtedy małego kota. Odkąd Nina usłyszała tę historię, zaczęła spać z tym kotem w łóżku. Miała pietra, że człowiek ze strychu zejdzie i udusi ją we śnie. Była taka śmieszna, miała wtedy siedem lat.

– Kot uciekł czy zginął pod kołami?

– Nie rozumiem...

– Co się z nim stało? Musiało mu się przydarzyć coś złego, skoro Nina zastąpiła go pluszową zabawką.

– A! Rzeczywiście, kot gdzieś przepadł, może znalazł sobie lepszy dom, tego nie wiem. Nina uprosiła u matki tego pluszowego kota zaraz potem. Nie rozstawała się z nim nigdy, ciągała go nawet do łazienki. Teraz widzę, jakie to było z naszej strony głupie. Nastraszyliśmy ją, a ona prowadziła się potem z tą swoją zabawką przez kolejne lata.

– Niewinny żart zamienił się w obsesję, że coś jej grozi.

– No tak... wyszło naprawdę beznadziejnie.

– Dlaczego nigdy do niej nie pojechałaś? – spytała Julia. Rozmowa o pluszowym kocie była interesująca, jednak bardziej nurtował ją temat relacji między siostrami. – Odkąd Nina znalazła się w klinice, pojawiłaś się u niej tylko raz, i to na samym początku.

Maria upiła kolejny łyk kawy. Piła dość długo jak na tak prostą czynność. Wypróbowywała stary trik, by zyskać na czasie i przygotować sobie sensowną odpowiedź.

– Ma dobrą opiekę – odparła wymijająco. – Niczego jej nie brakuje.

– Tobie chyba też. Klaudia dba o ciebie bardziej niż o samą siebie.

Maria rozpogodziła się momentalnie.

– Jest niesamowita. Gdyby nie ona, pewnie też zamknęliby mnie w domu wariatów. Tylko nie w takim wypasionym, ale w jakimś nędznym, jak dla bezdomnych.

Potrząsnęła ramionami, jakby chciała z nich zrzucić atakujące ją robactwo.

– Idealna przyjaciółka – podsumowała Julia. – Opowiedz mi o niej. I o Leonie – dodała.

– To dlatego miałam przyjść tu bez niej? Żeby nie słyszała?

– Chcę wiedzieć, co ich łączyło.

– Nie wierzę... Pani żartuje, prawda? – Maria swobodnie odrzuciła do tyłu głowę.

– Co niby miałyby ich łączyć?

– Ty mi powiedz.

– Klaudia nie jest z tych, co pani sobie myśli. Przecież... nie, no skąd! Znam ją od dziecka, zresztą cała nasza trójka trzymała się razem od lat. Byliśmy nierozłączni, nawet wtedy, gdy Leon mieszkał ze swoim ojcem. Zaglądał co jakiś czas do nas do domu, zdarzało się, że siedzieliśmy do wieczora w ogrodzie i graliśmy w karty. Jeśli Leon nie zostawał na noc, to razem z Klaudią szli na przystanek i wracali pokaesem do Warszawy.

– Każdy do siebie?

– No a jak?

Była przekonana o tym, że wie, co mówi. Ze swobodą rozprostowała pod stołem nogi, dając tym samym sygnał, że jej pewność co do relacji Klaudii i Leona jest niezachwiana.

– Podobała mu się? – dopytywała Julia. – To ładna dziewczyna, łatwo wpada w oko.

Maria się roześmiała.

– Czy się podobała? No jasne, Klaudia podoba się wszystkim, tylko co z tego? Myśli pani, że ona z Leonem...? – Parsknęła ponownie. – Nie ma opcji. Klaudię interesują faceci ustawieni i z możliwościami. I, przede wszystkim, starsi. Nie mówię, że tacy koło pięćdziesiątki, ale trzydziestka, czterdziestka to jak najbardziej. Koniecznie w drogich garniturach. A Leon? Rówieśnik, czyli w jej oczach dzieciak. Co miałby jej zaoferować, stare buty? No, niech pani tak na mnie nie patrzy. Mówię serio, nic między nimi nie było, Leon to nie ta liga.

– Postawiłabyś wszystko, co masz, że tak właśnie było?

– Nie lubię takich dziecinnych zagrywek. Ale niech pani będzie, bo wiem, do czego pani zmierza. Klaudia nie miała nic wspólnego ze śmiercią Leona. Była ze mną przez cały czas.

– Również wtedy, kiedy zginął twój brat?

– Nie... – Maria się zawahała. – Wtedy już nie.

Wyglądała na zdezorientowaną. Podciągnęła nogi pod siedzenie swojego krzesła i zacisnęła na piersiach ręce ukryte w długich rękawach swetra.

– Wiesz, co robiła, gdy wyjechała z Michałowic? – dociskała Julia.

– Widzę, że wysypała się przed panią. No cóż, jej prawo. Tak, była wtedy u nas, ale wyszła wcześniej. Wróciła do siebie i poszła spać.

– Tak po prostu?

– No a co można robić samemu w sylwestrową noc?

– Wiele rzeczy. Można, na przykład, spędzić ją u innych przyjaciół.

– Klaudia nie ma zbyt wielu przyjaciół. – Maria wydawała się coraz bardziej niespokojna. – Na pewno była wtedy sama. Z nikim się nie widziała ani nie rozmawiała.

Zeznania dziewczyn rozjeżdżały się. Julia nie miała wątpliwości, że nie dogadały jednej wersji, której miały się trzymać.

– A szkoda, miałyby zapewnione alibi – powiedziała, patrząc, jak Maria zaczyna się wiercić na stołku.

– Alibi? – Dziewczyna wyraźnie traciła grunt pod nogami. – Powiedziałam przecież, że Klaudia nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. To jakaś kosmiczna bzdura!

– Ryzykowne stwierdzenie. Może nie powinnaś jej tak bronić, Mario?

– To naprawdę dziecinne...

– Myślę, że Klaudię łączyło z Leonem dużo więcej, niż ci się wydaje.

– Próbuje mnie pani nastawić przeciwko niej. – Maria przełknęła ślinę. – To się nie uda.

– Przyjaźń jest piękna, ale nie powinna być ślepa. Wiesz coś na temat długów, jakie miał twój brat?

Maria spłoszyła się. Dużo bardziej aniżeli na myśl o tym, że Klaudia mogłaby ukrywać przed nią swój związek z Leonem.

– Długów...? Ja nic nie wiem.

Zaczęła strzelać palcami w stawach. Raz po raz, po jednym, bardzo głośno.

– Jak już mówiłam, czytałam raport z obserwacji Niny – kontynuowała Julia, nie odrywając wzroku od strzelających kostek Marii. – Powiedziała, że wynosił z domu rzeczy, żeby je potem sprzedawać. Regularnie zwracał komuś pieniądze. Komu i za co?

Dziewczyna wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Każdy ma jakieś długi. Ludzie pożyczają sobie pieniądze, to chyba normalne. Na przykład na kupno komórki. Wiem, że chciał mieć nową.

– Trzy tysiące za komórkę? Mało kto w jego wieku wydaje tyle pieniędzy na tak drogie gadżety.

– Może to miał być pierwszy raz – odpowiedziała niepewnie Maria.

– Jasne, każdemu może się zamarzyć superodlotowa zabawka. Załóżmy więc, że tak było. Tylko jedna rzecz mi w tym wszystkim nie pasuje. Leon pracował, dlaczego więc nie odkładał swoich pieniędzy? Wystarczyłoby kilka miesięcy, żeby uzbierać całą kwotę i nie prosić nikogo o pożyczkę. Ale nie zrobił tego. Wniosek jest prosty, Leon potrzebował tych pieniędzy natychmiast. Czy kupno telefonu było dla niego na tyle ważne, żeby pozwolić się szantażować? Nie sądzę.

– Ja mu ich nie dałam. Przecież pani wie, że nie mam prawie nic.

– Jeśli nie ty, to może ona? Klaudia nie należy do biednych, więc mogła mu dać te pieniądze. Może było tak, że czekała prawie do północy w waszym domu, by Leon zwrócił jej to, co mu pożyczyła, a gdy tego nie zrobił, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce? Nie wyjechała z Michałowic, tylko została tam do końca.

– Miałaby zabić Leona dla takiej kwoty?

– Ludzie zabijają dla mniejszych. Poza tym stosunki między Klaudią i Leonem były bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Może ktoś komuś coś obiecał i nie dotrzymał obietnicy?

– Bzdura – westchnęła Maria wyraźnie znudzona podejrzeniami co do przyjaciółki.

– Przez cały wieczór zachowywali się normalnie. I w ogóle prawie się do siebie nie odzywali, nie mówiąc już o żadnej kłótni czy pretensjach.

– Z tego, co powiedziała Nina, Leon tego dnia nie był spokojny. Doszło do awantury.

Maria, chcąc nie chcąc, przytaknęła.

– To prawda, warczał na matkę. Takie powarkiwanie zdarzały mu się regularnie. Na mnie też był cięty. Ale potem wszystko rozeszło się po kościach, jak zwykle zresztą.

– Co takiego wydarzyło się w waszym domu tuż przed północą? Znam już wersję Niny i Klaudii. Czas na twoją.

Widać było gołym okiem, jak jej pozorny luz nagle znika. Wzrok, który koncentrowała dotąd na twarzy Julii, zaczął błędzić gdzieś po ścianie baru.

– Tak naprawdę mało mam do powiedzenia. Byłam wtedy na dole. Kilka minut wcześniej Leon zrobił drakę, ale szybko się uspokoił. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, bo to w końcu sylwester i nikt nie chce witać nowego roku w złej atmosferze. Siedziałam przed telewizorem, a on kręcił się po domu, szukając fajerwerków.

– Wszyscy byliście wtedy na parterze?

– Nie wiem. Kanapa była ustawiona tyłem do pokoju, nie widziałam, kto chodzi mi

za plecami. Słyszałam tylko, że Leon szuka po szufladach w kuchni zapalniczki. Po chwili wyszedł do ogrodu. Chciał, żebym poszła z nim, ale nie miałam zamiaru sterczeć na zimnie. Wolałam poczekać na północ w cieple.

– Co było potem?

– Potem usłyszałam, że drzwi do ogrodu znów się otwierają. Byłam pewna, że wrócił po kurtkę, bo z tymi fajerkami wyskoczył w cienkiej koszuli. Kiedy poczułam zimno, odwróciłam się w stronę tarasu i spojrzałam na ogród. Drzwi były niedomknięte, dlatego ciągnęło mi po plecach. W ogrodzie zobaczyłam mamę. – Maria zamknęła na chwilę oczy. – Klęczała na ziemi, obok klombu. Nie wiedziałam, co się dzieje i dlaczego jest tam w samej koszuli nocnej. Pomyślałam, że zasłabła i krzyknęłam. Wybiegłyśmy z domu wszystkie, dopiero wtedy zobaczyłam, że mama trzymała na kolanach Leona. A on już wtedy... To było straszne.

– Jesteś pewna, że widziałas matkę klęczącą w ogrodzie? – Julia przypomniała sobie rozkład salonu Rawskich. – Z tej części pokoju, w której stoi kanapa, nie widać ogrodu, Mario.

Już otwierała usta do riposty, kiedy zadzwonił jej telefon. Wyjęła z plecaka komórkę i wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Tak, to ja... kto mówi? – spytała.

Mało się odzywała, właściwie cały czas milczała, blednąc tylko z sekundy na sekundę coraz bardziej.

– Rozumiem – powiedziała w końcu i zakończyła połączenie. Postawiła łokcie obok kubka z kawą i schowała twarz w dłoniach.

– Stało się coś? – spytała Julia, gdy dziewczyna odłożyła telefon na stół.

– Tak – odpowiedziała krótko. – Muszę iść.

Wstała powoli od stołu i zarzuciła plecak na ramię. Wyszła bez pożegnania, zatopiona we własnych myślach.

Julia obserwowała przez szybę, jak wskakuje do tramwaju, który jedzie w stronę centrum, w przeciwnym kierunku, niż powinna zmierzać. To coś, co wygoniło ją nagle z baru, było ważniejsze niż powrót do mieszkania na Dolnym Mokotowie i pozostawiona w mieszkaniu przyjaciółka. O głodną Klaudię postanowiła więc zadbać Julia. Zapłaciła za dwa tosty z serem i kawę na wynos. Po chwili skoda z zapakowanym w papierową torbę śniadaniem sunęła już na Chełmską.

* * *

– Nie uwierzysz! – Adam pominął grzecznościowe powitanie. – Po prostu nie uwierzysz!

Julia pogłośniła telefon przymocowany do deski rozdzielczej skody.

– Pogrzebałem tu i ówdzie, jak mnie prosiłaś. Musiałem wykonać naprawdę wiele telefonów. Pochwal.

– Chwałę, mów.

– To takie zajebiste, że na dźwięk słowa „policja” ludziom rozwiązują się języki. Kocham tę robotę jak cholera. Posłuchaj. Archiwa kościelne, mówi ci to coś?

– Rejestracja chrzcin, ślubów i zgonów.

– Właśnie. Wziąłem na celownik wszystkie dzieci Rawskiej i uderzyłem do parafii w Michałowicach. Jak wiesz, Rawscy mieszkają tam od pokoleń, Arleta też nigdzie się stamtąd nie wyprowadzała nawet na miesiąc.

– Wiem. Znalazłeś coś?

– Zdziwisz się. Nawet nie wiem, jak mam ci to powiedzieć.

– Coś nie tak z dziećmi czy z nią?

– Poczekaj, powoli. Zacznę od tego, że Rawska chciała być dobrą matką. Tylko się z tego nie śmieje.

– Nie mam takiego zamiaru. Ta sprawa już dawno przestała mnie śmieszyć. No ale mów.

Górny wziął głęboki oddech, co było doskonale słychać przez głośnik.

– Jak każda dobra matka Rawska chciała ochrzcić swoje dzieci – powiedział. – Wybór padł na parafię pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, to zresztą jedyny kościół we wsi. Chrzest Marii i Leona miał się odbyć jednocześnie.

– Podwójna rodzinna uroczystość. Nic w tym dziwnego.

– Poczekaj, dziwne dopiero się zacznie. Do chrztu ostatecznie nie doszło, jednak na okoliczność wizyty Rawskiej została sporządzona parafialna notatka. Jak widać, odmowy udzielenia sakramentu są również odnotowywane.

– Nigdzie nie znajdziesz bardziej pedantycznej biurokracji od tej kościelnej. Podali powód odmowy?

– A siedzisz wygodnie?

– Wystarczająco. Mów.

– Powiedzieli, że nie mogą ochrzcić dzieci, ponieważ zabrania tego prawo kanoniczne.

– Brak ślubu kościelnego rodziców?

- Gorzej. Chodziło o to, co łączyło Arletę Rawską i ojca dzieci.
- Chyba ojców – poprawiła Górnego Julia.
- Nie, moja droga. Ojca.

Zahamowała z piskiem, wbijając się na wąski chodnik między znakiem zakazu zatrzymywania się a semaforem.

- Powtórz, bo nie wiem, czy dobrze usłyszałam.
- To ten sam człowiek. Maria i Leon mają jednego ojca.
- Jesteś pewien?
- Nawet nie wiesz, ile kosztowało mnie wytłumaczenie, dlaczego muszę mieć te dane i po co są potrzebne policji.

– To mnie nie interesuje, o ile w zamian za te informacje nie obiecałeś wyremontować kościelnego dachu za moje pieniądze. To ten facet z cmentarza, który był na pogrzebie Leona, Ludwik Zalewski?

- Ten sam.
- Rawska powiedziała synowi, kto jest jego ojcem, ale Marii już nie?
- Nic mnie już w tej rodzinie nie zdziwi.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

– Dziewczyna nie zna swojego ojca – powiedziała Julia, włączając jednocześnie w aucie światła awaryjne. – Albo udaje. Tak czy inaczej, Zalewski nie był skłonny dać dzieciom swojego nazwiska, co czyni z niego kanalię. Musiały zostać przy nazwisku matki.

- Co do dania nazwiska swoim dzieciom, to uważaj, bo teraz będzie najlepsze.
- Nastąpi kolejna odsłona z życia Rawskich?

– Jeszcze ciekawsza od poprzedniej – potwierdził Adam. – Słuchaj dalej. W parafii nie dowiedziałem się niczego więcej. Nie chcieli powiedzieć, co to za przeszkoda i dlaczego proboszcz odesłał Rawską z kwitkiem. Musiałem wykonać kolejny telefon, tym razem do przyjaciółki mojej matki z czasów liceum. Od dwudziestu lat pracuje w urzędzie stanu cywilnego, więc rozumiesz...

- Przyjaciółki naszych matek są naszymi przyjaciółkami. Puściła farbę?
- Było ciężko, bo ona nie stamtąd, tylko ze Śródmieścia. Ale, jak się okazało, nie ma rzeczy niemożliwych.
- Wystarczy kilka znajomości?
- Kobiety lubią mówić, zwłaszcza o innych. Wszystko, oczywiście, dyskretnie, żeby nie beknąć za ujawnianie danych.

– Oczywiście. Mów dalej.

– Chodziło mi o Zalewskiego i o tę odmowę chrztu dzieciaków Rawskiej. Poza tym chciałem się upewnić, czy do parafialnego archiwum nie wkradł się jakiś błąd, czy czegoś nie pochrzanili.

– Kościół ma lepsze archiwa od IPN, tam nigdy niczego nie chrzanią, wierz mi. A właściwie im.

– Jednak wolę wierzyć sam sobie, zgodnie z zasadą ufaj, ale kontroluj. No więc skontrolowałem. Zakładam, że w szpitalu, podczas obu porodów, Arleta Rawska określiła ojca dzieci jako NN. Nietrudno się tego domyślić, bo to samo podaje w urzędzie. Jest konsekwentna i milczy w kwestii prawdziwego nazwiska ojca. Mija czas, Leon ma już pięć lat, a Maria trzy. I wtedy do urzędu zgłasza się człowiek, który podaje się za ojca dzieci. Przychodzi wraz z Arletą i podaje do akt swoje pełne dane. Imię, nazwisko, datę urodzenia i tak dalej. Rawska potwierdza jego ojcostwo.

– Przypomniała sobie dobrowolnie, z kim zaszła w ciążę, czy on ją do tego zmusił?

– Cholera wie.

– Wykonano jakieś badania na potwierdzenie tego, co zgłosili w urzędzie?

– Masz na myśli badanie genetyczne? Być może, ale głowy nie dam, nie znam procedury. Niemniej oświadczenie zostało przyjęte i zmieniono dane w aktach dzieci.

– Domyślam się, że to nie koniec historii?

– Teraz dopiero zaczyna się najlepsze. Kolejne trzy lata później ten sam mężczyzna znowu przychodzi.

– Do urzędu?

– Zgadza się. Ale tym razem sam, nie ma z nim Arlety Rawskiej. Zapewne zastanawiasz się, po co wrócił.

– Zapewne zaraz mi to powiesz, Holmesie.

– Facet kładzie przed urzędniczką wniosek o zmianę swojego nazwiska. Rozumiesz? We wniosku pisze, że mając na uwadze dobro dzieci, nie chce, by przeszłość jego i Arlety Rawskiej im zaszkodziła. Używa „zaszczucie społeczne”. Powodem zaszczucia ma być jego bliskie pokrewieństwo z matką dzieci.

– O cholera, no to grubo. Jak bardzo bliskie?

Adam Górny cmoknął przeciągle.

– Bardzo, bardzo bliskie. Bliżej się już nie da. I teraz bomba, prawdziwa eksplozja, więc uważaj: wtedy mężczyzna nie nazywa się jeszcze Ludwik Zalewski. To nazwisko ma dopiero pojawić się w jego dokumentach. Kiedy składa podanie, nazywa

się Hubert Rawski i, zgodnie z przedstawioną metryką, jest rodzonym bratem Arlety Rawskiej. Tego ostatniego w papierach zmienić już, niestety, nie można.

– Czyli że trzy lata wcześniej Arleta Rawska i „tajemniczy mężczyzna” podali w urzędzie, że ojcem jej dwójki starszych dzieci jest Hubert Rawski.

– Właśnie tak. Akta nie kłamią.

– O cholera... Mamy więc kazirodztwo i dwoje dzieci z tego związku?

– Na to wychodzi.

Julia wyjęła z bocznej kieszeni auta butelkę z wodą i pociągnęła kilka łyków.

– Myślałam, że już nic mnie w tej rodzinie nie zaskoczy, a jednak... Jak widać, rodzeństwo Rawskich nieźle się ze sobą zabawiało. To tłumaczy, dlaczego postanowili nigdy nie wyjawiać dzieciom, skąd się wzięły. To była ich słodka tajemnica, tylko że tak naprawdę okazała się wyjątkowo gorzka.

– Słodka czy gorzka, nie przejmowali się tym za bardzo. Do momentu aż...

Górny przerwał nagle.

– Co jest? – popędziła go Julia. – Czekasz na werble?

– Robię atmosferę.

– Wariat! Mów, bo stoję na zakazie zatrzymywania.

Co chwila sprawdzała w lusterku wstecznym, czy na horyzoncie nie widać drogówki.

– Stoisz na zakazie, królowo?! Zaraz tam podeślę chłopaków, będą mieli bankiet na środku ulicy – zaśmiał się rozczulająco.

– Jeśli tylko przywiozą ze sobą merlota, to chętnie przyłączę się do zabawy. Mów, co z tym Zalewskim vel Rawskim.

– Na czym to stanąłem... No więc nie przejmowali się do czasu. Po pierwszej wspólnej wizycie w urzędzie, kiedy Rawska i Rawski potwierdzili, że on jest ojcem ich obojga dzieci, urząd od razu powiadomił policję, a policja prokuraturę.

– Jasna sprawa, to przecież kryminał.

– Rawski poszedł siedzieć, dostał trzy lata, po których zgłosił się do urzędu o zmianę nazwiska. Arletę Rawską potraktowano łagodniej, dostała rok. Wyszła po sześciu miesiącach za dobre sprawowanie i ze względu na małe dzieci. Przez ten czas Leon i Maria przebywali u ciotki, pod Krakowem. Podejrzewam, że nic z tego okresu nie pamiętają.

– Byli zbyt mali. Pewnie do tej pory Rawska nie powiedziała im, że siedziała, i z jakiego powodu. Młodsza siostra pomogła jej prać rodzinne brudy, ale sama pewnie

umierała ze wstydu przed własnym mężem. Ciekawe, czy wcześniej wiedziała, co dzieje się między jej rodzeństwem.

– Nie rozmawiałaś z nią?

– Nie odbiera. Ale może to i dobrze, dzięki tobie mam teraz więcej amunicji do wystrzelania. Śmierdząca sprawa rodzinna wypłynęła ponownie.

– Szambo potrafi wybijać wiele razy. Zastanawia mnie tylko, po co Rawski tak się wystawił.

– Masz na myśli poświadczenie ojcostwa? – spytała Julia.

– Musiał mieć przecież świadomość, że prokuratura go dorwie.

– Oczywiście, że o tym wiedział. I nie chodziło mu o żadne „dobro dzieci” ani o inne szlachetne odruchy ojcowskiego serca. Pomyśl tylko: Rawski wciąż był młodym mężczyzną. Nie mógł stworzyć rodziny z własną siostrą, ale mógł to zrobić z kimś innym, kiedyś, w przyszłości. Każdy człowiek tego chce. A która normalna kobieta weszłaby w związek z facetem, który sypiał z siostrą i miał z nią dzieci? Dla własnego dobra musiał zmienić nazwisko, by nikt nie skojarzył faktów i nie poznał tej skandalicznej historii. Dzieci nie mogły się przecież same domyślić, że są owocem kazirodczego związku, a Rawska obiecała milczeć. W końcu i ona miała w tym swój interes, nikt by nie wytykał palcami jej i dzieci. Na takiej wsi jak Michałowice trudno zachować rodzinne sekrety. Dogadali się więc, że tak będzie lepiej: nowa tożsamość, nowe życie. Pani Rawska i pan Zalewski, sprawa załatwiona.

– Obcy ludzie, czysta sytuacja. Mogło tak być – przytaknął skwapliwie Górny. – No ale czas na scenę finałową: Rawski wychodzi po trzech latach z pudła i po zmianie nazwiska jest już Zalewskim. Teraz musi mieć czas, żeby odkuć się finansowo. Gdzie zamieszkać i znaleźć stałą robotę. Arleta, mając na głowie dwójkę dzieci, cienko przedzie, ale nie wyciąga do niego ręki po alimenty. Znowu jest miła i daje Zalewskiemu czas, by ogarnął się ze swoim życiem.

– Jednym słowem anioł nie kobieta – wtrąciła Julia, wciąż zerkając w lusterko wsteczne.

– Do tego zorganizowana. Notorycznie korzysta z pomocy Caritasu. Pamiętają ją tam bardzo dobrze, bo kursowała tam i nazad z torbami. Cierpliwość Rawskiej kończy się po roku, licząc od wyjścia Zalewskiego z kicia. Leon akurat wtedy zdmuchuje dziewiątą świeczkę na swoim urodzinowym torcie, a Rawska ma lada moment urodzić Ninę, bo znowu jest w ciąży. Wie, że nie poradzi sobie z trójką dzieci bez alimentów, więc stawia bratu warunek. Nie będzie żądać pieniędzy na Marię, ale

Zalewski ma zabrać Leona do siebie. Tym samym rozwiązuje się zagadka, dlaczego Leon trafił do ojca. Nie ma innego wytłumaczenia.

– Mieszkał tam, dopóki nowa żona Zalewskiego nie urodziła mu kolejnego potomka. Wtedy Leon musiał odejść, bo zaczął zawadzać. Był zresztą dorosły, od biedy mógł żyć na własny rachunek. Chyba nawet próbował. Zaciągnął się do pracy na stacji paliw, ale zarabiał grosze. Przypuszczam, że chciał najpierw uskładać pieniądze na co innego. – Julia wciąż miała w głowie to, co widziała na zapisie z pendrive'a. – Leon miał plany, chciał założyć lecznicę dla zwierząt.

– Żartujesz teraz ze mnie?

– Ani trochę. Zebrał sporo informacji o tym co i jak.

– Do tego trzeba studiów, nie informacji.

– I dużo pieniędzy, których nie miał – dodała Julia. – Dlatego musiał zamieszkać z matką. Przy okazji ciągnął od niej forszę.

– Chłopak przejechał się na swoich planach i pewnie wtedy mu odbiło. Ojciec go wystawił, a matka nie śmierdziała groszem. Krótko mówiąc, mógł swoje marzenia o lecznicy wsadzić sama wiesz gdzie. A może był po prostu podłym człowiekiem.

Julia pokręciła głową. Nagrania z akcji zbierania pieniędzy na WOŚP i licytowania złotych serduszek mówiły co innego.

– Coś w tym wszystkim nie pasuje. Coś tu nie styka, rozumiesz? Człowiek nie może być jednocześnie aż tak dobry i aż tak zły. Musiałoby stać się coś strasznego, żeby normalny chłopak, który bezinteresownie pomaga innym, zamienił się nagle w szatana.

– O ile dobrze pamiętam, Lucyfer też był normalnym i dobrym aniołem, zanim stanął po ciemnej stronie mocy – zauważył Górny. – Nie dostrzegasz analogii?

– Żadnej. Leon nie stał się zabójcą, lecz ofiarą. Ale doceniam przytoczenie biblijnego prawzoru. Wyszło niemal błyskotliwie.

– Lepiej docień, że spędziłem pół dnia na dzwonieniu po tych wszystkich kancelariach i urzędach. Podczas gdy moja robota, za którą kupuję chleb i płacę rachunki, leży.

– Dokonałeś cudu – przyznała. – Należy ci się aureola.

– Co z naszym wyjazdem?

Julia wcisnęła w skodzie wsteczny bieg i zwolniła ręczny hamulec. Powoli wycofała auto z trawnika.

– Pamiętam. Jeżeli nic się nie zmieni, wyskoczmy za miasto.

– Chyba między nami wszystko gra? – zdziwił się Górny. – Więc co niby miałyby się zmienić?

Chciała odpowiedzieć, że to skomplikowane, ale zamiast tego rzuciła krótkie „pogadamy wieczorem” i rozłączyła się. Pytanie Adama o to, co takiego miałyby zmienić się w ciągu najbliższych dni, było jak najbardziej zasadne. Wszystko przecież pozostanie po staremu, nie licząc drobnych wyjątków, z których składa się jej życie. Dziś czeka ją trudna konfrontacja z Klaudią, po niedzieli nie mniej męczące wyjście na basen z dziećmi ze szkoły Sylwii, potem spotkanie z Arturem. Na pewno nie będzie to hollywoodzki *come back* po latach. Nie padną sobie w ramiona, najwyżej podadzą ręce, nieco spocone, zdradzające stres. Kto pierwszy zacznie mówić? To właściwie bez znaczenia, ważne, aby w ogóle zacząć. Padnie klasyczne „dzień dobry, miło cię widzieć, dobrze wyglądasz, nic się nie zmieniłaś, dziękuję, ty również”. Może nawet nachyła się ku sobie, muskając zwyczajowo powietrze w okolicy twarzy. Rozmowa nie będzie się kleić, każde z nich będzie zerkało co kilka minut na zegarek albo telefon, dając drugiemu sygnał, że to spotkanie jest jedynie mało znaczącym przerywnikiem w ich zabieganym dniu i że zaraz, jak gdyby nigdy nic, wrócą do swoich zwykłych zajęć. I tyle.

Bez sensu. Lepiej w ogóle tam nie iść i udać, że nie odsłuchwała wiadomości.

Zaparkowała przy Chełmskiej, tuż pod kamienicą Klaudii. Wejście na klatkę schodową było tym razem zamknięte. Szarpnęła drzwiami, ale bezskutecznie. Musiała wcisnąć guzik przy domofonie. Zabrzęczał cichym pikaniem, jednak nikt nie odpowiadał. Zrobiła dwa kroki do tyłu, by widzieć okna mieszkania. W oknie salonu wychodzącego na jezdnię niemal niezauważalnie drgnęła firanka.

Wyjęła telefon i wybrała numer do Klaudii. Odebrała po dwóch sygnałach.

– Nie ma mnie w domu – zakomunikowała, zanim Julia zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Mhm, rozumiem. Mam dla ciebie śniadanie. Maria nie wróci prędko, więc robię za posłańca.

– Nie trzeba. Poza tym, jak mówię, jestem poza domem.

– Jasna sprawa. Poczekam, nigdzie mi się nie śpieszy. Ulica jest ładna, można przejść się kilka razy tam i z powrotem. W razie potrzeby barmanka z kawiarni obok wpuści mnie do łazienki, o ile kupię u niej espresso.

Julia przebiegła przez ulicę i usiadła na ceglany murku, opierając plecy o

wyrastające z niego żelazne ogrodzenie. Miała jak na dłoni trzy wychodzące na ulicę okna mieszkania Klaudii połączone ze sobą wąskim balkonem.

– Jestem za miastem, nie ma po co tu siedzieć – usłyszała w słuchawce.

Julia pomachała ręką w stronę okna.

– Może skończmy już tę zabawę i daj mi wejść na górę.

Wreszcie odpuściła. Odsłoniła całkiem firankę, ale do drzwi podejść nie zamierzała.

– Nie mogę. Zresztą powiedziałam pani już wszystko. Nie mam nic do dodania w sprawie śmierci Leona.

– Myślę, że jednak masz. Maria jeszcze nie wie, że sypiałaś z jej bratem, a wasze zeznania co do sylwestrowej nocy rozjeżdżają się jak dalekobieżne pociągi. Pamiętasz to zadanie ze szkoły? Zaraz, jak to było... wyznacz punkt, w którym spotkają się obie ciuchcie, bo ten punkt da ci alibi na noc morderstwa?

– To... jakieś nieporozumienie. – Ton głosu Klaudii nagle się zmienił. – Co pani...?! Ja przecież nigdy z Leonem... Przysięgam.

Julia posłała Klaudii szeroki uśmiech przez jezdnię.

– Skoro przysięgasz... Dobrze, że to wyjaśniłyśmy. Wolałam to zrobić od razu, żeby nie było między wami nieporozumień. Może w takim razie Marii nasunie się coś na myśl, kiedy obejrzy nagranie z twojego mieszkania.

– Jakie nagranie?! – Klaudia niemal krzyknęła do telefonu.

– Nie martw się, to na pewno czysty przypadek. Polskie mieszkania są przecież do siebie takie podobne. O zadaniu z mijającymi się pociągami też zapomnij. Nie wiem, czemu przyszło mi na myśl, kiedy porównałam wasze wersje wydarzeń.

Nie odpowiadała. Julia odczekała dobrą chwilę, ale w telefonie nadal brzmiała tylko cisza.

– Trudno... – Julia podniosła się z murku. – Zostawię ci śniadanie pod klatką.

Rozłączyła się i wrzuciła telefon do torby. Przeszła z powrotem przez ulicę, kierując się w stronę skody. Nie zdążyła wyjąć kluczyków do auta, kiedy dobiegł ją sygnał domofonu. Klaudii nie było już przy oknie, stała w przedpokoju i wciskała guzik otwierający drzwi klatki schodowej.

Kiedy weszła na piętro, dziewczyna czekała na progu mieszkania. W grubym szlafroku przed kolano, podobnym do tego, jaki miała jej Sylwia. Kolor się zgadzał, był to jasny róż z białymi wykończeniami przy mankietach, do tego duży kaptur z doszytymi uszami. Sylwia miała przy swoim uszy królika, Klaudia – okrągłe uszy

misia.

Przepuściła Julię i zamknęła za nimi drzwi na zamek.

– To dla ciebie. – Julia wyciągnęła rękę z papierową torbą. – Tosty i kawa.

– Wystygły – zauważyła z rozczarowaniem Klaudia, gdy włożyła rękę do torby. – Kawa też ledwie ciepła. Wszystko trzeba podgrzać. Możemy pogadać w kuchni?

Weszły do pomieszczenia tonącego w bieli. Szafki, ściany i podłoga wyglądały niemal sterylnie, jedynie rzucony na terakotę okrągły słomiany chodnik farbowany na brąz rozbijał tę jasność niczym plama ciemnej kawy rozlanej na białym talerzu. Pod oknem stał stół z modnego poliwęglanu, całkiem przezroczysty, podobnie jak dołączone do kompletu dwa krzesła. Klaudia wysunęła jedno z nich.

– Trochę twarde, ale da się wytrzymać.

Julia nacisnęła dłonią na siedzisko krzesła. Wyglądało jak szklane, wolała sprawdzić, czy nie pęknie pod jej ciężarem.

– Utrzyma sto kilogramów – uspokoiła ją Klaudia. – Napije się pani czegoś?

– Dziękuję, nie trzeba.

– Na pewno? Nawet wody?

– Nawet.

Dziewczyna sięgnęła do jednej z wiszących szafek po kubek. Z szuflady wyciągnęła patelnię i włączyła pod nią gaz. Wyłożyła na patelnię grzanki z serem, kubek wstawiony do mikrofalówki wykonał kilka obrotów i zagrzał wystygłą kawę. Po chwili wszystko stało już na przezroczystym stole. Klaudia wbiła się chciwie zębami w odgrzane pieczywo, jakby nie jadła od dwóch dni.

– Boskie! – wyseplenila, popijając tost kawą. – Marysia wie, co lubię. – Ponownie wbiła zęby w grzanekę. – Ale nie musiała pani fatygować.

– Maria nie wie, że tu jestem.

– Jak to? A śniadanie?

– Chyba o tobie zapomniała. – Julia podsunęła Klaudii stojące na parapecie pudełko z chustkami. Chrupiące tosty pozostawiły wokół ust dziewczyny kilka nieestetycznych okruchów. – Ktoś zadzwonił, przekazał wiadomość, po czym wybiegła z baru. Coś musiało wytrącić ją z równowagi. Nie rozmawiałas z nią?

– Nie. Myśli pani, że powinnam do niej zadzwonić i spytać, co się stało?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po telefon i wybrała numer przyjaciółki.

– Nie odbiera – powiedziała po kilkunastu sygnałach. – Ale oddzwoni, zawsze oddzwania. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby tego nie zrobiła. Wie, że martwię się

o nią, jak zbyt długo nie daje znaku życia.

– Wspaniała przyjaźń, nie mogę wyjść z podziwu – skostatowała Julia. – No dobrze, a teraz do rzeczy. Wracając do twojego związku z Leonem...

– Zaraz! – Klaudia odstawiła kubek tak mocno, że kilka kropel kawy wyleciało na stół. – Myślałam, że to tylko taki dowcip. Że żartujemy sobie... najpierw nie wiedziałam, jak mam zareagować, ale potem pomyślałam sobie, że może być całkiem zabawnie.

Julia oparła wygodnie plecy o tył krzesła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Wyglądam na komediantkę?

Klaudia dość długo meła w rękach chusteczkę z okruchami tostów.

– Przecież nie to miałam na myśli. Po prostu sytuacja wydała mi się tak absurdalna, że najpierw zabrakło mi słów w gardle, a potem zachciało mi się śmiać.

– Skończyłaś jeść?

Dziewczyna przytaknęła. Zawięzała sznurek od szlafroka nieco mocniej i szurając stopami w puszystych kapciach z jednorożcami, ruszyła w stronę salonu. Julia miała zaledwie kilka sekund, by wyjąć z kosza na śmieci tekturowy kubek po kawie i schować go do swojej torby. Odciski palców i ślady biologiczne Klaudii musiały trafić do laboratorium, tak jak umówiła się z Górnym.

– Powie mi pani wreszcie, o co chodzi? – Klaudia wyjrzała z salonu.

Julia ścisnęła w rękach torbę i dołączyła do dziewczyny. Wyjęła komórkę i odszukała nagranie. Filmik skopiowany z pendrive'a był dużo krótszy, zawierał głównie sceny z widocznym na ekranie zielonym tapczanem, grafiką wiszącą na ścianie w przedpokoju i tatuażami na rękach kochanków. Dodała jeszcze kilka sekund seksu odbywającego się pod prześcieradłem. Nie chciała przegrywać całości, wycięła z filmu tylko to, co najważniejsze.

Dla lepszego odbioru podkręciła głoś.

– Przyjrzyj się temu i powiedz, co widzisz. – Podsunęła Klaudii ekran telefonu pod nos.

Skrócony film trwał zaledwie kilkadziesiąt sekund. Wraz z każdym kadrem twarz Klaudii tężała. Zaczęło się od zatrzymanego na ustach uśmiechu, z którym jeszcze minutę temu beztrąsko mówiła o absurdalnym dowcipie, potem powaga unieruchomiła czoło i policzki dziewczyny. Nie poruszała ani jednym mięśniem, jakby jej twarz zamieniła się w gipsowy odlew.

– No i? – spytała Julia, gdy film dobiegł końca. – Nadal myślisz, że to żart, czy

chcesz mi coś powiedzieć?

Klaudia przeniosła osłupiałe oczy z ekranu na stojącą naprzeciw niej detektyw.

– Nic a nic? – Julia chwyciła ją za łokieć i delikatnie pchnęła w kierunku kanapy. – Usiądź sobie wygodnie. Na tej samej kanapie, jest taka miękka. Nie musisz na samym brzegu, choć właściwie stąd lepiej widać przedpokój. Ta grafika na ścianie... piękna, i taka sama jak na filmie. Identyczna, prawda? Nie kręć głowę, tylko dobrze się przyjrzyj. Wciąż nic? Leon też nie jest Leonem? To ktoś inny, jakiś aktor, może DiCaprio? Serio, Klaudia, myślisz, że to DiCaprio?

Siedziała ze złączonymi kolanami, przykurczona, z dłońmi schowanymi w szerokie rękawy szlafroka niczym w przedwojenną mufkę.

– Chcesz zobaczyć to jeszcze raz?

– Nie trzeba – odpowiedziała. – Widziałam wszystko.

– Przyznajesz, że to ty jesteś z Leonem na nagraniu?

– Co? – spytała półprzymkniętymi oczami.

– Pytam, czy to ty jesteś na filmie.

Wyglądała jak wystraszony ptak. Do tego poblądła, jakby z jej twarzy odpłynęła cała krew. Rzadko zdarza się, by człowiek nagle poszarzał aż do tego stopnia.

– Nie wiedziałam, że on to nagrywa – powiedziała ledwie słyszalnym głosem. – Nie miałam o niczym pojęcia. Nie wiem, co mam powiedzieć...

– Może zacznijmy od tego, co robiłaś w noc zabójstwa Leona. Potem wrócimy do nagrania.

– Mówiłam już, byłam w domu. Najpierw oglądałam telewizję, potem zamówiłam taksówkę i pojechałam na imprezę.

– O której zamówiłaś obie taksówki? Tę, która zabrała cię z Michałowic, i tę spod własnego mieszkania?

– Już to pani mówiłam. Była jedenasta, kiedy odjeżdżałam spod domu Rawskich. A ze swojego mieszkania na Bemowo pojechałam zaraz po północy. Mogło być dziesięć po dwunastej. Tak bym obstawiała, ale dokładnie to nie pamiętam. To było ponad rok temu.

– Jaka to była korporacja?

– Na imprezę pojechałam uberem.

– Wiesz, że mogę to wszystko sprawdzić?

Wzruszyła ramionami.

– A co do pierwszej taksówki, to zadzwoniła po nią matka Marii, ja tylko do niej

wsiadłam. Pamiętam, że napis „taxi” na dachu bardzo słabo świecił.

– Mówisz, że taksówkę dla ciebie zamówiła Arleta Rawska, ta sama, która siedzi w areszcie i nie może potwierdzić tego, co teraz mówisz.

– Tak się składa. Myśli pani, że kłamie?

– Myślę, że o ile mogłaś złapać ubera, o tyle zamówienie zwykłej taksówki w sylwestra jest niemożliwe. Nie w taką noc i nie o tej porze. Kurs trzeba zamawiać wiele godzin wcześniej. Dlatego nie mogłaś wyjść od Rawskich o dwudziestej trzeciej.

Przygryzła wargi, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Milczała. Jak na kogoś, kto nie ma nic na sumieniu, zdecydowanie zbyt długo.

– Zostałam tam, w pokoju Marii i Niny – przyznała wreszcie. – Nie chciałam, by Nina była sama. Bała się, bo awantura wymknęła się spod kontroli. Ona tego nie wytrzymała. Siedziała na podłodze z tą głupią grą w układanie słów. Ze scrablami. Była przybita. Usiadłam przy niej i otworzyłam pudło, rozstawiłam tabliczki na litery i rozłożyłam planszę. Grałyśmy godzinę, aż skończyły się nam pomysły na wymyślanie nowych wyrazów. Było kilka minut przed północą, kiedy schowałyśmy scrabble do pudełka. Powiedziałam jej, że zejść na dół. Nie wiedziałam, co tam się dzieje, bo było zadziwiająco cicho.

– Nina została na górze?

– Wtedy jeszcze tak. Przeniosła się z podłogi na łóżko i wzięła jakąś książkę. Coś tam mamrotała pod nosem, chyba czytała swojemu kotu, tej zabawce, z którą się nie rozstawiała. Kiedyś ja też czytałam swoim lalkom, wie pani? Chyba każda dziewczynka tak robi. Bawi się w szkołę lub szpital i wtedy czyta zabawkom. Ale po paru minutach zeszła na dół, matka zawołała ją, żeby spróbowała ciasta.

– Co działo się na dole?

– Właściwie to nic szczególnego. Pani Rawska kroїła torty. Sporo tego było, piekła je cały dzień. Maria oglądała z ciotką telewizję. Telewizor był ściszony, ale na pewno patrzyły w ekran.

– A Leon?

– Był w kuchni, razem z matką i Ninką. Ja stałam wtedy w przedpokoju i czytałam esemesa od mamy. Napisała mi, że zadzwoni o północy z życzeniami. Pamiętam, że ucieszyłam się na tę wiadomość, ale bardziej cieszyło mnie, że wreszcie jest taki spokój. Chciałam podejść do Marii, ale wtedy usłyszałam, jak Leon mówi do pani Rawskiej, że ciasto, które zrobiła, smakuje jak gówno. Zdrętwiałam, nie mogłam

ruszyć się z miejsca.

– Co było dalej?

– Nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – Klaudia zawiesiła głos. – O Boże, to było takie okropne...

– Co takiego?

– Leon o tym gównie powiedział głośno, Maria musiała to usłyszeć, bo podniosła się z kanapy. Widziałam, jak idzie prosto do kuchni. Szła na sztywnych nogach, jak robot. Nic nie mówiła, ale słyszałam, jak pani Rawska wołała, żeby przestała. Leon też krzyknął.

– Pamiętasz, co krzyczał?

Klaudia zapatrzyła się na swoje odbicie w zgaszonym pięćdziesięciocalowym ekranie telewizora.

– Pamiętam – odpowiedziała. – Krzyknął: „Co ty, kurwa, robisz?!”. Po chwili przebiegł obok mnie. Miał twarz i szyję umazaną tym, jak to określił, gównem.

– Czekoladą?

– Tak. Maria zrobiła mu to, co widzi się na filmach z urodzin czy wesel. Wzięła ukrojony dla niego kawałek tortu i wycelowała nim w twarz Leona. Rozmazała mu go po buzi z wściekłości za to, że znów naskoczył na matkę. Ninka siedziała przy stole, ale zaraz podniosła się i zaczęła ścierać rękami krem z twarzy Leona. Odepchnął ją i wybiegł na korytarz, pamiętam, że trzasnęły drzwi do łazienki. Marysia z panią Rawską i Ninką nadal były w kuchni. Pani Rawska kazała Nince iść na górę. Mała nawet nie zdążyła umyć rąk.

– Poszła do siebie?

– Tak, ale niechętnie. Kusił ją ten czekoladowy tort. Pani Rawska powiedziała, żeby wzięła ze sobą cały na górę. I tak poza nią nikt go nie jadł. Dopiero wtedy poszła.

– Co było potem?

– Pani Rawska przemknęła korytarzem do łazienki. Widziałam, jak ociera ręką oczy. Wróciła do kuchni z mydłem i ręcznikiem dla Marii.

– Dlaczego Maria sama nie poszła do łazienki, żeby się umyć?

– Nie wiem, pewnie nie chciała natknąć się na Leona. Słyszałam, że w łazience leje się woda, więc on był tam na pewno. Maria umyła się w kuchni, po chwili była już całkiem czysta. Spytała mnie, czy mam ochotę na ciasto.

– Tak po prostu?

Klaudia kiwnęła głową.

– Przez cały czas stałaś przy schodach?

– Tak. Do pokoju weszłam dopiero wtedy, gdy Leon minął mnie, wracając do siebie na górę. Ale i tak nie chciałam tortu, nic nie przeszłoby mi przez gardło. Zresztą, pachniał cytryną, jak dla mnie zbyt mocno. Pić mi się tylko chciało z tego stresu. Po kilku minutach wrócił Leon. Już w czystej koszuli, jak gdyby nic się nie stało.

– Przebrał się?

– Tamtą, z rysunkiem z płyty The Rolling Stones, miał całą brudną. Więc tak, włożył nową, odświeżoną. Wydawało mi się, że po tej całej akcji był dużo spokojniejszy.

– Byliście na dole w piątkę.

– Tak. Pamiętam, że pani Rawska narzekała, że boli ją głowa.

– A Nina? Jesteś pewna, że była cały czas na górze?

– Mogło tak być. – Klaudia zastanowiła się przez dłuższą chwilę. – Nie pamiętam dokładnie, biegła po schodach tam i nazad.

– Co się działo, kiedy przyszła północ?

– Zaczęto strzelać na Nowy Rok. Leon otworzył drzwi do ogrodu, żeby można było wyjść na taras i oglądać pokaz sztucznych ogni. Tak naprawdę to żaden pokaz, przecież Michałowice to dziura. Sam też miał kilka swoich fajerwerków, powiedział, że trzy i że zaraz je odpali.

– Wyszliście wszyscy?

– Nie. Tylko on, wyskoczył w samej koszuli. My zostałyśmy w domu. Potem zadzwonił mój telefon. To byli moi rodzice, telefonowali z Portugalii. Kiepsko słyszałam, co do mnie mówią, bo Leon właśnie odpalił pierwszy fajerwerk. Złapałam z wieszaka kurtkę i wyszłam przed dom, ale od drugiej strony, od ulicy. Myślałam, że tam będzie ciszej. Niestety, huk był na tyle duży, że musiałam odejść kilkadziesiąt metrów, by cokolwiek zrozumieć z rozmowy z rodzicami. Stałam plecami do domu Rawskich, ale obróciłam się, kiedy Leon wystrzeliwał kolejną racę. Niebo zrobiło się na zmianę zielone i purpurowe. Powiedziałam mamie, żeby poczekała chwilę, bo zaraz pójdzie w niebo ostatnia raca i zrobi się cicho. Sama też czekałam. Ale ta ostatnia raca już nie wypaliła. Kiedy pożegnałam się z mamą, wróciłam do domu. To znaczy nie do środka, nie weszłam do sieni. Obeszłam dom, żeby zobaczyć, co się dzieje z tym ostatnim fajerwerkiem.

– Poszłaś do ogrodu?

– Tak... To, co zobaczyłam, było straszne. Pani Rawska klęczała, miała ręce we krwi. Obok niej leżał Leon. Jeszcze żył, zaciskał palce na ziemi. Dławił się, a ona milczała, tylko naciskała ręką na jego szyję... Potem poderwała się i zaczęła ciągnąć go do tej drewnianej przybudówki z narzędziami. Rozglądała się. Nie wiem, czy po to, by ktoś jej pomógł, czy z obawy, że ktoś ją zobaczy.

– Widziała cię?

– Nie, stałam ukryta za murem, nie wychylałam się. Nie wiem, jak długo tam byłam. Nie mogłam się ruszyć ani krzyknąć. Nogi miałam jak z żelaza, w gardle mi zaschło. Chyba po raz pierwszy w życiu nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Cud, że dawałam radę oddychać.

– Co było potem?

– Uciekałam. Jak szczur. Dlatego zmyśliłam tę historyjkę, że wyszłam wcześniej. Ze strachu. Bałam się, że mnie wplączę w tę śmierć.

– Kto, Maria czy jej matka?

– Policja.

– Szłaś do domu na piechotę?

– Najpierw biegłam, potem zwolniłam. Byłam przy torach, gdy zabrakło mi tchu. Chciałam jak najszybciej zniknąć z tamtej ulicy. Dotarłam do Jesionowej, kiedy usłyszałam jadące na sygnale radiowóz i karetkę. Wiedziałam, że jadą do domu Rawskich. Szłam dalej, żeby znaleźć jakiś przystanek i poczekać na nocny autobus. Siedziałam tam dobre czterdzieści minut, ale w końcu przyjechał. Do swojego mieszkania dotarłam po pierwszej.

– Nie byłaś na żadnej imprezie na Bemowie, prawda?

Klaudia pokręciła głową.

– Zalałam się w domu, sama.

– Żeby nie myśleć o tym, co widziałaś?

– Pierwszy raz w życiu widziałam coś tak straszego. Ale nie dałam rady wysiedzieć w tym szoku nawet godziny. Przebrałam się z sylwestrowej sukienki w jakąś bluzę i dżinsy i zamówiłam ubera. Pojechałam tam z powrotem. Resztę pani zna.

– Na pewno nie widziałaś wtedy Marii w ogrodzie?

– Na pewno. Tylko jej matkę.

– Ale musiałaś z nią rozmawiać o tym, co się stało.

– Pyta mnie pani, czy wiem, kto zabił?

– Jeśli wie to Maria, wiesz i ty.

Klaudia zacisnęła usta.

– Zastanawiam się, po co to robisz. – Julia przekrzywiła głowę, wpatrując się w milczącą twarz dziewczyny. – I kogo tak naprawdę kryjesz, ją czy siebie?

Wyglądała na zagubioną. Nie wiedziała, czy ma przytaknąć, czy zaprzeczyć.

– Milczenie to też odpowiedź, Klaudio. A teraz wróćmy do nagrania, mam nadzieję, że zdążyłaś sobie wszystko przypomnieć. – Julia odebrała z jej rąk telefon i postukała palcem w wyświetlacz. – Leon zrobił błąd, nagrywając ten film. Nie mógł przewidzieć, że będziesz miała przez to kłopoty. Od ciebie jednak zależy, jak bardzo duże.

– Powiedziałam już, że to nie ja.

– Posłuchaj mnie. Powiedzmy, że wierzę w to, co powiedziałaś przed chwilą, i tym razem wolałabym nie zmienić zdania. Dlatego dam ci dobrą radę: nie schrzań tego.

Zaczynała się denerwować. Ze stanu chwilowego rozedrgania wywołanego wspomnieniami o ucieczce nocnymi ulicami miasta przeszła do kontrataku.

– Seks z tym człowiekiem?! Błagam... – powiedziała, uciekając wzrokiem. – Leon był miły, ale kiedyś, na początku.

– Jak bardzo miły?

– Normalnie, jak kolega. Dobrze się z nim gadało. Ale odkąd wprowadził się do Michałowic, stał się całkiem inny. Przestałam czuć do niego jakąkolwiek sympatię i wolałam, gdy nie ma go w pobliżu.

– Pokaż ramię – powiedziała nagle Julia.

– Co...?

– Odsuń rękaw.

Klaudia zacisnęła ręce i skuliła się, jakby w mieszkaniu zrobiło się nagle lodowato.

– Nie rozumiem.

– Co tu do nierozumienia? To prosta prośba.

Nie miała zamiaru jej wykonać. Podkurczyła dodatkowo nogi i zwinęła się całkiem, jak przestraszony pancernik.

– Wiem, że go masz. Mały tatuaż na przedramieniu, tuż pod prawym łokciem.

Nadal nie wyjmowała rąk spod szlafroka, jednak powoli zaczęła otwierać usta.

– Mam go od czterech lat – wymamrotała w końcu. – Zrobiliśmy sobie karciane wzory na skórze. Dla zabawy, że niby nasza paczka zawsze będzie trzymać się razem. Dzieciaki lubią takie bzdury: przyjaźń po grób. Ja wybrałam serce, nic szczególnego.

– Pokaż.

Zrolowała rękaw do łokcia, wyraźny kształt serca skierowanego ku górze odcinał się na jasnej skórze.

– Kłamać trzeba umieć, Klaudio. A poza tym powinnaś wybrać lepszego tatuażystę. Kolor całkiem wyblakł.

– Umówiłam się już, żeby się go pozbyć – powiedziała, naciągając z powrotem rękaw. – Złe wspomnienia trzeba usuwać – dodała.

– Tak jak został usunięty Leon?

– Nie zabiłam go, nie miałam powodu.

Julia wyjęła z torby zdjęcie USG zabrane z domu Rawskich.

– A to? Przypatrz się uważnie.

– Co to jest?

– Nie poznajesz? Czwarty miesiąc ciąży.

Klaudia wzięła do ręki odbitkę. Przyglądała się rozmazanym białocząrnym plamom z macicy, które układały się w obraz płodu.

– To nie moje – odpowiedziała stanowczo i wyciągnęła rękę, zwracając Julii zdjęcie. – Poza tym widzi tu pani jakieś dziecko? – Wykonała ruch rękami. – Mieszkanie jest puste.

Julia przyjrzała się jej uważnie.

– Jeśli nie twoje, to czyje?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie moja sprawa.

Julia podniosła się z zielonej kanapy i bez słowa skierowała się do przedpokoju. Klaudia poderwała się z kucek i szurając kapciami, ruszyła za nią.

– Myśli pani, że kłamię? – Zatrzymała Julię, nim ta nacisnęła kłamkę.

Krawiec powolnym ruchem założyła za ucho pasmo włosów.

– Jeśli tak jest, dowiem się o tym, możesz być tego pewna. Powiem ci tylko jedno. Sytuacja robi się naprawdę poważna, kiedy kłamca sam zaczyna wierzyć we własne kłamstwa.

Schodząc z pierwszego piętra, miała przedziwne uczucie, że coś podczas tej rozmowy przeoczyła, coś poszło nie tak, jak powinno. Stała na półpiętrze i zadarła głowę. Klaudia patrzyła na nią przechylona przez poręcz. Jej jasne włosy rozsypały się, a kaptur z uszami misia nakrył głowę, nadając jej zabawny wygląd. Całości dopełniały

puchate kapcie z jednorózcami, których czubki wysuwały się znad brzegu betonowego pułapu schodów. Dziewczyna nosiła się na wesoło, wręcz infantylnie. Mimo to na jej twarzy nie rysowała się ani wesołość, ani nawet ulga z powodu tego, że ta trudna wizyta dobiegła końca. Klaudia była przerażona. Wytrzymała przesywające ją na wskroś spojrzenie Julii tylko przez kilka sekund, po czym cofnęła się w głąb pietra. Po chwili dało się słyszeć tylko głucho trzaśnięcie drzwi i dźwięk zasuwanego zamka.

Wsiadła do skody i po raz kolejny wybrała numer Judyty Rawskiej-Kawki. Kobieta odebrała po dwóch sygnałach, ale nie powiedziała do słuchawki zwyczajowego „halo” ani „słucham”. Po tym jak Julia podała nazwisko i powód, dla którego dzwoni, odrzekła krótko: „Nie teraz, proszę uszanować sytuację i nie dręczyć rodziny, dziękuję”.

* * *

– Rawska nie żyje. – Górny zamknął za sobą drzwi służbowej toalety na Nowolipkach i zawisł nad umywalką, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Julia słyszała, jak jego głos odbija się echem od zamkniętych ścian i zniekształcony wpada do telefonu. W pierwszej chwili myślała, że coś źle zrozumiała. Rezonans mógł zdeformować słowa, jednak kolejne zdanie wyjaśniło wszystko.

– Powiesiła się. – Górny na wszelki wypadek ściszył głos.

– Kiedy?

– Dziś w nocy. Właśnie się dowiedziałem. Nikt niczego nie zauważył, postarała się, by wszystko wyglądało jak należy.

– Nikt nie zauważył pustego łóżka?!

– Uformowała pod kocem ubrania tak, by przypominały ułożenie ciała.

– Jasna cholera! A kamera? Też niczego nie zarejestrowała?

– Strażnik nie widział, jak zsuwa się z pryczy. Musiała to zrobić bardzo dyskretnie. Zresztą była noc. Ciemno wszędzie, rozumiesz... Kamera nie wychwytuje wszystkiego w ciemności.

– Co z resztą osadzonych? Nie była przecież sama. Nie usłyszały żadnych ruchów?

– Spały, poruszała się bezszelestnie.

– Niewiarygodne... Gdzie to się stało?

– W kącie sanitarnym. Skręciła prześcieradło i przerzuciła przez rurę prowadzącą

wodę. Tam kamera nie sięga.

– Martwe pole?

– Właśnie. Wisiała kilka godzin, lekarz mówi, że co najmniej cztery. Ściągnięto ją z tego prześcieradła przed szóstą rano. Jedna z kobiet poszła na siku i znalazła tam Rawską.

– Zrobiła to przed weekendem...

– Poczekaj chwilę. – Górny wyszedł z kabiny. Ktoś zajął toaletę, bezpieczniej było znaleźć się na korytarzu, a najlepiej na zewnątrz. Wiatr przeszywał mu koszulę, stanął więc pod samym murem budynku, chroniąc się przed zimnem. – Jakie to ma znaczenie, że przed weekendem?

– Najłatwiej zrobić to w sobotę lub niedzielę. Albo w święta, wtedy personel więzienny jest mniej liczny. Najwidoczniej nie chciała czekać do końca tygodnia.

– Myślisz, że śpieszyło się jej z tą śmiercią?

– Nie wiem. – Julia przesunęła na parapecie bonsai i otworzyła okno. Jedną ręką wyjęła z paczki papierosów vogue'a i podpałała go zapalniczką. – Samobójstwa kobiet w więzieniach zdarzają się niezwykle rzadko. A jeszcze rzadziej, gdy te kobiety mają dzieci. Jeśli miała wyrzuty sumienia, to musiały być naprawdę wielkie.

– Zabicie własnego dziecka chyba wystarczy, by nie móc spojrzeć na siebie w lustrze.

– Trudno się z tym nie zgodzić – przytaknęła Julia. – Wiesz może, czy Rawska była dręczona? Mam na myśli te kobiety w celi.

– A jak sądzisz?

Julia wypuściła z płuc chmurę dymu.

– Sądzę, że jeżeli trafiła na niezbyt miłe koleżanki, mogło się nie skończyć na zwykłych podszczyrywankach. Więzienna brać jest bezlitosna dla dzieciobójców.

– Na pewno nie jest to towarzystwo wzajemnej adoracji.

– Dowiedz się jak najwięcej o tym, co ostatnio działo się u Rawskiej. Będą spisywane protokoły i przesłuchiwanie służby więziennej. Jarecki na pewno już lata jak z piórkiem.

– Zobaczą, co da się zrobić – odparł Górny. – Wracam do środka, gwizdzi tu jak skurczysyn.

Jeszcze przez ułamek sekundy słyszała, jak biegnie do głównego wejścia, po czym się rozłączył. Dokończyła palić papierosa i zgasła go w doniczce z bonsai.

Stała przed ścianą z czarnym flamastrem w ręce. Dopisała nazwisko

Zalewskiego, dodając w nawiasie „Rawski”, i poprowadziła od niego dwie strzałki w dół, ku imionom Marii i Leona. Boczna strzałka połączyła Zalewskiego z Arletą Rawską. Potem pociągnęła linię między Klaudią i Leonem. Przy napisie „USG” dostawiła kolejny znak zapytania. Nad nazwiskiem Arlety Rawskiej postawiła czarny krzyżyk, taki sam, jaki widniał nad imieniem Leona.

* * *

Emilia odłożyła długopis i zdjęła z nosa okulary. Ślęczała nad listą gości od rana, co jakiś czas przypominając sobie o tym, że któregoś z jej bliskich znajomych nie ma już na świecie, albo że wyjechał z kraju, by dołączyć do syna lub córki mieszkających za granicą. To skutkowało wykreślaniem kolejnych nazwisk. Lista zaproszonych, zamiast się rozrastać, malała w zastraszającym tempie.

– Będziemy na tym ślubie tylko my dwoje, zobaczysz – westchnęła do Edmunda. – Dołączy do nas jeszcze Sylwia i na tym koniec. Tyle osób już odeszło, a co do reszty, to nie wiem, czy będzie im się chciało przyjeżdżać. Co za smutek...

Edmund lawirował właśnie z konewką między stojącymi pod oknem świeżo zakupionymi czterema palmami. Nie miał pojęcia, dlaczego Emilia kupiła ich tyle zamiast jednej, ale szybko wyjaśniła mu, że każda z nich to symbol życia każdego z członków rodziny. Palma symbolizująca Sylwię była najmniejsza, co do reszty kwiatów Emilia się nie wypowiadała. Twierdziła, iż wystarczy, że ona wie, która palma kogo oznacza, i wie również, która pierwsza uschnie. Edmund stworzył im więc cieplarniane warunki. Blisko okna i kaloryfera, tuż przy nawilżaczu powietrza. Nie mógł dopuścić, by którakolwiek z palm zaczęła chorować.

– No a Julia? – Wyprostował plecy i wygładził na brzuchu zrobiony przez Emilię pulower w bordowe romby. – Chyba przyjdzie?

– A rozmawiałeś z nią? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Emilia. Wyraz twarzy Edmunda mówił wszystko. – No właśnie. Nie wiem, na co czekasz.

– Mieliśmy iść do niej razem.

– Bo ty się boisz własnej córki. A ślub za miesiąc.

– Zdamy ją powiadomić. Ważne, że są umówione termin w urzędzie i restauracja. – Edmund wrócił do podlewania palm. – Trzeba wybrać menu i zamówić jakieś kwiaty.

– Jakieś kwiaty! – prychnęła Emilia – Muszą być białe. Przecież to ślub, a ja jestem panną młodą.

– Oczywiście, kochanie. Zamówię białe.

– Gdyby żyła moja mama, pomogłaby mi w tym wszystkim. Ale umarło się biedaczce.

– Dwadzieścia lat temu.

– Co z tego? Ważne, że będzie przy mnie duchem. Może nawet ukaże mi się w tym uroczystym dniu.

Edmund zatrzymał się w półzgięciu i kątem oka zerknął na rozmarzoną przyszlą pannę młodą. Podgryzała w zamyśleniu końcówkę zausznika swoich okularów.

– Nie wiem, czy wiesz, ale mam zamiar udać się przed naszym ślubem do medium.

– Powiedziała, nie przerywając podgryzania. – Porozmawiam z nią.

– Z medium?

– Nie, z mamą.

Edmund wyprostował nagle plecy. Podszedł do Emilii i położył rękę na jej czole.

– Dobrze się czujesz, moje złoto?

Odgoniła go z irytacją.

– Wspaniale! Chcę z nią po prostu porozmawiać. Nie miałyśmy ze sobą kontaktu od tak dawna! – wypaliła, nie zważając na rozszerzające się coraz bardziej oczy swojego byłego przyszłego męża. – Właściwie to już się umówiłam. To bardzo miła osoba, ta pani medium. Ma na imię Aurora. Chodzą do niej ludzie z telewizji i nawet aktorzy! A powiem ci, że nie tak łatwo się do niej dostać. Terminy ma pozajmowane na kilka miesięcy naprzód. Ale znalazła dla mnie pół godzinki po starej znajomości. Podlewaj te palmy, podlewaj... – Machnęła ręką w kierunku czterech doniczek z kwiatami.

Edmund wrócił na swoje miejsce pod oknem.

– A czy to jest zgodne z twoją... to znaczy z naszą świętą wiarą? – zapytał, zerkając na Emilię przez ramię.

– Oczywiście! – Poruszyła się, jakby ktoś wylał jej wrzątek na plecy. – Światy żywych i umarłych są nierozzerwalne. Skoro Jezus i Najświętsza Panienska mogą się objawiać, dlaczego nie może tego zrobić moja matka? Wybacz, Boże, grzech, ale czym to ma się różnić?

– Tych dwoje pierwszych objawia się bez zaproszenia i wyciągania na siłę z zaświatów. I, przede wszystkim, za darmo. Ile będzie cię kosztowało połączenie z matką?

– Bez wyciągania z zaświatów... też mi argument. – Emilia ponownie machnęła

dłonią, tym razem bagatelizując temat opłaty za nawiązanie międzygalaktycznego zasięgu. – Cała Najświętsza Rodzina już nie żyje, to niby kto z ich bliskich ma ją przyzywać? A ja nadal tu jestem. I powiem ci więcej: kiedy już umrę i zostaniesz tu beze mnie, też mogę do ciebie przychodzić. Bylebyś tylko chciał. Będziesz chciał?

Edmund znieruchomiał.

– Oczywiście, najdroższa. Wpadaj, kiedy chcesz. Obym tylko był wtedy w domu.

Emilia wydawała się zadowolona z odpowiedzi. Naraz przypomniała sobie o kimś, kogo nie umieściła jeszcze na liście gości.

– Pamiętasz córkę mojego wuja od strony ciotecznej siostry mojej matki? Tę spod Przemyśla?

– Spod Przemyśla? – powtórzył Edmund, nie mając pojęcia, o kogo chodzi. – Naturalnie. Myślisz, że jeszcze żyje?

– No raczej! Przecież Stanisława to młoda kobieta, w moim wieku.

Zaczęła skrobać jej nazwisko na kartce.

– Dodam, że z rodziną. Miała trzy córki i syna. Niech przyjadą.

Edmund odstawił konewkę na podłogę i usiadł na brzegu kanapy. Długo oglądał swoje dłonie, jakby prowadził z nimi niemą rozmowę. Od kilku dni zbierał się, by przypomnieć Emilii o czymś, co było dla niego równie ważne jak wybór kwiatów, czy rodzajów mięs na wesele. Ważniejsze niż złote obrączki, które niedawno wybrał u jubilera, a które spoczywały teraz w bieliźniarce pod wykrochmaloną pościelą.

– Kochanie... – zaczął niepewnie, gdy Emilia postawiła ostatnią kropkę przy nazwisku gości. – Jest jeszcze coś, o czym musimy porozmawiać.

Obróciła się na krześle i zsunęła okulary na czubek nosa.

– Muchę do koszuli wybierzemy wspólnie – rzuciła i złożyła kartkę z listą zaproszonych na pół.

– Nie chodzi o muchę, to dużo poważniejsza sprawa.

Emilia sięgnęła po leżącego na talerzu krakersa.

– W czym rzecz?

Wziął głęboki oddech, jakby bał się, że za chwilę może mu zabraknąć powietrza.

– Chodzi o Lidię.

Ręka z krakersem zamarła w powietrzu.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli moją córkę. Poznałaś ją jakiś czas temu.

Krakers wrócił na swoje miejsce na talerzu.

– Od tamtej pory nie rozmawialiśmy o niej.

– Bo nie chciałaś. Nie zmienia to faktu, że jest w moim życiu. Powinna być na naszym ślubie, nie uważasz?

Chciała odpowiedzieć: „nie, nie uważam!” i już otwierała usta, by mu przypomnieć, która córka powinna być dla niego najważniejsza. Ustaliła to przecież. Była Julia, a potem długo nikt. Lidia była owocem jego, jak to nazwał, szalonej przygody z inną kobietą. Przygoda się zakończyła, Lidia została. Piękna młoda dziewczyna, którą Emilia poznała przez przypadek. Doskonale zapamiętała dwa rzędy białych jak śnieg zębów, zdrowe jasne włosy i to, że pracowała z dziećmi. Opiekunka w przedszkolu albo studentka pediatrii, tego nie pamiętała. No i jeszcze ubrana była ładnie, z klasą, bardzo drogo. To chyba najbardziej ją zabolalo. Porównanie z Julią, która z trudem wiązała koniec z końcem, potykając się do tego o spłatę kredytu i rachunki wystawiane przez lekarzy Sylwii, bolalo.

– Powiesz coś? – Edmund postanowił, że temat obecności Lidii nie może być odłożony na później. – Chcę, żebyś dopisała ją do listy. Pójdziemy do niej oboje z zaproszeniem, ty i ja. Tak samo jak do Julii.

– Chyba żartujesz. – Emilia aż podskoczyła na krześle. – Możemy co najwyżej razem zadzwonić. To wystarczy, zwłaszcza że młodzi ludzie nie lubią ceregieli.

– Pójdziemy – naciskał Edmund. – Wszystko dla ciebie znoszę: te palmy, włóczkowe kubraki i rozmowy z Panienką. Nawet cioteczną siostrę ze strony wujka, ale ty też musisz odrobinę ustąpić. Jeszcze dziś zaniosę listę gości do drukarni. Jutro zaproszenia będą gotowe i wtedy pójdziemy. Razem i pod rękę.

– Wiesz, jak zareaguje Julia, gdy się dowie, że na ślubie będzie twoja nieślubna córka?

Edmund wzruszył ramionami.

– Nie wiem nawet, co zrobi, gdy jej powiem, że się pobieramy. Może się skończyć na tym, że to nie twoja palma uschnie pierwsza i że to ja ciebie będę odwiedzał po śmierci, a nie ty mnie.

Miało wypaść zabawnie, ale oboje, zamiast się uśmiechnąć, zwiesili głowy. Wyglądali jak uczniaki, które wybiły szybę w oknie i siedzą teraz u dyrektorki w oczekiwaniu na przyjazd rodziców.

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie – powiedział wreszcie Edmund.

Emilia poruszyła się niespokojnie.

– To nie na moje nerwy. Muszę coś zjeść, bo z tego wszystkiego straciłam apetyt.

Kopytka czy placki ziemniaczane?

– Placki – westchnął Edmund. – Sylwia zaraz wróci ze szkoły, znów będzie głodna.

– Mój chudziaczek. Dobrze, że ma chociaż mnie, bo jej matka zamorzyłaby ją głodem. Po obiedzie pójdziesz z Sylwią do tej drukarni, niech pomoże ci wybrać wzór zaproszeń. Zostawiam to wam, ja w tym czasie zajrzę do krawcowej. Mam nadzieję, że dopasowała sukienkę w talii jak należy.

Otworzyła kartkę z listą gości i dopisała nazwisko Lidii.

– Niech się dzieje wola nieba – mruknęła. – I tak gorzej już chyba być nie może.

Edmund odebrał z jej rąk listę i schował ją do kieszeni we włóczkowej kamizelce.

– Obawiam się, że najgorsze dopiero nastąpi.

* * *

Julia wysypała zawartość kartonu na środek pokoju. Posypały się letnie bluzki i płócienne spodnie, bawełniane topy i rozciągnięte spodnie od dresów, o których istnieniu całkiem zapomniała, odkąd wbiła się w ukochane dzinsy. Tych niemal z siebie nie ściągała. Jak zabrudziła, to prała, prasowanie odbywało się od razu na nogach, żeby nie włączać żelazka. Potem proces zaczynał się od nowa. Sukienki? Nie pamiętała już, kiedy miała jakąś na sobie. Ostatni raz chyba na komunii Sylwii. Miętową z paskiem. Sylwia przypaliła ją od razu świecą. Julia ze świeżo wypalonym rękawem prezentowała się pośród innych matek osobliwie, mniej więcej tak, jakby dopiero co wybiegła z płonącego domu. Sukienka była nie do odratowania, wylądowała na śmietniku, ale miała do niej jeszcze jasne czółenka.

Julia przeskoczyła przez rozrzucone ubrania i rozerwała taśmę na kolejnym kartonie, tym razem z butami. Nie było tego wiele, głównie skórzane półbuty, jedna para kozaków, dwie sandałów i trampki. Klasyczne granatowe conversy za kostkę, które chodziły za nią tak długo, aż trafiła na promocję w internecie. Może zamiast czółenek powinna wybrać właśnie trampki, że niby jest na luzie? Nie, jednak nie. Z dna sterty wygrzebała czarne zamszowe kozaki na obcasie, z cholewką przed kolano. Nieco sfatygowane, do obowiązkowego wyszczotkowania po zeszłorocznej jesieni. Tylko co do nich? Pasowała wyłącznie jedna sukienka. Dzianinowa, również czarna, blisko ciała, z dekoltem w serek. Mimo że wymagała natychmiastowego prania, musiała ją włożyć, by sprawdzić, czy w zestawieniu z zamszowymi kozakami całość zagra tak, jak to sobie wyobrażała. Od razu było widać, że jest dobrze, wystarczyło

tylko dodać skromne kolczyki.

Po kilku minutach sukienka wisiała na wieszaku i pachniała proszkiem do prania. Gdy ostatnia kropla wody ścieknie, sukienka trafi na dogrywkę na kaloryfer.

Znów zadzwonił Górny. Głód wygonił go zza biurka i skierował do hinduskiej knajpy na *tandoori chicken*. Między kolejnymi kęsami zaczął zdawać relację z komisariatu. Informacje w sprawie śmierci Rawskiej spływały powoli, jednak to, że prokurator Sieracka wniesie o umorzenie procesu, było pewne. Nikt nie znał dokładnej daty, równie dobrze mogła zrobić to za tydzień, jak i za miesiąc.

– Na razie jest na nartach – rzucił, zagryzając chlebem *naan* wyjętym prosto z pieca. – Ma wrócić za kilka dni. Ale innego wyjścia nie ma, jej główna podejrzana o zabójstwo nie żyje.

– Jarecki zamknął oficjalnie śledztwo? – dociekała Julia.

– Chce jeszcze przesłuchać te dwie osadzone z celi Rawskiej. Ale podejrzewam, że to tylko czysta formalność. Mamy przyznanie się do morderstwa, i to podwójne. Zeznanie Rawskiej i teraz to samobójstwo. Nie zabiła się przecież bez przyczyny. To wystarczy, żeby uciąć łeb sprawie.

Julia wytarła wilgotne po praniu ręce w dżinsy.

– Samobójstwo nie oznacza przyznania się do winy. Izolacja od rodziny i społeczeństwa, perspektywa dożywocia albo w najlepszym wypadku wieloletniej odsiadki, odrzucenie społeczne, lęk przed stygmatyzacją. Mogłabym jeszcze długo wymieniać. Powodów, dla których osadzeni popełniają samobójstwa, jest naprawdę wiele.

– Tak – przyznał. – Ale wynikła jeszcze jedna sprawa. Może być ważna.

– Mów.

– Dwa dni temu Rawską odwiedziła w areszcie jej siostra.

– Rawska zgodziła się na widzenie? – Julia nie dowierzała własnym uszom. – Po roku całkowitego odosobnienia? Nie dopuszczała do siebie przecież nikogo, nawet dzieci.

– To jest właśnie dziwne. Najwidoczniej był powód, dla którego zmieniła zdanie. W każdym razie prokuratura kontaktowała się w tej sprawie z komisariatem. Wiem to z pierwszej ręki, od młodego Szymańskiego. Tego, co przyszedł na krótko przed twoim zawieszeniem. Mały, rudy...

– Kojarzę, mów dalej.

– Ten telefon odebrał właśnie Szymański. Jest teraz prawą ręką Jareckiego. Miał

mu przekazać, że Rawska-Kawka wystąpiła o widzenie. Stąd to wiem.

– Ciekawe, po co prokuratura alarmowała Jareckiego. Wniosek o widzenie z osadzonym nie jest przecież czymś nadzwyczajnym.

– Może taką mieli umowę. Wiem tylko, że Jarecki pojechał jeszcze tego samego dnia na Grochów. Ale po co, nie mam pojęcia.

– Może liczył na to, że Rawska pod wpływem siostry wreszcie powie coś więcej? Tylko że zamiast tego wyszło odwrotnie. Ta wizyta miała przypuszczalnie wpływ na decyzję o samobójstwie. Rawska nie zostawiła żadnego listu, jakiegoś słowa wyjaśnienia?

– Technicy zbierają ślady. Nasi też kręcą się cały czas po areszcie i szukają dowodów, ale jest za wcześnie na to, żebym powiedział ci, co znaleźli. Może dowiem się czegoś później.

– Okej, odzywaj się.

Chciała się rozłączyć, ale cały czas słyszała, że Górny nadal jest po drugiej stronie.

– O co chodzi, Adam? Coś jeszcze?

– Nie wycofasz się, prawda? Nawet teraz, kiedy Rawska nie żyje?

– Zwłaszcza teraz – odpowiedziała. – Nie, nie mam takiego zamiaru. Poza tym moja klientka chce wiedzieć, kto i dlaczego zabił Leona Rawskiego. Śmierć Arlety nie zwalnia mnie z tego, bym doprowadziła sprawę do końca.

Uśmiechnął się, na pewno to zrobił, bo usłyszała lekkie „mhm” w słuchawce. Robił tak zawsze, mówił to swoje „mhm” i dołączał do tego uśmiech. Uważała, że to urocze. Górny zdecydowanie należał do ludzi uroczych, do tego nieco zwariowanych.

– To chciałem usłyszeć – potwierdził. – Muszę już wracać do fabryki. A tobie życzę dobrej zabawy w tę twoją zgadywanke. Byłbym zapomniał! Gdybyś chciała zabrać się ze mną jutro do Lublina, byłbym zachwycony.

– Do twojej matki?

– To przy okazji, dawno nie widziałem staruszki. Ale chodzi o imprezę wielkiego kalibru. Zawody Modeli Okrętów Zdalnie Sterowanych!

– Przecież twoje są bez napędu. Podokręcałeś silniki swoim wrakom czy będziesz osobiście dmuchał w żagle?

– Pancerniki nie mają żagli, Julia – obruszył się, słysząc jawne bluźnierstwo. – Na razie tylko będę oglądał. Jak rozumiem, nie jesteś zainteresowana?

– Wybacz.

– W takim razie lunch w poniedziałek?

Już miała na końcu języka, że ani lunch, ani już na pewno nie w poniedziałek. Czarna sukienka właśnie schła na kaloryferze.

– Jadę z klasą Sylwii na basen, nie dam rady.

– Basen z dziećmi... – Zaśmiał się z aktorsko wykonanym szyderstwem na myśl o Julii biegnącej z ręcznikiem między uczniami i sprawdzającej, czy mają suche uszy. – Baw się w takim razie dobrze z bąbelkami, ja w tym czasie wyskoczę do modelarni na Świętokrzyską.

– Rzucili kolejną wersję German Battleshipa?

– Pojawił się nowy König do sklejania i malowania. Niemiecki krążownik. Bitwa jutlandzka, mówi ci to coś? Największa bitwa morska pierwszej wojny światowej! – odpowiedział sam sobie.

– Jak już pobawisz się farbami, to daj znać, co ze sprawą Rawskiej. Nie zapomnij.

Które kolczyki? Wkrętki czy wiszące? Włosy puszczone luźno czy związane w kucyk? A twarz? Przecież nie może pokazać się z wysuszoną przez zimę cerą. Miała gdzieś jakąś maseczkę, nawet świeżą, sprzed roku. W słomianym koszu stojącym pod wanną znalazła ogórkową. Umyła twarz po całym dniu biegania i nałożyła zieloną maź. Nieważne, że do poniedziałku były jeszcze całe dwa dni.

Boże, po co ja to robię? – spytała swoje odbicie w lustrze, kiedy ostatni czysty fragment skóry pokrył się zielenią. Po co ta maseczka i sukienka na kaloryferze...?

Lepiej było skupić się na zdjęciu USG i zająć myśli kwestią ciąży. Wyjęła z torby zdjęcie i przykleiła taśmą samoprzylepną do ściany. Na USG widać było datę badania. Pacjentka trafiła do lekarza dwudziestego września o dziesiątej czterdzieści jeden, badanie wykonano urządzeniem firmy GE Healthcare. Ujawniono wszystkie szczegóły z wyjątkiem nazwiska kobiety, której wykonano badanie. Ktoś wyciął je celowo, by ktoś inny nie dowiedział się o ciąży. Równie dobrze mógłby zniszczyć dowód i sprawy w ogóle by nie było. Zostawił wydruk na pamiątkę, z sentymentu? A co z rysunkami płodu na ścianie za łóżkiem Niny? Nie znalazły się tam przecież przypadkiem. Klaudię musiała wykluczyć z grona podejrzanych. Może i romansowała z Leonem, ale gdyby USG należało do niej, nie zareagowałyby w tak obojętny sposób na jego widok. Ninę jednak ta ciąża bardzo interesowała. Może Arleta Rawska była przy nadziei po raz kolejny, mała przywiązała się do myśli o młodszym rodzeństwie i teraz odchorowywała, bo nie pojawiło się na świecie? Rawska poroniła czy też po raz kolejny oddała komuś swoje dziecko na wychowanie i jej samobójstwo nie było

wynikiem jedynie śmierci Leona, ale i tego, co stało się z jej czwartym potomstwem? Wyrzuty sumienia wpasowują się w to jak ulał. Może Leon dowiedział się o tym i dręczył matkę w zemście za swoje nieudane dzieciństwo. W końcu Rawska nie wytrzymała i zrobiła najgorsze. Maria lub Nina znalazły zdjęcie USG po tym, jak policja niezbyt dokładnie przeszukała ich dom, i schowały w pudle z bielizną, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Wycięła nazwisko matki, zamiast całkowicie zniszczyć wydruk. Błąd.

Musiała zrobić to samo, co ostatnio zrobił Adam. Rejon. To w nim poruszała się rodzina Rawskich, jeśli chodzi o urzędy, chrzciny czy pochówek. Wyszukiwarka internetowa wyrzuciła kilka prywatnych gabinetów ginekologicznych i jedną przychodnię na kontrakcie z NFZ. Na prywatne wizyty Rawskiej nie było stać. Jeśli miała się gdzieś leczyć, to tylko za państwowe pieniądze.

Julia wstukała numer do przychodni do telefonu. Zapytała recepcjonistkę o usługę USG dla ciążarnych i na jakim sprzęcie działają.

GE Healthcare.

Bingo.

Dochodziła druga po południu. Przy odrobinie szczęścia uda się jej dotrzeć na Ludową przed zamknięciem przychodni. Zmyła maseczkę, która zdążyła zaschnąć i przekształciła się w suchą skorupę. Przy okazji zamieniła jej twarz w pole czerwonych plam. Polewanie policzków zimną wodą na niewiele się zdało. Mogła jedynie nałożyć krem łagodzący zaczerwienienia. Do poniedziałku wszystko zejdzie, pomyślała z nadzieją.

Przewróciła sukienkę na kaloryferze na drugą stronę, zerwała ze ściany zdjęcie USG i chwyciła kluczyki do skody.

* * *

– Jeszcze tylko tego nam, kurwa, brakowało. – Żaba podpaliła dwa papierosy i podała jednego Grydze. Przymusowe przenosiny do innej celi wywołały w niej niezdrowe podniecenie. – Ja od razu wiedziałam, że to wariatka. Ale żeby wieszać się na szmatach pod celą?!

Gryga pociągnęła dwa machy, po czym wyrzuciła papierosa przez otwarte okno.

– Co ty tak mój towar marnujesz? – Żaba rozłożyła bojowo ręce. – Zresztą, chuj z fajkiem. Mamy większe zmartwienie. Przeorają nam tam wszystko, całą klatkę,

zobaczysz. Będą na kolanach zbierać każdy paproch. Jak wrócimy do siebie, nie poznamy swoich metrów.

– Tutaj jest przynajmniej więcej miejsca i mają lepszy kibiel. – Gryga wyciągnęła się na leżance. – Mogę tu zostać na stałe, o ile przeniosą nasze kłopoty.

– Przejrzą kamery. Wszystko, kurwa, zobaczą – ciągnęła Żaba. – A jak zobaczą, to jak nic wyląduję w jedynce bez okna. Zakatują mnie tam. Już raz siedziałam, całą dobę palili mi światło nad głową. Nie wiedziałam, czy to noc czy dzień. Na spacerniak nie puszczali, a to było najgorsze, bo do spania mogłam sobie czymś łeb przykryć i miałam ciemno. Ale bez powietrza to ja nie mogę... Przecież nawet psy wyprowadza się na dwór!

– Było trzymać łapy przy sobie. Wtedy i teraz. Tamtej ruskiej nie odpuściłaś i tej też. Mówiłam ci tyle razy, żebyś dała jej spokój. To ci się romansów zachciało.

– No jak, kurwa, spokój?! Ładna była, w moim typie. Dupcię miała okrągłutką. Poza tym nie męczyłam jej aż tak bardzo. Ile ja razy do niej włożyłam na pryczę, dwa?

Gryga obróciła się przez ramię i posłała jej miazdzące spojrzenie.

– Ty się lepiej naucz liczyć. Zresztą, oni policzą to za ciebie. Chyba że oleją twoje nocne podrygi. Mają teraz co robić, Rawska wywinęła im taki numer, że...

– Będą nas maglować. Ja, jakby co, niczego nie widziałam. Ty zresztą też. Ślepe i głuche jesteśmy, pamiętaj. Nie potrzebujemy kłopotów.

Gryga usiadła na kocu i skrzyżowała nogi w kostkach.

– Nie powinnaś zabierać tego listu. Po jaką cholere go wyniosłaś? Mógł sobie spokojnie leżeć na jej poduszce, gliny miałyby teraz nad czym rozmyślać. Pożegnała się i napisała, co trzeba. Czysta sprawa. A teraz, tak, masz rację, będą nas trzepać, czy czego nie wyniosłyśmy w kieszeniach. Przez twoją głupotę. Pokaż go jeszcze raz.

Żaba wyjęła zwitek papieru zza stanika i podała Grydze. Ta wyprostowała na kolanie ostatni list Rawskiej.

Dzieci,

to jest moje pożegnanie. Wiele razy zastanawiałam się, jak powinnam powiedzieć Wam o swojej decyzji. Nie chciałam widzieć się z Wami osobiście, to tylko utrudniłoby sprawę. Wybrałam więc list, mam nadzieję, że mi to wybaczycie.

Jestem Wam winna wyjaśnienie, dlaczego nie ma mnie już wśród żywych. Odpowiedź jest prosta. Zawiodłam jako matka i nie mogę żyć dłużej z myślą o tym, co zrobiłam Leonowi. Jeśli kiedykolwiek przeszło Wam przez myśl, że to nie byłam ja, myliłyście się. Zabiłam Waszego brata. Nie potrafię żyć z myślą, że zrobiłam coś tak strasznego.

Za oknem jest ciemno. Spotkam się z Nim za kilka minut. On już tu jest, przyszedł do mnie w mojej ostatniej godzinie i czeka.

Całuję Was, bądźcie zdrowe. Zapomnijcie o tym, co było. To już koniec.

Wasza mama

Gryga zamilkła. Długo jeszcze patrzyła na treść listu. Litery były stawiane w miarę równo, choć Rawska musiała pisać ten list po ciemku. Położyła kartkę na poduszce i poszła do syna.

– Biedna kobieta – powiedziała i złożyła pożegnalny list na pół. – To musiało ją wiele kosztować.

Zwróciła kartkę Żabie. Ta ukryła ją tam, gdzie wcześniej, za stanikiem.

– Sumienie ją gryzło, gryzło, aż w końcu zagryzło. Syn po nią przyszedł, widziałaś? Też bym po nią przyszła, gdyby to mnie zaszlachtowała. Wisiałabym jej nad głową nie tylko w nocy, ale i całą dobę, na okrągło. Nie żałuj, Gryga! Krzyżyk jej na drogę, a nam dadzą nową. Może normalniejszą. Taką, co to kradnie, a nie zabija.

– Ty też zabiłaś.

– Ale nie dzieciaka! Dzieciaka bym nigdy nie ruszyła, a ona co? Kosa w szyję. I teraz kochającą mamusię na sam koniec odegrała. Jebaniutka.

Drzwi celi zazgrzytały. Żaba z Grygą stanęły równo pod ścianą z oknem. Do celi weszła strażniczka z mężczyzną po cywilnemu. Oboje mieli na rękach lateksowe rękawiczki.

– Pan poczeka na zewnątrz, komisarzu – powiedziała strażniczka. – Szybko zrobię osobistą i potem przeszuka pan celę, czy tu czegoś przypadkiem niechcący nie zostawiły. Ty, Bereziak, będziesz pierwsza. Wiesz, co masz robić. W rozkroku i ręce za głowę.

– Co krok to rozkrok. – Żaba puściła oko do strażniczki. – Nic u mnie nie znajdziesz, rentgen niepotrzebny. Ale z przyjemnością dam ci się obmacać.

Stała tyłem do drzwi i rozpięła guzik spodni, kołysząc biodrami, jakby rozpoczynając striptiz. Oparta o ścianę Gryga przypatrywała się tej scenie z pogardą. Żaba nie potrafiła zachować powagi nawet w takiej sytuacji. Mogła nie lubić Rawskiej, jednak w obliczu tego, co się stało, jej wygłupy były wręcz żałosne. I po co zabierała ten list z ich celi? Chciała sobie poużywać, czytając pożegnalne słowa matki do dzieci? Albo, nie daj Boże, zniszczyć go i spuścić w sedesie? Na wszystko było ją stać. Niemniej nie do Żaby należała decyzja, czy list powinien trafić w ręce córek Rawskiej, czy nie.

– Jest tutaj. – Gryga podeszła do Żaby i wyciągnęła kartkę zza jej stanika. Mimo gromiącego spojrzenia Żaby nie cofnęła ręki. – Nie ma co tego przedłużać, i tak miałyśmy go oddać.

Strażniczka chwyciła list, drugą ręką zapukała w drzwi celi. Żaba zaczęła wciągać

na siebie obcisłe spodnie, które klinowały się w kolanach.

– Chwila, trochę kultury! – krzyknęła na widok wsuwającej się do celi głowy policjanta w cywilnych ciuchach. – Kobieta naga!

– Nie wydurniaj się, Bereziak. – Strażniczka machnęła ręką, nakazując jej cofnąć się pod okno. – A teraz ty. – Wskazała na Grygę, podając jednocześnie list Rawskiej policjantowi.

– Niczego więcej nie znajdziecie – zaproponowała Gryga.

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki sama tego nie sprawdzę.

Musiała się rozebrać. Mężczyzna cofnął się, widząc wstyd w jej oczach. Tak naprawdę mało go obchodził. Zatopił się w słowach zostawionych przez Rawską. Kilka prostych zdań, które już na pierwszy rzut oka wiele wносиły do sprawy.

– Wyjaśniła coś, komisarzu Jarecki? – spytała strażniczka, kiedy odprowadzili Żabę i Grygę z powrotem do ich celi.

– Nic, czego już bym nie wiedział – odpowiedział, poklepując się po kieszeni marynarki, w której schowany był list. – Miała rację, to już koniec.

– Ostatni raz mieliśmy tu samobójstwo siedem lat temu i miałam nadzieję, że więcej się nie powtórzy. Myśli pan, że Rawska zrobiła to ze strachu przed procesem?

Puścił pytanie strażniczki mimo uszu. Szedł zdecydowanym krokiem, chciał jak najszybciej znaleźć się w prosektorium, gdzie kilka godzin wcześniej pojechało ciało Rawskiej. W myślach układał informację, jaka miała pójść do prasy w związku z jej przyznaniem się do winy, i, tym samym, spodziewanym zamknięciem ciągnącej się od roku sprawy.

* * *

– Nie powinnaś siedzieć tu tak długo. – Doktor Maciejewski położył dłoń na ramieniu Ninki. – Za chwilę całkiem zamarzniesz.

– Jeszcze trochę – odpowiedziała. – Potem długo tu nie przyjadę.

Chciał dać jej tyle czasu, ile potrzebowała. Odszedł na kilkanaście metrów, pozostawiając dziewczynkę przy rodzinnym grobie. Mając ją wciąż na oku, obszedł okoliczne alejki, przyglądając się mogiłom, które po zimie wyglądały na jeszcze bardziej smutne i poszarzałe. Na wielu z nich wciąż stały wypalone znicze ze Święta Zmarłych i wazony z poczerniałymi chryzantemami. Nie patrzył na zegarek, gdy krążył między grobami. Czas w takich miejscach przestaje się liczyć, a Nince też nigdzie nie było śpieszno.

Po tym jak postawiła znicz pośrodku płyty, przycupnęła bez słowa na brzegu ławki naprzeciw grobowca i ściskając pod pachą swojego kotka, patrzyła na białe litery napisane na niewielkiej metalowej tabliczce składające się w imię i nazwisko jej brata. Okutana w czerwoną kurtkę i gruby czerwony szalik odcinała się od smętnej szarości i zgniłej czerni panującej na cmentarzu.

– To nie jest nasz grób – powiedziała, gdy Maciejewski przysiadł się do niej po chwili. – Należał do obcych. Nie opłacali go, bo wszyscy pomarli. Mama kupiła go, jeszcze zanim umarł Leon. Gdyby nie to, nie miałyby gdzie się podziąć.

Przyjrzał się czterem nazwiskom wyrytym na kamiennej płycie. Nina miała rację, żadne z nich nie należało do jej rodziny. Daty śmierci zmarłych pochodziły z końca dziewiętnastego wieku.

– Nie macie innych grobów? Tam gdzie leżą pradziadkowie i dziadkowie?

– Mamy, w Michałowicach. Ale mama powiedziała, że tam nas nie pochowają, jak już wszyscy umrzemy. Że ksiądz nie pozwoli, bo ziemia nas nie przyjmie. Nie wie pan, dlaczego ziemia nie przyjmuje wszystkich ludzi?

Artur Maciejewski spojrział ukradkiem na zamyśloną Ninę. Nie miał pojęcia, dlaczego Rawska zakładała, że rodzina nie dostanie zgody na kościelny pochówek.

– Twojej mamie chodziło na pewno o to, że stary grób był zbyt mały – wyjaśnił pokrętnie. – Ten jest duży, nawet wejść do niego można – powiedział, patrząc na żelazne drzwiczki prowadzące do wnętrza grobowca.

– Był tani, mama powiedziała, że nikt go nie chciał, a nam się przyda. Wystarczy, że grabarze przysypią kości poprzedniej rodziny i że kogo to obchodzi, że nasze trumny będą leżeć na kimś.

– Nasze trumny? – podchwycił Maciejewski.

– No, gdybyśmy mieli leżeć wszyscy razem. On jest bardzo stary, ten grób, ma chyba z dwieście lat. Wie pan, jak wygląda zmarły po dwustu latach?

Artur objął Ninkę ramieniem.

– Niewiele z niego zostaje.

– A z Leona ile zostało?

Palce Maciejewskiego zacisnęły się mocniej na czerwonym materiale kurtki.

– Nie myśl o tym, to nie są przyjemne sprawy. – Potrząsnął po przyjacielsku ciałem dziewczynki. – Ważne, że zaznał spokoju.

– Nie marznie? Niczego nie czuje? – zaniepokoiła się Nina.

– Jest mu dobrze, obiecuję. Może nawet obserwuje nas z góry.

Podniosła oczy i spojrzała na wiszące nad nią drzewa. Wielkie i stare, tworzyły siedliska dla wron wirujących nad głowami. Ptaki co raz przysiadły na gałęziach i podrywały się z krzykiem. Bezlistne gałęzie kołysały się wtedy lekko, po czym zamierały w bezruchu, tworząc na tle wiszących szarych chmur obraz popękanego nieba.

– Niech sobie na nas patrzy, byle tylko nie wiedział, co myślimy – odpowiedziała Nina, po czym poruszyła się, wskazując na kieszeń Maciejewskiego. – Dzwoni pana telefon.

Wyciszona komórka wydawała głuchoe odgłosy, Maciejewski zerknął na wyświetlacz.

– Muszę odebrać, ale zaraz do ciebie wrócę – powiedział i odszedł kilka kroków.

Nie słyszała, co mówił. Właściwie głównie słuchał i przytakiwał, zerkając co chwila w jej stronę. Gdy skończył, stał jeszcze przez chwilę i patrzył na nią bez słowa.

– Stało się coś? – spytała Ninka.

– Naprawdę powinniśmy już iść – odpowiedział wymijająco.

Szedł do niej z wyciągniętą ręką, by złapała za nią i już bez żadnych wymówek opuściła teren cmentarza. Nie zrobiła tego, wstała z ławki i podeszła do okalającego grobowiec żeliwnego płotka. Pchnęła sięgającą bioder furtkę, przerdzewiała jak całe ogrodzenie i ledwie trzymającą się na zawiasach.

– Co robisz? – usłyszała zaniepokojony głos doktora, ale nie cofnęła się ani o krok.

Stanąła przed wejściem do grobowca. Metalowe drzwi zamknięte były na łańcuch i kłódkę. Zdjęła rękawiczki i szarpnęła za nią, sprawdzając, czy zamek nie puści.

– Nina? – zawołał ponownie. – Zostaw, jeszcze tego brakuje, żebyś zraniła się w rękę. Nie zaglądamy do środka, słyszysz, dziecko?!

Nie oglądając się na doktora, przykucnęła pod drzwiami i wsunęła dłoń w niewielką niszę pod zwisającym łańcuchem. Chłód z wnętrza grobowca owiał jej skórę, ale nie wyglądała na przerażoną.

Doskoczył do niej. Odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła smutno, po czym wyjęła spod ramienia pluszowego kotka i ponownie wsunęła do środka dłoń, tym razem z pluszakiem.

– Jesteś pewna, że chcesz go tu zostawić? – spytał Maciejewski, gdy kotek zniknął w czeluści grobowca.

Kiwnęła bez słowa głową. Wyprostowała kolana i cofnęła się o kilka kroków. Nieśpiesznie wyszła za żelazną furtkę i docisnęła ją do ogrodzenia.

– Teraz możemy wracać – powiedziała i ruszyła w stronę wyjścia z cmentarza. Przystanąła jeszcze na chwilę przy małej ręcznej pompie. Podciągnęła rękawy kurtki i pociągnęła rączkę w dół i w górę. Strumień lodowatej wody spłynął po jej rękach. Roztarła ją dokładnie i strzepnęła, po czym wytarła dłonie w kieszenie kurtki.

Maciejewski już chciał otworzyć usta, by ostrzec dziewczynkę przed przeziębieniem, ale powstrzymał się. Umycie rąk w zimnej wodzie było niczym w porównaniu z tym, co usłyszał kilka minut temu, kiedy odebrał połączenie. Nie wiedział, w jaki sposób ma podzielić się z nią kolejną tragiczną wiadomością. Nina patrzyła na niego ciemnymi oczami, nie rozumiejąc, dlaczego nagle stał się taki poważny i posępny.

Informację o samobójstwie Arlety Rawskiej przekazała klinice Maria. Połączono ją z doktorem Synowcem. Długo rozmawiali. Pytała, czy powinna przyjechać i porozmawiać z siostrą o tym, co się stało. Koniec końców poinformowanie Niny o tym, że ich matka nie żyje, pozostawiła lekarzom.

Do kliniki wracali w milczeniu. Nina siedziała na tylnej kanapie, zawinięta w swój wielki szalik. Jej głowa niemal tonęła w zwojach czerwonej wełny. Przez kilka minut wyglądała przez okno, potem przysnęła utulona ciepłem wydobywającym się z nawietrznika. Nie miał sumienia jej budzić. Wreszcie była spokojna. Pożegnała się z bratem, pod Krakowem czekały na nią bezpieczna willa i nowe życie. Walizka była już spakowana, wystarczyło wrzucić do niej piżamę i szczoteczkę do zębów. Jutro miała wsiąść do pociągu i zacząć wszystko od nowa.

Śmierć Arlety Rawskiej pokrzyżowała plany. Trudno było mu sobie wyobrazić, że Nina po raz kolejny będzie patrzeć, jak ciężkie drzwi grobowca otwierają się i trumna jej matki staje obok trumny Leona. Przecież powinna stąd zniknąć i o wszystkim zapomnieć. Teraz, kiedy wreszcie oddycha tak miarowo i z uczuciem ulgi.

Kiedy zadzwonił Synowiec, wahał się, jak ma to wszystko rozegrać. Zdecydował, żeby ten nie podejmował żadnych kroków bez jego wiedzy i żeby zabronił komukolwiek mówić w obecności Niny o samobójstwie jej matki.

* * *

Przychodnia przy Ludowej była dwukondygnacyjnym podłużnym budynkiem otynkowanym na beżowo. Do zadaszonego wejścia prowadziły z jednej strony dwa schody, z drugiej podjazd dla wózków inwalidzkich. Przed frontem stało wyrosnięte

drzewo, które w słoneczne dni rzucało kojący cień na niemal połowę okien.

Julia zaparkowała skodę przed wjazdem dla wózków, po czym wbiegła po rampie. W recepcji siedziały dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Podeszła do mężczyzny, który wyjrzał zza ekranu komputera.

– Jest pani umówiona?

– Jeszcze nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Szukam lekarza, ginekologa. Leczył jedną z kobiet z rejonu. Nazywała się Rawska, chcę porozmawiać w jej sprawie. Prowadzę śledztwo – dodała.

Pokazała swoją licencję, zanim zdążył ponownie otworzyć usta. Mężczyzna przyjrzał się licencji, potem jej i jeszcze raz licencji. Uspiał komputer i zniknął na kilka chwil na zapleczu. Wrócił z kartką, na której napisane było nazwisko lekarza.

– Gabinet numer osiem na piętrze, ale trzeba będzie poczekać. Jest pacjentka.

Zgodnie ze wskazówką weszła schodami na pierwszą kondygnację. Korytarz był pusty, nie licząc dwóch osób, które czekały na wizytę pod gabinetem dermatologa. Przyciągnęła krzesło pod właściwe drzwi i rozpięła płaszcz. W oczekiwaniu na wezwanie sprawdziła, czy stojąca pod ścianą na stojaku paproć jest prawdziwa czy sztuczna. Liście wyglądały na wyjątkowo zdrowe, zupełnie inaczej niż u paproci, którą zapamiętała z pokoju Niny w klinice Maciejewskiego. Tamta była przegniła, choć na pewno dbano o nią podobnie jak o tę tutaj.

Wyciągnęła nogi i skrzyżowała je w kostkach. Z nudów wyjęła telefon i zaczęła przeglądać wiadomości ze świata. Dotarła do połowy artykułu ze strony Onetu, kiedy przyszedł esemes od Górnego: „Za godzinę przyjdzie wynik badania noża z piwnicy Rawskiej. Jesteśmy w domu ☺”. Odpisała, że oddzwoni o piątej i że chce usłyszeć tylko dobre wieści. Dodała, że kubek po kawie z odciskami palców Klaudii może przywieźć do badania w każdej chwili.

Drzwi gabinetu uchyliły się. Wychodząca kobieta trzymała w ręku receptę i fartuch ginekologiczny, który z przejęcia zapomniiała zostawić w koszu na odpady. Zwinięta zielona fizelina wylądowała w jej torbie, zawstydzona pacjentka na widok zainteresowanych spojrzeń dwójki czekających do dermatologa upchnęła ją głębiej i zasunęła zamek torby.

– Można? – Julia zapukała w drzwi i weszła do środka.

Gabinet był klasyczny: stół z komputerowym monitorem, umywalka i pudełka z jednorazowymi rękawiczkami, parawan i fotel z podpórkami na nogi, znieawidzony

przez wszystkie kobiety świata. Pod nim mały stołek, żeby łatwiej było wskakiwać na fotel. I jeszcze wysoka lampa na cienkiej nodze, która wciąż paliła się ostrym światłem skierowanym centralnie na siedzisko fotela.

Najpierw zgasła lampa, potem przesunął się parawan. Wyszła zza niego drobna, niewysoka kobieta z mocno umalowanymi na wiśniowo ustami. Była bardzo młoda, wyglądała, jakby dopiero skończyła studia i nie zdążyła jeszcze oprawić w ramki dyplomu.

– Proszę usiąść. – Wskazała ręką krzesło przy biurku, po czym sama usiadła wygodnie na wprost Julii i zajrzała do komputera. – Nie zarejestrowano pani w recepcji?

– Nie ma takiej potrzeby.

– Zawsze jest potrzeba, bez tego ani rusz. – Miła lekarka posłała Julii wiśniowy uśmiech. – Zaraz się tym zajmujemy. Nazwisko i wiek?

– Julia Krawiec, lat trzydzieści cztery. Przychodzę w sprawie...

– Kiedy był ostatni okres?

– Szóstego lutego, ale to w niczym nie pomoże.

– Krwawienia regularne? – Ginekolog nie ustępowała.

Julia ponownie wyjęła licencję i podsunęła ją lekarce pod nos.

– Co to? – Kobieta oderwała ręce od klawiatury. – Nie rozumiem...

– Prowadzę śledztwo w sprawie jednej z pani pacjentek.

Lekarka położyła dłonie na biurku, splatając ze sobą palce. Poruszała przy tym kciukami, kręcąc dość nerwowego młynka.

– Pani chyba nie sądzi... Mnie nie wolno...

– Działam w porozumieniu z prokuraturą. Chcę zadać tylko kilka pytań, to naprawdę bardzo ważne.

– Nie chcę mieć problemów.

– Nie będzie żadnych. Poza tym pańska pacjentka nie żyje, więc choćby nawet chciała, nie wniesie zażalenia.

Palce lekarki znieruchomiały.

– Nazwisko?

– Rawska. Robiła u pani badanie USG, była w ciąży.

– Kiedy?

Julia wyjęła z torby zdjęcie płodu, które zerwała przed wyjściem ze ściany, i podała je lekarce.

- Data na wydruku pochodzi z dwudziestego września, sprzed półtora roku.
- Dwa tysiące szesnasty?
- Tak. Proszę sprawdzić w bazie.

Kobieta sięgnęła po leżące na biurku etui i wyjęła z niego okulary. Jedno spojrzenie wystarczyło, by pokiwała głową.

– Tak... teraz ją sobie przypominam. To był czwarty miesiąc. Ale nie ma nazwiska pacjentki. – Obróciła wydruk w rękach i oddała go Julii. – Skąd mogę wiedzieć, że należy do pani Rawskiej?

– Jest data i godzina, wystarczy, że sprawdzi to pani w karcie pacjenta. Po każdej wizycie pozostaje ślad.

– Minęło dużo czasu. Nie wiem, czy dane nie poszły już do archiwum.

Westchnęła z rezygnacją, ale zaczęła przeszukiwać pliki.

– Ta kobieta była u mnie tylko raz. – Zmrużyła oczy przed zbyt małymi literami na ekranie. – Właśnie wtedy, kiedy robiłam jej to badanie. Potem już nie zaglądała.

– Nie prowadziła pani jej ciąży?

Lekarka pokręciła głową.

– Wspominała, że przenosi się do innej przychodni? – dociekała Julia.

– Nie. Może poszła gdzie indziej, a może wcale tego nie zrobiła. Mogła całkowicie zrezygnować z badań, nie ma przecież obowiązku chodzenia do lekarza. Myśli pani, że każda ciążarna regularnie robi badania krwi i nasłuchuje bicia serca?

– Jeśli tylko ma odrobinę zdrowego rozsądku...

– Obawiam się, że wielu przyszłym matkom wciąż go brakuje. A przypadek pani Rawskiej, cóż... był trudny. Niemniej ona z tej ciąży bardzo się cieszyła. Nawet po tym, jak powiedziałam jej o kondycji dziecka, była nad wyraz spokojna. Kobiety zwykle boją się takich informacji. Ona przyjęła to bez emocji. Tym bardziej zaskoczyło mnie, że więcej się u mnie nie pokazała. Może nie dotarło do niej to, co usłyszała. W każdym razie mam nadzieję, że zdążyła nacieszyć się maluchem choć przez chwilę.

– Wspominała o adopcji?

– Nie, skąd. Nic takiego nie powiedziała.

– W takim razie płód przestał się rozwijać?

Lekarka pokręciła przecząco głową.

– Nie rozumiała mnie pani. Dziecko żyło i wciąż rosło. Przynajmniej wtedy – dodała. – Co stało się potem, trudno powiedzieć.

– Proszę jaśniej.

– Jak powiedziałam, dziecko było w złej kondycji. Nie wróżyłam mu łatwego życia. A teraz jeszcze mówi pani, że taka trudna sytuacja z panią Rawską, że zmarła... Nie wiem, jak ten maluch sobie poradzi bez matki. O ile, oczywiście, nadal żyje – dodała.

Kobieta ponownie nasunęła na nos okulary i zapatrzyła się na zdjęcie USG. Przyglądała mu się długo, co jakiś czas kiwając z żalem głową.

– Pewnie teraz trafi do domu dziecka, albo i jeszcze gorzej. Szkoda dzieciaka, bez specjalistycznej opieki szybko zmarnieje.

Julia musiała całkiem zsunąć płaszcz z ramion, czuła, że w tym małym gabinecie robi się wyjątkowo ciepło mimo lekko uchylonego okna. To, co mówiła młoda lekarka, było jak uderzenie pioruna. Im bardziej zdawało się jej, że poznaje sekrety rodziny Rawskich, w tym większym była błędzie.

– Chce pani powiedzieć, że dziecko Rawskiej było poważnie chore?

Lekarka podniosła oczy znad zdjęcia, ale tylko na chwilę. Potem stuknęła paznokciem w czarno-białą odbitkę.

– To dopiero szesnasty tydzień, ale i tak widać wszystko dokładnie. Czaszka jest nadmiernie rozwinięta w stosunku do reszty ciała. Widzi pani? O dobre dwadzieścia procent. Musiałby stać się cud, żeby dziecko urodziło się normalne.

– Normalne?

– W pełni zdrowe – wyjaśniła lekarka. – W przypadku tego płodu geny były zmutowane w znacznym stopniu, więc nawet o cudzie właściwie nie może być mowy. Zestaw białek kodowanych przez geny z tak zwanego kompleksu zdolności tkankowej musiał być do siebie bardzo zbliżony. To dziecko – znów postukała w zdjęcie USG – było obciążone genetycznie. Stąd ta powiększona czaszka. Pamiętam, że zasugerowałam pani Rawskiej kolejne badania, pogłębione. Wada serca, przepuklina rdzeniowa, karłowatość, test PAPP-A, to wszystko powinna mieć na uwadze w kolejnych tygodniach ciąży.

– Nie wiadomo, czy je wykonała.

– Schowała skierowanie do torby, ale co było dalej...? – Lekarka rozłożyła bezradnie ręce. – Może pani wie, co się stało z tym dzieckiem? Zawsze martwię się o takie przypadki. To był chłopiec... choć tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia.

Nie miała pojęcia, co Rawska zrobiła z synem. Jeśli nadal żył, na pewno nie trzymała go przy sobie w Michałowicach.

– Chore dziecko to zawsze wielka tragedia dla całej rodziny, ale przede wszystkim dla jego matki – podsumowała lekarka.

Julia już chowała zdjęcie USG do torby, kiedy jej ręka zatrzymała się nad zamkiem.

– Ciąża po trzydziestym roku życia bywa niekiedy ryzykowna – odparła, mając wciąż w pamięci swoją straconą przed trzema laty córeczkę.

Wstała od stołu i podeszła do drzwi. Lekarka zrobiła to samo. Wyciągnęła na pożegnanie rękę.

– W pełni się z panią zgadzam. Im starsza matka, tym gorzej dla dziecka. Jednak w tym wypadku rolę złego genu musiało odegrać coś zupełnie innego. Pani Rawska była przecież taka młoda. Jak ją zobaczyłam, pomyślałam, że to uczennica jakiejś artystycznej szkoły, tak intrygująco wyglądała z tymi dredami. To straszne, że tak wcześniej zmarła, pozostawiając kalekie dziecko.

Musiała wyjść stamtąd jak najszybciej. Minęła ostatnią czekającą przed gabinetem dermatologa osobę, niemal potykając się przy tym o jej wysunięte na sam środek korytarza nogi. To nie Arleta Rawska była w ciąży. Rysunki płodów na ścianie kliniki, które rysowała Nina, nie pokazywały kolejnego dziecka jej matki, lecz siostry. Maria schowała zdjęcie USG, żeby chronić własną skórę. Może chroniła też swoje kalekie dziecko, z którym nie wiadomo, co się stało. Urodziła je i oddała do przytułku czy zmarło wkrótce po porodzie w wyniku wrodzonych wad?

Kiedy Julia wróciła do mieszkania, zadzwoniła najpierw do Sylwii. Mała była na mieście, słychać było szum jadących aut, gdzieś w oddali jechał tramwaj. Szła z dziadkiem, o czym od razu powiadomiła Julię, zaznaczając przy tym, że to tajemnicza wyprawa i nie może zdradzić dokąd ani po co. Julia miała dowiedzieć się wszystkiego jutro. Sprawa musiała być poważna, bo ton głosu Sylwii był oficjalny i brzmiał, jakby zapowiadała nalot dywanowy na miasto. Umówiły się, że zostanie u Emilii do poniedziałku, a Julia przyjedzie do szkoły przed dziesiątą rano, żeby pomóc wesołej gromadce zapakować się na basen. Trzykrotnie obiecała, że nie zapomni i że się nie spóźni. Dodatkowy ręcznik też spakuje na wszelki wypadek do worka. Po tuzinie wymienionych czułych i już całkiem mało oficjalnych buziaków Sylwia rozłączyła się. Była szczęśliwa jak rzadko kiedy. Julia nie podejrzewała, że przechadzka po mieście z dziadkiem doprowadziła ją do takiej ekscytacji. Złożyła to na karb szpanerskiego zdjęcia ściany w ich salonie. Mała wreszcie zapunktowała u Jagody,

stąd ta radość i nagły przypływ miłości do matki.

Odczekała do piątej i ponownie złapała za telefon. Adam odezwał się niemal natychmiast.

– Masz? – spytała od razu.

– Mam – odpowiedział. – Właśnie dostałem, ta dziewczyna z laboratorium jest niesamowita. Działa jak rakietka.

– Mów!

Słyszała, jak Górny rozrywa kopertę, ale zamiast czytać opinię dziewczyny rakietki, milczał.

– Jesteś tam, Adam?

– Cały czas – cmoknął przez zęby. – Ale obawiam się, że nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

– Było za mało materiału do badania? Nie zdołali zdjąć próbki?

– Nie, to nie to. Materiału było dużo.

– Ta rdza to nie krew? Mów!

– Krew. Tylko jest z nią pewien problem. Nie należy do człowieka.

– Jak to: nie do człowieka? – Julia sięgnęła po papierosa, kolejnego tego dnia. – Miała należeć do Leona Rawskiego. Jasna cholera!

– Miała, ale nie należy. Liczyliśmy na cud, a zamiast tego mamy totalną katastrofę – odparował Górny.

Liczenie na cud... słyszała to już drugi raz tego dnia. Cudem miało być przeżycie dziecka Marii Rawskiej, teraz cudem miała być krew Leona na nożu.

– To krew zwierzęcia, konkretnie ptaka – doprecyzował Adam. – Tamci bezdomni musieli oprawiać nim dzikie gołębie czy inne latające draństwo. Może zgubili go, jak nurkowali po coś do piwniczki, i tam już został.

– O kur... – wyrwało się Julii. – Po prostu nie wierzę...

– W pełni się z tobą zgadzam. Nadal nie mamy narzędzia zbrodni, moja piękna. A, i jeszcze jedno! Jarecki zaplanował na przyszły tydzień spotkanie w prokuraturze. Zaraz po tym, jak Sieracka wróci z nart, do sądu ma trafić wniosek o umorzenie śledztwa. To już pewne. Zamkną sprawę Rawskiej niemal od ręki.

– Nie zamkną. – Julia wypuściła dym z płuc wprost w otwarte okno. – Osobiście stawię się u Sierackiej i wybiję jej to z głowy. Przyszły tydzień, mówisz?

– Tak.

– Mało czasu.

Górny zamilkł na chwilę. Nie zamierzał się jednak rozłączyć. Odczekał, aż oddech Julii w słuchawce uspokoi się choć trochę.

– Słuchaj... – zagaiał półgębkiem. – Może jednak lepiej wycofać się ze sprawy z twarzą? Nie ruszysz z tym, Julia. Zresztą, co ci będę tłumaczył, sama wiesz, jak jest. Brak noża i motywu innego niż zbrodnia dokonana przez sfrustrowaną życiem kobietę.

– Mówisz serio?

– Niestety, ale cholernie serio. Te wszystkie informacje, które nazbierałaś, to szajs. Nic ci nie dadzą, bo prowadzą donikąd.

– Potrzebuję tylko jednego kuloodpornego dowodu!

– Zaraz ci go podam. Obawiam się tylko, że to nie ty na nim skorzystasz.

– Czeka mnie kolejny nokaut?

– Delikatnie mówiąc. Jak przypuszczałaś, Rawska pozostawiła list. Pożegnalny, klasyczny. Przeprasza dzieci i pisze, że odchodzi do zmarłego syna.

– To żaden nokaut. Przyznała się do zbrodni?

– Przecież wiesz, że tak.

– Ale czy zrobiła to w liście?!

– Wyraziła się na tyle jasno, że już jaśniej nie można. Zamknęła sprawę i ty powinnaś zrobić to samo.

– Wyślij mi zdjęcie tego listu.

– Nie mam. Młody Szymański unieruchomił go w swojej szufladzie. Ale od razu mówię, to strata czasu, Julia. Niczego więcej się tam nie doczytasz.

Nie było sensu wspominać mu o wizycie w przychodni. Górny już wciągał na maszt białą flagę. Był zmęczony i rozczarowany, że sprawa stoi w miejscu. Gdyby chociaż Rawska nadal żyła, piłka byłaby w grze. Ale skrzyła prześcieradło i zawisła na rurze obok sedesu. Też była tym wszystkim zmęczona.

Wioślarska dwójka Krawiec–Górny stawała się powoli jednoosobową załogą. Julia czuła, że w tych zawodach przyjdzie jej płynąć do mety o własnych siłach. Jeśli Górny wyrzuci swoje wiosło za burtę, będzie musiała liczyć tylko na własne mięśnie.

Zgasła niedopałek w bonsai. Kilka zaciągnięć nie uspokoiło jej. Po raz kolejny tego dnia zgarnęła kluczyki do skody i wyszła z mieszkania na dziewiątym piętrze.

Pojechała prosto na Łazienkowską. Do zamknięcia strzelnicy Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego LEGIA pozostawały dwie godziny. Pokazała dowód

osobisty i odebrała żółte słuchawki ochronne. Na stoliku obok swojego stanowiska położyła berettę i glocka 26, po czym doprosiła jeszcze walthera z wsuwanym od dołu magazynkiem na trzydzieści nabojów. Instruktor przyniósł karabin i spytał, czy wie, co robi.

– Kobiety zwykle zaczynają od małych pistoletów. Do lekkich łatwiej przyzwyczać rękę – powiedział, widząc, jak sięga od razu po walthera.

Odpowiedziała, że jej ręka ma się świetnie i że potrzebuje tylko świętego spokoju. Przepisowo wysłuchiwała instrukcji bezpieczeństwa, po czym pokazała uniesiony kciuk, informując instruktora, że już może zrobić sobie wolne. Cofnął się o kilka kroków pod ścianę, ale nie zamierzał zniknąć całkiem. Wolała, żeby odszedł. Na strzelnicy była sama, pozostałe tory świeciły pustkami. Jednak stał cały czas za jej plecami i patrzył, jak kolejne łuski nabojów spadają na podłogę.

Ramię bolało od odrzutu, ale najważniejsze było, że zeszło z niej powietrze. Odłożyła karabin i roztarła rękę. Seria kilkudziesięciu strzałów oddanych jeden po drugim przywróciła jej spokój. Teraz mogła sięgnąć po berettę i glocka. To był już czysty relaks, deser po ciężkostrawnym obiedzie.

Kiedy opuszczała strzelnicę, czuła na rękach zapach prochu. Kochała go bardziej od zapachu perfum. Uspokajał ją. Prochem pachniały też włosy i ubranie.

Odprężona wróciła do domu. Zawczasu spakowała ręcznik na basen i sprawdziła, czy sukienka wyschła na kaloryferze. Wciąż była wilgotna, nie było sensu ściągać jej z grzejnika, który i tak ledwie dawał oznaki życia. Przetarła tylko zamszowe kozaki i odszukała w wielkim pudle z drobiazgami szkatułkę z biżuterią. Długo nie mogła się zdecydować, co będzie lepsze, duże srebrne koła czy coś skromniejszego. Koniec końców położyła na kuchennym blacie kolczyki, dwie perłowe wkretki. Obok postawiła szminkę i flakonik perfum. Nie pachniały tak odurzająco jak proch z karabinu, ale na spotkanie z Arturem będą w sam raz.

ROZDZIAŁ XIII

Maria nie mogła zmrużyć oka ani poprzedniej nocy, ani tej. Leżała na swoim pompowanym materacu na wznak, niemal nieruchomo, wpatrując się w biel sufitu, i jedynie co jakiś czas podnosiła ręce, by zacisnąć je na rozgorączkowanym czole. Klaudia była tuż obok. Czuła jej obecność i oddech, który unosił lekko kołdrę. Kiedy podeszła do niej ze swoją poduszką, przesunęła się, robiąc jej miejsce. Nie potrzebowała przytulania ani słów pocieszenia, wystarczyło, by przyjaciółka znajdowała się w zasięgu ręki.

– Nie myśl już o tym, nic tego nie zmieni. – Klaudia przekręciła głowę w stronę Marii. Za oknem powoli zaczynało świtać. Do pełnego wschodu słońca było jeszcze daleko, mrok w pokoju ledwie zaczął topnieć. – Spróbuj chociaż zamknąć oczy.

– Nie usnę. Proszki nie zadziałały – odpowiedziała półszepem.

– Powinnam była pójść tam z tobą. Mogłaś zadzwonić, przyjechałabym przecież od razu.

– Co by to dało? Poza tym nie lubisz widoku zmarłych. Przerazają cię nawet zdechłe zwierzęta. Zresztą, po co miałabyś patrzeć na moją matkę? Nawet mnie nie chcieli jej pokazać. Powiedzieli, że jestem za młoda i mogę co najwyżej obejrzeć ją na zdjęciach. Zaczęłam więc dla świętego spokoju od tych zdjęć, ale głównie chodziło mi o to, żeby zobaczyć matkę normalnie, a nie na papierze – mówiła spokojnie, przynajmniej starała się, by tak to wyglądało. Jednak jej wargi drżały za każdym razem, gdy wymawiała słowo „matka”.

– Tym bardziej nie powinnaś być tam z obcymi ludźmi.

– Z urzędnikami.

– Czyli wciąż: z obcymi. Ja przynajmniej znałam twoją matkę...

– Ale nie przepadałaś za nią.

– To przecież nie ma żadnego znaczenia.

– Może ma, może nie ma. – Maria przewróciła się na bok i podciągnęła kolana pod brzuch. Nogi po kilku godzinach leżenia bez ruchu zaczynały dopominać się o zmianę pozycji. – Wiesz, jak wyglądała?

Klaudia poruszyła się niespokojnie na swojej części materaca.

– No i po co się tak zadręczasz... Spróbuj zasnąć, zamiast przywoływać tamten widok. To w niczym nie pomoże.

– Kiedy ją już zdjęli z tego skręconego prześcieradła, wyglądała jak szmaciana kukielka z naderwaną głową. – Maria puściła uwagę przyjaciółki mimo uszu. – Chciałam, żeby pokazali mi zdjęcia z celi, to znaczy z łazienki, gdzie ją znaleźli. Powiedzieli to co ty, że lepiej nie patrzeć, ale ja tego chciałam.

– I potrzebne ci to było?

– Nie widziałam jej od roku. Może gdyby było inaczej, nie zależałoby mi aż tak bardzo. Ale uzmysłowiłam sobie, że nigdy więcej jej nie zobaczę, że to ostatni raz. To było głupie, teraz bym tego nie zrobiła. Jednak wtedy chciałam, więc pokazali. Najpierw zdjęcie, żebym przyzwyczaiła się do widoku. Była ubrana w białą koszulę, tę samą, w której zabrano ją sprzed domu w sylwestra. Na stopach miała skarpety, te ode mnie. Matka lubiła wkładać je do łóżka, zwłaszcza zimą, miała niskie ciśnienie i ciągle było jej zimno w stopy.

– Widziałas jej twarz?

– Prawie wcale. Głowę miała przekreconą, włosy zasłaniały czoło i policzki. Były wszędzie, rozrzucone na twarzy i ramionach.

– Marysiu...

– Potem pokazali mi ją na żywo. Boże, co ja mówię... Słyszysz, jak to brzmi: „na żywo”? Była już całkiem sina i jakaś taka zapadnięta. Te włosy... przez rok bardzo jej urosły. Nawet posiwała, pewnie od zmartwień. Wiesz, że kobiety w więzieniach normalnie farbują sobie włosy? Kupują farby, tam jest wszystko, jak na wolności. Może tylko bez amoniaku, żeby nie mogły wdychać. Matka nie farbowała sobie włosów ani ich nie obcinała. Powinna. Źle wyglądała z długimi, całkiem nie jak ona.

– Zaczynasz popadać w obłąd... Przyniosę ci wody, chcesz? Może jeszcze jedną tabletkę na sen?

– I paznokcie miała sine, też niepomalowane. Lubiała mieć pomalowane paznokcie, kiedy mieszkaliśmy razem. Ja malowałam jej, a ona mi. Ninka wybierała kolory, czasem mieszała ze sobą lakiery, żeby było ciekawiej. Przelewała jeden do drugiego, potem zmywaczem czyściła to, co wyciekło za butelkę. Matce lakier z paznokci szybko schodził, bo pracowała bez kuchennych rękawic. Zresztą to był zwykły lakier, nie żadna hybryda.

Klaudia podniosła się z posłania i poszła do kuchni po ziołową tabletkę. Wróciła

po chwili, trzymając w dłoni słoiczek z zielonymi pigułkami i szklanę z wodą. Nachyliła się nad Marią.

– Połknij. – Spróbowała wsunąć tabletkę do ust przyjaciółki. – Pojutrze trzeba zająć się pogrzebem, musisz być na chodzie. Ja oczywiście pomogę.

Maria odsunęła rękę z podawaną ziołową pigułką.

– Zabierz to, nie chcę kolejnej. Poradziłam sobie z brakiem snu, kiedy umarł Leon, to poradzę sobie i teraz.

– Czasem warto sobie ulżyć, nikt nie jest z żelaza. Nie wiem, po co zgrywać bohaterkę.

– Nikogo nie zgrywam, po prostu nie chcę mieć rano szumu w głowie. Muszę myśleć jasno.

– Powiedziałam ci już, że pomogę w pogrzebie. Wyskrobię może nawet trochę forsy, żebyś mogła kupić jakąś porządną trumnę. Ta dla Leona była taka prosta...

– Jak się nie ma kasy, to nie chowa się ludzi w pudełku z dębu, ale z sosny. Zresztą, co to za różnica, w czym cię położą. Poleżysz sobie w takiej trumnie ze dwie godziny, aż odprawią nad tobą modły, a potem wiadomo. Za tysiąc czy za pięć, i tak przysypią cię piachem.

– Jednak co matka to matka, powinna mieć porządną trumnę.

– Że niby była ważniejsza od brata? – Maria wzruszyła ramieniem. – Zresztą, może i tak. W końcu pozostawiła po sobie coś wartościowego.

– To akurat prawda, obie z Niną jesteście przecież dobrymi ludźmi, choć każda na swój własny sposób. – Klaudia musnęła palcami włosy Marii. – To miłe, że znowu mówisz o niej ciepło.

Maria podniosła głowę z poduszki.

– Dom pozostawiła – wyjaśniła. – Będę miała gdzie mieszkać po ślubie, o ile Murat zechce się tam wprowadzić i wyremontować tę rudere.

Ponownie opadła na poduszkę, dredy ułożyły się wokół jej głowy, tworząc nieregularną aureolę z tlenionych włosów.

– Nawet nie żartuj w ten sposób. – Klaudia nachyliła się i pocałowała Marię w środek czoła. Odstawiła na parapet szklanę z wodą i schowała tabletkę do słoiczka, po czym zapaliła nocną lampkę. Nie było sensu udawać, że któraś z nich usnie.

– O co ci chodzi? To wygodny dom, wystarczy połatać i pomalować ściany. Powinien mu się spodobać.

– Nie o tym mówię. – Klaudia wzruszyła ramionami. – Mówię o ślubie. Chyba już

czas go odwołać.

Maria potarła oczy. Światło żarówki raziło ją w zmęczone źrenice.

– Nie mam takiego zamiaru. Chcę mieć rodzinę, jak każdy człowiek.

– Masz dopiero osiemnaście lat, a już rok temu dałaś sobie włożyć pierścionek na palec! Obie wiemy, w jakim celu, i nie chodzi o żadne zakładanie rodziny. Ale teraz nie musisz już uciekać. Ludzie w końcu zapomną i sprawa przyschnie.

Maria podniosła się i zrzuciła z siebie kołdrę. Poprawiła opadające ramiączko koszuli nocnej i potarła policzkiem o obojczyk.

– Ludzie nigdy nie zapominają takich rzeczy.

– Możesz sprzedać dom i wynieść się stamtąd na zawsze. Przeprowadzić do Warszawy i wmieszać w tłum, jak teraz. To lepsze niż pakowanie się w fikcyjne małżeństwo.

– To zaszło za daleko. Nie mogę się wycofać.

– Możesz i zrobisz to. Murat zrozumie, wystarczy, że mu wszystko wyjaśnisz.

– Mam mu powiedzieć, że to wszystko było na niby?

– I tak długo wytrzymałaś. Odegrałaś oscarową rolę w tej farsie, nawet sama przez jakiś czas dawałam się na nią nabrać. Tylko że ja szybko przejrzałam na oczy, a Murat do tej pory wierzy, że masz zamiar spędzić z nim resztę życia. Skończ z tym, mówię, i to jak najszybciej.

Maria wyciągnęła rękę po szklanę z wodą.

– Na samą myśl o tym robi mi się słabo – powiedziała, gdy przyjaciółka ponownie wręczyła jej szklanę. – Nie dam rady.

– Dasz. Powiesz, że śmierć matki załamała cię i nie masz głowy do ślubu.

– To podziała na pół roku, może na rok.

– Na razie wystarczy. Potem nagle twoje uczucia zbledną i zaczniesz się wahać. Wystarczy, że będziesz go od siebie konsekwentnie odsuwać. Przestaniez odpowiadać na esemesy i odbierać połączenia. W końcu sam odpuści.

– A jak nie?

– Mężczyźni przestają gonić króliczka, gdy widzą, że ta pogoń zmierza donikąd.

– Myślałam, że jest odwrotnie.

– Że będą sobie zdzierać zelówki za kimś, kto cały czas ucieka? – prychnęła Klaudia. – Nie te czasy, a poza tym zawsze wokół mężczyzny kręcą się inne króliczki, które dużo łatwiej upolować, więc po co mają się męczyć. Gdy przestaniez się nim zachwycać i interesować, on też w końcu zobojętnieje.

– Sama nie wiem...

Klaudia wyciągnęła otwartą dłoń w kierunku Marii.

– A teraz oddaj go.

Odpowiedziało jej pytające spojrzenie przyjaciółki.

– Oddaj pierścionek. Już go nie potrzebujesz, czas, aby zniknął. – Klaudia zacisnęła dłoń i wykonała wirujący ruch ręką, jak magik podczas sztuczki.

– Nie, jeszcze nie teraz. Może po pogrzebie. Za dużo zmian jak na jeden raz.

– Mówisz, jakby to był jakiś talizman. Ale rób, jak chcesz. Ja ci tylko dobrze radzę. Zawahała się przez chwilę, ale nie zdjęła pierścionka. Wiedziała, że Klaudia ma rację. Małżeństwo nie było dla niej, na pewno nie w tym wieku i nie na pokaz. Może jeszcze kiedyś się przydarzy, za kilka lub kilkanaście lat, ale jeszcze nie teraz.

Odetchnęła ciężko i zwlekła się do kuchni. Wróciła z dwiema butelkami corony i otwieraczem do butelek. Kapsle odskoczyły jeden po drugim. Podała jedno piwo Klaudii i uderzyła o nie szyjką swojej butelki.

– Za nowe otwarcie – powiedziała Klaudia i przysunęła butelkę do ust.

– Za moją matkę – odrzekła Maria i również pociągnęła kilka łyków.

– Wszystkim zrobiła przysługę. Jakkolwiek to zabrzmi, uwolniła ciebie i Ninę od ciągania po sądach. Zamkną sprawę i wszystko rozejdzie się po kościach. Ty natomiast powinnaś odwołać tę detektyw. I to jak najszybciej, nie ma na co czekać.

Powinna przytaknąć. Procesu nie będzie i ryzyko, że matka zacznie mówić, odeszło. Jeszcze kilka dni temu sytuacja wyglądała inaczej. Matka trzymała się swojej wersji, ale w każdej chwili mogła coś chlapnąć. Perspektywa dożywocia lub chociażby siedzenia do starości za kratami potrafi zrobić tchórza z każdego bohatera. A matka żadną bohaterką nie była, nie miała pojęcia o odwadze. Tak też przedstawiła ją Julii Krawiec. Ukazała matkę jako spokojną i wycofaną kobietę, która żyła, bo musiała. Nie cierpiętnicę, ale i nie bohaterkę. Mimo to wystarczyłoby jedno jej słowo, by wszystko wywróciło się do góry nogami. Teraz, kiedy nie żyła, ta obawa zniknęła.

– Słyszysz mnie? – Klaudia wyrwała Marię z rozmyślań. – Powiedziałam, że zamkną sprawę.

Uniosła swoją butelkę z piwem w geście toastu.

– Za to, żebyś mogła spać spokojnie. Wystarczy jeden telefon do tej kobiety.

Entuzjazm zniknął z twarzy Klaudii szybciej, niż się pojawił. Maria nie zamierzała wiwatować. Odstawiła swoją butelkę z piwem na parapet i zapatrzyła się w szarówkę za oknem.

* * *

Nowo odkryta opcja wideopojączenia w telefonie Sylwii wyrwała Julię ze snu.

– Cześć, mamol – zapiszczała Sylwia i zakręciła się wokół własnej osi. – Widzisz wszystko?

Widziała. Nieposłane łóżko córki i bałagan na stole, w tym talerz po owsiance i ledwie nadgryzione kanapki. Talerz stał na piramidzie zrobionej z podręczników.

– Od dziś będziemy łączyć się przez kamerę. – Sylwia przysunęła usta do obiektywu i zrobiła dzióbek.

– Boisz się, że zapomnę, jak wyglądasz? – Julia odwzajemniła nagły wybuch uczucia córki, posyłając buziaka do małego kwadratowego okienka w górnym rogu telefonu.

Do pokoju weszła Emilia. Miała na sobie szlafrok w wielkie kwiaty, a na głowie turban z ręcznika. Wysuwały się spod niego różnokolorowe wałki, co oznaczało, że ma przed sobą ważny dzień.

– Babciu, powiedz mamie cześć. – Sylwia podsunęła komórkę Emilii. – Mama cię widzi, o tu. – Wskazała palcem oczko kamery.

Emilia odsunęła od siebie telefon.

– Przestań, kochanie, co to za żarty?

– Jesteś na wideo!

– Ja? – Emilia poprawiła szlafrok na piersiach. – Co to, w telewizję się bawisz? Mama ci to okropieństwo kupiła? – Wzniosła ręce ku niebu, czyli ku sufitowi z nowo zakupioną lampą. Stara była ciężka i pamiętała lata Peerelu, do tego miała dwie zbite szybki. Emilia wymieniła ją na lekką, chińską papierową latarenkę.

– Nie, dziadek. Na walentynki.

– Oszalał! Nie ma na co wydawać pieniędzy! Julia, jesteś tam?

Zgięty palec Emilii popukał w telefon.

– Jestem, mamol.

Znowu popukała.

– Poradzisz sobie na pływalni?

– Umiem obsługiwać suszarkę, jeśli o to ci chodzi.

Ponownie wysunęła palec, ale przechwyciła go Sylwia.

– Nie trzeba w to pukać, babciu...

– Musisz pilnować dziewczynek! – przestrzegała Emilia. – Żeby się tam nie potopiły!

– Wsadzę je do brodzika, mamó.

– No! Trzymaj dzieci na płytkiej wodzie, wszystkie razem, żeby były na oku.

– Tak zrobię. Posadzę je na brzegu basenu, żeby tylko moczyły stopy w wodzie.

Będzie mniej kłopotu.

– I żeby zdezynfekowały się przed wejściem na pływalnię! Wiesz, że matki potrafią czepiać się o byle głupstwo. Jeśli ktoś z dzieci złapie grzybicę...

– Najlepiej będzie, jeśli przesiedzimy tę godzinę w autokarze. Mniejsze ryzyko grzybicy, utonięcia i porażenia prądem w wodzie.

Na myśl o prądzie Emilia zamarła.

– Zupełnie cię nie rozumiem! Przecież ja się martwię.

Julia posłała matce rozbijający uśmiech.

– Tak, mamó. Jesteś w tym najlepsza.

– A ty mogłabyś wreszcie spoważnieć, ale chyba się tego nie doczekam.

Odsunęła się na dwa kroki i zaczęła poprawiać wałki pod turbanem. Niedokładnie złapane wysuwały się na czoło i kark.

– Co to za okazja? – podchwyciła tę scenę Julia.

– E tam... takie... – Emilia machnęła dłonią. – Nic wielkiego. Wychodzimy dziś z ojcem wieczorem. Nie masz chyba nic przeciwko temu.

– Tak jakbyś przejmowała się, co o tym wszystkim myślę... To twoje życie, nie moje.

Sylwia spojrzała ze zniecierpliwieniem na babcię.

– Powiesz dziś mamie? – spytała szeptem, który jak na złość zabrzmiał wyjątkowo wyraźnie. – Wiesz o czym.

Telefon gdzieś zawirował między nogawkami spodni Sylwii a kwiatami na szlafroku Emilii. Teraz rzeczywiście nie słyszała nic poza tłumionymi odgłosami małej szarpaniny.

– Kochanie, jesteś tam? – Julia ze zdziwieniem patrzyła na wirujący obraz.

– Jestem – odpowiedziała Emilia, trzymając swoją dłoń na ustach wnuczki. – Coś nam przerwało. Musimy już kończyć. Sylwia, zbieraj się, zaraz wychodzicie z dziadkiem do drukarni, wiesz po co. Do widzenia, Julia... Wyłączyło się? Zgasiłaś tę diabelską telewizję? To wideo, czy jak mu tam? Czy ty chcesz, dziecko, żebym ja zawału dostała? Twoja mama ma na razie o niczym nie wiedzieć. Tyle razy prosiłam, żebyś siedziała cicho. Dziadek jej powie, ale jeszcze nie teraz. Może dziś wieczorem, musi się tylko nastawić i wreszcie przestać bać. Na pewno wyłączyłaś? Boże, co ja z

tobą mam. A z twoją matką?! We dwie się dobrałyście. Jedna lepsza od drugiej. Zakręć mi tego loka, popraw. Tak, na samej górze, źle się zawinał. Nie mogę przecież zapraszać gości na ślub z krzywym lokiem na czubku głowy! I pamiętaj, ani słowa!

Julia patrzyła i słuchała. Diabelska telewizja w komórce Sylwii skończyła nadawać dopiero, gdy telefon trafił do tylnej kieszeni spodni córki. Stała jeszcze przez dłuższą chwilę pośrodku pokoju wpatrzona w gasnący wyświetlacz. Matka, ślub, zaproszenie i „dziadek powie mamie, ale jeszcze nie teraz”. Prawdziwa enigma. Nie sądziła, że matka posunie się aż tak daleko. Urobił ją przez te wszystkie lata, a ona uwierzyła, po raz kolejny.

* * *

– Mama nie żyje...

Artur Maciejewski pogładził głowę Ninki. Od zbyt długiego przebywania na cmentarnym wietrze miała mocno zaczerwienione policzki. Oczy też jej się szklily, nie wiedział jednak, czy od rozpoczynającego się przeziębienia, czy od słów, które padły zaledwie kilka minut temu.

– Tak, umarła wczoraj w nocy – powiedział, gładząc miękkie włosy dziewczynki.

Nie uciekała od tej drobnej czułości, było jej obojętne, czy ktoś ją dotyka, czy stoi nieruchomo obok.

– Usiądź – powiedział Maciejewski i odsunął krzesło od małego stołu pod oknem.

Podprowadził ją i posadził, wsuwając dla wygody poduszkę pod plecy. Przypomniawszy sobie, że w szafie na górnej półce powinien być koc, służący w zimne noce jako dodatkowe przykrycie na kołdrę. Wyjął go i zarzucił Ninie na plecy.

– Ciepło ci? – spytał, naciągając koc niemal na głowę dziecka.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na podjazd i drogę biegnącą za ogrodzeniem, która prowadziła do lasu. Zwykle ktoś zawsze kręcił się po podjeździe, oddalona od miasta klinika wymagała dowożenia świeżego jedzenia i wymiany bielizny pościelowej dla pacjentów, auta krążyły tam i z powrotem. Jednak w weekendy ruch ustawał. Zdarzały się jedynie odwiedziny chorych, jednak zwykle dopiero po południu. Teraz ani przed kliniką, ani na korytarzu nie było nikogo, znikąd nie dochodził stukot butów ani dźwięk rozmów. Można było odnieść wrażenie, że na przestrzeni kilometra są tylko oni: lekarz i jego mała pacjentka.

– Ludzie podejmują nieraz decyzje, których inni nie rozumieją – powiedział cicho, nie chcąc naruszyć panującego wokół dziecka spokoju. – Nam wydają się złe, ale dla

nich to najlepszy wybór. Przynajmniej tak sądzą.

Ninka zacisnęła drobne dłonie na kocu, naciągając go na piersi.

– Zostawiła mnie. Najpierw zostawił mnie ojciec, a teraz ona.

– Kochała cię, na pewno nie zrobiła tego przeciwko tobie. Było jej ciężko i dlatego odeszła.

– Marysia wie?

– Tak. Chcesz się z nią widzieć? Dzwoniła, czeka na odpowiedź. Może przyjechać jeszcze dziś.

Ninka poruszyła się niespokojnie.

– A ciocia? Ona też wie?

– Na pewno. Przecież to siostra twojej mamy.

– To co z naszym wyjazdem? – spytała, zaglądając Maciejewskiemu głęboko w oczy. – Przecież miałam wyjechać.

Maciejewski pokręcił głową.

– Pojedziesz, ale jeszcze nie teraz. Najpierw trzeba pochować twoją mamę. – Widząc, że oczy Niny zachodzą mgłą, dodał szybko: – Nie musisz iść na pogrzeb, jeśli nie chcesz. Wszyscy rozumieją.

– Znowu otworzą grób? – Nina wytarła pierwszą spływającą po twarzy łzę.

– Tak. Jak powiedziałem, nie musisz na to patrzeć.

Dziewczynka pociągnęła nosem.

– Ma pan telefon? Muszę zadzwonić do cioci – spytała, nie bacząc na to, że kolejna kropla zawisła na końcu jej nosa.

– Teraz?

– Tak. Proszę.

Wysunęła spod koca rękę. Maciejewski położył jej na dłoni swoją komórkę.

– Znam numer – powiedziała, dając tym samym do zrozumienia, że chce zostać sama. Odczekała, aż doktor zniknie za drzwiami, i wybrała numer do Judyty Rawskiej-Kawki.

Stał na korytarzu. Z podniesionego głosu dobiegającego z pokoju Niny nietrudno było wywnioskować, że rozmowa z ciotką nie należała do łatwych. Mieszanka krzyku, płaczu i błagalnych zaklęć wypełniała ciszę panującą na korytarzu. Trwało to dwie, może trzy minuty. Niewiele, jednak wystarczająco dużo, by Ninka otworzyła mu drzwi z jeszcze bardziej płonącymi policzkami niż wtedy, gdy przekazał jej informację o samobójstwie matki.

– Przykro mi, Ninko – powiedział, gdy tylko uchyliła drzwi. – Wygląda na to, że musisz tu zostać.

– Tylko do pogrzebu – odrzekła ze starannie ukrywanym rozczarowaniem. – Pójdę na cmentarz i pożegnam mamę jak należy.

Oddała mu telefon i zamknęła drzwi. Musiała pobyć sama, on też nie mógł zostać z nią dłużej. Jego nocny dyżur się kończył. Przez tę sytuację z Rawską nie mógł skupić się na swojej prelekcji, która musiała być gotowa na poniedziałkowe popołudnie. Chciał zabrać wszystkie materiały i popracować nad nią w domu.

Nina go nie zatrzymywała. Było jej obojętne, czy ktoś będzie ją trzymał za rękę, czy zostanie sama. Sięgnęła po niedokończoną książkę Johna Greena i wcisnęła się w kąt łóżka.

Kiedy włączał silnik w swoim aucie, spojrzął w okna pokoju Niny. Już nie czytała. Stała za szybą, bezradna, z wciąż narzuconym na siebie kocem, który zsunął się z jednego ramienia. Wyglądała żałośnie, na jej twarzy rysowały się samotność i rozczarowanie. Pomachał do niej, ale nie odpowiedziała. Nawet nie był pewien, czy patrzy na niego czy na nieruchomy las.

* * *

– Krzywo! – Edmund podniósł kołnierzyk świeżo wyprasowanej koszuli i poluzował krawat. – I za krótko. Nie powinien być taki krótki, nie mam przecież dwudziestu lat.

Emilia całkiem rozwiązała supeł i ponownie okręciła krawat wokół jego szyi, dopasowując odpowiednią długość.

– Teraz dobrze?

– Jeszcze trochę. Nie bój się, pociągnij bardziej! Powinien dotykać paska. Poza tym nie wiem, czy czerwony jest dla mnie. Wyglądam jak kogut.

– Musisz mieć czerwony, bo ja włożę czerwone korale. Dopasuj się. Wszyscy celebryci dopasowują krawaty i poszetki do sukien swoich żon.

– Zostaliśmy celebrytami, Emilio? Kiedy?

Zniecierpliwiona machnęła końcówką krawata tuż przed jego nosem.

– Trzeba iść z postępem, z duchem czasu. Tak jak nasza wnuczka. Jeszcze do dziś uważałam te małe przenośne telefony za zupełnie niepotrzebny wynalazek, ale Sylwia otworzyła mi oczy. Pokazała co i jak. Mój całkiem się do tego nie nadaje, ale ten od ciebie to prawdziwe cudemko. I dlatego od tej pory wszystko będziemy

dokumentować. Zaczniemy od robienia sobie zdjęć, najpierw z okresu narzeczeństwa, potem ze ślubu i wesela.

– Fotografę już zamówiłem.

– Nie mówię o fotografii. Sami będziemy sobie robić zdjęcia i wrzucać do sieci.

Założyłam dla nas konto na Facebooku.

– Ty chyba oszalałaś...

– Wnuczka ci wytłumaczy, że teraz tak się robi. Pamiętasz, jak wczoraj robiłam listę gości? Uprzymiłam sobie, jak mało mamy znajomych, i to mnie przeraziło.

– I z tego przerażenia zmaćciło ci umysł?

Emilia przekreśliła kluczyk w barku i wyjęła z niego szkatułkę z biżuterią. Ze szkatułki wyciągnęła naszyjnik z prawdziwych koralików.

– Nie drwij, dobrze? Musimy poznać nowych ludzi. Skoro zaczynamy nowe życie, róbmy to na całego. Chcę poczuć drugą młodość, Edmundzie. Kto wie, ile mi jeszcze życia zostało.

– Po pierwsze, nie masz pojęcia o internecie, moja droga. Po drugie, ludzie w naszym wieku nie prowadzą Facebooka.

– Otóż to! Będziemy trans... trus...

– Trendsetterami – pomogła jej Sylwia, która właśnie weszła do salonu. – Babcia ma rację, dziadku. Jeśli nie ma cię w necie, to nie ma cię wcale.

Emilia przyciągnęła do siebie wnuczkę i pocałowała ją w usta.

– Moja mała transsetterka.

– Trendsetterka, babciu...

– No przecież mówię: transsetterka. Już teraz możesz zrobić nam pierwsze zdjęcie, kochanie – zwróciła się do Sylwii. – Tym nowym telefonem od dziadka. Wreszcie się na coś przyda.

Sylwii nie trzeba było dwa razy powtarzać. Czmychnęła do drugiego pokoju w poszukiwaniu swojej superkomórki. Wróciła po chwili i usiadła z aparatem na kanapie.

– Może najpierw włóż sukienkę, babciu. Nie chcę nic mówić, ale w samej halce to nie bardzo wypada, nawet trendsetterce... Dziadek to co innego, tylko ten krawat jest za długi, jak u starego... przepraszam, dziadku.

– Obie postradałyście zmysły! – Edmund zacisnął pod szyją supeł i zdjął z krzesła marynarkę. – Żadnych moich zdjęć nie będziecie publikować, nie dam z siebie robić pośmiewiska.

Emilia puściła oko do wnuczki.

– Porozmawiamy o tym później, teraz nie ma na to czasu. Wkładaj buty, Edmundzie!

Sama wcisnęła się w granatową sukienkę i na wciągniętym brzuchu dopięła zamek biegnący wzdłuż lewego boku. Zdmuchnęła z koralu niewidoczny kurz i przełożyła naszyjnik przez głowę. Przeczesła loki, które po wałkach utworzyły fryzurę à la brytyjska królowa Elżbieta.

– Dobrze? – zwróciła się do siedzącego na kanapie jednoosobowego audytorium.

– Jesteś piękna, babciu – przyznała Sylwia. – Pani Lidia będzie zachwycona.

– Ciocia Lidia – poprawił ją Edmund.

– Taka z niej ciocia jak ze mnie rosyjska baletnica... – Emilia westchnęła znacząco. – Żadna rodzina...

Widziała, jak Edmund zaciska zęby. Gdyby nie obecność Sylwii, zrobiłoby się nieprzyjemnie.

– Wrócimy za godzinę. – Emilia poklepała wnuczkę po policzku. – Nie ma co tam siedzieć zbyt długo. Gdzie te zaproszenia?

Obróciła się wokół własnej osi, jakby to miało pomóc w poszukiwaniach. Przypomniała sobie, że sama schowała je za szybą regału, między figurką Dzieciątka z wyciągniętymi w górę rękami a kryształowym koszyczkiem wypełnionym cukierkami z galaretką.

– W piekarniku masz zapiekankę, jakbyś zgłodniała. Jesteś taka chudziutka, powinnaś więcej jeść, moje dziecko.

– W ostatnim miesiącu przytyłam dwa kilo.

– Co to jest dwa kilo? Obie z matką jesteście zbyt chude. Anemia was czeka i leczenie w szpitalu, przekonasz się.

Emilia wsunęła jedno z zaproszeń do torebki, po czym przewiesiła ją przez ramię. Edmund stał już w przedpokoju gotowy do wyjścia. Zanim do niego dołączyła, nachyliła się nad Sylwią.

– Zrobiłaś? – spytała tonem szpiega.

– Tylko trzy – odpowiedziała Sylwia. – Ale ten krawat dziadka...

– Wczorajem pomożesz mi wstawić je na Facebooka.

– Dziadek się wścieknie.

– Nie musi wiedzieć. Jak widać, niektórzy ludzie nie dorośli jeszcze do nowoczesności.

– Ty też nie jesteś nowoczesna. Latem wkładasz rajstopy do kościoła.

– Co to ma do rzeczy? – zachnęła się Emilia. – Można być nowoczesnym w rajstopach, zapamiętaj to sobie. A kościół to święte miejsce i gołymi łydkami przed Bogiem świecić nie można.

Pożegnała się, posyłając Sylwii całusa, i podreptała do przedpokoju. Sylwia zajęła się przeglądaniem kilku zdjęć, które po kryjomu udało jej się zrobić. Wieczorem czekało ją wyjaśnianie babci, co to jest post i jak działają lajki.

* * *

Lidia bardzo się zmieniła, co Emilia odnotowała, gdy tylko przestąpiła próg jej mieszkania. A tak naprawdę mieszkania, które kiedyś należało do Edmunda. Podarował je swojej nieślubnej córce lekką ręką, sam wyprowadził się do wynajmowanej kawalerki znajdującej się nieopodal mieszkania Emilii. Kawalerka była mało wyrafinowana, jeśli chodzi o wystrój i komfort, ale była na tak zwane przeczekanie. Czyli na okres ponownego narzeczeństwa z Emilią, które miało zakończyć się ich wspólnym zamieszkaniem.

Informację o tym, jaki prezent sprawił Edmund Lidii, Emilia odchorowała, ale z trudem. Spokój przyniosło jej zapewnienie, że jego portfel otwarty jest także dla Julii, o ile tylko ona zechce z niego skorzystać.

Na razie jednak szczęściem z otwartego ojcowskiego portfela cieszyła się tylko jedna z jego córek. Mimo to nie było po niej widać szczególnej euforii ani nie biła od niej aura człowieka spełnionego. Owszem, Lidia nadal wyglądała pięknie, jednak nie uśmiechała się już tak radośnie jak wtedy, gdy widziały się po raz pierwszy. Do tego wyraźnie zmizerniała. Być może wrażenie jej anemiczności potęgowała niekorzystna zmiana fryzury. Włosy Lidii były dużo krótsze niż poprzednio, dodatkowo zmieniły kolor i z blondu przeszły w naturalny brąz, zupełnie niepasujący do jej typu urody.

Emilia lekko popychana przez Edmunda weszła do mieszkania jako pierwsza. Po krótkim „dzień dobry” wypadało wyciągnąć dłonie do powitania, zwłaszcza że Lidia już wyprostowała ręce w łokciach i rozłożyła je do uścisku.

– Nie spodziewałam się, co za niespodzianka, tato – powiedziała na jednym wydechu. – Miło panią widzieć, Emilio. Czas pani służyć.

Emilia zrobiła pokazową minę mówiącą ni mniej, ni więcej, tylko „mnie jest średnio miło panią widzieć, oby ta wizyta szybko się skończyła”. Natychmiast oceniła to, co dziewczyna miała na sobie. Na szczupłej sylwetce wszystko leżało dobrze. I

brunatna tunika z czerwoną lamówką pod szyją, i legginsy podkreślające zgrabne nogi. Jednak tym razem na nadgarstkach nie pobrzękiwały już złote bransoletki z zawieszkami po dwieście złotych sztuka, na twarzy Lidii nie było też nawet śladu makijażu.

Weszli do pokoju, tego samego, w którym odbyła się pierwsza rozmowa Emilii z córką Edmunda. Tu nic się nie zmieniło. Nowocześnie umeblowany, z grubym dywanem i dopasowanymi do niego zasłonami, najprawdopodobniej sprowadzanymi z zagranicy. W Polsce takich Emilia nie widziała, a już na pewno daleko do nich było jej zasłonom, wykonanym z domieszką sztucznych włókien, które lubiły połyskiwać wiskozą w świetle lampy czy słońca.

Lidia wskazała fotele, sama stanęła pośrodku pokoju i potarła ręce.

– Kawa, herbata czy sok? – spytała z płytkim uśmiechem.

– Woda wystarczy, kochanie – odparł Edmund. – Nie rób sobie kłopotu.

– Dla mnie nic – oświadczyła Emilia.

– Na pewno?

– Nie zabawimy długo. Pani ojciec ma rację, nie ma co się fatygować. – Emilia pokiwała wyniośle głową.

Lidia wyszła do kuchni, po czym wróciła ze szklanką wody i tacą zasłaną kolorowymi bezowymi ciasteczkami. Postawiła na stole trzy talerzyki. Szturchnięty przez Emilię Edmund podniósł się i nałożył na jeden z nich kilka ciastek. Wyciągnięta ręka Emilii chciwie złapała talerz.

– Przyszliśmy z zaproszeniem – zaczął i od razu sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej kopertę i wręczył ją Lidii.

Kobieta usiadła na brzegu kanapy, odsuwając jedną z eleganckich poduszek. Emilia właśnie wkładała sobie do ust trzecią kolorową bezę. Dwie pierwsze miały różowy kolor, ta była pistacjowa.

– Zaproszenie? – Brwi Lidii uniosły się, nadając migdałowym oczom dziecięcy wygląd. – Na ślub?

Emilia zdążyła przełknąć bezę i oblizać palce.

– Pani ojciec i ja postanowiliśmy pobrać się jeszcze raz. Jak widać, stara miłość nigdy nie umiera – dodała, akcentując słowo „miłość”. Incydent z matką Lidii postanowiła puścić w niepamięć, choć świadomość, że gdzieś jest obca kobieta, z którą Edmund spędził siedzącą obok nich Lidie, znowu zaczynała uwierać. Na temat tego, że po świecie chodzi jeszcze jego syn, którego Edmund miał na długo, zanim

poznał Emilię, milczeli oboje. Nie wiedział, co się z nim dzieje, poza tym, że jego matka wywiozła go z Polski ponad trzydzieści lat temu.

Oczekiwała, że dziewczyna sposepnije. Powinna. Kobieta, która ją urodziła, nie doczekała się ani obrączki, ani nawet zaręczynowego pierścionka. Edmund utrzymywał z nią kontakty tylko ze względu na wspólną córkę. Z biegiem czasu, kiedy Lidia dorastała, ograniczał je coraz bardziej, koncentrując się jedynie na widzeniu ze swoim nieślubnym dzieckiem. Powinna więc poczuć się niezręcznie.

– To wspaniale! – Lidia pogładziła zaproszenie, jakby było darmową wejściówką na rozdanie nagród Grammy. – Co za nowina! Naprawdę, tato, nie spodziewałam się.

– A ja owszem – przyznała Emilia. – Pani ojciec był niewzruszony w tym postanowieniu. Wprost nie mogłam się od niego opędnąć. Chodził, chodził, aż wychodził. Prawda, Edmundzie? Ile to lat, pięć, jak zacząłeś mnie namawiać? Najpierw byłam przeciwna, ale on tak się starał. Teraz mężczyźni nie chcą wiązać się na stałe, a już na pewno nie z byle kim.

Przyglądała się Lidii, czy ta zrozumiała aluzję.

– Moja matka nie była byle kim, bo jak rozumiem, do tego pani pije.

– Nie powiedziałam tego.

– Powiedziała pani. Nie chcę być niemila, ale to wstrętne i... głupie.

Emilia odstawiła pusty talerzyk na podłokietnik fotela.

– Pani matka mało mnie obchodzi. Poza tym nie przyszliśmy tu, by o niej rozmawiać. Niech sobie żyje w spokoju gdzieś... gdziekolwiek.

Zachodziła obawa, że szklanka z wodą, którą Edmund trzymał w dłoniach, zaraz pęknie pod naciskiem jego palców. Odstawił ją bezpiecznie na podłogę, odsuwając frędzle wełnianego dywanu. Dwie pary damskich oczu wpatrywały się w niego w oczekiwaniu na komentarz do sytuacji.

– Zrozumiem, jeśli nie przyjdiesz – odezwał się wreszcie, nie patrząc na Lidie. – To może być dla ciebie kłopotliwa sytuacja. Nie pomyślałem o tym wcześniej.

Zagryzła usta. To, co przydarzyło się jej matce, to jedno. Przytyki przyszłej żony ojca to drugie. O ile zależało jej na tym, by Edmund wiódł szczęśliwy żywot, uciekając od samotności, o tyle coraz mniej obchodziła ją relacja z kobietą, która otwarcie szydziła z jej matki.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia – odezwała się po chwili. – Przyjdę na ślub, ale na więcej nie licz.

– Nie będziesz na przyjęciu?

– Nie chcę być dla nikogo problemem. Wystarczy, że pojawię się w urzędzie. – Uderzyła zaproszeniem w otwartą dłoń.

– Kto tu mówi o problemie, prawda, Emilio?

– Nikt. – Ramiona kobiety uniosły się gwałtownie. – Ale skoro pani nie chce... nie będziemy zmuszać.

– Chciałbym, żebyś wreszcie poznała Julię. – Edmund dołożył do pieca. – Czas najwyższy, żebyście się spotkały. A przyjęcie to wymarzona okazja do rozmowy.

Julia. Znała ją tylko z krótkich opowieści ojca. Jej imię padało niby przy okazji, ale dobrze wiedziała, że tak samo jest z niej dumny, jak przerażony barierą, jaka wyrosła między nimi, gdy opuścił swoją rodzinę. Bez trudu wyczuwała, że Julia wciąż nie przebaczyła ojcu tego, że porzucił jej matkę dla innej kobiety. Wiedziała też, że jest policjantką, przeszła rozwód i sama wychowuje córkę. Któregoś dnia przyniósł jej zdjęcie. Nie dało się doszukać większego podobieństwa między przyrodnimi siostrami. Może miały trochę podobne usta i brody, ale to wszystko. Na zdjęciu wyglądała na kogoś, z kim mogłaby znaleźć porozumienie. Ojciec mówił o niej, że bywa trudna, ale Lidia odniosła wrażenie, że kolce Julii wyrastają głównie przy nim.

– Jeśli tylko ona będzie tego chciała – odpowiedziała, mając na uwadze niechęć przyrodniej siostry do ich wspólnego ojca.

– To wspaniała młoda kobieta – wtrąciła się Emilia. – Tylko życie nie potraktowało jej wystarczająco dobrze.

Edmund poruszył się w fotelu, jakby coś zakłuło go od spodu.

– Co jedno ma wspólnego z drugim? Powinny się poznać, to chyba oczywiste, kochanie. Zwłaszcza teraz – dodał znacząco.

Emilia potarła pierścionkiem o brzeg sukienki, polerując mały brylant.

– No tak. Teraz rodzina będzie pełna. Choć Julia może odebrać nasze zamiary... jak by to ująć... dość nerwowo.

– Bez owacji na stojąco – dopowiedział Edmund.

– Jednak nie ma już od tego odwrotu. Może spróbujemy załatwić to jeszcze dziś? Żeby jak najszybciej mieć to z głowy.

Oboje spojrzeli za zegarki.

– Powinna być o tej porze w domu. – Edmund podciągnął się na podłokietnikach fotela. – A tobie i tak nie chcieliśmy zabierać zbyt dużo czasu. Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy ci przykrości.

Lidia pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi. Jeśli tylko Edmund udźwignie życie

z tą kobietą, to ona też sobie poradzi. Obiecała pojawić się na ślubie, żeby go nie zawieść. Bycie niechcianym smakuje jak piołun, ale to w końcu ojciec. Przyjdzie więc i przyniesie kwiaty, ucałuje młodą parę i wypowie kilka ciepłych zdań. Jednego tylko nie powie: że potrzebuje pomocy. Nie, nie od nich, ale od ich córki, Julii. Oby tylko ona tam była, oby przyszła...

– Wszystko w porządku, kochanie? – Edmund przytulił Lidię, mocno zaciskając ręce na jej drobnych plecach.

– Tak, tato. W porządku. Dbaj o siebie.

Na pożegnanie dorzuciła jeden ze swoich najpiękniejszych uśmiechów. Wypadł dość blado, ale zrobiła wszystko, by tego nie zauważył.

– Bardzo chętnie poznam Julię – wyszeptala mu do ucha. – Zawsze chciałam mieć siostrę.

Pojaśniał. Poklepał ją po policzku, jakby była małym dzieckiem, które przyniosło piątkę ze szkoły.

– Dogadacie się jakoś, potrzeba tylko trochę czasu.

Trochę czasu. Nie miała go już niemal wcale, z każdym dniem topniał jak brudny śnieg na ulicach. Jeszcze kilka tygodni i zniknie na zawsze. Jej poczucie bezpieczeństwa również zniknęło. Do ślubu pozostawał niecały miesiąc. Musi wytrzymać do spotkania z Julią, od tego zależy jej życie.

Kiedy zamknęła drzwi za ojcem i Emilią, dokładnie zaryglowała zamki i sprawdziła, czy każdy z nich dobrze trzyma. Potem poszła do lodówki, chcąc sprawdzić, ile zostało jej jedzenia. Na półce znalazła jedno opakowanie sera i paczkowanej szynki. Dwa pomidory i kilka jogurtów na śniadanie. W chlebaku leżała rozpoczęta paczka żytniego chleba, w dużej szufladzie pod piekarnikiem puszka czerwonej fasoli i puszka mleka kokosowego. Miała jeszcze kilka kolorowych ciastek, którymi poczęstowała przed chwilą gości, ale to wszystko było mało.

Oceeniła, że zapasy skończą się pojutrze, w najlepszym wypadku za trzy dni. Usiadła przy laptopie i otworzyła stronę internetową FreshMarketu. Zalogowała się jako Aleksandra Majewska, podając nazwisko zaprzyjaźnionej sąsiadki z górnego piętra. Numer mieszkania, który wpisała do zamówienia, też nie należał do niej. Tak się umówiły, bez tego nie byłaby bezpieczna.

Zamówiła dużo, znacznie więcej niż poprzednim razem. Mięso i chleb zamrozi, warzywa udusi i powkłada do słoików. Placki do burrito długo utrzymują świeżość, wystarczy, że po otwarciu opakowania zamknie je szczelnie. Mleko dobrze jest mieć

w półlitrowych kartonach, bo w litrowych szybciej się psuje. Co jeszcze? Dodatkowa pasta do zębów i szampon. Lepiej, żeby to wszystko było pod ręką. Dostawa zapuka do drzwi na wskazanym piętrze w oznaczonym dniu i o podanej godzinie. Nie będzie niepotrzebnego stresu i lęku, że ktoś, o kim boi się nawet pomyśleć, ją odnajdzie.

Zapłaciła online i zamknęła z ulgą stronę. Podeszła do okna i nie odchylając zasłony, rozejrzała się po ulicy. To samo zrobiła po drugiej stronie mieszkania zwróconej ku podwórzu.

Niecały miesiąc, powtórzyła w myślach. Do tego czasu zamieni swoje mieszkanie w bunkier. Ale najważniejsze, że będzie żyła.

ROZDZIAŁ XIV

Kłębiły się, tylko tak mogła to określić. Dwanaście dziewczynek opanowało basenową przebieralnię, przepychając się do wolnych szafek i sprawdzając, czy zamki sprawnie działają. Julia dała im pięć minut na zrzućcie ubrań i stawienie się w kostiumach pływackich i czepkach. Z pięciu minut zrobiło się dziesięć, a i tak połowa wesołej gromadki wciąż biegła w kozakach, w tym jej Sylwia. Chłopcy siedzieli już w wodzie i czekali na rozpoczęcie zajęć, o czym poinformował ją jeden z ratowników, wsuwając głowę przez drzwi. Damska przebieralnia tonęła natomiast w rzuconych na podłogę bluzkach i wymieszanych kłapkach. I w harmidrze, od którego dawno powinny już pęknąć ściany.

Czuła, że katastrofa jest blisko. Próby okiełznania towarzystwa były jak walka Dawida z Goliatem, jak strzelanie z wiatrówki do czołgu. Albo ja, albo one, pomyślała. Wgramoliła się w swoich zamszowych butach na obcasach i wąskiej sukience na ławkę i włożyła do ust dwa palce. Przeciągły gwizd przeciął wrzawę. Rozdziawione buzie małych krzykaczek zamilkły.

– Zaczynam odliczanie. Kto nie zdąży, ten...

– Cuchnący trup! – dokończyła Sylwia.

Julia posłała córce pełne dumy spojrzenie. Moja krew, pomyślała. Jeśli to miało zakończyć chaos, mała najwyraźniej trafiła w sedno.

– Dziesięć, dziewięć...

Szafki zaczęły zapełniać się ściąganyymi swetrami i spodniami. Dziewczęta bez szemrania wkładały na siebie obcisłe kostiumy. Żadna nie chciała być cuchnącym trupem.

– Sześć... cztery...

Nie musiała kończyć, dziewczynki stanęły w rzędzie, zanim doliczyła do dwóch. Zeskoczyła z ławki i dopiero teraz sama zdjęła z pleców płaszcz. W tym zgiełku zapomniała, że poci się niemiłosiernie pod grubą wełną.

– Wymarsz! – rzuciła i machnęła ręką.

Sylwia szła jako ostatnia, zamykając dwunastoosobowy ogonek i ociągając się z

każdym stawianym krokiem. Odkąd Julia zdjęła płaszcz, córka spoglądała na nią jak na egzotyczny fenomen.

– O co chodzi, kochanie? – Julia położyła jej rękę na ramieniu, popychając lekko w stronę wejścia na halę z torami wodnymi.

– Dziwnie wyglądasz. Masz dziś randkę?

– Nie rozumiem.

– Widziałam przecież róże w słoiku w naszej kuchni, nie jestem ślepa. Dostałaś na walentynki. Poza tym ładnie pachniesz i masz sukienkę. Mogłaś ją chociaż wyprasować...

– Nie mów bzdur. I nie mam żadnej randki.

– I tak powiem babci. Kto to?

– Nikt. A z babcią to ja sama już sobie porozmawiam. Słyszałam, o czym spiskujecie za moimi plecami.

Sylwia z tajemniczą miną zdjęła klapki i podeszła do brzegu basenu. Nie zamierzała zdradzić Emilii, dawno już przeszła na jej stronę. Na stronę Edmunda też, została tanio kupiona nową komórką z opcją wideorozmów.

Instruktor zaczął zajęcia z piętnastominutowym opóźnieniem. Zapraszającym gestem dał Julii znać, że może przyglądać się lekcji z krzesła stojącego pod szklaną ścianą. Przysiadła, jednak zajęcia klasycznej nauki pływania szybko zamieniły się w diabelskie show. Zaczęło się od popisów chłopców wpadających na wyścigi do wody na bombę, na główkę i tak zwaną dechę. Potem spektakl przeobraził się w recital pisków wydawanych przez ochlapywane dziewczęta. Im większy chlust lądował na ich plecach lub nogach, tym bardziej skala głosu szła w górę.

Wycofała się chyłkiem do szatni, zanim halę pływacką przeszły dwa przeciągłe gwizdki instruktora. Zebrała z podłogi kilka ciśniętych byle gdzie sportowych worków i ustawiła do pary porzucane kozaki. Spod ławki wyciągnęła czyjś breloczek z kluczami do mieszkania. Puchaty czerwony pompon zrobiony z prawdziwej króliczej sierści i przytwierdzonym do niego czerwonym serduszkim. Musiał należeć do romantycznej, acz mało ekologicznej gadzeciary. Serduszko miało mechanizm otwierania, wystarczyło nacisnąć mały guzik, by wieczko uchyliło się i pokazało miniaturowe zdjęcie pudła. Fotografia wklejona była do góry nogami, Julia przekręciła serduszko, by przyjrzeć się pudłowi. Biały, zadbany i podstrzyżony po bokach, z idealnie uformowaną kulką na końcu ogona.

Zatrzasnęła serduszko i zakręciła brelokiem wokół palca. Przecież prawdziwe

ludzkie serce tak nie wygląda, przeszło jej przez myśl. Prawdziwe serce przypomina mało kształtny worek albo niezdarnie uszytą sakiewkę do noszenia pieniędzy. Swoją drogą, ktoś, kto wymyślił formę dwóch symetrycznych połówek pękających na górze i schodzących się w szpic na dole, powinien opatentować wzór i otrzymywać honorarium za jego wykorzystywanie. Ramki, doniczki, kubki i torty. Poduszki, dywaniki i lizaki. Nawet breloczki i kolory w kartach, nawet tatuaże.

Tatuaże.

Król i królowa kier, skrywana relacja między przyjaciółmi z dzieciństwa, zapisana na zawsze na skórze w postaci wytatuowanych serduszek. Mało to dojrzałe, ale trudno o dojrzałość, kiedy ma się czternaście lat. Wtedy byli kumplami, nie mogło być mowy o poważnym uczuciu. Co innego rok temu, kiedy byli już dorosłymi ludźmi. Jednak gdyby Klaudia z Leonem kochali się naprawdę, nie ukrywaliby się po kątach i nie wypierali uczucia. Byli przecież wolni, i on, i ona. Nic nie stało na przeszkodzie, by stali się parą. Że nie ta liga, on biedny, a ona bogata? W miłości nie ma czegoś takiego jak „nie ta liga”. Nie ma barier dla króla i królowej. Zatrzymali się jednak tylko na pojedynczych schadzках i wytatuowanych na przedramionach sercach. Romantycznie i głupio zarazem.

Dochodzące z pływalni wrzaski nie pomagały w myśleniu. Julia wyjęła z torby słuchawki i włożyła je do uszu, puszczać ze Spotify relaksacyjną muzykę. Szum wody w górskim potoku podziałał na nią jak masaż na obolałe skronie. Był zgoła inny niż ten dobywający się zza ściany. Dzieciaki bezlitośnie młóciły rękami i nogami wodę, dołączając do tego bojowe okrzyki. Zdecydowanie wołała górski strumień. Docisnęła słuchawki, by nie docierało do niej nic z zewnątrz.

Klaudia wciąż była dla niej zagadką. Jawiła się jako życzliwa pozorantka, niewinna krętaczka próbująca swoich sił na wojnie, o której zasadach nie miała pojęcia. Może miała dobre zamiary i chciała za wszelką cenę chronić Marię i samą siebie, ale zabrała się do tego nieudolnie. Zaczęła z wysokiego C, przyjmując pozycję obronną. Spokorniała szybko pod wpływem małego szantażu i zaczęła trząść portkami ze strachu przed rodzicami. Nie byliby zachwyceni informacją, że ich wychuchana córka, w którą inwestują grube tysiące, bawi się w brzydkie gry dla dorosłych. Szła w zaparte, zasady gry jednak ją przerosły, a na dodatek trafiła na przeciwniczkę o wiele bardziej błyskotliwą i przenikliwą od niej. Gdyby nie ten mały tatuaż z literą Q i skierowanym w górę czarnym sercem, mogłaby się nawet całkowicie wyprzeć znajomości z Leonem. Wystarczyło jednak, że Julia kazała jej podciągnąć rękaw

szlafroka i pokazać prawą rękę. Taki drobiazg...

Zaraz... Skierowanym w górę?

Julia zatrzymała szum strumyka w słuchawkach. Odszukała w telefonie film z gorącej nocy, w której Leon tak ochoczo namawiał swoją partnerkę do baraszkowania pod prześcieradłem.

Gdzie to było... która minuta? Przesuwała kolejne kadry, aż uchwyciła właściwy moment. Włączyła odtwarzanie. Znów widziała, jak leżący na łóżku Leon wyciąga rękę z wytatuowaną literą K i sercem. W dół, serce skierowane było w dół. Król kier, tak samo jak u dziewczyny na filmie.

Zatrzymała obraz, na którym ręce kochanków dotknęły się. Widać było wyraźnie, tatuaże różniły się jedynie literami: K i Q, jednak serca pod nimi były takie same.

– Jasna cholera... – wymamrotała pod nosem Julia. – Jasna cholera!

„To było dla zabawy..., zrobiliśmy sobie wzory na skórze..., nasza paczka zawsze razem...” – wypowiedziane ostatnio słowa Klaudii nagle nabrały innego znaczenia. Kiedy wychodziła z jej mieszkania, dręczyło ją coś, czego nie potrafiła nazwać. Teraz wiedziała już wszystko.

Chciała zadzwonić do Górnego i powiedzieć, że wreszcie przejrzała na oczy. Wybrała jego nazwisko z listy kontaktów, wystarczyło jedynie wcisnąć zieloną słuchawkę na ekranie. Cofnęła jednak kciuk i zgasiła wyświetlacz.

Dziewczynki wróciły do przebieralni wymęczone. Julia nakazała im powycierać sobie wzajemnie plecy i pochować potem mokre ręczniki do worków. Niepotrzebne były już gwizdy i odliczanie, bez słowa sprzeciwu powkładały swoje ubrania i ruszyły do pomieszczenia z suszarkami do włosów. Sprawdziła każdą głowę, czy nie jest wilgotna, i odczekała, aż naciągną na uszy czapki. Kiedy cała klasa znalazła się w szkolnym busie, odetchnęła z ulgą. Za kilkanaście minut pozbędzie się pachnących basenowym chlorem dzieciaków i wróci do dorosłego życia. A właściwie do śmierci. Do prawdziwego powodu śmierci Leona Rawskiego i jego kazirodczego związku z Marią. Grzesznego romansu, który podobnie jak w wypadku Arlety Rawskiej zniszczył rodzinę. Który po prostu musiał zakończyć się rodzinnym dramatem.

* * *

Nie widziały się od roku. Teraz znalazły się przed małym zakładem kamieniarskim o nazwie „Gran-Mar Dąbecki”, czekając, aż poprzedni klient opuści warsztat, by mogły

wejść do środka. Od dobrego już kwadransa podziwiały granity i marmury porozkładane na całej szerokości podwórza oraz gotowe do kupienia tablice nagrobne opierające się o betonowe ogrodzenie.

Judyta stanęła przed jedną z nich. Tablica była czarna, tylko gdzieś tam przez granit biegły jaśniejsze żyłki.

– Może taka?

Maria wzruszyła ramionami z dezaprobatą.

– Nie będzie pasować. Poza tym jest zbyt przygnębiająca.

– Śmierć jest przygnębiająca – rzuciła z przekąsem Rawska-Kawka. – Poza tym twoja matka lubiła czerń, więc nie ma co wydziwiać. Czerwonej tablicy przecież nie kupimy. No to co, szara? – spytała, dotykając chropowatej powierzchni kamienia. – Będzie w sam raz do grobowca.

– Jest stary, do starego nic nie pasuje. Już lepiej jest postawić zwykłą blaszaną tabliczkę, taką samą, jaką ma Leon. Przynajmniej nie będzie się gryzła z tym paskudnym bunkrem.

– Ładnie go nazywasz...

– Bo taki jest. Jak ponemiecki bunkier.

– Twoja matka sama go wybrała, więc nie miej pretensji.

– A co miała zrobić? – Maria skrzyżowała ręce na piersiach, chowając zziębnięte dłonie pod pachy. – Gdzie mielibyśmy wszyscy leżeć, w lesie?

Judyta szła dalej, mijając gazony na kwiaty, które stawia się pod krzyżami. Praktyczne i ciężkie. Zbyt masywne, by postawić je na starej nawierzchni grobu. Górna płyta była i tak wystarczająco popękana, dodatkowe obciążenie mogłoby spowodować jej całkowite zarwanie się i zawalenie.

Maria szła za nią. Nie zwracała uwagi na kamienne donice. Dużo bardziej od cmentarnych ozdób martwiło ją to, jak będzie wyglądał sam pogrzeb. A konkretnie, jak będzie wyglądała matka. Kiedy zobaczyła ją w zakładzie medycyny sądowej, ugięły się pod nią kolana. Na pozostałych osobach towarzyszących jej podczas oględzin zwłoki nie zrobiły większego wrażenia. Nie pierwszy i nie ostatni raz widzieli trupa z wisielczą szramą na szyi.

Jednak prosektorium to jedno, a pogrzeb to drugie. Ciało matki spocznie w trumnie i zostanie wystawione na widok ludzi, którzy nie oglądają na co dzień samobójców. Koszmarne wykrzywienie ust i szpecąca bruzda na szyi będą dla nich odrażające. Może zakład pogrzebowy coś z tym robi, upudruje jej twarz i pociągnie kredką

wargi, żeby nie były takie sine. Założy na szyję chustkę, by ukryć ciemny ślad po zadziergniętej pętli. Powinna tam zadzwonić i o to poprosić. Dopłaci do usługi, jeśli będzie trzeba. Byle tylko nikt nie przyglądał się zbyt dociekliwie i nie zadawał zbyt wielu pytań.

– Blaszana tabliczka szybko zardzewieje. – Głos Judyty wyrwał ją z rozmyślań. – Ta Leona pewnie już jest do wymiany.

Maria przystanąła nagle między kamiennymi gazonami.

– Nie wygląda najgorzej. Gdybyś zajrzała tam choć raz, wiedziałabyś.

– Wolałam trzymać się z daleka.

– Od niego czy od nas wszystkich?

– Od przeszłości. Mojej i Arlety. Od twojej też, Mario. Ja przecież wiem o wszystkim.

– Nic nie wiesz. I chciałabym, żebyś nie mieszała się w nie swoje sprawy – odpowiedziała ostro.

– A ja bym chciała, żeby moja siostra żyła. – Rawska-Kawka nie czekała z ripostą.

– Nie tylko ty ją straciłaś, ale ja również. Więc nie mów mi, że mam się nie mieszać.

Maria wolała odwrócić się plecami, by odciąć się od przenikliwego wzroku ciotki.

– Powiedz mi: kiedy to wszystko się zaczęło? – Judyta zaszła ją od przodu, tak że nie mogła już uciec.

– Ja...

Maria zacisnęła usta. Nawet gdyby chciała jej odpowiedzieć, nie wiedziałaby, od czego ma zacząć. To było jak rak, który zżerał ją, odkąd pamiętała. Straciła przez niego samą siebie i dwoje ludzi. Bezwrotnie i na własne życzenie. To, co działo się między nią a Leonem, było jak taniec nad krawędzią przepaści. Roztańczyli się do nieprzytomności, a teraz przyjdzie jej pochować kolejną ofiarę ich opętańczego *danse macabre*.

Judyta odgarnęła dredy z policzków dziewczyny i ujęła jej twarz w swoje dłonie. Była już spokojniejsza i nie zamierzała atakować.

– Nie musisz się mnie wstydzić ani bać. – Przesunęła kciukami po policzkach siostrzenicy. – Powiedz: ile miałaś lat? Piętnaście, szesnaście?

Maria nie zamierzała o tym mówić ani teraz, ani nigdy. Gdyby nie ciepło dłoni ciotki, jakie poczuła na swojej twarzy, nie pękłaby.

– Trzyście – powiedziała cicho. – Jestem skończoną idiotką. To wszystko stało się przeze mnie.

– Nie, Mario. Winnych jest znacznie więcej, niż ci się wydaje.

– Masz na myśli moją matkę?

Judyta skinęła lekko głową.

– Była bezradna. Miała tyle samo lat co ty, kiedy zaczęło źle się dziać w naszym domu. To zrobiło z niej emocjonalną kalekę.

– Wiem.

– Od niej? – spytała z niedowierzaniem Judyta. – Przyznała się przed tobą do swojej historii?

– Nie. Matka nigdy nie rozmawiała ze mną na ten temat. Wiem od Leona. Powiedział mi o tym na kilka miesięcy przed swoją śmiercią. Długo nie miałam pojęcia, że wcześniej nasza matka... że to wszystko się powtarza, jak jakaś klątwa.

Była poważna. Chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętała. Do tej pory jawiła się Judycie jako rozbestwiona smarkula, nieumiejąca porozumiewać się inaczej jak tylko poprzez drwinę i uszczypliwe docinki.

– Dlaczego się na to godziłaś? – spytała otwarcie.

Maria roześmiała się gorzko, jakby usłyszała niemądry żart.

– Dlaczego ludzie zgadzają się na miłość? To była obsesja. Nie mogliśmy bez siebie żyć. Tak, wiem, że trudno w to uwierzyć. A jednak... Im rzadziej się widywaliśmy, tym bardziej nas do siebie ciągnęło. Ja pragnęłam jego, a on mnie, po prostu.

– Wiesz, że to grzech. Do tego ciężki, jeden z najgorszych.

– I będę się za to smażyć w piekle? – parsknęła Maria. – A nawet jeśli tak, to sądzisz, że się tego boję? Jeśli się kogoś kocha, to nie myśli się o konsekwencjach. Bo ja go wciąż Kocham. I jednocześnie nienawidzę. Rozumiesz?

– Nie. Nie wiem, jak to jest. Ja nikogo nie kochałam – przyznała bez żalu Judyta. – Chyba nie umiałam po tym, co widziałam w naszym domu. Nawet nie wiem, czy jest czego żałować, patrząc na to, ile krzywdy może wyrządzić ludziom miłość.

– Problem w tym, że każdy jej pragnie. Ja nie byłam wyjątkiem. Nie chciałam tylko, by to się wydało – przyznała Maria. – Michałowice to dziura, wszyscy wiedzą o wszystkich i wytykają palcami, jak tylko ktoś wystawi głowę poza schemat. Zresztą, sama dobrze wiesz. Dlatego dużo bardziej niż kary od Boga bałam się ludzkiej nienawiści i upokorzeń.

– A on?

– Leon? Tym się różniliśmy. On nie bał się niczego i nikogo. A już na pewno nie

matki.

– Nigdy nie zareagowała?

Maria wzruszyła ramionami ukrytymi pod cienkim trenczem.

– Może myślała, że tak ma być. Zresztą, nie wiem, co myślała, może to ją wcale nie obchodziło.

– Emocjonalna kaleka – powtórzyła Judyta.

– Nie chciała się wtrącać. Chociaż nie, raz się wtrąciła. Miałam wtedy piętnaście lat. Leon wpadł do nas na Dereniową i zamknęliśmy się w moim pokoju. To znaczy w naszym, moim i Ninki. Ninka bawiła się na dole, w pokoju byliśmy więc sami. Matka nas przyłapała, jak siedziałam mu na kolanach. Całowaliśmy się, on trzymał ręce pod moją bluzką. Stała w progu jak wryta. Wiedziała, co za chwilę będziemy robić. Kazała nam się wynosić. Leon powiedział, że nigdzie się nie ruszy i żeby zamknęła za sobą drzwi. Tak naprawdę naskoczył na nią. Doszło do spięcia. Matce chodziło głównie o Ninke, żeby się nie dowiedziała. Wzięliśmy poduszkę i poszliśmy na strych. To wystarczyło, żeby się uspokoiła. Musieliśmy po prostu zejść jej z oczu.

– Myślę, że nie chodziło jej tylko o Ninę. Nie chciała, żeby ludzie wzięli waszą rodzinę na języki. Życie z takim piętnem było dla niej nie do zniesienia.

– W to akurat mogę uwierzyć. On mnie przecież nie krzywdził, robiłam to z miłości. Bo to była prawdziwa miłość. Za każdym razem, kiedy odjeżdżał, myślałam, że umrę. Nawet oddychać było mi wtedy trudno. Leon też mnie kochał. Przynosił kwiaty i małe prezenty.

– Wykorzystywał cię, Mario! A wasza matka pozwalała na to, by pod jej własnym dachem działa się krzywda.

– Nie! – Maria kopnęła ciężkim martensem leżącą pod nogami brukową kostkę. – Ty cały czas nic nie rozumiesz! Nie wiem, czego się miałam właściwie spodziewać... Ktoś, kto tego nie doświadczył, nie może mieć pojęcia, co łączy siostrę i brata. Byliśmy ze sobą tak blisko, tak bardzo blisko... Powiem ci jedno, i nie obchodzi mnie, czy w to uwierzysz, czy nie. Dwoje obcych ludzi nigdy nie pokocha się tak jak rodzeństwo. Płynęła w nas ta sama krew. Myśleliśmy tak samo i czuliśmy tak samo. Przenikaliśmy się, rozumiesz?

– Nazywasz zło, które się działo, miłością i przenikaniem? Zło zawsze pozostaje złem, bez względu na to, w jakie słowa je ubierzesz i jak pięknie będziesz je tłumaczyć.

– Oceniasz mnie. Nie powinnaś, bo nie masz pojęcia, jak to jest. To jest jak

choroba, której nie da się wyleczyć. I żadne z nas nie zamierzało tego robić. Chcieliśmy, by trwała. Ale nie tam, nie w tej dziurze z dwiema ulicami na krzyż. Planowaliśmy uciec, zniknąć gdzieś daleko i żyć ze sobą do końca.

– Brzmi jak tani romans z dziewiętnastowiecznej szkoły dla pensjonarek.

Maria, nie bacząc na pokryty wilgocią wzór pomnika z marmuru, przysiadła na jego brzegu.

– Nie drwij, proszę. To naprawdę boli – powiedziała, zapadając się w siebie.

Judyta stanęła nad zgiętymi plecami dziewczyny.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale dla mnie to też nie jest łatwe. Za dużo widziałam jako dziecko i do tej pory nie umiem sobie z tym poradzić. To jakaś koszmarna kalka.

– Jaka matka, taka córka? Niedaleko pada jabłko od jabłoni i tym podobne bzdety?

– Z małym wyjątkiem. Twoja matka, w przeciwieństwie do ciebie, nie kochała swojego brata. Dręczył ją i zmuszał do seksu.

– Jezu...

– Podporządkował ją sobie i traktował jak swoją własność. Całe życie była pod jego wpływem. Bezwolna i poddawana zachciankom starszego brata. A ja na to patrzyłam i nic nie mogłam zrobić. Byłam tylko młodszą siostrą, z którą nikt się nie liczył i której nikt nie wierzył. Kiedy w końcu Arleta powiedziała, że jest w ciąży, myślałam, że matka ją zabije. Nie jego, bo on był dla niej nietykalny, ale moją siostrę. Wtedy do niej dotarło, co tak naprawdę się dzieje, ale nie na tyle, żeby położyć temu kres. Kazała im tylko trzymać języki za zębami, żeby się nie rozniosło. Przy drugiej ciąży, kiedy Arleta nosiła ciebie, było to samo. Brudy mieliśmy prac w czterech ścianach. Ważne, żeby ludzie nie gadali. Rozumiesz teraz, dlaczego nie potrafię słuchać ze spokojem tego, co mówisz?

– Nie miałam o tym pojęcia, że ją zmuszał... W ogóle o niczym nie wiedziałam, aż do niedawna.

– Może i dobrze. Dzięki temu miałaś spokojną młodość. Moja skończyła się szybko. Po tym jak się urodziłaś, rodzice zmarli. Jedno po drugim. Wiesz, co powiedziała mi moja matka, kiedy odchodziła? Że wreszcie od wszystkiego odpocznie. Od tego wstydu.

Judyta odeszła kilka kroków i zatrzymała się przy wzorach kamiennych kwiatów wyłożonych na jednej z ekspozycyjnych płyt.

– Dlaczego nie uciekliście? – spytała, zostawiając za sobą gorzką przeszłość.

Maria wzruszyła ramionami.

– Czas było dorosnąć i przejrzeć na oczy. Zrozumiałam, że trzeba przerwać to szaleństwo. Leon nie chciał o tym słyszeć, więc musiałam wziąć sprawy w swoje ręce. Zaczęłam go unikać, wychodziłam z domu, kiedy miał się pojawić. W końcu powiedziałam mu, że to koniec, że więcej tego nie zrobimy.

– Dotarło?

– Nie. Nie miał zamiaru ze mnie zrezygnować, nawet wtedy, gdy zabroniłam mu pojawiać się u matki. Ale on ciągle pisał, wysyłał mi setki esemesów z prośbą o spotkanie. Męczył się, a ja nie odpisywałam.

– Ostre cięcie jest lepsze od powolnego odłączania kroplówki.

Maria podniosła oczy i zapatrzyła się w wirującą nad zakładem kamieniarskim skrzeczącą wronę.

– Groził, że się zabije. Chciał iść na tory, te niedaleko naszego domu. Zaczęło mu odbijać. I potem nagle znikł. Zaszły się u ojca i nie przychodził. To trwało ze dwa lata.

– Nie widywaliście się wtedy wcale?

– Wcale. To miało go ostudzić. I mnie też – dodała Maria. – Ja naprawdę chciałam o nim zapomnieć. Na siłę zaczęłam spotykać się z innymi ludźmi.

– Z chłopcami?

– Mhm. Żeby zająć myśli kimś innym. Założyłam nawet kilka kont na portalach randkowych. Ale wiesz co? Boże, jakie to głupie... W każdym z tych facetów szukałam jego. Tych ciemnych oczu i podstrzyżonych po bokach włosów. Głupie, co?

– Głupie. I niebezpieczne.

– To było silniejsze od zdrowego rozsądku. Uciekałam od niego i jednocześnie chciałam z nim być. W końcu poznałam Murata. Miał ciemne oczy, jak Leon. Znał trzy języki i miał patent żeglarza. Wystarczyło tylko wmówić sobie, że to jest facet dla mnie, i poczekać, aż skończę osiemnaście lat. Wyobrażałam sobie, że z tym jego patentem uciekniemy gdzieś tak, jak kiedyś chciałam uciec z Leonem.

– Patent na łódki był ważniejszy od uczucia do tego chłopaka?

– Próbuję ci wytłumaczyć, w jakim bagnie byłam.

– Wykorzystywanie ludzi w ten sposób jest podłe. Nie pomyślałaś o tym?

– Życie jest podłe. Zasady, które ludzie wymyślili, żeby innym ludziom upieprzyć istnienie, są podłe. Tak zwane normy społeczne, dyktujące, co jest dobre, a co złe, i kogo mogę kochać, a kogo już nie mogę, są podłe. Paragrafy i kodeksy, według

których nie można być sobą, są podłe. Języki sąsiadów, których bardziej interesuje to, co dzieje się za płotem niż w ich własnych domach, są podłe! Mam wymieniać dalej?

– Nie musisz.

– Po co więc ta gadka o podłości?

– Nie powinnaś leczyć się ze swojej choroby kosztem tego chłopaka, Murata.

– On o niczym nie wiedział i dalej nie wie. – Maria dźwignęła się z zimnej płyty i podeszła do ciotki, pokazując dłoń z pierścieniem zaręczynowym. – Poprosił mnie o rękę. Zgodziłam się.

– Małżeństwo bez miłości... Skąd ja to znam.

– Myślisz, że się uda? – spytała z nadzieją Maria. – W końcu nauczyłabym się go kochać.

Judyta uśmiechnęła się smutno, patrząc na drogie świecidełko.

– Miłości nie można się nauczyć – odrzekła z przekonaniem. – Mnie przynajmniej to się nie udało.

Przeszły między płytami i kolejnymi figurkami ogrodowymi. Kiedy minęły odlaną z gipsu małą fontannę i przystały przy figurach aniołów, z warsztatu wyszedł wreszcie klient, a za nim mężczyzna w kufajce i ogrzewanych gumiakach. Ręce miał brudne od złotej farby, w palcach trzymał pędzelek i małą puszkę.

– Panie wybaczą, ale klient rozmyślił się co do koloru liter i musiałem od ręki poprawić. Cholerny upierdliwiec, to już drugi raz, jak zmieniam kolor liter na tablicy. Czego potrzeba, coś dużego na grób czy do ogrodu? – spytał, ocierając przedramieniem czoło.

Mina mu zrzedła, gdy Maria wspomniała o jednej skromnej tabliczce. Judyta dołożyła od siebie smukłą figurkę anioła. Pokazała palcem, który ma stanąć na rodzinnym grobowcu.

– Ten, ale na dole ma mieć dodatek. Przy stopach niech mu pan położy wieniec laurowy. Kamienny, ma się rozumieć.

– Na kiedy? – spytał kamieniarz zawiedziony tak mizerną transakcją.

Judyta spojrzała pytająco na siostrzenicę.

– Na pojutrze – odpowiedziała Maria. – Pogrzeb odbędzie się w środę o dziesiątej. Da pan radę?

– Zrobi się. Tylko trzeba zrobić zamówienie. Podać dane zmarłego i swoje do faktury za anioła. – Wskazał zapraszająco na drzwi warsztatu. – Komu się zmarło? – dopytał urzędniczym tonem, bardzo oschłym jak na okoliczności.

Maria chciała wymówić nazwisko matki, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Wydawało się jej, że oswoiła się już z myślą, że matka nie żyje. Kiedy jednak przyszło do wypowiedzenia jej imienia, oczy zwilgotniały. Pokręciła głową i zasłoniła ręką usta.

– Zajmę się tym, ty możesz zostać na zewnątrz. – Judyta wyminęła dziewczynę i ruszyła za mężczyzną w stronę warsztatu.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Maria podeszła bliżej do figurek aniołów. Ten, którego wybrała dla matki Judyta, był okazały. Oceniła na oko, że ma co najmniej półtora metra. Oby tylko płyta wytrzymała pod jego ciężarem. Gdyby Maria miała pieniądze, sama zamówiłaby takiego, nie oglądając się na ciotkę. Tak naprawdę zamówiłaby dwa. Drugi byłby dużo mniejszy. Byłby to właściwie aniołek, nie anioł, i miałby wielkość maleńkiego dziecka.

Pogładziła skrzydła anioła. Zebrała się na nich wilgoć, która wisiała w powietrzu od rana. Roztarła w palcach kroplę wody, ale wydawało się jej, że nie jest przezroczysta. Woda spływająca z figurki miała w oczach Marii kolor czerwony.

* * *

Julia siedziała w skodzie i oddychała głęboko, próbując uregulować oddech na tyle, by nie zemdleć zaraz po wyjściu z auta. Przez otwarte okno wdzierало się rześkie powietrze, chłodne i przesycone wilgocią. Jednak nie czuła zimna. W jej płucach i żołądku buchało ciepło porównywalne do piekielnego ognia. Przekręciła lusterko wsteczne, żeby zobaczyć, czy po wizycie na pływalni nie rozmazał się jej tusz na rzęsach i czy podkład, którego nie używała chyba od roku, nie zwarzył się na twarzy. Policzki i czoło błyszczwały, jakby dopiero co zeszła z plaży w środku lata. Wygrzebała z torby puderniczkę i przycisnęła gąbkę do świecących partii twarzy. Usta zdążyły już wyblaknąć, pociągnęła więc sztyftem po wargach i roztarła pomadkę palcem. Jeszcze włosy. Przeczesała je szczotką należącą do Sylwii. Dziecięcą, kupioną dwa lata temu po spazmach córki, że musi mieć właśnie taką i że umrze, jeśli jej nie dostanie. Firma Tangle Teezer była wtedy na topie, wypuszczała na rynek dziesiątki wzorów, Sylwia uparła się na model z rysunkami psich łebków z zawiązaną nad uszami różową kokardką. Po kilku miesiącach szczotka wylądowała na dnie szuflady córki przysypana milionem niepotrzebnych drobiazgów, a potem w koszu pod jej biurkiem. Z kosza, uratowana przed wysłaniem na wysypisko śmieci, trafiła do torebki Julii.

Pozostało już tylko spryskać szyję perfumami. Delikatnie, żeby Artur nie poczuł

się jak w drogerii, a przede wszystkim żeby nie pomyślał, że to dla niego.

Było pięć po czternastej, kiedy zamknęła drzwi skody i ruszyła w stronę wejścia do hotelu Hilton. Budynek miał przeszklone lobby. Zanim przeszła przez obrotowe drzwi, przylepiła twarz do szyby, by sprawdzić, czy Artur jest już w środku. Nic nie zobaczyła, od szyb odbijał się widok parkingu dla taksówek i skrawek trawnika znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy.

Pchnęła drzwi i weszła do przestronnego holu. Rozejrzała się po wielkiej powierzchni, od długiego recepcyjnego stołu znajdującego się po lewej stronie, aż po szatnię umieszczoną w przeciwległym kącie. Z ruchomych schodów zjeżdżali poważni mężczyźni w garniturach i roztrajkotane kobiety w garsonkach, wszyscy mieli przypięte do ubrań plakietki z nazwiskiem i nazwą konferencji. Przerwa wygoniła uczestników na kawę i szybkiego papierosa przed drzwiami hotelu.

Patrzyła przez chwilę z zadartą głową na kolejnych zjeżdżających, ale nie rozpoznawała w nich znajomej sylwetki.

W torbie zadzwonił telefon.

– Idź prosto w stronę beżowych foteli i kanap – usłyszała głos Artura. – Są po prawej stronie, tak, dobrze. Widzę cię, jeszcze tylko kilka kroków.

Zobaczyła go, gdy nadal trzymał swój telefon przy uchu. Na jej widok wsunął komórkę do kieszeni marynarki i wstał z fotela. Miała wrażenie, że moment, w którym podchodziła do hotelowej strefy wypoczynku, trwa wieczność. Odgarnęła włosy z czoła i przyglądała sukienkę na brzuchu z nadzieją, że może nie jest aż tak pognieciona, jak sugerowała Sylwia. O tym, że suszyła się od piątku na kaloryferze, przypomniała sobie kilka godzin temu i nie było już czasu na włączanie żelazka.

Śledził te pozornie naturalne ruchy, kiedy na szybko rozprostowywała materiał sukienki, jednak koncentrował się przede wszystkim na jej twarzy. Powitalny uśmiech miał wypaść naturalnie, tyle razy ćwiczyła go przed lustrem w łazience, że mięśnie policzków powinny zapamiętać swój układ. Chyba wyszło dobrze, bo on też się uśmiechnął. Szczerze i spontanicznie. Zanim zbliżyła się do niego na odległość metra, szybko oceniła wciąż idealnie wysportowaną sylwetkę Artura, przystrzyżone włosy, perfekcyjnie ogoloną twarz i krawat dobrany pod kolor oczu, które powitały ją tym samym łagodnym spojrzeniem co kiedyś. Gdyby nie te trzy lata, podczas których nie mieli ze sobą kontaktu, mogłaby przysiąc, że wszystko jest tak jak dawniej.

– A więc jesteś – powiedział miękko, bez cienia żalu za to, co mu zrobiła wtedy, w przeddzień Wigilii.

Pierwszy wyciągnął do niej rękę. Nie jedną, jak witają się obcy sobie ludzie, ale obie naraz. Aby znaleźć się bliżej, musiała zrobić dodatkowy krok do przodu. Od razu poczuła znajomy zapach Armaniego. Potem był uścisk ramion, najpierw delikatny, po chwili mocniejszy. Przymknęła oczy, świadoma, że on tego nie widzi. Liczyła. Raz, dwa, trzy... zaraz jego ręce odsuną się i chwila pryśnie. Sześć, osiem... Wciąż nie wypuszczał jej z objęć. Czuła na plecach dłonie, za którymi tak długo tęskniła. Były silne i delikatne zarazem, wydawało się jej, że pod ich dotykiem włókna czarnej sukienki rozpuszczą się jak plastik pod wpływem ognia.

– Hej – odpowiedziała, ale nie była pewna, czy usłyszał. Wybrała „hej” zamiast oficjalnego „dzień dobry”. „Cześć” też jakoś nie pasowało.

– Pokaż no się. – Artur poluzował rękę. – Nic się nie zmieniłaś – dodał, patrząc jej w oczy. Celował w sam środek, nie mając pojęcia, że jego wzrok dociera do jej mózgu i robi z niego emocjonalną papkę.

– Ani ty. Dobrze wyglądasz – odpowiedziała, przechylając lekko głowę.

Zamówił dwie kawy. Dla siebie espresso, dla niej mokrą. Przez chwilę siedzieli w ciszy, mieszając łyżeczkami w swoich filiżankach.

– Przyjechałeś na sympozjum? – spytała Julia, zanim podniosła filiżankę do ust. Od czegoś trzeba było zacząć. Temat służbowej wizyty wydawał się najbezpieczniejszy.

– Zjazd odbywa się co roku, zawsze w lutym. Ale za każdym razem w innym mieście. Tym razem padło na Warszawę.

– Dlatego zadzwoniłeś?

– Nie. – Artur upił łyk wody przyniesionej do espresso. – W Warszawie bywam przynajmniej raz w miesiącu.

– W takim razie dlaczego akurat teraz? Tylko nie mów, że się stęskniłeś, bo nie uwierzę.

Roześmiał się, jak zawsze szczerze.

– Byłem ciekaw, co u ciebie. Upłynęło sporo wody w rzece.

– Nie pracuję już w policji, jeśli o to pytasz. Działam na własną rękę.

– Pani detektyw?

– Nie mogłam się z nimi dogadać, lepiej było odejść. Mój sen o Warszawie się nie spełnił.

Czekała, aż jej dogryzie. Miał prawo po tym, jak spakowała walizki i prysnęła do stolicy, porzucając jego i ich wspólne życie. Byłby święty, gdyby tego nie zrobił.

- Przykro mi. Naprawdę.
- Niepotrzebnie – odpowiedziała natychmiast.
- Wiem, jakie to było dla ciebie ważne.
- Nie zawsze można mieć to, czego się chce.
- Mimo wszystko...
- Radzę sobie – przerwała mu, by nie dopuścić do nadciągającej fali współczucia.
- Jak zwykle zresztą. No a ty? Miałeś objąć katedrę w Oslo.

Kiwnął głową z rozbawieniem.

– Chodziło konkretnie o instytut – poprawił ją. – Sprawy przeciągnęły się o kilka miesięcy, ale tak, przyjąłem ofertę i od dwóch lat żyję na walizkach.

– Mogłeś zostawić klinikę Synowcowi.

– Nie mogłem. – Pokręcił głową. – Przynajmniej nie całkowicie. Klinika pod Warszawą to moje dziecko, a dzieci się nie opuszcza. Teraz mam dwoje, jedno tu, a drugie tam – zaśmiał się swobodnie. – Jak widzisz, lubię komplikować sobie życie.

– Kariera to ważna rzecz.

– Oboje o tym wiemy, prawda, Julio? – powiedział z niespodziewaną cierpkością w głosie. – Przepraszam. To nie miał być atak – usprawiedliwił się naprędce.

– Nie przepraszaj. To spotkanie nie jest łatwe dla żadnego z nas. Nawet nie wiemy, jak ze sobą rozmawiać.

– Może wystarczy, żeby było szczerze.

– Jasne – bąknęła Julia. – Nie ma chyba nic trudniejszego niż szczerść w rozmowie z kimś, kogo się skrzywdziło. Beznadziejnie wtedy wyszło, choć wcale tego nie planowałam. Tamta noc była koszmarem także dla mnie...

– Mało z niej pamiętam, zaledwie pojedyncze przebłyski.

Naprawdę to powiedział? Niepotrzebnie żałowała go przez te wszystkie lata?

– Nie pamiętam, jak trafiłem do domu ani o której – dodał. – Chyba przestałem wtedy funkcjonować.

A więc jednak. Przeżył to rozstanie nie mniej boleśniej niż ona.

– Artur... – szepnęła. – Nie tak to się miało skończyć.

– Nieważne. Powiedz lepiej, co u Sylwii.

– Byłam wtedy w strasznym stanie. Straciłam dziecko.

– Ty straciłaś dziecko?

– Oboje straciliśmy – poprawiła się.

Widziała, jak twarz mu tężeje.

– Było, minęło. Tak samo jak my. Minęliśmy – zakomunikował, jakby mówił o odjeżdżającym sprzed nosa tramwaju.

– Boże, jak to beznadziejnie brzmi.

– Czasu nie cofniemy. Być może wtedy łączyła nas już tylko twoja ciąża.

– Bzdura. Ciąża była ważna, ale oprócz niej było coś więcej.

– Co było, Julia? – Maciejewski oparł plecy o tył fotela i założył nogę na nogę. W jednej chwili odsunął się od niej ciałem i duchem. – Powiedz, bo ja nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Próbowałem, ale nie udawało się. Zabrakło dziecka i wielka miłość znikła. Najwidoczniej nie byłem dla ciebie wystarczająco ważny – dodał gorzko.

Chciała powiedzieć, że był zbyt ważny, a ona zbyt ślepa, by to dostrzec.

– Co u niej? – Artur wrócił do pytania o Sylwię, chcąc zejść z niewygodnego tematu. – Wciąż taka słodka?

Nie pozostawało nic innego, jak znów stanąć na neutralnym gruncie. Wszystko, co dobre, szybko się kończy, w przypadku ich rozmowy skończyło się wręcz błyskawicznie.

– Słodycz powoli z niej ucieka, ale resztki jeszcze pozostały – odpowiedziała Julia, biorąc głęboki oddech. – Mały buntownik zaczyna dorastać. Kręci ją to, co nie powinno. Wsadza nos w ciemne klimaty, zupełnie nie rozumiem, skąd ostatnio wzięła się u niej fascynacja zbrodnią.

– Mam ci podpowiedzieć? – Maciejewski uniósł łagodnie brwi.

– Że niby taka rodzinna spuścizna? Robię to, bo nic innego nie potrafię. Gdybym znała się na debetach i kredytach, zostałabym księgową. To dużo prostsze od babrania się w ludzkich nieszczęściach. Nie chcę, żeby poszła w moje ślady.

– I tak zrobi ze swoim życiem, co będzie chciała. Niemniej „z ognia ogień”.

– Cyceron? – mruknęła, nachylając się do filiżanki z kawą.

– Wiedział, co mówi.

Pociągnęła kolejny łyk kawy. Piana z mleka pozostała na ustach, wytarła ją serwetką i oblizwała wargi językiem.

– Dlaczego chciałaś się z nią zobaczyć? – spytał Artur. – Z tą dziewczynką, która jest u nas w zakładzie.

– Z Niną Rawską?

– Synowiec mówił, że byłaś. To już zamknięta sprawa. Wiesz o tym, że jej matka...

- Wiem. Ale to niczego nie zmienia.
 - Daj tej małej spokój, dużo przeszła.
 - Dałabym spokój, gdyby ze mną porozmawiała.
 - Nie rozmawia o tej sprawie z nikim, nie chciała się otworzyć nawet przed policyjnym psychologiem.
 - Przed tobą nie miała tajemnic. Widziałam zapisy z waszych spotkań.
 - Nie są udostępniane. Ukradłaś dokumenty? – Maciejewski przyjrzał się Julii podejrzliwie.
 - Powiedzmy, że skorzystałam z nich w nieformalny sposób.
 - No tak... Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.
 - Synowiec okazał się mało pomocny, więc musiałam poradzić sobie inaczej. Ale nie musisz się martwić, nic nie zginęło.
 - Przyzwoity z ciebie złodziej. – Skinął z uznaniem głową.
- Julia nachyliła się nad stolikiem.
- Przekonaj ją, żeby się ze mną spotkała. Nina ci ufa i zrobi wszystko, o co ją poprosisz.

Artur wykonał ten sam gest. Oderwał plecy od fotela i nachylił się, przysuwając do czekającej na jego odpowiedź Julii.

- Właśnie dlatego, że mi ufa, nie mogę tego zrobić – odparł z pełną powagą. – Nawet dla ciebie – dodał.

- Widziała wszystko. Kiedy zabijano jej brata, patrzyła na to, co dzieje się w ich ogrodzie. Rozumiem, że boi się mówić albo nie chce nikomu zaszkodzić. Ale powinna złożyć zeznania.

- Zastanów się, Julia. Gdyby mogła, oczyściłaby Arletę jednym słowem. Jeśli nie zrobiła tego przez te wszystkie miesiące, najwidoczniej uznała, że nie powinna. Dziecko, które kocha swoją matkę, zawsze będzie chciało ją ratować.

- A co, jeśli dziecko nie kocha swojej matki i chce, żeby została skazana? Nie pomyślałeś o tym?

- Rozczaruję cię, ale ani przez chwilę. To zagubiony dzieciak, który marzy o prawdziwym domu.

- To nie jest powód, żeby nie potrafiła wskazać winnego palcem.

- A jaki to ma sens teraz, kiedy jej matka nie żyje? Wszyscy przyjęli do wiadomości, że to Arleta Rawska winna jest śmierci Leona. Sama się zresztą do tego przyznała. Ty natomiast chcesz docisnąć Ninę, by nagle zaczęła naginać fakty, bo

czujesz się zawiedziona prawdą? Jaką ma dla ciebie wymyślić historyjkę, by pozbyć się kolejnego członka rodziny? Kogo ma wytypować, swoją siostrę?

– To akurat może być dla niej trudne. Nina zbyt długo była świadkiem przemocy Leona względem Marii.

– No i? Nie zapominaj, że matka też nieźle obrywała.

– W tym wypadku znacznie bardziej boli krzywda wyrządzana siostrze niż matce. Arleta Rawska mogła w każdej chwili wyrzucić Leona ze swojego domu i tym samym uwolniłaby się od problemu. Był dorosły, miał pracę i mógł się sam utrzymywać.

– Myślisz, że tak łatwo jest wystawić dziecku walizki za próg? Nie znasz życia, Julia.

– Znam lepiej, niż sądzisz. Serce matki bywa miękkie, ale wiedz, że Rawska już kiedyś pozbyła się Leona. Maria nie miała takiej możliwości, mogła co najwyżej unikać brata, przemykając po cichu korytarzem albo zamykając się w swoim pokoju. Poza tym, słodki Jezu, co to był za dom... Obawiam się, że Nina nie powiedziała ci o wszystkim.

– Wiem o przemocy i przepychankach.

Julia uśmiechnęła się smutno.

– O przepychankach – westchnęła. – Czyli tak naprawdę nie wiesz nic. A skoro Nina nie wyjawiała rodzinnych tajemnic tobie, tym bardziej nie zrobi tego przed sądem. Dzieci wstydzą się publicznego prania brudów.

– Nawet gdyby widziała, jak Marii w końcu puszczaają nerwy?

– Zwłaszcza wtedy. Nie wydałaby jej, zadziałałaby siostrzana solidarność. Z dwojga złego Nina wybrała milczenie.

– Ta twoja bajka o kochających się siostrach trochę się nie klei i ma spore luki.

– Wiem, do czego pijesz. Maria nie odwiedzała Niny, a ta również nie prosiła o widzenia.

– Właśnie.

– Jak myślisz, dlaczego?

Maciejewski rozłożył ręce w pytającym geście.

– Mam uwierzyć, że chcesz znać moje zdanie? Z pewnością masz już swoją teorię.

– Załóżmy, że nie mam. Więc?

– Otóż siostry nie widywały się, bo żadna z nich tego nie chciała – stwierdził Artur. – Nie stoi za tym żadna teoria o lojalności czy współczuciu. Po prostu chciały zapomnieć o wszystkim, bo to było im bardziej potrzebne niż ckliwe rozmowy.

– Nie kupuję tego. Kiedy zdarza się dramat w rodzinie, chce się być z nią jak najbliżej.

– Nie zawsze. Czasem łatwiej jest odciąć się od siebie, żeby przetrwać najgorsze.

– Gdyby Marii nie zależało na tym, co stanie się z Niną, nie szukałaby pomocy finansowej u ciotki. Mała trafiłaby do sierocińca, a nie do prywatnej kliniki. I zamiast zastępu słono opłacanych lekarzy musiałby jej wystarczyć państwowy psycholog.

– Zapominasz, moja droga, o czymś, co zawsze sama powtarzałaś.

– Że sumienie to bardzo dziwna rzecz?

– Właśnie. Maria nie mogła posłać Niny do domu dziecka właśnie z tego powodu.

– Nie, drogi panie doktorze. Zbyt dobrze znam się na ludziach, by uwierzyć, że cena spokojnego sumienia może być tak wysoka. Maria nie znosiła swojej ciotki. To, że poprosiła ją o pieniądze na klinikę, było dla niej wielkim upokorzeniem. Jeśli więc to zrobiła, musiała mieć powód dużo większy niż spokojne sumienie i siostrzana miłość.

– Myślisz, że kupiła milczenie Niny za srebrniki ciotki, a potem zostawiła ją własnemu losowi? Gdzie tu logika?

– Maria nie miała żadnej pewności, że Nina będzie milczeć. W każdej chwili mogła zacząć sypać. Jak sam dobrze wiesz, wiedziała bardzo dużo, a to często oznacza kłopoty. Współczucie, jakie miała dla starszej siostry, choć szczerze i szlachetne, mogło z czasem zacząć topnieć. Dlatego lepiej było jej nie prowokować i trzymać ją na odległość. Dosłownie.

– Wygląda na to, że to ty masz dyplom z psychiatrii, nie ja. – Artur uśmiechnął się pobłażliwie.

– Ty może masz dyplom, ale ja robię w tym śmierdzącym biznesie na tyle długo, by nie wierzyć w cuda. I dlatego twoje dyplomy oprawione w ramki są tylko... ozdobą na ścianie.

Rozbawiła go swoją zaciętą miną.

– Naprawdę nic się nie zmieniłaś. To komplement, gdybyś miała co do tego wątpliwości. Ruda i zaciekle.

– Porozmawiasz z nią? – Julia nie ustępowała. – Wystarczy mi godzina.

– Nie. Mimo wszystko nie.

– Pół!

Spojrzał na zegarek. Przerwa w konferencji odbywającej się na piętrze hotelu dobiegała końca.

– Nina musi mieć teraz spokój. W środę odbędzie się pogrzeb jej matki. Potem wyjeżdża.

– Jak to: wyjeżdża? Dokąd?

– Ciotka zabiera ją pod Kraków. Jest spakowana od kilku dni, już nie może się doczekać. Biedna mała.

– Wiesz, że to ucieczka?

– Każdy z jej rodziny przed czymś ucieka. Ona też próbuje. To jedyny sposób, żeby zaczęła żyć w miarę normalnie.

– Jej życie już nigdy nie będzie normalne. O ile nie spędzi kolejnych piętnastu lat na kozetce u terapeuty, przeszłość dopadnie ją prędzej czy później.

– Nie jest z nią tak źle, jak myślisz. Jeśli tylko trafi w dobre ręce, wygrzebie się z tego.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała z powątpiewaniem Julia.

– Potrafi zacisnąć zęby. Nie dalej jak trzy dni temu byłem z nią w Warszawie. Uparła się, że chce odwiedzić brata na cmentarzu. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej takiej determinacji. Dzieci z zasady nie przepadają za grobami, ale ona koniecznie chciała jechać. Jak widzisz, rodzinne tarcia nikną, kiedy jedno tęskni za drugim. Musiała bardzo kochać Leona, skoro tak jej na tym zależało.

– Widzę, że wzruszył cię ten rozczulający obrazek. Zbolałe dziecko przy grobie potrafi wzbudzić współczucie.

Maciejewski pokiwał głową.

– Może jako jedyna w tej rodzinie potrafi okazywać prawdziwe uczucia. Chciała pożegnać się z bratem. Nawet zawiozła mu prezent. Myślała, że nie widzę, ale do grobowca włożyła swojego ulubionego kotka.

– Tę szarą maskotkę? – Julia przypomniała sobie pluszaka zabranego z domu przy Dereniowej.

– Tak. Dała mu go, żeby nie był sam w zimnym grobie. Jak widzisz, powoli godzi się ze swoją traumą. Gdyby nie historia z jej matką, proces leczenia przebiegałby dużo szybciej. Ale stało się, na starą ranę nałożyła się nowa.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć. Rawska zrobiła córkom brzydką niespodziankę.

– Taaa... – skomentował, po czym po raz kolejny niespokojnie zerknął na zegarek.
– Muszę lecieć.

Spotkanie dobiegało końca. Podniósł się z fotela, Julia zrobiła to samo.

– I to wszystko? – spytała.

– Nie. Jeszcze rachunek za kawę. Ja płacę.

Sięgnął do kieszeni spodni. Obserwowała, jak otwiera składany portfel i wyjmując z niego dwa banknoty. W świetle padającym z górnej lampy mignęło na jego dłoni coś połyskliwego, raz i drugi. Nie musiała wysilać wzroku, by dojrzeć na serdecznym palcu Artura to, czego wcześniej nie spostrzegła.

– Ożeniłeś się.

Przytaknął.

– Kiedy? – spytała z zaciśniętym gardłem.

– Nie pogratulujesz mi?

– Gratuluję. Kiedy?

– Dawno. Dwa lata temu.

– Właściwie zaraz po naszym rozstaniu.

– To nie było nasze rozstanie, Julia. Ja się z tobą nie rozstawałem. To była twoja decyzja.

– Mimo wszystko szybko ci poszło. Kim ona jest?

– Mieszka w Oslo. Poznaliśmy się po tym, jak wylądowałem w instytucie.

– Naukowiec?

– Robi doktorat z psychiatrii i neurologii.

– Macie dzieci? – Julia wystrzeliwała kolejne pytania z prędkością światła.

Zawahał się. Widziała, jak przelyka ślinę i jak grdyka przesuwają się mu pod skórą.

– Za dużo mamy teraz na głowie. Może kiedyś.

– Ściągniesz ją potem tutaj?

– Matyldę? Możliwe. Nie podjęliśmy jeszcze decyzji.

Czuła, jak jej serce pęka na tysiące kawałków. Ktoś zajął jej miejsce na zawsze. Nie miało żadnego znaczenia, kim jest tamta kobieta ani jak ma na imię. Czy robi doktorat, czy nalewa piwo w knajpie. Blondynka czy brunetka, niska czy wysoka. Liczyło się tylko to, że nosi na palcu obrączkę pasującą do tej, którą nosi Artur.

– Wszystko w porządku? – zapytał, widząc, jak twarz Julii blednie z sekundy na sekundę.

Skinęła głową, choć nic nie było w porządku. Ułożył sobie życie i założył rodzinę, o czym od zawsze marzył. Ktoś inny dał mu to, od czego ona uciekła.

– Nic mi nie jest. To pewnie przez ten chlor. Nawdychałam się tego świństwa na basenie.

– Dbaj o siebie, Julia. A teraz wybaczone, muszę iść. Przerwa się skończyła.

– Poczekaj. – Zatrzymała go, zanim zdążył odejść. – Skoro nie chcesz wpuścić mnie do Niny, zrób co innego. Macie nagrania z kamer.

– Z kliniki?

– Chodzi mi konkretnie o te z jej pokoju.

– Nie trzymamy ich długo, najwyżej tydzień. Po co ci one?

– Chcę na nią popatrzeć. Nigdy jej nie widziałam. To znaczy raz, na starym zdjęciu, ale nigdy na żywo. Zrobisz to?

– Dziwna prośba.

– Może i dziwna, ale w niczym małej nie zaszkodzi.

– I wtedy dasz jej spokój?

– Postaram się.

– Nie, Julia. Mówię poważnie. Chcę, żeby Nina doczekała wyjazdu w spokoju.

– Obiecuję.

Dopił ostatnią kroplę kawy, już na stojąco, w biegu.

– Wyślę ci kopie z ostatnich dni, ale nie chcę cię widzieć pod kliniką, zgoda?

– Adres mailowy znasz.

Wyciągnął ręce do pożegnania w sposób, w jaki zrobił to niecałą godzinę temu. Przywarł całym ciałem do jej czarnej sukienki.

– Pozdrów ode mnie Sylwię i swoją matkę. Mam nadzieję, że u niej wszystko gra i nie zamęcza cię swoimi chorobami.

– Nie ma na nie czasu. Jest zajęta odnawianiem związku z moim ojcem.

– To chyba dobrze? Przynajmniej jest szczęśliwa.

– A ty?

– Co ja?

– Czy jesteś szczęśliwy?

Zastanawiał się, co ma odpowiedzieć. Musiał dobierać słowa, by nie skłamać i aby jej nie zranić.

– Staram się – wyszeptał jej do ucha. – Choć życie bez ciebie nie jest łatwe. Ale wyszło, jak wyszło. Jak już wiesz, mam żonę i muszę myśleć o niej.

– I dlatego chciałeś się dziś ze mną spotkać? Bo myślisz o żonie?

Odsunął się od Julii, ale wciąż trzymał na jej ramionach swoje ręce.

– Chciałem się przekonać, co do ciebie czuję.

– I jaki jest wynik tego testu? Zdałeś czy oblałeś?

Patrzył na nią przenikliwie. Nie potrafiła wyczytać z jego oczu, o czym myśli.

Zagubienie, tylko to przychodziło jej do głowy.

– Jeśli chodzi o tamten wieczór w restauracji... – zaczął Artur z powagą w głosie.

– Proszę cię, nie mówmy już o tym.

Pokręcił głową.

– Muszę to powiedzieć, Julio. Jeżeli tamten wieczór musiał przynieść cierpienie któremuś z nas... dobrze, że wypadło na mnie.

Odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował ją w czoło, jak kiedyś. Zamknęła oczy i wciągnęła w nos jego zapach. Nie chciała, by ta chwila się skończyła ani by wjeżdżał ruchomymi schodami z powrotem, na salę z setką krzeseł, mikrofonami i rzutnikiem. Nie tak miało być. Nie po to się do niej odezwał. A jednak już się odsuwał od jej ramion i czarnej sukienki, pośpieszany wołaniem jakiegoś gościa w nudnym garniturze. Znikał, pozostawiając po sobie tylko odgłos kroków stawianych w hotelowym lobby.

* * *

Nie spodziewała się tego telefonu. Ewa Czajka milczała od dłuższego czasu, dlatego gdy tylko usłyszała w słuchawce jej zdyszany głos, wiedziała, że stało się coś złego.

– To ja, Ewa z kliniki – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. – Nie wiem, czy powinnam do pani dzwonić, ale boję się o tym mówić doktorowi.

– Niech się pani uspokoi. – Julia odstawiła na stół talerz ze świeżo zrobionymi tostami. – Proszę ochłonąć i powiedzieć, co się stało.

– Nina... ta mała wariatka zniknęła z ośrodka.

– Uciekła?

– Tak. Nie ma jej w pokoju. Nie wiem, co robić.

– Spokojnie – powtórzyła Julia. – Kiedy to się stało?

– Nie wiem dokładnie. Chyba niedawno. Jeszcze kwadrans temu była u siebie, zносиłam jej gorącą czekoladę. Siedziała u siebie na łóżku. Zajrzałam do niej kilka minut temu, żeby zabrać kubek, ale pokój był już pusty.

– Może do kogoś poszła?

– To niemożliwe. Z nikim nie rozmawiała przez rok, to akurat teraz by poszła? Nie ma tu znajomych. Poza tym sprawdziłam oba piętra, nigdzie jej nie ma.

– Łazienki na korytarzach, gabinety...?

– Nie ma. Zniknęły buty i kurtka.

– Jak wygląda?

– Kurtka? Czerwona, z kapturem.

– Długość?

– Do bioder. Na nogach miała ciemnogrnatowe dzinsy. Czapka i szalik też są czerwone.

– Zabrała ze sobą swoje rzeczy?

– Ma pani na myśli ubrania? Nie, wszystko zostało. Cała walizka spakowana na wyjazd do ciotki leży, jak leżała.

– Sprawdzała pani na podjeździe? Może kręci się przy budynku?

– Byłam wszędzie. – Kobieta niemal płakała. – Muszę zawiadomić doktora Synowca, żeby wezwał policję. Tylko on jest na miejscu, doktor Maciejewski wyjechał do Warszawy i wróci dopiero wieczorem.

– Zrób to i powiadom kogo trzeba. Nie, poczekaj, zostaw to mnie.

– Na pewno?

– Znam miejscową policję, porozmawiam z nimi. Ale Synowcowi powiedz o zniknięciu. A, jeszcze jedno! Potrzebuję aktualnego zdjęcia Niny. Muszą wiedzieć, kogo mają szukać.

– Tak... zdjęcie... zaraz wyślę.

Rozłączyła się. Julia nadgryzła wystygłego tosta, nie spuszczając telefonu z oczu. Po kilkunastu sekundach przyszło zdjęcie Niny. Widać było, że Czajka wyjęła je z akt kliniki. Dziewczynka niewiele się zmieniła od dnia, w którym wykonano rodzinną fotografię, kiedy wszyscy byli jeszcze w komplecie. Wyciągnęła się trochę i miała dłuższe włosy, już nie nakręcone na wałki, lecz proste. Rysy twarzy pozostały tak samo niewinne.

Musiała teraz zrobić jedno, a mianowicie wybrać numer, o którym zdążyła już zapomnieć. Nieusunięty z listy kontaktów, widniejący przy literze B.

Nie czekała długo. Po dwóch sygnałach usłyszała w słuchawce pisk, a potem przeciągłe:

– Ja nie wierzę! Nooo ludzie, nie wierzę!

– Bodnar, dobrze cię słyszeć po latach. Wciąż na starych śmieciach?

– Raczej na pałacach! Marmury do nas wjechały zaraz po twoim odejściu. I to gdzie! Do wucetów! No dobra, może nie marmury, ale nie sikamy już na stojąco do popękanych sedesów. Kiedyś jeden pękł, i to wiesz kiedy... Od tamtej pory strach było siadać. Teraz wjechały nowe trony. To naprawdę ty, Krawiec?

– Ja. Mam sprawę.

– Chwila, chwila. Najpierw ploteczki!

– Posłuchaj mnie, Michalina. Jest ważny temat, naprawdę cholernie ważny. Liczy się każda minuta.

– Oho, no to już żeśmy pogadały... – Głos z pałacu zmarkotniał. – Nie będzie plotek?

– Nie tym razem. Potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o dziewczynkę, lat jedenaście, zaraz wyślę ci jej zdjęcie. Jest ubrana w czerwoną kurtkę, czapkę i szalik. Wszystko czerwone, więc powinna być dobrze widoczna w terenie. Na nogach ma ciemne dżinsy. Wyszła z kliniki Maciejewskiego dwadzieścia minut temu i zniknęła. Porusza się pieszo, podejrzewam, że nie zna okolicy, bo nigdy nie wychodziła samodzielnie poza teren ośrodka. Obstawcie okoliczne drogi, rzućcie kilka osób przez las.

– Co to za dzieciak?

– Znasz sprawę Arlety Rawskiej?

– A kto nie zna? – parsknęła Michalina. – Cała Polska słyszała o zabójczej mamusce.

– To jej młodsza córka.

– Leczyła się u twojego niedoszłego?

– Bodnar, nie czas na wyjaśnienia...

– Czyli że się u niego leczyła. Dobra, nieważne. Nie dostaliśmy zgłoszenia, że mała nawiała z kliniki. Muszę mieć oficjalne zawiadomienie, bez tego nie ruszę.

– Zgłaszam więc oficjalnie, możesz wpisać moje nazwisko do raportu.

– Prowadzisz sprawę tej Rawskiej?

– I tak, i nie. Długa historia.

– Długa, nie długa, po co się w to mieszasz, jeśli nie masz z tym nic wspólnego?

– To w tej chwili bez znaczenia. Zgłaszam zaginięcie dziecka. Rusz tyłek, Bodnar, czas ucieka. Musicie ją znaleźć, zanim coś jej się stanie.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Michalina musiała coś przekaszać, bo zaczęła mówić niewyraźnie. – Wysyłaj to zdjęcie, przekażę chłopakom.

Fotografia Niny powędrowała esemesem w mgnieniu oka. Julia wolała się upewnić, że zajęta jedzeniem Bodnar otworzyła go i przekazała dalej. Zadzwoiła ponownie po minucie. Michalina, przeżuując kanapkę, potwierdziła, że wysyła czterech policjantów i sama również siada za kółkiem.

– Przejmiemy ją, o ile nadal jest na naszym terenie. Ale jeśli wsiadła z kimś do auta i odjechała nie wiadomo w jakim kierunku, będziemy musieli przekazać sprawę

do komendy głównej – dodała.

– Róbcie, co możecie. Ten dzieciak musi się znaleźć.

Zapewniła, że się postarają. Do starego zespołu dołączyło dwóch młodych i ambitnych. Trafili pod skrzydła Bodnar zaraz po tym, jak awansowała o oczko w górę po odejściu Julii i po sprawie dopiero co rozwijającej się podwarszawskiej mafii. Kilku chłopaczków postanowiło stać się postrachem okolicy i wymuszać haracze za rzekomą ochronę sklepikarzy i właściciela jedyne go kina w mieście. Wpadli głupio, prosto w zastawioną zasadzkę, której pomysłodawczynią była Michalina. Sprawa w skali kraju może mała, ale jak na taki grajdołek – całkiem znacząca. W każdym razie lokalni właściciele biznesów odetchnęli z ulgą.

Julia wyrzuciła niedojedzone tosty do kubła na śmieci i zaparzyła mocną herbatę. Tak naprawdę nie miała ochoty na jedzenie. Po spotkaniu z Arturem wypaliła kilka papierosów i tym samym zapchała żołądek dymem. Ręce jej dygotały od nadmiaru nikotyny we krwi, a do tego ciśnienie skoczyło maksymalnie, gdy usłyszała o zniknięciu Niny. Coś musiało pchnąć ją do ucieczki, z tym że obraz dziewczynki, jaki przedstawiały osoby obcujące z nią na co dzień, nijak nie pasował do tego zniknięcia. Spokojna, wyobcowana i wycofana. Outsiderka przesiadująca zamknięta w swoim pokoju i stroniąca od towarzystwa, rozmów i obcych ludzi. Zero buntu, zero rebelii. Nina była po prostu inna. Jej jedyny wybryk to wycinanie w ścianie za łóżkiem konturów ludzkich płodów. I nagle nie ma jej, wychodzi nie wiadomo dokąd ani po co.

Musiała zapisać to na ścianie w salonie. Czarnym flamastrem dopisywała informacje po kolei, usuwając jednocześnie błędne tropy:

Leon powrót – 2.06.2016

Leon sen – ś+p 1.01.2017

scena – ogród

sprzęt – piwnica, krew ptaka

kulminacja – konflikt

motyw – relacje z Arletą R. (?) lub Marią R. (?), USG (?)

lista połączeń – głównie do Marii

film Leon-Klaudia-Maria – 9.06.2016

USG – 20.09.2016 co z dzieckiem?

Arleta Rawska sen – ś+p 16.02.2018, pogrzeb 21.02.2018

Nina – ucieczka 19.02.2018

Hubert Rawski vel Ludwik Zalewski – Leon i Maria

dług – 1000 zł (cały 3000 zł)

alibi – wszyscy poza Arletą Rawską, Klaudią

* * *

Od rozmowy z Michaliną minęły dwie godziny. W przypadku zaginionego dziecka – wieczność. Bodnar wciąż milczała, z kliniki też nikt się nie odzywał.

Wahała się, czy ma powiadomić Marię. Istniała jednak szansa, że Nina jakimś cudem zdołała się z nią skontaktować. W końcu miały sobie dużo do powiedzenia, zanim dziewczynka zaszyje się w domu pod Krakowem na długie lata.

Maria odebrała połączenie niemal natychmiast. W tle słychać było czyjąś stłumioną rozmowę.

– Stało się coś? – spytała szeptem. – Jeśli to nic ważnego, to oddzwonię później. Jestem w domu pogrzebowym, załatwiam formalności.

– Nina wyszła z kliniki i nie wiadomo, co się z nią dzieje. Kontaktowała się z tobą? Przedłużająca się cisza w telefonie mówiła sama za siebie.

– Boże... Nie, nic o tym nie wiem. Kiedy?

– Ponad dwie godziny temu. Spokojnie, na razie nie ma co wpadać w panikę. Znajdzie się prędzej czy później.

– Co mam robić?

– Nic. Gdyby się do ciebie odezwała, daj mi znać.

– To przez matkę... nie wytrzymała tego wszystkiego. Błąka się teraz gdzieś po zimnie... Powinam tam pojechać?

– Policja już jej szuka, ty zajmij się pogrzebem.

– Od rana jestem na nogach. Grabarz obiecał zająć się grobem jeszcze dziś, miałam szczęście, że znalazł termin tak od ręki. Nie miałam pojęcia, że tyle rzeczy trzeba załatwić. Teraz dom pogrzebowy, potem ksiądz, i jeszcze muszę kupić matce sukienkę, żeby nie położyć jej do trumny w tym, w czym stała przy garnkach.

– Poradzisz sobie?

– Jest ze mną Klaudia, nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Ciotka też pomaga. Gdyby nie one... to wszystko mnie przerasta. I teraz jeszcze Nina...

– Uspokój się, znajdziemy ją.

– A co, jeśli nie? – Głos Marii zadrżał niebezpiecznie.

Była rozdygotana, do tego splukana finansowo. Gdyby ciotka nie podsunęła jej swojej karty kredytowej, nawet sprzedanie starego laptopa Marii w niczym by nie pomogło.

Laptop.

Słyszała wyraźnie, że załatwianie spraw zajmie dziewczynom cały dzień. Takiej informacji nie należy puszczać mimo uszu. Podobnie jak tego, o czym dowiedziała się

w gabinecie ginekologicznym przy Ludowej. Jeżeli dobrze liczy, dziecko Marii powinno mieć teraz rok. Czy Arleta Rawska wiedziała, że jej córka jest w ciąży? Jeśli tak, musiała się wściec. Albo załamać nerwowo. Może jedno i drugie. Na pewno wiedziała o tym Nina. Czy wiedziała też, co się z nim stało?

Tajemnicze zniknięcie dziecka Marii nie dawało jej spokoju. Może Rawska wykupiła rodzinny grobowiec nie tylko po to, by zapewnić miejsce spoczynku dla siebie i swoich dzieci? Może szukała go przede wszystkim dla synka Marii? Jeśli zmarł w wyniku wrodzonych wad, jego ciało najprawdopodobniej spoczęło na cmentarzu przy alei Krakowskiej. Maria wymigała się od odpowiedzi, kiedy podczas pierwszego spotkania Julia spytała ją o powód, dla którego Rawska kupiła grób. Jak to wtedy ujęła? Powiedziała, że to „historia całkiem nieciekawa”. Wtedy Julia to zbagatelizowała, ale teraz wiedziała już o rodzinie Rawskich dużo więcej. O dziecku z wadami genetycznymi, któremu nie dawano większych szans na przeżycie, również. Powinien pozostać po nim jakiś ślad, choćby mała tabliczka z datą narodzin i śmierci. Mogła przekonać się o tym tylko w jeden sposób. Chwyciła kluczyki do skody i zjechała windą na parking.

Kiedy podjeżdżała pod cmentarz, zobaczyła, jak przez główną bramę wtacza się rozklekotany żuk bez plandeki. Na pace leżały łopaty, ich trzonki wystawały niebezpiecznie z kołyszącej się skrzyni. Wyskoczyła z auta i podbiegła pod bramę, machając rękami do kierowcy. Musiał zobaczyć ją w lusterku, bo zatrzymał się i wychylił głowę przez okno.

– Słucham panią – powiedział krótko i grzecznie, poprawiając jednocześnie na głowie zsuwający się ciemny kaszkiet.

Spytała, czy wie, gdzie mają zamiar chować Rawską.

– Właśnie jadę kopać – odparł.

Nie pytając o zgodę, pociągnęła za klamkę i wsiadła do szoferki, sadowiąc się obok niego i drugiego mężczyzny o ogorzałej twarzy.

Podjechali główną aleją pod rozłożyste drzewo, po czym kierowca wyłączył silnik. Do grobu Rawskich trzeba było przebić się między innymi mogiłami. Grabarze zabrali ze sobą łopaty i łom do podważania płyt, po czym skręcili w wąskie przejście między gęsto usianymi nagrobkami. Starła się zapamiętać to miejsce. Mijaną pompę na wodę i grób młodej nauczycielki.

Kiedy dotarli do grobowca, przypomniała sobie słowa Marii. Był rzeczywiście

stary, taki, jakich już nikt nie stawia. Ogrodzony metalowym płotkiem i z wejściem zamkniętym na dwoje niewielkich żelaznych drzwi. Górna płyta pękła od starości na pół, w szczelinie zdążyła pojawić się trawa, mocno poczerniała o tej porze roku. Jedynie dzięki dwóm postawionym zniczom i nowej wiązance sztucznych kwiatów można było odnieść wrażenie, że ktoś się nim opiekuje.

Mężczyźni szybko ocenili, że łom nie będzie im potrzebny. Jeden z nich wyjął z kieszeni kamizelki kluczyk do kłódki zwisającej z łańcucha i otworzył pordzewiałe drzwi krypty. Wszedł do środka, zginając kark, i po chwili zaczęli wbijać łopaty w piach w bocznej części grobu.

– Ile ich tam jest? – spytała Julia. – Ile trumien w środku?

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

– To pani z rodziny i nie wie? – Mężczyzna o ogorzalej twarzy wyjrzał na zewnątrz i oparł się o trzonek łopaty. – Jedna świeża. Nie ruszamy jej, bo świeżego nieboszczyka prawo zabrania ruszać. Z drugiej strony kopujemy, gdzie pusto. Pani to chyba z bardzo dalekiej rodziny, co?

– Z dalekiej – odparła, zaglądając przez ramię grabarza do wnętrza. – A jakiejś małej trumienki tam nie ma?

– Dziecięcej? Nie ma. Tylko jedna duża. Jeśli szuka pani dziecka, to na pewno tu nie leży.

Odsunęła się przed lecącym w jej kierunku piaskiem. Brązowe wilgotne grudy spadały jedna po drugiej wprost pod jej nogi.

– O, jest tylko takie coś – dobiegł ją stłumiony przez kamienne ściany głos grabarza. – Może miało służyć jako pogrzeb symboliczny. Dla tego dzieciaka, co go pani szuka.

Wyszedł, schylając głowę, i stanął przed Julią z wyciągniętą ręką. Trzymał w niej pluszowego kotka, którego Nina podarowała Leonowi na pożegnanie.

* * *

Podjechała pod starą kamienicę przy Chełmskiej i zostawiła auto na chodniku. Drzwi do klatki schodowej były uchylone i zablokowane pękniętą cegłówką, jak za pierwszym razem, gdy tu przysła. Musiała jednak sprawdzić, czy mieszkanie jest puste. Dla pewności wcisnęła guzik domofonu i od razu spojrzała na okna pierwszego piętra.

Domofon milczał, firanka również się nie poruszyła. Pchnęła na wpół otwarte

drzwi wejściowe i wbiegła na piętro.

Cienka końcówka wytrycha weszła gładko. Zakrzywiony drut napinacza wsunął się pod nią, naciągając bębenek zamka. Teraz musiała działać błyskawicznie. Przykucnęła przy zamku i przyłożyła ucho do zatrasku. Sześć zapadek podnosiło się z ledwie słyszalnym kliknięciem jedna po drugiej. Blokada puściła po zaledwie kilku sekundach.

Krótkie spojrzenie na salon wystarczyło, by nie znalazła tam tego, po co przyszła. W drugim pokoju, będącym zarazem sypialnią z jednym łóżkiem i dmuchanym materacem, na centralnym miejscu na stole stały dwa laptopy. Jeden z nich musiał należeć do Marii, był starego typu, a przez całą długość klapy biegły nieestetyczne rysy. Nie dostałaby za niego nawet trzystu złotych. Drugi, płaski dell z dotykowym ekranem, ponad wszelką wątpliwość był własnością bogatszej z przyjaciółek.

Julia odpięła od kabla biedniejszą wersję laptopa i usiadła z nim na łóżku. Wcisnęła włącznik i poczekała na pojawienie się ekranu startowego. Obawa, że laptop jest zahasłowany, minęła, gdy na pulpicie zaczęły wyskakiwać kolejne ikonki.

Weszła w listę ostatnio przeglądanych stron. Najstarsza data pochodziła sprzed tygodnia. Nie o to jej chodziło. Musiała znaleźć listę witryn, na które Maria zaglądała jesienią 2016 roku. Skoro nie prowadziła ciąży w przychodni na Ludowej, musiała znaleźć inną. Problem w tym, że historia przeglądarki została skrzętnie wyczyszczona.

Dysk C, użytkownik, opcje folderów, wyszukiwanie, widok, ukryte pliki. Kursor przesuwiał się szybko po ekranie. App data, local, Google, właściwości, poprzednie wersje. W końcu na ekranie pokazały się daty wejść. Nie interesowały jej te najnowsze. Zaczęła zjeżdżać kursorem coraz niżej, do archiwalnych plików. Rok 2017, 2016, grudzień, listopad, październik... Dotarła do września. Wejść na strony WWW było dużo, na oko blisko setki. Skupiła się na tych po dwudziestym września, kiedy Maria dowiedziała się, że jest w ciąży, i kiedy lekarka wręczyła jej zdjęcie z USG. Odrzuciła tytuły stron, które nie kojarzyły się z lekarzami ani z ciążą.

Płód – dziesiąty tydzień, życie płodowe człowieka, wszystko o ciąży, okres prenatalny, gdy płód staje się człowiekiem... Klasyczne tytuły artykułów i porad, do których zaglądają wszystkie matki, by dowiedzieć się, jak wygląda dziecko w ich brzuchu. Ale nie w czarno-białym ujęciu z ultrasonografu, lecz w kolorze, żeby dokładnie widzieć, jak duża jest głowa, a jak dłoń, przypominająca na tym etapie ciąży żabią łapkę.

Potem było nie mniej ciekawie, Maria prześledziła strony z informacjami o

niedorozwoju płodu i możliwych deformacjach. To, co usłyszała od lekarki z przychodni, musiało ją zaniepokoić. Byłaby naiwna, gdyby sądziła, że to tylko błąd maszyny robiącej USG. Dlatego czytała, chciała wiedzieć jak najwięcej.

Po przejrzaniu kilkadziesiątu linków kierujących do filmów o rozwoju zarodka Julia podjechała kursorem wyżej, do późniejszych dat. Maria przestała się nagle interesować tematem dziecka. Z wybieranych przez nią stron wynikało, że przesunęła ciekawość na leki. Pojawiały się nazwy aptek i hasła „pigułki bez recepty”. Hasel było kilka, wyszukiwanie przeszło w niepokojąco formułowane treści. Julia zatrzymała się na jednym z nich: www.zestawporonny.pl z pewnością nie miał na celu podsunięcia propozycji witamin do prawidłowego rozwoju dziecka. Podobnie jak www.aborcja-farmakologiczna.pl. Potem kolejność dat z września urywała się. Nastął październik i nowe linki do nowych stron. Przeglądarka wyrzucała hasła typu: dyskretne wywoływanie miesiączki. Kryjące się w prywatnych gabinetach podziemie aborcyjne dobierało stosowne zachęty dla kobiet chcących pozbyć się niechcianego problemu.

A więc tak to wyglądało. Maria musiała wybrać jeden z gabinetów, bo w połowie października żadna z wyszukanych stron WWW nie odnosiła się już ani do płodu, ani do leków, ani do niczego związanego z ciążą. Powoli wszystko stawało się jasne. Ciąża nagle znikła, w przeciwieństwie do kwoty długu, która pojawiła się nagle w excelowej tabelce Leona. Trzy tysiące. Nie najdrożej. Za spędzenie rozwiniętego płodu bierze się zwykle dużo więcej. Wybór padł na taniego lekarza, na luksus nie było ich stać. Pieniądze musiała zwrócić, a właściwie musiał je zwrócić Leon. Sprawca i wybawiciel zarazem. Wziął na siebie zorganizowanie forsy, ona miała tylko zdecydować, kto i gdzie ma jej to zrobić. Daty się zgadzały, pierwszą i największą spłatę długu uiszczył już w październiku, potem oddawał w kolejnych tygodniach i miesiącach, i już w dużo mniejszych ratach.

Zmusił ją do tego czy sama chciała? Lekarka powiedziała, że Maria ucieszyła się na wiadomość o dziecku. Nie przeraziło jej nawet to, że ma wady. Dlatego pilnie śledziła rozwój dziecka, sprawdzając na stronach internetowych, co zdążyło już wykielkować w jej brzuchu i jak na daną chwilę maluch wygląda. Mniej więcej, bo tak naprawdę jego wygląd odbiegał od wyglądu innych dzieci z prawidłowo wykształconymi głowami. A więc prawdopodobieństwo, że początkowo planowała je urodzić i wychować, było duże.

Zamykała przeglądarkę, kiedy zadzwonił telefon. Liczyła na to, że Michalina ma dla

niej dobrą wiadomość o Ninie, ale to nie była ona. W słuchawce odezwał się Adam. Wykorzystał moment, gdy był sam w pokoju i mógł swobodnie rozmawiać.

– Złe wieści – oznajmił od razu. – Prokuratura potwierdziła, że zaraz po pogrzebie Rawskiej wniesie o umorzenie śledztwa.

Mogła się tego spodziewać.

– Jarecki podkreślił Sieracką?

– Na to wygląda – przytaknął Górny. – Nie dał kobiecie spokojnie pojeździć na tych nartach. Suszył jej głowę, odkąd Rawska zawisała w celi. To sprawa czysto ambicjonalna, typ jest zbyt nadęty, żeby dać się skompromitować. Nie chce czekać, aż wyciągniesz asa z rękawa.

– Problem w tym, że u mnie na stole wszystko oprócz tego cholernego asa. Do królewskiego pokera wciąż brakuje mi jednej mocnej karty.

– Nie pociągniesz sprawy z tym, co masz?

– Bez szans. Ale wypłynęła ciekawa sprawa.

– Która z pań ci podpadła?

– Maria – odpowiedziała Julia, patrząc na zamkniętą klapę laptopa dziewczyny. – Była w kazirodczej ciąży ze swoim bratem.

– Żartujesz. Najpierw matka, a teraz córka? To brzmi jak jakaś tania wenezuelska telenowela. Jesteś pewna?

– Na sto procent. Dziecko Marii i Leona było obciążone wadami genetycznymi, dlatego dał jej pieniądze na skrobankę. Nielegalną, bo zanim znalazła lekarza, była już w piątym miesiącu ciąży. Musiało być po dwudziestym drugim tygodniu, a wtedy już żaden szpital nie usunie płodu. Poza tym ta ciąża nie zagrażała jej życiu.

Górny wypuścił powietrze z płuc.

– Ta rodzina to jeden wielki szok, ale mimo wszystko chyba zaczyna mi być żal tej dziewczyny. Wpakowała się w bagno i znalazła tylko jeden sposób, żeby z niego wyjść. Nie oceniaj jej zbyt surowo, ona ma dopiero osiemnaście lat. Miała sobie spieprzyć życie?

– Nie oceniam. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Lekarka, która robiła USG, powiedziała, że Maria zdawała się pogodzona z chorobą dziecka. Nie panikowała i nie prosiła o skierowanie na zabieg. Nawet nie spytała o taką możliwość. Przypuszczam, że to Leon wystraszył się tego, że do końca życia będzie musiał zajmować się kaleką. Dlatego zmusił ją do usunięcia ciąży. Zorganizował pieniądze i kazał zlikwidować problem. Miał swoje plany na życie, mówiłam ci o lecznicy dla zwierząt. Chore

dziecko przekreśliłoby te plany całkowicie.

– Prawdziwy Leon zawodowiec. Zawodowo załatwił sprawę dzieciaka. Maria przyplącała to kaczem moralnym i nienawiścią do brata. Czyżbyśmy mieli motyw?

– My?

– Dałem ciała, przepraszam cię, Julia. Zwinąłem żagle, gdy dowiedziałem się, że stara Rawska postanowiła rozstać się z życiem. Byłem przekonany, że to już koniec.

– Zszedłeś z mojego pokładu... Brzydko, mój drogi, bardzo brzydko.

– Wchodzę z powrotem.

– Z pustymi rękami? Nie ma mowy.

– Są nowe fakty.

– Mów – ponagliła go, spoglądając jednocześnie na zegarek. Powinna już wyjść z mieszkania Klaudii, na wypadek gdyby któraś z dziewczyn nagle wróciła.

– Jeden z ludzi Jareckiego, ten młody Szymański, sporządził raport z aresztu, a konkretnie z rozmów z pracownikami i ze współosadzonymi.

– No i?

– Jeśli chodzi o przepytaną wychowawczynię Rawskiej, podała dwie ciekawe informacje. Pytano ją, czy w ostatnich dniach nie zaobserwowała nietypowego zachowania Arlety. Powiedziała, że owszem, że była podenerwowana od dnia, w którym widziała się z siostrą. O ile pamiętam, użyła też słowa „osowiała”.

– To nic nadzwyczajnego – zauważyła Julia. – Rawska uświadomiła sobie, jak bardzo oddaliła się od zwykłego życia i normalnych ludzi. I od swojej rodziny.

– Mówiła, że po tej wizycie Rawska poprosiła o dostęp do książek. A konkretnie do dwóch, do Kodeksów karnego i rodzinnego.

– Trochę późno jak na wiszący nad nią proces. Pewnie wreszcie dotarło do niej, że to nie przelewki i że lepiej będzie poczytać paragrafy.

– Myślę, że chodziło o coś dużo ważniejszego. Drugą ciekawostką było to, że Rawska zawnioskowała o spotkanie ze swoim adwokatem. Miała się z nim wkrótce spotkać. Termin był wyznaczony, jednak na umówioną wizytę nie zdążyła już dotrzeć.

– Zaczyna być ciekawie... Mów dalej.

– Są jeszcze zeznania tych kobiet z celi – ciągnął Górny. – Ale rozjeżdżają się jak nogi dwulatka puszczonego na lód na łyżwach. Według jednej w noc śmierci Rawskiej były w celi we trzy. Druga powiedziała co innego. A mianowicie, że w wieczór poprzedzający śmierć Rawskiej zabrano ją, tę osadzoną, do innego bloku.

Usłyszała, że szukają jakiegoś ostrego narzędzia, które miało być przemycone do ich celi. I że pozostałe dwie kobiety też na tę noc muszą się wynieść gdzie indziej. Z tym że nigdzie ich nie przeniesiono. Zostały tam, gdzie były. Rawska i ta pierwsza.

– Jasna cholera... A gdy wróciła po kilku godzinach, już po rzekomym przeszukaniu, położyła się pewnie od razu spać i nic nie widziała. Tak było?

– Właśnie tak. Pozwolono jej wrócić do celi o trzeciej nad ranem. Poszła prosto do łóżka. Nie mogła mieć pojęcia, że Rawska od godziny wisi na prześcieradle w łazience.

Julia długo trawiła tę informację. Ewidentnie coś w tym wszystkim nie grało.

– Oglądałeś zdjęcia? Chodzi mi o moment, zanim ją ściągnęli.

– Tylko przez chwilę – odparł Górny. – Przykry widok, ale cóż... niejeden już taki widziałem.

– Rzuciło ci się w oczy coś szczególnego?

– Typowy wisielec. Choć, rzeczywiście, wyglądała dość makabrycznie. W długiej białej koszuli sprawiała wrażenie, jakby wyjęto ją z jakiegoś koszmaru. Do tego z rozbitym okiem, widać, że była maltretowana. No i dłonie. Plamy opadowe były już dobrze widoczne. Typowe rękawiczki.

– A na stopach nie? – dopytała Julia. – Co ze stopami?

– Stóp nie widziałem. Na nogach miała długie skarpety. Prawdziwe, nie z krwi.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej. Grube, ciepłe skarpety podciągnięte wysoko do kolan – potwierdził Adam. – Co w tym dziwnego?

– Wszystko. To nie jest normalne. Pomyśl tylko: kto dba o skarpety, kiedy planuje własną śmierć i wie, że zaraz będzie martwy?

– Ludzie są różni, Julia...

– Ludzie dbają o siebie, gdy chcą żyć. Załóżmy, że chcesz za kilka chwil popełnić samobójstwo. Obchodziłoby cię, żeby mieć ciepło w stopy? I do tego, żeby skarpety były równo włożone?

– Średnio – przyznał Adam. – Podejrzewam, że w ogóle nie czułbym zimna.

– Czułbyś strach – odpowiedziała Julia. – I to tak silny, że nic innego by cię nie obchodziło, jak tylko dotrzeć do godziny zero. Nie daje mi spokoju ta wyprowadzona z celi kobieta...

Milczeli przez chwilę. Każde z nich układało w głowie scenariusz feralnej nocy.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał w końcu Górny.

– Obawiam się, że tak. Rawska nie popełniła samobójstwa – skwitowała Julia. – Zabito ją, najprawdopodobniej na czyjeś zlecenie. Ciekawa jestem, jak będzie wyglądał raport, który dostanie na swoje biurko Sieracka. Miło byłoby porównać go z tym przygotowanym przez Szymańskiego. I nie chodzi mi o literówki. Zrobiłeś zdjęcie oryginałowi?

Górny zamruczał cwaniacko.

– Nie masz do czynienia z frajerem, moja droga. Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby po nim śladu. Jeśli jego treść zostanie przez Jareckiego mocno zmodyfikowana, zanim trafi do podpisu i potem do prokuratury, wszystko będzie już jasne.

– Wiesz, że rozmawiamy teraz o piekielnie poważnej sprawie... Jeżeli to wszystko się potwierdzi, odpalimy prawdziwą bombę atomową. Może jednak już czas, żeby powiedzieć to na głos.

– Że Jarecki jest umoczony w zlecenie zabójstwa Rawskiej?

– Wszystko tu się zgadza, Adam. Nie trzeba być geniuszem, żeby się tego domyślić.

– Zastanawiam się tylko, jak wciągnął w to strażnika, który wyprowadził jedną z kobiet z celi.

– Strażnik wcale nie musiał być wtajemniczony. Jak myślisz, ile zachodu kosztuje rzucenie podejrzenia, że któraś z więźniarek trzyma w staniku żyletkę? Wystarczy jeden telefon. Na dobrą sprawę Jarecki mógł to nawet załatwić anonimowo, a i tak postawiłby służbę więzienną na nogi. Rawską i tę drugą przeszukano pewnie na miejscu. Tylko trzecia z osadzonych musiała pozostać poza celą odpowiednio dłużej.

– Zatem jedna z nich pomogła Rawskiej pożegnać się z życiem. Musi być wyjątkową bestią, skoro posunęła się do upozorowania samobójstwa. Tak czy inaczej, do domu raczej prędko nie wróci.

– Nie bądź naiwny. Jeśli rzeczywiście poszła z Jareckim na układ, nie zrobiła tego po to, by narazić się na dożywocie. Na biurko Sierackiej trafi protokół z odpowiednim opisem tego, co zaszło w celi. Do tego zabójczyni dostanie jeszcze najpewniej kasę od Jareckiego, jak tylko bryknie na wolność. Oboje wyjdą z tego higienicznie czysti.

– W końcu Rawska nie pierwsza powiesiła się w celi z rozpacz.

– I nie pierwszy Jarecki uniknie tym sposobem posądzenia o spieprzenie dochodzenia – mruknęła Julia. – Proces o zamordowanie Leona przez Rawską opierałby się na poszlakach i dowodach tak słabych, że nawet ten marny adwokacina,

który zajmował się sprawą, dałby sobie radę. Rawska też zapewne doszła do tego wniosku, kiedy w końcu zaczęła studiować kodeksy.

– To tylko domysły.

– Owszem, ale posłuchaj tylko: to, że Rawska nagle zainteresowała się paragrafami, nie jest przypadkowe. Późno, bo późno, ale uruchomił się w niej mechanizm samoobrony. Jednym słowem, postanowiła wywinąć się spod sędziowskiego młotka. A co dałoby jej na to szansę? Zmiana zeznań, Górny. Po to właśnie próbowała ściągnąć adwokata do aresztu. Dlatego Jarecki musiał zagrać *va banque*. Miał przecież wsadzić zabójcę chłopaka za kratki, i wszystko szło gładko, ale do czasu. Okazał się idiotą, nie badając innych tropów, i nie przewidział takiego zwrotu akcji. A co to oznacza?

– Zostały z niczym na kilka dni przed procesem.

– Właśnie. Poszedłby na dno.

– Pozostaje pytanie, co z listem pożegnalnym Rawskiej.

– Być może wcale nie był pisany jej ręką – zauważyła Julia. – Czy Jarecki pokazał go którejś z jej córek, żeby potwierdziły charakter pisma matki?

– List jest cały czas u nas, Jarecki trzyma go w aktach sprawy. Najwidoczniej odczytał go tylko Marii przez telefon.

– Można było się tego spodziewać. Masz go gdzieś pod ręką?

Słyszała, jak otwiera szufladę i szeleści papierami.

– Mam ksero. Zdążyłem odbić, zanim Szymański zapakował oryginał w bezpieczną kopertę.

– Czytaj na głos.

Przeczytał niemal na jednym wydechu.

– O cholera... – westchnęła Julia, gdy postawił kropkę. – To jakiś żart? Żadna kobieta nie napisałaby takiego listu do swoich dzieci. A gdzie „Najdroższa Mario i Ninko”? Tylko „Dzieci”? Tak chłodno? I nic o tym, że będzie opiekować się swoimi córkami z nieba ani żadnych wskazówek, żeby nie popełniały jej błędów? Nie ma przeprosin za zniszczone życie. Kobieta zawsze przeprosza i obiecuje, że będzie kochać nawet po śmierci. Pociesza, jak tylko umie, nawet kiedy sama już w nic nie wierzy. I za nic nie napisałyby wprost, że zabiła syna. Nie odważyłyby się tego zrobić, to zbyt wielka trauma dla tych, których pozostawia z pożegnalnym listem. Wiele matek popełnia błędy, ale żadna nie chce być zapamiętana przez swoje dzieci jako potwór. Jarecki słabo przyłożył się do tej pisaniny.

– Skupił się na wyznaniu Rawskiej, że zabiła syna.

– Właśnie o tym mówię. Sama jestem matką i wiem, co można napisać dziecku w wieku Ninki, a czego absolutnie nie. Matka nie naraziłaby córki na taką konfrontację. Gdzie znaleziono list? Na poduszce Rawskiej czy na spłuczce?

– Tego nie wiem, widziałem tylko raport z przesłuchania.

– Nie szkodzi. Na pewno było z tego niezłe przedstawienie.

Julia odniosła laptopa Marii na miejsce i podpięła odłączony wcześniej kabel. Przytrzymując ramieniem telefon przy uchu, wykasowała historię przeglądarki.

– Miej na radarze to, co będzie się działo teraz w komisariacie. Ten protokół jest cholernie ważny.

– Wiem. Może pogrzyźć Jareckiego. Ty na pewno będziesz chciała mu w tym pomóc. Nie zapominaj o jednym. Informacje ode mnie to dowody pozyskane nielegalnie. Nie będą brane pod uwagę przez sąd.

– Wystarczy, żeby Maria podała w wątpliwość autentyczność listu matki, a ruszy lawina podejrzeń co do rzetelności dochodzenia Jareckiego. Nie będzie potrzebował do tego mnie, ale oczywiście zawsze z chęcią mu w tym pomogę w miarę moich możliwości.

– Delikatnie przytrzymasz mu głowę pod wodą?

– Coś w tym stylu. – Julia uśmiechnęła się do telefonu. – Teraz muszę już uciekać. Dzwon, jak będziesz coś wiedział.

– Gdzie jesteś?

– Nie pytaj. – Julia podeszła do drzwi wejściowych. Odsloniła zasłepkę judasza i sprawdziła, czy klatka schodowa jest pusta i czy może wyjść niezauważona.

– Na kolejnym włamie do czyjegoś mieszkania?

– Jak ty mnie znasz – odpowiedziała, ścisząc głos.

– Zero etyki.

– Witaj w klubie. Zostałeś jego honorowym członkiem za kompulsywne dobieranie się do danych Jareckiego.

– Ciekawe, kto mnie do tego namówił.

– Wiedziałeś, w co się pakujesz. Jak cię złapią i potem zaczną dobierać się do mnie, wyprę się wszystkiego.

Wyłączyła telefon, zanim w głośniku wybrzmiał do końca jego śmiech. Chciała już zamknąć za sobą drzwi mieszkania dziewczyn. Gdy tylko znalazła się na ulicy, zadzwoniła do Michaliny. Nie mogła czekać dłużej.

– Nigdzie jej nie ma. – Bodnar musiała znajdować się w terenie o słabym zasięgu, bo jej głos ginął co kilka sekund. – Przeszukaliśmy kawał lasu, ale ani śladu. Puściłam chłopaków w miasto, może tam coś znajdą. Może ktoś ją widział. Każdy z moich ma zdjęcie tego dzieciaka, będą pokazywać ludziom. Ale na razie źle to wygląda.

– Jeśli nie znajdzie się w ciągu najbliższych godzin...

– Wiem, co mam robić. W razie czego stołeczna włączy śmigłowiec, ale na to jeszcze za wcześnie.

– Okej. Odzywaj się do mnie. Chcę wiedzieć na bieżąco, co tam się dzieje.

– Dzieciak Rawskiej narobił kłopotu, co? Z gówniarzami zawsze jest problem. Dlatego nie mam dzieci.

– Nie masz dzieci, bo nie lubisz mężczyzn, Bodnar.

– Też prawda. Słuchaj, poznałam kogoś. Ma na imię Mariola. No mówię ci, sama słodycz. Poznałam ją na potupajce.

– Ty i potupajka.

– A czemu nie? Dla singli. Miasto zorganizowało, żeby ludzie pokręcili się trochę po parkiecie i rozprostowali kości. W ogłoszeniu nie pisali, że tylko dla heteronormatywnych. Swoją drogą, tobie też by się przydało kogoś poznać, o ile wciąż nikt nie zaciągnął cię do ołtarza.

– Już raz tam byłam. – Na myśl o byłym mężu Julii otwierał się nóż w kieszeni. Małżeństwo okazało się funta kłaków warte. Pozostała po nim Sylwia, najważniejsza istota w jej życiu, całą resztę wolała jak najszybciej usunąć z pamięci. – Ważne, żeby tobie się udało, ja przestałam liczyć na motyle w brzuchu.

– Wiesz, ile razy próbowałam.

– Wiem. Próbuje do skutku. Tylko tym razem bez skakania w ogień. Poparzenia bywają bolesne.

– Mnie to mówisz! – Michalina zadumała się, wspominając swoje byłe. Przychodziły cicho, a odchodziły z hukiem. Za każdym razem był to huk podobny do osuwających się górskich lawin. – Tyle razy wyciągałaś mnie za uszy z kanału...

– Teraz ci nie pomogę. Nie złapię cię za rękę, kiedy będziesz pakować palce między drzwi.

– Brakuje mi ciebie. Cholera, jak mi ciebie brakuje. W życiu nie spotkałam tak dobrego człowieka.

Głos Michaliny się załamał. Julia obawiała się, że zaraz zacznie kwilić niczym nowo narodzone pisklę.

– Było nam razem dobrze, Bodnar. Ale jesteśmy już w innej rzeczywistości. Ja tu, a ty tam. Na pewno świetnie radzisz sobie beze mnie.

– Co ty tam wiesz – burknęła. – Ten twój pomysł z wyprowadzką był beznadziejny. Tworzyłyśmy tandem, a ty zabrałaś swoje siodełko i odkręciłaś przednie koło.

– Musisz nauczyć się jeździć na tylnym. Wystarczy złapać równowagę, a pojedziesz do przodu. Zresztą, na pewno już świetnie sobie radzisz. Na razie zajmij głowę naszą zaginioną, nie rozplynęła się przecież w powietrzu.

– Robię, co mogę.

– Miasto jest małe, rozwieście jej zdjęcie na drzewach i słupach. Ktoś na pewno ją widział. Poza tym Nina w końcu zgłodnieje. Jeśli nie opuściła miasta, to wejdzie do jakiegoś sklepu i poprosi o bułkę. Może też próbować coś zwinąć z półki, bo nie ma przy sobie złamanego grosza. Uprzedźcie sprzedawców w rynku, żeby mieli na nią oko, jest ubrana na czerwono, nie da się jej przegapić.

– Nie w każdym sklepie są kamery – zauważyła Michalina.

– To nie ma znaczenia. Największy spożywczak ma może pięćdziesiąt metrów. Nie trzeba kamer, żeby dostrzec szwendającego się dzieciaka w jaskrawej kurtce.

– Dobra, ogarnę całe centrum.

„Ogarnę całe centrum” zabrzmiało, jakby miała rozstawić czaty na terenie Parku Narodowego Grønlands, liczącego milion kilometrów kwadratowych.

– Sprawdzimy też stary basen i stacje benzynowe. Pozostaje modlić się, żeby ktoś nie zgarnął tej małej po drodze i nie wywiózł Bóg wie gdzie.

Julia miała tego świadomość. Statystyki zaginięć dzieci w Polsce były po oczach. Rocznie z ulic znikają siedem tysięcy młodych ludzi. Jednym z nich mogła stać się Nina. Ile sekund trzeba, by wpakować dziecko do auta i odjechać? Pięć, dziesięć? Mogłaby wierzgać i krzyczeć, i tak nikt by nie usłyszał. Wystarczyłoby wykręcić jej rękę i wepchnąć w gardło końcówkę szalika. Poddusiłaby się, próbując łapać oddech, w końcu uznałaby, że lepiej jest się nie szarpać, bo bez szarpania oddycha się łatwiej i traci się mniej energii. Blokada zamka w tylnych drzwiach samochodu też nie ułatwiłaby jej ucieczki.

Pozostawały jeszcze dwie możliwości. Nina mogła najnormalniej w świecie skrócić sobie nogę w kostce i siedzieć gdzieś na odludziu, do którego zaglądamy tylko gimnazjaliści chcący poromansować z dala od ludzkich spojrzeń. Jeżeli komuś o tej porze roku zechce się obściskiwać na zimnie, to ją znajdą. Może trochę poobijaną i

odwodnioną, ale żywą.

Druga możliwość była dużo bardziej prawdopodobna. Nina mogła po godzinach błąkania się po mieście wsiąść do pakaesu i ruszyć w kierunku Warszawy, do Marii, która jej nie oczekiwała, albo do Michałowic. Gdziekolwiek teraz była, z pewnością nie opuściła kliniki wbrew sobie. Wiedziała, po co ucieka. To, co stało się z nią potem, było już całkiem inną historią.

ROZDZIAŁ XV

Z łapali ją w nocnym pociągu jadącym do Warszawy. Konduktor najpierw trącił czerwoną kurtkę, w którą zawinęła się jak ślimak, zanim przysnęła, potem musiał szarpnąć mocniej. W przedziale była sama, znalazła taki bez ludzi, by nie musiała obawiać się zaczepek i pytań starszych kobiet o to, skąd, dokąd i dlaczego podróżuje bez opieki. Przedział śmierdzał kwaśnym potem po kimś, kto siedział tu wcześniej. Pod oknem leżały niezebrane z podłogi zużyte chusteczki do nosa i zwinięte w kulki papiery po bułkach z czosnkową kielbasą. Smród potu i pozostałego na papierze tłuszczu wwiercał się w nozdrza i wywoływał wymioty. Musiała otworzyć okno, by wpuścić do przedziału świeże powietrze. Kiedy pierwszy podmuch zaczął rozganiać nagromadzony zaduch, zasunęła zasłonki przy drzwiach i zgasiła światło. Pokrętko o dziwo zadziało, dzięki czemu odetchnęła z ulgą. Do zaciemnionego przedziału nikomu nie będzie chciało się dosiadać.

Przez chwilę patrzyła na pokryte mrokiem pola z rozmieszczonymi co kilkadziesiąt metrów słupami elektrycznymi. Wyglądały jak wielkie zapałki powkręcane w zastygający asfalt. Na horyzoncie co jakiś czas wyrastały domy, w ich oknach paliły się światła. Potem znów nastawała ciemność, i tak aż do następnej wsi.

Zakręciła się w kurtkę i schowała ręce w szalik. Czapka została w dworcowej poczekalni, więc nasunęła na głowę kaptur. Wcisnęła się w kąt i podwinęła nogi pod siebie. Oparła twarz o materiał fotela i zamknęła oczy. Zimne powietrze owiewało jej czoło, ale nie miała siły ani ochoty wstawać, by domknąć szybę. Choć smród potu dawno już wywietrzał, wciąż czuła to, co wydobywało się z rzuconych pod śmietniczką papierów po kanapkach z kielbasą.

Była głodna, nie miała w ustach nic od obiadu. Przedzieranie się przez las, a potem przemykanie chyłkiem bocznymi ulicami miasta, by dojść do stacji, wycieńczyło ją. Na głód i zmęczenie najlepszy jest sen. Ten przyszedł szybko. Jechała kołysana miarowym stukotem kół, oderwana od bożego świata i bez poczucia czasu. Od siedzenia na peronie przemarzła, ale warto było przepuścić kilka wcześniejszych pociągów, by nie cisnąć się i nie narażać na podejrzliwe spojrzenia. Woląла poczekać

na ostatnie połączenie.

Kiedy poczuła trącanie w ramię, wydawało jej się, że nadal śni, a ten ktoś wiszący nad jej głową to arcyksiążę von Szwałdekaunt z Disneyjowskiej *Krainy lodu*. Był tak samo suchy i wyprostowany jak on, nad jego ustami rozwijały się poszarzałe wąsy wywinięte w górę. Zapalił światło, gdy tylko wszedł do przedziału. Blask jarzeniówki poraził ją, dlatego jeszcze przez chwilę zaciskała powieki, pozostawiając między nimi jedynie małe szparki, by rozpoznać, co dzieje się wokół niej.

Arcyksiążę von Szwałdekaunt to pochylał się, to prostował. Pytał o bilet i gdzie jest jej matka lub ktoś, z kim podróżuje. Nie miała biletu, a już na pewno nie miała matki. Strachu przed tym, że została nakryta przez kontrolera, też nie czuła, za bardzo bolały ją uszy, by myśleć o tym, co się wokół niej dzieje. Kiedy spała, kaptur zsunął się jej z głowy, a wiatr dmący przez otwarte okno zrobił swoje.

Wysoki mężczyzna z wąsami zgarnął ją z pociągu, gdy tylko dojechali do Warszawy. Wyprowadził na peron i zawiadomił policję.

– Poczekasz tu ze mną, zaraz powinni przyjechać i się tobą zająć – powiedział i popchnął ją w kierunku ruchomych schodów. Zerknął przy tym niespokojnie na zegarek, jakby to miało przyspieszyć przyjazd patrolu. Kończył pracę, nie uśmiechało mu się spędzanie czasu na pilnowaniu obcego dzieciaka. W domu czekała żona i chłodne piwo.

Poprosiła go o telefon, tylko na chwilę, żeby mogła gdzieś zadzwonić i uspokoić kogoś bliskiego, że żyje. Wyglądała jak sto nieszczęść, więc chcąc nie chcąc, wyjął swoją prywatną komórkę. Spytała, czy może odejść kawałek, pod tablicę świetlną wiszącą nad peronem.

– Nie zrobisz żadnego numeru? – spytał podejrzliwie.

Pokręciła głową, jednak miał ją cały czas na oku. Widział, że połączyła się z kimś i zamieniła kilka zdań. Rozglądała się przy tym, jakby chciała wypatrzeć kogoś lub coś na ruchomych schodach. Co chwilę pokasływała, nie zasłaniając ust ręką.

Odwrócił się tylko na chwilę, turkot pociągu wjeżdżającego na sąsiedni tor oderwał jego uwagę od dziewczynki w czerwonej kurtce. Kiedy znów spojrzął na miejsce, gdzie przed chwilą stała, zobaczył jedynie swój telefon leżący pod kolumną podtrzymującą pułap Dworca Centralnego. Po dziewczynce nie było już jednak ani śladu.

Pędziła na wprost, najpierw przeskakując po dwa stopnie na sunących w górę

ruchomych schodach, potem do wyjścia. Nie oglądała się za siebie, każda stracona sekunda mogła kosztować ją ponowne schwytanie i odstawienie do policyjnej izby dziecka albo do kliniki. W podziemnych korytarzach dworca nocą biegnie się szybko. Mało kto przewija się wtedy z bagażem, nie trzeba robić uników, by uchronić się przed zderzeniem z czyimiś plecami lub walizką. Na bezdomnych też nikt nie zwraca uwagi, włóczęgów traktuje się jak zło, które lepiej obejść z daleka, by nie zaczepiali i nie prosili o dwa złote czy papierosa.

Kiedy wreszcie wypadła na powierzchnię, rozejrzała się, by sprawdzić, gdzie jest. Na wprost miała postój taksówek, dalej przystanek autobusowy, na którym spał jakiś mężczyzna w ciemnym płaszczu. Rozświetlona nocna Warszawa nie interesowała jej, z obojętnością spojrzała na Pałac Kultury oświetlony neonową tęczą. W końcu nie przyjechała tu po to, by podziwiać miasto.

Miała przejść przez Aleje Jerozolimskie i znaleźć się pod Marriottem. Nigdzie nie było pasów z sygnalizatorami. Jedyne przejście znajdowało się w podziemiach, ale musiałaby cofnąć się do dworca lub podbiec w prawo, do mrocznie wyglądającego o tej porze tunelu. Przy wejściu do niego stało czterech podchmielonych gości, dwóch trzymało w rękach butelki. Patrzyli przy tym dziwnie, jakby tylko czekali, aż się do nich zbliży.

Musiała zaryzykować. Podeszła do jezdni i czekała, aż przejadą wszystkie auta. Na skrzyżowaniu Alej z Marszałkowską właśnie zmieniło się światło, jezdnia opustoszała, gdy tylko samochody stanęły na czerwonym. Postawiła nogę na asfalcie i ponownie rozejrzała się na boki.

Już.

Dziewczynka w czerwonej kurtce przebiegła przez ulicę i przeskoczyła przez ochronne barierki odgradzające jeden z pasów jezdni od torów tramwajowych. Potem poszło szybko. Tory, kolejny pas ruchu i po chwili stała pod strzelistym budynkiem hotelu.

Ciotka powinna już na nią czekać. Przeszła kilka kroków w lewo, wypatrując znajomej sylwetki. Szum aut, które wystartowały z ronda Dmowskiego, zakłócił ciszę. Wiedziała, że wśród nich sunie policyjny wóz, by zgarnąć ją po wezwaniu arcyksięcia von Szwałdekaunta. Ukryła się za słupem ogłoszeniowym i czekała, modląc się w myślach, by nikt nie zwrócił uwagi na samotną dziewczynkę stojącą o północy przed hotelem.

Wreszcie przyszła. Pachnąca mocnymi perfumami, ale już bez makijażu, który

zdażyła zmyć przed położeniem się do łóżka.

– Moje ty biedne dziecko – usłyszała Nina, zanim wtuliła się w farbowany na bordowo kołnierz płaszcz ciotki.

Judyta objęła ją ramieniem i pociągnęła w stronę wejścia do hotelu. Od razu zrobiło się jej gorąco. Ciepło płynące z lobby wymieszane z cudownymi zapachami perfum, pudrów i mgiełek do ciała kobiet, które zebrały się przy recepcji, by stamtąd ruszyć na nocny podbój miasta, otuliło ją i wreszcie rozluźniło.

– Masz gorączkę. – Ręka Judyty dotknęła czoła i policzków Niny. – Cała jesteś rozpalona. Co ci przyszło do głowy, żeby uciec z kliniki?

Nie doczekała się odpowiedzi. Nina nie czuła się na siłach, by rozmawiać, jej oczy błyszczały od złapanego w pociągu przeziębienia.

Judyta zabrała małą na górę, prosto do swojego pokoju. Z całodobowego baru zamówiła rozgrzewający rosół z kluskami i dwie kromki chleba, do tego gorącą herbatę. Nina zjadła wszystko, nie zdejmując nawet kurtki, odwinęła jedynie szalik z szyi. Otoczona ciepłem i już z pełnym żołądkiem opadła na małą sofę i odpłynęła. Judyta ściągnęła jej z nóg przemoczzone kozaki i wysunęła ręce z rękawów kurtki. Nie zdejmowała swetra ani spodni, pozwoliła dziewczynce leżeć w tym, w czym była. Wcisnęła jej tylko poduszkę pod głowę i przykryła kocem z szafy.

– Śpij, mała, śpij. – Pogłaskała rozgrzaną głowę Niny. – Jutro przyjdzie czas na rozmowę.

* * *

Zapis z kamery z pokoju Niny przyszedł na skrzynkę Julii grubo po północy. Zgranie wszystkiego w jeden plik było technicznie niewykonalne, Maciejewski musiał się namęczyć, żeby podzielić rekordy i skompresować je do rozmiarów, jakie można przesłać mailem. Julia naliczyła ich trzydzieści, a to z kolei oznaczało nieprzespaną noc, gdyby miała przejrzeć je wszystkie. Do plików dołączył wiadomość. Zniknięcie Niny poszarpało mu nerwy. Kiedy tylko dowiedział się o wszystkim od Synowca, wsiadł w samochód i objechał okolicę. Wyrzucał sobie, że nie dostrzegł w zachowaniu dziecka niczego, co pozwalałoby przypuszczać, że mała wymknie się z ośrodka. Gdyby tylko wiedział, że planuje ucieczkę, nie spuszczałby jej z oka.

Bez sensu było uspokajać go, że zguba się znajdzie, zwłaszcza że Julia sama zaczynała w to wątpić. Od zniknięcia Niny minęło blisko dziesięć godzin, a Bodnar wciąż nie dawała znaku, że natrafiła na jakikolwiek ślad.

Zabrała się do przeglądania plików. Obserwowanie, jak zachowuje się jedenastoletnie dziecko w pokoju bez telewizora i telefonu, było jak podglądanie eksperymentu psychologicznego. Gdzieś podobny widziała, nazywał się HI-SEAS i został wymyślony przez NASA. Rzucono ośmioro obcych sobie ludzi na rok na Hawaje, do zamkniętej biosfery udającej Marsa, ubierając ich w skafandry i odcinając od świata zewnętrznego. Dostawa jedzenia odbywała się raz na kwartał, a wody raz na cztery tygodnie. Brak połączenia telefonicznego z bazą utrudniał życie jeszcze bardziej. Mogli porozumiewać się z nią jedynie za pomocą maili, które docierały do „ziemskiej stacji” z opóźnieniem równym kosmicznym warunkom. Obserwowano ich zachowania i relacje. Różnica między nimi a Niną była jednak taka, że oni mieli siebie, Nina zaś wybrała izolację i pozostając w swojej ziemskiej bazie, przebywała na niej niemal cały czas sama.

Zapach świeżo zaparzonej kawy zalanej mlekiem podgrzanym w mikrofalówce rozniósł się po całym mieszkaniu. Julia zabrała ze sobą kubek i poszła do zielonego pokoju, podtrzymując pod pachą laptopa. Odkąd kilka dni temu oddała Sylwię na przechowanie do babci, ich wspólne łóżko pozostawało rozłożone. Nie widziała sensu w składaniu go co rano i udawaniu, że jest perfekcyjną panią domu. Nie była nią i wcale nie zamierzała być.

Postawiła kubek na podłodze, tuż przy materacu, i zaczęła oglądać nagrania z kamery. To, jak zachowywała się Nina, wyglądało zwyczajnie i na pewno nie mogło stanowić rozrywki dla widza. Widzowie oglądający takie reality show mieliby święte prawo do wyłączenia odbiornika już po kilku minutach. Ranki były zawsze identyczne. Wstawiała, zdejmowała piżamę i wciągała dres w nieznanym kolorze, bo kamera rejestrowała zapis w czarno-białych barwach. Potem wychodziła, zapewne do toalety znajdującej się na końcu korytarza, i wracała, żeby przeczesać włosy. Do śniadania czytała encyklopedię zdrowia. Gdy wracała ze stołówki, przychodziła do niej pielęgniarka, zawsze ta sama, z włosami związanymi w węzeł przypominający hiszpański kok. Leki, o ile były potrzebne, podawano Ninie w jej pokoju. Co jakiś czas w kamerze migła strzykawka lub widać było, jak pielęgniarka z kokiem wyjmuje pigułki z blistra, a potem Nina wysuwa język, pokazując, że je połknęła. Raz na dobę ta sama kobieta donosiła do pokoju dwie litrowe butelki z wodą mineralną.

Maciejewski przychodził codziennie, czasem na zmianę z Synowcem. Zwykle między dziesiątą a południem. Po sesji leżała albo dłubała w ścianie za łóżkiem, drążąc w murze kształty ludzkich embrionów. Obiad i powrót, czytanie i siadywanie

na brzegu łóżka, by patrzeć bez celu na ścianę naprzeciwko. Dość długie drzemki, niemal dwugodzinne, też każdego dnia o tej samej porze. Wyglądanie przez okno. Ile można tak wytrzymać, mając jedenaście lat?

Niespokojne były głównie noce. Nie wszystkie, ale co kilka dób Nina zrywała się z poduszki i stawała przy oknie, wbijając wzrok w ciemny las. To, że mała nie chce patrzeć na ciemność za oknem, nie było prawdą. Przynajmniej nie w ostatnich dniach. Mogła stać tak nawet do godziny, jakby straciła poczucie czasu. Gdy już napatrzyła się na las, szurając nogami, wracała do łóżka. Widać było, jak kołdra porusza się przez kolejne kwadransy. Ponowne zasypianie sprawiało jej trudność.

Julia zaczęła przewijać film, omijając powtarzające się sceny. Rytuwały bowiem powielwały się każdego dnia, niemal co do godziny z nieznacznymi odchyleniami. Liczyła, że znajdzie coś ciekawego, jednak życie Niny w zakładzie było porównywalne do *Baa Baa Land*, który został okrzyknięty najnudniejszym filmem świata, bo trwa osiem godzin i w zwolnionym tempie pokazuje pasące się owce.

Poranne przebieranie, wyjście z pokoju, powrót, psychosesje, pielęgniarzka z wodą, czytanie, spanie. Naprawdę tyle piła? Julia nie znała jedenastolatki, która wypijałaby każdego dnia dwa litry wody. Sylwia nie liznęłaby nawet jednej czwartej tego, co wypijała Nina. Córnka Rawskiej nie była przecież chora na cukrzycę, równie dobrze mogłaby poprosić o sok owocowy, zamiast pić mineralną. A jednak każdego dnia pielęgniarzka przynosiła jej kolejne butelki czystej wody. Dziwne to, ale z pewnością zdrowe. Takie nagranie powinno się pokazywać dzieciom w szkołach. Może nie zachłystywałyby się colą, będącą niczym innym jak rozpuszczonym cukrem z domieszką sztucznego karmelu.

Julia cofnęła nagranie, szukając momentu, w którym dziewczynka sięga po butelkę z wodą. Musiała zobaczyć to na własne oczy, poza nocnym staniem Niny w oknie i drapaniem długopisem w ścianę nic innego nie przykuło jej uwagi.

Obserwowała, jak Nina odkręca zakrętkę i odkłada ją na stół. Powinna teraz podnieść butelkę do ust, ale nie zrobiła tego. Podeszła do stojącej w rogu pokoju paproci i podkasała rękawy bluzy. Uniosła jedną rękę nad rośliną i połała ją wodą. To samo zrobiła z drugą ręką. Woda przepływała przez palce i ginęła w donicy. Powtórzyła tę czynność trzykrotnie. Butelka opróżniała się do połowy, po czym Nina zakręcała ją i odstawiała na podłogę.

Czym mogła się tak ubrudzić, jeśli pozostawała niemal cały dzień w pokoju? Łazienka była zresztą tuż obok, wystarczyło wyjść za drzwi. Może umazała się przy

śniadaniu? Sylwia do tej pory potrafiła odejść od stołu z twarzą, która wyglądała, jakby właśnie wróciła z bitwy na pomidory.

Przewinęła kolejne minuty nagrania, aż do momentu, w którym Nina ponownie sięgnęła po wodę. Tym razem również nie piła. To było jak kalka, zdjęcie zakrętki, podwinięcie rękawów i polewanie dłoni nad paprocią.

Nie wierzyła w to, co widzi. Po raz trzeci, czwarty i szósty oglądała powtarzający się rytuał obmywania rąk. Nina chwyciła za butelkę niemal co godzinę. Ziemia w donicy nie przyjmowała tak wielkiej ilości wody. Nasiąknięta jak gąbka oddawała wilgoć do wielkiego spodka, który Nina opróżniała, wylewając wodę za okno. Dlatego paprocie były wymieniane tak często. Julia przypomniała sobie słowa doktora Synowca. Mówił przecież, że chorują i co kilka tygodni gniją bez powodu.

Było już jasne, że Nina nabawiła się nerwicy natręctw, której nikt nie zauważył. Wstawiała do mycia rąk nawet w nocy. Regularnie podchodziła do „chorującego” kwiatka, nadstawiając otwarte dłonie.

Dlaczego nikt tego nie dostrzegł? Po co była im ta kamera pod sufitem, skoro nie obchodziło ich, co to dziecko robi w ukryciu swojego pokoju? Skupili się na przyczynach jej emocjonalnego zamknięcia, bagatelizując skutki. Pewnie nawet byli zadowoleni, że tyle pije i że nie dojdzie u niej do odwodnienia.

Widziała teraz wszystko inaczej. Kompulsywność w zachowaniu Niny była jak zapalenie światła w ciemnej piwnicy. Musiała tylko poskładać wszystkie elementy układanki. I przede wszystkim dowiedzieć się, gdzie znajduje się mała uciekinierka.

* * *

Była ósma rano, gdy wybrała numer Marii. Doczekała do pełnej godziny, by nie zrywać jej o nieludzkiej porze.

Sygnał był normalny, jednak Maria nie odbierała. Na pewno nie była w drodze na uczelnię. Nikt przy zdrowych zmysłach nie jedzie na zajęcia w przeddzień pogrzebu własnej matki. Musiała być w mieszkaniu Klaudii i pewnie nadal spała. Organizowanie ostatniego pożegnania mogło ją wykończyć, jednak nic nie tłumaczyło faktu, że wyciszyła telefon w czasie, w którym policja przeczesywała ulice w poszukiwaniu jej młodszej siostry.

Julia spróbowała połączyć się po upływie kolejnej godziny, ale efekt był ten sam. Dopięła rozrzedzoną wrzątkiem kawę z nocy i złapała płaszcz. Kiedy znalazła się pod kamienicą na Chełmskiej, trzykrotnie nacisnęła brzęczyk domofonu.

Najpierw usłyszała ciche kliknięcie, a następnie odezwał się zaspany głos Marii.

– Halo?

– Musimy porozmawiać – powiedziała z marszu Julia. – Otwórz.

Maria odchrząknęła, ale nie wcisnęła guzika po swojej stronie. W tle słychać było szuranie nóg na posadzce, Klaudia zaczęła kręcić się po mieszkaniu w swoich wielkich kapciach z jednorożcami.

– Wolałabym kiedy indziej. – Dziewczyna ściszyła głos. – Pogadamy po pogrzebie, kiedy to wszystko się już skończy.

Odwiesiła słuchawkę. Julia ponownie wcisnęła przycisk. Trzymała na nim palec tak długo, aż Maria odebrała ponownie.

– Co się stało z twoim dzieckiem? – spytała, nie czekając na powtórne „halo”.

Maria nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

– O co pani chodzi?! – wyszeptała w końcu z poirytowaniem.

– Zabiłaś je. Chcę tylko wiedzieć jak. Pigułka czy nielegalna skrobanka?

– Ciszej, do diabła! – zasyczał głos Marii.

– Od ciebie zależy, czy sąsiedzi usłyszą o tym, co zrobiłaś. Więc lepiej otwórz drzwi, bo nie zamierzam stąd odejść.

– Chwila – burknęła, po czym zasłoniła dłonią mikrofon domofonu. Mówiła coś do Klaudii, ale słowa były stłumione i niewyraźne. – Zaraz zejdę – powiedziała wreszcie.

– Możemy pogadać na dole?

– Czekam.

Z klatki schodowej wyszedł mężczyzna z teczką w rękę, a zaraz po nim starsza kobieta ciągnąca torbę na zakupy na kółkach, hit ostatnich lat wśród emerytów. Julia nie przypominała sobie, by w okolicy znajdował się zieleniak. Do najbliższego trzeba było podjechać autobusem.

Maria pojawiła się niemal natychmiast. Na piżamę miała narzucony trencz, z cholewek martensów wystawały flanelowe nogawki w czerwoną kratę. Przed wyjściem z mieszkania zdążyła jedynie umyć zęby i ochlapać twarz wodą.

– Co pani przyszło do głowy z tym dzieckiem? – spytała i od razu zaczęła szczerkać zębami, cienką flanelę szybko przeszyły pierwsze poddmuchy wiatru. Zacisnęła patki płaszcz pod szyją, po czym dodała: – O niczym nie wiem. To jakieś nieporozumienie.

Julia wyjęła z kieszeni zdjęcie USG i podniosła na wysokość oczu dziewczyny.

– Rozpoznajesz?

– Że niby co? – wzdrygnęła się.

– Że niby to było twoje.

Podniosła głowę, żeby sprawdzić, czy z okna na pierwszym piętrze nie wystaje blond fryzura Klaudii.

– *Bullshit*. Nie wiem, skąd to pani wyciągnęła.

– Ze starej bielizny w twoim pokoju.

Maria złapała Julię za łokieć i odciągnęła na bezpieczną odległość od okien. Stały w głębi podwórka, przy zgiętym trzepaku.

– Grzebała pani w naszym domu?

– Tak. Nudziło mi się w moim, więc postanowiłam zajrzeć na Dereniową. Więc nie rozpoznajesz tego zdjęcia?

Palce podtrzymujące kołnierz płaszcza zacisnęły się na nim jeszcze mocniej.

– Może i rozpoznaję. – Maria schowała usta w kołnierz. – Ale jeszcze nie wiem, czy mi się to opłaca.

– Nie pogrywaj ze mną. Wiem, że sypiałaś z Leonem i że z tego sypiania zrobiła się ciąża. To taki skutek uboczny seksu bez zabezpieczenia, jakbyś o tym zapomniała.

– Zaczyna być pani wredna.

Julia pokręciła głową.

– Cienka jest granica między byciem wrednym a bezpośrednim. Mało kto jest w stanie ją dostrzec.

– I jeszcze robi pani ze mnie idiotkę.

– Myślałaś, że nie dojdę do tego, co się między wami działo?

– Nie sypiałam z Leonem. – Maria zacisnęła usta. – Co to w ogóle za pomysł?!

– Nie sypiałaś...

– Nie robi się tego z bratem. To obrzydliwe, a poza tym wie pani przecież o moich zaręczynach z Muratem. Planujemy ślub, to chyba coś znaczy.

Zrobiła triumfalną minę, odgarniając przy okazji opadające na twarz dredy, które po nocy nie zdążyły jeszcze znaleźć własnego miejsca na głowie i wyglądały jak splątane cienkie żeglarskie wanty.

– No tak, ślub. Coś o tym słyszałam – zgodziła się Julia. – Nie pokazałaś mi jeszcze pierścionka.

Maria wyciągnęła przed siebie prawą rękę.

– Prawdziwy brylant? – dopytała Julia, po czym chwyciła delikatnie dłoń Marii. – Czy tylko błyszcząca cyrkonia?

– Jeśli nie widziała pani nigdy brylantu...

Julia podniosła rękę Marii wyżej, żeby lepiej widzieć połyskujące cudeńko.

– Nie było mi dane. Muszę się bliżej przyjrzeć, taki jest piękny. Mogę?

Maria wzruszyła ramionami i naprężyła rękę w łokciu. Jeden silniejszy zacisk unieruchomił ją w garści Julii. Szarpnęła się i zasyczała.

– Co pani robi?! Niech-mnie-pa-ni-pu-ści! – wysyłała z wściekłością, próbując się wyrwać.

Julia nie zamierzała puszczać. Ścisnęła ją za palce, drugą ręką podciągnęła gwałtownie rękaw trencza, a wraz z nim rękaw piżamy. Musiała to sprawdzić. Na przedramieniu Marii widniał, nieco już poblady, tatuaż karcianej królowej kier.

– Co jest, do cholery! – warknęła Maria. – Zaraz pęknie mi kość!

Julia dopiero teraz poluzowała uścisk, pozwalając Marii rozetrzeć bolące miejsce i ukryć je pod rękawem płaszcza. Wiedziała, że jej nie ucieknie, była zbyt oszołomiona tym, co się właśnie stało.

– Zrobiliście je sobie na znak zawartego „małżeństwa”? – Julia zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu palcami. – Te tatuaże. On też taki miał, to chyba nie przypadek. Staliście się królem i królową kier. Jakie to romantyczne... Naprawdę, miłość jak z obrazka. Klaudia, jako twoja wierna sekundantka, również załapała się na tatuażową przygodę. Tylko że jej tatuaż był inny. Musiał być inny, bo para zakochanych była tylko jedna. Serce na tatuażu Klaudii skierowane było dla odmiany w górę. Pik, nie kier. To was od siebie odróżniało. Ty z Leonem, jako para, mieliście identyczne, różniły się tylko literą.

Maria wypuściła parę z płuc.

– Okej, dobra. – Przewróciła oczami na znak, że ma dość zabawy w kotka i myszkę. – To było dziecinne, taka gówniarska zabawa w nasze małe królestwo. Zrobiliśmy to dla beki, kiedy miałam czternaście lat.

– Królestwo dla beki. No to teraz, królowo, opowiesz mi ze szczegółami, co się stało z twoim królem i z waszym małym królewiatkiem. To był chłopiec, wiedziałś o tym?

Marii zrobiło się gorąco. Złapała rozrzucone dredy i wyjąwszy z kieszeni płaszcza rozciągniętą gumkę, związała je w nierówny supeł z tyłu głowy. Pod szyją też zaczynało się gotować, zaciskanie płaszcza nagle przestało być potrzebne.

Odeszła kilka kroków i oparła się o krzywą rurkę trzepaka.

– Wiedziałam. Miałam go nazwać po naszym dziadku. Klasycznie, Jan.

Spuściła głowę. Zaczęła poruszać stopami w sposób, w jaki poruszały się kiedyś wycieraczki na przednich szybach starych autobusów. Od boków do środka i od środka na boki. Błoto ochlapywało jej martensy i przyklejało się do cholewek, ale nie zwracała na to uwagi.

– Dlaczego Jan się nie urodził? – spytała Julia.

Ruchy botków nie ustawały.

– Ja chciałam, ale Leon nie.

– Dlaczego? Bo płód był obciążony genetycznie?

Podniosła na Julię oczy.

– To też pani wie?

– Wiem, ale chcę to usłyszeć od ciebie. Zatem to Leon wyszedł z propozycją skrobanki?

Maria przestała poruszać stopami.

– Ta ciąża to przypadek.

– Mhm. – Julia założyła ręce na piersiach.

– Naprawdę. Zresztą, to był jeden jedyny raz. To znaczy, odkąd Leon wrócił od ojca. I wystarczyło...

– Żeby dobrze zrozumiała. Sypialiście ze sobą dużo wcześniej, czy tak?

– Tak, ale to było dawno. Potem była przerwa.

– Bo?

– Bo wiedziałam, że to jest złe. Kazałam mu trzymać się ode mnie z daleka. Zresztą, bałam się, że to się w końcu wyda.

– Matka nie widziała tego, co działo się pod jej dachem?

Kącik ust Marii uniósł się.

– Musiałyby być ślepa. Pewnie, że widziała. Nie chodziło mi o nią, nie chciałam pójść do poprawczaka. Przecież to, co robiliśmy, to czysty kryminał.

– To dlaczego w ogóle zaczęłaś? Byłaś ciekawa, jak to jest?

Maria wyciągnęła na wierzch rękawy piżamy i schowała w nie dłonie.

– Już to mówiłam. Nie, nie pani. Mojej ciotce. Ale chyba mi nie uwierzyła.

– W to, że go kochałaś?

Dziewczyna podniosła na Julię oczy.

– I to cholernie. Nikogo w swoim życiu tak nie kochałam.

– A on?

Podniosła wywinięty rękaw piżamy do oka. Trudno było dopatrzeć się w nim łzy,

być może wytarła jedynie paproch, który wpadł pod powiekę.

– Tak samo – odpowiedziała, nadal trąc oko. – Wariował, gdy nie widzieliśmy się dłużej niż dwa dni. Nigdy wcześniej ani później nie dostałam od nikogo tyle miłości.

Znów zaczęła dygotać z zimna. Na koniuszku jej nosa pojawiła się kropla wody.

– Za rogiem jest knajpa – zaproponowała Julia. – Nie powinni mieć nic przeciwko gościom w piżamie.

Bistro Kurze Jajko udekorowane było plakatami z drobiem. Na stolikach stały lampki indukcyjne w kształcie jaj, które obsługa włączała za pomocą pilota natychmiast po przyjęciu zamówienia. Oferowano jajecznicę i omlety. Julia zamówiła dla Marii jedno i drugie. Ruch był mały, kelnerka przyniosła śniadanie w ciągu kilku minut i postawiła je wraz z parującą herbatą na stole.

– Zatem to była miłość – powiedziała Julia, nim pierwszy widelec z omletem trafił do ust dziewczyny.

– Pani w to nie wierzy?

– Zwykle chodzi o seks. Rodzeństwo często czuje do siebie pociąg fizyczny, chce sprawdzić, jak to jest z siostrą czy bratem.

– Aż chce mi się krzyczeć, jak to słyszę. – Maria zacisnęła szczęki. – Ale rozumiem, o co pani chodzi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie uwierzyć, że między rodzeństwem może dziać się coś mistycznego i że to nie jest ani zabawa, ani żaden erotyczny eksperyment. Tym właśnie różnimy się od całej reszty.

– Jedna krew i jedno ciało?

– Tak – zgodziła się Maria. – Tak właśnie czuliśmy. Tylko co z tego? Nasza miłość w oczach innych ludzi była brudna i bezwstydna. Nie tylko strach było o niej mówić, ale nawet myśleć. Że siostra robi takie rzeczy z własnym bratem... Wieczne poczucie winy... To wszystko mnie przerażało. Odwlekałam decyzję, by z tym skończyć, ale równocześnie nie chciałam stracić czegoś wyjątkowego. Czegoś, co nigdy i z nikim już się nie powtórzy.

– Przestaliście w końcu ze sobą sypiać?

– Tak. – Maria objęła dłońmi rozgrzany kubek. – Przez dwa lata unikałam spotkań. Jego poprosiłam, żeby też się ze mną nie kontaktował. Wiedziałam, że jeśli znów go zobaczę, to nie dam rady... że znów mnie poniesie. Musieliśmy nauczyć się być osobno i jak najdalej od siebie. Żeby normalnie żyć, rozumie mnie pani?

– Chyba tak.

– Dlatego drugi czerwca był dla mnie jak koniec świata.

– Nie wiedziałaś, że Leon wraca do domu?

– Nie miałam o tym pojęcia. Kiedy matka otworzyła drzwi i zobaczyłam go z walizką, stanęło mi serce. Minęło tyle czasu, odkąd widziałam Leona. Naprawdę myślałam, że tę chorobę mam już za sobą. Ale wszystko wróciło. Mówią, że co z oczu, to z serca. Pusty śmiech. Dla mnie nic się nie zmieniło. Ani dla niego. Kiedy przytuliliśmy się na powitanie, wszystko już wiedziałam. Wystarczył jego dotyk, żebym miała pewność, że jest tak, jak było kiedyś. Długo nie zapomnę tego, jak spojrział na mnie po dwóch latach...

Znów dziobała widelcem omlet, oddzielając jego brzeg i odsuwając go na skraj talerza. Jajecznicą stała nieruszona.

– Może pani zje, bo się zmarnuje? – spytała Julię i podsunęła półmisek w jej stronę. – Ja jakoś nie mogę.

Julia sięgnęła po solniczkę w kształcie jajka i posypała solą wystudzone już śniadanie. Ssała ją w żołądku, złapała więc za widelec i momentalnie wyczyściła talerz. Wytarła usta serwetką i już bez pośpiechu odłożyła ją obok.

– Dobrze się domyślam, że zaczęliście wszystko od początku? – spytała.

– To był tylko jeden raz.

– Powitalny czy pożegnalny? Zresztą, to bez różnicy. Z tego jednego razu zrobiło się dziecko.

Maria zaczęła nerwowo kręcić zaręczynowym pierścieniem wokół palca.

– Klaudia wyjechała wtedy w góry. Zostawiła mi klucze, żebym mogła swobodnie rozmawiać z tymi, no...

– Z klientami przez sekstelefon – odpowiedziała Julia.

– Mhm, tak, z tymi napalonymi oblechami. Dopiero co wystartowałyśmy z interesem, a już miałyśmy kilku stałych klientów. Dzwonili zwykle wieczorem, więc rozumie pani, ktoś musiał te cholerne telefony odbierać. W domu, u matki, wiadomo, jak jest.

– Nie ten klimat?

– Nie ma żadnego klimatu, w tym problem. Miałam chować się po kątach albo na strychu? Dlatego tam jeździłam. Raz zabrałam ze sobą Leona. Wyjątkowo, mieliśmy tylko ze sobą swobodnie pogadać. Nic poza tym. Zwłaszcza że byłam już wtedy z Muratem. Ale stało się. – Westchnęła głęboko.

– Zdrowy rozsądek wyłączył się wraz ze zgaszonym światłem?

– Miłość okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. Jeśli kiedykolwiek pani kogoś kochała, to powinna pani zrozumieć.

Oczywiście, że rozumiała. W jej życiu też wszystko stało do góry nogami. Adam był do łóżka, Artur do kochania. Nie była w niczym lepsza.

– Ma mnie pani za zwykłego łacha – stwierdziła Maria po przeciągającej się chwili ciszy.

– Na twoim miejscu bardziej przejmowałabym się opinią twojego narzeczonego. Zakładam jednak, że przy odrobinie szczęścia nigdy nie dowie się o tym, co zrobiłaś. Najważniejsza postać z tej całej układanki, która mogłaby zniszczyć ci życie, nie żyje.

– Jeśli myśli pani, że zlikwidowałam Leona, by nie zaczął kłapać językiem...

– Kiedy dowiedział się o tamtym chłopaku?

– O Muracie? Powiedziałam mu na drugi dzień po tym, jak uprawialiśmy seks w mieszkaniu Klaudii. Wkurwił się. To nawet nie było zdenerwowanie, ale furia. Prawdziwy wkurw. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Zachowywał się zupełnie jak nie on.

– Zaczął cię prześladować?

Maria pochyliła się nad stołem i ukryła twarz w dłoniach.

– Po prostu oszalał. Z łagodnego człowieka zamienił się w potwora. Dręczył mnie każdego dnia. Odkąd powiedziałam mu, że teraz już naprawdę z nami koniec i że mam zamiar wyjść za Murata, zamienił moje życie w piekło. Zachowywał się jak zazdrosny szczeniak, jednego dnia potrafił kupić mi kwiaty i tego samego dnia nazwać dziwką. Wystarczyło, żebym na niego źle spojrziała albo nie chciała dać się dotknąć, a wylewał na mnie szambo. Za każdym razem, gdy wychodziłam na spotkanie z Muratem, słyszałam, jaka za mnie zdzira. Że sprzedałam się za pieniądze i że jeszcze wrócę do niego na kolanach. Za każdym razem krzyczał, że jeszcze go popamiętam.

– Groził ci?

– Nie podniósł na mnie ręki. Ale za każdym razem, gdy znikałam z domu, miałam wrażenie, że za mną idzie. Właściwie to jestem pewna, że mnie śledził jak jakiś psychol.

Kelnerka podeszła do stolika i zaczęła zbierać talerze na plastikową tacę. Jej brzeg opierała o biodro przepasane fartuchem z wyszytym kogutem.

– Nie smakowało? – spytała na widok rozbełtanego omleta.

– Mam dziś ściśnięty żołądek, nic nie przełknę – odpowiedziała Maria, dorzucając

przepraszającą minę.

Miła kelnerka przekrzywiła głowę.

– Może mięta by pomogła? Zaparzyć?

– Innym razem.

– Rozumiem. Jakby co, zapraszam. – Wskazała na zapisaną kredą tablicę z ofertą baru, która zawierała kilka propozycji ciepłych napojów.

Maria odprawiła kelnerkę wzrokiem, posyłając jej wdzięczne spojrzenie, mówiące zarazem „nie chce mi się żyć, a co dopiero pić miętę”.

– Kiedy powiedziałaś mu o ciąży? – spytała Julia, gdy znowu zostały same.

– Nie pamiętam dokładnie. Na pewno kiedy wiedziałam już, że czwarta z rzędu miesięczka się nie pojawi. Gdy jedna wypada z grafiku, można to sobie jakoś wytłumaczyć. Stres, silne przeziębienie, wszystko może się zdarzyć. Przy braku drugiej zaczynasz się zastanawiać, że przecież stres nie był taki silny, a przeziębienie to w końcu nie dzuma. I ciągle masz nadzieję, że w końcu zaczniesz cię cisnąć w dole brzucha. Latasz co godzina do łazienki, żeby sprawdzić, czy pojawił się ślad krwi, choćby mały. Kiedy mija trzeci miesiąc i dalej nic, zaczynasz wpadać w panikę. Ma pani dzieci?

– Mam córkę.

– Chciana czy z przypadku?

– Większość ludzi rodzi się z przypadku.

– Czyli że wpadka, tak jak u mnie.

– Widzę pewne różnice.

Maria poruszyła lekko ramionami.

– Bo u mnie z bratem?

– Twoja ciąża była wynikiem kazirodztwa. Przystępstwa.

– Tak, wiem, to strrrraaaszny grzech. – Maria przesadnie rozszerzyła oczy. – Wszchemogący gniewa się na takie jak ja i zrzuca je w ogień piekielny. To chciała pani powiedzieć?

Julia odniosła wrażenie, że Maria wciąż nie wie, po której stronie stanąć. Miłości do Leona czy wstydu za to, czego się dopuściła.

– To, co myśli Wszchemogący, mało mnie akurat obchodzi – odpowiedziała.

– Zatem paragraf! – Maria podskoczyła na krześle niczym rażona prądem. – Artykuł dwieście jeden kk. Należą się lochy i łańcuchy.

– Ty nadal nic nie rozumiesz. Przez swoją bezmyślność stworzyłaś kalekie

dziecko. Geny nie wytrzymały i doszło do mutacji.

– I co z tego?! – Z oczu dziewczyny wycierały wściekłość, żal i rozpacz jednocześnie. – Chciałam je mieć! Chciałam mieć choćby cząstkę Leona, ale na zawsze, tylko dla siebie! Nadal pani nie rozumie, że nie miało dla mnie żadnego znaczenia, czy to dziecko będzie miało ręce i nogi i czy będzie normalne?!

Zaniepokojona krzykiem Marii kelnerka wychyliła się zza baru, ale Julia powstrzymała ją uspokajającym ruchem ręki.

– Jasne, że wiedziałam, że z dzieckiem może być coś nie tak. – Krzyk Marii przeszedł w płaczliwy jęk. – Dlatego poszłam na to cholerne USG. Liczyłam na cud, ale nawet wtedy, gdy dowiedziałam się o wszystkich wadach, wciąż go chciałam. Było przecież moje, było nasze... Wolałam zerwać z Muratem i zrezygnować z bogatego życia, byle tylko zachować synka!

– Leon kazał ci się go pozbyć.

– Leon się bał. Miał swoje plany, chciał otworzyć lecznicę dla zwierząt i żyć spokojnie. Ojciec obiecał, że sypnie mu trochę grosza, gdy przyjdzie pora. W zamian Leon miał zachowywać się jak dorosły człowiek i nie robić matce problemów po tym, jak do nas wrócił. Gdyby jego stary dowiedział się o ciąży, chyba by go zabił.

– Jeśli chodzi o klinikę, mieliście razem ją prowadzić, mam rację? Stąd twój pomysł na studiowanie weterynarii – wtrąciła Julia.

– A myśli pani, że z jakiego powodu zaczęłam zarabiać na tych głupich seksrozmowach? Studia kosztują. Ale tak, oboje mieliśmy prowadzić lecznicę. A potem Leon został zabity. Gdy go chowaliśmy, obiecałam mu, że nie zmienię naszych planów. To, że jego już nie ma, niczego nie przekreśla.

– Leon bał się, że syn pokrzyżuje wasze plany?

– Może gdyby Jaś był zdrowy... – Maria westchnęła z bólem. – Pewnie biegałby teraz dookoła stołu, a my cieszylibyśmy się, patrząc, jak się rozwija. Ale chore dziecko to kłopot, i to wielki. Dla Leona perspektywa wychowywania kaleki była nie do przyjęcia.

– Żałujesz, że pokazałaś mu wynik badania?

– Nie miałam innego wyjścia! Poszedł do przychodni razem ze mną, nalegał na to. Przeczynał, że z dzieckiem coś będzie nie tak. Do gabinetu bał się wejść, jakby miał zobaczyć na monitorze samego diabła. Czekał pod drzwiami. Kiedy wyszłam, od razu zabrał mi opis zdjęcia. Przeczytał i wszystko było już jasne. Do domu wracaliśmy w ciszy. On się nie odzywał, ja też nie miałam odwagi nic powiedzieć. Zwłaszcza że

widziałam jego twarz. Zaciętą i rozczarowaną. Do tematu wróciliśmy dopiero po kilku dniach. Właściwie to ja mówiłam, zaczęłam go, by się wreszcie odezwał. Musieliśmy przecież ustalić, co robimy dalej.

– Zamiast rozmów wolał dać ci pieniądze na zabieg.

Maria kiwnęła głową.

– Tak, zażądał ode mnie, bym przerwała ciążę. Nie wyobrażał sobie siebie w roli ojca kaleki. Mówił, że wad może być więcej, niż widać na USG, bo przecież...

– Sami byliście dziećmi z kazirodczego związku. To chciałaś powiedzieć?

– To też pani wie? – Maria zmarszczyła czoło. – Ale tak, to prawda. Wtedy mi właśnie o tym powiedział. I że my to jeszcze mieliśmy cholerne szczęście, ale kolejne pokolenie z tej samej krwi już na pewno nie będzie zdadne do życia, że będzie genetycznie gorsze od... przepraszam, ale chyba nie dam rady o tym mówić...

– Spróbuj.

Maria przełknęła z trudem ślinę.

– Powiedział, że urodzę potwora. Widziała pani *30 dni mroku*?

– Horror?

– Trudno sobie wyobrazić bardziej wynaturzone twarze. Wykrzywione, nieprzypominające ludzkich. Bał się tego, i to cholernie, więc zapożyczył się i wcisnął mi pieniądze do ręki. Powiedział, że mam zlikwidować problem. Zwlekałam z decyzją. Ja naprawdę miałam zamiar urodzić to dziecko, ale chyba nie starczyło mi siły. Oswajałam się z myślą, że przecież zostałabym z nim sama. W końcu zaczynałam się bać, tak na serio. Jestem za młoda na życie z takim balastem. I dziecko miałoby parszywe życie. Ludzie by się od niego odwracali, ja nie dawałabym rady, więc co by nas czekało? Mnie dożywotnia depresja, a Jasia to chyba tylko zakład opieki z małym trawnikiem i ławką, gdzie raz na tydzień wyprowadzano by go na słońce. Nie chciałam takiego życia dla mojego dziecka. Doszłam do wniosku, że lepiej dla niego będzie w ogóle nie istnieć. W internecie znalazłam lekarza, który robi takie rzeczy. Drogo, bo było już na tyle późno, że nie powinien mnie w ogóle sadzać na fotel. Ale powiedział, że wszystko da się zrobić za pieniądze.

– I mały Jaś popłynął...

– Niech pani tak nie mówi, to mnie kosztowało naprawdę dużo.

– Dokładnie trzy tysiące. Wiesz, kto pożyczył Leonowi te pieniądze?

– Nie uwierzy pani, ale dostał je od nowej żony naszego ojca. Pojechał do nich, ojca nie było akurat w domu. Powiedział tamtej kobiecie, że pilnie potrzebuje

pożyczki. Nie chciał mówić na co, tylko tyle, że musi załatwić coś dyskretnie i natychmiast. Chyba domyśliła się, o co chodzi, ale bez szczegółów. Do tej pory nie wie, co nas łączyło. Dała mu te pieniądze i przyrzekła, że nie powie o niczym ojcu, o ile zwróci jej wszystko przed końcem roku. Potrzebowała ich na coś, nie wiem na co, bodajże na remont. Leon bał się, że jeśli wypłynie sprawa z tą pożyczką, ojciec nie sypnie mu potem groszem na lecznicę.

– Dlatego tak się wściekał na matkę, że nie chce mu pomóc spłacić długu?

– Tak. Miał oddać wszystko co do złotówki najpóźniej w sylwestra. Matka miała trochę odłożonych pieniędzy i on o tym wiedział. Chowała je przed nim, uzbierała kilka tysięcy na czarną godzinę i nie zamierzała się ich pozbyć.

– Wiedziała o twojej ciąży?

– Nie wiem, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Miałam mały brzuch i nosiłam luźne bluzki, ale mogła coś podejrzewać, bo przestałam używać podpasek i tamponów. Zawsze leżały w jednym miejscu w łazience, więc nie dało się nie zauważyć, że ich nie ubywa.

Julia obróciła pusty kubek po herbacie. Musiała ją zapytać o jeszcze jedną rzecz.

– Dlaczego mnie wynajęłaś?

Brwi Marii uniosły się niemal pod linię włosów. Wyglądała, jakby nie zrozumiała pytania.

– Już mówiłam, chcę znać prawdę o tym, co się stało.

Julia przyjrzała się jej prowokacyjnie.

– Przecież dobrze wiesz, kto zabił Leona. Po co ten cały cyrk w szukanie winnego?

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, i to bardzo dobrze. Jesteś na tyle bystra, by wiedzieć, że proces twojej matki miał być tylko ustawką. Ale nie dość cwana, żeby przekonać mnie, że nie wiesz, co się wydarzyło w noc śmierci Leona.

Maria przygryzła dolną wargę niemal do krwi. Gdy po chwili otworzyła usta, pozostały na niej krwiste kreski po odcisniętych zębach.

– Dobrze, powiem. Chciałam sprawdzić, czy na podstawie dowodów, jakie zostały zebrane podczas śledztwa, policja może dojść prawdy. Tej prawdziwej. Potrzebowałam kogoś, kto przyjrzy się sprawie tak, jak robią to gliny. Kto mógłby zrobić to lepiej niż pani?

– Miałam być twoim papierkiem lakmusowym? – Julia skrzyżowała ręce na piersi.

– Wnikliwa, dokładna i inteligentna. A, jeszcze sprawna i zdeterminowana. Tak

wyczytałam o pani w sieci. Ktoś nawet użył słowa „dogmatyczna”. Jakiś pismak, nie pamiętam nazwiska. Więc postanowiłam sprawdzić, na co mam się nastawiać podczas procesu. Zresztą, nie tylko ja.

– Nie byłoby taniej spytać o to adwokata twojej matki?

– Nie obchodzi mnie, co wie adwokat. Ważne jest, co wie prokurator.

– Aż tak bardzo się tego obawiasz?

– Może być naprawdę gorąco. – Maria pociągnęła nosem. – Jeżeli policja trafiła na to co pani... Bo pani wie już wszystko, prawda?

– Owszem. Brakuje mi do układanki kilku elementów, ale one absolutnie nie zmieniają sytuacji.

– Doskonale, na to liczyłam.

– To, czego się dowiedziałam, wcale mi się nie podoba, Mario.

– Mało mnie to obchodzi. Nie może pani skłamać ani ukrywać faktów.

Julia uśmiechnęła się drwiąco.

– Mówię poważnie. – Głos dziewczyny był pełen napięcia. – Wiąże panią umowa. Płacę za dochodzenie i chcę, żeby mi pani przedstawiła jego wynik. Może go pani sobie nazwać papierkiem lakmusowym.

– To, co wiem, może za chwilę nie mieć żadnego znaczenia. Prokurator ma wnieść o umorzenie sprawy – zastrzegła Julia.

Maria poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Co to oznacza? Procesu nie będzie?

– Skoro twoja matka nie żyje... Sądysz, że byłaby dumna z tego, że rozgrzebałaś sprawę na nowo? – spytała Julia.

– Ktoś musiał.

Pierścionek z brylantem od Murata błysnął na jej bladej po zimie dłoni. Znów była sobą, chłodna i opanowana, zmęczona po godzinie rozmowy, która może i kosztowała ją wiele, jednak gdy tylko kurz opadł, na twarz dziewczyny znów powrócił wyraz mający niewiele wspólnego z sentymentalizmem. Prawdziwa królowa lodu.

– Myślę, że wolałaby, żeby wszystko zostało po staremu.

– To pani zdanie. Jeśli więc to koniec naszej rozmowy... – Maria podniosła się z krzesła, dając do zrozumienia, że miła pogawędka dobiegła końca.

– Nie zapytasz, co się dzieje z Niną?

– Przecież się znalazła, jest z naszą ciotką. Przyjechała nocnym pociągiem do Warszawy, mała dezserterka.

A więc była cała i zdrowa.

– Rozmawiałaś z nią? – dopytała Julia.

– Nie. Ciotka zadzwoniła do mnie w środku nocy i powiedziała, że Nina śpi u niej w hotelu. Trochę się zasmarkowała i ma lekką gorączkę.

– Będzie jutro na pogrzebie?

Maria położyła łokcie na oparciu krzesła i zakłósała nim niebezpiecznie.

– Będzie – odpowiedziała bez chwili wahania. – Wypada przecież pożegnać się z matką, prawda? Bez względu na to, jaka była.

Dosunęła swoje krzesło bardzo dokładnie.

– Pani też przyjdzie na cmentarz? – spytała. Wciąż bawiła się oparciem krzesła, tym razem zaczęła stukać w nie obrączką od pierścionka zaręczynowego. – Powinna pani przyjść, im więcej ludzi, tym lepiej. Rodzina nam się skurczyła, żal by było chować matkę w cztery osoby na krzyż. Zobaczysz pani, jakiego anioła kupiliśmy na grób.

– Anioł ważna rzecz – odpowiedziała chłodno Julia. – Należy się waszej mamie.

– I Leonowi. Przede wszystkim jemu, choć ciotka ma inne zdanie. Ale to ona płaci, więc się nie odzywam. Niech dalej myśli, że to dla matki, ja tam wiem swoje.

– Hmm... miłość po grób – skwitowała Julia. – Szkoda, że tak marnie się skończyła.

Stukanie w krzesło ucichło. Maria rozłożyła dłonie w pytającym geście. Nadal nie rozumiała tego, w co wpakowała siebie i swoją rodzinę.

– Coś nie tak?

Julia pokręciła spokojnie głową.

– Wszystko okej, Mario.

– Więc przyjdzie pani? – upewniła się.

– Przyjdę. Nie może mnie zabraknąć w tak ważnym dniu. Chcę, żeby twoja przyjaciółka również pojawiła się na pogrzebie.

– Klaudia? – Dziewczyna uniosła w zdumieniu czoło. – Będzie na pewno. Nie wyobrażam sobie przejść przez to wszystko bez niej.

Maria zakręciła się na pięcie i odeszła, stukając podszewkami martensów. Spodnie od pizamy podjechały w górę i opierały się o brzegi cholewek. Wyglądała jak chudy klaun, który zapomniał opuścić nogawki przed wejściem na arenę.

– Skończyły pani? – Kelnerka stanęła nad Julią z tacą opartą na brzuchu – Mogę zabrać puste kubki?

Nie czekając na odpowiedź, zebrała wszystko ze stołu. Wróciła ponownie z moką ścierką do przecierania blatu.

– Zapraszamy ponownie – pożegnała wstającą od stołu Julię. – Może następnym razem pani przyjaciółka będzie miała większy apetyt.

– Nie sądzę. Obawiam się, że mojej młodej przyjaciółce apetyt minie na bardzo długo – odpowiedziała Julia z nieprzeniknionym uśmiechem.

Gdy wyszła na ulicę, po Marii nie było już śladu. Zanim dotarła do auta, powiadomiła Maciejewskiego o tym, że Nina się odnalazła. Potwierdziła, że dziewczynka żyje i że stawi się jutro na pogrzebie Rawskiej. Nieśmiało dodała, że też się wybiera. Na końcu języka miała pytanie, czy on również tam będzie, ale wspomnienie obrączki na palcu Artura zasznurowało jej usta.

Zaparkowała skodę pod swoim blokiem. Przy klatce stała dwuosobowa delegacja, która, o ile dobrze pamiętała, miała zjawić się u niej w niedzielę po południu. Matka miała na sobie wyjściowy płaszcz i kapelusz, pod pachą ścisnęła kościelną torebkę. Ojciec, ubrany jak na pogrzeb, trzymał w garści kwiaty.

– Nie daliśmy wtedy rady – krzyknęła w jej stronę Emilia, kiedy zobaczyła, że wysiada z auta. – Przez niego. – Wskazała na ojca. Stał sztywno, jakby doznał paraliżu całego ciała łącznie z twarzą. – Dostał skurczu w łydce, musieliśmy wrócić do domu.

Julia otworzyła kodem drzwi klatki schodowej i puściła ich przodem.

– Brzydko tu. – Emilia stanęła pod windą. – Pachnie chlorem jak w szpitalu zakaźnym.

– Sąsiadka walczy z robactwem – wyjaśniła Julia. – Leje litry wybielacza do zsypu.

Starsza pani poklepała córkę dłonią po policzku.

– Może dlatego źle wyglądasz. Wdychasz to świństwo. Dziecko nie powinno mieszkać w takich warunkach. Mam na myśli twoje dziecko, naturalnie. Dla astmy to może być zabójcze, pomyślałaś o tym?

– Z chęcią przeprowadzę się do willi z basenem, mam. Jak usłyszysz, że rozdają za darmo, od razu daj mi znać.

– Wystarczyłoby, gdybyś wyszła za wiesz kogo, a Sylwia miałaby wszystko. – Emilia pociągnęła drzwi windy i od razu wykrzywiła twarz na jej widok. Ściany wyłożone brązowymi płytami porysowane były ząbkami kluczy i informowały, kto

jest panem i czyja stara ciągnie rzepę w *Familiadzie*.

Nie skomentowała swojego niedoszłego ślubu z Arturem. Matka nigdy jej tego nie wybaczyła. Historię ze stratą ciąży i decyzję o porzuceniu przeszłości przerabiała setki razy. Już się wydawało, że zrozumiała i przetrawiła sprawę, po czym znów się okazywało, że jest całkiem odwrotnie.

– Teraz na prawo. – Julia zabręczczała kluczami do mieszkania. – Drzwi pośrodku.

Przecisnęli się przez wąski przedpokój. Emilia odbiła się od jednej ze ścian i rozejrzała po niemal pustym wnętrzu.

– A więc tak żyjesz? – westchnęła z bólem, po czym zdjęła z głowy kapelusz i położyła go na kuchennym blacie. Jej wzrok natychmiast przykuła popisana czarnym flamastrem ściana. – No i jak to wygląda?! Dlaczego pozwalasz dziecku pisać po ścianach?

– Mamo...

– Zaraz... Co to jest?! – Emilia podeszła do zapisanych na murze notatek Julii. – Niech mnie Najświętsza Panienska ma w swej opiece! To przecież... Nie podejrzewałam cię o taką bezmyślność. To trzeba jak najszybciej zamalować. Ojciec się tym zajmie, prawda, kochanie? Musisz pomóc naszej córce, ona nie ma pojęcia o tym, jak powinien wyglądać prawdziwy dom. A dywan gdzie? W porządnym mieszkaniu musi przecież być dywan. Tu jest jak w przydrożnym barze. Jak można tak żyć?

– Tak, mamo, tak właśnie żyję, jak w spelunie. – Julia rzuciła klucze obok kapelusza matki, po czym ściągnęła płaszcz. Przewiesiła go przez bujany fotel, jedyny, jaki był w salonie. – Krzesel brak, proponuję więc przyjęcie na stojąco. Bufet serwuje słone paluszki i herbatę z torebki. Barowy parkiet jest gotowy do tańca. Jakbyś chciała, mogę puścić specjalnie dla ciebie przeboje prosto z ulicy, wystarczy otworzyć okno.

– Nie musisz być złośliwa.

– Nie musisz mi ciągle powtarzać, że moje życie to porażka!

– Edmundzie, kwiaty! – Emilia pociągnęła go za rękaw. – Może choć kwiaty tu pomogą. Ale! Już jedno widzę. No tak, przecież Sylwia coś wspominała... Od kogo? – spytała, wskazując palcem na lekko już klapnięte róże od Górnego.

– Od nikogo, mamo. Kupiłam sobie na imieniny.

– Na te, co masz w kwietniu? – Emilia nie ustępowała.

– Tak. Na te, co w kwietniu. Nie mogłam się doczekać.

– Ano widzisz. Nikt takim kobietom jak ty nie chce kupować kwiatów. Nie jest ci przykro, że musisz sama to robić?

Śmiech Julii wypełnił pokój.

– I jeszcze się z tego śmiejesz! – Emilia pokiwała głową z politowaniem. – Edmundzie, daj je wreszcie, nie stój jak mumia!

Patrzyła, jak matka w opętaniu otwiera kolejne szafki w kuchni, próbując znaleźć wazon. Ojciec nie mówił nic. Wciśnięty w kąt między drzwi a przedpokój, stał nieruchomo i z przerażeniem śledził szalejącą Emilię. Po raz pierwszy w życiu Julia poczuła, że jest jej go żal. Grał drugoplanową rolę w teatrze jej matki. Był marionetką pociągana za sznurki, a wszystko dlatego, że kiedyś popełnił błąd, który za wszelką cenę starał się od lat naprawić. Nie wiedziała do końca, dla kogo to robi. Dla siebie, dla Emilii czy dla nich wszystkich. Słono musiało go kosztować codzienne zaciskanie zębów i naginanie się do wariactw matki. Niekończąca się pokuta, to tylko przychodziło jej na myśl, gdy obserwowała ich chorą relację.

Podeszła do ojca i odebrała od niego kwiaty.

– Podobno bierzecie ślub – powiedziała, nie zwracając uwagi na trzaskające drzwiczki szafek.

Był speszony tym, że otworzyła do niego usta po latach ostentacyjnego milczenia. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza ukryte w kopercie zaproszenie.

– Może być ci trudno to przyjąć, zwłaszcza ode mnie.

Zaproszenie było napisane odręcznym pismem, do tego wytwornie zdobionym. Na pewno nie było to pismo matki ani też ojca. Musieli się postarać i wynająć kogoś, kto kaligrafował tak pięknie, jakby przeniósł się w czasy przedwojnia. Data, godzina, miejsce, dla Julii i osoby towarzyszącej, wszystko się zgadzało. Ładnie napisane i poszerzone gdzie trzeba. Do tego pośrodku sztywnego kartonika widniały splecione dwie złote obrączki.

– Francja-elegancja. – Julia uśmiechnęła się kącikiem ust. – Ślub ślubem, ale potem może nie być już tak wesoło.

Oboje zwrócili oczy ku Emilii. Spocona, ale szczęśliwa nalewała z kranu wodę do słoika.

– Chyba już nic nie zdoła mnie zaskoczyć – odpowiedział. – Zdążyłem przywyknąć. Miałem wystarczająco dużo czasu, żeby nauczyć się milczeć, kiedy trzeba. To pomaga.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

Obrócił w rękach swój kapelusz i strzepnął z niego niewidoczny pyłek.

– Jestem jej to winien. I tobie też – dodał.

– Nie wymagam poświęcenia.

– Błędy powinno się naprawiać. W przeciwnym razie można gubić się przez całe życie i donikąd nie dojść. Wiele lat zajęło mi uzmysłowienie sobie, że moje miejsce przy niej może zająć ktoś inny. Kiedy to wreszcie zrozumiałem, wiesz, co poczułem?

– Strach. – Julia zamknęła zaproszenie z rysunkami obrączek i wsunęła je do koperty. – To właśnie się czuje, gdy ktoś wymyka nam się z rąk. Lęk, że można nie zdążyć.

Oboje wiedzieli, o jakiej sytuacji mówiła.

– Przykro mi, że nie wyszło ci z tamtym mężczyzną – powiedział Edmund.

– Mnie też jest przykro. Widocznie tak miało być.

– Może jednak jeszcze kiedyś...?

– To niemożliwe. – Julia spuściła wzrok na obskubane przez siebie łądygi kwiatów. Nawet nie zauważyła, kiedy z końcówek liści tulipanów porobiła paznokciem zielone pędzelki. – Nie z nim. Ja właśnie jestem tą, która nie zdążyła.

– Bardzo boli?

Roztarła w palcach wilgoć z łądyg.

– Nie wiedziałam, że taki ból w ogóle istnieje.

Zaryzykował odtrącenie, ale objął ją ramieniem. Najpierw jednym, wciąż oczekując, że go odepchnie. Nie zrobiła tego, przywarła do jego miękkiej jesionki i pozwoliła mu zacisnąć ręce na swoich plecach.

Emilia patrzyła znieruchomiła na tę scenę. Po palcach ciekły jej krople wody spływające ze słoika.

– Nie ma rzeczy niemożliwych – wydukała i przycisnęła słoik do piersi. – Jednak niebo czuwa nad naszą rodziną! Teraz pozostaje mi już tylko znaleźć kogoś dla ciebie, kochanie – zwróciła się do Julii.

Julia poczuła na plecach sugestywne poklepywanie. To wystarczyło, by zrozumieć, że w osobie ojca znalazła nowego sojusznika.

– Skoncentrujmy się na naszym ślubie, Emilio. A co do Julii... niech żyje własnym życiem.

„Dzięki” zostało wyartykułowane przez Julię bezgłośnie ruchem ust, po czym odkleiła się od ojca.

– Niech sobie żyje, ale nie sama i nie w tym czymś. – Emilia wykonała ruch głową,

wskazując na ściany. – Zaraz po ślubie weźmiemy się do malowania tej pieczary.

– Co ty na to? – Edmund spojrział niepewnie na córkę.

– Nic z tego. To moja pieczara i jest taka, jaka być powinna.

– Matka chce zrobić coś pożytecznego...

– W takim razie niech wyremontuje schronisko albo szpital, bo ja nie potrzebuję pomocy.

Emilia jednym ruchem odebrała kwiaty z rąk Julii i wcisnęła je do słoika.

– Z nią tak zawsze, to ciężki przypadek.

– Ja ciebie też kocham, mamó. – Julia podała matce jej kapelusz, sygnalizując tym samym, że czas wizyty dobiega końca. – Na ślub przyjdę, chociaż w tym cię nie zawiodę.

Dała się pocałować Emilii w oba policzki i uścisnęła rękę ojca.

– Jeszcze jedno! – Emilia stanęła w drzwiach. – Na ślubie kogoś poznasz...

– Nie dam ci się swatać, jeśli to masz na myśli.

– Ach, nie! Chodzi o coś zupełnie innego. – Emilia wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Edmundem. – Poznasz córkę swojego ojca, tę drugą. Mówiłam ci o niej.

– O Lidii? Tak, pamiętam.

– Ojciec uznał, że nie powinno jej zabraknąć podczas takiej uroczystości. Nawet bywa miła, choć nie zawsze. – Zastrzegła ręką. – Nie masz nic przeciwko?

– Jestem dorosła, mamó. Nie obrażam się na ludzi za to, że istnieją.

Lidia była od niej młodsza o dziesięć lat. Zbyt wiele, by mogła zostać przyjaciółką. Na to, by stała się siostrą, była zbyt obca. Ojciec z pewnością miał nadzieję, że wejdzie do rodziny, może nie tak gładko, jak to sobie wymarzył, ale mimo wszystko, bez większych problemów. Ślub był idealną okazją. Na ślubie nie wypada robić scen i dramatów.

– Tylko kup sobie coś ładnego – zaznaczyła Emilia. – Mam nadzieję, że znajdziesz dla siebie jakąś piękną garsonkę.

Garsonkę. Do tego piękną. Julii cisnęło się na usta, że takie zjawisko jak piękna garsonka nie istnieje. Nadawały się na procesję Bożego Ciała dla kobiet w wieku matki, ale na pewno nie dla niej.

Kiedy wyszli, zamknęła za nimi drzwi. Oparła zaproszenie o brzeg słoika z kwiatami. „Wraz z osobą towarzyszącą” zaczynało ją stresować. Ma iść w parze z Górnym czy nie wspomnieć mu w ogóle o ślubie matki? Gdyby istniała trzecia możliwość, chętnie

by z niej skorzystała, ale wszystko wskazywało na to, że wybór ma bardzo ograniczony.

Piekły ją oczy, potrzebowała zmyć zmęczenie chłodną wodą. Zapaliła górne światło w łazience i stanęła przed lustrem. Za mało ostatnio spała, pod dolnymi powiekami przebijały ciemne półkola. Dotknęła twarzy i rozciągnęła skórę pod oczami. Nie musiała się zbytnio przyglądać swojemu odbiciu, by zauważyć, że skóra zrobiła się bardziej wiotka, a w kącikach oczu pojawiły się cienkie zmarszczki. Były już wcześniej, ale nie tak długie i nie tak widoczne. I jeszcze czoło. Za dużo mimiki, za mało spokoju.

Oparła ręce o umywalkę i pokiwała głową. Kobieta z lustra, ze związanymi byle jak rudymi włosami, zrobiła to samo.

– Idzie starość – powiedziała Julia do tej drugiej. – Ani się spostrzeżesz, jak stuknie ci czterdziestka, a potem pięćdziesiątka. Zrób coś ze sobą, bo zaczyna być niewesoło.

Kąpiele w środku dnia powoli zaczęły wchodzić jej w nawyk. Odkręciła kran i puściła wodę. Wlała do niej pachnący płyn i dodatkowo wrzuciła kąpielową kulę zapachową. Płyn z kulą zabuzowały pod ciśnieniem spadającej wody, po wannie rozeszła się piana o zapachu wanilii i banana. Od tej zmiksowanej słodkości zaczynało pachnieć jak w mydlarni. Uchyliła drzwi i przyniosła z kuchni zakrętkę od słoika. Zza kaloryfera wyjęła schowaną przed Sylwią paczkę papierosów. Wołała, by córka nie wiedziała, że w domu są papierosy. Za każdym razem, gdy przytulała się do matki i wyczuwała dym, groziła palcem i mówiła, że śmierdzi jak popielniczka.

Wróciła do łazienki i zrzuciła ubranie. Zanurzyła się w ciepłej wodzie, piana otoczyła jej nogi i brzuch. Oparła plecy o wannę, położyła ręce na jej brzegach. Wreszcie miała relaks jak w filmie, wystarczyło zapalić papierosa i strząsać popiół do stojącej pod ręką zakrętki. Dym z tłącego się vogue'a powoli zaczynał przegryzać się przez słodkość powietrza. Chciała się zrelaksować i o niczym nie myśleć, pozwolić swoim nowym zmarszczkom wyprostować się jak na reklamie kremów prezentowanych przez wygładzone dwudziestolatki. Wystarczy zamknąć oczy.

Reeelaaks... Reelaaks... Re...

Leżąca w spodniach na sedesie komórka zaczęła wibrować. Nie miała zamiaru odbierać. Nie teraz, kiedy prostują się zmarszczki. Ktoś jednak nie zamierzał odkładać tej rozmowy na później i za nic miał stan jej skóry. Komórka trzęsła spodniami, jakby siedziało w nich gniazdo wściekłych os. Zgasiła papierosa i podciągnęła się na

łokciach. Piana ściekła z jej rąk wprost na podłogę.

Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko wychowawczyni Sylwii, pani Rogalskiej. Julia chrząknęła niepewnie do telefonu.

– Tak, dzień dobry. Julia Krawiec, słucham – wyrzuciła z siebie, zbierając cieknącą po wannie pianę.

– Dzień dobry, ja w sprawie córki.

– Coś się stało? Zapomniała o sprawdzianie czy uciekła z lekcji?

– Nie tym razem. – Głos wychowawczyni nie należał do łagodnych. – Właściwie źle się wyraziłam, bo sprawa nie dotyczy Sylwii, ale pani.

– Mnie?

– Tak. Zapraszam panią do siebie, najlepiej w piątek w czasie długiej przerwy.

– Powie pani, w jakiej sprawie?

Rogalska zrobiła przeciągłe „hmmm”.

– W sprawie zdjęcia, którym pani córka chwali się przed klasą. I nie tylko – dodała po chwili.

– Chwali się moim zdjęciem? – Julia wciąż nie rozumiała.

– Można to tak nazwać. Chodzi konkretnie o ścianę z pani mieszkania. Opisaną szczegółami jakiejś zbrodni.

– Jasna cholera...!

– Tak. Ja myślę dokładnie tak samo. To jest szkoła, a nie zakład poprawczy. Nie możemy tolerować takich zachowań. Sylwia wywołała niezdrową sensację tym zdjęciem. Dzieci zarzucają się pomysłami, kto kogo i w jaki sposób zabije. To niedopuszczalne, chyba pani rozumie.

– Miała tego nie robić. Nie pozwoliłam jej...

– Jak widać, ma pani zbyt mały wpływ na swoje dziecko. Poza tym nie rozumiem, jak można trzymać takie rzeczy w mieszkaniu, i to na oczach dorastającej młodzieży. Może pani i Sylwii jest potrzebny psycholog? Rodziny przecież są różne... Mamy w szkole świetnego specjalistę, na pewno dobrze pani doradzi. Zresztą, porozmawiamy o wszystkim w szkole.

– Tak...

– Nie chciałabym, aby takie sytuacje się powtarzały.

– Tak...

– Zapraszam do siebie do pracowni polonistycznej.

– Tak, przyjdę na pewno...

- Do tego czasu zastanowię się, czy nie zaprosić na nasze spotkanie pani dyrektor.
- To chyba nie będzie konieczne.
- Wszelkie incydenty powinny być zgłaszane dyrekcji. Co najmniej. Bo te gorsze to, oczywiście, do kuratorium.
- To tylko zdjęcie ściany...
- Nie rozumiemy się. Pani, zdaje się, bagatelizuje problem.
- Nic podobnego. Sylwia chciała się popisać przed koleżanką, to wszystko.
- Zatem spotkamy się we trzy, razem z panią dyrektor. Do widzenia, i oby pani do nas dotarła, bo w sprawie tego zdjęcia zamierzamy podjąć stosowne kroki.

Kiedy zakończyły rozmowę, Julia nie miała już ochoty na powrót do pachnącej wanny. Miała natomiast wrażenie, że jej zmarszczki pogłębiły się i za chwilę przenikną do kości.

ROZDZIAŁ XVI

Wybrała tę samą sukienkę, w której była na spotkaniu z Maciejewskim. Prostą, czarną, bez żadnych zdobień. Była do kolan i w miarę ciepła. Mogła zrezygnować z sukienki i wciągnąć na siebie dzinsy, pod długim płaszczem i tak nie widać, co ma się pod spodem. Mimo wszystko wybrała sukienkę. Rawskiej nie znała i nie zamieniła z nią ani jednego słowa, niemniej pogrzeb zobowiązywał do zachowania elementarnych zasad przyzwoitości.

Na zamszowych kozakach znów wybiły ślady starego brudu, przeciągnęła je zmoczoną szczotką i wytarła obcasy z błota. Przeczesала włosy i założyła je za uszy.

Ta śmierć nie powinna była w ogóle się wydarzyć. Martwy miał pozostać tylko Leon, reszta miała żyć. A już na pewno miała żyć Arleta Rawska. Nawet nie zrobili sekcji, ciało przeleżało w zakładzie medycyny sądowej dwa dni, po czym zapakowali je do trumny. Raport Jareckiego wykazał, że do zgonu nie przyczyniły się osoby trzecie. Pobieżne oględziny wystarczyły, by napisać w raporcie, że to było samobójstwo jakich wiele w więzieniach. Osadzona nie wytrzymała napięcia i postanowiła ze sobą skończyć, zamiast spędzić resztę życia za kratkami.

Nawilżyła usta wazeliną i roztarła ją małym palcem. Na policzki nałożyła róż, ale wyszło komicznie, więc usunęła znaczną część urwanym z rolki listkiem papieru toaletowego.

Cztery kobiety: Maria, Nina, Judyta i Klaudia. Wszystkie były w domu w noc śmierci Leona i żadna z nich nie miała zamiaru powiedzieć całej prawdy o tym, co się stało. Były sobie tak bliskie, że nie chciały dopuścić do pograżenia żadnej. Śmierć Arlety rozwiązała problem. Nie będzie więcej przesłuchań i dociekań. Do starych rodzinnych tajemnic miała dołączyć kolejna, być może ostatnia.

Oczy wolała pozostawić bez tuszu. I tak miała czarne rzęsy, wystarczyło jedynie złapać pęsetką kilka niesfornych brwi, by poprawić łuk nad okiem. Wygładziła palcami włoski, by nie odstawały, i uznała, że to wystarczy.

Kiedy zadzwonił Górny, powiedziała mu, żeby nie przychodził na cmentarz. Nie chciała, żeby pokazywał się przy niej, skoro na pogrzebie pojawi się Jarecki. Miała

pewność, że go tam spotka. Będzie chciał pożegnać kobietę, którą zamordował rękami jednej z więźniarek. Nie darowałby sobie, gdyby złożenie trumny do grobu odbyło się bez niego. Szakał. A szakale, podobnie jak hieny, lubią cmentarze.

Sprawdziła godzinę. Uroczystość w kaplicy właśnie się rozpoczynała. Wolą nie pokazywać się podczas czuwania ani modłów. Interesował ją sam pogrzeb, kiedy karawan z trumną wjedzie na cmentarz.

Wyliczyła, ile zajmie jej jazda ulicami i parkowanie pod bramą cmentarza. Z tym drugim akurat nie powinno być problemu, nie spodziewała się tłumów żegnających Arletę Rawską. Nie należała do osób towarzyskich ani popularnych, pewnie nie pojawią się nawet kobiety, u których sprzątała. Po co im taka rozrywka. Zdąży więc ze wszystkim, o ile zaraz wyjdzie z mieszkania. Będzie pierwsza przy grobie, stanie z boku, nie za blisko, ale i niezbyt daleko, w sam raz, by obserwować pogrzeb.

Zdjęła z wieszaka płaszcz i zawiązała pasek w talii. Na wszelki wypadek złapała jeszcze parasolkę. Niebo wciąż nie mogło się zdecydować, czy powita u siebie Rawską uśmiechem czy łzami.

Zakręciła na palcu brelokiem z kluczykami do auta i wyszła z mieszkania.

* * *

– Nie wierć się. – Judyta Rawska-Kawka przytrzymała Ninę za udo.

Dziewczynka rozpięła zamek kurtki i rozsypała szalik pod szyją.

– Gorąco mi – wytłumaczyła, widząc zaniepokojone spojrzenie ciotki.

– To nie potrwa długo – zapewniła Judyta.

– Wiem, ciociu.

– Czterdzieści minut i wyjdziemy stąd na powietrze.

Maria położyła palec na ustach i wymownie wskazała wzrokiem zamkniętą trumnę. Judyta chwyciła Ninę za rozgrzaną dłoń.

– Dasz radę? – spytała szeptem.

Ninka niepewnie kiwnęła głową.

– Dlaczego nie mogłam zobaczyć mamy? – zwróciła się po chwili do Marii, pociągając ją za rękaw prochowca. – Ty ją widziałaś, ja też chcę.

Maria obrzuciła wzrokiem kaplicę. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Kilka osób, których nawet nie znała, odmawiało przed wejściem księdza różaniec, zerkając co pewien czas do modlitewników.

– Mama nie wygląda teraz najlepiej, nie powinnaś na nią patrzeć – wyjaśniła oziębło.

– To moja mama...

– Mama wolałaby oszczędzić ci tego widoku, wierz mi. Zapamiętaj ją piękną i zdrową, okej?

– Mhm.

– I nic już nie mów, zaraz zacznie się msza.

Drzwi zakrystii otworzyły się. Młody kapłan w fioletowej szacie rozłożył ręce, wzywając zebranych do powstania z miejsc.

– Muszę wyjść. – Ninka nagle poderwała się ze swojego miejsca.

– Teraz? – Judyta nachyliła się nad jej uchem. – Nie możesz, kochanie. Usiądź i czekaj cierpliwie.

– Nie rozumiesz, ciociu... Ja naprawdę muszę.

– Siadaj! – warknęła Maria. – I ani słowa!

Z tylnej ławki wyrzała Klaudia.

– Co jest? – spytała szeptem. – Nie umiecie zachować się na pogrzebie własnej matki? Uspokójcie się!

– Nina chce prysnąć – rzuciła przez ramię Maria. – Ta mała wariatka chce dać nogę.

– Nie mów tak o mnie! – burknęła Nina.

– Siedź cicho. Już wystarczająco namieszałaś. To przez twój głupi pomysł z wyjazdem pod Kraków mama się zabiła.

– Nieprawda! – Krzyk Niny przeszył cmentarną kaplicę. – Mama nie żyje, bo nie mogła znieść tego, co robiłaś.

– Zamknij się wreszcie – zasyczała Maria. – Starczy nam już wstydu!

Nie zdołała przytrzymać siostry. Nina przepchnęła się obok Judyty i wyskoczyła z ławy. Głowy zebranych obracały się w ich stronę jedna za drugą. Ksiądz wychylił się zza ołtarza, zakrywając mikrofon dłonią.

– Mam przerwać? – spytał, spoglądając to na Marię, to na Judytę.

– Nie – odpowiedział ktoś z końca kaplicy.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, skąd doszedł głos mężczyzny. Dopiero teraz Maria zauważyła ojca. Nie widziała go od pogrzebu Leona. Mimo że minął dopiero rok, odkąd go pochowali, ojciec się postarzał. Może dlatego, że schudł i bardziej posiwiiał na skroniach. Ten sam płaszcz, w którym przyszedł na cmentarz rok

temu, wisiał teraz na jego ramionach jak na zbyt małym manekinie. Głos miał jednak nadal mocny, i to na tyle, by poczuła nieprzyjemny dreszcz na karku.

Ludwik Zalewski wyprostował plecy i powtórzył:

– Nie przerywamy mszy. Do diabła ciężkiego, co to w ogóle za cyrk?! Arlecie należy się chyba porządny pogrzeb! Każdy ma zostać na swoim miejscu i milczeć!

Judyta zamknęła oczy. To wystarczyło, by Ninka znów się poderwała i pobiegła do drzwi.

– Stój! Ninka, zaczekaj! – krzyknęła za nią, jednak ciężkie wrota kaplicy już zazgrzytały i trzasnęły za plecami dziewczynki.

– Niech idzie – odezwała się ze złością Maria. – Ostatnio polubiła ucieczki. Pogrzeb matki odbędzie się bez niej.

Spojrzała na ojca wymownie, każąc tym samym jemu również zamilknąć. Usiadł w ławce już bez słowa komentarza. Za jego przykładem poszli inni. Kaplica powoli zaczęła cichnąć.

– Kontynuujemy mszę – zwróciła się do księdza Maria. – Proszę zacząć od początku.

* * *

Julia natknęła się na Maciejewskiego tuż przed bramą cmentarza. Kiedy parkowała starą skodę pod ogołoconym z liści dębem, on wysiadał ze swojego nowego modelu audi.

Zauważył ją od razu. Zatrzymał się na chodniku, po czym zrobił kilka kroków, stając przy kamiennym murze z wmurowaną tablicą z napisem *Non omnis moriar*.

Wyglądał tak samo dobrze jak kilka dni temu. Ubrany w drogi wełniany płaszcz, spod którego wystawał kołnierzyk białej koszuli i ściśnięty pod szyją czarny krawat. Na dłoniach miał czarne rękawiczki z cienkiej skóry. Nie sposób było dostrzec, czy miał na palcu obrączkę, czy zdjął ją, by tym razem nie robić Julii przykrości. Wolała myśleć, że jej nie ma, jednak szanse na to były takie jak na wygraną w totolotka.

– Zawsze lubiłam cmentarze – powitała go Julia. – Mało jest miejsc, gdzie jest tak spokojnie.

– Ja tam wolę Malediwy. Tam też jest spokój. Jeśli miałbym wybierać, to celowałbym w tamten kierunek.

Naprawdę to powiedział? Po cholere wspomniał o Malediwach? Julia patrzyła teraz na niego jak na dupka, który wydaje na jeden wakacyjny wyjazd tyle, ile ona

zarabia w pół roku.

– Nie wiem, nie byłam i pewnie nigdy nie będę. Nie moja liga i nie moje rewiry.

Jednak był dupkiem, zdał sobie z tego sprawę o kilka sekund za późno.

– Przepraszam. Nie tak to miało zabrzmieć.

– A jak? – Julia zatrzymała się tuż przed nim i patrzyła w oczy tak, że nie był w stanie się skupić, by wymyślić coś na swoje usprawiedliwienie. – Malediwy, piękna sprawa. To był twój miesiąc miodowy?

Coś wybełkotał i zaraz potem odchrząknął.

– Nie dosłyszałam.

– Tak, miodowy – powtórzył. – Nieważne.

– Ważne, że było słodko. Na miodowym powinno być słodko.

Wyminęła go i ruszyła w stronę wejścia. Asfalt chodnika kończył się i przechodził w ubity piach. Wybierała miejsca, gdzie aleja była bardziej sucha, nie chciała wdepnąć w błoto i pomoczyć zamszu na kozakach. Artur szedł za nią. W przeciwieństwie do Julii nie zwracał uwagi na to, gdzie stąpa w swoich wypastowanych butach prosto od włoskiego projektanta.

– Więc to już dziś? – zagaił, gdy mijali stary prawosławny grób rosyjskiego żołnierza.

Julia poprawiła torbę na ramieniu, ale nie odwróciła się w jego stronę.

– Rawska wreszcie zazna spokoju – rzuciła przez ramię. – Nie miała lekkiego życia.

– Są ludzie, których tragedia w życiu nie jest w stanie ominąć.

– Daruj sobie opowieści o klątwach.

– To predyspozycja genetyczna, nie klątwa.

– Gen ofiary? – spytała z przekąsem Julia.

– Można tak powiedzieć.

– Nigdy z nią nie rozmawiałeś. Nie masz pojęcia, jak wyglądało jej życie.

– Znam takie przypadki. Nie ona pierwsza doświadczyła przemocy.

– Zatem nie geny, tylko samo życie. – Julia zatrzymała się na wysokości cmentarnej kaplicy. Msza wciąż trwała, z wnętrza dochodziły odgłosy modlitw. – Ono ustawia nas w pozycji albo ofiary, albo kata.

– Wszystko bierze się z genów, Julia. Reszta to tylko dodatek do historii człowieka. Jeśli te pochrzanione geny przekazuje się dalej, może dojść do najgorszego.

– To nie geny zabiły Leona.

– Owszem. Rawska wolała zabić własne dziecko, by położyć kres temu, co działo się pod jej dachem. Dała temu początek, więc postanowiła też to zakończyć.

– Chryste! Ty naprawdę w to wierzysz? Mówisz, jakbyś przestał logicznie myśleć. Co się takiego stało, że nagle masz mgłę w głowie? Może to powietrze na Malediwach źle na ciebie wpłynęło?

– Wracają twoje złośliwostki, jakże mi ich brakowało! Ale to chyba nie są właściwe miejsce ani czas.

– Czas i miejsce są doskonałe! Otwórz wreszcie oczy, Artur!

Nie czekając na ripostę, szła dalej. Do grobowca Rawskich brakowało około stu metrów.

– Poczekaj! – usłyszała za sobą wołanie Maciejewskiego. – Nie zachowuj się jak dziecko!

Przystanęła i zaczekała, aż do niej dołączy. Kilka głębszych oddechów ostudziło jej krew.

– Okej, teraz to ja przesadziłam. Cieszę się, że byłeś na rajskich wakacjach, i doceniam fakt, że jesteś zajebistym psychiatrą. Ale nie mogę pojąć, jak możesz nie widzieć tego, co dzieje się na twoich oczach?!

– Możesz jaśniej?

Zerknęła w stronę kaplicy. Nie mogła widzieć drzwi, znajdowały się po drugiej stronie budynku. Jednak zza grobów zaczęły dobiegać pojedyncze głosy ludzi, co oznaczało, że msza dobiegła końca i za chwilę karawan z ciałem Arlety Rawskiej wyjedzie spod kaplicy w stronę rodzinnego grobowca.

– Nie – odrzekła. – Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. Teraz nie pora na tłumaczenie.

Przyspieszyła kroku. Nie zwracała już uwagi na swoje zamszowe buty, które kilka razy ugrzęzły w złogach brudnego śniegu zalegającego na cmentarnej alei. Chciała jak najszybciej dotrzeć do miejsca, w którym miało spocząć ciało Arlety Rawskiej.

Słyszała coraz głośniejszy śpiew dochodzący z głośnika niesionego przez kościelnego. Zaraz powinna dotrzeć na miejsce, jednak na razie wciąż miała przed sobą kawałek drogi do przebycia. Mijała groby stare i nowe, z wiązkami i bez. Na niektórych paliły się znicze, inne tonęły pod przykryciem czarnych po zimie liści skropionych wronimi odchodami. Przystanęła na moment, by zorientować się, w którą alejkę skręcić. Kiedy była tu ostatnim razem, mijała charakterystyczną studzienkę z

żelazną pompą, stojącą na skraju alejki. Gdzieś tu była, stała przy grobie dawnej nauczycielki miejscowego gimnazjum. Pamiętała przyklejone do tablicy zdjęcie kobiety. Dość młoda, z ciemnymi włosami i dużymi okularami, jakich już nikt nie nosi. Krzyż na jej grobie wystawał ponad inne, a na płycie stały wtedy dopiero co zapalone znicze, przyniesione najprawdopodobniej przez dzieci zmarłej albo wychowanków z jej dawnej klasy.

Znalazła wreszcie studzienkę i grób nauczycielki. Teraz musiała skrócić w prawo.

Do grobowca Rawskich było coraz bliżej. Dzielilo ją od niego nie więcej niż trzydzieści kroków, niemniej widziała już czerwień kurtki Niny. Dziewczynka siedziała pochylona na rozgrzebanej ziemi tuż przy grobie, w którym za chwilę miało spocząć ciało jej matki.

Kiedy usłyszała zbliżające się ku niej postaci, odwróciła się. Twarz miała usmarowaną ziemią, podobnie jak ręce i rękawy kurtki. Szalik wisiał przewieszony przez krzyż na sąsiednim grobie.

– Co tu robisz? – spytała Julia, stając przy pryzmie rozsypanej ziemi.

Wyglądała żałośnie. Brudną ręką otarła policzek, pozostawiając na nim dodatkową czarną plamę.

– Kim pani jest? – wydyszała Nina.

– Przecież wiesz. Ja ciebie nie znam, ale ty mnie już widziałas. W klinice, kiedy do ciebie przyszedłam – dodała. – Chciałam porozmawiać.

– Byłam chora, musiałam mieć spokój. Czego pani ode mnie chce?

– Od ciebie? Już niczego. Przyszedłam pożegnać twoją mamę.

– Ja przecież... ja nie chciałam...

Przerwała i wyciągnęła rękę w stronę Maciejewskiego. Podszedł do Niny i przygarnął ją do siebie. Po policzkach dziewczynki płynęły łzy, rozmazując brud z ziemi.

– O czym ona mówi? – zwrócił się do Julii. – Czego nie chciała?

Kondukt z trumną Rawskiej zatrzymał się. Czterech pracowników domu pogrzebowego szarpnęło drewnianą skrzynią, wysuwając ją z karawanu.

– Odsuńmy się. – Julia pociągnęła za sobą Artura. Uczepiona jego rękawa Nina wciąż smarkała w drogą wełnę. – I daj jej chustkę.

Wytarł twarz dziecka, doprowadzając ją do jako takiego wyglądu. Zdjął z sąsiedniego grobu czerwony szalik i zawiązał go wokół szyi Niny. Mogła już spokojnie ukryć twarz w zwojach jaskrawej włóczki, jednak wciąż buczała jak

nakręcony brzeczyk.

– Niech nam pan ją odda. – Judyta Rawska-Kawka wyciągnęła rękę w stronę uczepionej Artura Ninki. – Nie zamierzam doprowadzić siostrzenicy do kolejnego ataku hysterii. Widzi pan, że dziecko płacze za matką.

Artur poluzował uścisk, Nina poszła jak na sznurku za ciotką i dla odmiany wtuliła się w jej palto, chowając twarz przed Julią.

– Co teraz? – spytał Maciejewski.

– Jak to co? – odparła Julia. – Teraz odbędzie się pogrzeb. – Siostra Rawskiej musiała chyba stanąć na głowie, żeby ksiądz go odprawił.

Cofnęła się, by ułatwić bliskim dostęp do rodzinnego grobu. Artur zrobił to samo. Modlitwy były ciche i przygnębiające, potem przyszła pora na pożegnanie. Ksiądz wysuwał mikrofon w stronę kolejnych członków rodziny, ale odpowiadały mu kręcenia głów. Nikt nie wrywał się do wygłoszenia mowy pogrzebowej. Sam więc powiedział kilka wysłużonych formułek, po czym chwycił za kropidło.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – dotarło do uszu wszystkich pochylających się nad trumną.

Julia spojrzała przez ramię. Od strony głównej alei zobaczyła znajomą sylwetkę zmierzającą w ich kierunku. Jarecki szedł z rozmachem, rozstawiając szeroko nogi przy każdym stąpieniu. W rozpiętej kurtce, spod której wystawały poły również rozpiętej marynarki. Ostrzyżony na łyso, zapewne niedawno i własnoręcznie, bo nad uchem miał przylepiony plaster z opatrunkiem.

Zauważył ją od razu i przykleił do twarzy sarkastyczny uśmiech.

– Kto to? – Maciejewski nachylił się nad Julią.

– Typ, przez którego odeszłam z komendy. Kawał drania. Chce zobaczyć na własne oczy, jak pakują Rawską do ziemi. – Na pytające spojrzenie Artura dodała szybko: – Myśli, że na jej śmierci zbuduje sobie karierę. Jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo się myli.

– Domyślam się, że nie pałasz do niego sympatią.

– Ależ skąd! – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od zbliżającego się mężczyzny. – Bardzo często ciepło o nim myślę.

– Tak ciepło, że ugotowałabyś go w piekle?

– Mniej więcej.

Jarecki nie zamierzał stać z boku. Podeszedł do Marii i zatrzymał się za jej plecami.

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro – powiedział tak, by jego głos słyszeli wszyscy.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Ksiądz powoli kończył swoje formułki. Jako że wciąż nikt nie kwapił się do bąknięcia słowa pożegnania, dał znać, że można wsuwać trumnę do grobowca i opuszczać do znajdującej się w nim niszy. Mężczyźni z zakładu pogrzebowego złapali za uchwyty trumny i pochylając głowy, weszli z nią ostrożnie przez otwarte żelazne drzwi. Na długich pasach opuścili ją w głąb ziemi, po czym wyszli na zewnątrz po łopaty. Cała operacja trwała kilka minut, po chwili ucichło uklepywanie piachu i drzwi grobowca zazgrzytały, odcinając zmarłą od świata.

– Zamknęli mamę – westchnęła Ninka i zerknęła niespokojnie na Julię.

Judyta odwróciła jej głowę i pogłaskała po włosach.

– Tak. Jest już razem z waszym bratem. Czas położyć kwiaty na płytę.

– Miał być aniołek...

– Będzie – odpowiedziała Rawska-Kawka. – Ale dopiero jutro. Kamieniarz nie zdążył z zamówieniem.

– Jutro? – W głosie dziewczynki dała się słyszeć niepewność wymieszana z lękiem. – To znaczy, że go nie zobaczę?

– Nie martw się, głuptasku, zobaczysz. Dlaczego miałabyś go nie zobaczyć? Możemy przecież przełożyć nasz wyjazd.

Julia nie zdążyła zareagować na te słowa. Jarecki nagle przestał interesować się Marią i podszedł do niej rozkołysanym krokiem.

– Proszę, proszę, kogo tu przywiało. – Nachylił się nad jej uchem. – Jak ci jest na wygnaniu, Krawiec? Wylizalaś się już z ran czy nadal krwawisz?

– Oczy mi krwawią, jak na ciebie patrzę. Ból nie do zniesienia.

Roześmiał się stosownie do sytuacji. Wybrał idealne miejsce i czas na to, by szczyrzyć zęby.

– Rzuć tę robotę w cholerę, dobrze ci radzę, Krawiec. – Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł w nią głośno nos. – Nie męcz się, bo nic nie wymęczysz. Zajmij się czymś innym, pieleniem ogródka czy wypalaniem garnków. To twój nowy facet? – Wskazał brodą na Maciejewskiego. – Wreszcie złapałaś kogoś na poziomie. Trzymaj się go, ceruj skarpetki i lep pierogi. Po diabła masz patrzeć na mnie i wypłakiwać oczy z rozpaczy! Czyjś sukces boli najbardziej, co nie, Krawiec?

– Pewnie tak, nie wiem, jak to jest.

Zagulgotał śmiechem.

– Już wkrótce się dowiesz. Zamykam sprawę Rawskiej, a wiesz, co to znaczy.

Uniosła brwi w oczekiwaniu na informację roku.

– Awansik. Nie udawaj, że się nie domyśliłaś.

– Uuuu... grubo, Jarecki. Nie, nie domyśliłam się. Jak wspomniałeś, nadaję się jedynie do lepienia garnków, nie do myślenia.

– Chciałem być uprzejmy i pomóc ci podjąć właściwą decyzję. Powinnaś docenić.

– No tak, uprzejmość. Znów się nie domyśliłam.

Podniósł palec i pokiwał nim Julii przed nosem.

– I determinacja – dodał. – Dlatego tak daleko zaszedłem.

– Raczej bezduszny fanatyzm. Zacząłeś już wyszywać sobie na pagonie trzecią gwiazdkę? Użyj właściwego wzoru, Jarecki, żeby nie wyszła ci z tego swastyka.

Poruszył szczęką, jakby przeżuwał właśnie kawał żyłastego mięsa.

– Swojemu chłopu też tak pyskujesz, Krawiec? – spytał, przerzucając flegmatyczne spojrzenie na Maciejewskiego. – Co, pyskuje ci? – zwrócił się bezpośrednio do Artura.

Maciejewski nachylił się nad głową Jareckiego, który wyglądał przy nim jak buldożek przy dogu niemieckim.

– Gównu ci do tego – odparł, ścisząc głos, jednocześnie wbijając swój palec wskazujący w środek splotu słonecznego Jareckiego. Uderzeń było tyle, co sylab w tym krótkim stwierdzeniu. Julia naliczyła sześć. Jak dla niej powinno być tych stuknięć dużo więcej. Przynajmniej tyle, by przebiły baloniastą klatkę piersiową i wypuściły z niej wpompowane powietrze. Jarecki był mały i szczekaty, wystarczyło jednak parę szturchnięć w żebra, by zrobił krok w tył.

– Jeśli nie pasuje ci moja uprzejma odpowiedź, to proponuję dokończyć tę rozmowę w innym miejscu – dodał Artur i teatralnym gestem objął Julię ramieniem.

Nie zauważył, jak drgnęła. Robiła wszystko, by tego nie wyczuł. Ona czuła jednak doskonale, jak porusza palcami na jej barku.

– Udam, że tego nie słyszałem. – Jarecki splunął pod nogi, wprost na resztki ziemi z grobu Rawskich, której łopaty nie zdołały zebrać i wrzucić z powrotem do środka. – Atak słowny na funkcjonariusza na służbie jest karalny. Wezmę to na karb okoliczności pogrzebu i waszego żalu.

Julia w ostatnim momencie ścisnęła rękę Maciejewskiego, by tym razem powstrzymał się od komentarza.

– Żalu, że jesteś skończona, Krawiec – wyjaśnił Jarecki. – Z radością przyszedłem tu, by osobiście ci to powiedzieć. A, jeszcze jedno. Po tym twoim niewypale nie

sądzę, by prokurator Sieracka chciała jeszcze z tobą kiedykolwiek pracować. Znajdź sobie inny obiekt albo, jak już grzecznie sugerowałem, po prostu odpuść tę robotę.

Zanim odwrócił się na pięcie i skierował do głównej alei, ukłonił się nisko Marii i Judycie, jeszcze raz składając płynące z serca kondolencje. Julia poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Wyswobodziła się z objęcia Artura i ruszyła za nim. Kiedy oddaliła się od grobu Rawskich, gwizdnęła. Tak jak się spodziewała, Jarecki zatrzymał się i obrócił w jej stronę.

– Czego chcesz?

– Dać ci dobrą radę. Dziś jest taki „dzień dobrych rad” dla przyjaciół. Ty mnie, a ja tobie, to uczciwa wymiana.

– Nie jestem twoim przyjacielem, Krawiec.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Nie bądź taki drobiazgowy, Jarecki.

– Mów, bo się śpieszę.

– Wyszywać trzeciej gwiazdki nie warto. Namachasz się tylko, a i tak awans szlag trafi.

– Śnij dalej, Krawiec. Śnić dobra rzecz, tylko to ci pozostało.

Odwrócił się do niej plecami, kończąc dyskusję.

– Obawiam się, że twój sen o awansie też raczej się nie ziści – krzyknęła za nim. – Zapomniałeś o podstawowej zasadzie. Bez niej marzenia się nie spełniają.

– Czyżby? Może mnie oświecisz – rzucił przez ramię.

– To prosta zasada, Jarecki. Jeśli nie potrafisz jeździć na dwóch koniach naraz, nie pchaj się do cyrku. Łatwo skrócić kark.

Zwolnił kroku i powoli obrócił się w jej stronę. Wyglądało to jak ostatni obrót baletnicy przed zatrzymaniem się grającej pozytywki.

– Co powiedziałaś?

– To moja dobra rada. Skorzystaj, stary!

Zostawiła go wgąpionego w jej plecy i wróciła do grobu Rawskich. Maria układała kwiaty na płycie, Judyta zapalała znicze. Tylko Nina stała nieruchomo, wpatrzona w ciotkę i siostrę.

– Co teraz ze mną będzie? – spytała, kiedy podeszła do niej Julia.

– Teraz stąd pójdziemy. Ja, ty, twoja siostra, ciotka i Klaudia.

– Nina powinna wrócić do kliniki – wtrącił się Artur. – Jeśli ma wyjechać pod Kraków, musi po pierwsze wydobrzeć, a po drugie...

– Zapraszam do wyjścia. – Julia zrobiła ruch ręką, wskazując główną aleję. – Wszyscy musimy o czymś porozmawiać.

Nie uszli daleko. Dom pogrzebowy, z którego ruszył kondukt do kaplicy, a potem dalej na cmentarz, mieścił się w jednym budynku z salą przeznaczoną na stypy.

Weszli do niej po kolei, najpierw Julia, potem zachmurzona Nina, za nią Maria popychana przez Klaudię. Drzwi sali zamknął Maciejewski, przepuszczając przodem Judytę, której miejsce organizowania styp podobało się najmniej. Julia z dziewczętami nie zwróciły uwagi na chłód panujący w pomieszczeniu ani na sztuczne kwiaty w czarnych wazonach, nie mówiąc o zasłonach w kolorze pogrzebowego fioletu. Judyta od razu wciągnęła w nos woń wszechobecnego kiczu zmieszanego ze słodkim aromatem zapachowych świec, po czym zasłoniła nos uperfumowaną dłonią.

– Podle tu – powiedziała. – Chyba nigdy nie byłam w tak wstrętnym miejscu.

– Mhm, nie wiem, jak można tu cokolwiek przełknąć – potwierdziła Maria, gdy dokładniej przyjrzała się wnętrzu.

Julia podeszła do jednego z okrągłych stołów i odsunęła krzesło. Poczekała, aż reszta się dosiadzie i ucichnie zgrzytanie krzesel o pokrytą terakotą podłogę.

Nikt im nie przeszkadzał, sala była otwarta dla osób chcących przyjść i złożyć zamówienie na konsolację, ale teraz, szczęśliwie, świeciła pustkami.

– Od czego zaczniemy? – spytała Maria. – Proponuję nie tkwić tu zbyt długo. Sprawa jest raczej prosta.

– Zaczniemy od samego początku. – Julia odwinęła szalik z szyi. Zrobiła to jako jedyna, pozostali nie zamierzali marznąć.

– Niech pani nie robi przedstawienia jak w kryminale Agathy Christie – bąknęła Klaudia. – Te jej sceny finałowe... Wszyscy razem, a potem cyniczne typowanie mordercy. Maria ma rację, skończmy z tym tak szybko, jak się da.

Artur spojrzał niecierpliwie na zegarek.

– Jeśli mam zabrać stąd Ninę...

– Nigdzie jej pan nie zabierze. – Podniesiony głos Judyty wypełnił salę i odbił się echem od ścian. – Nina zostanie ze mną.

Julia rozciągnęła usta w gorzkim półuśmiechu.

– Zanim się rozejdziemy, proponuję cofnąć się do dnia, w którym...

– Zamordowano Leona – dokończyła Maria i przebiegła wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

– Nie. Do dnia, w którym dostałam telefon od ciebie, Mario.

– Wy tłumaczyłam już pani, po co zadzwoniłam. To chyba zamyka sprawę.

– Ani trochę. Poza tym to, co powiedziałaś, było kłamstwem. Nie chodziło ci o to, by wybadać, jakie dowody może mieć w ręku prokurator.

Dziewczyna zaczerwieniła się po końcówki włosów.

– Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią Leona – bąknęła.

– Każda z siedzących tu osób miała z nią związek. Oczywiście poza tobą, Arturze. Ty byłeś tylko nieświadomym narzędziem w tym mechanizmie kłamstw i niedomówień i, jak się domyślam, nadal nie wiesz, co działo się pod twoim nosem.

– Leczyłem Ninę. Po tym, co przeszła, nie mogła pozostać...

– Zdrowa na umyśle? – spytała Julia. – To akurat prawda. Chore drzewa rodzą chore owoce. Żadne dziecko nie powinno być świadkiem tego, co działo się w tej rodzinie.

– Mieliśmy zacząć od początku – przypomniała nieśmiało Klaudia.

– Zaczęłam mówić o telefonie od Marii, choć właściwie wszystko zaczęło się dużo wcześniej. W waszym domu – wyjaśniła Julia, patrząc na Judytę.

– Tylko nie to! Nie dam się wmanewrować w morderstwo! – Rawska-Kawka zacisnęła ręce na piersiach. – To, że tamtej nocy byłam w Michałowicach, o niczym nie świadczy. Na krótko przed sylwestrem zmarł mój mąż, nie miałam zamiaru witać nowego roku w pustych ścianach. Tylko dlatego przyjechałam do siostry i jej dzieci – przyznała z pewną siebie miną.

– Nie zrozumiała mnie pani. Początkiem jest wasz dom – wyjaśniła Julia. – Ten, który tworzyliście z Arletą i bratem, Hubertem Rawskim, znanym teraz jako Ludwik Zalewski.

– To jakieś bzdury...

Julia zaczynała tracić cierpliwość.

– Naprawdę chce się pani bawić ze mną w ciuciubabkę? – spytała już bez cienia sympatii. – Może nie ma co owijać w bawełnę i trzeba wyłożyć karty na stół. Wasz rodzinny dom był tak samo patologiczny jak ten, który stworzyła dla swoich dzieci Arleta Rawska. Chyba nie zaprzeczy pani, że tak właśnie było?

Judyta spuściła wstydliwie wzrok.

– Nasz dom był, jak by to powiedzieć... inny.

– Inny, bo...?

– Po prostu inny. Nie chcę wywlekać starych spraw przed dzieckiem. – Wskazała

wzrokiem Ninkę. – Wystarczy, że Maria wie o wszystkim.

– Arleta Rawska zasługuje na to, by obie jej córki poznały prawdę. Może dzięki temu nie zapamiętają matki jako bezdusznej i biernej.

Dopiero teraz Judycie zaczęło się robić gorąco. Zsunęła z ramion płaszcz. Oparła łokcie na stole i schowała twarz w dłoniach. Julia czekała cierpliwie, aż zacznie mówić.

– Sypiali ze sobą – powiedziała wreszcie. – Ona i Ludwik, a właściwie Hubert. Regularnie. To działo się wbrew jej woli, ale on był starszy i silniejszy. Zaczęło się zaraz po tym, jak dostała pierwszej miesiączki. To wtedy się nią zainteresował. Namawiał na wspólne kąpiele, to było takie obrzydliwe... Widziałam, jak jest jej ciężko. Nie miała dokąd przed nim uciec. Nasz dom był mały, poza tym nikogo nie obchodziło, co działo się w dziecięcym pokoju.

– No a pani? – dopytywała Julia.

– Co ja?

– Czy panią też to spotkało?

– Że niby ja z nim...?

– Tak, że pani też.

Wzdrygnęła się z odrazą.

– Nigdy. Ani jednego razu. Nawet trudno jest mi to sobie wyobrazić – dodała. – Zabiłabym go, gdyby mnie dotknął.

– Ale wiedziała pani o tym, co dzieje się między siostrą a bratem?

– Wolałabym nigdy się o tym nie dowiedzieć. Ale tak, żyłam z tą wiedzą niemal przez całe swoje dzieciństwo. Najgorsze było to, że nie miałam komu o tym powiedzieć. Po pierwsze, było mi wstyd, że takie rzeczy dzieją się w naszym domu, a po drugie, matka zatłukłaby mnie za to, że chodzę i rozpuszczam po ludziach takie ohydne kłamstwa. Bo dla niej to było kłamstwo, ona nie chciała w to wierzyć – powtórzyła Judyta. – Arleta coraz częściej popadała w apatię, była słaba i bezwolna. Potem zaczęła chodzić na tory, bałam się, że coś sobie zrobi. Ale najwidoczniej nawet na to brakowało jej odwagi. Ciężko mi było na to patrzeć. Uciekłam z domu, gdy tylko nawinął się kandydat na męża.

– Wyszłaś za starego Kawkę, bo był bogaty – warknęła Maria.

– Miałam całe życie spędzić w nędzy? Już dość napatrzyłam się na biedę, wystarczy. Nie miałam zamiaru być ofiarą, jak wasza matka. Pod żadnym względem.

– Ciociu... – odezwała się Ninka. – Nie mów tak brzydko o mamie.

– Przepraszam, kochanie. – Judyta przyciągnęła do siebie głowę dziewczynki i pocałowała ją w czoło. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Przecież to prawda – parsknęła Maria. – Matka była ofiarą. Ale kochała nas i chciała dla nas dobrze.

– Gdyby chciała dla was dobrze, nie zrobiłaby was ze swoim rodzonym bratem! – Uderzenie zaciśniętych pięści Judyty w stół było silne, jakby miała zamiar rozłupać go na pół.

Ninka otarła łzy rękawem. Przylepiony do niego brud pozostały po grzebaniu w ziemi z grobowca znalazł się na policzku.

– A co niby miała zrobić, zabić go własnymi rękami? – rzuciła Maria.

– Tak – odpowiedziała ze śmiertelną powagą Judyta. – Zabić i zakopać gdzieś w lesie. Nikt by po nim nie płakał.

– Tak jak nikt nie płakał po Leonie – wtrąciła z goryczą w głosie Maria. – Rozumiem, że to niby taka analogia.

– Chyba każdy zdążył ją zauważyć – odpowiedziała sarkastycznie Judyta.

– Wyjaśniłam ci już, że to było co innego.

– Tak. Miłość. – Judyta gorzko się zaśmiała.

– To jakiś żart? – wtrącił się milczący dotąd Artur. – O czym one mówią?

– O miłości Marii do jej brata – wyjaśniła Julia. – Nie o platonicznej, ale cielesnej. Wydawało się, że nadal nie rozumie.

– Kazirodztwo w dwóch pokoleniach? – Maciejewski wolał się upewnić, że dobrze słyszy.

– Właśnie. Z tym że młodsze pokolenie łączyło podobno prawdziwe uczucie. Oczywiście do czasu. A konkretnie do chwili, w której brat dowiedział się, że jego siostra postanowiła z nim zerwać. Wiem, jak to brzmi. Nawet dość zabawnie. Jednak przestało być śmiesznie, kiedy Leon usłyszał o zaręczynach Marii. I to widok błyszczącego pierścionka działał na niego jak płachta na byka, nie zaś kolor skóry Murata, jak sugerowałaś ty, Klaudio.

Maria niemal podskoczyła na swoim krześle.

– Jak mogłaś powiedzieć coś tak głupiego?! – syknęła w stronę przyjaciółki.

– Chciałam tylko pomóc. Miałam obrzydzić Leona wszystkim, a zwłaszcza jej. – Wskazała na Julię. – Sama mi kazałaś!

– Lepiej już nic nie mów – warknęła Maria. – Leon był zazdrosny, ale nigdy nie był rasistą. Był dobrym człowiekiem.

– I tego za wszelką cenę próbowałam dowieść, podrzucając pendrive’a brata do domu przy Dereniowej – rzekła Julia. – To był sprytny ruch, Mario. Wiedziałaś, że tam przyjdę. Chciałam przedstawić mi Leona w korzystnym świetle. Charytatywne aukcje, szlachetne zamiary leczenia zwierząt. Naprawdę, wspaniała robota. Ukryłam pendrive’a przed policją, bo poza filmami z licytacji serduszek i marzeń Leona o przychodni dla zwierząt zawierał niewygodne dane, które nie powinny wpaść w niepowołane ręce. Mogłaś je po prostu wykasować, ale o tym nie pomyślałaś. Zawiesiłaś go na tablicy dopiero wtedy, gdy zakończyło się przeszukanie domu. Naprawdę sądziłaś, że uwierzę w to, że policja przeoczyłaby taki dowód? Nie doceniasz służb mundurowych, młoda damo. Niemniej Leon nie tolerował Murata, tak jak nie tolerowałyby żadnego mężczyzny, z którym związałaby się jego siostra. Miał liczyć się tylko on i nie zamierzał pójść w odstawkę.

– Związki kazirodcze między rodzeństwem są jedyne w swoim rodzaju – wtrącił Artur. – Zazdrość o drugą osobę jest niebywała.

– Dlatego Leon uważał, że Maria nie ma prawa do własnego życia. Zrobił się natarczywy i arogancki. Jego frustracja rosła tym mocniej, im bardziej Maria odstawiała go na boczny tor.

– Chciał się na mnie odegrać – wtrąciła dziewczyna ze złością.

– Nie, Mario. Nie miał zamiaru cię ranić. Chciał, żebyś do niego wróciła, a tylko tak umiał zwrócić na siebie twoją uwagę. Nie pomagało to, kim był naprawdę. Był altruistą z wielkim sercem i wielkimi marzeniami. Tylko że to nie miało żadnego znaczenia. Murat miał nad nim oczywistą przewagę.

– Nie był moim bratem.

– Otóż to. Tej bariery Leon nie był w stanie pokonać. Stąd frustracja. Nie miał szans w konfrontacji z innym mężczyzną, nie mógł przecież oświadczyć się siostrze.

– Raz to zrobił – wtrąciła Maria. – Byliśmy bardzo młodzi, ale już wtedy wiedzieliśmy, że powinniśmy być zawsze razem.

– Stąd wasze tatuaże.

– Serio? Byliście aż tak głupi? Myślałam, że to tylko zabawa... – parsknęła Klaudia. – Zawsze żałowałam, że dałam sobie wydzierać to paskudztwo. Już od pierwszego dnia mnie denerwowało.

– Nikt ci nie kazał iść za nami do salonu. – Warknięcie Marii uciszyło przyjaciółkę, która właśnie wyciągnęła rękę, by pokazać pamiątkę sprzed lat. – Mieliśmy zrobić to sami.

Judyta z odrazą spojrzała na rysunek na skórze Klaudii.

– To niby były wasze obrączki? Żałosne.

– Ślubne dziadostwo z tuszu – dopowiedziała Klaudia.

Maria zwiesiła głowę.

– Przynajmniej mnie kochał. On jeden, prawdziwie.

– Jeśli się kogoś kocha, to się go nie krzywdzi – przemówiła milcząca dotąd Nina.

– A on to zrobił. Przez niego zabiłaś własne dziecko.

– Co? – parsknęła Klaudia. – Zrobił ci bachora? Stąd to zdjęcie USG! A ja myślałam, że to zwykła podpucha na potrzeby rodzinnego dramatu!

Oczy Marii zamieniły się w szparki.

– Zamknij się wreszcie!

– Od początku wiedziałam, że z tobą jest coś nie tak, bo kto normalny sypia z bratem! Ale żeby odstawić taki numer?

– Przez tyle lat mnie rozumiałaś...

– Nie, nie rozumiałam. Nie myl rozumienia z chęcią udzielenia pomocy, to dwie różne sprawy. Było mi cię szkoda, bo wplątałaś się w to gówno, ale nie miałam pojęcia, że to wszystko zaszło aż tak daleko!

– To po prostu samo się działo!

– Nie, Mario, nic nie dzieje się samo. Naprawdę chciałam ci pomóc, ale teraz, z tą ciążą... Wstydziałaś się powiedzieć mi o tym? No jasne, kto przyznałby się do takiej siary! Bo to siara, wiesz? Nie wystarczyło ci sypianie z nim, musiałaś jeszcze zaciążyć? Co z nim zrobiłaś, z tym dzieciakiem?

Julia zauważyła, jak ramiona Niny kulą się pod czerwoną kurtką. Embriony rysowane na ścianie za łóżkiem dziewczynki były nim, nienarodzonym dzieckiem Marii. Wyglądało na to, że tylko Nina nie chciała dać mu umrzeć. Odwzorowywała kolejne etapy jego rozwoju, tnąc mur. Rysunki nie były idealne, ale robiła, co mogła. Miesiąc po miesiącu dodawała kolejne centymetry płodowi, doprowadzając go do symbolicznych narodzin.

– Wyskrobałaś? – Klaudia przechyliła głowę i wbiła wzrok w Marię.

– Dziecka nie ma – skwitowała Julia. – Maria nie musi się przed tobą tłumaczyć, zresztą to nie jest najlepszy moment na tego typu wyjaśnienia.

Maria dała jej ledwie widoczny znak, że dziękuje za ucięcie niewygodnego tematu.

– Niemniej ta sprawa ma znaczenie, jeśli chodzi o śmierć Leona – dodała Julia.

– Mama nie chciała, żeby do nas wrócił – zauważyła Ninka. – W domu było ciasno

i biednie.

– Nie o to chodziło – poprawiła ją Julia. – Wasza matka świetnie zdawała sobie sprawę z tego, co działo się między jej starszymi dziećmi. I wiedziała też, że to nie minie. Z kazirodstwa się nie wyrasta. Kiedy więc Leon stanął z walizką przed waszym domem, matka wiedziała, czego może się spodziewać.

– Tak, mama dobrze wiedziała. – Ninka odgarnęła z czoła opadający kosmyk włosów. – To straszny grzech, Marysiu... – bąknęła, wpatrując się siostrze w oczy.

– Siedź cicho!

Nina w odpowiedzi na warknięcie siostry tylko przygryzła usta. Jej policzki czerwieniały coraz bardziej od podnoszącej się gorączki i ciepła, jakie rozgrzewało ją od zapiętej pod szyję kurtki. Wyglądała jak włochata larwa jakiegoś egzotycznego motyla, który czeka na przekształcenie się w dorosłego owada.

Wszyscy umilkli, sparaliżowani ciężką atmosferą. Jako pierwsza odezwała się Klaudia:

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, to ja już niczego nie jestem pewna. Do tej pory święcie ci wierzyłam. – Pokiwała głową w stronę Marii. – Ale po tym, co właśnie usłyszałam...

– Nic się nie zmieniło. Cały czas mówiłam ci prawdę.

– Zmieniło się bardzo dużo. Chyba wszyscy wiemy dlaczego. Pominę fakt twojej ciąży, bo sama przyłożyłaś do niej rękę, a właściwie... wiadomo co. – Klaudia chrząknęła, jakby mała Nina nie domyślała się, skąd się biorą dzieci. – Ale generalnie miałaś dosyć tego związku. Leon stał się wulgarny i, cokolwiek by mówić, groźny. Więc jedynym wyjściem, żeby raz na zawsze pozbyć się tego pojeba, było usunięcie go.

– Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Zrobiłaś raz, pozbywając się dziecka, zrobiłabyś i drugi. Matka wzięła winę na siebie, wystarczyło tylko nie protestować, by mieć zabójstwo Leona z głowy. Zwłaszcza że miała powód, by pozbyć się go na zawsze. Męczył ją i ciągnął z niej forszę, jakby była jakimś bankomatem w Dubaju.

– Biedna mama. Leonowi zależało tylko na jej pieniądzech – wtrąciła ponownie Nina. – Wiedział, że schowała trochę w szafkach i kanapie. Chciał je zabrać, żebyśmy pomarli z głodu.

– Nie, Ninko – zaprzeczyła Julia. – Wasz brat potrzebował tych pieniędzy po to, żeby je komuś zwrócić. Miał dług do spłacenia.

Nina wycelowała wskazujący palec w Marię.

– Przez nią. Żeby nie było dziecka.

Krzesło Marii odsunęło się ze zgrzytem od stołu.

– Gdzie idziesz? – Judyta złapała dziewczynę za rękaw płaszcza.

Maria szarpnęła się i ruszyła do wyjścia.

– Wracaj, słyszysz? Jeszcze nie skończyliśmy! – krzyknęła za nią w stronę drzwi.

Stanęła pod budynkiem. Przez szklane ściany restauracji widać było, jak krąży po parkingu.

– Iść po nią? – zaoferowała się Klaudia.

Julia nie odrywała oczu od pleców w beżowym trenzu.

– Zaraz sama wróci, dajmy jej trochę czasu – odpowiedziała.

– Nigdy nie rozumiałam tej dziewczyny – westchnęła Judyta. – Odkąd pamiętam, żyła po swojemu. Już jako dziecko była inna. Krnąbrna i nieodpowiedzialna. Nie to co ty, kochanie – zwróciła się z łagodnym uśmiechem do Niny.

– Grzeczne dziecko to skarb – zauważyła Julia. – Dlatego próbowała je pani odebrać swojej siostrze i wywieźć na drugi koniec Polski? Chyba nie pomyłę się zbyt, jeśli powiem, że kartony z rzeczami Niny zdążyła już pani odesłać do swojego domu pod Krakowem.

Uśmiech szybko zszedł z twarzy Kawki.

– Tyle tego miała, co kot napłakał. To oczywiste, że nie powinna tu zostawać. Bo niby z kim, sama? Arlecie groził wyrok, więc to chyba normalne, że chciałam dać dziecku dom.

– Arleta Rawska miała zamiar odwołać swoje wcześniejsze zeznania w sprawie zabójstwa syna. Liczyła na to, że prokuratura zmieni kwalifikację czynu.

– To niedorzeczne! Gdyby to zrobiła...

– Wyszłaby z aresztu – dokończyła Julia. – Na szczęście dla pani, nie zdążyła. Powinna się pani cieszyć.

– Nie wiem, o co pani chodzi. – Judyta wzruszyła gwałtownie ramionami. – Myśli pani, że walczyłabym ze swoją siostrą o opiekę nad Niną?

– Tak właśnie myślę. Przyjechała pani do Warszawy po to, by urobić małą. Dobra ciocia pojawiła się w najtrudniejszym momencie i okazała dziecku wsparcie. Kończył się pobyt w klinice, a Maria nie zamierzała zająć się siostrą. Brzmi znajomo? Wcześniej wysyłała jej pani prezenty i kolorowe ubrania. Nina miała poczuć, jak to jest mieć coś ładnego i drogiego. Miała zapragnąć zmiany. To, że Arleta trafiła za

kratki, było dla pani jak prezent od losu.

– Chyba nie chce pani powiedzieć, że zabiłam Leona, po to by odebrać siostrze dziecko?!

– Niezaspokojony instynkt macierzyński to najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć kobiecie. Po raz pierwszy poczuła go pani, kiedy Maria i Leon trafili w jej rękę jako maluchy. Ciężko było je oddać matce po kilku miesiącach, mam rację? Było jeszcze ciężiej, gdy mimo starań wciąż nie udawało się pani zająć w ciążę. Co za niesprawiedliwość, pani siostra miała już troje dzieci, a pod Krakowem nadal nie było słychać tupotu małych stóp.

– Nic pani o mnie nie wie!

– Wiem tylko tyle, że kiedy nie ma szans na własne dzieci, pozostają cudze. Od zawsze traktowała pani Ninę jak własne dziecko. Może nawet marzyła pani, by pewnego dnia przestała mówić do pani „ciociu”, a powiedziała „mamo”? Owszem, mogła pani walczyć. Kiedy ma się pieniądze i dobrych prawników, którzy mogą zakwestionować sposób sprawowania władzy rodzicielskiej przez biologiczną matkę, wszystko jest możliwe. Tylko po co się tak szarpać?

– Co za bzdury...

– Arleta popełniła w swoim życiu dużo błędów, ale tego jednego postanowiła uniknąć. Nie zamierzała oddać pani Niny.

– Podpisała oświadczenie, mogłam ją zabrać, kiedy chciałam. Poza tym, jak pani zapewne wie, Arleta przyznała się do zabójstwa Leona. Najwyraźniej przemyślała wszystko i zadecydowała, że będzie lepiej, jeśli zostanie tak, jak jest. Napisała list, to chyba wystarczający dowód na to, że te bzdury o zmianie zeznań wywietrzały jej z głowy.

Julia położyła rękę na ramieniu Artura.

– Zawołasz ją? – Wskazała głową parking przed restauracją. – Za długo tam krąży, czas już kończyć tę maskaradę. Zresztą, każdy ma jej już chyba dość.

Podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Maria wciąż nie zamierzała wracać, musiał podejść do niej i chwycić ją za rękę. Opierała się i coś wykrzykiwała, wyglądała jak owca prowadzona na rzeź. Kiedy wrócili, stanęła za plecami Klaudii i schowała rękę do kieszeni płaszcza.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – stwierdziła i trąciła przyjaciółkę w tył głowy. – Wracamy do domu.

– Siadaj. – Julia nakazała wzrokiem, by dziewczyna wróciła na swoje miejsce przy

stole. – To już nie potrwa długo, ale nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie wyjaśnimy sprawy. Zwłaszcza tobie powinno na tym zależeć. Takie było twoje zlecenie, pamiętasz?

– Chyba dla wszystkich będzie lepiej, jeśli je odwołam.

Julia okrasiała twarz niecierpliwym uśmiechem.

– Za późno. Ale spokojnie, jak powiedziałam, powoli zmierzamy do końca tej tragicznej układanki. Stanęliśmy na tym, że twoja matka napisała list pożegnalny, w którym przyznaje się do zabójstwa Leona.

– I na tym zakończmy – podchwyciła Judyta. – Nie ma co dalej drążyć. Pogodziliśmy się już z tą tragedią i nic tego nie zmieni.

– Otóż prawda jest taka, że pani siostra nie zostawiła żadnego listu – dokończyła Julia.

Maria spojrzała nerwowo na Ninę.

– Też w to nie wierzyłam. Ani przez chwilę. Mama tak by do nas nie napisała.

– Wiem, Mario – zgodziła się Julia. – Nie mogłaś uwierzyć w coś, co nie miało żadnego sensu. Napisał go ktoś inny.

– Po co? – wtrącił Artur. – A zresztą... nic mnie już nie zdziwi. To był ten człowiek z cmentarza?

Julia kiwnęła głową.

– On. Porządnie za to beknie. Wróćmy jednak do nocy trzydziestego pierwszego grudnia. Bo chyba wszyscy na to czekamy.

– Ciociu... – miauknęła nagle Nina, uczepiwszy się dłoni Judyty. – Ja nie chcę...

– Ćśśś... nie bój się. No już, spokojnie, maleńka.

– W domu przy Dereniowej byliście w pięć: Arleta, Maria, Judyta, Nina i ty, Klaudio – zwróciła się Julia do siedzących na wprost kobiet. – I każda z was postanowiła milczeć. Z wyjątkiem Arlety, która od razu wzięła na siebie winę – dodała.

– Tamta noc była jednym wielkim koszmarem – odezwała się Klaudia.

– Który zaczął się od awantury o wasze wyjście na sylwestra. Leon postarał się obrzydzić wam wieczór, ale na jakiś czas wszystko ucichło.

– Kiedy jedliśmy tort – wtrąciła Ninka.

– Po tym jak ty, Mario, wybrudziłaś go kremem, umył się i przebrał. Na dół, do salonu, wrócił już spokojny.

– Przez chwilę rozmawialiśmy ze sobą jak ludzie – zgodziła się dziewczyna. –

Myślałam, że nic więcej już się nie stanie. Że najgorsze minęło.

– Aż przyszała północ. Leon wyszedł do ogrodu z kilkoma fajerwerkami.

– Z trzema – doprecyzowała Klaudia. – Ja wtedy stałam przed domem, mówiłam pani, że dzwonili rodzice z życzeniami. Słyszałam tylko wystrzały z ogrodu.

– W domu nadal była pani, Judyto, Nina i Maria. Co wtedy robiłyście?

Nie spojrzały na siebie. Pierwsza odezwała się Maria:

– Nie wiem, czy chcę o tym mówić...

– Obawiam się, że nie masz wyjścia – odpowiedziała Julia. – Poza tym to tylko formalność. Jeśli ty nie chcesz mówić, ja spróbuję zrobić to za ciebie, mimo że każda z was celowo mijała się z prawdą, opowiadając o tym, co się stało. Ty również kłamałaś, miałaś swój powód, aby zmącić obraz tamtego wieczoru.

Westchnęła ciężko i zamknęła oczy, jakby chciała przywrócić w głowie obraz sylwestrowej nocy.

– Stałam w pokoju. Leon spytał mnie, czy chcę razem z nim odpalić te sztuczne ognie. Na zgodę i na dobry początek nowego roku. Nie chciałam, wciąż byłam na niego wściekła za to, co zrobił matce. Złapał mnie jedną ręką za głowę i przycisnął do siebie. Pocałował i powiedział, że to, co było, jest już nieważne. Że teraz dopiero zaczniemy wszystko od nowa. Zdrętwiałam, powiedziałam mu, żeby się wreszcie odczepił. Chyba pomyślał, że żartuję, bo tylko zaśmiał się i klepnął mnie po tyłku.

– Matka to widziała?

– Nie. Zamknęła się w łazience, żeby włożyć nocną koszulę. Po tej awanturze rozboleła ją głowa, nie miała ochoty na świętowanie. Przebrała się i poszła na górę, do naszego pokoju. Chciała tam przeczekać, aż wszyscy się rozejdą, i dopiero później wrócić do swojego łóżka.

– Na górze byłaś też ty, Ninko?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Mama była smutna, chciałam zagrać z nią w scrabble, żeby jej przeszło. Ale bolała ją głowa, położyła się w moim łóżku i prosiła, żebym nic nie mówiła. Było mi jej bardzo szkoda.

– Cały czas byłaś z mamą?

Pokręciła niepewnie głową.

– Nie. Poszłam na dół po proszki i po wodę. Mama mnie wysłała.

– A pani co wtedy robiła? – zwróciła się do Judyty.

– A co mogłam zrobić, kiedy Arleta poszła się położyć? Kuchnia była pełna

brudnych naczyń po robieniu tortów. Zmywałam.

– Po prostu – stwierdziła Julia.

– Tak, co w tym dziwnego? Nie zostawia się brudów na nowy rok.

– Oczywiście, brudne talerze przynoszą nieszczęście – stwierdziła z pełną powagą Julia. – Czyli kiedy Nina zeszła, przebywała pani w kuchni i myła naczynia i sztućce.

Judyta poczuła się nieswojo.

– Powiedziałałam już. Jeśli chce pani spytać, czy noże też myłam, to owszem.

– A teraz ty mi powiedz, Ninko. Kiedy schodziłaś po proszki na ból głowy, wzięłaś coś ze sobą z pokoju?

Po zaróżowionych od gorączki policzkach Niny popłynęły łzy. Nie nadązała ich ścierać rękawem zabrudzonym ziemią z rodzinnego grobowca.

– Co pani robi? – Klaudia wyjęła z torby chustkę i przytrzymała przy nosie Niny, czekając, aż ta wydmucha nagromadzone smarki. – Ta zgadywanka jest naprawdę okropna i całkiem przestała mi się podobać. Tylko ją pani drażni tymi pytaniami! Ja przecież widziałam, co się stało. Widziałam panią Rawską całą we krwi. Nikogo innego tam nie było.

– Masz rację, Klaudio. Widziałam Arletę Rawską, która klęczy przy umierającym synu. Ale nie widziałam, kto przecina mu gardło nożem.

– To chyba oczywiste. Ludzie, którzy dostają ataku migreny, działają jak nieprzytomni. Mogła to zrobić.

– Jesteś lekarzem, żeby tak twierdzić? – Julia przyszpiliła ją wzrokiem. – Migrena paraliżuje i nie pozwala ruszyć się z miejsca. Co do jednego masz rację, Arleta Rawska zeszła na dół. Ale nie po to, by zabić swojego syna. Zrobiła to, bo nie mogła się doczekać swoich proszków. Leon w tym czasie już umierał.

Julia zdjęła z ramienia torbę i rozpięła zamek. Z dna torby wyjęła pluszowego kotka.

– Tego szukałaś na cmentarzu? – Postawiła kotka na stole, nie spuszczać oczu z zapłakanej Niny. – Niepotrzebnie tak się namęczyłaś, przekopując piach z waszego grobowca. Cały czas był u mnie.

– Oddaj! – Nina doskoczyła do Julii i wyciągnęła chciwie rękę. – To moje!

– Tak, twoje. Proszę.

Rzuciła się na zabawkę i ścisnęła ją dłońmi. Ścisnęła maskotkę od łap do głowy, coraz mocniej i mocniej.

– Twój pomysł, Ninko, mógł się udać, pod warunkiem że nikt nie zaglądałby do

grobu przez kolejne lata, a sprawa śmierci Leona zostałaby zamknięta. Kto jednak mógł się spodziewać, że wasza matka odejdzie tak nagle i że grób zostanie otwarty ponownie. Gdy się o tym dowiedziałaś, uciekłaś z kliniki i pojechałaś do Warszawy. Chciałaś wrócić na cmentarz i zabrać kotka z powrotem, tak było bezpieczniej.

Nina podniosła przytulankę do ust i zaczęła szarpać zębami nici na kocim brzuchu. Julia przyglądała się tej szarpaninie bez słowa komentarza. Odczekała, aż kolejne kawałki pluszu wypadną z kota wprost na dzielący je okrągły stół.

– Zabrałam go, niczego nie znajdziesz – powiedziała spokojnie, gdy z kota zrobił się płaski kawałek materiału ze sterzącą pękatą głową. – Nóż, który schowałam w swojej małej zabawce, jest w bezpiecznym miejscu.

– Pani oszalała! – Krzyk Judyty przeszył salę. – To dziecko miałoby zabić?! Nie ma pani żadnych dowodów!

– Chyba pani nie dosłyszała. Gołym okiem było widać na nożu ślady krwi i czekolady. Tamtej nocy tylko jedna osoba jadła tort z czekoladowym kremem. Ty, Ninko – zwróciła się do oszołomionej dziewczynki Julia. – Zapewne znajdziemy na nim twoje odciski palców, a badania krwi wykażą, że należy ona do twojego brata. Kiedy zeszłaś po tabletki dla swojej mamy, zabrałaś ze sobą brudny talerz po torcie i nóż. Ciocia zawołała z dołu, że czeka na brudne naczynia, a ty posłusznie zabrałaś je ze swojego pokoju. Oddałaś talerz, ale kiedy zobaczyłaś po raz kolejny Marię z Leonem, ich kolejną szarpaninę, zatrzymałaś nóż i postanowiłaś zrobić z niego użytek. Kiedy było po wszystkim, schowałaś go. Zaszycie tak niewielkiego noża nie jest trudne, nawet dla dziecka. W ten sposób narzędzie zbrodni zniknęło bezpowrotnie. Pani rolę, Judyto, było zatarcie śladów na rękach swojej małej siostrzenicy. Zabrała ją pani do kuchni i umyła detergentem do mycia naczyń. Kiedy Nina wróciła z ogrodu, na pewno była w szoku. Kilkakrotnie otarła ręką ściany. Wysokość śladów wskazuje, że osoba, która je pozostawiła, była niewysokiego wzrostu. Jak ulał pasuje do dziesięcioletniego dziecka.

– Nienawidziłam go! Krzywdził nas wszystkich, a zwłaszcza ją. – Nina wskazała wysuniętą brodą Marię.

– Bałaś się, że gdy dorośniesz, zaczniesz krzywdzić również siebie? – spytała Julia, choć z góry znała odpowiedź.

– Dotykałby mnie tak jak Marysię... i robił złe rzeczy.

– Boże drogi, Ninko... – Oczy Judyty zaszklily się.

Julia powstrzymała kobietę ruchem ręki.

– Niech jej pani pozwoli mówić.

– Nie wiedziałam, że nasza mama miała tak samo – chlipała Ninka. – Że wujek robił jej takie... takie... Zrobiłam to dla nas, Marysiu. On kazał ci zabić to dziecko. Bawił się tobą, a potem kazał zabić. Ja też się bałam, był starszy i silniejszy, a ja przecież też niedługo będę kobietą. Dopiero za kilka lat, ale tak się bałam...

– Jezu... Mówiłam ci, że ona to wszystko widzi – wymamrotała do Marii Klaudia.
– Obie z matką na to pracowałyście.

Maria milczała. Siedziała nieruchomo z nieprzytomnymi oczami, nie wykonując żadnych, nawet najmniejszych ruchów.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – odezwał się Maciejewski. – Przez ten cały czas wierzyłem, że byłaś wtedy w swoim pokoju.

Ninka pokręciła głową.

– Kiedy Leon wreszcie zostawił Marysię, wyszłam przed dom. Był zajęty wsadzaniem fajerwerków do butelki. Nie widział mnie. W jednej ręce trzymał zapalniczkę, w drugiej racę. Ja nie chciałam go zabić... Naprawdę, ja tylko... Uderzyłam dwa razy... Za drugim razem, kiedy go... potem nie mogłam wyciągnąć noża. Ślizgał mi się w rękę. Z domu wybiegła mama. Kazała mi odejść. To ona wyciągnęła mu z szyi ten nóż. Rzuciła na bok, w ziemię. Zabrałam go i uciekłam. Ja... ja chciałam tylko, żeby wreszcie przestał...

Artur spojrział gorzkim wzrokiem na Julię.

– Nie miałem o niczym pojęcia – wykrztusił.

– Wiem. Sprawcy albo są wylewni, albo milczą. Nina wybrała milczenie. Zresztą, nikt z was nie wiedział, jak do niej dotrzeć naprawdę. Takich masz ludzi u siebie w klinice. Nikt nie zauważył, że Nina codziennie wylewa litry wody na ręce, trąc je do nieprzytomności. Codziennie je obmywała, żeby zesła z nich krew jej brata.

– Syndrom zabójcy...

– Raczej syndrom dziecka, którym zajmowano się od niechcienia. Przy okazji, pozdrów ode mnie swego przyjaciela, doktora Synowca. Bardzo starał się wyleczyć Ninę, nie mając pojęcia, co tak naprawdę się z nią dzieje.

Artur przełknął ślinę, pozostawiając uwagę Julii bez komentarza.

– Może gdyby pomoc przyjechała szybciej, nadal by żył – wyszeptła Maria, wciąż nie podnosząc na nikogo wzroku. – Nie musiał przecież umierać, to były tylko dwa ukłucia...

– Niestety śmiertelne. – Julia wyprowadziła ją z błędu.

Klaudia poklepała dłoń przyjaciółki, którą ta położyła na jej ramieniu.

– Twoja matka próbowała go ratować. Kiedy wyszłam z domu, widziałam, jak bardzo się stara. Naciskała na szyję, żeby zatamować krew. Była taka przerażona, nic nie mówiła, nawet nie krzyczała. Tylko dociskała swoją koszulę do jego szyi.

– Nie, Klaudio. – Julia pokręciła głową. – Arleta Rawska świetnie zdawała sobie sprawę, że nie uratuje syna. Na to było już za późno. I nie tamowała krwi koszulą. Wycierała ślady czekolady na jego szyi, żeby zmyć to, co pozostawił zabójca. Oczywiście, starcie ich całkowicie jest niemożliwe, zawsze pozostaną na ciele mikroślady, jednak robiła to, co podpowiadał jej instynkt.

– Próbowała uratować dziecko?

– Tak. Ninę – uściśliła Julia. – Dlatego też bez wahania przyznała się do morderstwa. Jeśli jej życie miało się kiedykolwiek na coś przydać, to był właśnie ten moment.

– Ale widzieć mnie w więzieniu nie chciała. – Nina zwiesiła głowę.

– Ani ciebie, ani Marii, ani pani, Judyto. Konsekwentnie odmawiała spotkań z prostego powodu. Nie mogła dopuścić, by któreś z was wymknęło się choćby jedno słowo mogące zasiać niepewność co do jej winy. Nie przy mundurowych, to było zbyt ryzykowne. Każda z was wiedziała przecież, kto wbił nóż w szyję Leona. Widziałyście to. Maria z za szyby tarasu, a pani przez kuchenne okno. Stamtąd widać wszystko, co dzieje się przy ogrodowym klombie. Dlatego też wszystkie milczałyście, nie obciążając siebie nawzajem. Ale rozumiem, że tak było trzeba. Trudno jest zakładać pętlę na szyję komuś z najbliższej rodziny.

Kiedy skończyła, zaległa cisza. Siedzieli w szóstkę, wpatrując się w pusty blat stołu.

– I co teraz? – odezwała się pierwsza Maria. – Co teraz będzie?

– Napiszę raport, tak jak tego chciałaś. Zamknę dochodzenie zaraz po tym, jak laboratorium potwierdzi ślady na nożu.

– Jesteś z siebie zadowolona? – Judyta zwróciła się do Marii, z trudem powstrzymując wybuch gniewu. – Właśnie straciłaś siostrę. Jeśli o to ci chodziło, to brawo, udało ci się.

– Jezu... – Klaudia spojrzała obcym wzrokiem na Marię. – I po jaką cholerę ci to było? Mówiłam, żebyś odpuściła. Ale nie, musiałaś jej dokopać za tego swojego...

– Za Leona – dokończyła twardo Maria. – Tak. Musiałam.

– Chciałaś sprawiedliwości czy zemsty? – spytała Julia.

Dziewczyna wystrzeliła wzrokiem w młodszą siostrę.

– Zabiła go. Ta mała zmija próbuje teraz udawać świętą, ale cały czas chodziło jej o to, żeby mnie zniszczyć. Straszyla, że zgłosi wszystko na policję, bo to, co robimy, podchodzi pod paragraf. Kiedy zaszłam w ciążę i pozbyłam się dziecka, zupełnie jej odbiło. Ale to moja wina, nie powinnam rozmawiać z Leonem wtedy, kiedy ona była w domu. Wścibski, wredny bachor. Całe życie podsłuchiwała.

– Myślę, Mario, że stanęłaś nie po tej stronie barykady, co trzeba – powiedziała z goryczą w głosie Judyta.

– Przestań ją wreszcie bronić! I tak jej nie dostaniesz. Pójdzie do poprawczaka, gdzie jej miejsce.

– Taką miałaś nadzieję, wynajmując mnie do tej sprawy. – Julia poprawiła się na krześle, zakładając nogę na nogę. – Nawet spakowałaś jej rzeczy w kartony, żeby w procesie można było je przewieźć prosto do zakładu. Koniec końców wylądowały pod Krakowem. Nie mogłaś donieść o tym, że popełniła zbrodnię, bo z kolei Nina opowiedziałaby policji twoją historię, nie mniej interesującą. Trzymałyście się nawzajem w szachu. Nina odpuściła zgłoszenie organom ścigania twoich grzechów w zamian za to, że ty nie wydasz jej. Tak było? Może nawet obiecała zniszczyć zdjęcie USG, które schowała w swojej starej bieliźnie. Wtedy nikt nigdy nie spytałby cię o niedonoszoną ciążę. To była jej broń przeciwko tobie. Jedno małe zdjęcie... Ciebie natomiast wciąż gryzło, że wasza matka siedzi za kratkami za coś, czego nie zrobiła, podczas gdy Nina pozostawała na wolności. Swoją drogą, to był też powód, dla którego nie zaglądałaś do kliniki pod miastem. Wstręt do własnej siostry.

– Nie chciałam tam jeździć. Tylko raz mnie coś naszło, przed zeszłorocznymi świętami. Zresztą, co by to zmieniło? Przestałyśmy być siostrami w momencie, kiedy rzuciła się na Leona z nożem.

– Wynajęłaś mnie, bo chciałaś załatwić sprawę w białych rękawiczkach. Bez zeznań obciążających Ninę, dzięki czemu wasza umowa wciąż by działała. Ale przykro mi, Mario. Nina najprawdopodobniej nie trafi do poprawczaka, bo jest na to zbyt młoda. O tym, co się z nią stanie, zadecyduje sąd rodzinny. Ciebie natomiast czeka proces.

– Chyba nie zawiadomi pani prokuratury...

– Na twoim miejscu nie liczyłabym na cud. Muszę to zrobić, w przeciwnym razie stracę licencję.

– Ja zapłacę...

– Propozycja przekupstwa nie jest dobrym pomysłem, Mario, zwłaszcza w tej sytuacji. Jednak ze względu na twoją żalobę udam, że jej nie słyszałam. A co do zapłaty za moją usługę, no cóż... Za pieniądze, które zarabiasz... obie wiemy, w jaki sposób, wybaczone, ale wolałabym nie kupować sobie chleba. Przypuszczam, że utknąłby mi w gardle. Uznajmy zatem, że rozwiązanie tej sprawy jest moim prezentem dla ciebie. Nie musiałś tego robić, to była zła decyzja. Zemsta, jak widzisz, nie zawsze bywa słodka.

– Ile jest pani winna? – odezwała się Judyta. – Jeśli nie chce pani wziąć od niej zapłaty, ja pokryję koszty. Dość już było wstydu w tej rodzinie. Nie wiem, o co chodzi z brudnymi pieniędzmi od Marii, ale nie pozwolę, by kolejny skandal położył się cieniem na naszym nazwisku. Jeden niespłacony dług potrafi zatruć całe życie.

Drzwi restauracji skrzypnęły. Wszystkie głowy zwróciły się ku wejściu. W drzwiach pojawiła się dobrze znana Julii sylwetka mężczyzny w rozchełstanej kurtce i bordowej bluzie Abercrombie.

– Tu jesteś! – zawołał Górny, podchodząc do Julii. – Dzwonię do ciebie od godziny. Nie odbierasz.

– Wyciszyłam, był pogrzeb – odpowiedziała, czując, że nagle poci się od szyi po dół kręgosłupa.

– Już myślałem, że jest jakiś problem. Zacząłem się martwić. Przedstawisz mnie? – spytał z delikatnym uśmiechem, zupełnie nieświadomy sytuacji.

Ścisnął po kolei damskie ręce, podając za każdym razem swoje nazwisko i składając kondolencje. Kiedy dotarł do Artura, Julia zaczęła szybciej łapać oddech.

– Adam Górny – powiedział, wyciągając dłoń w stronę Maciejewskiego. – Przyjaciel Julii.

– Z komisariatu? – spytał Artur, ściągając do uścisku rękawiczkę. Teraz to zauważyła. Na palcu brakowało obrączki. – Maciejewski. – Ogołocona ze złota dłoń wysunęła się w stronę Adama.

– Komisariat to już dla niektórych przeszłość. – Górny nachylił się nad Julią. – Ale tak, tam wszystko się zaczęło.

Poczuła na sobie ciężkie spojrzenie Artura.

– Rozumiem – odpowiedział cierpko, po czym schował dłoń do rękawiczki. – W takim razie... myślę, że to już koniec, Julio – dodał niejednoznacznie.

– Tak, to był ciężki dzień. – Podniosła się z krzesła, udając, że nie zrozumiała aluzji. – Wszyscy powinniśmy odpocząć.

– Mam kogoś wezwać? – spytał wprost Górny, mając na uwadze kolegów ze stołecznej.

– Nie trzeba – odpowiedziała, zawiązując mocniej płaszcz. – Niech pani zajmie się Niną – zwróciła się do Judyty. – Do czasu, kiedy sprawa trafi do sądu, mała będzie potrzebowała opieki.

Krzesła pozostałej czwórki zazgrzytały. Szli do wyjścia w ciszy, nikt z nikim nie miał ochoty rozmawiać. Gdy stanęli na powietrzu, Judyta zadzwoniła po dwie taksówki, do jednej wsiadła Maria z Klaudią, do drugiej – ona z Niną. Obyło się bez pożegnania. Nina wciąż ścisnęła w rękę rozerwanego kotka.

– To ona, ta mała? – spytał Adam, kiedy auto wiozące Ninę zniknęło z parkingu.

– Tak. Próbowwała uratować rodzinę – odpowiedziała Julia. – Wybrała najprostsze rozwiązanie.

Poczuła wibrowanie w torbie. Sylwia przypominała o swoim istnieniu.

– To ja – zaczęła. – Dziś będzie u nas spać Jagoda. Chciałaś ją poznać bliżej, więc będziesz miała okazję.

– Spać? U nas? – Julia skrzywiła się na myśl o tym, że czeka ją noc spędzona w bujanym fotelu albo na podłodze na kocu.

– Jakoś to ogarniemy, nie czuj się pokrzywdzona. Czuj się szczęśliwa, że mam przyjaciółkę.

– Czuję się.

– Trzeba zrobić coś do jedzenia. Może naleśniki, bo Jagoda lubi. Gdzie jesteś? – dopytywała.

– Pod domem pogrzebowym.

– Uuu... pokaż. – Sylwia włączyła swoją kamerkę w telefonie, zanim Julia zdążyła zaprotestować. Po chwili na ekranie pojawiła się przejęta twarz jej córki. – Gorzej niż pod kościołem – skomentowała.

Nie mógł nie słyszeć jej głosu. Widziała, jak tężeje mu twarz. Podszedł i nie zważając na obronne gesty Julii, spojrzął na wyświetlacz.

– Hej, mała – powiedział miękkiem głosem do telefonu Artur. – Urosłaś. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem.

Zamilkła, jakby zapomniała słów. Patrzyli na siebie jak starzy przyjaciele, których los rzucił w dwa krańce świata.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał.

Pokiwała głową, wciąż nie mogąc wykrztusić jednego zdania.

– Trzymaj się, dzieciaku. – Mrugnął do niej okiem i pomachał na do widzenia.

Julia czuła, jak ziemia osuwa się jej spod stóp. Musiała przerwać połączenie, wzrok wpatrzonej w Artura Sylwii był nie do zniesienia.

– Muszę już iść – powiedziała, wyciągając do niego na pożegnanie rękę. – Dbaj o siebie.

– Ty o siebie też, Julia.

Zanim wsiadła do skody, wyjęła z torby zamkniętą szczelnie kopertę. Na jej dnie leżał nóż wyjęty z szarego kotka należącego do Niny. Bez słowa oddała kopertę Górnemu.

– Zajmę się tym – powiedział, wsuwając zawinięty nóż do kieszeni płaszcza. – Tym razem nie będzie na nim krwi ptaka.

Pokręciła przecząco głową.

– Niestety.

– Wiesz, co mnie zastanawia? – spytał po chwili Adam. – Ta mała. Czy ona też, tak samo jak Leon i Maria...

– Czy jest córką Rawskiego? Nie mam pojęcia – odpowiedziała Julia. – Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. Jednak obstawiałabym, że i w tym wypadku Arleta nie zrobiła wyjątku od reguły. Uzależnienie od człowieka jest silniejsze niż uzależnienie od narkotyku. I tak samo zabija zdrowy rozsądek – dodała.

Uruchomiła silnik. Poczekała, aż Górny wykręci swoim samochodem i pierwszy zjedzie z parkingu. Gdy włączyła się do ruchu, spojrzała w lusterko wsteczne. Artur wciąż stał pod domem pogrzebowym i patrzył za jej znikającym autem.

ROZDZIAŁ XVII

Wezwanie do prokuratury przyszło niespełna godzinę po tym, jak wysłała Sierackiej maila z raportem.

– Wiesz, co będzie, jeżeli okaże się, że to, co napisałaś, jest zwykłą lipą? – Sieracka zamknęła za Julią drzwi swojego gabinetu i stawiając ostrożne kroki w wysokich szpilkach i wąskiej spódnicy, podeszła do szafy pod ścianą.

Z górnej półki wyjęła teczkę. Była na tyle cienka, że z całą pewnością nie mogły znajdować się w niej akta żadnej z prowadzonych spraw. Te leżały na jej biurku, zajmując niemal połowę stołu. Na drugiej połowie stał monitor na podwyższonej nodze i stacjonarny telefon.

Sieracka otworzyła teczkę i wyjęła z niej dziesięciostronicowy raport.

– Jarecki nic o tym nie wie? – spytała. – Mam na myśli wynik twojego dochodzenia.

Julia położyła swoją torbę na podłodze i usiadła na brzegu biurka.

– Nie prowadziłam go na zlecenie Jareckiego, tylko mojej klientki. To, co znalazłam, trzymasz właśnie w rękach.

Sieracka zamknęła teczkę i uderzyła nią kilka razy w otwartą dłoń.

– Nie kontaktuj się z nim do czasu otrzymania wyników z laboratorium.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedziała Julia.

– List, który znaleziono w areszcie, wyślę do ekspertyzy porównawczej, gdy tylko dostarczą mi z domu przy Dereniowej próbkę pisma Rawskiej.

– Poza jej podpisem pod zeznaniami nie masz niczego więcej?

– Niestety. Może nie potrzebuję całej kartki napisanej jej ręką, ale przydałoby się choć kilka dodatkowych zdań, żeby biegle miał pewność co do braku autentyczności listu.

– Rawska lubiła gotować – napomknęła Julia. – Na pewno chłopaki znajdą w jej kuchni całą masę przepisów spisanych odręcznie w jakimś zeszycie. Stara dobra szkoła wszystkich gospodyń domowych – dodała.

– Najlepsza – przytaknęła Sieracka. – Mam nadzieję, że rozumiesz, że zeznania

rodziny Arlety Rawskiej nie mogą być decydujące w tej sprawie, jak sugerowałaś w raporcie?

– Im więcej pewności co do tego, kto jest autorem listu, tym lepiej. Niech spojrzy na niego ktoś, czyjego raportu Jarecki nie będzie mógł podważyć.

Sieracka odstawiła teczkę do szafy i drobnymi krokami skierowała się do swojego fotela za biurkiem. Wzięła do ręki długopis i zaczęła pstrykać nerwowo przyciskiem. Julia zsunęła się ze stołu i usadowiła na krześle naprzeciwko.

– Nie mogę sobie darować, że na całą tę sprawę patrzyliśmy z zupełnie innego punktu widzenia – powiedziała prokurator.

– Wiesz, kto za tym stał – odparła Julia.

– Chyba nie podejrzewasz mnie o to, że poszłam na łatwiznę. Mieliśmy właściwie wszystko, by doprowadzić sprawę do końca i postawić Rawską przed sądem.

– Twój pupil Jarecki spisał się na medal. O ile wiem, czeka na awans.

Sieracka odłożyła długopis i splótła zadbane dłonie. Julia znała ten odruch, prokurator robiła tak zawsze, kiedy musiała powiedzieć coś, co było nie po jej myśli.

– Każdy glina chce zabłysnąć. Ale masz rację, spieprzył sprawę. Niczego nie przesądzam, jednak jeżeli potwierdzi się to, co napisałaś, czeka go dyscyplinarka.

– Jak znam życie, wykręci się sianem.

– Nie ma takiego siana, które by mu w tym pomogło. Powiedz mi tylko, czy poza tobą jest jeszcze ktoś, kto wie, co zrobił Jarecki.

– Wiem tylko ja – skłamała.

– Na pewno?

Kiwnęła głową.

– I niech tak zostanie. Im mniej osób zna szczegóły, tym bezpieczniej.

Julia podniosła się do wyjścia.

– Kiedy prześwietlicie już to, co zrobił Jarecki, ktoś będzie musiał porozmawiać z córkami Arlety Rawskiej. Należy im się prawda o tym, w jaki sposób zginęła ich matka. Nie powinny żyć w przeświadczeniu, że popełniła samobójstwo.

– Wiem. – Prokurator Sieracka pokiwała głową. – Zajmę się tym osobiście, możesz być pewna.

Zarzuciła na ramię torbę i ruszyła w stronę drzwi.

– Julia? – Zatrzymał ją głos Sierackiej, gdy naciskała klamkę. – Nie powinnaś była odchodzić z tamtej roboty. Na pewno masz świadomość, że byłaś jedną z najlepszych.

– Jak widać, nie dla wszystkich.

– Można to było inaczej załatwić.

Uśmiechnęła się gorzko i odwróciła twarzą do Sierackiej.

– Nie można było – odpowiedziała cierpko. – Dlatego czasem trzeba zwinąć żagle i, dla własnego dobra, po prostu odpłynąć w swoim kierunku.

Zamiast klasycznego pożegnania uniosła rękę i ułożyła z palców literę V. Sieracka odpowiedziała jej tym samym.

Po wyjściu z prokuratury wstąpiła do księgarni. Wśród nieprzebranej masy powieści przygodowych, sensacyjnych i romansów szukała regału z książkami kucharskimi. Od ostatniej wizyty Jagody, kiedy zaserwowała dziewczynkom naleśniki, coś jej mówiło, że na jednorazowym stosie pachnących placków posypanych cukrem pudrem się nie skończy. Sylwia zapowiadała już kolejne wieczory z przyjaciółką. Wybrała więc *Placki, gofry, pierogi oraz Kluski i zapiekanki dla początkujących*. Jeśli miała stworzyć prawdziwy dom, gdzie Sylwia będzie wreszcie szczęśliwa, musi od czegoś zacząć.

Wsiadła do auta i położyła książki na siedzeniu obok. Zapięła pasy. Kolorowe okładki poradników kucharskich kusily. Wzięła ponownie książki do ręki i sięgnęła po telefon, żeby poprzez wideopojączenie pokazać Sylwii, że właśnie rozpoczyna się nowa era w ich domowej gastronomii.

Zanim wybrała numer córki, zauważyła, że ma jedną nieodczytaną wiadomość, która przyszła, kiedy siedziała w gabinecie Sierackiej. Gdy zobaczyła nadawcę, serce załomotało jej w piersi. Artur przysłał tylko dwa słowa: „Powinniśmy porozmawiać”.